
Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

R. 26

Księgarnia Gubrynowicza
W. WODZYŃSKI

PRZESZŁOŚĆ W TERAŹNIEJSZOŚCI

KSIĘGOZBIÓR
Dr. WŁ. PALMIRSKIEGO.

IGNACY RADLIŃSKI

PRZESZŁOŚĆ W TERAŹNIEJSZOŚCI

ZBIÓR DOCIEKAŃ I ROZWAŻAŃ SPOŁECZNO-NAUKOWYCH

TOM I

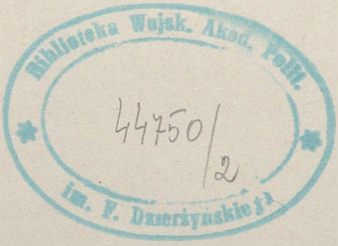
zawierający 72 figury

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1901



NAKŁADEM AUTORA
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

KSIĘGOZBIÓR
Dr. WŁ. PALMIRSKIEGO

Poszukiwanie człowieka

w okresie trzeciorzędowym.

Jeszcze przed laty kilkudziesięciu, opierając się na mytach semickich, sądzono powszechnie, że człowiek pokazał się na ziemi na 4,000 lat przed erą naszą. Według tego więc poglądu, cały dotychczasowy rozwój historyczny miał się odbyć w przeciągu wieków 59. Już odkrycie w Egipcie i Mezopotamii zabytków architektonicznych, gruzami zawalonych, warstwami piasku lub gliny pokrytych; już odcyfrowanie napisów na tych zabytkach obficie znajdowanych, oraz bliższe poznajomienie się z pomnikami piśmiennictwa Egipcyan i Babilono-Asyryjczyków, owych dwóch najstarożytniejszych narodów ze wszystkich, które z nami są związane jedną cywilizacyą i wspólną przeszłością dziejową, pogląd ten po części obaliły. Niektóre bowiem z odkopywanych gmachów, a nawet napisów, sięgały w przeszłość dalszą, niż wynoszącą 6,000 lat od czasów dzisiejszych. Pokazanie się przeto człowieka należało posunąć jeszcze w odleglejszą starożytność.

Wkrótce atoli nawet na tych świeżo wprowadzonych do nauki faktach oparta kwestya starożytności ludzi na ziemi — zupełnie inny, i co rzecz główniejsza, całkowicie niespodziewany otrzymuje obrót. W pokładach czwartorzędowej formacyi znaleziono nie tylko niezbite dowody w wyrobach przemysłu ludzkiego — istnienia człowieka podówczas, gdy owe pokłady powstawały, ale nawet szkielety i czaszki ludzkie.

Zdobyte historyczną wiedzą pojęcia nasze o podziale czasu nie dają się już wcale zastosować w tym wypadku do przeszłości człowieka i jego rozwoju. Miara czasu, wpro-

wadzona przez historyków, a wypływająca z rozpatrywania faktów dziejowych, ustąpić musiała mierze, przyjętej w geologii. Tylko wyliczenie, ile trwało ukształtowanie się danego pokładu skorupy ziemskiej, dać może tutaj pewne wskazówki co do chronologii. Ery historyczne zastąpione zostały przez okresy geologiczne, wieki oznaczać zaczęły dziesiątki tysiącoleci.

Okres czwartorzędowy, według przypuszczalnego obliczenia, ciągnął się przeszło 200,000 lat. A ponieważ już w pierwszych pokładach z tego okresu znajdujemy wyroby człowieka, więc chcąc choć w przybliżeniu, stosownie do nowo odkrytych faktów, zawyrokować o czasie pokazania się ludzi na ziemi, do doby, obejmującej dziejowy ich rozwój przed erą naszą, wynoszącej co najmniej 5,000 lat, powinniśmy dodać dwa razy tyle trwającą dobę przejściową, pomiędzy epoką historyczną i końcem czwartorzędowego okresu, i 200,000 lat przeszło okresu czwartorzędowego.

Zaledwo te fakta i daty zostały przez naukę przyjęte, zaledwo wyobraźnia ludzka poczęła się z niemi oswajać, a umysł stosowne wnioski co do samego rozwoju i punktu wyjścia jego wyprowadzać, gdy oto rozpoczęły się poszukiwania człowieka w formacyi trzeciorzędowej. Poszukiwania te dotychczas jeszcze nie ustały. Kwestya istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym pozostaje otwartą.

Ważność cofnięcia początków człowieka do okresu trzeciorzędowego, chociażby do środkowej jego doby, przedstawi się dopiero w całej swej rozciągłości, gdy zważymy, że długość tego okresu przewyższa kilkakrotnie, sądząc z grubości pokładów, długość czwartorzędowego. Przenieść więc początek dziejów z okresu czwartorzędowego do trzeciorzędowego znaczy kilkakrotnie jeszcze zwiększyć starożytność rodzaju ludzkiego. A przytem warunki geograficzne i klimatyczne w okresie trzeciorzędowym były zupełnie różne od tych, jakie znajdujemy w czwartorzędowym.

Zarówno przeto dla owej starożytności, nie dającej się zmierzyć, ani też ująć w jakiekolwiekbądź obrazy, jako też i dla warunków istnienia, kwestya człowieka trzeciorzędowego nabiera wielkiej doniosłości, czy rozpatrywać go będziemy w szeregu zwierząt ssących, jako gatunek osobny, czy też w historyi, jako zbiorową jednostkę — ludzkość.

Ta przeto doniosłość zachęcić powinna do przypatrzenia się tym poszukiwaniom w przebiegu ich historycznym.

Rozpocząć zaś musimy od faktów, które doprowadziły do wniosku, że istniał człowiek w okresie trzeciorzędowym, i w taki sposób otworzyły poszukiwania na drodze praktycznej i w teoryi.

I.

W lutym 1863 roku opuściło w Londynie prasę drukarską dzieło pod tytułem: *The Geological Evidences of the Antiquity of Man.* We dwa niespełna miesiące wydanie *pierwsze* było już wyczerpane. W kwietniu ukazało się *drugie...* Na to niesłychane powodzenie dzieła złożyło się kilka okoliczności. Tytuł dokładnie wskazywał treść. Treść poruszała najżywotniejszą podówczas kwestyę w nauce. Autorem zaś dzieła był Lyell, znakomity geolog. Lyell w niem światu oznajmił, pracującym zaś nad nauką udowodnił, że człowiek istniał już w okresie czwartorzędowym (post-plioceniczny — jak go nazywa).

Parę miesięcy tylko oddzielało zamknięcie jednej kwestyi od poruszenia drugiej w tym samym przedmiocie.

Dnia 8 czerwca na posiedzeniu Akademii francuskiej *des Sciences,* J. Desnoyers, bibliotekarz muzeum paryskiego, złożył memoryał, zatytułowany: *Notes sur les indices matériels de la coexistences de l'homme avec Elephas meridionalis.* Ów wymieniony w tytule *słoń południowy* poprzedzał w szeregu zwierząt ssących z czasów przedhistorycznych *słonia starożytnego* (E. antiquus) i mamuta, istniejących w pierwszej dobie okresu czwartorzędowego, która od tych zwierząt specyalną nazwę nawet otrzymała. Jako poprzednik, sięgał słoń południowy czasów dawniejszych, okresu trzeciorzędowego. Według zaś założenia autora wzmiankowanego memoryału, człowiek miał z nim istnieć współcześnie.

Zatrzymajmy się przeto na owych wskazówkach materyalnych, inaczej dowodach rzeczowych, na których opierał swoje wnioski Desnoyers.

We Francyi, w okolicy Chartres, pod St. Prest, znajdują się bogate pokłady piasku i żwiru, należące do formacyi trzeciorzędowej. W pokładach tych znajdują się obficie kości zwierząt, również znamionujących okres trzeciorzę-

dowy, jak oto: słonia południowego, nosorożca (R. leptorhini), hipopotama (H. majoris), jelenia (C. carnutorum). Desnoyers zwiedzał ową miejscowość, tak ponętną dla geologów i archeologów — i na bardzo licznych, z piasku wydobywanych kościach odkrywał rowki i rysy, powstałe najwyraźniej wskutek działania na nie twardszego od nich ciała. Bliższe przypatrzenie się rozmiarom i kierunkowi tych znaków pozwoliło mu podzielić je, ze względu na przyczyny, z których powstać mogły, na dwie kategorye. Jedną kategoryę rysów i rowków przypisał ocieraniu się kości o kamienie ostre, gdy je razem z kamieniami unosił bystry prąd wody. Ale znaki, tworzące drugą kategoryę, mogły, według niego, być zrobione tylko przez człowieka jakiemś ostrem narzędziem.

Otóż te znaki na kościach zwierząt z trzeciorzędowego okresu, wydobytych z pokładów formacyi trzeciorzędowej, świadczyć były powinny o istnieniu człowieka współcześnie ze słoniem południowym.

Odkrycie Desnoyers'a wywarło wielkie wrażenie. W lipcu Lyell już był na miejscu, skąd wydobywano kości. Pokryte rysami i rowkami podległy badaniu rozmaitych specyalistów. Ale wywody autora memoryału znalazły większą liczbę przeciwników niż zwolenników. Niedowierzanie stało się ogólnem. Oględność zresztą we wnioskach, ostrożność w wyrokowaniu, były zupełnie naturalne. Cóż bowiem w tym wypadku dowodziło istnienia człowieka w trzeciorzędowym okresie? Kilka zaledwo rysów na kościach, kilka rowków, które na innych za dzieło wypadku uznano.

I w innych miejscowościach Francyi, a nawet we Włoszech, znajdowano również kości z podobnemi rysami i rowkami (w dolinie Arno, w pokładach pliocenicznych z pod San Giovanni, w okolicy Sienny; w kopalniach w okolicy Billy). Sprawy to wszakże nie posunęło. Powątpiewanie pozostało to samo.

Podniecona atoli przez Desnoyers'a kwestya nie przebrzmiała bez następstw. Rzucone twierdzenie zaniepokoiło umysły. Obalone wnioski zaostrzyły ciekawość. Przedstawione dowody, jakkolwiek za dowody nie były uznane, zwróciły uwagę baczniejszą na tego rodzaju wykopaliska. Rozpoczęto dalsze poszukiwania kości. Skutki tak żywego zainteresowania wkrótce się uwydatniły.

Na międzynarodowym kongresie archeologicznym, odbywającym swe posiedzenia w 1867 r. w Paryżu, ksiądz Delaunay wystąpił z nowemi dowodami istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym. Dostarczyły go również kości, ale już z innemi, bardziej charakterystycznemi znakami. Pochodziły one z pokładów muszlowych miocenu z pod Anjou i stanowiły szczątki szkieletu *Halitherium*. Znaki na kościach tych nosiły cechy regularnych wyżłobień, niby nacięć. Tarcie o kamienie nigdy nie mogło takich dokonać. Kwestya więc odżyła nanowo. Według bowiem wszelkiego prawdopodobieństwa, człowiek tylko mógł porobić te nacięcia, i to ze świadomością celu.

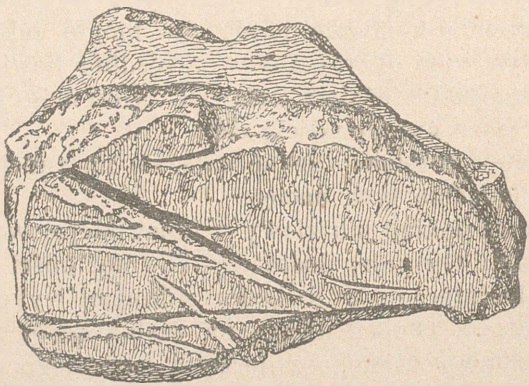
Niedługo wszelako czekać należało na zupełne wyjaśnienie pochodzenia tych nacięć.

Taki sam pokład muszlowy w innej miejscowości, z pod Leognan (dep. Gironde) dostarczył również kości naciętych. Defoltrie, badając je w związku z innemi wykopaliskami z tego pokładu, zwrócił uwagę na wielką liczbę znajdowanych zębów mięsożernego zwierzęcia morskiego z rodziny rekinów i udowodnił, że te nacięcia na kościach były śladem zębów owych zwierząt. To objaśnienie dawało się w zupełności zastosować i do kości Halitherium, przedstawionych przez Delaunay'a, gdyż pokład muszlowy z pod Anjou również zawierał zęby tych samych mięsożerców. Defoltrie ogłosił swe spostrzeżenia w rozprawie p. t. *Ossements entaillés et striés du miocène aquitanien*, pomieszczonej w Aktach bordoskiego towarzystwa Linneuszowego za rok 1869.

I nie tylko we Francyi znajdowano kości nacinane. Prof. geologii uniwersytetu bolońskiego, Capellini, w Poggiorone pod Monte-Aperto, w okolicy Sienny, wydobył w r. 1875 z marglu błękitnego pokładów pliocenicznych kości wieloryba, z rodzaju *Balaenotus*, z nacięciami jeszcze bardziej charakterystycznemi niż te, które badali Delaunay i Defoltrie. (Fig. 1 i 2). To go ośmieliło, że w komunikacie swoim, złożonym Akademii bolońskiej w tym przedmiocie, wyrzekł stanowczo, że nacięcia te zarówno swą formą, jako też położeniem na kości, dowodzą w sposób niezbity, że dokonała ich ręka wprawnie władnąca narzędziem.

Z pokładów atoli, gdzie się znajdował ów Balaenotus, wygrzebywano i muszle. Muszle zaś te wykazywały następnie,

według krytyków, że nie był tu brzeg morski, zalewany co czas jakiś, lecz dno morskie, pokryte zawsze warstwą wody grubości co najmniej dziesięciu metrów. Więc człowiek nie mógł tam przebywać. Nacięcia przeto na kości Balaenotusa, aczkolwiek wielce charakterystyczne, należało według nich przypisać, jak i w poprzednim wypadku, zębom rozmaitych zwierząt morskich.



1. Nacięcia na kości Balaenotusa (wielkość naturalna).



2. Nacięcia zwiększone.

Również nie wyjaśniło, ani też posunęło kwestyi, wynalezienie kości połamanych, lub też podziurawionych. W pierwszym wypadku przełamanie zawsze można było wytłómaczyć trafem (np. w kościach znalezionych w Grecyi pod Pikermi); w drugim — bójką z równosilnem zwierzęciem (np. w kości Mastodonta, znalezionego we Włoszech, w warstwach ostyeńskich pliocenu), lub uszkodzeniem przez gasteropodów i lithodomów (np. w zębie, znalezionym w takichże warstwach pliocenu w Anglii).

Zawody, napotykane ciągle w przypuszczeniach, wyłącznie opartych na znakach, które znajdowano na kościach,

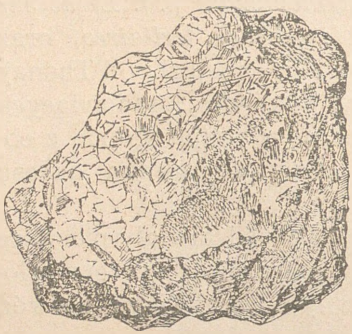
nie pogrzebały jednakże samej kwestyi, nie powstrzymały dalszych i rozleglejszych poszukiwań. Owszem, od czasu kongresu archeologicznego w Paryżu (1867), kwestya istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym na nową wstąpiła drogę. Odtąd bowiem inne jeszcze przedmioty, nie tylko kości z nacięciami przypisywanemi człowiekowi, zaczęły dostarczać dowodu istnienia jego w tym okresie.

Na posiedzeniu kongresu w dniu 19 sierpnia, ksiądz Burgeois z Pontleroy przedstawił memoryał p. t. *Etude sur les silex travaillés trouvés dans les dépôts tertiaires*, oraz kilkanaście okazów krzemieni, które był znalazł pod Thenay (dep. Loir-et-Cher) w warstwach wapienia, stanowiących dolne pokłady miocenu, bezpośrednio stykającego się z eocenem. Pochodzić przeto one mogły ze środka okresu trzeciorzędowego.

Krzemienie te, według Burgeois, przedstawiały pierwsze okazy ludzkiego przemysłu, były pierwszym orężem człowieka i narzędziem, a więc stanowiły najoczywistszy dowód istnienia samego rękodzielnika.

Wielce ciekawy zaiste przedstawiają widok te okazy. Odłupanie części niektórych jakoby dla zastosowania bryły kamienia do danego celu jest widoczne. Ale zarazem spotyka się na nich ślad drugiego czynnika, oprócz przypuszczalnej ręki ludzkiej. Drugim tym czynnikiem jest ogień. Dowodzi tego popękanie nieobrobionej powierzchni krzemienia. (Fig. 3, 4 i 5). Jeżeli przeto z pewną słusznością można było twierdzić, że człowiek, znając już ogień, umiejąc go rozniecać, korzystał z niego i, by ułatwić sobie wyrób narzędzia, rozpalał krzemień aż do popękania i rozpadnięcia się i dopiero wtedy obrabiał go stosownie do użytku, na jaki go przeznaczał; to również prawdopodobnem stawało się przypuszczenie, że ogień, przypadkowo powstały, dokonał w tym wypadku wszystkiego, bez współudziału człowieka; że to, w czem odkrywca widział skutki uderzenia celowego ręki człowieczej, było naturalnym wynikiem działania ognia. Nie pomogło, że odkrywca na tych krzemieniach wskazywał ślady delikatnych kilkunastu uderzeń, dokonanych jedno obok drugiego, niby nacięć, w celu poprawienia i uzupełnienia przypadkowego odłupania przez ogień. Starożytność głęboka pokładu, z którego wydobył znalazca te kamienie,

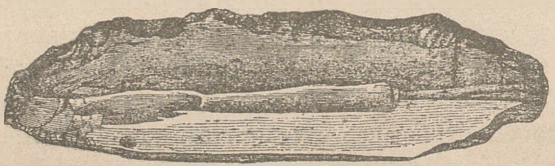
nie dająca się obliczyć nawet geologom, a tembardziej wprowadzić do dziejów człowieka, przechyliła szalę na stronę tego drugiego rozumowania. Na kongresie paryskim archeologów, jeden tylko członek jego, Worsaae, Duńczyk, zasłużony badacz Kiökkenmöddingów, oświadczył, że się zgadza z wnioskami autora memoryału.



3. Kamień z Thenay popękany w ogniu (wielkość naturalna). Muzeum Saint-Germain Nr. 11,803.



4. Kamień z Thenay popękany w ogniu ze śladami uderzeń. Muzeum Saint-Germain, Nr. 2030 (wielkość naturalna).



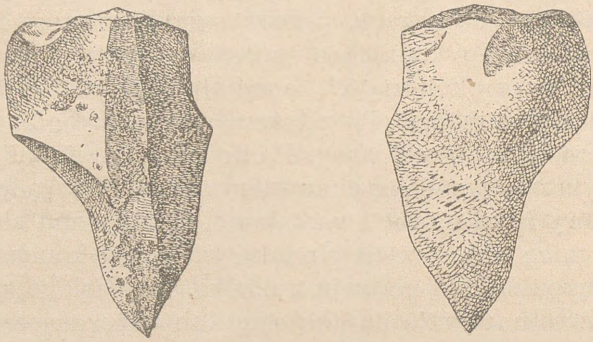
5. Nóż krzemienny z Thenay. Zbiory A. Gaudry.

Następnie do Thenay, miejscowości, gdzie znalazł ks. Bourgeois owe krzemienie, i do Pontlevoy, siedziby jego, podążyli G. Mortillet, konserwator Muzeum archeologicznego w St. Germain-en-Laye, Raulin i Waldemar Schmidt. Po zwiedzeniu pokładów i rozpatrzeniu większej liczby okazów w prywatnym zbiorze księdza Bourgeois, i oni przyznali celowość w obrobieniu rzeczonych krzemieni.

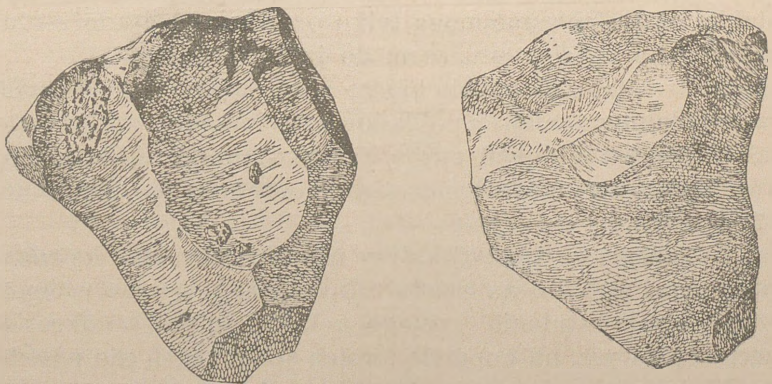
Niepowodzenie na kongresie paryskim nie zniechęciło Bourgeois. Z nowemi okazami, oraz z nowemi spostrzeżeniami podążył on na kongres archeologiczny, zebrany

w r. 1872 w Brukseli. Tu już mając za sobą kilku zwolenników, zyskał tyle, że wybrano komisyę specyalną do zbadania szczegółowego okazów i ocenienia krytycznego wniosków. Składało ją 15-tu członków. Z tej liczby ośmiu oświadczyło się za wnioskami odkrywcy krzemieni z pod Thenay: Omalius, Quatrefages, Carthailhac, Capellini, Worsaae, Engelhard, W. Schmid i Frank), pięciu — przeciw wnioskom; dwaj zdania stanowczego nie wygłosili.

Odkrycia w Portugalii narzędzi krzemiennych i kwarcytowych, przedstawiających wyraźniejszy typ takiego rodzaju



6, 7. Krzemień z Otta widziany z obu stron. Zbiory Akademii nauk w Lizbonie (wielkość naturalna).



8. 9. Krzemień z Otta widziany z obu stron. Zbiory Akademii nauk w Lizbonie (wielkość naturalna).

wyrobów i już bez pomocy ognia, uzupełniły pracę księdza Bourgeois. Wydobył je z pokładów trzeciorzędowych wa-

pienia i żwiru w dolinie Tagu inżynier Carlos Ribeiro. W 1871 r. przedstawił wybitniejsze okazy akademii lizbońskiej. (Fig. 6 i 7, 8 i 9). W 1872 przybył z niemi na kongres brukselski. Spotkało go tam takie samo przyjęcie, jakiego doznał Bourgeois na paryskim. I stał się fakt dziwny. Zgotował mu je Bourgeois. Pierwszy on bowiem, bądź nie odgadłszy znaczenia kamieni portugalskich dla swych teoryi, bądź też powodując się pewnemi uprzedzeniami, nie uznał na nich wyrobu rąk ludzkich. Dopiero na wystawie paryskiej w 1878 r. większe obudziły one zainteresowanie w kołach archeologów, oraz wyczerpujące wywołały rozprawy.

Uznający w okazach, przedstawianych przez Ribeiro, wyrób przemysłu ludzkiego przedewszystkiem zwracają uwagę na dwie okoliczności, pomijając już kształt typowy tego rodzaju narzędzi. Po pierwsze: na plan ogólny obrobienia, prosty zawsze i jasny. Po drugie: na znajdujący się na każdym okazie wielce charakterystyczny ślad uderzenia; na niektórych są nawet dwa takie ślady, po obu stronach. Każdy z nich przedstawia się jako wklęsłość konchoidalna, lub też wypukłość, w rodzaju guziełka. Archeologowie francuscy przeto nazywają je *conchoïdes* lub *bulbes de percussion*.

Guziełki takie lub wklęsłości znajdują się na wszystkich wyrobach krzemiennych, pochodzących z okresu czwartorzędowego, i dowodzą zawsze niewątpliwego udziału ręki ludzkiej, gdyż powstać mogą tylko przy celowem uderzeniu kamienia narzędziem służącem do jego obrabiania.

Bliższe poznajomienie się ze zbiorami portugalskiemi, oraz zbadanie na miejscu pokładów trzeciorzędowych, w których Ribeiro znajdował swoje okazy, stanowiło główny interes kongresu archeologicznego, zebranego w Lizbonie w 1880 roku.

Na kongresie tym, ci, którzy uznali krzemienie księdza Bourgeois i Ribeiro za dzieło rąk ludzkich, a więc *eo ipso* przypuszczali istnienie samego rękodzielnika w okresie trzeciorzędowym, na poparcie swoich spostrzeżeń nie przedstawili żadnych dowodów przedtem jeszcze nieznanych. Również i przeczący istnieniu udowodnionemu przez te wyroby w tym okresie nic nowego do obalenia wniosków przeciwników swoich nie wyszukali. Kwestya więc pozostała na poprzedniem stanowisku.

Pozostaje jeszcze ona na niem i dotychczas, ponieważ żadne nowe odkrycie nie wzbogaciło zasobu faktów, świadczących *za* przypuszczeniem lub *przeciw* niemu.

Gdy Desnoyers, Delaunay i inni przedstawiali kości z nacięciami, przypisywanemi rękom ludzkim, podnosiły się głosy: »A gdzież są te narzędzia, któremi człowiek dokonywał tych nacięć?« Było to zupełnie słuszne. Gdy Bourgeois i Ribeiro przedstawiali narzędzia, podniosły się głosy: »Jeżeli kości tylu zwierząt, istniejących w tym okresie, mogły się przechować, przechowałyby się bez wątpienia kości człowieka, gdyby istniał współcześnie z niemi; pokażcie nam szczątki człowieka trzeciorzędowego, a zgodzimy się, że tych kamieni używał za narzędzie lub jako oręża«. I tym słuszności odmówić niepodobna.

Nie pochodzą one bowiem wyłącznie z ust ludzi uprzedzonych, z zasady niechętnych wszelkim nowym odkryciom, prawdom przedtem nieznanym. Lecz zarazem tak przemawiają i ci, których dzieje rozwoju ludzkości wtajemniczyły w szereg omamień, stanowiących po kolei istotę wierzeń i wiedzy; którzy z doświadczenia wiedzą, jak wszelka nowość unosi, jak hypotezy piętrzyć się potrafią na każdem przypuszczeniu. Ich głosy nie hamują poszukiwań naukowych, lecz raczej przestrzegają, do faktów powołują; one nie zagrzebią prawdy, lecz raczej pomogą do jej odkrycia.

Szczątków człowieka nie znaleziono dotychczas.

Pomimo to kwestya istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym nie upadła. Człowiek trzeciorzędowy zajmuje rozdział w *Paleontologii*, a przez nią wkracza do *Historyi*. Pochodzi to stąd, że chociaż kwestya nie dała się stanowczo rozstrzygnąć na drodze praktyki, rozwiązała ją teorya.

Pierwszem pytaniem, jakie teorya stawia, jest to: czy człowiek mógł istnieć w tych warunkach geograficznych i klimatycznych, jakie przedstawia okres trzeciorzędowy?

Poznajmy je.

II.

Postać i rozmiary Europy, tej części świata, która wyłącznie tylko, jak dotychczas przynajmniej, dostarczyła w odłamkach kamiennych, uznanych przez wielu za narzędzia wyrabiane ręką ludzką, najpoważniejszych dowodów istnienia

człowieka w okresie trzeciorzędowym, wielekroć w tym okresie uległy przekształceniu stanowczemu i zmianom różnym. Przyczyną było podnoszenie się i opadanie jej powierzchni: wyłanianie się gór, zniżanie się dolin.

W dobie *eocenu* [1]) jest ona wyspą. Od wschodu bowiem i południa morza wewnętrzne, obecnie oddalone od siebie i od mórz zewnętrznych wyniosłemi płaszczyznami, łączyły się z sobą i z niemi. Morze Baltyckie i Lodowate łączyły swe wody z Kaspijskiem i Czarnem, to zaś ostatnie ze Śródziemnem. Postać tej wyspy jest podługowata. Linia bowiem poprowadzona od Niccy do Krymu, przechodząca przez oba dzisiejsze półwyspy, Apeniński i Bałkański, stanowiła południowy jej brzeg. A od zachodu i północy fale morza Północnego, zlewając się z falami oceanu Atlantyckiego, pokrywały Anglię i Irlandyę, Holandyę i Belgię, północną Francyę i Niemcy północne. Oś przeto największej długości wyspy szła w kierunku północno-wschodnim.

Pod koniec tej doby ląd zaczął się podnosić. Zjawisko to atoli nie było trwałe. Wkrótce wody zalewają te miejsca, z których poprzednio ustąpiły, i, zdobywając nowe dla siebie przestrzenie, wciskając się w ląd, rozbijają całość.

W dobie *miocenu* Europa staje się prawie archipelagiem. Łożyska wielkich rzek: Garonny, Renu, Dunaju, stanowią morza wewnętrzne. Każde wklęśnięcie stało się jeziorem, każda dolina — cieśniną, każde wzgórze — wysepką.

---

[1]) Porównanie 5,000 gatunków skorupiaków obecnie istniejących z 3,000 gatunków kopalnych wykazało, że w czasie formowania się najniższych warstw w pokładach trzeciorzędowych istniało tylko $3^1/_2$ procentów obecnie istniejących. W czasie formowania się wyższych warstw już istniało około 17 procentów, najwyższych zaś od 35 do 50, a nawet więcej. Otóż ten stosunek posłużył znakomitemu angielskiemu geologowi Lyell'owi do podziału wszystkich warstw skorupy ziemskiej, powstałej w okresie trzeciorzędowym, na trzy piętra, nazwane przez niego *eocenem, miocenem* i *pliocenem*. Nazwy tych piątr przeszły następnie i na czasy, w których one powstawały. Mamy więc trzy doby: *eoceńską, mioceńską* i *plioceńską*. Sądząc z grubości wszystkich pokładów trzeciorzędowej formacyi, geologowie wnoszą, że okres trzeciorzędowy kilkakrotnie był dłuższy od czwartorzędowego. Jeżeli więc ten ostatni trwał dwieście kilkadziesiąt tysięcy lat, trzeciorzędowy przeszło *milion* trwać musiał. Są jednakże geologowie, którzy nadają mu długość 3,000,000 lat, a nawet 93 milionów. Pamiętać jednakże zawsze należy, że daty w geologii są oparte na przypuszczeniu i mogą być tylko przybliżone.

Lecz oto następuje znowu podniesienie się lądu. Jest ono przytem trwalsze od poprzedniego i znaczniejsze.

W dobie *pliocenu* Europa otrzymuje już znaczniejsze rozmiary i, przymknąwszy do innych mas lądowych, staje się lądem stałym. Chociaż bowiem część jej południowowschodnia i północna, jak poprzednio, pokryte były falami mórz, lecz zachodnia i południowa znacznie się wydłużają. Wynurzające się z otchłani morskiej wyspy Brytańskie przylegały do Francyi, Hiszpania stykała się bezpośrednio z Marokiem, Włochy — z Algierem przez Korsykę i Sycylię, a nawet może — z Tunisem, przez Sycylię. Morze Egejskie przedstawiało usianą wzgórzami płaszczyznę lądową, która łączyła Grecyę z Azyą Mniejszą.

Narzędzia kamienne, przez Bourgeois znalezione, pochodzą z najniższej warstwy *miocenu*, stykającej się bezpośrednio z pokładami eocenicznemi. Znalezione zaś przez Ribeiro w Portugalii — z warstw najniższych *pliocenu* i górnych *miocenu*. Tak więc, przypuściwszy istnienie człowieka w okresie trzeciorzędowym, pokazanie się jego na ziemi należałoby pomieścić w początkach tego wieku, w dobie *eocenu*, skoro na początku miocenu doszedł już był do tak stosunkowo znacznego rozwoju umysłowego, że potrafił sobie sporządzać narzędzia, znał użytek ognia i umiał go rozniecać.

Więc w takim razie człowiek byłby świadkiem tych wszystkich przewrotów geograficznych? A były one nader ważne i, co większa, odbywały się ciągle.

Ale czy wytwarzane przez te przewroty warunki mogły przeszkadzać istnieniu człowieka, a raczej zatamować wytworzenie się jego? Nie, stanowczo. Zmieniały one kształty lądu, uszczuplały lub powiększały jego granice, ale raz powstały człowiek miał zawsze zanadto nawet przestrzeni, by mógł żyć swobodnie, zawsze dość, by módz się plenić. A przytem, chociaż te przewroty były bardzo znaczne, lecz dokonywały się w bardzo długim przeciągu czasu. Inaczej przeto przedstawiają się w krańcowych swych rezultatach, inaczej odbywały się w rzeczywistości. Badane w przyszłości odległej i momentach największego natężenia swego, przerażają lub zdumiewają rozmiarami swemi; dla współczesnych jednakże nie były one dostrzegalne, ująć się nie dawały

niczem, tak, jak i dokonywające się obecnie nie dają się ująć zmysłami. Ruch bowiem w materyi nie zanika, praca żywiołów nie ustaje.

Za lat krocie tysięcy przyszli geologowie, badając lądy sobie współczesne, badając dna mórz i oceanów, niechybnie podobne do podejmowanych przez dzisiejszych stawiać będą pytanie: czy mógł przy takich zmianach ciągłych istnieć człowiek? Suma zmian zaszłych w warunkach geograficznych w przeciągu naszej doby dziejowej, zapewne nie jest o wiele mniejszą od sumy takich zmian, zaszłych w takim samym przeciągu czasu, wziętym w okresie trzeciorzędowym. Człowiek ustępował z miejsc zalewanych wodą, zajmował wynurzające się z pod wód. Ale cofając się przed falami i obejmując po nich posiadłości, dokonywał tego dla siebie niespostrzeżenie wcale, gdyż w ciągu istnienia nie jednego, lecz kilkunastu, kilkudziesięciu, a nawet kilkuset pokoleń, a dokonywał, nie mając możności podzielenia się spostrzeżeniami z pokoleniem następnem, chociażby nawet potrafił je czynić.

Warunki więc geograficzne istnieniu człowieka w okresie trzeciorzędowym nie przeszkadzały.

Lecz jeśli te nie przeszkadzały tylko, były inne, które nawet istnieniu sprzyjały. Są to klimatyczne.

Klimat Europy całej był taki, jaki jest obecnie w krajach podzwrotnikowych, leżących pomiędzy 25 a 30 stopniem szerokości, więc taki, jaki posiada Afryka północna i Arabia, Indye północne lub Meksyk. Klimat Islandyi odpowiadał podówczas klimatowi Włoch południowych, a klimat Grenlandyi — klimatowi Francyi południowej.

Naturalnie, zachodziły zmiany i pod tym względem. Średnia temperatura stopniowo ciągle się obniżała. Lecz nigdy nie spadła do obecnej. W eocenie przewyższała średnią dzisiejszą o kilkanaście, w pliocenie o kilka stopni. Przytem rozkład wód chronił Europę od gwałtownych zmian atmosferycznych; ilość ich podtrzymywała w powietrzu ciągłą wilgoć. Klimat więc był ciepły, wilgotny i jednostajny. Zimy w naszem pojęciu nie było. Różnice pór roku były zatarte.

Pierwszym wynikiem takiego klimatu była roślinność iście południowa, bogata w gatunkach, bujna w okazach. Rosły w całej Europie palmy w kilku odmianach, drzewo

kamforowe, drzewo cynamonowe, paprocie zwrotnikowe, laury, myrty. Lignity islandzkie powstały z drzew tulipanowych, platanów, orzechów, cyprysów, krzewu winnego. W lignitach, wydobywanych na brzegach Bałtyku, odkryto drzewo kamforowe i palmy; w lignitach z nad brzegu Renu, pod Bonn, — mimozę i akacye. W Grenlandyi powstały pokłady całe z liści, owoców i pni drzewnych. Niemniej przeto bujną roślinnością pokryta była podówczas ta zamarzła dzisiaj ziemia, jak którakolwiekbądź z wysp polinezyjskich, uprzywilejowana obecnie od przyrody.

Roślinność właściwa strefie umiarkowanej urozmaicała jeszcze roślinność południową. Pod jedną szerokością, w jednym kraju rosły drzewa kamforowe i topole, brzozy, wierzby, graby, jesiony; palmy splatały swe gałęzie z klonami, dębami, bukami. Drzewa te stanowiły już przejście do czasów późniejszych.

Matką więc nie macochą mogła być w okresie trzeciorzędowym przyroda dla człowieka. Uwydatni się to jeszcze bardziej przez porównanie klimatu z okresu tego z klimatem z okresu następnego, przez postawienie obok obrazu wiecznej wiosny, obrazu wziętego z epoki lodowej, przypominającego, obecnie tylko okolice podbiegunowe. I jeżeli w podaniu ludów starożytnych o złotym wieku na początkach istnienia człowieka na ziemi leży w podstawie rzeczywistość, to ów złoty wiek da się pomieścić w okresie trzeciorzędowym.

Warunki istnienia wówczas ludzi mogły być takie, jakie są obecnie na wyspach oceanu Spokojnego. Człowiek nie miał, człowiek nie znał innych potrzeb oprócz tych, które bez jego pracy i starania zaspakajała sama przyroda. Pożywienia obficie mu dostarczała bogata i rozmaita roślinność. Uczucia chłodu nigdy on nie doświadczał. Zima nie zapędzała go do jaskiń. Skwar słoneczny również mu nie dokuczał. Gorąco uśmierzane było wilgocią powietrza, sąsiedztwem wód. A przytem, czyż przed promieniami słońca dokuczliwemi, spędzającemi mu sen z powiek, członki znojnym potem oblewającemi, skryć się on nie mógł w cieniu drzew wspaniałych, w gęstwinie lasów, ze wszech stron go otaczających?

Nakoniec obok warunków sprzyjających istnieniu i utrzymaniu się rodzaju ludzkiego, nie zabrakło człowiekowi i in-

Wojsk. Akad. Techn. im. F. Dzierżyńskiego

nych, koniecznych do dalszego rozwoju, do wyrobienia w sobie sił fizycznych, budzenia umysłowych. Człowiek na ziemi nie był samotnym. Te same warunki powołały do życia liczne gatunki zwierząt. Lecz zmiany zaszłe w rozwoju świata zwierzęcego o wiele przewyższają zmiany zaszłe w świecie roślinnym.

Według A. Gaudry, autora pomnikowego dzieła: *Enchâinements du monde animal dans les temps géologiques,* fauna trzeciorzędowa po czterykroć razy zmieniała się w dobie miocenu, po dwakroć w pliocenie.

Pierwszą fazę zaznacza zniknięcie workowatych zwierząt i początek proboscidów; pokazują się *Mastodon i Dinotherium.* Następnie pokazuje się pierwotny gatunek świń wydr i pierwsze znane małpy: *Oreopithecus i Pliopithecus.*

W drugiej fazie znikają *Cainotherium i Anthracotherium.* Pokazują się antylopy, bobry, koty; pokazuje się *Dryopithecus.* W trzeciej — hipopotamy i hipariony — poprzednicy koni obecnych.

W czwartej — pod koniec miocenu, zwierzęta trawożerne tworzą już wielkie stada; hipariony rozwijają się i mnożą; pokazują się gazelle, jelenie, jeżozwierz, hyeny.

Na początku pliocenu, w pierwszej fazie, Dinotherium i bliższe mu gatunki już znikają. Pokazuje się gatunek małp: *Semnopithecus.* Na końcu pliocenu, w drugiej fazie, zjawiają się konie, woły, słonie, niedźwiedzie, zające; antylopy stają się rzadkie, jelenie się mnożą.

Człowiek, by módz się rozwijać, potrzebował walki. Klimat go usypiał. Świat przeto zwierzęcy budził go tylko; wyzywał do zapasów. Drobniejsze i lękliwsze zwierzęta dostarczały mu pożywienia, bardziej wzmacniającego niż roślinne; walka z większemi, okrutniejszemi, godzącemi na jego istnienie, rozwijała jego siły fizyczne, uczyła przebiegłości, wyrabiała przenikliwość, zmuszała do obserwacyi, zastanowienia się, pobudzała do wynalazczości, co wszystko razem zaczęło go kształcić, rozwijać i położyło podstawy przyszłej inteligencyi, która mu z czasem pozwoliła zapanować nad całym światem i wyniosła na stanowisko pana wszego stworzenia.

Wszelako przychylna odpowiedź dla poszukujących człowieka trzeciorzędowego w zakresie geologii i paleonto-

logii jeszcze ostatecznie samego pytania nie rozstrzyga. Równocześnie bowiem z postawieniem go na drodze odkryć archeologicznych i badań natury praktycznej, postawionem ono było w nauce przez fizyologów, anatomów, wypływało z teoryi transformistycznych, z dociekań pochodzenia człowieka.

Uznanie w krzemieniach, przedstawianych przez Bourgeois i Ribeiro, narzędzi wyrabianych dla pewnych celów, zgodzenie się, że w tak oddalonej przeszłości mogła, wobec odmiennych warunków geograficznych i klimatycznych, żyć istota wyrabiająca takie narzędzia, jeszcze nie jest samo w sobie twierdzeniem, że tą istotą był nieodzownie człowiek.

Pytanie jest zbyt poważne, zbyt wiele potrąca teoryi naukowych i przekonań apryorycznych, wiele wierzeń szczerych i uprzedzeń wygodnych, by w dalszym ciągu nie powstały nowe. Czy ta istota, która na początku doby miocenicznej krzesała już kamienie i rozniecała ogień, była tą samą, która obecnie modli się, rządzi milionami do siebie podobnych, stwarza arcydzieła sztuki, posługuje się niewidzialnemi siłami przyrody, rozkłada ciała na pierwiastki, zmienia dowolnie powierzchnię ziemi? Czy tylko człowiek mógł się wyłamać z pod praw ogólnych, i wówczas, gdy gatunki innych stworzeń powstawały i nikły, stanowiąc coraz to nowe ogniwa w jednym łańcuchu świata zwierzęcego, tylko on jeden pozostał niezmieniony w swej naturze? Więc, co to była za istota? Jaki to był człowiek?

III.

Kwestya istnienia w okresie trzeciorzędowym człowieka przekracza granice archeologii przedhistorycznej i geologii. Pierwsza wykazała, że zarówno na początku doby miocenicznej, jak na jej schyłku, istniały w Europie (mianowicie we Francyi i Portugalii) istoty, które umiały rozniecać ogień i z krzemienia ciosać oręż. Geologia przekonywa, że pomimo znacznych zmian, którym ulegał ląd europejski w okresie trzeciorzędowym, warunki geograficzne nie przeszkadzały powstaniu i rozwojowi człowieka, warunki zaś klimatyczne nawet temu rozwojowi sprzyjały. Żadnej cząstki szkieletu człowieka nie odszukano w pokładach trzeciorzędowych.

Stanowcze przeto twierdzenie, że tą istotą był człowiek, było niemożebne, zwłaszcza wobec tylu z tem twierdzeniem związanych lub z niem sprzecznych interesów naukowych, a nawet i społecznych. Wystąpiły teorye.

Pierwszy głos zabrali przyrodnicy tranformiści.

Oto co pisze Haeckel w 1868 roku w znanem dziele *Dzieje utworzenia przyrody:* »W gronie dzisiaj żyjących ludomałp nie powinniśmy wyszukiwać przodków ludzkich, lecz nasze poszukiwania skierować do nieznanych, dawno wymarłych ludomałp *mioceńskiego* peryodu, Możemy jako taki kształt pośredni uważać *niemówiącego małpoluda* (Alali). Te małpoludy żyły prawdopodobnie ku końcowi *trzeciorzędowego okresu.* Powstały one z ludomałp wskutek zupełnego przyzwyczajenia do trzymania się prosto i odpowiedniego temu wzmocnionego różniczkowania obu par odnóży. Przednia noga ludomałpy przekształciła się w rękę ludzką, tylna pozostała nogą. Chociaż te małpoludy nietylko zewnętrznymi swemi kształtami, lecz i wewnętrznym rozwojem ducha, daleko bliżej znajdowały się człowieka aniżeli ludomałpy, brakowało im jednak właściwej cechy ludzkiej, a mianowicie zczłonkowanej mowy i połączonego z nią rozwoju wyższej samowiedzy i wyższego rozumu... Właściwy człowiek rozwinął się z małpoludów wskutek powolnego przekształcania zwierzęcych dźwięków w zczłonkowaną ludzką mowę. Z rozwojem tej czynności postępował rozwój odpowiednich jej narządów, a mianowicie potężniejsze różniczkowanie krtani i mózgu. Przejście od niemówiących małpoludów do właściwych czyli mówiących ludzi odbyło się prawdopodobnie na początku *czwartorzędowego* okresu, a może jeszcze wcześniej, ku końcowi *trzeciorzędowego*«...

Wnioski Haeckla przeniósł znany lingwista francuski, Abel Hovelacque, na pole swojej nauki i w dziele zatytułowanem: *Notre Ancêtre* (drugie wydanie w 1877 roku) pomysł istnienia pośredniej istoty pomiędzy małpami wyższemi a właściwym człowiekiem, będącej ogniwem zaginionem w łańcuchu *antropoidów,* popiera i stara się rozumowaniami, opartemi na ewolucyi mowy, udowodnić.

Nie do innych, chociaż zupełnie z innego punktu widzenia, dochodzi wniosków ks. Fabre d'Envie, autor dzieła p. t.: *Les origines de la terre et de l'homme d'après la Bible*

et d'après la science. Oto co w niem znajdujemy: »Z powodu odkryć w pokładach trzeciorzędowych (znanych narzędzi) jużeśmy powiedzieli, że niektóre nacięcia mogły być zrobione przez istotę rozumną, lecz różną od człowieka... Bóg mógł obdarzyć rozumem inne istoty, których rozwój artystyczny był małoznaczny... Wśród flory pierwotnej mogło istnieć zwierzę rozumne, żywiące się korzeniami, liściem i ziarnem... Nic nam nie przeszkadza utrzymywać, że rasy ludzkie, albo też inne zwierzęta obdarzone rozumem, istniały podczas formowania się pokładów w trzech pierwszych okresach geologicznych. Zwierzę, obdarzone duszą rozumną, wieńczyło każdą seryę stworzeń. Istoty te miały swój czas doświadczenia: one spełniły swoje przeznaczenie ziemskie. Skoro tylko spełniły, Bóg je nagrodził lub ukarał... Gdy czas przeznaczony dla ras, które nas poprzedzały, upłynął, Bóg zniszczył, opustoszył ich siedlisko. Odnowiwszy następnie te siedliska pracą dni sześciu, stworzył nową rasę swoich wielbicieli«.

Tak przemawiają z obozu licznego i poważnego obrońców na tradycyach hebrajskich opartego dogmatu, o sposobie i czasie powstania pierwszego człowieka, od którego ma pochodzić rodzaj ludzki obecny.

Jak widzimy, spotykają się z sobą wnioski przedstawicieli dwóch krańcowych poglądów i teoryi.

Mając w ten sposób utorowaną sobie drogę i wskazane rozwiązanie kwestyi, i paleontologowie łączą się z nimi. A. Gaudry, autor pomnikowego dzieła: *Enchaînements du monde animal,* w dziele tem powiada: »Skoro przyjąć należy za rzecz dowiedzioną, że krzemienie, zebrane przez Bourgeois, są łupane w pewnym celu, najprostszym wnioskiem, który mi się nasuwa, jest taki: obciosywał je *Dryopithecus*«.

Gabryel de Mortillet, jeden z najbardziej czynnych paleontologów francuskich, wydawca nieodzownego dla badań archeologicznych atlasu: *Musée préhistorique,* i autor dzieła: *Le Préhistorique antiquité de l'homme,* nie zgadza się z Gaudry co do owego Dryopithecusa, podając następne powody: 1) że stworzenie to zjawia się dopiero w drugiej faunie miocenicznej, co sam Gaudry udowadnia; tymczasem zaś krzemienie Bourgeois pochodzą z warstw najniższych miocenu, a więc o wiele wcześniej były wyrobione; 2) że

krzemienie te są bardzo drobne; mogły przeto tylko służyć do użytku istot również drobnych, tymczasem zaś Dryopithecus, jak go sam Gaudry przedstawia, był wzrostu człowieka. Wszelako krzemienie, przedstawione przez Bourgeois i Ribeiro, obciosywała istota rozumna, świadoma swych celów. Istotą tą wszakże nie mógł być człowiek, gdyż w takim razie onby jeden tylko wyłamał się z pod ogólnego prawa rozwoju, zmieniającego tylekroć faunę trzeciorzędową. Więc jeśli nią nie był człowiek, to był jego *poprzednik*, Anthropopithecus, istota pośrednicząca pomiędzy człowiekiem z okresu czwartorzędowego a szeregiem antropoidów okresu trzeciorzędowego.

Krzemienie łupane przedstawiają różne typy. Powstały przeto różne sposoby obrabiania ich. Istota, za pomocą ognia wyrabiająca sobie z kamienia oręż, znaleziony następnie przez Bourgeois, była różną od istoty obciosywającej kamień w sposób przedstawiony w okazach, znalezionych przez Ribeiro. Otóż Mortillet, owego małpoluda, który mieszkał we Francyi na początku doby miocenicznej, na cześć szczęśliwego znalazcy jedynej po nim pozostałości, nazywa *Anthropopithecus Bourgeoisii;* zamieszkującego zaś w Portugalii pod koniec tej doby, dla takich samych powodów, nazywa *Anthropopithecus Ribeiroii.* Nakoniec znalezione w 1877 roku przez B. Rames'a pod Cantal w pokładach górnych miocenu krzemienie łupane, typu zbliżonego do portugalskich, pozwoliły mu wprowadzić pomiędzy owe dwie istoty trzecią, nazwaną *Anthropopithecus Ramesii,* na cześć Rames'a.

W taki więc sposób, według G. Mortilleta, rodzaj ludzki miałby swoich poprzedników, poszukiwanych w teoryi przez Haeckla, Hovelacque'a, a nawet ks. Fabre'a d'Envie, w trzech owych istotach, które w trzech różnych siedliskach i w czasach różnych, oddzielonych od siebie niewiadomą, lecz wielce poważną liczbą lat, przenoszącą co najmniej kilkanaście razy naszą dobę dziejową, doszły już do pewnego przemysłu, cechującego istotę rozumną.

Ale dlaczego, przyznając owej istocie rozum i świadomość celów, nie możemy właśnie w owym rozumie, którego objawem był wyrobiony oręż, uznać przyczyny, która utrzymała przy życiu rodzaj cały? Owej istocie odmawiamy nazwy człowieka dlatego wyłącznie, że wszystkie gatunki

zwierząt z owej epoki uległy kilkakrotnemu przekształceniu. Czyż sam fakt, że człowiek posiadał inteligencyę, której dowody składał, nie może wytłómaczyć, dlaczego właśnie nie uległ warunkom, którym uległy inne gatunki?

Iskra myśli, która pierwotnemu człowiekowi wskazała, jak uderzyć kamień o kamień, by go uzdatnić do użycia, lub że należy cisnąć w ogień, by pracę odłupywania sobie ułatwić, przekazywana drogą dziedziczności z ojca na syna, tliła ciągle w umyśle, z coraz większą siłą się żarzyła, aż nakoniec w jasny płomień inteligencyi wybuchła. Płomień ten już otwierał człowiekowi drogę wśród ciemności, prowadził wśród niebezpieczeństw i niby jasna gwiazda przewodniczył w pochodzie w nieznaną przyszłość.

Człowiek, jakiekolwiekbądź było jego pochodzenie i początek, skoro tylko potrafił wzniecać ogień i upośledzenie swe od przyrody zastąpić własnym przemysłem, stanął odrazu ponad światem zwierzęcym i z nim, jako już sobie obcym, wystąpił do walki, niszcząc jedne twory, jako sobie szkodliwe lub pożyteczne na pokarm, inne naginając do posłuszeństwa swej woli. W walce ze zwierzętami i w pracy nad zwierzętami znalazł ocalenie siebie i swojego gatunku, gdyż walka uzdolniła go do istnienia, wyrobiła w nim zdolność zastosowywania się do warunków, a przez zastosowanie się — pokonywania ich. Własności te, przechodząc z pokolenia na pokolenie, tylko ciągle wzrastać i potężnieć mogły.

Na takiem właśnie stanowisku w kwestyi człowieka trzeciorzędowego stanął A. Quatrefages, znakomity francuski naturalista i paleontolog. W dziele jego: *Hommes fossiles et hommes sauvages,* w 1884 roku wydanem, czytamy: »Rozpatrując ustrój cielesny człowieka, zaliczamy go do ssących. Ale jest on obdarzony zdolnością zastosowywania się do rozmaitego otoczenia, i tej zdolności złożył już i składa niezbite dowody. Zwłaszcza posiada on inteligencyę, bez porównania wyższą od inteligencyi zwierząt. Jej właśnie zawdzięcza to, że przebył epokę geologiczną, tak różną od tej, w której żyje obecnie; jej zawdzięcza to, że zajmuje dzisiaj całą ziemię, walcząc i przezwyciężając wszystkie przeszkody, które mu stawia klimat i otoczenie tak rozmaite. Więc niema w tem nic dziwnego, że pokazawszy się na ziemi współcześnie z najstarszymi ssącymi, przetrwał do czasów dzisiej-

szych, przeszedłszy przez jeden więcej, czy też dwa przewroty geologiczne... Człowiek nosi z sobą środki walczenia z przyrodą. Pod tym jednym tylko warunkiem, by mógł znaleźć co do zaspokojenia głodu i pragnienia, jego organizacya pozwala mu wszędzie istnieć, gdzie tylko ssący istnieć mogą. Mógł więc on być współczesnym najdawniejszych gatunków tego typu zwierzęcego, którego początki sięgają, jak to wiemy, okresu drugorzędowego. Istnienie więc człowieka w okresie drugorzędowym nie stanowiłoby żadnej sprzeczności z danemi naukowemi. A tem bardziej istnienie jego w okresie trzeciorzędowym... Potrzeba było lat wielu, żeby istnienie człowieka w okresie czwartorzędowym było uznane przez ludzi naukowych. Prawdopodobnie upłynie jeszcze dłuższy przeciąg czasu, nim kwestya człowieka trzeciorzędowego stanie na tym stopniu, na jakim stoi obecnie kwestya czwartorzędowego. Ale czas zrobi swoje i dla niej, jak dokonał swego dla poprzedniej«...

Właśnie tylko istnienie człowieka w okresie trzeciorzędowym może nam wytłómaczyć ową siłę odporną, ową nabytą zdolność zastosowywania się do zmieniających się warunków i otoczenia rozmaitego; owa siła i zdolność ochroniły go od zaguby w okresie czwartorzędowym i pozwoliły mu przetrwać epokę lodowców. Tylko ta wielka starożytność gwarantować może utrzymanie się rodzaju ludzkiego w odległej przyszłości. W szeregu zmian powstać mogą z obecnie istniejących gatunków zwierząt inne, nowe. Niejeden z tych nowych może się okazać wyższym i bardziej uzdolnionym od ludzi. Ale ludzie pozostaną zawsze ludźmi, nieodmiennymi w swej istocie. Na nieprzerywalności owej opiera się rozwój rodzaju całego — w dziejach.

Konieczność walczenia z otaczającym światem zrobiła z człowieka nadto jeszcze istotę społeczną. W chwili gdy porwał za kamień przez innego wyrobiony, gdy do rozniecconego do siebie ogniska jednych dopuścił, drugich oddalił, uznał siebie już członkiem większej całości, już poznał potrzebę i zasady pracy społecznej. Losy tej pracy i wynikłe z niej rezultaty stanowią treść *dziejów* powszechnych. Człowiek trzeciorzędowy rozpoczyna te dzieje.

Wyniki dotychczasowe
poszukiwania człowieka trzeciorzędowego.

Nieprzerwany ciąg istnienia minionego stanowi przeszłość zarówno jednostki, jak i całego rodzaju ludzkiego. Przeszłość ta rozpoczyna się wraz z bytem, przeto jest tak długa, jak i samo istnienie, siągające początków tego bytu. Poszukiwanie przeto człowieka w czasach odleglejszych niż historyczne, które z natury rzeczy tylko drobną jakąś cząstkę całego jego istnienia ubiegłego obejmują i sięgać nie mogą początków jego bytu, jest nieuniknionem następstwem dociekania przez ludzi przeszłości własnej i nieodzownym warunkiem poznania swej istoty.

Cóż jednakże świadczyć może o istnieniu człowieka w czasach przedhistorycznych, a więc o przeszłości jego, nieobjętej dziejami powszechnemi? Odpowiedź bardzo łatwa i prosta. Otóż to, co świadczy o istnieniu jego i w czasach historycznych.

Człowiek w szeregu innych stworzeń, które przyroda wcześniej niż jego lub współcześnie z nim powołała do życia, dla badacza przeszłości ludzkiej różni się głównie tem, że po nim pozostają ślady istnienia jego nietylko w przypadkowo przechowanych, jak po tylu innych stworzeniach, materyalnych szczątkach jego samego, to jest w kościach, — lecz, co nawet jest ważniejszem i o jego uprzywilejowanem napozór stanowisku w przyrodzie bardziej świadczy, w dziełach rąk jego. Dzieła ludzkie, będąc trwalsze od samego rękodzielnika i niby przeżywając go, pozostają po nim i istnieją, wówczas gdy on sam, podobnież jak wszystkie stworzenia, ulega rozkładowi po zgonie i wraz

z niemi, podobnież jak one, jako istota sam ginie... Mógł przeto powiedzieć poeta:

Ciebie, nie dzieło, porwie grób...

Im głębiej atoli posuwamy się w przeszłość, sięgając początków bytu człowieka, tem wszystkie dowody jego istnienia są trudniejsze do odszukania, a odszukane nawet — trudniejsze do zbadania wszechstronnego i stanowczego zdeterminowania.

Złożyły się na to, oprócz biegu wszystko pożerającego i niszczącego czasu, który, w miarę oddalania się swego od początku istnienia człowieka, z coraz to bardziej potęgującą się mocą dokonywa swego dzieła, jeszcze i inne przyczyny. Ludność ziemi, im więcej się cofamy w przeszłość, stale się zmniejsza ilościowo. Zmniejszają się więc przez to coraz bardziej widoki przechowania się aż do naszych czasów szczątków materyalnych człowieka. Dalej, technika ludzka, doskonaląca się w czasie, w miarę zbliżania się naszego do jej początków, coraz to słabiej się uwydatnia w wyrobach ludzkich, coraz to mniej wyraźną się staje. Dzieła więc rąk ludzkich, w odwrotnym pozostając stosunku do swej starożytności, coraz to mniejsze noszą na sobie oznaki pracy ludzkiej, aż nareszcie znamiona celowości w ich wyrobie nikną zupełnie. Nakoniec, ponieważ liczba samych ludzi się zmniejsza, zmniejszać się musi i ilość wyrobów rąk ludzkich.



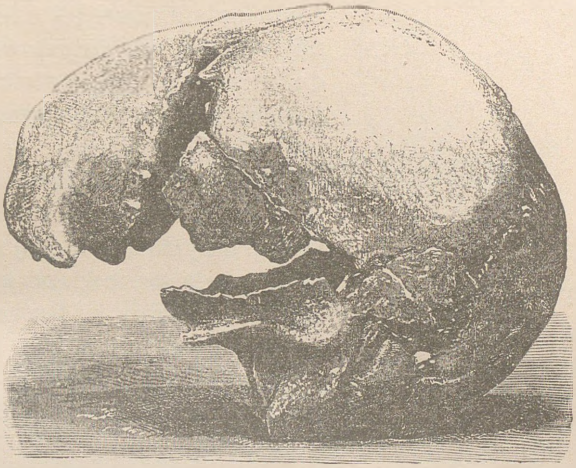
10. Czaszka z Castenedolo. Norma verticalis.

Otóż z owych dwojakiego rodzaju pozostałości po człowieku przedhistorycznym, pochodzących z okresu czwartorzędowego geologicznego, jedne, dowodząc niezbicie istnienia jego w owym okresie, dostarczają nadto wskutek swej

ilości podstawy do podziału ludzi czwartorzędowych na rasy; drugie pozwalają, wskutek swej jakości, wniknąć w sam bieg i sposób życia ludzi czwartorzędowych.

Inaczej atoli przedstawia się stan rzeczy, gdy idzie o człowieka trzeciorzędowego.

Tu wyrazistość i pewność faktów nie jest tak bezsporna, by zmusić mogła wszelkie teorye i hypotezy do nagięcia się i ustąpienia przed temi faktami, do zastosowania się do nich i uznania ich jako niezaprzeczonych zwycięzców. Owszem. Wskutek braku właśnie tej wyrazistości i pewności, teorye



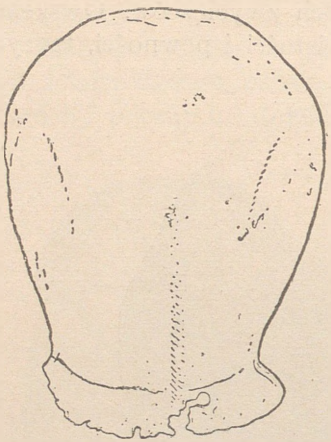
11. Czaszka z Castenedolo. Norma lateralis.

i hypotezy naginają i zastosowują same fakty do siebie i, nie ustępując przed niemi, zapanowują nad niemi.

Niezależnie jednakże od owego zastosowywania i naginania, istnienie człowieka w okresie trzeciorzędowym, bądź to, jak chcą jedni antropologowie, w zupełnie zakończonej, obecnej swej postaci, bądź też, jak twierdzą inni, jeszcze w ostatniej z przejściowych, stanowiącej poszukiwane dotychczas ogniwo pomiędzy ludźmi a szeregiem stworzeń, poprzedzającym ich na ziemi, nie podlega wątpliwości. A poszukiwania same, prowadząc do pierwszorzędnego odkrycia naukowego, stanowią początkowe karty w historyi nauki o człowieku i, zarówno wskutek swej treści, jak i metody,

wskutek rzeczy samej, jak i sposobu jej traktowania, zasługują na ogólniejsze niż dotychczas zainteresowanie się niemi.

Wszak w życiorysie jednostki ludzkiej na głównem miejscu słusznie staje zawsze pytanie: jak długo już ta jednostka istnieje, to jest, kiedy przyszła na świat? Czyż w tem zainteresowaniu się długością istnienia jednostki nie tkwi chęć, a nawet konieczność dowiedzenia się, ile to już lat ciągnie się jej praca umysłowa i zabiegi o mienie? Dopiero bowiem data urodzin jednostki pozwoli w każdej danej chwili oznaczyć stopień naprężenia działalności jej ekonomicznej i określić siłę umysłową, a więc dać miarę istotnej wartości owego naprężenia i rzeczywistego stanu umysłu. Gdy wiemy, że Goethe i Gladstone w późniejszych latach życia swego doszli do owej potęgi umysłowej, której zawdzięczali swoje stanowisko w świecie myśli i czynu, a Rotszyldowie dopiero w drugiem czy też trzeciem pokoleniu zdobyli owe miliony, które im pozwalają władać monarchami, a przez nich narodami, inny otrzymujemy wskaźnik siły umysłu pierwszych, a działalności ekonomicznej drugich, niż gdybyśmy przypuszczali, że oni już w latach dziecięcych, a nawet niemowlęcych zdobyli sobie to wszystko, co posiadali. Goethe i Gladstone w tym drugim przypadku staliby się w oczach naszych tylko cudownemi dziećmi.

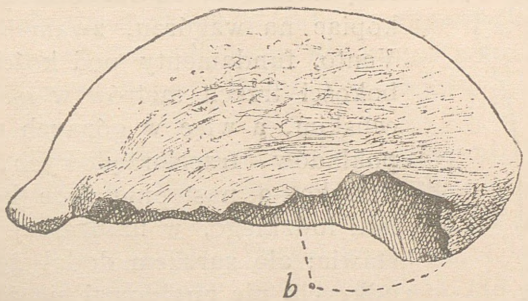


12. Czaszka z Trinil. Norma verticalis (1/3 wielk. naturalnej).

I ludzkość przez dziesiątki wieków przez swych przedstawicieli za cudowne dziecko była poczytywana i w oczach swoich własnych za nie uchodziła. Wszystko więc w niej, jak w cudownem dziecku, było możebnem. Należało tylko zechcieć. Tę naiwną ułudę jakiemiż to ofiarami ona przypłaciła! ten błąd mimowolny do jakich to zbrodni ją doprowadził! Ani chrystyanizm paleniem na stosie ludzi, podejrzewanych o swobodę myśli, nie próbowałby uczynić wszystkich wierzącymi, ani wielka rewolucya francuska

drogą uchwały prawodawczej — wszystkich równymi, wolnymi i braćmi pomiędzy sobą. Znajomość wcześniejsza istotnego stanu rzeczy ludzkich od iluż to tragicznych rozczarowań i zbójeckich czynów tych ludzi by uchroniła!

Gdy przeciąg istnienia ludzi na ziemi został przedłużony w nauce o całą długość okresu czwartorzędowego, inaczej się przedstawiła siła umysłu i stopień naprężenia działalności praktycznej człowieka, niż wówczas, gdy istnienie ludzi zamykano tylko w obrębie doby historycznej,



13. Czaszka z Trinil. Norma lateralis (*b*—miejsce przypuszczalne bazionu, $^2/_5$ wielkości naturalnej).

obejmującej kilka tysięcy lat zaledwo. A znowu inaczej przedstawiają się te miary, gdy do okresu czwartorzędowego dodamy już nawet nie połowę, lecz tylko jakąś część mniejszą trzeciorzędowego. Żałować jedynie wypada, że, jak obecnie, do wyprowadzenia pożądanej formuły, któraby oznaczała wzmiankowaną siłę i naprężenie, przeszkadzała różność miary czasu w geologii i w historyi, czyli w rozwoju kuli ziemskiej i istniejącego na niej człowieka.

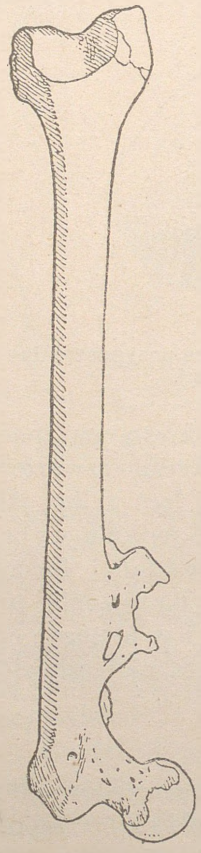
I.

Na myśl poszukiwania człowieka trzeciorzędowego naprowadziły takiego samego rodzaju odkrycia archeologiczne, jakim zawdzięczamy wiadomość o istnieniu człowieka czwartorzędowego. Również jak i dla czwartorzędowego dowody istnienia trzeciorzędowego są dwojakie. Pierwsze miejsce zajmują naturalnie szczątki materyalne samego człowieka.

Ponieważ odkrycia archeologiczne są głównie wynikiem przypadku, ponieważ przy robotach ziemnych, które naj-

więcej dostarczały materyału archeologicznego, natrafiano współcześnie na pokłady jak czwartorzędowe, tak i trzeciorzędowe, przeto kwestya istnienia człowieka trzeciorzędowego współcześnie się wszczęła i rozwijała z kwestyą istnienia człowieka czwartorzędowego.

I tak: na kongresie, poświęconym badaniom przedhistorycznym, odbytym w Paryżu w r. 1857, współuczestnik jego Artur Issel oświadczył zebranym członkom, że w 1852 r. w miasteczku Savona, starożytnem Savo, leżącem nad zatoką Genueńską, robotnicy, kopiąc na wzgórzu, zwanem Colle del Vento, fundamenty pod kościół, w głębokości trzech metrów w marglu plioceńskim, a więc w górnych warstwach pokładów trzeciorzędowych, znaleźli czaszkę, a następnie inne kości szkieletu ludzkiego, w naturalnej leżące postawie; ale zarazem dodał że przy tem odkryciu nie znajdował się żaden naturalista lub archeolog.



14. Kość udowa z Trinil (1/4 wielkości naturalnej).



15. Ząb trzonowy z Trinil (wielkość naturalna).

W r. 1866 Whitney, dyrektor poszukiwań geologicznych (Geological Survey) w Kalifornii, ogłosił znalezienie czaszki ludzkiej w głębokości 40 *m.* w żwirze złotonośnym, należącym również do warstw plioceńskich, pod Angelos, na pochyłościach zachodnich Sierra - Nevada, w hrabstwie Calaveras. Gdy zainteresowanie się tem odkryciem wzrastało i kwestya przeniosła się na kongresy archeologów i konferencye naukowe, tenże sam Whitney na jednej z nich, w Cambridge (Massachussets) wyznał, że on sam świadkiem tego znalezienia

nie był, lecz mu ta czaszka była doręczona przez właściciela kopalni.

Pod koniec lata w r. 1860 prof. Ragazzoni, poszukując skorupiaków w marglu zielonkawym, należącym do piętra astyeńskiego, a więc także do pokładów niższych plioceńskich, pod wzgórzem Castenedolo w okolicy Brescia, we Włoszech, znalazł część górną czaszki ludzkiej. Na razie nie przypisywał wielkiego znaczenia swemu odkryciu. Ale gdy we dwadzieścia lat później, na początku roku 1880, w tej samej miejscowości, 2-go stycznia, znalazł tyle kości, że z nich dały się złożyć trzy szkielety zupełne, a następnie, 16-go lutego, szkielet całkowity, naturalnie położony, rezultaty swych nowych poszukiwań przedstawił już Ateneum w Brescia (fig. 10 i 11).

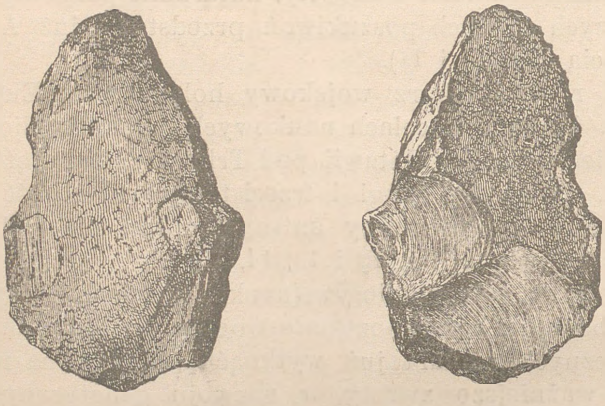
W r. 1892 lekarz wojskowy holenderski, Eugeniusz Dubois, badając w celach naukowych pokłady plioceńskie na Jawie, w okolicy Batawii, pod Trinil, znalazł część górną czaszki, dwa zęby, drugi i trzeci trzonowe, i kość udową istoty, w której niektórzy antropologowie nie wahają się widzieć człowieka (fig. 12 i 13, 14, 15).

Chociaż paleoetnologia (nauka o ludach prastarożytnych), badając kości pozostałe wogóle po ludziach przedhistorycznych, zdołała już wytknąć poniekąd na ich podstawie ważniejsze zwroty w rozwoju genetycznym tych ludzi, to jest, choć w przybliżeniu wykazać pochodzenie jednych od drugich lub powinowactwo między nimi, a nawet poczyniła niejakie próby podzielenia prastarożytnych ludów na rasy, — jednakże przy znajdowaniu kości samych sam wygląd zewnętrzny kości jeszcze nie może wystarczyć, by na tej podstawie wywnioskować o czasie, w którym żył ów człowiek, czyli o jego starożytności. Rozstrzygającego rzecz świadectwa co do tego pytania dostarcza jedynie pochodzenie warstwy ziemi, w której te szczątki się przechowały, czyli dane geologiczne. Ale na tem nie koniec.

Warstwa ziemi tylko wtedy wskaże rzeczywistą starożytność człowieka, jeżeli będzie dowiedzionem, że ów człowiek legł w niej współcześnie z jej powstawaniem. Ależ przecie mógł on dostać się do tej warstwy później wskutek jakiego przypadku. Wszak w trzeciorzędowej formacyi mogą być cmentarze nawet z doby historycznej. Więc

oprócz zdeterminowania warstw ziemi nieodzownem jest jeszcze zbadanie położenia kości samych i osadów na tych kościach, czy osad jest taki, jaki mógł powstać przy stykaniu się bezpośredniem kości z otaczającemi je częściami składowemi warstwy geologicznej, a nadto, skontrolowanie działania chemicznego bezpośredniego otoczenia kości na kość samą.

Ponieważ na cztery wyszczególnione odkrycia, dwa, w Savona na Colle del Vento we Włoszech i pod Angelos w Ameryce, były dokonane bez żadnej kontroli naukowej, i czas naprawy tego opuszczenia przeminął, nie przynosząc żadnych uzupełnień, przeto straciły one dla nauki odpo-



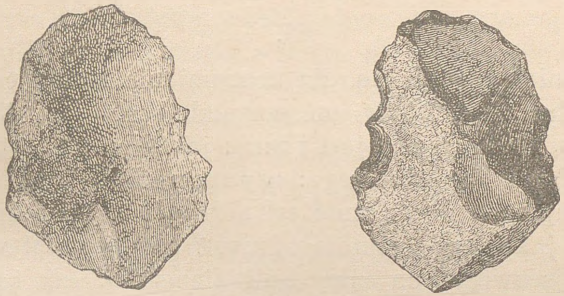
16. 17. Krzemień z Puy-Courny, widziany ze stron obu (wielkość naturalna).

wiednie znaczenie. Pozostały więc tylko jako dowody istnienia człowieka trzeciorzędowego kości, zebrane pod Castenedolo, i — znalezione na Jawie. Postawione jednakże samo pytanie, pomimo krytykowania dowodów i odrzucania ich połowy, nie upadało. Podtrzymywały je bowiem inne odkrycia współczesne.

W r. 1867 na kongresie antropologicznym i archeologicznym w Paryżu, ks. Bourgeois przedstawił okazy krzemienia (patrz fig. 3, 4, 5), noszącego na sobie ślady popękania powierzchni na ogniu i celowego uderzania, znalezione w dolnym miocenie we Francyi pod Thenay, małą mieściną, leżącą w sąsiedztwie Pontlevoy (Loir-et-Cher). Z czasem — na razie bowiem okazy te budziły ogólne nie-

dowierzanie – popękania uznano za skutki ognia, a uderzenia za rzeczywiste, nie zaś przypadkowe.

W roku 1878 na wystawie w Paryżu Carlos Ribeiro, dyrektor badań geologicznych w Portugalii, przedstawił 85 krzemieni obrobionych celowo, a znalezionych przez siebie w dolinie Tagu, pod Otta, w pokładach miocenu górnego, jeszcze w r. 1871. (Patrz fig. 6 i 7, 8 i 9). Obradująca nad temi krzemieniami komisya specyalna na kongresie archeologicznym w Lizbonie, 1881 r., uznała na nich ślady rzeczywistych uderzeń. A w urządzonej wycieczce pod Otta we wzmiankowanych przez Ribeiro pokładach Giuseppe Belluci odkrył na miejscu sześć innych krzemieni tego rodzaju.



18. 19. Krzemień z Puy-Courny, widziany ze stron obu (wielkość naturalna).

W roku 1877 Rames, przyrodnik francuski, również w miocenie górnym, ale już we Francyi, pod Puy-Courny, w sąsiedztwie Aurillac, wyszukał krzemienie, zbliżone kształtem i obrobieniem do krzemieni portugalskich (fig. 16 i 17, 18 i 19). Były one przeto wszystkie prototypami narzędzi krzemiennych z okresu czwartorzędowego.

Więc już w czasach środkowych okresu trzeciorzędowego istnieli nieznani rękodzielnicy tych wyrobów.

Jeszcze nowe odkrycie, już nie należące do wzmiankowanej dwojakiej kategoryi dowodów, uzupełnia wnioski, wydobyte z uznania autentyczności tych krzemieni. Oto profesor geologii na uniwersytecie bolońskim, G. Capellini, w Poggiorone, pod Monte-Aperto, w prowincyi Sienna, w pokładach plioceńskich, we Włoszech znalazł kości Balae-

notusa, na których są wyraźne rysy, zrobione celowo ostrem narzędziem, niby nacięcia (patrz fig. 1 i 2). Współczesność Balaenotusa z powstawaniem warstw plioceńskich nie ulega wątpliwości. Te nacięcia mogła tylko robić istota, która już krzemienia używała jako narzędzia, która dla ułatwienia sobie życia umiała już ogień rozniecać i za pomocą niego rozgrzewać kamienie, dla ułatwienia sobie ich obrabiania. Załatwiony spór co do współczesności szczątków człowieka z pokładami trzeciorzędowemi, skończony — co do krzemieni jako wyrobu celowego rąk ludzkich, przeniesiony został na inne pole.

Dostarczyło pola pytanie: jaka to była istota, której istnienia w ten sposób udowodniono?

II.

Również zasadnicze dla zrozumienia istoty człowieka pytanie, jak owo, kiedy on powstał, czyli jak długo już istnieją ludzie na ziemi, jest i inne: jak powstał? — oraz wypływające z tego ostatniego: czy powstał wśród istot go poprzedzających niezależnie od nich, czy też z jednego ich łańcucha, jako jego ostatnie ogniwo? czy powstał w jednej tylko miejscowości na całej kuli ziemskiej, czy też z tylu przynajmniej łańcuchów i w tylu miejscowościach, ile jest obecnie ras ludzkich?

Wiemy, że znakomity przyrodnik francuski, A. de Quatrefages, stojący na czele monogenistów, opierając się na odkryciu szczątków ludzkich pod Castenedolo, w warstwach niższych plioceńskich, oraz widząc w krzemieniach, znalezionych pod Thenay w pokładach mioceńskich niższych, w krzemieniach, znalezionych w Puy-Courny i Otta w pokładach mioceńskich wyższych, rzeczywisty wyrób człowieka, a na kościach Balaenotusa, przechowanych pod Monte Aperto w warstwie plioceńskiej, rzeczywisty ślad rąk ludzkich, uznaje istnienie człowieka trzeciorzędowego [1]) i początek tego istnienia mieści w czasach średnich okresu trzeciorzędowego, odpowiadających powstawaniu warstw mioceńskich niższych. I idzie dalej. Człowiek trzeciorzędowy, według niego, »est

[1]) *Histoire générale des races humaines:* »En résumé, il me parait démontré que l'Europe a eu ses hommes tertiaires«... str. 105.

en tout semblable à celui d'aujour d'hui [1]). Nakoniec tego człowieka trzeciorzędowego łączy z rasą kansztacką, z okresu czwartorzędowego, utrzymując, że ta rasa przeżyła okres trzeciorzędowy. Wszakże przytem ogranicza miejsce jego pobytu: istniał on tylko w Europie, i to zachodniej i południowej; w Ameryce zaś może nie istniał wcale [2]).

Za A. de Quatrefages'em idzie E. Carthailhac, i w dziele p. t. *La France préhistorique* szczegółowo roztrząsa tę kwestyę [3]).

W zbyt skwapliwem, nie śmiem bowiem powiedzieć, niekrytycznem, skorzystaniu przez Quatrefages'a z wymienionych odkryć, przebija się widocznie naginanie faktów do teoryi, nie zaś z faktów wyprowadzenie teoryi drogą indukcyi. Quatrefages był już poprzednio monogenistą, nim te odkrycia udowodniły, według niego, wyznawaną hypotezę. Potrzebnem zaś dla niego, a raczej dla jego poglądów antropologicznych, było istnienie człowieka, gdyż tylko taka, przechodząca wszelkie pojęcie, starożytność rodzaju ludzkiego może wyjaśnić różnice, spostrzegane pomiędzy istniejącemi obecnie rasami, i wykazać ich powstanie z jednego podkładu, z pnia jednego.

Również przypominamy sobie, że transformiści, do których głównie należą poligeniści, nie mogli powiązać szeregu stworzeń, z których bezpośrednio wyprowadzali człowieka, z człowiekiem dla braku pośredniego ogniwa, »missing link«, jak go nazywali pomiędzy owemi stworzeniami (antropopitekusami) a samym już człowiekiem. Wygłaszając jasno i śmiele swą hypotezę, wytworzyli w niej pośrednią pomiędzy poprzednikami człowieka w prostej linii a człowiekiem istotę, którą wraz z Haecklem nazwali *Pithecanthropus*, lub z francuskimi antropologami poprzednikiem człowieka: *précurseur de l'homme*, istotę, której potrzebowała ich teorya, ale której istnienia nie dowodziły żadne fakty ani odkrycia. Otóż oni w istocie, rozniecającej ogień, celowo uderzającej kawałkiem krzemienia o krzemień, by ułatwić sobie nim jakieś czynności, a więc przygotowującej sobie już narzę-

[1]) Opus citatum, str. 60
[2]) Opus citatum, str. 101, 105.
[3]) Chapitre II. Ère Tertiaire.

dzia, w istocie, która narzynała kości Balaenotusa i żyła już w środku okresu trzeciorzędowego, upatrywali owego poprzednika człowieka, tak pożądanego dla swoich teoryi. Człowiek zaś prawdziwy w obecnej swej postaci powstać, według nich, mógł dopiero na początku okresu czwartorzędowego. Na czele poligenistów stoją głównie francuscy antropologowie i paleontologowie: Topinard, autor między innemi dziełami trzech Antropologii: *L'Anthropologie, Éléments d'Anthropologie Générale, L'homme dans la nature;* G. de Mortillet, autor znakomitego dzieła: *Le préhistorique. Antiquité de l'homme;* A. Hovelacque, autor *Le Précurseur de l'homme;* G. Hervé autor, z poprzednio wymienionym: *Précis d'Anthropologie.*

I oni naginali fakty do swych teoryi, zastosowywali odkrycia do swych hypotez. Korzystając z odnalezionych krzemieni w Thenay, Puy-Courny, Otta, ślady celowych uderzeń na nich przypisywali owemu poprzednikowi człowieka; odrzucali przez to świadectwo kości ludzkich z pod Castenedolo, jako pochodzących tylko, według nich, z cmentarzyska [1]), a więc nie współczesnych tworzeniu się warstw ziemi. Kości te zaś były jedynym poważnym dowodem istnienia człowieka trzeciorzędowego, dowodem, uznanym przez A. de Quatrefages'a.

III.

Kości ludzkie z pod Castenedolo wyszły na świat w r. 1880. Po wypowiedzeniu ostatnich swych wniosków co do nich, z powodu ich odkrycia przez obie strony przeciwników, spór z braku nowego materyału do podniecania go już ucichał, gdy oto odkrycia E. Dubois w roku 1894 na nowo go wszczęły, zainteresowując wszystkie koła przyrodników i paleontologów.

Szczęśliwy odkrywca kości z pod Trinil na Jawie sam je poczytywał za szczątki nieznanego dotychczas stworzenia, chodzącego już prosto, które nazwał *Pithecanthropus erectus.* Według niego, wszystkie one należały do jednego indywiduum.

---

[1]) G. de Mortillet: »Cette réunion d'un certain nombre de corps au même point et surtout le groupement des os de squelette doivent faire présumer que ce sont des sépultures«... *Le préhistorique. Antiquité de l'homme,* str. 74.

Zainteresowanie wzbudzone wyjaśni ta okoliczność, że transformiści, idąc za E. Dubois, przyjęli *Pithecanthropus'a* za owo »missing link«, brakujące ogniwo w nauce o człowieku, za owego »poprzednika człowieka«, przeczutego przez antropologów francuskich i Haeckla, ale jeszcze nie odkrytego w rzeczywistości — *via facti.*

Po szczegółowem opisaniu kości znalezionych, warstwy ziemi, w której one leżały, położenia ich w niej i wszelkich okoliczności, towarzyszących znalezieniu, w dziele pod tytułem: *Pithecanthropus erectus, eine menschenaehnliche Uebergangsform aus Java*, Batavia 1894, Dubois przewiózł je do Europy i sam osobiście przedstawiał w różnych centrach życia umysłowego na posiedzeniach akademii i towarzystw antropologicznych.

Nie wszędzie atoli przy rozpatrywaniu tych okazów panowała jednomyślność między uczonymi, bądź to względem ich całości, bądź też szczegółowych części. Pamiętajmy, że tych okazów było cztery: górna część czaszki, dwa zęby, drugi i trzeci trzonowe, i kość udowa. W berlińskiem towarzystwie antropologicznem kwestya była rozbierana przez Krausego, Waldegera, Virchowa, Luschana i Nehringa. Kość udowa uznana była za ludzką, czaszka mniej lub więcej stanowczo za należącą do małpy antropoidalnej. Na kongresie zoologów w Lejdzie z dwunastu, biorących żywy udział w obradach, trzej uznali te kości za ludzkie, trzej za małpie, sześciu zaś — za należące do istoty pośredniej między człowiekiem a małpą, oddawna poszukiwanej przez zoologów i antropologów. W Royal Dublin Society — Cunnigham i W. Turner w Edymburgu zarówno kość udową, jak i czaszkę za ludzką uznali. Przyłączył się do ich zdania i profesor Rudolf Martin z Zurichu. Profesor zaś E. Houzé z Brukseli, upatrując w całości większe zbliżenie do człowieka niż do małpy, zaproponował nawet zmianę nazwy. Zamiast *Pithecanthropus erectus*, według niego, ta istota, żyjąca na Jawie w okresie trzeciorzędowym, powinna się nazywać: *Homo javanensis primigenius* [1]).

[1]) Do jesieni r. 1896, czyli w przeciągu dwu lat od odkrycia kości pod Trinil, dwudziestu jeden uczonych, należących do różnych narodów, wzięło udział, jak obliczył W. Dames (*Deutsche Rundschau*, wrzesień

Inaczej niż w Niemczech, Anglii, Belgii i Szwajcaryi, przyjęto odkrycie kości pod Trinil we Francyi. Tam, gdzie *précurseur de l'homme* wszedł już był do wykładów i podręczników [1]), powitano *Pithecanthropus'a erectus'a* jako oddawna zapowiedzianego i oczekiwanego gościa. L. Manouvrier w memoryale: *Le Pithecanthropus erectus et la théorie transformiste* [2]) przyjmuje w całości, wszakże po wszechstronnem i samodzielnem zbadaniu okazów i kwestyi całej, wszystkie wywody, poczynione z odkrycia tego przez E. Dubois. G. de Mortillet, rozbierając po kolei każdy ze szczątków, oto co wypowiada:

»Zęby: trzeci trzonowy wskutek swych rozmiarów i rozczłonkowania korzeni oddala się od trzeciego trzonowego ludzkiego, co go jednakże wcale nie zbliża do zębów odpowiednich w antropoidach. Drugi trzonowy różni się także od ludzkiego, lecz już mniej wybitnie.

»Kość udowa: zbliża się ona wielce do kości udowej ludzkiej. Jednakże Manouvrier, zbadawszy ją z wielką starannością, uznał i wykazał, że się różni również od ludzkiej kilku znamionami. Przedewszystkiem uderza w niej na pierwszy rzut oka jej cienkość, t. j. za mała grubość w stosunku do długości. To znamię oddala kość ową wielce od kości udowych wielkich antropoidów, wyjąwszy jednakże kości gibbonów (Hylobates).

»Część górna czaszki. Część, największe mająca znaczenie. Ona sama usprawiedliwia już nadaną tej istocie nazwę *Pithecanthropus*. Po starannem jej zbadaniu niepodobna z zupełną bezstronnością wyrzec: Stanowi ona czaszkę ludzką; jak również i obalić orzeczenia: Należy do czaszki antropoida« [3]).

1896, str. 368), w tym sporze antropologicznym. Z tych pięciu przypisywało ząb drugi trzonowy istocie pośredniej pomiędzy małpą a człowiekiem, dwu — małpie. Czterech — trzeci trzonowy człowiekowi, ośmiu — istocie pośredniej, sześciu — małpie. Trzynastu kość udową przypisywało człowiekowi, sześciu — pośredniej, jeden — małpie. Czaszkę sześciu przypisywało człowiekowi, ośmiu — pośredniej, także sześciu — małpie.

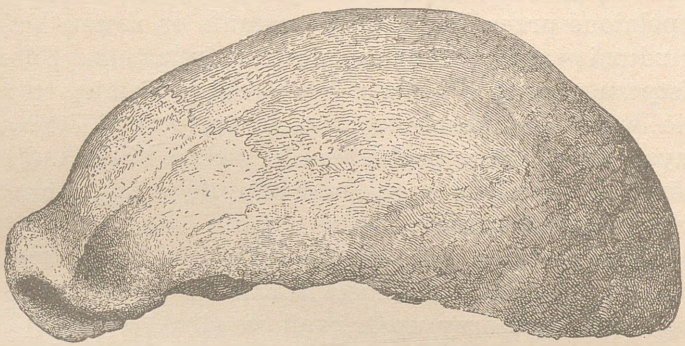
[1]) *Précis d'Anthropologie*, wzmiankowanych A. Hovelaquea i G. Hervé; *Le Préhistorique* — G. de Mortilleta.

[2]) *Bulletin de la Société d'Anthropologie*, za r. 1895 r., streszczony w *Revue Scientifique* z r. 1897, n-r 10, półrocze I.

[3]) *Formation de la Nation française*, str. 223 i 224.

I dochodzi do wniosku następującego:

»Ta górna część czaszki pośredniczy, w stopniu jak najwyższym, pomiędzy czaszką człowieka najniższego w rozwoju a czaszką naszych antropoidów. Z pomiędzy tych antropoidów to czaszki gibbonów, wyjąwszy rozmiarów, co zresztą jest już rzeczą podrzędną, najmniej się różnią od niej. Gibbony przytem ze wszystkich antropoidów mają postać najbardziej wyprostowaną. *Pithecanthropus* jest przeto pośrednikiem, łączącym gibbonów (Hylobates) z człowiekiem najniższym w rozwoju z obecnie znanych, z rasą Neandertalską (fig. 20).«



20. Czaszka z Neanderthal. Norma lateralis.

Na 4-tym kongresie międzynarodowym zoologów, odbytym w r. 1898 w Cambridge, E. Haeckel odczytał swój memoryał pod tytułem: *Stan obecny naszych wiadomości o pochodzeniu człowieka.* Z natury rzeczy odkrycie E. Dubois stanowiło główną oś tej pracy. Oto do jakich wniosków autor w niej dochodzi: »*Pithecanthropus erectus* Dubois przedstawia okaz tej grupy pośredniej, obecnie zaginionej, która stanowiła przejście od małpy do człowieka, i której jeszcze w r. 1866, wówczas gdy istnienie tej grupy było tylko hypotezą, nadałem nazwę *Pithecanthropus.* Jest to owo ogniwo tak pożądane, którego brakowało w łańcuchu prymatów najwyższych, owo »missing link« według Anglików«.

I widząc w tem odkryciu tryumf swoich teoryi i hypotez, tak zamyka rzecz swoją: »Pozwólcie mi na zakończenie zwrócić wzrok chociażby w najbliższą przyszłość. Jestem

najzupełniej przekonany, że nietylko nauka w XX wieku przyjmie w ogólnych zarysach naszą doktrynę transformistyczną, lecz że nadto będzie ją uważała za najważniejszą zdobycz umysłu naszego w naszej epoce. Jasne promienie tej doktryny rozproszyły już ciemne obłoki niewiadomości i przesądów, które aż do naszych czasów pokrywały nieprzeniknioną ciemnością jedno z najbardziej ważnych ze wszystkich zagadnień, mianowicie pochodzenie człowieka, jego prawdziwą istotę i miejsce w przyrodzie. Wpływ nieobliczony antropogenii naturalnej na wszystkie inne gałęzie nauki i na cywilizacyę przyniesie jak najpomyślniejsze wyniki. Wielkie dzieło, rozpoczęte w naszym wieku przez Lamarcka i uzupełnione przez Darwina, pozostanie na zawsze najbardziej zdumiewającą zdobyczą umysłu ludzkiego. Filozofia monistyczna, którą opieramy na ewolucyonizmie, sprzyjać będzie wspaniale poznaniu prawdy naturalnej i zarazem skorzystaniu z niej w pochodzie do piękna i dobra. Trwałe podstawy empiryczne tego monizmu są nam dostarczone przez zoologię fylogeniczną«.

Wobec również stanowczych a zwycięskich głosów, jak owe G. de Mortilleta, E. Haeckla i innych transformistów, antropologowie, którzy upatrywali w odkrytych pod Trinil kościach szczątki człowieka trzeciorzędowego, zamilkli [1]), i nazwa, nadana tej istocie przez Houzé'go – *Homo javanensis primigenius*, — nie zastąpiła nadanej jej poprzednio przez E. Dubois. I ta istota jako *Pithecanthropus erectus* pozostała, przynajmniej dotychczas, w nauce.

---

[1]) Przypominamy, że na 21 — czterech w zębie trzonowym trzecim upatrywało ząb ludzki, trzynastu w kości udowej — ludzką, sześciu w czaszce — ludzką.

Stosunek człowieka do świata zwierzęcego

w wieku kamiennym.

Rozpatrując nagromadzone w ostatnich kilku dziesiątkach lat po muzeach, wśród zabytków człowieka zwanego kopalnym, narzędzia jego, przedewszystkiem zadziwieni, wkrótce zaś nawet znużeni jesteśmy brakiem w nich rozmaitości. Wszystkie one bowiem przedstawiają właściwie to samo narzędzie w kilku tylko typach, oraz w rozmaitych odmianach, polegających bądź na różnicy w wymiarach i stopniu wykończenia, bądź też na zastosowaniu do różnych, wszakże do siebie zbliżonych, użytków. Narzędzia te przeto, jak z tego faktu wnosić możemy, były wszystkie skierowane do jednego celu i służyć tylko mogły przy jednakich zajęciach.

Ta okoliczność wymownie świadczy, że działalność ludzka podówczas zwróconą była na jeden wyłącznie przedmiot, że umysłowość człowieka rozwijała się w jednej sferze pomysłów, które wymagały jednakich środków pomocniczych do wykonania.

Poznanie tego jedynego przedmiotu działalności ludzkiej, oraz wniknięcie w sferę tych pomysłów przedstawiają nam człowieka, jakim on był na początku swego istnienia. Kwestye te przeto nie mogą być obce i nie powinny być obojętne zarówno dla antropologa i etnografa, jak dla socyologa i nawet historyka.

Otóż tym wyłącznym przedmiotem działalności człowieka był świat zwierzęcy. Pomysły, tworzące jedyną sferę umysłowości ludzkiej, skierowane były ku obronie od zwierząt lub napaści na nie, ku uśmierceniu zwierzęcia, lub opano-

waniu go, ku zużytkowaniu jego mięsa, kości, oraz skóry; skierowane były do zrobienia z nadającego się ku temu zwierzęcia wykonawcy woli człowieka, jego narzędzia żywego, stróża, pomocnika, towarzysza.

Myśl ludzka, nawet wkraczając na swobodne pole wyobraźni, poza obrąb świata zwierzęcego wyjść nie zdołała. Pierwotni nasi artyści wyłącznie tylko podobiznami zwierząt ozdabiali przedmioty, służące do codziennego użytku, gdy rozwój umysłowy i zaspokojenie potrzeb bieżących na to przyozdabianie pozwalały. W zwierzętach przytem człowiek szukał symbolu dla wyrażenia złożonego już, lub oderwanego pojęcia, gdy owo pojęcie zapragnął utrwalić i dla nauki innych przechować.

Przy takim stanie rzeczy, rozwój kultury ludzkiej polegał pierwotnie na przeistaczaniu się powolnem człowieka, w stosunku do zwierząt, z niewolnika ich na ich władcę. Od przeistoczenia się tego zależała całkowicie rola jego przyszła na ziemi. Tylko tak przeistoczony człowiek stał się nakoniec królem stworzenia, jak go filozofowie i poeci radzi nazywają.

W taki przeto sposób stosunek człowieka do świata zwierzęcego zapełnia całkowicie pierwszą kartę w historyi kultury ludzkiej. Długo jednakże ta karta pozostawała nieznaną, pustą i, co gorsza, zapełnianą baśniami, powstałemi z legend przeróżnych. Dopiero współczesne odkrycia i badania naukowe pozwalają zapełnić ją faktami i wnioskami, opartemi na faktach.

Poznajmy przeto, jak je zapełniają.

I.

Dowody istnienia człowieka w czasach przedhistorycznych są dwojakie: bezpośrednie — kości ludzkie, i pośrednie — przedmioty, noszące na sobie ślady jego działalności. Mogą to być przeto narzędzia przez niego wyrobione, oraz przedmioty, na których te narzędzia w rozmaitych celach spoczęły i do których się dotykały.

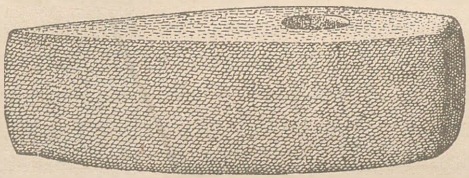
Z natury rzeczy wypływa, że liczba dowodów pośrednich przewyższa, i to bardzo znacznie, liczbę dowodów bezpośrednich. Działalność ludzka wytwarza kulturę. Ślady przeto

tej działalności przechowują się tak długo, jak długo istnieje sama kultura. Przechowanie się zaś kości ludzkich zależy zupełnie od przypadku.

Materyału na narzędzia dostarczały człowiekowi: drzewo, kamienie i metale. Wyroby z drzewa, wskutek właściwości samego materyału, długo przechowywać się nie mogły. Pozostały tylko z czasów odległych narzędzia kamienne i metalowe. W miarę jak wychodziły z użycia, narzędzia te budziły zaciekawienie i podziw. Zbierano je więc i przechowywano.

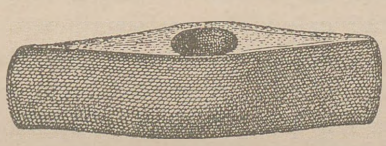
Narzędzia metalowe, jakkolwiek pochodzące z bardzo odległych czasów, były zawsze zbliżone materyałem, kształtami i celem do używanych stale w czasach historycznych. Co do pochodzenia ich przeto nie powstawały żadne wątpliwości. Inaczej z kamiennemi.

Narzędzia kamienne człowieka przedhistorycznego, które w czasach historycznych bądź przechowywano po



21. Siekiera kamienna. Pochodzi z Danii. Muzeum Saint-Germain, Nr. 278 (1/3 wielkości naturalnej).

zbiorach, bądź też znajdowano pod ziemią w niewielkiej głębokości, przedstawiały jeden typ siekierki, lub młotka



22. Siekiera kamienna, o podwójnym ostrzu. Pochodzi z Francyi. Zbiory Fillona, w Lacourt (1/2 wielkości naturalnej).

(fig. 21 i 22). Wyrób ich był staranny, powierzchnia gładka, zakończenia regularne. Pochodzenie ich, nie przypuszczając rzeczywistego, przypisywano rzeczy sobie nieznanej, a miano-

wicie piorunom. Miały one spadać jedne z nieba przy uderzeniu, inne zaś powstawać w ziemi wskutek uderzenia. We wszystkich przeto językach, począwszy od greckiego i łaciny *(lapides fulminis, cerauniae gemmae)*, nosiły one nazwy kamieni, lub strzał piorunowych, i, według ogólnie przyjętych wierzeń, posiadały moc czarodziejską.

Dopiero w XVIII stuleciu zaczęto domyślać się rzeczywistego pochodzenia tych narzędzi. W 1793 roku Jussieu przedstawił Akademii Nauk w Paryżu rozprawę *De l'origine et des usages de la pierre de foudre*, w której powołując się na byt dzikich mieszkańców poznawanych podówczas krajów i wysp, udowadnia, że mniemane owe strzały piorunowe są robotą człowieka, wskazuje sposób ich wyrabiania, objaśnia cel. We dwa lata później Mahudel poparł w Akademii spostrzeżenia Jussieu w rozprawie: *Sur les prétendues pierres de foudre.*

Raz postawiona na gruncie właściwym kwestya już się rozwijać mogła prawidłowo. Na początku bieżącego stulecia badania zabytków człowieka przedhistorycznego doprowadziły historyka duńskiego Vedel-Simonsena do wniosku, że Skandynawowie pierwotni używali na narzędzia początkowo tylko kamienia, gdyż jeszcze metalów nie znali. On to pierwszy historyę cywilizacyi podzielił na trzy różne wieki: kamienny, bronzowy i żelazny [1]). Podział ten został następnie przez wszystkich historyków przyjęty i rozpowszechniony.

Umieszczenie wieku kamiennego w odleglejszej niż obu metalowych przeszłości skierowało poszukiwania na prawdziwą drogę. Wywołana przez naukę z zamierzchłej przeszłości postać człowieka, używającego tylko narzędzi kamiennych, jako cień prześladować zaczęła umysły wrażliwsze. Uznana ważność wyrobów kamiennych skłaniała do poszukiwania ich po wszelkich krajach, we wszystkich częściach świata. Przetrząsanie znanych jaskiń, wynajdowanie nowych, rozkopywanie rozmaitych miejscowości, noszących ślady pobytu ludzkiego, weszło na porządek dzienny.

---

[1]) *Udsigt over Nationalhistoriens oeldste og moerkeligste Perioder* (Pogląd na okresy najstarsze i najbardziej zwracające uwagę dziejów narodowych). 1813, p. 76.

Nadto poszukiwaniom tym sprzyjały okoliczności. Rozpoczęte we środku bieżącego stulecia roboty ziemne, przy układaniu dróg żelaznych i regulowaniu brzegów rzecznych, prowadzone były na znacznej nieraz głębokości. Odkrycia więc kości zwierzęcych, narzędzi, a nawet kości ludzkich następowały jedno po drugiem. Natrafiano nawet na tak zwane stacye przedhistoryczne, gdzie kości zwierzęce i ludzkie, z narzędziami razem złożone, świadczyły o swojej współczesności.



23. Narzędzie kamienne z czwartorzędowego okresu, doby szelskiej. Pochodzi z Francyi. Muzeum Broca (1/3 wielkości naturalnej).



24. Narzędzie kamienne z czwartorzędowego okresu, doby szelskiej. Pochodzi z Francyi. Zbiór Boucher de Perthes. Muz. Saint-Germain, Nr. 18,875 (1/3 wielkości natural.).

Narzędzia ludzkie, odkrywane podówczas, były wszelako różne od znanych poprzednio. Typ ich oraz użytek był wyraźnie ten sam, ale wyrób za to odmienny. Powierzchnia ich ostra, chropowata i zakończenia ząbkowate (fig. 23 i 24) wykazywały widocznie sposób, w jaki je ludzie wyrabiali. Otóż otrzymywano je za pomocą odtłukiwania części jednych od drugich. Stąd powstała nazwa wyrobów kamiennych łupanych.

Wobec narzędzi kamiennych dwojakiego wyrobu, z których jeden był dawniejszy od drugiego, wiek kamienny należało podzielić na dwa okresy archeologiczne: pierwszy, dawniejszy, paleolityczny, czyli kamienia łupanego, w którym ludzie otrzymywali narzędzia kamienne za pomocą łupania, i drugi, neolityczny, czyli kamienia gładzonego, z którego pochodziły narzędzia dawniej znane, gładkie, umiejętniej i staranniej wykończone.

Okres neolityczny stanowi czasy pośrednie pomiędzy okresem paleolitycznym a wiekiem bronzowym, z którym w jednych krajach zlewa się nieznacznie, w innych zaś ciągnie się współcześnie i w taki sposób łączy się z czasami już historycznemi. Okres paleolityczny, stykający się z okresem neolitycznym na schyłku swoim, sięga w przeszłość tak daleko, jak daleko odkryć można ślady istnienia człowieka na ziemi. Wskazanie, chociażby tylko w przybliżeniu, w przeszłości ziemi chwili rozpoczęcia się tego okresu będzie zarazem uznaniem istnienia podówczas na ziemi człowieka przedhistorycznego.

Sam fakt znalezienia narzędzia, lub kości zwierzęcej i ludzkiej w danym pokładzie, stanowiącym wiadomą formacyę w wiadomym okresie geologicznym, ostatecznie świadczył o czasie, z którego pochodził przedmiot znaleziony. Na tej zasadzie dawało się łatwo uporządkować, to jest ułożyć w porządku chronologicznym znajdowane zabytki człowieka i fauny, a również można było dochodzić ukazania się człowieka na ziemi. Należało jednak zwrócić się przedewszystkiem do geologii, a zwracając się, zarzucić dotychczasową miarę czasu, wziętą z historyi: epoki dziejowe, doby i okresy archeologiczne zastąpić okresami geologicznemi; tysiące lat zamienić na dziesiątki, lub setki tysięcy.

W roku 1847 Boucher de Perthes wystąpił z dowodami istnienia człowieka w czwartorzędowym okresie geologicznym. Wobec ogólnie panujących podówczas pojęć o pochodzeniu człowieka, opartych wyłącznie na mytach, dowody składane przez autora były przyjęte z niechęcią, jako szkodliwe tradycyom przez wieki uświęconym, z niedowierzaniem, jako zbyt pośpieszne i niestwierdzone jeszcze przez powszechnie uznane fakty. Wkrótce atoli K. Lyell niezbitą

swą w geologii powagą zaregestrował w nauce, niby w aktach stanu cywilnego, istnienie człowieka czwartorzędowego.

Zaledwo umysły ludzkie zaczęły się powoli godzić z faktami, a wyobraźnia przyzwyczajać do nowych, nie objętych latami przestworów czasu, gdy nowe odkrycia na nowo rozbudziły walkę o starożytność człowieka na ziemi.

W roku 1863 T. Desnoyers, bibliotekarz Muzeum paryskiego, złożył Akademii Francuskiej memoryał zatytułowany: *Notes sur les indices matériels de la coexistence de l'homme avec Elephas meridionalis.*

We Francyi, w okolicy Chartres, pod St. Prest są znane bogate pokłady piasku i żwiru, należące do formacyi pliocenicznej okresu trzeciorzędowego. W pokładach tych znajdują się obficie kości zwierząt, również znamionujących okres trzeciorzędowy. Desnoyers na bardzo licznych tych kościach odkrywał rowki i rysy, powstałe najwyraźniej wskutek działania na nie twardszego od nich ciała. Bliższe przypatrzenie się rozmiarom i kierunkowi tych znaków pozwoliło mu podzielić je, ze względu na przyczyny, z których powstać mogły, na dwie kategorye. Jedną kategoryę rysów i rowków przypisał ocieraniu się kości o ostre kamienie, gdy je razem z kamieniami unosił bystry prąd wody; ale znaki, tworzące drugą kategoryę, mogły, według niego, być zrobione tylko przez człowieka jakiemś ostrem narzędziem.

Otóż te znaki na kościach zwierząt z okresu trzeciorzędowego, wydobytych z pokładów formacyi trzeciorzędowej, świadczyć były powinny o istnieniu człowieka współcześnie ze słoniem południowym.

W cztery lata później, na kongresie archeologicznym w Paryżu, ks. Bourgeois z Pontlevoy przedstawił memoryał pod tytułem: *Étude sur les silex travaillés trouvés dans les depôts tertiaires*, oraz kilkanaście okazów krzemieni, które był znalazł pod Thenay (dep. Loir-et-Cher) w warstwach wapienia, stanowiących dolne pokłady miocenu.

Wielce ciekawy przedstawiają widok te okazy. Odłupanie części niektórych, jakoby dla zastosowania bryły kamienia do danego celu, jest widoczne. Ale zarazem spotyka się na nich ślad drugiego czynnika, oprócz przypuszczalnej ręki ludzkiej. Drugim tym czynnikiem był ogień.

Dowodzi tego popękanie nieobrobionej powierzchni krzemienia (patrz fig. 3, 4 i 5). Więc człowiek, znając już ogień, umiejąc go rozniecać, korzystał z niego; by ułatwić sobie wyrób narzędzia, rozpalał krzemień aż do popękania i rozpadnięcia się, i dopiero wtedy go obrabiał, stosownie do użytku, na jaki przeznaczał.

Odkrycia Desnoyers'a i Bourgeois'a zostały wkrótce uzupełnione i wyjaśnione innemi, co się okazało do podtrzymania kwestyi nieodzownem. Zarzucano bowiem odkrywcom niedość ścisłe zbadanie pokładów, z których wydostali przedmioty; przedmiotom zaś brak zupełnie wyraźnych śladów ręki ludzkiej.

W 1871 roku inżynier Carlos Ribeiro przedstawił Akademii Lizbońskiej znalezione przez siebie narzędzia krzemienne i kwarcytowe pod Otta, w pokładach miocenu górnego (patrz fig. 6, 7, 8 i 9). W r. 1875 profesor geologii na uniwersytecie bolońskim, Capellini, pod Monte-Aperto, w okolicy Sienny, wydobył z marglu błękitnego pokładów pliocenicznych kości wieloryba z rodzaju Balaenotus z nacięciami jeszcze bardziej charakterystycznemi niż dotychczas znane (p. fig. 1 i 2). W r. 1877 B. Rames, znany geolog, również w pokładach miocenu górnego, jak Ribeiro, znalazł pod Puy Courny w okolicy Aurillac'u narzędzia krzemienne (patrz fig. 16, 17, 18 i 19).

Gdy Desnoyers, Capellini i inni szczęśliwi znalazcy przedstawiali kości z nacięciami, przypisywanemi rękom ludzkim, podnosiły się głosy: a gdzież są narzędzia, któremi człowiek dokonywał tych nacięć? Gdy Bourgeois, Ribeiro, Rames przedstawiali narzędzia, podniosły się głosy: jeżeli kości tylu zwierząt, istniejących w tym okresie, mogły się przechować, przechowałyby się bez wątpienia i kości człowieka, gdyby istniał.

Nakoniec znalazły się i kości.

W 1880 r. profesor Ragazzoni na pochyłości wzgórza Castenedolo, w okolicy Brescii, odkrył w pokładach pliocenu dolnego kości czworga ludzi: mężczyzny, kobiety i dwojga dzieci. Szkielet kobiecy znajdował się całkowity na miejscu; kości innych były rozrzucone na dość znacznej przestrzeni. Ta właśnie okoliczność naprowadziła na różne domysły, które wzbudziły powątpiewanie co do współczesności resztek

ludzkich z pokładem ziemi i wywołały długą i zażartą polemikę.

Przeciwnicy istnienia człowieka w okresie trzeciorzędowym dwa przedstawiają obozy.

Jedni, podnosząc zupełnie inne, a dokładnie nawet, według nich, nieznane warunki geograficzne i klimatyczne całej powierzchni ziemi, twierdzą, że istnienie człowieka w tak odległej, mierzonej setkami tysięcy lat, przeszłości, a nadto w warunkach tak odmiennych i nieokreślonych dotychczas, nie daje się pojąć myślą, przedstawić wyobraźnią, ani też pogodzić ze znanemi wogóle wymaganiami bytu ludzkiego, a więc, jako niemożliwe, nie miało miejsca. Dla tych przeciwników nie istnieją żadne dowody, gdyż sam fakt odrzucają *à priori*.

Drudzy liczą się zupełnie z dowodami i przyznają im wszelką autentyczność; zgadzając się wszelako, że krzemienie celowo były obrabiane i kości rzeczywiście narzynane, przeczą, by dokonał tego człowiek. Działacz ów był istotą rozumną, zdolną powziąć zamiary, obmyślić środki ich wykonania, ale nie był człowiekiem, tylko jego bezpośrednim poprzednikiem.

A. de Quatrefages stale brał udział we wszystkiem, co się ściągało do człowieka trzeciorzędowego: zabierał głos w polemikach, wywołanych jego istnieniem, uczestniczył we wszystkich komisyach, badających kwestyę istnienia na kongresach archeologicznych i sprawdzających odkrycia na miejscu. Wyznając ciągle, że nauka w teoryi nic nie może zarzucać istnieniu człowieka w okresie trzeciorzędowym, badał dowody, jedne uznawał, inne odrzucał, i nakoniec w ostatniem swem dziele: *Histoire Générale des Races Humaines*, jeszcze raz rozpatrzywszy wszystkie ślady istnienia człowieka w tym okresie, rozstrząsnąwszy wszystkie dowody za i przeciw, ostatecznie przyznaje współczesność kościom ludzkim z Castenedolo z pokładami ziemi i człowieka trzeciorzędowego w Europie wprowadza do nauki (p. 88 — 101 [1]).

[1]) Pytania, czy czaszka, znaleziona w Ameryce Południowej pod Pontimelo (Buenos-Ayres) przez Rotha, a w Północnej, w Kalifornii, przez Whitneya, i kilka innych, pochodzą z okresu trzeciorzędowego, jak twierdzą znalazcy, Quatrefages nie rozstrzyga stanowczo. Spór przeto o istnieniu człowieka trzeciorzędowego w Ameryce pozostaje, według niego, w zawieszeniu (l. c. p. 101 — 105).

Nadto Quatrefages stwierdza wielkie podobieństwo pomiędzy czaszką znalezioną pod Castenedolo (patrz fig. 10 i 11) a czaszką znalezioną w Canstadt, i na zasadzie tego podobieństwa utrzymuje, że tak zwana w paleontologii rasa kansztandzka przedstawiała właśnie w okresie trzeciorzędowym rodzaj ludzki, czyli, że człowiek trzeciorzędowy przechował się w rasie kansztadzkiej (p. 101).

Wobec tego archeologiczny okres paleolityczny obejmuje cały geologiczny okres czwartorzędowy i sięga w trzeciorzędowym formacyi miocenicznych.

II.

Europa z wyspy i archipelagu, czem była na początku okresu trzeciorzędowego, zetknąwszy się pod koniec jego z innemi masami lądowemi, staje się lądem stałym. Chociaż bowiem część jej południowo-wschodnia i północna, jak poprzednio, pokryte były falami mórz, zachodnia i południowa znacznie się wydłużają. Wynurzające się z otchłani mórz wyspy Brytańskie przylegały do Francyi, Hiszpania stykała się bezpośrednio z Marokiem, Włochy z Algierem przez Korsykę i Sycylię, a nawet może i z Tunisem. Obecne morze Egejskie przedstawiało usianą wzgórzami płaszczyznę lądową, która łączyła Grecyę z Azyą Mniejszą.

Klimat Europy całej był taki, jaki jest obecnie w krajach podzwrotnikowych, leżących między 25 a 30 stopniami szerokości; więc taki, jaki posiada Afryka północna i Arabia, Indye północne lub Meksyk. Klimat Islandyi opowiadał podówczas klimatowi Włoch południowych, klimat Grenlandyi klimatowi Francyi południowej.

Pierwszym wynikiem takiego klimatu była roślinność prawdziwie południowa, bogata gatunkami, bujna w swych okazach. W całej Europie rosły palmy w kilku odmianach, drzewo kamforowe, cynamonowe, paprocie zwrotnikowe, laury, mirty. Lignity islandzkie powstały z drzew tulipanowych, platanów, orzechów, cyprysów, krzewu winnego. W lignitach, wydobywanych na brzegach Baltyku, odkryto drzewo kamforowe i palmy; w lignitach z nad brzegu Renu, pod Bonn, mimozę i akacye. W Grenlandyi powstały po-

kłady całe z liści, owoców i pni drzewnych. Równie przeto bujną roślinnością pokryta była podówczas ta zamarzła dzisiaj ziemia, jak którakolwiekbądź z wysp polinezyjskich, uprzywilejowana obecnie od przyrody.

Roślinność, właściwa strefie umiarkowanej, urozmaicała nadto roślinność południową. Pod jedną szerokością, w jednym kraju rosły drzewa kamforowe i topole, brzozy, graby, jesiony; palmy splatały swe gałęzie z klonami, dębami i bukami.

Warunki istnienia podówczas ludzi mogły być takie, jakie są obecnie na wyspach oceanu Spokojnego. Człowiek nie miał, człowiek nie znał innych potrzeb oprócz tych, które bez jego pracy i starania zaspokajała sama przyroda. Pożywienia obficie mu dostarczała bogata i rozmaita roślinność. Uczucia chłodu nigdy nie doświadczał. Zima nie zapędzała go do jaskiń. Skwar słoneczny również mu nie dokuczał. Gorąco uśmierzane było wilgocią powietrza, sąsiedztwem wód. A przytem, czyż przed promieniami słońca, spędzającemi mu sen z powiek, członki znojnym potem oblewającemi, skryć się nie mógł w cieniu drzew wspaniałych, w gęstwinie lasów, ze wszech stron go otaczających?

Były atoli okoliczności, które człowieka trzeciorzędowego wyrywały ze spokojnej wegetacyi Oceańczyków, które go podniosły z czasem do stopnia kultury pierwotnej, a następnie wyrobiły z niego człowieka dziejowego.

Otaczał go świat zwierzęcy.

Okres trzeciorzędowy nosi jeszcze, oprócz powyższych, nazwę wieku zwierząt ssących. Albert Gaudry twierdzi, a twierdzenie jego uznaje świat naukowy, że pod koniec okresu mioceńskiego przypadał wielki rozwój zwierząt trawożernych, zarówno pod względem rozmaitości gatunków, jako też ilości i wielkości osobników, przedstawiających dany gatunek. Wskutek zaś takiego rozplenienia się trawożernych, mięsożerne dosięgły podówczas szczytu swej potęgi. A głównie żyły podówczas już zwierzęta, które łączą obecnie istniejące rodzaje i gatunki z wyłaniającemi się na początku owego okresu z gromady zwierząt ssących rodzinami.

Wspaniały obraz fauny trzeciorzędowej z formacyi mioceńskiej kreśli nam właśnie ów znakomity paleontolog w najnowszem swem dziele: *Les ancêtres de nos animaux*

dans les temps géologiques. Obraz ten posłuży za tło wierne dla postaci owoczesnego człowieka, a nadto poznamy w nim formy przejściowe tych zwierząt, z któremi następcy owego człowieka w przyszłości spotkać się i przebywać mieli.

Do odtworzenia tego obrazu dostarczył autorowi materyału wielce obfity pokład kości zwierzęcych, odkryty w Attyce, u podnóża Penteliku, pod wioską Pikermi.

»Krajobraz grecki był ożywiony przez zwierzęta ssące najbardziej urozmaicone; tu nosorożce dwojakiego gatunku (Rhinoceros Schleiermacheri i R. pachygnathus) i dziki olbrzymie (Sus erymanthius); tam małpy (Mesopithecus Pentelici) zwijają się wśród skał; albo mięsożerne z rodziny zybetów, kun, kotów (Ictitherium robustum, I. hipparionum, Promephitis, Simocyon, Machairodus i cztery inne jeszcze gatunki, zbliżone do lwów i panter) czyhają na swą zdobycz. Jaskinie marmurowe Penteliku dostarczały schronienia hyenom (Hyaenictis graeca, Hyena eximia), Hiparyony (Hipparion gracile), również jak i kwaggi i zebry afrykańskie w niezliczonych stadach przebiegały równinę. Niemniej rącze, lecz zgrabniejsze od nich antylopy tworzyły liczne gromady. Każda gromada przedstawiała odmienny gatunek, odznaczający się kształtem rogów (Palaeoreas, Antidorcas, Palaeoryx). Tragocerus miał rogi zbliżające się do kozich. Wyróżniał się także wśród antylop Palaeotragus postacią wysmukłą i wązką głową, na której wznosiły się rogi tuż nad oczyma. Helladotherium, o mniej wysokich niż żyrafa, lecz grubszych nogach, któremu podobnego zwierzęcia nie zna przyroda dzisiejsza, a któremu wielbłąd ustępowałby w sile, i Giraffa, zbliżona do żyrafy obecnie żyjącej, górowały wśród tych przeżuwających. Ancylotherium bezzębne, o zakrzywionych palcach, było również zwierzęciem pokaźnem. Ale najwspanialszem ze wszystkich ssących było Dinotherium, straszne zwierzę, którego wysokość do łopatek wynosiła $4^1/_2$ metra, król zwierząt owoczesnych. Jak uroczyście on się przedstawiał, gdy stąpał na czele dwu gatunków mastodonów (Mastodon Pentelici, M. turicensis), o zębach sęczkowatych i o zębach podobnych do zębów tapira. A zdala rozbrzmiewał ryk strasznego Machairodusa z kłami mającemi kształty sztyletów. Wiele innych jeszcze zwierząt, zwłaszcza z fauny drobnej, których małe i lekkie

kości wody porwały i uniosły, towarzyszyły tym olbrzymom. A głosy ich wszystkich łączyły się ze śpiewem ptaków nad niemi...

»Wielki rozwój trawożernych w czasach miocenu stanowi w historyi zwierząt ssących bardzo ważną epokę. Trawożerne żyją w gromadach. Chwila rozwinięcia się trawożernych jest chwilą pokazania się na ziemi stad... Trawożerne nadały polom i łąkom nowy wygląd. One to bowiem przedstawiały w owych czasach ten gwarliwy i ruchliwy świat zwierzęcy, tak różny od pogrążonych w milczeniu stworzeń z okresów poprzednich. Przytem pamiętać należy, że te zwierzęta są najpotężniejsze ze wszystkich stworzeń. Więc nietylko nadały więcej życia i ruchu światu zwierzęcemu, ale nadto ten świat przyozdobiły... (p. 86—89, 206—207).«

Grecya wcale nie przedstawiała podówczas wyjątku pod względem bogactwa fauny. Pokłady kości, odkryte we Francyi — pod Leberon, w Hiszpanii — pod Concud, w Niemczech — pod Eppelsheim, w Węgrzech — pod Baltawar, dowodzą, że takie same zwierzęta istniały i w tych krajach.

Gdzie tylko przeto udał się człowiek, wszędzie go otaczał bujny i liczny świat zwierzęcy, wśród którego on był upośledzony, słaby, bezbronny. Sam widok olbrzymich gruboskórnych już wzbudzał w nim instyktową obawę. Mięsożerne czyhały, by go pożreć. Rącze stada przeżuwających spędzały go z miejsc otwartych. Pierwszem uczuciem, jakie powstawało na widok zwierząt, była trwoga, uznanie swej bezsilności, bojaźń śmierci i kalectwa. Na tej podstawie tylko stosunek wrogi mógł się zawiązać. W zwierzętach człowiek pierwotny widział najniebezpieczniejsze dla siebie istoty, którym w razie możności tylko zło za zło oddawać należy.

Spędzany zewsząd, zawsze pierzchający i kryjący się, człowiek rzeczywisty zupełnie był różny w początkach swego istnienia od tego, jakim go nam myty przedstawiają. Jak długo czekać należało, by począł otaczającym go zwierzętom nadawać imiona!

W bezbronności swej wobec zwierząt chwycić musiał za kawałek kamienia. Jakkolwiek nędzny oręż był z tego kamienia w porównaniu do pazurów, rogów i kłów, jakkolwiek ten kamień z odłupanemi kilku odłamkami pozostał

jako przyrząd nieokreślonego użytku, wszelako był on już narzędziem, w którem w zarodku tkwiła strzała, kula i pocisk dynamitowy, działające na odległość; leżał młot, mający przekształcić powierzchnię ziemi; krył się batóg, czy też berło, kierujące wolą milionów.

Doszedłszy z czasem do tego, by kamieniowi nadać ostrość pazura i śpiczastość kła, nauczył się człowiek korzystać z odniesionego nad zwierzęciem zwycięstwa i pożerał jego mięso. Jadło, zdobyte w obronie, zachęcać mogło do napaści. Z roślinożernego stawał się mięsożernym, a raczej wszystkożernym. Zdobyta umiejętność zabezpieczała go na przyszłe czasy. Bez niej w oczekujących go tylu zmianach klimatycznych istniećby nie mógł.

III.

Krzemienie, które, bacząc na cel wyrobu, nazywać możemy narzędziami człowieka trzeciorzędowego, bardziej świadczyć mogą o istnieniu jego wogóle, niż o zajęciach jego, niż o sposobach, któremi osiągał cele, do jakich te narzędzia przygotowywał. Kości zwierzęce, ze śladami na nich narzędzi, dowodzą tylko, że przylegające do nich mięso człowiek skrzętnie oskrobywał. Pozatem obszerne pozostaje pole do domysłów, opartych na mniej więcej ścisłej dedukcyi, tembardziej, że świat zwierzęcy, który otaczał człowieka, oraz warunki geograficzne i klimatyczne, wśród których ten człowiek istniał, nadają się szczególnie do wyobraźni.

Inaczej się rzecz przedstawia, gdy idzie o człowieka czwartorzędowego.

Możność ułożenia narzędzi, pochodzących z okresu czwartorzędowego, w porządku chronologicznym wykazuje zarówno postęp w obrabianiu przez człowieka tych narzędzi, jako też rozwijanie się stopniowe potrzeb człowieka i sposobów zaspokajania tych potrzeb.

W czwartorzędowym okresie geologicznym człowiek w Europie znalazł się w innem już otoczeniu zwierzęcem. Jedne ze znanych z poprzedniego okresu zwierząt wyginęły, inne przeniosły się w odpowiedniejsze warunki klimatyczne, inne nakoniec dały początek nowym rodzinom, lub też prze-

kształciły się tylko w nowe gatunki, bardziej zbliżone do istniejących obecnie.

Z mięsożernych przechowuje się jeszcze jakiś Machairodus. Hyeny: pręgowata, jaskiniowa i plamista zastępują Ictitheriumy różne i hyenę ogromną (H. eximia). Wyosobniają się psy (Canidae): wilk, lis, lis polarny; dalej koty (Felidae): lew jaskiniowy, lew właściwy (Felis leo), pantera, kot serwalowy (Felis servaloides), ryś, żbik i kuny (Mastelinae): kuna leśna, kamionka, tchórz, łasica, jak również wydra, rosomak, borsuk. Występują niedźwiedzie (Ursidae): niedźwiedź jaskiniowy, niedźwiedź szary (Ursus ferox), niedźwiedź bury (Ursus arctos).

Z gruboskórnych: ginie Dinotherium, a mastodonów zastępują słonie: słoń starożytny (E. antiquus), słoń maltański, słoń afrykański, mamut (E. primigenius). Nosorożców z okresu poprzedniego (Rhinoceros Schleiermacheri i R. pachygnathus) zastępują: nosorożec Merka i nosorożec włochaty (R. tichorhinus). Zjawia się Elasmotherium Sibericum; zjawiają się hipopotamy (Hippopotamus amphibius i H. Pentlandi) i świnia (Sus scrofa). Hiparion gracile, ów potomek eoceńskiego Pachynolophusa i późniejszego Anchitherium, przekształca się w konia (Equus caballus, Equus minor).

Ze zwierząt przeżuwających antylopy pozostawiły gemzę (Antilope rupicapra) i suhaka (Cervicapra Saïga). Powstają inne dętorożce (Cavicornia): koziorożec, koza dzika, żubr starożytny (Bison priscus), tur starożytny (Taurus primigenius), tur długoczoły, owcowół piżmowy; powstają i pełnorożce (Cervidae): jeleń wielkorogi (Cervus megaceros), jeleń kanadyjski, jeleń (C. elaphus), ren, sarna [1]).

Liczne rodzaje skrobogryzów stanowią faunę drobną; tu należą: bóbr, świstak, suseł, zając, zając bielak (Lepus variabilis), piszczucha, leming, wiewiórka, koszatka, koszatka żołędna (Myoxus nitela), koszatka laskowa (M. avellanarius), mysz leśna, szczur wodny (Arvicola amphibius), szczur darniówka (A. terrestris), polnik (A. arvalis), polnik lodnikowy (A. nivalis), chomik.

[1]) Dowiedziona współczesność wielu zwierząt charakterystycznych w jednym czasie wpłynęła na zaniechanie dawniejszego podziału okresów geologicznych na podokresy, nazywane epokami różnych zwierząt, np. epoka mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego, rena i t. p.

Rozpatrzenie zwierząt czwartorzędowych wykazuje, że główna epoka rozwoju fauny minęła, że świat zwierzęcy zubożał i zdrobniał. Ale czy owo zubożenie i zdrobnienie było takie, by się mógł zawiązać inny stosunek pomiędzy człowiekiem a otaczającym go światem zwierzęcym, niż ten, jaki się zawiązał w okresie trzeciorzędowym? Czy mięsożerne mniej na niego czyhały i mniej go tępiły? Czyż gruboskórne i przeżuwające mniej go spędzały, lub łatwiej zabijać się dawały? Czyż drobna fauna była mniej dokuczliwą, lub trudniejszą stawała się zdobyczą?

Narzędzia człowieka czwartorzędowego dowodzą, że stosunek jego do zwierząt, jaki z konieczności rzeczy wynikł w okresie trzeciorzędowym, nietylko się nie zmienił, ale nawet, wskutek nowych warunków, znacznie się spotęgował. Z wroga biernego, potulnego, tchórzliwego, człowiek, udoskonalając swój oręż, stawał się wrogiem śmiałym, otwartym, zwycięskim. Zabijał zwierzę nastające na jego życie, dla swej obrony. Zabijał je, by zyskać pożywienie, zabijał w celu okrycia się skórą, gdy go zmiany w klimacie do pozazdroszczenia zwierzęciu futra pobudziły i do przykrycia się niem zmusiły, a zarazem, by zdobyć w kościach i rogach zwierzęcia podatniejszy niż kamień materyał na swe narzędzia i oręż.

Archeologowie francuscy, a ich to głównie nazwiska na tem dotychczas spotykamy miejscu [1]), geologiczny okres czwartorzędowy dzielą pod względem archeologicznym na

---

[1]) Czy to z przyczyn, że Europa zachodnia bardziej niż inne jej części w odległych czasach przedhistorycznych była zaludnioną i wskutek tego więcej niż inne dostarcza zabytków człowieka kopalnego, czy też właściwościom umysłowym Francuzów odpowiadają studya, otwierające rozległe pole dla śmiałych wniosków i dalekich wywodów; w każdym jednak razie, paleontologia im głównie zawdzięcza zarówno najważniejsze odkrycia, jako też najbogatszą obecnie literaturę przedmiotu. Dość jest wspomnieć na dowód klasyczne prace A. Gaudry: *Les Enchainements du monde animal dans le temps géologiques;* Saporty: *Le Monde des plantes avant l'apparition de l'homme;* G. de Mortilleta: *Le Préhistorique. Antiquité de l'homme;* tegoż: *Musée préhistorique* (1269 ilustracyi); nakoniec choćby wydawnictwo rozpoczęte w roku 1865 p. t.: *Matériaux pour l'histoire primitive et naturelle de l'homme,* zlane w 1890 r. z *Revue d'Antropologie,* i E. Carthailhaca: *La France préhistorique.* Wydawnictwa te otwierają drogę do nauki.

cztery doby. Podział ten opierają zarówno na typach przejściowych w rozwoju jednego narzędzia, jak na powstawaniu nowych narzędzi z typu dawnego. Nazwę zaś dobom i typom nadają od nazw miejscowości, gdzie się znajdują stacye przedhistoryczne, dostarczające tych typowych narzędzi [1]).

Taki podział, oparty na udoskonalaniu narzędzi pierwotnych, przedstawiając główne stopnie tego udoskonalania, najlepiej odpowiada poznaniu stosunku człowieka do zwie-



25, 26. Narzędzia kamienne z czwartorzędowego okresu, doby szelskiej. Pochodzą z Francyi. Muzeum Saint-Germain. Nr. 15,232 i Nr. 23,071 (obadwa $^1/_2$ wielkości naturalnej).

rzęcia, gdyż tak udoskonalane narzędzia, jak wiemy, były tylko na zwierzęta, lub z nich otrzymywane materyały zwrócone [2]).

Wszystkie narzędzia człowieka czwartorzędowego pochodzą z rozwinięcia celowego, oraz coraz szerszego do

---

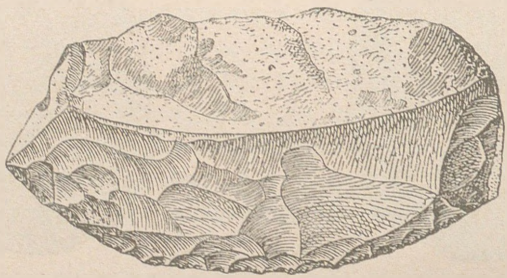
[1]) Takie stacye znajdują się: pod Chelles w dep. Seine-et-Marne; pod Moustiers, w dep. Dordogne; pod Solutré, w dep. Saône-et-Loire; pod Madeleine, w dep. Dordogne. Doby więc noszą nazwy: Szelska, Mustyerska, Solutreńska i Magdaleńska.

[2]) Mówiąc to, wcale jednakże nie wyłączam możności walk pomiędzy ludźmi i wzajemnego tępienia się. Na zwierzęta powstały oręż mógł być i na człowieka również dobrze zwrócony.

powstających potrzeb zastosowywania narzędzia człowieka trzeciorzędowego.

Owo pierwotne odłupanie kilku odłamków miało na celu zaostrzenie kamienia i zarazem zrobienie go bardziej chwytliwym. Uzbrajał on rękę ludzką, nadając jej więcej twardości i jakby zaostrzenie kończynom, odpowiadające pazurom u zwierząt. Taki kamień atoli tylko potęgował siłę uderzenia i drapał powierzchnię, lecz nie wchodził w głąb ciała, jak rzeczywisty pazur, ząb, lub kieł zwierzęcia.

Natura była mistrzynią człowieka. Spostrzegł on na innych, a na sobie doświadczył działania kła i pazura. Aby taki kamień mógł wejść w mięso, przebić skórę, należało go zrobić bardziej cienkim, a więc z obu stron obciosać, należało nadto go naostrzyć.



27. Narzędzie kamienne, skrobaczka, z czwartorzędowego okresu, doby mustyerskiej. Pochodzi z Francyi. Muzeum Saint-Germain. Nr. 18,340 (wielkość naturalna).

Otóż w dobie pierwszej, szelskiej, jedno tylko było znane narzędzie: kamień owalny, kształtem do migdała zbliżony, po obu stronach obciosany, ku wierzchołkowi zwężany, ostrzem zakończony. Długość tych kamieni była rozmaita, od 60 do 300, szerokość od 40 do 130 milimetrów (fig. 23, 24, 25, i 26).

Doba druga, mustyerska, przedstawia oprócz takiego narzędzia jeszcze inne, zastosowane do skrobania skór przy wyprawianiu ich na odzież; zwą je skrobaczką (fig. 27).

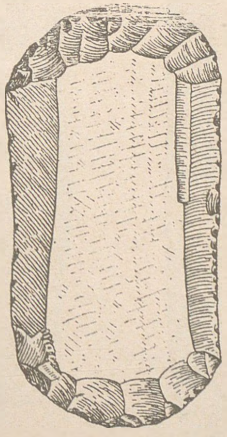
W dobie trzeciej, solutreńskiej, pierwotne narzędzie przechodzi w nowy typ. Ażeby mogło bardziej zagłębiać się w mięso, zostaje zwężone, wydłużone, spłaszczone i gładziej

obrobione. Kształtem więc zbliża się do liścia laurowego. Zaostrzenie z obu końców wnosić pozwala, że było już osadzane na drzewcu (fig. 28). Osadzenie to wszakże nie było stałem. Kamień pozostawał w ranie zrobionej. Udoskonalenie skrobaczki polegało na obrobieniu jej do użytku i z przeciwległej strony (fig. 29).

W dobie czwartej, magdaleńskiej, obok narzędzi kamiennych ukazują się kościane i rogowe. Za kruchy do spłaszczenia lub wydłużenia ostrza kamień zastąpiony zo-



28. Ostrze kamienne, z czwartorzędowego okresu doby solutreńskiej. Pochodzi z Francyi. Muzeum Saint-Germain. Nr. 19,868 (1/2 wielkości naturalnej).



29. Narzędzie kamienne, skrobaczka podwójna, z czwartorzędowego okresu, doby solutreńskiej. Pochodzi z Francyi. Muz. Saint-Germain. Nr. 19,863 (wielk. natur.).

staje przez kość. Wtedy dopiero człowiek dochodzi do pierwowzoru oręża: kła lub pazura. Powstają ostrza kościane, długie do 180 milimetrów, na które, ponieważ są zbliżone do pocisków, używanych jeszcze obecnie przez dzikie ludy, przechodzi nazwa tych pocisków; były to więc sagaje. Ażeby takie ostrze z rany wyjść nie mogło, otrzymywało ono nacięcia na wzór krzywo osadzonych zębów. Były to więc harpuny (fig. 30 i 31). Liść laurowy przechodzi w sztylety kamienne. Skrobaczki w dalszym rozwoju stają się nożami, rylcami, dłótami. Ostrza, zastosowane do zszywania

naciętemi rzemieniami skór stają się szydłami i igłami (fig. 32 i 33 [1]).



30. Narzędzie kościane, dolna część ostra, ozdobiona rzeźbą, z czwartorzędowego okresu, doby magdaleńsk. Pochodzi z Francyi. Muzeum Saint-Germain. Nr. 8,176 (2/3 wielk. natur.).



31. Narzędzie kościane, harpun, z czwartorzędow. okresu, doby magdaleńskiej. Pochodzi z Francyi. Muz. Saint-Germ. Nr. 4,439 (2/3 wielkości naturalnej).

Zabijanie zwierząt w coraz bardziej udoskonalony i pewny sposób staje się sztuką, przemysłem, i przybrawszy charakter zaczepny, nosi nazwę polowania.

Rylec i dłóto w ręku artysty pokrywają kość rzeźbami. Polowanie dostarcza treści. Około trzystu takich rzeźb odnaleziono. Dają one pojęcie, jak polował człowiek czwartorzędowy w dobie magdaleńskiej.

G. de Mortillet, jeden z twórców paleoetnologii, w ostatniem swem dziele: *Origines de la Chasse, de la Pêche et de l'Agriculture,* w nader umiejętny i pouczający sposób objaśnia kilka scen myśliwskich, znanych z rzeźby.

Oto co mówi o sławnem polowaniu na żubra (fig. 34). Róg ten, poczytywany za buławę, był znaleziony przez Eliasza Massenat pod Laugerie-Basse i stanowi ozdobę jego bogatego zbioru.

„*Bison priscus* lub *europaeus*, samiec, przedstawiony w ucieczce na szerszej stronie rogu. Towarzyszy mu samica, ale ona nie mogła już stanąć na przodzie, zajętym całkowicie przez samca. Artysta przeto mieści ją na

[1]) Ściśle dokładny opis narzędzi człowieka z okresu czwartorzędowego znajduje się we wzmiankowenem dziele G. de Mortilleta: *Le préhistorique*, wizerunki zaś ich w *Musée préhistorique.*

odwrotnej stronie. Myśliwy, przedstawiony po tej stronie co samiec, na którego poluje — leży na brzuchu. Niektórzy twierdzą, że rzeźbiarz umieścił człowieka w takiem położeniu, ponieważ brakło mu miejsca na przedstawienie w innem. To możebne, ale nieprawdopodobne. Artysta bowiem mógł znaleźć kawał rogu dość szeroki, by postawić swojego człowieka. Nie uczynił tego i umyślnie pomieścił go w oberzniętej i zwężonej części. Przeto sądzić możemy, że jeśli on leży, to dlatego, że jest na czatach. Ukrył się, oczekując na zwierzę, którego dopędzićby nie mógł goniąc. Ręką prawą ciska on sagaję, czy też harpun w żubra, którego się, czatując, doczekał, a który uciekać poczyna. Że cisnął harpunem, wskazuje sznur obok człowieka.



32. Narzędzie kamienne, rylec, z czwartorzęd. okr. doby magdal. Pochodzi z Francyi. Muz. Saint-Germ. Nr. 22,623 (2/3 wielkości naturalnej)



32. Narzędzie kościane, igła, z czwartorzędowego okr., doby magdaleńskiej. Pochodzi z Francyi. Muzeum Saint-Germ. Nr. 15,192 (wielkość naturalna).

»Z tej sceny myśliwskiej łatwo jest wnioskować, że w dobie magdaleńskiej okresu paleolitycznego [1]) myśliwi czatowali na zwierza grubego, by je w przechodzie harpunować.

»Wierzchołki lub ostrza harpunów były zatrute. Ale niedość tego było człowiekowi. Zapewne trucizna nie była tak gwałtowna, jak wyrabiana obecnie przez ludy dzikie w klimacie gorącym. Aby zwierzę ranione nie mogło ujść daleko przed śmiercią, myśliwy zwykle celował w stawy kolanowe nogi, lub miejsce połączenia nogi z kadłubem (I, p. 83, 84)«.

---

[1]) Archeologiczny okres paleolityczny, według Mortilleta, obejmuje wyłącznie tylko czwartorzędowy okres geologiczny. Przyznając bowiem celowość w obrobieniu znajdowanych kamieni w trzeciorzędowym, w owej istocie, która je obrabiała, nie widzi wszakże człowieka, tylko jego poprzednika, którego nazywa *Antropopithèque (Le Préhistorique, XV).*

W taki sposób ranionego rena widzimy na innym obrazie (fig. 35)

Ów zaś człowiek, stojący obok dwu koni (fig. 36), z kijem w prawej ręce, na ramieniu opartym, według Mortilleta wskazuje, że oprócz kamieni człowiek pierwotny używał jeszcze drzewa na oręż. Ten kij ma to być maczuga (ibidem).

Doba magdaleńska [1]) zamyka okres paleolityczny, i jakkolwiek pod pewnemi względami, mianowicie narzędzi, łączy się bezpośrednio z okresem neolitycznym, jednakże wielka różnica, zachodząca w ogólnym bycie człowieka, każe przypuszczać, że pomiędzy dwoma okresami wieku kamiennego upłynął jakiś znaczny przeciąg czasu, który jednakże pozostanie nieujętym w dziejach dla braku wszelkich zabytków z niego pochodzących.

IV.

Człowiek z okresu neolitycznego jest już innym pod względem kultury od człowieka z okresu paleolitycznego. Przeskok pomiędzy dwiema kulturami jest bardzo widoczny. Przedewszystkiem człowiek neolityczny buduje domy mieszkalne nad wodą i na miejscach suchych, piętrzy dolmeny, wznosi menhiry, układa kromlechy, zna garncarstwo.

Odpadki jego kuchni (Kjoekkenmoeddingi) i zabytki po nim, znajdowane zwłaszcza w mieszkaniach nawodnych (palafittach), dostarczają nowego materyału do poznania jego bytu. Rozpatrzenie tego materyału wykazuje, że czło-

---

[1]) Znaczna ilość wydobywanych u nas zabytków człowieka kopalnego i kości zwierzęcych, a zarazem talent i znajomość rzeczy pracowników na polu archeologii przedhistorycznej, pozwalają powziąć nadzieję, że ujrzymy z czasem systematycznie opracowany podręcznik paleoetnologiczny, którego wzór doskonały dał G. de Mortillet w *Préhistorique*.

Starożytność człowieka u nas w ten tylko sposób, sądzę, da się wyjaśnić i należycie przedstawić, jeśli do naszej przedhistorycznej epoki będzie zastosowany podział czasu, przyjęty przez badaczów na Zachodzie.

Naturalnie, nazwy nadawane dobom okresu czwartorzędowego, oraz typom narzędzi z nich pochodzącym, można zastąpić miejscowemi, jeśli na to pokusić się pozwolą same zabytki. Byleby tylko stosunek chronologiczny i — o ile się okaże możebną — synchroniczność ściśle oznaczyć.

wiek żywił się już owocami i zbożem, a przytem, nie przestając zajmować się myśliwstwem i rybołówstwem, był zarazem hodowcą zwierząt domowych.

Zmienił się przeto stosunek człowieka do świata zwierzęcego. Zmieniła się też i fauna. Zwyrodnienie w indywiduach i zubożenie w gatunkach jeszcze dalej zaszło niż w okresie poprzednim. Przyszły król stworzenia miał ułatwione sobie panowanie. O ile jednakże stosunek jego poprzedni, polegający wyłącznie na tępieniu, dopomógł ewolucyi naturalnej, trudno jeszcze orzec.

Z mięsożernych pozostały: niedźwiedź bury, ryś, żbik, wilk, lis, borsuk, rosomak, kuna, kamionka tchórz, wydra. Ukazuje się też i gronostaj.

Z gruboskórnych i jednokopytowych pozostają tylko: świnia, koń, ponej.



34. Człowiek polujący na żubra, rzeźba na kości, z czwartorzędowego okresu, doby magdaleńskiej. Zbiory E. Massenat ($^1/_6$ wielkości natur.).

Z przeżuwających jedne pozostają, inne zaś powstają. Pozostają: żubr starożytny, tur starożytny, jeleń, ren, sarna, kozica, koziorożec; zjawiają się: łoś, daniel.

Drobną faunę przedstawiają: bóbr, zając, bielak, szczur wodny, mysz leśna, jeż.

Narzędzia tępienia ciągle się wszelako rozwijały. Ów kij na obrazie, przedstawiającym scenę myśliwską z okresu poprzedniego, w którym Mortillet upatrywał maczugę, otrzymuje znaczne zgrubienie na końcu, które nadaje mu wygląd rzeczywistej maczugi. Jedne sagaje, przyczepione stale do drzewca długiego i grubego, tworzą ciężkie lance; inne zaś do lekkiego pręta – tworzą strzały, wyrzucane już cięciwą, napiętą na łuku. Wchodzą przytem w użycie proce, z których ciskane kamienie przybierały siłę kuli przy uderzeniu. Sztylety kamienne wskutek ulepszonego obrobienia zyskują

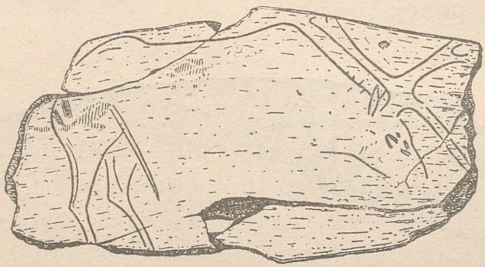
na ostrości i twardości. Młoty i siekiery niewiele ustępowały żelaznym (patrz fig. 21 i 22).

Jeśli przy tak pomyślnem tępieniu zwierząt człowiek wykazał siłę i odwagę, to przy hodowaniu, przetwarzając zwierzę na swego sługę, dowodził wielkiej przezorności i zręczności.

Ze zwierząt domowych obecnie, w okresie neolitycznym były już znane jako domowe: świnia, wół, koza, pies.

Im większe nastąpiło zbliżenie się zwierzęcia do człowieka, tem się bardziej w zwierzętach domowych zacierało pochodzenie.

Pomiędzy Sus erymanthius z Pikermi i Sus major z Leberon a naszą świnią domową A. Gaudry mieści: Sus



35. Ren raniony, rzeźba na kości, z czwartorzędowego okresu, doby magdaleńskiej. Zbiory E. Douliot. Muzeum Saint-Germain. Nr. 21,563 (wielkość naturalna).

provincialis i Sus arvernensis z pliocenu, Sus scrofa z okresu czwartorzędowego.

W sprzeczności z przyrodnikami, którzy wołu naszego wyprowadzają od zaginionego tura starożytnego (Taurus primigenius), G. de Mortillet przodków jego w prostej linii widzi w turze długoczołowym (Taurus longifrons), który, wskutek swych rogów krótkich, nosił jeszcze nazwę Brachyceros.

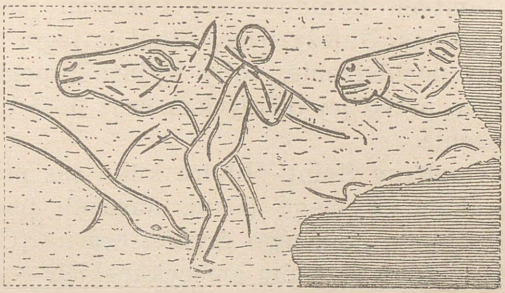
Kozę domową wyprowadzają jedni od kozła skalnego, który w Alpach nosi nazwę Ibex Alpinus, w Pirenejach — Ibex Hispanus; inni zaś od Capra egagrus.

Rzecz się jednak zupełnie inaczej przedstawia, gdy idzie o psa.

Pies nie istniał w okresie paleolitycznym. Ale w okresie neolitycznym czy był dzikim jeszcze, czy też już udomowionym?

Najwcześniejsze kjoekkenmoeddingi duńskie już zawierają znaczną ilość kości psa i zarazem innych kanidów, np. wilka, a zwłaszcza lisa.

Gdy w r. 1869 na międzynarodowym zjeździe antropologów i paleontologów w Kopenhadze, znakomity archeolog duński, Steenstrup, wykładał zebranym o wartości kjoekkenmoeddingu pod Sälager i rozwijał kwestyę przyswojenia psa, w taki mniej więcej sposób starał się dowieść jego udomowienia.



36. Człowiek z kijem na plecach, rzeźba na kości, z czwartorzędowego okresu, doby magdaleńskiej. Zbiory E. Lartet i Christy. Muz. S. Germain. Nr. 8,163 (wielkość naturalna).

Kości wszystkich zwierząt ssących, zarówno te, które pozostały całe, jak i rozbite przez człowieka w celu wyjęcia z nich szpiku, są do pewnego stopnia pogryzione przez zwierzę mięsożerne. Wszystkie części z nich miękkie i gąbkowate ubyły. Nawet ze szkieletów kości miększe i większa część żeber znikły... Nie jest to wcale rzeczą przypadkową, lecz ściśle systematyczną, i to nie w jakiejkolwiekbądź części tych odpadków, lecz w całej ich liczbie. Te kości ogryzać i stosowne części po człowieku dojadać mogło tylko zwierzę domowe. Tem zwierzęciem domowem, ciągłym towarzyszem człowieka, mógł być tylko pies, tembardziej, że ślady ogryzienia przez psa kości świeżych są zupełnie podobne do śladów na owych kościach.

Ponieważ pies nie istniał w okresie paleolitycznym, więc powstało zaraz pytanie: z jakiego gatunku kanidów pochodzi pies udomowiony? G. de Mortillet tak to pytanie rozstrząsa [1]):

Próbowano psa wyprowadzać od wilka. Trudno jednakże było udowodnić takie pochodzenie wobec różnicy w charakterze psa i wilka, oraz wstrętu ich wzajemnego do krzyżowania się. Próbowano wyprowadzić od lisa, ale to jeszcze trudniejszem się okazało. Oprócz bowiem jeszcze większej różnicy w charakterze i wzajemnego wstrętu do krzyżowania się, świadczy przeciwko temu wejrzenie u obu różne. Wyprowadzić psa od szakala zdawałoby się rzeczą najłatwiejszą, wskutek charakteru szakala bardziej towarzyskiego, niż tamtych kanidów; ale i szakali jest kilka gatunków, czy też ras. Należy więc, zdaniem jego, psom przypisać rozmaite pochodzenie, coby wyjaśnić mogło istnienie psa w Ameryce przed jej odkryciem, oraz ilość i rozmaitość ras psich obecnie.

Izydor Geoffroy Saint-Hilaire kilka ras psich wyprowadza od szakala zwykłego (Canis aureus); psa boszmeńskiego — od szakala mającego grzbiet czarny (Canis mesomelas); rasę domowych psów amerykańskich — od szakala stepowego (Canis cancrivorus); charta egipskiego — od Kaberu (Canis simensis).

Udomowienie innych zwierząt odbywało się w wieku bronzowym i żelaznym.

Wiek bronzowy i żelazny rozpoczynają czasy historyczne. Mogli więc w nich ludzie, wytępiwszy poprzednio jedne zwierzęta, a skłoniwszy inne do służby sobie, za pomocą właśnie tych samych zwierząt, a z orężem na nich wypróbowanym, rzucić się na siebie samych. Wszak dzieje powszechne, z pewnego rozpatrywane punktu, nie są niczem innem, tylko tępieniem ludzi przez ludzi.

---

[1]) *Origines de la Chasse, de la Pêche et de l'Agriculture. I, Chasse, Pêche, Domestication* (p 340).

Zachodzi tylko ta różnica, że przy tępieniu zwierząt, człowiek zabijał, raniąc ciało; tępiąc zaś ludzi, człowiek zabija w sposób dwojaki. Zabija, jak to był się nauczył, wprawił i przywykł zabijać zwierzęta, to jest niszcząc ciało, a oprócz tego, zabija – koszlawiąc i marnując umysł, wiedząc doskonale, że właśnie ów umysł jest tą potęgą, która, wytworzywszy człowiekowi wyjątkowe w przyrodzie stanowisko, w pracy dalszej nie ustaje.

PRZESZŁOŚĆ W TERAŹNIEJSZOŚCI

Zabytki megalityczne ludów pierwotnych.

Od czasu, kiedy człowiek pierwotny niespodziewanem a nagłem zjawieniem się wśród wytwornego, lecz o pochodzeniu swojem niepomnego społeczeństwa dziewiętnastego stulecia, jedne umysły przeraził, inne zaś zaciekawił i sam stał się przedmiotem stałych badań, powstały liczne kwestye, tyczące się już to czasu oraz warunków zewnętrznych jego istnienia, już to jego uzdolnienia i charakteru, wyglądu i sposobu życia. Rozwiązanie pierwszych zależnem zostało od geologii, rozwiązanie drugich od etnografii. W obu atoli wypadkach punktem wyjścia wszelakich dociekań pozostały zabytki po nim, dzieła rąk jego. Te zabytki są z jednego materyału: z kamienia. Czasy więc, w których żył człowiek pierwotny otrzymały nazwę wieku kamiennego.

Tożsamość atoli materyału nie stanowi tożsamości zabytków samych. Jedne z nich wielkością nie przechodzą palca u ręki; drugie dochodzą do współczesnych nam gmachów. Różność w rozmiarach tych zabytków odpowiada różnicy zaszłej w samym człowieku, który je wykonywał.

Jak różnym w rzeczy samej był ten człowiek, który piętrzył pod koniec wieku kamiennego kamień na kamieniu, lub bryły kamienne, kilkakrotnie przewyższające wzrost swój, wkopywał, by ustawić je pionowo w ziemię, od tego człowieka, który na początku tego wieku wyrabiać tylko potrafił ostrza kamienne! Nie mam tu wszakże na myśli wyłącznie tylko udoskonalenia technicznego, aczkolwiek ono było rzeczą nader ważną i poniekąd zasadniczą. Istotę bo-

wiem rzeczy stanowiąca różnica polegała jeszcze na czemś innem; a mianowicie, różnica leży w celach, jakie, wznosząc te zabytki, mieli ludzie pierwotni, i to zupełnie niezależnie od tego, co za cel tutaj uznać zechcemy i czy istotnie już dzisiaj odgadliśmy go ostatecznie.

Człowiek pierwotny, obrabiając oszczep kamienny, natychmiastową widział w pracy swej korzyść. Obrona od czyhającego nieprzyjaciela, powalenie wroga przy spotkaniu, zdobycie pożywienia i odzieży stanowiły owoce pracy i sowicie wynagradzały za trud poniesiony.

Człowiek pierwotny, wznosząc pomniki megalityczne, tej natychmiastowej korzyści, jako bodźca zachęcającego do pracy, już nie miał przed oczyma. Nie dość, że był on już technicznie do robót tego rodzaju przygotowany. Nie dość, że już żył w społeczeństwie, które zdołało wolę tysiąca i ręce tysiąca swych członków skierować do jednego przedsięwzięcia. Ten człowiek pojmował już, co jest przyszłość.

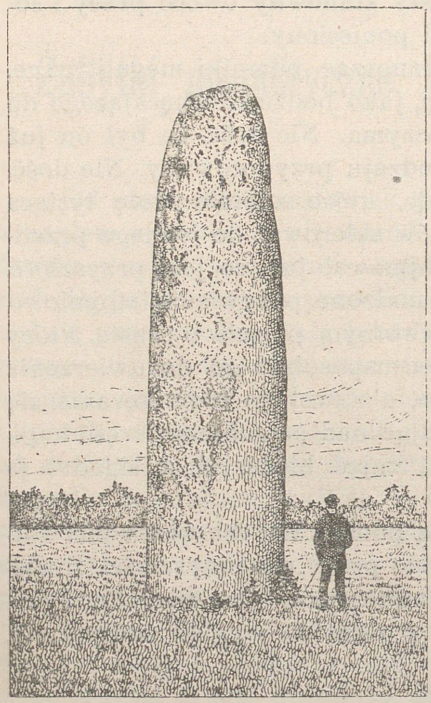
Na dzień następny gromadzone pożywienie, stopniowo rozwijając w człowieku pierwotnym pojęcie o czasie, który nań jutro oczekuje, nakoniec usposobiło go do uwierzenia w ten czas, do zajęcia się nim, a nawet do rozmiłowania się w nim. Odrywał więc, pracując nad megalitami, część kapitału, leżącego w pracy, od zajęć bieżących i składał ją przyszłości.

Zabytki megalityczne są pomnikami człowieka pierwotnego, który już uzdolnił się do pracy dla przyszłości. Z wielokrotnych przeto względów zaciekawić nas potrafią. Przedewszystkiem atoli uderza w nich ich wygląd zewnętrzny.

I.

Zabytki megalityczne człowieka pierwotnego stanowią pierwsze próby sztuki budownictwa. I w tym, jak i w każdym innym razie, mistrzynią jego była przyroda. Widząc pojedyńczo wznoszące się wzgórza, zapragnął i sam wznosić podobne. W tym celu gromadził rozmaitej wielkości bryły kamienne, układał je jedne na drugich i ziemią przykrywał. Gdzie kamieni nie było, ziemia mu wyłącznie służyła za materyał. Powstawały więc sztuczne wzgórza. W nauce są one znane pod łacińską nazwą tumulusów.

Nabyta przez człowieka pierwotnego wprawa w obchodzeniu się z bryłami kamiennemi, wywalczone sposoby sprowadzania ich na jedno miejsce, oraz podnoszenia do góry dla układania jednych na drugie, pozwoliły mu postąpić krok naprzód na tem polu. Zapragnął on tedy na wzór drzew stojących oddzielnie ustawiać kamienie. W tym celu część podłużnego głazu wkopywał w ziemię, pozostałą zaś na jej powierzchni wznosił pionowo. Następnie z takich pojedyńczo stojących kamieni ustawiał koła i kwadraty, lub też formował z nich długie szeregi do siebie równoległe. Pojedyńczo stojące kamienie noszą w nauce nazwę menhirów (fig. 37); grupy okrągłe lub kwadratowe menhirów — nazwę kromlechów. Szeregi równoległe menhirów — nazwę ulic kamiennych.



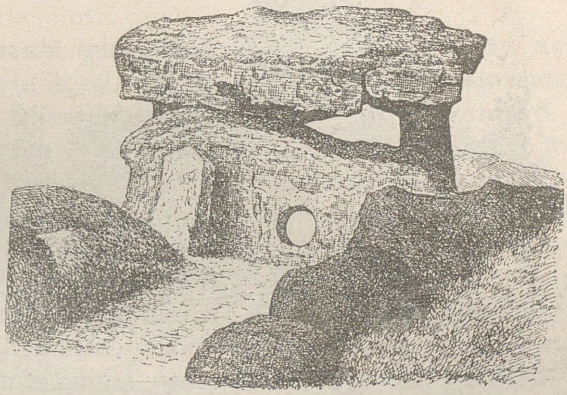
37. Menhir pod Cadiou (Finistère). Francya. Wysokość nad pow. ziemi 8 m. 50.

Umiejętność wydostawania z pokładów ziemi głazów kamiennych i ich ustawiania pionowego ułatwiła człowiekowi pierwotnemu dalszą pracę i zadania w sztuce budownictwa.

Znane były mu oddawna z wielkiej dla niego użyteczności groty i jaskinie. Uciekał do nich przed wrogiem napastującym, chronił się w nich przed burzą grożącą, ogrzewał się w chłodzie, ochładzał w spiece. Tam przechowywał zapasy pożywienia i odzieży; tam ukrywał narzędzia, oraz wszystko, co w oczach jego posiadało jakąkolwiek wartość. Naśladując więc co widział, zaczął sam tworzyć takie groty i jaskinie. W tym celu ustawiał pionowo, jedną obok drugiej, kilka, lub kilkanaście podłużnych brył kamiennych, formując z nich czworobok,

lub koło i przykrywał je jedną, lub kilku takiemiż bryłami, kształtem do płyt zbliżonemi. W taki sposób powstawały sztuczne groty. Ustawione w dwa szeregi równolegle w linii prostej, lub łamanej, takie głazy, poprzykrywane z wierzchu innemi, a zakończone grotą, tworzyły sztuczną jaskinię. W nauce sztuczne groty i jaskinie noszą nazwę dolmenów.

Ponieważ groty i jaskinie naturalne okazywały człowiekowi pierwotnemu nietylko taką usługę, że go chroniły od nieprzyjaciół, otaczając nieprzebitą i nieprzełamaną ścianą, lecz zarazem, skoro się w nich skrył, to niby tonął we wnętrznościach ziemi, ginął bowiem jego ślad przed nastającym na jego życie napastnikiem; usypywał on przeto



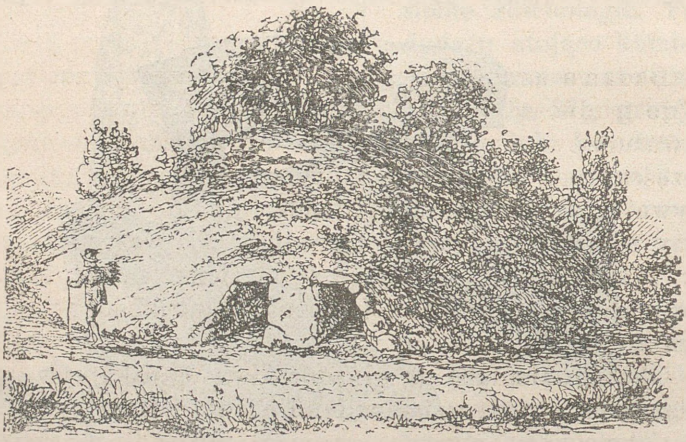
38. Dolmen odkryty z wywierconem wejściem okrągłem, z pod Trie (dep. Oise). Francya.

nad dolmenami wyniosłe wzgórza, a wejścia do nich zatarasowywał głazami, w których wywiercony otwór podłużny, lub okrągły, służył za jedyne wejście. Przezorność nakazywała i ów otwór starannie zamaskowywać. Zasłaniał go więc kamieniami, lub mieścił tam, gdzie go jak najmniej można było oczekiwać. Powstawał więc tą drogą drugi typ sztucznych wzgórzy (fig. 38, 39).

Dla zabezpieczenia od wpływów zewnętrznych, wody i powietrza, pokrywał on częstokroć wzgórza nad dolmenami usypane nieprzemakalnemi warstwami gliny, lub mułu morskiego. Owe nieprzemakalne warstwy pokrywające są znane pod nazwą kapturów.

Jeśli do usypywania wzgórza nad dolmenami użyte były wyłącznie drobne kamienie, wzgórza takie noszą nazwę galgali.

Aczkolwiek, wznosząc budowle megalityczne, człowiek pierwotny pracował dla przyszłości, nie w jego atoli leżało siłach, by je zabezpieczyć od wpływu wszystko niszczącego i, tylko w zniszczeniu, tworzącego czasu. Jedne sztuczne wzgórza, pokrywane przez niezliczone wieki warstwami roślinności, traciły ślad swego pochodzenia, inne przez szeregi późniejszych pokoleń pługiem zostały zrównane z ziemią. Wyniosłe menhiry obalały się; bryły, niegdyś groźne



39. Dolmen przykryty z dwoma wejściami. Dania.

swą wielkością, przez upadek roztrzaskiwane, przedstawiają się jak zwyczajne głazy. Kromlechy i ulice kamienne, stawszy się dla późniejszych budowniczych kopalniami kamienia, dostarczały materyału na nowe gmachy. W miejscowościach nadbrzeżnych fale morskie, zabierając ląd, niszczyły ślady pracy nieznanych pracowników. Obnażone przez wiatry i wody z pokrycia dolmeny fantastycznością swych kształtów budziły dziwne domysły co do swego przeznaczenia, tworzyły liczne legendy co do swego pochodzenia. Patrząc na ogrom brył na sobie spoczywających, a ułożonych widocznie czyjemiś rękami, ludy przypisywały układanie ich istotom nadprzyrodzozym, dyabłom i olbrzymom.

Bacząc na niszczące działanie czasu, wnioskować możemy, że tylko część zabytków megalitycznych przechować się mogła wogóle do naszych czasów [1]), a nadto, że tylko część tej części przechowała się w pierwotnej swej formie. Jednakże, pomimo to, jeszcze obecnie na tysiące te zabytki liczyć się dają. Zwrócona na nie przez naukę uwaga społeczeństwa przynajmniej obecnie powstrzymuje współzawodnictwo ludzi z czasem w ich niszczeniu [2]).

Poznanie miejscowości, w których pomniki megalityczne się znajdują, wykryje nam ogniska życia kulturowego wśród ludzi pierwotnych

II.

Badania archeologiczne z natury rzeczy nastręczają wielkie trudności. Nie w każdym nawet kraju mogą, wskutek warunków miejscowych, być prowadzone. A przytem, najczęściej odkryciami archeologicznemi rządzi traf, a dokonywają ich ludzie nie przygotowani do nich, bądź ze strony technicznej, bądź to naukowej. Nie wszystkie przeto lądy, znajdujące się na powierzchni ziemi, są wogóle zbadane pod względem archeologicznym, lub zbadane równomiernie.

Obecnie zbadane są głównie dwa ogniska cywilizacyi w bieżącym okresie dziejowym: Europa, zwłaszcza zachodnia, i Ameryka. Inne zaś kraje w pozostałych częściach świata o tyle, o ile w nich spokojnie pracować może światły Europejczyk. Więc jeszcze dalekim jest ten czas, jeżeli wogóle kiedykolwiek nastąpi, kiedy karty archeologiczne, nakreślone na podstawie studyów odpowiednich, pozwolą jednym

---

[1]) Do nazw wielu miejscowości w każdym kraju wchodzi wyraz kamień, chociaż ta miejscowość obecnie nie przedstawia żadnego kamienia. Nazwa ta przeto mogła powstać wówczas, gdy w niej wznosił się menhir.

[2]) W epoce zapanowania w Europie chrystyanizmu, legendy o pochodzeniu nadprzyrodzonem menhirów i dolmenów wzbudzały cześć dla tych zabytków w umysłach ludzkich. Otóż duchowieństwo i władza świecka pod jego wpływem wydały szereg rozporządzeń przeciwko kultowi kamieni. I tak: koncylium w Tours w r. 567 wzbrania wejścia do kościoła tym, którzy czczą kamienie. Koncylium w Nantes w r. 658 nakazuje zakopywać menhiry w głębokich jamach. Karol W. w r. 789 Edgar w w. X, Kanut w XI zabraniają kultu kamieni.

rzutem oka objąć na powierzchni ziemi wszystkie rodzaje zabytków człowieka przedhistorycznego, zarówno w Chinach i Syberyi, jak w Afryce, Australii i Ameryce południowej.

Otóż te dwa ogniska przedstawiają dwa różne rodzaje pomników megalitycznych: Ameryka północna usiana jest wzgórzami sztucznemi pierwszego typu; Europa zaś przechowała menhiry, kromlechy, dolmeny obnażone, lub pokryte, czyli wzgórza typu drugiego.

Wyrażenie: »Ameryka, usiana wzgórzami sztucznemi« — nie wyda się przesadnem, skoro dodam, że jeden tylko Stan Ohio, należący przytem do mniej rozległych wśród Stanów Zjednoczonych, posiada tych wzgórzy przeszło 10.000. W innym Stanie zachodnim, Washington, liczba ich również nie jest mniejsza. Są niemi przytem pokryte stepy w Utah i w Arizona, doliny wielkich rzek amerykańskich: Colorado, Mississippi i Missuri. Znajdują się nadto i w innych Stanach, na wschód i zachód od tych wielkich arteryi wodnych, na brzegach jezior, zwłaszcza Słonego i Ontario.

W języku angielskim sztuczne wzgórza noszą nazwę Mounds.

Tysiące sztucznych wzgórzy amerykańskich przedstawiają wielką rozmaitość co do rozmiarów. Wysokość jednych nie przechodzi jednego metra, innych zaś sięga do 20 metrów. Obwód podstawy, będąc zastosowany do wysokości, także bywa różny. Średnica obwodu od jednego metra do kilkuset dochodzi.

Równąż rozmaitość znajdujemy w ich rozkładzie. Jedne są usypane na wierzchołkach gór, inne rozrzucone bez żadnego planu widocznego po równinach na przestrzeni kilkunastu mil, jeszcze inne formują rozmaite figury geometryczne i częstokroć są objęte wałem usypanym, lub wznoszą się samotnie na płaszczyźnie otwartej.

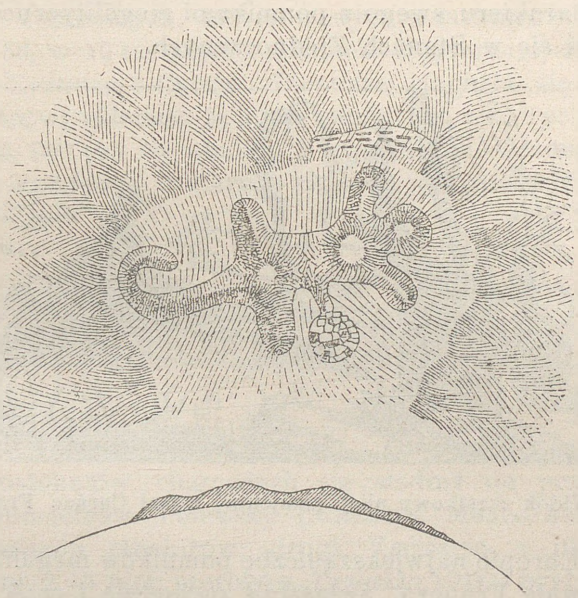
Rozmaitości rozmiarów i układu odpowiadają kształty pojedyńczych wzgórzy: bywają one okrągłe, podłużne, trójkątne, kwadratowe i wielokątne.

Niedość wszelako tego.

Te same przyczyny, albo raczej ten sam kierunek wyobraźni, pod którego wpływem człowiek pierwotny zaczął ozdabianie swych narzędzi od wyrzynania na nich zwierząt i ludzi, nie mniej silnie oddziaływał i na pierwotnych budow-

niczych. Liczne wzgórza przedstawiają kształty zwierząt czworonożnych, ptaków, płazów, lub nawet ludzi, czyli inaczej, postaci zwierząt, ptaków, płazów i ludzi są na odpowiedniej przestrzeni usypywane z ziemi.

I tak: w Stanie Wisconsin w jednej grupie sztucznych wzgórzy dwa przedstawiają jaszczurki, cztery są podłużne, siedem zaś ma postać żółwi, z których jeden ma długość 135 metrów. Inna grupa wzgórzy wyobraża zwierzęta czworonożne, bawoły, lub pumy. Uderza również ptak, którego rozpostarte skrzydła na 30 metrów pokrywają prze-

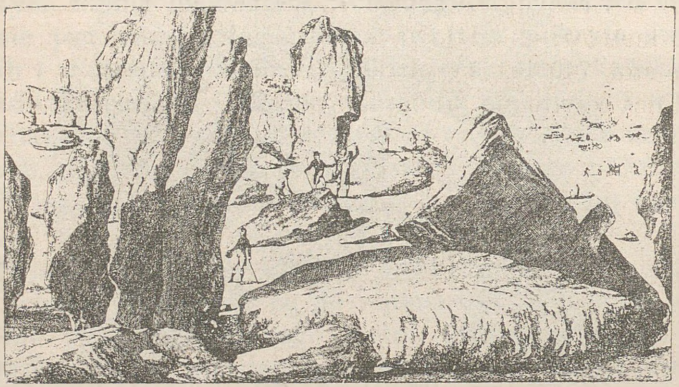


40. Sztuczne wzgórze w postaci aligatora, oraz jego przecięcie. Ameryka północna.

strzeń. O mil kilka od połączenia rzeki Wisconsin z Mississippi sztuczne wzgórze wyobraża mastodonta. Uderza w nim ścisłość w zachowaniu proporcyi członków zwierzęcia do całości. W Stanie Ohio pod Granville jest usypany aligator (fig. 40). Długość jego tułowiu wynosi 80 metrów. Każda z rozciągniętych łap ma długość 12 metrów. Tamże usypany na pagórku pod Brush Creek wąż zwinięty, gdyby się rozprostował i wyciągnął, byłby długi 300 metrów. W Stanie Georgia, w hrabstwie Putnam, niektóre wzgórza mają postać ptaków, jak wzgórze ze Stanu Wisconsin.

Sztuczne wzgórza, przedstawiające człowieka, naprzykład w Stanie Wisconsin, są ułożone z oddzielnych, ale z sobą połączonych, okrągłych i podługowatych nasypów, odpowiadających co do szerokości i długości zasadniczym konturom głowy, rąk, tułowiu i nóg ludzkich.

Odnajdowane na pozostałym zewnątrz granic Stanów Zjednoczonych lądzie Ameryki północnej i w Ameryce południowej pomniki megalityczne człowieka pierwotnego, jak oto: wielkie proboscidy na Jukatanie, lub wzgórza sztuczne w Brazylii, w Urugwaju i Argentynie, są jednakie co do charakteru swego z pomnikami megalitycznemi, znajdującemi się w Stanach Zjednoczonych.



41. Widok cząstkowy ulicy kamiennej z pod Carnac. Francya.

W Europie największą liczbę pomników megalitycznych przechowała Francya, zwłaszcza zachodnia i część jej północno-zachodnia [1]).

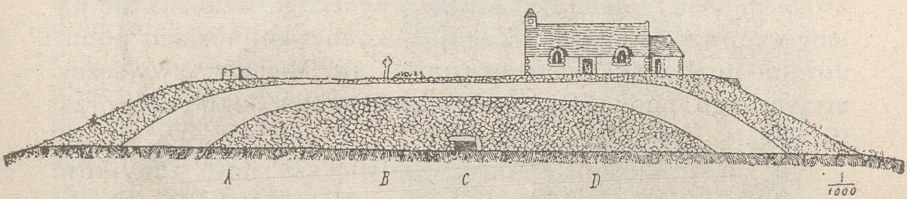
Menhirów odosobnionych we Francyi znajduje się 1638. Są one rozsiane w 80 departamentach. Ze wskazanej liczby menhirów 67 wysokością swoją przewyższa pięć metrów. Najwyższy menhir Loc-Maria-Ker wznosił się w Morbihanie. Obecnie jest on obalony i roztrzaskany na trzy części.

[1]) Nazwy, pod któremi są znane w nauce zabytki megalityczne, pochodzą właśnie z narzecza bretońskiego. Menhir oznacza w niem kamień długi; kromlech oznacza koło z kamieni; dolmen oznacza stół kamienny. Tę nazwę swą dolmeny zawdzięczają tej okoliczności, że będąc obnażone, w większości przedstawiają płytę kamienną opartą na kilku bryłach.

Stojąc, przedstawiał olbrzymi monolit, mający 22 metry wysokości, 19 nad powierzchnią ziemi, 3 pod jej powierzchnią.

Z licznych kromlechów wzbudza uwagę geologa i archeologa zarazem wzniesiony na wysepce Erlanic, leżącej w zatoce Morbihan; przedstawia on koło. Otóż pół tylko tego koła pozostaje obecnie na lądzie, drugą połowę już zajęło morze, wkraczając w głąb zatoki. I tylko w czasie odpływu zarysowują się wśród fal wierzchołki pogrążonych kamieni. A do tej połowy przylega inne jeszcze całe koło, również pokryte wodą, tworzące z niem wielką ósemkę.

Ulic kamiennych, uformowanych z menhirów, jest we Francyi 56, w 15-tu departamentach. Najbardziej znane są dwie: w Erdeven i Carnac. Pierwsza ciągnęła się wzdłuż 1.600 metrów; składało ją 1.120 menhirów, z których 290 jeszcze stoi, 740 już się obaliło, a zupełnie zniszczonych jest 90. Ulica kamienna w Carnac złożona jest z trzech oddziel



42. Przecięcie tumulusu św-go Michała. Francya.

nych prostokątów, ciągnących się wzdłuż na przestrzeni trzech kilometrów. Pierwszy prostokąt, Menec, składa się z 11 szeregów menhirów; drugi, Kermario, z 10; trzeci, Kerlescant, z 13 tych szeregów. Przeszło 10.000 brył kamiennych weszło do ułożenia tych ulic. Z tych do 4.000 jeszcze obecnie się wznosi. Reszta, przeszło 6.000, powaliło się i potrzaskało (fig. 41).

Dolmenów Francya posiada wogóle 3.400, w 78 departamentach. Naturalnie ilość ich w każdym departamencie nie jest równomierną. W dep. Aveyron jest ich 435. W dep. Morbihan 306. W Ille-et-Vilaine 15.

Ilość i rozmiary użytych do wzniesienia dolmenów brył kamiennych, jak również długość samych dolmenów, bywa bardzo różna. Do wzniesienia dolmenu pod Plongoumelen użyto 35 brył na ściany, a 13 na pokrycie. Długość jego wynosi 24 metry. Dolmen Bagneux pod Saumur jest długi

18 metrów. Z przykrywających go płyt jedna ma 7 i pół metrów długości, 7 szerokości, grubości zaś jeden. Waży więc do 100 ton. Uderza nadto ta okoliczność, że dla wzniesienia dolmenów budowniczowie ich częstokroć nie zadowalali się materyałami znajdującemi się na miejscu, lecz sprowadzali z sąsiednich okolic. Do dolmenu pod Lescure (dep. Aveyron) sprowadzali granit, wydobywany w miejscowości odległej o 3 kilometry. Do dolmenu pod Moulins (dep. Indre) sprowadzali kamień z miejscowości odległej o 35 kilometrów.

Z pomiędzy sztucznych wzgórzy, usypanych nad dolmenami, sławne jest jedno zwane górą św. Michała (Morbihan). Długość jego wynosi jeden kilometr, wysokość 100 metrów. Przecięcie zaś wykazuje, że nad dolmenem był poprzednio usypany galgal, i galgal ten następnie przykryto kapturem; ponad kapturem dopiero rozlega się warstwa żwiru, piasku i ziemi. Za czasów rzymskich wznosiła się na tem wzgórzu świątynia. Za czasów chrześcijańskich pobudowano tu kościół pod wezwaniem św. Michała, zwycięzcy mytycznego smoka. Stąd właśnie powstała nazwa wzgórza (fig. 42).

Poza granicami Francyi największa ilość zabytków megalitycznych przypada na wyspy Brytańskie i przyległe do nich wysepki. W samej Irlandyi naliczono 1.860 dolmenów. Następnie idzie Belgia i Holandya.

W Europie środkowej dolmeny znajdują się w Saksonii. W północnej: w Meklemburskiem, w Hanowerskiem, Danii i południowej Szwecyi. Na południu: w Krymie, w Hiszpanii i Portugalii, skąd niby przedostają się za morze Śródziemne, do Afryki północnej. Nakoniec w Azyi odnajdują się jeszcze na Kaukazie, w Palestynie i Indyach.

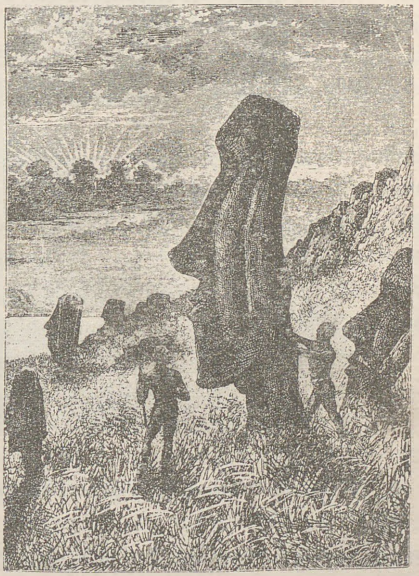
III.

Człowiek pierwotny posiadał sztukę obciosywania kamieni, gdyż wyrabiał wszelakie narzędzia kamienne. Otóż zastosowanie tej sztuki do budownictwa przetwarza zabytki megalityczne w typowe budowle starożytnych narodów historycznych.

Sztuka obciosywania, zastosowana do menhirów, wytwarza z nich kolumnę, która tak rozmaite otrzymuje zastosowanie w budownictwie egipskiem, asyryjskiem i greckiem, dalej — obelisk, na którym rzeźbione postaci ludzkie i znaki piśmienne przechowywać miały potomności czyny i imiona późniejszych działaczów; nakoniec posąg, którego zadaniem stało się uprzytomniać postaci zwierzęce i ludzkie.

Szeregi równoległe menhirów zastąpione zostały z czasem przez szeregi kolumn, sfinksów, lub cherubinów, wiodące do świątyń i pałaców i strzegące wejścia do nich.

Skoro pierwotny budowniczy zdołał już zamiast drobnego kamienia użyć przy usypywaniu galgalu obciosanego sześcianu kamiennego, zamiast galgalu nad dolmenem powstała piramida. A gdy się przekonał, że układając pionowo, jeden na drugim, kilka takich sześcianów zamiast ustawienia jednego głazu dla otrzymania ściany w dolmenie, ułatwia sobie robotę, oszczędza materyał i wznosi rzecz trwalszą i pożyteczniejszą, jedne dolmeny stały się świątyniami i pałacami, inne przetworzyły się w bramy i obronne wieżyce.



43. Popiersia ludzkie w wyspy Waihu.

Na tak znaczną ilość zabytków megalitycznych, jaką przechowała Europa, nie będzie rzeczą zbyt trudną wykazać szereg zabytków, stanowiących pośrednie ogniwa pomiędzy sztuką budowniczą ludzi pierwotnych a sztuką ludów historycznych. Ale w podziw wprowadza etnologa i antropologa ta okoliczność, że prawdziwie typowych ogniw, łączących zabytki megalityczne z budowlami doby dziejowej, szukać należy tam, gdzie ich nic zapowiadać nie może, lub, co

większa, gdzie one są jedynemi zabytkami wyższej kultury ludzkiej.

Z archipelagów i wysp, stanowiących piątą część świata, Oceanię, najbardziej wysuniętą na wschód, a więc najbardziej odosobnioną, jest wyspa Waihu (Wielkiej nocy). Mieszkańcy jej, których Cook naliczył do 7000, La Pérouse do dwu, a Beechey do 1200, stoją na takim stopniu kultury że przypominać mogą sposobem życia oraz postacią ludzi pierwotnych. Otóż na tej wyspie znajdują olbrzymie po-



44. Wrota megalityczne z pod Haamoga, na wyspie Tongatabu.

piersia, gdyż niektóre dochodzą do 12 metrów wysokości, wykute z grubego kamienia w sposób najbardziej pierwotny i wkopane w ziemię. Jest ich do 400 i w różnych grupach są rozsiane po wyspie (fig. 43).

Popiersia ludzkie na wyspie Waihu niechybnie stanowią istotne i trafne ogniwa, łączące menhiry ludzi pierwotnych z posągami ludów historycznych.

W Oceanii środkowej, prawie w jednakiej odległości od wyspy Waihu i Nowej Gwinei, rozlega się archipelag Tonga, inaczej wysp Przyjacielskich. Na jednej z wysp archipelagu, mianowicie Tongatabu, liczącej przed kilkunastu laty do 9000 mieszkańców, wznoszą się pod dwiema osadami, Nukualofa i Haamoga, dwa zabytki megalityczne.

Na obciosanych w kwadrat dwu monolitach jest ułożony trzeci odpowiednej grubości. Monolity są obrobione ze skały koralowej. Ciężar trzech brył kamiennych w każdym zabytku do 80000 kilogramów wynosić może (fig. 44, megality z pod Haamoga).

Otóż te zabytki megalityczne typowe stanowią przejście od dolmenów do bram, bądź to obronnych, bądź też pamiątkowych.

W Ameryce południowej, a mianowicie w Peru i Boliwii, znajdują się dolmeny, które tem się głównie różnią od większości europejskich, że bryły kamienne, do wznoszenia ich użyte, przedstawiają sześciany, aczkolwiek niedość foremne. Niewiele już brakuje, by taki dolmen stał się świątynią lub pałacem, których wzorów dostarcza dziejowy Egipt i Mezopotamia.

Tak więc, budownictwo ludzi pierwotnych bezpośrednio się styka z budownictwem ludów historycznych. Ta okoliczność, aczkolwiek prosta i zupełnie naturalna, była, jak sądzę, powodem do pomieszczenia zabytków megalitycznych w dobie historycznej i wywołała teoryę ludu dolmenów. Poznać ją należy, nim przystąpię do pytania: jacy to być mogli rzeczywiści budowniczowie tych zabytków?

IV.

Zainteresowanie się zabytkami megalitycznemi wzbudza ciekawość poznania ich budowniczych.

Ponieważ wszystkie dolmeny są zbudowane według jednego planu i przedstawiają jeden typ budowli, a nadto, ponieważ po starym świecie są rozrzucone w taki sposób, że przy dobrych chęciach można w takiem rozrzuceniu dojrzeć śladu wędrówki, dojrzeć drogi zabytkami megalitycznemi znaczonej, powstała teorya, że je wszystkie wzniósł jeden naród, lud dolmenów.

Jedni wyprowadzali ten lud z Indyi; dalej przez Kaukaz kazali mu wkraczać do Europy, przejść szybko północną i zatrzymać się dopiero po drodze w Saksonii, Hanowerskiem i Holandyi, następnie przepłynąć na wyspy Brytańskie, z nich zawrócić do Francyi, skąd nakoniec, po przejściu Pireneów, przez Hiszpanię i Portugalię udać się do Afryki północnej.

Drudzy odwrotną kreślili ludowi dolmenów drogę. Mianowicie, wyprowadzając z Afryki północnej, kazali mu w wędrówce do Azyi przez Kaukaz zbaczać do Anglii i Irlandyi, Danii i Szwecyi.

Do tej teoryi o ludzie dolmenów przyłączyły się wnet poglądy, wypływające z poczucia wielkości narodowej. Historycy francuscy, w swoim kraju znajdując tak znaczną ilość zabytków megalitycznych, w ludzie dolmenów widzą dawnych mieszkańców Francyi i wysp Brytańskich, mianowicie Celtów, stanowiących odłam plemienia aryjskiego.

Jeden z uczonych niemieckich, niejaki Löher, w pracy swej pod tytułem: *Ueber Dolmenbauten*, pomieszczonej przed laty trzynastu (1888 r.) w *Sitzungsberichte der Königl. bayer. Akademie der Wissenschaften zu München* (Philosophisch-philologische Classe, str. 216 - 237), wychodząc z zasady, że budowle megalityczne mogły być wzniesione tylko przez lud żeglarski, twierdzi, że mowy być nie może, żeby je wznieśli bądź Iberowie i Celtowie, bądź też Finnowie, lub Słowianie. Mogli je wznieść tylko Fenicyanie, Grecy, lub Germanowie, trzy narody żeglarskie. Ale ponieważ niema zabytków megalitycznych ani w Fenicyi, ani w Grecyi, więc budowniczymi nie byli Fenicyanie, lub Grecy. Pozostają przeto tylko Germanowie. I oni za lud dolmenów przez autora uznani zostali [1]).

Teorya atoli o ludzie dolmenów, aczkolwiek ponętna wskutek łatwości, z jaką rozwiązuje jedno z trudniejszych zagadnień antropologicznych, oraz z jaką schlebia pysze narodowej, jest obecnie już przebrzmiałą, pomimo nawet tak świeżego jej zastosowania do dziejów germańskich, a to przebrzmiałą z powodu uwag następnych:

Lubo wytknięta przez jej zwolenników na planach wędrówek ludu dolmenów droga, którą ten lud przebiegał,

[1]) Niemiecki ten historyk w sprzeczności z poprzednimi wyznawcami teoryi swej, za punkt wyjścia żeglarskich drużyn germańskich uznaje półwysep Jutlandzki i sąsiednie brzegi morza Północnego. Zwyciężając mieszkańców nadbrzeżnych dzisiejszej Francyi i Hiszpanii, dosięgały te drużyny przez Gibraltar brzegów Afryki północnej i wszędzie pobyt swój znaczyli megalitami. Współcześnie z wyprawami morskiemi Germanów odbywały się pochody lądowe tychże Germanów z Bretanii do doliny Rodanu. Te pochody wyjaśniają, według tego autora, fakt istnienia zabytków megalitycznych w środkowej i północnej Francyi.

zdaje się być prawidłową, tak jednakże ściśle nie jest, skoro w tym i odwrotnym kierunku wykonać się mogła, oraz nie usprawiedliwia nigdy tak silnych zboczeń na północ.

Dalej, pomimo podobieństwa do siebie dolmenów, nie są one jednakże tak dalece jednakowe, by tylko utworem jednych rąk być mogły. Przytem znaczny postęp w budowaniu ich daje się spostrzegać, i to wśród zabytków znajdujących się w jednej okolicy. Sprowadzenie materyału, nieraz nawet ze stron odległych, i wzniesienie jakiegokolwiekbądź zabytku wymagało nadto dłuższego czasu, niż naród, w wędrówce ciągle pozostający i niczem z miejscowością nie związany, mógł na to poświęcić.

Nakoniec i zawartość sama dolmenów bywa tak różna, że jednemu ludowi w żaden sposób nie da się przypisać.

Wznosić przeto zabytki megalityczne mógł lud osiadły na miejscu, z miejscowemi warunkami dokładnie obeznany, wznosić dla potrzeb, z miejscowych warunków wynikłych. Pierwotna prostota tych zabytków wskazuje, że w każdej miejscowości mógł je wznosić lud odrębny, a że wznosił podobne, a nawet jednakie, to dlatego tylko, że przed tysiącami lat przodkowie tego ludu również podobne z krzemienia wyciosywali narzędzia, również podobnie się żywili, przykrywali skórami pokonanych zwierząt, chronili się przed grożącemi niebezpieczeństwami.

Czasy przeto wznoszenia zabytków megalitycznych należy wycofać z obrębu doby dziejowej, w której to dobie, aczkolwiek w najwcześniejszej jej chwili, wynalazcy ludu dolmenów te czasy mieszczą. Wycofawszy zaś z doby dziejowej i pomieściwszy w przedhistorycznej, nie możemy nieznanych budowniczych megalitów oznaczać dziejowemi nazwami, to jest nazwami ludów, znanemi już w dziejach.

Historyk, z konieczności, dochodzenia nieznanych budowniczych zabytków megalitycznych ustępuje antropologowi.

V.

Wiek kamienny rozpada się na dwa okresy: kamienia łupanego, czyli paleolityczny, i kamienia gładzonego, czyli neolityczny. Budowle megalityczne w Europie, jak o tem

świadczą znajdowane w nich przedmioty, pochodzą głównie z okresu neolitycznego.

W okresie tym Europa stała się widownią bardzo ważnych przewrotów w stosunkach etnograficznych. Rasa dolichocefalów (długogłowych) poczęści ustępuje, poczęści się zlewa z napływającymi brachycefalami (krótkogłowymi).

Stara to była rasa ci dolichocefale. Według monogenisty, A. de Quatrefages'a, do Europy przybyła ona z Azyi środkowej, jedynego, jak sądzi, ogniska, gdzie powstał rodzaj ludzki, jeszcze w epoce trzeciorzędowej. Współczesną ona w niej przeto była z Elephas antiquus, z Elephas primigenius, z Rhinoceros Merckii, następnie z wielkim niedźwiedziem jaskiniowym i renami.

Wytrzymała, odważna, pomysłowa, stopniowo udoskonalała swój przemysł, znalazłszy w nim podstawę swego bytu, i sama podlegała zmianom w zewnętrznej swej postaci. Z niej to pochodzili ci przemysłowi tępiciele zwierząt, którzy w walce z niemi od nich zdobyli dla siebie świat przez nich owładnięty, który miał się następnie stać dziejowym. Z niej to pochodzili ci pierwotni artyści, którzy podobiznami ludzi i zwierząt, wyrzynanemi na przedmiotach służących do codziennego użytku, sobie współczesnych w tych przedmiotach nietylko użyteczność cenić uczyli, a następnym pokoleniom przekazali obrazy z przeszłości, o której te pokolenia coraz bardziej zapominały, aż stała się dla nich obcą i niepojętą.

Rasa ta znaną jest w antropologii z resztek kości ludzkich, których ilość, aczkolwiek niedostateczna do wyśledzenia wszelkich przemian, zaszłych stopniowo w postaci człowieka od czasu przybycia jego do Europy, daje jednakże możność odtworzenia sobie postaci tego człowieka w dwu krańcowych momentach rozwoju jego w okresie paleolitycznym wieku kamiennego.

Człowiek z Canstadt i Neanderthal, z Enguisheim i z Brux, człowiek z Denise, z Moulin-Guignon i Naulette, nakoniec ten najpóźniej odnaleziony (1886 r.) ze Spy, po których pozostały to szkielet, to czaszka, lub szczęka, jakkolwiek każdy przebywał w innej i odległej od siebie miejscowości, a nadto — mógł żyć w innem tysiącoleciu, przed-

stawiają razem zgodny co do cech ogólnych typ najwcześniejszy tych dolichocefalów.

Wzrostem starożytny ów mieszkaniec Europy nie przewyższał obecnego jej mieszkańca wzrostu średniego; jednakże był bardziej od niego muskularny, czego dowodzi grubość pozostałych po nim kości i nadzwyczajne rozwinięcie wszystkich w tych kościach uwydatnień. Przytem kość goleniowa była zupełnie spłaszczona. Różniła go atoli przedewszystkiem głowa. W szczękach znalezionych, zwłaszcza z Naulette, grubość odpowiada grubości całego układu anatomicznego, podbródek zaś cofnięty znacznie w tył. W czaszkach znalezionych, zwłaszcza z Neanderthal, czoło jest wązkie, również jak i podbródek w tył cofnięte; arkady oczne bardzo uwydatnione, łącząc się nad nosem tworzą niby wał wyniosły. Szwy są zupełnie proste.

Człowiek z Laugerie-Basse, z Bruniquel, z Aurignac, z Menton i Cro-Magnon przedstawia typ drugi z drugiej połowy okresu paleolitycznego. Aczkolwiek zmiany zewnętrzne, zaszłe w postaci jego, zwłaszcza w kierunku zbliżenia się do typu przeciętnego mieszkańca obecnego Europy, były znaczne, szczególnie tyczące się kształtu czaszki i budowy szczęki; wybitny jednakże delichocefalizm nie przestaje cechować i tego typu drugiego. Wskaźnik bowiem długości waha się pomiędzy 72 (czaszka z Neanderthal) a 73,4 (czaszka z Cro-Magnon).

Zupełnie atoli inny byłby obecnie stan Europy, gdyby nie zaszłe w okresie neolitycznym przewroty etnograficzne. Jakkolwiek bowiem między ostrzem z doby szelskiej[1]) a z tego ostrza pochodzącemi narzędziami z doby magdaleńskiej, zarówno co do wyrobu, jak i co do użyteczności tych narzędzi, oraz ich zastosowania, postęp jest widoczny; jakkolwiek ludzie z doby magdaleńskiej, zamykającej okres paleolityczny, już się odziewali, ozdabiali siebie i swe narzędzia i znali, obok wyrobów kamiennych, jeszcze wyroby

[1]) Przypomnieć sobie powinniśmy, że okres paleolityczny wieku kamiennego dzieli się na cztery doby: szelską, mustyerską, solutreńską i magdaleńską. Podział ten jest oparty na rozwoju wyrabianych i używanych w każdej dobie, a jej właściwych, narzędzi. Doby zaś zawdzięczają nazwy swe stacyom paleolitycznym, z których pochodzą typowe narzędzia.

kościane i rozmaite ozdoby — rozwój kultury w Europie bardzo był powolny. Dolichocefal magdaleński był i pozostawał nomadą i myśliwym, jakim został jego przodek z doby szelskiej.

Szybszy rozwój kultury, jakkolwiek nie jest znane dotychczas ognisko tego rozwoju, ani też przyczyny jego zbadane, odbywał się gdzieindziej, prawdopodobnie w Azyi zachodniej.

Rezultaty tego szybszego rozwoju zostały przeniesione do Europy w okresie neolitycznym. Krzewicielami postępu stają się napływający brachycefale.

Narzędzia tych brachycefalów, chociaż jeszcze wyrabiane z kamienia, są już staranniej ogładzane, niby polerowane. Ale rzeczą nad wszystko ważniejszą jest to, że ci przybysze posiedli już sztukę oswajania zwierząt i wprowadzają rolnictwo.

Okres neolityczny styka się już z wiekiem bronzowym, a przez ten wiek z żelaznym, a więc z czasami historycznemi. Jednakże miarą jego długości pozostać muszą zawsze tylko wskazówki geologiczne. One zaś wyłączają wszelkie ściślejsze obliczenia, które wskutek nabytych już właściwości umysłu, dla nas tylko na wieki, lub tysiącolecia mogą być dokonywane. Więc, chociaż mowy być nie może o obliczeniu trwania okresu neolitycznego w naszem pojęciu, w każdym razie, jak to paleoetnologowie [1]) przypuszczają, ciągnął się on dwa razy tyle, ile się ciągnie doba historyczna. Starczyło więc dosyć czasu na to, by przybywający do Europy brachycefale, pod koniec okresu paleolitycznego, zlać się mogli z dawniejszymi jej mieszkańcami i wytworzyć nowe rasy. Jakoż szczątki ludzkie, pochodzące z okresu neolitycznego, przedstawiają wielką rozmaitość co do swego pochodzenia rasowego.

I tak: człowiek z Truchère jest wyraźnym brachycefalem. Wskaźnik długości głowy wynosi 84,32. Człowiek z Grenelle jest również brachycefalem (wskaźnik 82,83). Ale już jeden ze znalezionych w Furfooz jest subbrachycefalem (krótkawogłowym, jak ich nazywa I. Kopernicki), wskaźnik bowiem wynosi tylko 81,39. Drugi zaś jest wy-

[1]) G. de Mortillet: *Le préhistorique. Antiquité de l'homme*, str. 627.

raźnym mezaticefalem (pośredniogłowym, jak ich nazywa I. Kopernicki), wskaźnik bowiem wynosi już 79,81.

Przekształcenie Europy pod względem bytu jej mieszkańców wyprzedzać tylko mogło przekształcenie jej pod względem etnograficznym.

Wprowadzona przez przybyszów sztuka oswajania zwierząt i początki rolnictwa pociągnęły za sobą osiedlanie się na jednem miejscu. Dawniejsi nomadzi, mając sobie zabierane przestrzenie, stać się sami musieli osiadłymi rolnikami, lub się cofnąć za obrąb tych przestrzeni, na których powstało następnie życie dziejowe. Przywiązanie do ziemi zmusza zarówno dawniejszych nomadów, jak i nowych przybyszów do próby zagospodarowania się na niej zupełnego. Groty i jaskinie, dostarczające dotychczas przytułku bądź myśliwym dawnym, bądź to świeżo przybywającym brachycefalom, chroniącym się w nich czasowo, okazać się były powinny zbyt szczupłemi dla stałego w nich pobytu. Dlatego to Europa w okresie neolitycznym pokrywa się mieszkaniami nawodnemi (palafitami); w owym też czasie wznoszą się w niej i obecnie istniejące jeszcze zabytki megalityczne.

Tak więc, budowniczych zabytków megalitycznych powinniśmy szukać wśród przybywających z Azyi do Europy przy schyłku okresu paleolitycznego brachycefalów, jak również wśród subbrachycefalów i mezaticefalów, powstałych z połączenia się tych przybyszów z ludnością miejscową, oraz wśród oddawna osiadłych w Europie dolichocefalów, którzy od przybyszów przejmowali nowy sposób życia, oraz ich sztukę [1]).

---

[1]) Przy badaniu warstw ludności europejskiej, zarówno w czasach przedhistorycznych, jak i w czasach historycznych, powstaje zagadnienie wielce ciekawe: jak te warstwy w obu tych dobach połączyć z sobą? — to jest: jaki stosunek zachodzi pomiędzy warstwami ludności europejskiej przedhistorycznej a warstwami ludności europejskiej historycznej? Otóż w brachycefalach, przybyłych do Europy w okresie neolitycznym, autorowie dzieła p. t.: *Précis d'Anthropologie* (Paryż, 1887), A. Hovelacque i G. Hervé, widzą »według wszelkiego prawdopodobieństwa przedwysłańców ludności brachycefalskiej, która otrzymała nazwę ludności celtyckiej: Bretończycy, Owerniacy i t. d.« (str. 373).

A ponieważ jest faktem udowodnionym w antropologii, że po tych brachycefalach wtargnęli w czasach jeszcze późniejszych do Europy

VI.

Przed paru dziesiątkami lat nastąpiło powtórne dla Europy odkrycie Ameryki. Jak różne atoli ono było od pierwszego!

Dokonane przez Kolumba przed czterema wiekami pociągnęło za sobą wyniszczenie ludów amerykańskich i upadek tego narodu, dla którego niby wyłącznie tylko Ameryka istniała i na własność po odkryciu przypadła. Jak młodzik, nie myślący o jutrze, marnuje otrzymane bogactwa, niszczy wszystko, co bezpośrednio nie przynosi mu pieniędzy, i nakoniec sam marnie ginie; tak samo Hiszpanie — starli z powierzchni ziemi oryginalną kulturę amerykańską, a sami sprowadzonych do Europy bogactw tak użyli, że to użycie odjęło im zdolności do pracy i wszelkiego postępu i doprowadziło do upadku zarówno umysłowego, jak i ekonomicznego.

Powtórnego odkrycia dokonała nauka. Przez to odkrycie przeddziejowa przeszłość nowego świata została dla badaczów udostępniona; ludy, których istnienia nawet nie podejrzewano, dla antropologii wskrzeszone; poziom ogólnej wiedzy wzbogacony faktami, prowadzącemi do zupełnego przewrotu w przekonaniach, od czego zależy lepsza dola ludzi na ziemi.

Przeddziejowa przeszłość Ameryki jest tak odległa, jak i przeddziejowa przeszłość Europy. Obejmuje również czwartorzędowy okres geologiczny. Znajdowane w pokładach czwartorzędowych narzędzia ludzkie i resztki materyalne człowieka dowodzą tego w sposób niezbity. Nawet udowodnione istnienie człowieka czwartorzędowego w Ameryce zachęcało do poszukiwania w niej trzeciorzędowego. Poszukiwania te ciągle trwają. I niejedno odkrycie, jak następnie się okazywało, błędnie wyjaśnione, zdawało się już nieraz, że naprowadza na ślady człowieka trzeciorzędowego. I to powtarza się ciągle.

Analogia pomiędzy przeszłością Ameryki i Europy

---

dolichocefale nowi, więc w owych dolichocefalach wspomnieni autorowie widzą »przednią straż Galatów, za którymi szli Cymbrowie, blizcy ich krewni... a następnie Teutonowie...« (str. 589).

sięga jeszcze dalej. Narzędzia amerykańskie, pochodzące z epoki czwartorzędowej, mają ten sam wygląd, jaki mają odpowiednie im co do czasu narzędzia europejskie. Najstarsze czaszki amerykańskie wykazują, że pierwotni mieszkańcy Ameryki byli również dolichocefale. Czternaście czaszek z Lagoa Santa (Brazylia) mają wskaźnik długości 72,6. Nawet w niektórych czaszkach amerykańskich można dopatrzyć się cech zasadniczych, jakie charakteryzują czaszki europejskie, a mianowicie człowieka z Canstadt i Neanderthal. Nakoniec, również i w Ameryce, jak to się stało w Europie, pierwotni dolichocefale ustępują przed napływającymi już w czasach późniejszych brachycefalami, lub się łączą z nimi. A z połączenia tego powstały rasy mieszane subbrachycefalów i mezaticefalów.

Przestrzenie bardzo wielkie obu Ameryk pomagały do coraz większego różnicowania dwu starych ras amerykańskich. Powstały ludy, które z sobą napozór nie mogły mieć nigdy nic wspólnego. Ta okoliczność wzbudziła liczne spory co do pochodzenia ludności amerykańskiej przeddziejowej. Rozmaitość ras, spotkana w czasach dziejowych, prowadziła do przypuszczenia rozmaitego i niezależnego od siebie powstania tych ras. Autochtonizm na razie rozwiązywał wszelkie trudności.

Obecnie wszakże nawet i najżarliwsi zwolennicy poligenizmu twierdzą, że Ameryka, a właściwie obie, nie posiadają warunków koniecznych dla autochtonicznego powstania ludności [1]), i zgadzają się z monogenistami, że ludność Ameryki jest napływowa.

Co do brachycefalów pytanie rozwiązane. Pochodzić oni mają z Azyi. Napłynęli do Ameryki z północy, korzystając ze stykania się prawie na północy z sobą dwu lądów: amerykańskiego i azyatyckiego. Inaczej rzecz się ma z dolichocefalami czwartorzędowymi.

Jednakże, czy warunki, ułatwiające przejście z Azyi do Ameryki na północy, istniejące jeszcze obecnie, w odległej przeszłości geologicznej, nie istniały także w stosunku do Europy? Czyż Ameryka nie przytykała bezpośrednio do Europy przez Islandyę i wyspy Owcze (Faroer)?

---

[1]) A. Hovelacque et G. Hervé: *Précis d'Anthropologie*, str. 506.

Przypuszczenie takiego połączenia Ameryki z Europą rozstrzyga kwestyę pochodzenia dolichocefalów amerykańskich [1]). Przybyli oni do Ameryki z Europy, a przybyli w dobie szelskiej, kiedy umieli tylko wyrabiać jedno ostrze kamienne. Z jednego typu zasadniczego narzędzia kamiennego rozwijając się, przemysł kamienny wydawać mógł tylko zbliżone do siebie typy pochodne.

Skoro postawimy na tem tle ogólnem stosunków etnograficznych w Ameryce pytanie specyalne: kto wznosił tumulusy amerykańskie? — sprawa przybiera jeszcze inną postać.

Również jak w Europie, budowniczowie tych sztucznych wzgórzy (Mound-Builders) musieli stanowić ludność osiadłą; jako osiedli, zajmowali się już hodowlą bydła i rolnictwem. Tymczasem te sztuczne wzgórza znajdują się głównie w krajach, gdzie Europejczycy znaleźli ludność nomadyczną, sposobem życia przypominającą odległych przodków z epoki czwartorzędowej. Ciągłość przeto rozwoju kulturowego w tych krajach była przerwana. Któż jednakże ją przerwał? Czy przodkowie tych nomadycznych Indyan? Czy owi budowniczowie zostali wytępieni przez przybyszów, mniej uzdolnionych do pracy i rozwoju, czy też się przenieśli w inne strony na południe i tam, prowadząc dalej swe dzieło, wytworzyli ową cywilizacyę, którą Hiszpanie zniszczyli? Na te pytania fakty naukowe dotychczas odpowiedzi nie dostarczają. — A tymczasem inne, w związku z poprzedniemi będące, dalej się mnożą.

Przedstawiane w sztucznych wzgórzach kształty zwierzęce w wielu wypadkach przypominają wielkich proboscidów. Fauna atoli kopalna amerykańska szczątków tych zwierząt nie przechowała wcale. Więc gdzie ci budowniczowie znajdowali wzór usypywanych przez się wzgórzy? Czy przybyli z Azyi brachycefale, przechowując w tradycyi kształty zwierząt, widzianych przez swych przodków w pierwotnej ich ojczyźnie, ku uczczeniu pamięci swej azyatyckiej kolebki nadali np. kształty zupełnie prawidłowe mastodonta usypanemu przez siebie w Wisconsin wzgórzu? Czy też i w Ameryce pleniły się te zwierzęta, a tylko wskutek jakichś nieznanych przyczyn wyginęły bez śladu?

---

[1]) Opus cit., str. 5, 7.

W każdym razie ta okoliczność cofa w głęboką przeszłość czasy wznoszenia tych wzgórzy. A jednakże przedmioty, znajdowane w tych wzgórzach, zbliżają te czasy do doby dziejowej.

I te poruszone kwestye muszą pozostać nierozstrzygniętemi. Miejmy wszelako nadzieję, że tylko do czasu.

VII.

W Oceanii, części świata, gdzie ludność dotychczas jeszcze dostarcza w sposobie życia swojego obrazów z dawno ubiegłej dla innych części doby przeddziejowej; gdzie mieszkańcy dotychczas jeszcze używają takich narzędzi, które tylko w głębokich pokładach ziemi odnajdują się w starej Europie i nowej Ameryce; w tej części świata poszukiwania archeologiczne słusznie za bezcelowe poczytywanemi być mogą. Niema więc mowy obecnie o człowieku kopalnym australijskim, lub polinezyjskim, gdyż cała ludność w Australii i Polinezyi przedstawia się jako szczątki ludności kopalnej z innej części świata; niema mowy o narzędziach kamiennych, lub kościanych pierwotnych ludów oceanijskich, gdyż wszystkie narzędzia w Oceanii, używane obecnie przez jej mieszkańców, są kamienne, lub kościane, więc takie, jakich używali pierwotni mieszkańcy innych części świata.

A jednakże poszukiwania archeologiczne w Oceanii odbywać się powinny; człowiek kopalny oceanijski stanąć powinien obok europejskiego i amerykańskiego. Istnienie zabytków megalitycznych w tej części świata wywołuje konieczność takich poszukiwań i każe oczekiwać ukazania się człowieka kopalnego oceanijskiego.

Powstałe w naszych czasach i obecnie jeszcze panujące teorye o pochodzeniu ludności oceanijskiej i czasach zaludnienia Oceanii nie rozstrzygają, a nawet nie podnoszą kwestyi, kto rzeźbił i ustawiał posągi na Waihu, lub obciosywał i układał dla wzniesienia bram monolity na Tongatabu.

Czy bowiem za Amerykaninem Horatio Halem i Francuzem A. de Quatrefages'em ludność oceanijską wyprowadzać będziemy z wysp Malajskich, czy też z Lessonem, za

pierwotną jej kolebkę poczytywać będziemy Nową Zelandyę, w żadnym wypadku ludność, obecnie zamieszkująca Oceanię, wznieść opisanych megalitów nie była nigdy w stanie.

Więc wzniosła je ludność, która poprzedzała obecną. Pozostałości jej mogły się przechować w warstwach ziemi, jak przechowały się w Europie i Ameryce szczątki człowieka kopalnego i jego narzędzia. Jedno tylko obecnie o tej znikłej z powierzchni wysp Oceanijskich, a jak dotychczas bez śladów na wszystkich, z wyjątkiem dwu, powiedzieć możemy, że w rozwoju swym kulturowym podniosła się ona była tak wysoko, jak mieszkańcy Europy zachodniej w przededniu doby dziejowej. Wskrzeszenie w przyszłości przez naukę człowieka kopalnego oceanijskiego uzupełni niechybnie przewrot, dokonany na polu wiedzy zjawieniem się człowieka kopalnego europejskiego i amerykańskiego.

Potrzeba tylko poszukiwać.

Przeniesienie z dziedziny historyi na grunt antropologii i etnologii pytania: kto wznosił zabytki megalityczne, pozostałe po ludach pierwotnych? – właściwie, jak widzimy, pytania samego nie rozwiązało. A nawet na tym nowym gruncie z poprzedniego powstały nowe i liczne, które również bez rozwiązania pozostały.

Pamiętajmy jednakże, że prawidłowe, a zwłaszcza na właściwym gruncie, postawienie kwestyi więcej zawsze w nauce ma znaczenia, niż jej pozorne rozstrzygnięcie na niewłaściwym. A przytem, »scire se nescire« nietylko, jak twierdzi wyrzeczenie łacińskie, »magna est scientia«, lecz zarazem staje się prawdziwym bodźcem do zdobycia wiedzy i, co większa, nieraz jedynym tego zdobycia warunkiem.

Zwierzęta przedstawiane
w postaci wzgórzy sztucznych w Ameryce.

Notatka paleoetnologiczna [1]).

Gdym opracowywał *Zabytki megalityczne ludów pierwotnych*, nie miałem pod ręką odpowiedniego źródła, z którego mógłbym poczerpnąć szczegółową wiadomość, jakie to mianowicie zwierzęta były usypywane w Ameryce przez nieznanych wznosicieli sztucznych wzgórzy (Mound-Builders). Obecnie praca Stefana Peet: *The animals know to the Effigy Builders* (Zwierzęta znane usypującym wizerunki) pozwala mi ten brak poniekąd uzupełnić.

Liczba zwierząt, których postać wyobrażano we wzgórzach sztucznych, jest bardzo znaczna. Były to: karibu (ren kanadyjski), łoś, pantera, rakoon czyli raton (z rodziny ursidów, Ursus laton Linn.), antylopa, niedźwiedź, bóbr, wilk, lis, królik, wiewiórka; z ptaków: orzeł, kaczka, krogulec, gęś dzika, gołąb, czapla, jaskółka; z płazów: żółw, wąż, żaba. Na brzegach rzek i jezior obfitujących w ryby były usypywane wizerunki ryb.

Nieznani wznosiciele wzgórzy, stanowiących wizerunki zwierząt, przy usypywaniu nietylko starali się zachować główne kontury i rozmiary postaci, którą przedstawiali, ale nawet zwracali uwagę na charakterystyczne ruchy zwierzęcia oraz jego obyczaje. I tak: niedźwiedź jest prawie zawsze samotny, rokoony po kilku razem, łosie i wiewiórki

[1]) Uzupełnienie poprzedniego artykułu p. t.: *Zabytki megalityczne ludów pierwotnych.*

stadami. Grupa wiewiórek jest usypana koło jeziora Winnibago. Nieco dalej od tej inna liczy ich dwadzieścia pięć. W West-Bend na pięćdziesiąt wizerunków zwierząt usypanych piętnaście wyobraża wiewiórki. Przy jeziorze Green Lake na trzydzieści takich wzgórzy wiewiórek dwanaście. Lis bywa wystawiany zawsze w biegu; poznać go łatwo po ogonie. Często przytem spotykają się zwierzęta parami. Nad jeziorem Ripley dwie pantery są gotowe do rzucenia się na siebie. Orły, jak niedźwiedzie, są samotne. Krogulce, gołębie, jaskółki usypywane w locie i stadami. Żółwie po kilku. Żaby jednakże oddzielnie.

St. Peet w wyliczeniu swem zwierząt usypywanych pomija mastodonta. Jednakże istnienie wzgórzy wyobrażających mastodonty, nie ulega wątpliwości. Nadaillac w rozprawie swej pod tytułem: *Les Mound-Builders (Matériaux pour l'histoire primitive et naturelle de l'homme, 1881, Décembre)* podaje nawet rysunek takiego wzgórza (fig. 183, str. 517), znajdującego się o mil kilka od połączenia się dwu rzek: Wisconsin i Mississippi.

Przy tej okoliczności sprostować pragnę rzecz następną. We wspomnianym artykule: *Zabytki megalityczne ludów pierwotnych* podałem w wątpliwość istnienie mastodontów w Ameryce, na tej podstawie, że nie znaleziono tam szczątków tych zwierząt. Otóż co do tego myliłem się. A. Gaudry w dziele: *Les Ancêtres de nos animaux dans les temps géologiques*, w tablicy genealogicznej słoni dzisiejszych (str. 126), wśród gruboskórnych, istniejących na początku okresu czwartorzędowego, a więc równocześnie z Mastodontem Humboldta, z Elephas priscus i Elephas antiquus, mieści i Mastodonta amerykańskiego (Mastodon americanus), którego szczątki odnaleziono nad Ohio, i który wskutek tego nosi jeszcze nazwę M. Ohioticus (H. A. Nicholson: *A Manual of Palaeontology*, p. 447). Wznosiciele przeto sztucznych wzgórzy poznać mastodontów mogli również na miejscu, jak i inne zwierzęta, których usypywali wizerunki.

Wśród kamieni.

Nie tylko na cmentarzu jesteśmy wśród kamieni cmentarnych. Ziemia nasza, ta kolebka ludzi, jest zarazem ich grobem. Przeto, jak każdy cmentarz jest grobem tych, którzy mieszkali w przyległej do niego wsi lub przyległem mieście, tak cała kula ziemska, od początku istnienia na niej człowieka, jest wielkiem, ogólnem i jedynem cmentarzyskiem jej mieszkańców. Znajdując się na powierzchni ziemi, jesteśmy wciąż na cmentarzu, i również jak na cmentarzu — wśród kamieni, świadczących o istnieniu w przeszłości, na każdem miejscu, niezliczonych pokoleń ludzkich. Tylko kamienie cmentarne na grobach jednostek są położone ręką obcą, po śmierci tych jednostek. Na kuli ziemskiej, owym cmentarzu ogólnym i jedynym jej mieszkańców, kamieniami cmentarnemi stały się wyroby przemysłu i sztuki następujących po sobie pokoleń, z których się ludzkość złożyła. W taki sposób kamienie te, będąc bezpośrednim dowodem życia w swoim czasie ludzkości owej, zostały przez nią samą podczas swego istnienia na swym grobie wzniesione. Ta różnica z pierwszych kamieni cmentarnych uczyniła nagrobki, pomniki śmierci; z drugich — wytworzyła świadectwa przeszłości, pomniki istotnego życia.

Jak życie samo bywa rozmaite, tak też rozmaitemi bywają kamienie cmentarne na cmentarzysku ludzkości. Jak są różne objawy życia, tak też do różnych celów te kamienie służyły i różnych są rozmiarów. Jedne zaledwo dają się ująć palcami: naprzykład groty do strzał; inne

zaś rozmiarami przewyższają obecne gmachy, wysokością wieże, naprzykład: dolmeny, kromlehy, menhiry.

Przyroda w zwierzęciu, wyjąwszy człowieka, z członkami jego ciała zespoliła właściwą mu broń odporną i zaczepną. Bezbronny człowiek znajdował ją w kamieniu. Kamień zastępował mu rogi i pazury. Również kamień, wskutek swej twardości i rozmaitości rozmiarów, stał się pierwszem narzędziem w ręku człowieka w pierwotnem jego gospodarstwie domowem i początkowym przemyśle. Jesteśmy więc wśród kamieni na tak zwanych *stacyach kamiennych*, gdzie pierwotne hordy ludzkie, czasowo się zatrzymując, wyrabiały sobie broń i narzędzia, których braki lub resztki, zapasy lub pojedyńcze okazy następne tysiącolecia pokryły warstwami ziemi.

Człowiek zaciekawiony, co było wczoraj, w ubiegłej przeszłości, upamiętniając, w celu zaspokojenia tej swej żądzy, ważniejsze dla siebie przygody i zdarzenia, wznosił na miejscu, gdzie się one odbywały, kamienie lub na kamieniach, wzniesionych przez samą przyrodę w postaci piętrzących się skał, rzeźbił stosowne znaki, z których rozwinęły się w następstwie obrazy różnych przedmiotów, nakoniec pismo samo. Pierwszemi przeto dokumentami dziejowemi, oraz jedynemi stronicami pierwszych ksiąg są kamienie. Stanąwszy więc w pierwotnem *archiwum* ludzkości, lub w jej najstarszej *bibliotece*, jesteśmy właśnie wśród kamieni.

Z biegiem czasu doszedł był ongi człowiek do wyobrażenia sobie duchów, władnących nim i światem, i wśród ich gromady, naprowadzony na to szkodliwemi lub dobroczynnemi dla siebie zjawiskami i prawami przyrody, rozróżniał złych od dobrych, szkodliwych od pomocnych. Wówczas to, gdy, chcąc zmiękczyć okrucieństwo i uniknąć prześladowania jednych, a wyżebrać litość i opiekę drugich, począł, wziąwszy przykład ze stosunków ludzkich, je obdarowywać, a nawet karmić, te dary im składał, a na pożywienie zabijał blizkich sobie ludzi i zwierzęta, stanowiące już swą własność — na kamieniach. Kamienie więc stawały się dla ludzi pierwszemi ich ołtarzami. Nakoniec, gdy w wyobraźni ludzkiej owe duchy pierwotne przetworzyły się w bogów, a owi bogowie przybierać poczęli postacie różnych zwierząt i ludzi, również

kamień dostarczał człowiekowi materyału do wyrabiania podobizny tych bogów. Znalazłszy się u stóp pierwotnych *ołtarzy*, czy też w *świątyniach*, jesteśmy również wśród kamieni.

Dostarczywszy broni, narzędzi, oraz materyału na pomniki dziejowe i na stronice ksiąg pierwotnych, na ołtarze i podobizny bogów, kamienie, tworzące groty i jaskinie, dostarczały również pierwszych przytułków ludziom; bryły zaś kamienne, na wzór grot i jaskiń układane, stały się pierwotnemi domami ludzkiemi i ich twierdzami, następnie pałacami ich władców i skarbnicami ich grodów. Zwaliska przeto miast starożytnych tylko stosami kamieni być mogą. Na zwaliskach tych *miast* jesteśmy znowu wśród kamieni.

Wszakże nie dość jeszcze: w bieżącem stuleciu, dorwawszy się początkowo tylko trafem do kamieni, owych dokumentów czasu, następnie zaś począwszy systematycznie ich poszukiwać w warstwach ziemi, archeologowie, niepomni na przyszłe pokolenia, ich naukowe potrzeby i uciechy, by tylko udogodnić sobie badania przeszłości na podstawie tych dokumentów, wydostają je z tych warstw, w których przypadek je ukrywał przez szeregi tysiącoleci i wieków i zewsząd gromadzą po różnych muzeach starożytności i zbiorach archeologicznych. Otóż, zwiedzając te *sztuczne zbiorowiska* pomników i dokumentów przeszłości, również. jak naturalnych, znajdujemy się tam także wśród kamieni.

I w mytach o pochodzeniu ludzi kamienie otrzymują ważną rolę. Podania greckie głoszą, że z kamieni powstało nowe pokolenie ludzi, gdy dawniejsze zginęło wśród wód wezbranych. Przechował te podania poeta rzymski Owidyusz. Według niego bogowie, przejęci grozą, wskutek wdzierania się ludzi do ich górnych przybytków, zatopili powierzchnię ziemi. Zniknął z niej ród ludzki, z wyjątkiem jednej pary, Deukaliona (odpowiada on Noemu z podań żydowskich, a Izdubarowi z podań asyryjskich) i jego siostry a żony zarazem, Pyrry. Ci jedyni przedstawiciele dawniejszych mieszkańców ziemi, chcąc na nowo ją zaludnić, poczęli ciskać, wskutek objawionej im woli bogów, kamienie po za siebie. Rzucone ręką Deukaliona, stawały się mężczyznami; rzucone ręką Pyrry — kobietami. I poeta kończy opowiadanie swoje uwagą: »Twardzi przeto jesteśmy i do twardej

przygotowani pracy, a temi właściwościami swe pochodzenie z kamieni udowadniamy». (Przemiany, I, 348—415).

Gdy odkrycia naukowe w XIX stuleciu pozwoliły ludziom w dociekaniu swej przeszłości faktami zastąpić myty, znaczenie kamieni w tem dociekaniu odpowiadało znaczeniu kamieni w bycie ludzi w początku ich istnienia na ziemi.

I tak: ponieważ kamienie, na których pozostał ślad ręki ludzkiej w uderzeniu ich celowem, poczęły jedynie tylko wykazywać istnienie człowieka na ziemi, przeto cały przeciąg czasu, od chwili stwierdzenia w taki sposób istnienia człowieka, aż do chwili w której metale, początkowo bronz, a nakoniec żelazo, zastąpiły kamienie w użytku codziennym, otrzymał nazwę *epoki kamiennej*. Ponieważ początkowe wyrabianie narzędzi kamiennych polegało na odbijaniu, jakby odłupywaniu od kamienia jednego silnem uderzeniem za pomocą drugiego części niektórych; z biegiem zaś czasu to początkowe odłupywanie ustąpiło mniej silnym, lecz za to częstszym uderzeniom, odtrącającym mniejsze już cząstki niż poprzednio, co nadawało narzędziu pozór niby gładzonego; przeto od tych dwóch sposobów obrabiania narzędzi kamiennych *epokę kamienną* podzielono na dwa *okresy:* okres *kamienia łupanego*, inaczej jeszcze nazywany *staro-kamiennym* (paleolitycznym), i okres *kamienia gładzonego* inaczej *nowo-kamienny* (neolityczny). Ponieważ zastosowywanie kamienia do coraz to rozmaitszego użytku wywoływało powstawanie nowych typów samych narzędzi, a następnie udoskonalania wyrobu owych typów były jedynemi pomnikami, wskazującemi postęp w rozwoju kulturalnym samego człowieka i jedynemi dowodami tego postępu, — przeto oba rzeczone *okresy* podległy podziałowi na stosowne *podokresy* czyli *doby*, otrzymujące nazwy od powstających i udoskonalanych typów narzędzi kamiennych.

Jak na cmentarzu wiejskim lub miejskim, by się dowiedzieć o życiu jednostki, obok grobu, koło którego przechodzimy, przy kamieniu zatrzymujemy się grobowym i z postaci kamienia, ze sposobu jego obrobienia wnioskujemy, do jakiej sfery społecznej ta jednostka należała, a z daty na nim wyrytej dowiadujemy się, w jakim czasie istniała, tak też i na cmentarzu ludzkości. Sam fakt istnienia

w danej miejscowości narzędzia kamiennego wykaże, że istniał na tem miejscu człowiek, który go wyrobił, i dalej, że ten człowiek istniał w czasach, kiedy nie znano jeszcze metalów, a więc w epoce kamiennej. Sposób obrobienia tego narzędzia wykaże, w jakim okresie tej epoki istniał. Typ zaś narzędzia naprowadzi na wniosek, w jakiej to stało się dobie tego okresu.

W jaki atoli sposób dojść do określenia czasu, w którym to narzędzie powstało? Co zastąpi w niem datę z pomnika cmentarnego? Wszak tylko sposób obrobienia i stopień udoskonalenia typu wskaże epokę, okres i dobę w okresie? Wszak podział na epoki, okresy i doby tylko ma na względzie same wyroby rąk ludzkich, lecz nie chronologię bezwzględną, wykazującą czas istnienia człowieka na ziemi w stosunku do istnienia samej ziemi i początków historyi?

Datę w tym wypadku, choć w przybliżeniu, wskaże pokład geologiczny, warstwa ziemi, w której się dane narzędzie znajdowało.

W taki więc sposób historya znalazła się w zależności od geologii. Chronologia historyczna stała się chronologią geologiczną. Rok astronomiczny zastąpiła jednostka czasu, konieczna na wytworzenie się danego pokładu i pewnej w nim warstwy. W taki więc sposób przy odkryciach archeologicznych główne zainteresowanie się padać powinno nie na sam przedmiot znajdowany, który tylko dowodzi, że istniał człowiek, co było rzeczą już znaną i dowiedzioną, lecz na warstwę ziemi, w której ten przedmiot się znajduje, gdyż ta warstwa wskazuje, *kiedy* istniał *tam* człowiek.

Owo pytanie *Kiedy?* nowe wprowadza zagadnienia. Archeologia ustępuje miejsca antropologii i etnografii. Piękną bowiem jest rzeczą i wiele znaczącą historya sztuki i przemysłu; po za nią wszakże i nad nią stoi twórca tej sztuki i przemysłu — człowiek. Dla zrozumienia zaś istoty człowieka i praw jego rozwoju przedewszystkiem należy się dowiedzieć, czy istnienie jego na ziemi tysiącami lat, czy też dziesiątkami lub setkami tych tysięcy mierzyć się daje i powinno.

Odkrycia archeologiczne w Bośni

z powodu zjazdu archeologicznego 1894 roku w Serajewie.

Nauka po za znaczeniem swem specyalnem, wypływającem bezpośrednio z jej treści i zadania, posiada jeszcze poważne znaczenie społeczne. Stanowiąc, iż tak rzekę, najczystsze, najmniej bowiem zależne od interesów materyalnych i pobudek egoistycznych ogniwo, łączące człowieka z człowiekiem, wytwarza instytucye naukowo-społeczne, uniwersytety, akademie, których istnienie i normalny rozwój nietylko wpływają na byt danego narodu w każdej chwili jego dziejów, lecz stanowić mogą i o losie jego przyszłym.

Otóż ta nauka za czasów naszych, wskutek swego w tem stuleciu szybszego i wszechstronniejszego niż kiedykolwiekbądź w przeszłości rozwoju, wprowadziła do życia nową instytucyę, której ruchomość, forma i charakter oprócz naukowych, na polu wiedzy, może przynieść jeszcze nieprzewidywane korzyści społeczne. Mówię o zjazdach naukowych.

Zjazdy te dla uniwersytetów i akademii stanowią uzupełnienie, gdyż wiążąc je z chwilą bieżącą, zaznajamiają zwykle z nowemi odkryciami w każdej dziedzinie wiedzy, a nadto, poddając im coraz to nowego bodźca, tchnąc na nie pewną żywotnością świeżą, pobudzają te korporacye, częstokroć senne i opieszałe, do przyjmowania rzeczywistego udziału w ruchu ogólnym, zmuszają je do liczenia się z potrzebami społeczeństwa żywego.

Uczony akademik lub profesor staje na zjazdach nie przed zwykłem swem audytoryum, lecz zupełnie nowem,

sobie poczęści nieznanem, z wielu różnych żywiołów złożonem, wśród których wszelako zawsze przeważa ilość na jednym z nim poziomie rozwoju umysłowego i wykształcenia stojących jednostek. Musi się więc liczyć z chwilą i otoczeniem. Nim wieść i wyrabiający się sąd o danem odkryciu przejdzie konieczne stopnie rozgłosu, przedostanie się do niego przez dzienniki, memoryały, sprawozdania — na takim zjeździe, bezpośrednio w robotę wtajemniczony, wciągnąć on może to odkrycie do kursu. Ma więc podnietę do pracy, moralne zobowiązanie nieustawania w niej.

Zjazdy naukowe, wyrywając poniekąd naukę ze stałej, niby urzędowej jej siedziby, wprowadzając w wycieczkach pod gołe niebo, na odkryte powietrze, w posiedzeniach do domów prywatnych lub gmachów, które do owego czasu nic wspólnego z wiedzą nie miały, przytem stykając bezpośrednio wielkiego uczonego z małym, ludzi naukowych z nienaukowymi, przygotowują pole do ruchomych szkół i uniwersytetów, którym bieg dziejów przekazuje odrodzenie przyszłych społeczeństw przez uświadamianie i podnoszenie naukowe ogółu.

Wśród zjazdów naukowych wogóle zjazdy archeologiczne jeszcze innego, sobie właściwego, nabierają znaczenia.

Odbywane przedewszystkiem w miejscowości, dostarczającej okazów do badania na samym gruncie, na rozkopaliskach, skąd te okazy pochodzą, pozwalają one swoim członkom *de visu* sądzić o rzeczy, ze świadomością wszelkich szczegółów i okoliczności podnosić kwestye różne, dotyczące zarówno geologii, jak i anatomii, sztuki jak i przemysłu, i rozstrzygać spory, powstałe z powiązania tylu rozmaitych względów.

W roku 1894 odbył się (w sierpniu od 15 do 22) jeden z takich zjazdów archeologicznych. W historyi nauki, a przedewszystkiem w historyi zjazdów, wyjątkowe zajmuje on stanowisko. Odbył się bowiem w kraju, który dopiero od lat kilkunastu przestaje być kawałkiem Azyi, sztucznie z niej wykrojonym i całkowicie do Europy, i to w najbardziej od przyrody uprzywilejowane jej strony, przeniesionym. Nazwy przytem miejscowości, gdzie się odbywał, które dostarczały okazów do badań, a same stały się przedmiotem oględzin przybyłych ze wszystkich ognisk naukowych w Europie

przedstawicieli danych specyalności, dopiero od lat kilku przedostały się z regestrów administracyjnych i szczegółowych podręczników geograficznych do sprawozdań i pism naukowych. Nakoniec odbył się w formie, która wówczas po raz pierwszy do zjazdów naukowych została zastosowana i słuszne budzi zainteresowanie, czy się przyjmie w przyszłości.

Sądzę, że te uwagi usprawiedliwią chociażby krótką i pobieżną rzecz o tym zjeździe.

Zjazd rzeczony odbywał się w Bośni, kraju, w dobie dziejowej, przechodzącym od Rzymian do Greków, od drobnych państw słowiańskich niezależnych do Turków, a będącym dla sąsiednich państw pożądanym nabytkiem terytoryalnym; w Bośni, gdzie stosunki etnograficzne, wynikłe z tak urozmaiconej przeszłości dziejowej, przedstawiają ciekawy aglomerat ras, szczepów, plemion i ludów.

W wieku, w którym cofnięto dobę dziejową o kilka tysięcy lat, a początek ludzkich społeczeństw o kilkaset tysięcy (ograniczając się naturalnie tylko okresem czwartorzędowym), przestano dowierzać, i słusznie, tak zwanym źródłom dziejowym, już dla ich wielkiej stosunkowo późności, już to dla ich wogóle niedostateczności, a przytem bajecznego charakteru. Zastąpiły je w niesieniu świadectwa o przeszłości szczątki człowieka, przechowane w warstwach różnych ziemi, wraz z wyrobami jego ręki.

Jeżeli wogóle pełne i znane dzieje każdego innego kraju i ludów, ten kraj zamieszkujących, inne dla nauki obecnie mają znaczenie, niż miały przed stu i mniej laty, cóż dopiero dzieje Bośni, przedstawiające kartę białą, zaledwie upstrzoną kilku datami i imionami własnemi, o Bośniakach, zaświadczyć mogły? Dziejów Bośni nie po bibliotekach lecz w głębi ziemi szukać należało; dla ich poznania nie karty ksiąg zbutwiałych przewracać, lecz w pokłady, stanowiące powierzchnię kraju, zaglądać wypadało.

Nowy porządek rzeczy w Bośni ułatwił zadanie nauce. Zostały odkryte jaskinie, siedliska ludzi i zwierząt w dobie przedhistorycznej. Jedna z nich, Marynowa, znajduje się 18 *km.* od stolicy Bośni, Serajewa. W tryasowych pokładach przez wody rzeczne wydrążona, 10 *m.* długa, oprócz narzędzi kamiennych i okazów garncarstwa typu

neolitycznego, jeszcze szczątków następnych zwierząt i ptaków dostarcza: Ursus arctos, Foetorius putorius, Myoxus glis, Arctomys marmotta, Capra hircus, Cervus elaphus, Sus scrofa palustris, Corvus sp., Spalax Pallasii i Tetrao tetrix. Niektóre z wyliczonych, jak Arctomys marmotta i Sus scrofa palustris, oddawna znikły z Bośni; Cervus elaphus znikł później; Spalax Pallasii i Tetrao tetrix opuściły okolice bliższe. Druga jaskinia w miejscowości zwanej Megara, na wysokości 1400 *m.* nad poziom morza, od stacyi Iwan kolei żelaznej Serajewskiej o dwie godziny drogi oddalona, przedstawia wspaniałe kopuły, ozdobione stalaktytami i stalagmitami. W niej znaleziono szczątki Ursus spelaeus, pierwsze na półwyspie Bałkańskim. Do dziś jest to ostatni punkt graniczny w kierunku południowo-wschodnim zamieszkania tego zwierzęcia. Jaskinie te zbadał i opisał Fr. Fiola w *Wissenschaftliche Mittheilungen aus Bosnien und der Herzegovina*, Wien, 1893.

W dolinie rzeki Uny, w sąsiedztwie miasteczka Bihacz, odległego od Serajewa o 25 *km.*, w miejscowości zwanej Jezeryna, pod wsią Pritok, znajduje się cmentarzysko. 350 grobów zostało z niego zbadanych; $^3/_5$ zawierały urny z pozostałościami ciał po spaleniu. Reszta — szczątki pogrzebanych ludzi. Oba rodzaje grobów były z sobą pomieszane. Rozmaite przedmioty, znajdowane w tych grobach, pozwalają określić czas, z którego cmentarzysko to pochodzi. Prawie niema broni, ale za to znaczna ilość ozdób ze szkła, kości, żelaza, złota, srebra, cyny, bursztynu, a zwłaszcza bronzu. Kształty typowe ozdób zbliżają jedne do ozdób znanych z okresu halsztackiego, inne do znanych z okresu delateńskiego, więc obejmują prawie cały wiek tak zwany żelazny. Parę okazów bardziej zbliżonych do okazów znanych skądinąd z tej doby, a daty bardziej określonej, wskazują, że to cmentarzysko powstało w V stuleciu przed naszą erą, zostało zamknięte w II naszej ery. Zbadał je i opisał K. Radimski w organie muzeum narodowego: *Glasnik Muzeja*, t. 5, 1893 r.

Bogate to cmentarzysko schodzi na plan drugi w porównaniu z następnem. Na równinie wyniosłej Glazinac, o kilkadziesiąt *km.* ku wschodowi od Serajewa, znajduje się do 20.000 usypanych wzgórzy. Wysokość ich różna, od $^1/_2$ do $2^1/_2$ *m.*, długość jeszcze bardziej, od 2 do 20. Wszystkie zajmują przestrzeń trzech mil kwadratowych. Są to mogiły.

Rozkopanych już i zbadanych jest do 1.000. Z nich trzecia część zawierała urny z popiołami, dwie trzecie ślady grzebania zwykłego. Średnio trzech zmarłych na jedną wypadało mogiłę. Dobywane z nich przedmioty, ozdoby i szczątki garncarstwa pochodzą z okresu halsztackiego prawie wyłącznie, to jest z początków wieku żelaznego. Tylko jeden procent przedmiotów jest wcześniejszy lub późniejszy od tego okresu, więc ze schyłku wieku bronzowego lub początku okresu rzymskiego wieku żelaznego. W takim razie zmarli tam pochowani żyli w pierwszej połowie ostatniego tysiącolecia przed naszą erą. Ale w tym wypadku nietylko starożytność cmentarzyska, więcej jego rozmiary zdumiewają. Pod tym względem jest to jedyne ze znanych dotychczas wogóle.

Jużby te dwa cmentarzyska mogły wyrobić dla Bośni nazwę wielkiego cmentarza. Cóż dopiero, gdy dodamy, że w środkowej lub północno-wschodniej wznoszą się oddzielnie albo grupami mogiły, oznaczane wielkiemi megalitami, niby menhirami, których ilość podają na 59.455 (ścisłość rachunku może być podejrzana). Są to tak nazywane groby Bogumiłów (sekty chrześcijańskiej, wielce prześladowanej przez inne).

Atoli w Bośni nie umierano tylko: są ślady, że i pracować zdołali dawniejsi jej mieszkańcy. W odległości 13 *km.* od Serajewa w kierunku zachodnim, w miejscowości zwanej Butmir, przy kopaniu fundamentów na szkołę agronomiczną, odkryto stacyę kamienną, co znaczy, że obecni mieszkańcy Bośni znaleźli się na miejscu, gdzie przez czas długi, mogący nawet wynosić szereg stuleci, w wieku kamiennym, ciągnącym się przez tysiącolecia, ludzie przedhistoryczni mieszkali i pracowali, a ślad ich pracy w postaci różnych szczątków pozostawał w narastających po kolei na sobie warstwach ziemi.

Obecnie w Bośni ludzie stojący na stanowiskach odpowiedzialnych przed własnem sumieniem i, bądź co bądź, światem, postępują tak, jak im kultura wyższa nakazuje. Zostało założone muzeum narodowe w Serajewie, posiadające, jak już wiemy, swój własny organ, ów *Glasnik*. Roboty archeologiczne, o czem też już wiemy, na całej linii postępują, a jak ze sprawozdań widać, nawet pomyślnie. Ale to dopiero początek, np. rozkopanie 1.000 mogił na 20.000.

Rząd miejscowy, jakby nie dowierzając siłom naukowym miejscowym co do kierunku robót, czy też mając czyste ręce i sumienie i chcąc wypowiedzieć: Oto co robię i jak robię! — urządził zjazd archeologiczny. Zwykle oznacza się czas zjazdu, komitet uchwala programat, uczestnicy zainteresowani się zjeżdżają, wnoszą pewną kwotę na koszty, biorą udział w pracach, po za tem bawią się i utrzymują według własnych środków. Rząd miejscowy postąpił inaczej. Ograniczył liczbę członków, rozesłał nie zawiadomienia, lecz imienne zaproszenia; wpis wszelki zniósł; na koszty przyjęcia sam wszystko łożył — uczestnicy zjazdu stali się jego gośćmi. Akcya przybrała charakter konferencyi. Otóż to nowa forma zjazdu naukowego, o czem wspominałem.

Na 26 osób zaproszonych następni przybyli: z Austryi — Benndorf, Bormann, Pisko, Szombathy; z Węgier — Hampel; ze Szwajcaryi — Fellenberg i Heierli; z Niemiec — Virchow, Ranke, Voss; ze Szwecyi — Montelius; z Włoch — Pigorini; z Anglii — Munro; z Francyi — G. Mortillet, Verneau, S. Reinach. Z miejscowych się przyłączyli, oprócz kilku kwalifikujących się do zjazdu wyższych urzędników, Fiola, badacz wspomnianych jaskiń; Radimski, prowadzący roboty w Jezerynie, a następnie w Butmirze; Hermann, dyrektor muzeum; Hernes, badacz mogił na Glasinacu, i kilku innych.

Oto jak opisuje wycieczkę do Butmiru jeden z uczestników zjazdu: »Kongres miał przed oczyma bardzo wyraźne przecięcie pionowe, wykazujące od dołu ku górze pokłady następne: pierwszy — ziemia dziewicza, glina grubości od 0,90 do 1,10 *m.*, jednolita i zbita, w górnej warstwie gdzieniegdzie przełożona kawałeczkami węgla. Pierwszy ten pokład nie idzie horyzontalnie. W wielu miejscach się wgina i formuje niby miednice, głębokie 0,40—0,60 *m.* i obfitujące w wyroby ludzkie. Ślady człowieka są wyraźne. Ponad ziemią dziewiczą znajdują się warstwy szczątków, dość regularnie ułożone w trzech co najmniej pokładach kolejnych. Pokłady te są od siebie oddzielone cienkiemi warstwami węgli i popiołu, idącemi ściśle poziomo. »»Widzimy tam — rzekł Radimski — na różnych wysokościach warstwy gliny żółtej, potem jeszcze warstwy, grube od 0,30 do 0,40 *m.*, gliny przepalonej, z odciśnięciami kawałków drzewa, po-

chodzącego z chat. Glina przepalona świadczy o istnieniu tutaj mieszkań ludzkich««.

»W czasie naszych pierwszych odwiedzin nie natrafiono na ślady żadnych palów. Jednakże Pigorini i Munro wyrazili swe zdanie, że stoją wobec pewnego rodzaju mieszkań nawodnych (terramarów), nie zaś, jak sądzą Radimski i Hermann, zwalisk kilku wsi kolejno w czasie na jednem miejscu zakładanych. Po bliższem zbadaniu miejscowości i dalszem rozkopywaniu przypuszczenie to zostało odrzuconem.

»G. Mortillet wyraził zdanie, że Butmir nie był stacyą w ogólnem znaczeniu, wioską, lecz pracownią, miejscem wyrabiania rozmaitych przedmiotów. Opierał się on na stosunkowo nieznacznej liczbie kości zwierzęcych, a wśród nich wyłącznie zwierząt domowych. Szambathy poparł to zdanie.

»Przedmioty, znalezione w Butmirze, są to: siekierki z kamienia gładzonego, liczne noże kamienne, drobne przedmioty z krzemienia, wśród nich piękne ostrza strzał, narzędzia kościane, resztki naczyń, częstokroć ozdobionych spiralną linią wypukłą, nakoniec kawałki bardzo ciekawych posążków z gliny palonej. Najważniejszą stronę kwestyi przedstawia czas, z którego pochodzą. Montelius i inni, ponieważ na ślady narzędzi metalowych nie natrafiono, głosowali za okresem neolitycznym. Konserwator muzeum sztokholmskiego był nawet za datą wcześniejszą niż 2000 lat przed erą naszą, opierając się na swojej dobrze znanej teoryi o okresie bronzowym na półwyspie Bałkańskim.

»Naczynia z ozdobami spiralnemi i posążki wzmiankowane wywołały rozprawy ogólniejszego znaczenia, które wielce zajęły kongres. Linie spiralne dowodziłyby wpływów sztuki miceńskiej. Posążki spotęgowały jeszcze to wrażenie. Mianowicie jedna głowa męska z gliny czarnej z uszami wystającemi, inna z gliny czerwonej z czołem cofniętem, czaszką rozwiniętą od przodu w tył, nakoniec popiersie kobiety z gliny czarnej z szyją bez miary długą. Radimski objaśniał, że te przedmioty były znalezione we wzmiankowanych poprzednio zagłębieniach lemu, a więc pochodzą z okresu najwcześniejszego stacyi.

»W biegu rozpraw o tym przedmiocie żaden z uczestników nie przyznawał bezpośredniego wpływu egipskiego,

lecz wielu oświadczyło się za wpływem fenickim. Fenicyanie bowiem mogli docierać do tych okolic dla wyzyskania kopalni metalowych.

»Virchow wykazywał, że północ morza Czarnego może być miejscem, skąd pochodzić mogły te posążki, opierając się na typie ich makrocefalicznym, przypominającym znany ustęp Hipokratesa *(L'Anthropologie*, 5, 1894)«.

Wycieczka do Glazinca dała powód do następującej rozprawy: »Wzniesienie 2.000 mogił na wyżynie tej świadczyć się zdaje, że na tem miejscu niegdyś przebywała znaczna bardzo ilość ludzi. Montelius powątpiewa, by ta ludność mogła się utrzymywać środkami, których dostarczał sam kraj. Przypuszcza więc, że sprzedawali żelazo i inne metale, dobywane z kopalń miejscowych, jak mieszkańcy Hallsztatu sprzedawali sól. »Na to ja (słowa S. Reinacha, autora powyżej wzmiankowanego sprawozdania) odrzekłem, że przeciwstawienie jest uderzające pomiędzy ubóstwem gleby, w Glazincu a ilością i bogactwem mogił; że nadto przypuszczenie o sprzedawaniu żelaza jest niemożebne, ponieważ żelazo jest rzadkie w okolicy; więc wnoszę, że ta wyżyna stanowiła »pole święte« (un champ sacré), miejsce grzebania wspólnego dla kilku plemion ilirskich«. Fiola powstał przeciwko takiemu wnioskowi. Według niego 20.000 mogił, biorąc po 3 ciała na jedną, przedstawia 60.000 zmarłych. Cmentarzysko mogło służyć w przeciągu lat 600, od 1100 do 500 przed nar. Chr., co wynosi 100 zmarłych na rok. Przypuściwszy śmiertelność nie większą jak 1 na 100, otrzymamy ludność średnią 10.000 głów, cyfrę niższą niż przedstawia obecna ludność okręgu Rogatica (24.000), do którego Glazinac należy. Montelius wtedy zauważył, że owe 10.000 mogły tylko przedstawiać arystokracyą, *the upper ten thousand;* jeżeli więc doliczymy niewolników, jak to uczynić należy, cyfra znacznie się podniesie.

»Hernes oświadczył, że na pomysł uznania Glazinca za *campus sacer* i on wpadł poprzednio, lecz do odstąpienia od tego pomysłu następne go względy zmusiły: resztki ogrodzenia kamiennego wskazały, że wyżyna była zamieszkana, że w Bośni znajdują się bardzo wielkie cmentarzyska wogóle. Ja sądzę, — powiada dalej autor — że ogrodzenie kamienne niczego jeszcze nie dowodzi, ponieważ przezna-

czenie owych Ringwaellów jest jeszcze nieznane *(L'Anthropologie*, l. c.)«.

Z natury rzeczy wypadało podjąć jeszcze kwestyę antropologiczną. Owóż dla podjęcia jej znalazł się silny bodziec. Dostarczyły go pomiary czaszek, znalezionych w Glazincu. Dr. Glück przedstawił wymiary 32, które z wielu do zdjęcia wymiarów się nadawały. Dr Weissbach uzupełnił dane, dostarczone przez dra Glücka, danemi otrzymanemi z pomiarów obecnej ludności, w czasie poboru wojskowego, z czego wynika tablica następna: W Glazinac, w czasach współczesnych grzebaniu ciał, na 100 wypadało 76 dolichocefalów, 24 brachycefalów. W okręgu Rogatica obecnie na 100–8 dolichocefalów, 92 brachycefalów. Nadto na 1.500 Bośniaków wogóle dolichocefalów 7, brachycefalów 93. »Więc — wnioskuje Dr. Weissbach — ludność mogił glazinieckich, wśród której przeważał dolichocefalizm, nie jest ludnością obecną« (l. c.). Zaszły więc zmiany wybitne, i to w kierunku brachycefalizmu.

Członkowie zjazdu zwiedzali następnie Han-Sarenac, gdzie się znajdują groby Bogumiłów, zwiedzili jaskinię Megarę, dalej Rusanowic, gdzie trzy mogiły, zawierające, jak się okazało, przedmioty z bronzu, były w oczach ich rozkopane. Następnie, na kilku posiedzeniach wiele o widzianych rzeczach rozprawiali, różnili się między sobą, zgadzali, nawet sobie przymawiali, lub, do czego parę razy był doprowadzony Virchow, przynaglali, z charakteru przewodniczącego, do szybszego zakończenia dyskusyi, czy też głos odbierali mówiącemu.

Rzeczy ludzkie iść mogą tylko torem rzeczy ludzkich. *Ainsi va le monde*, jak głosi przysłowie.

Czy rząd miejscowy, zwoławszy zjazd, był zadowolony z jego rezultatów, czy wzbudzony podziw i zachętę do dalszych poszukiwań przyjął za szczery wyraz przekonań, czy też za należne sobie podziękowanie, tego nie wiem. Dość, że jedna karta z przeszłości Europy została otwartą, a czytać z niej będą jeszcze długo ludzie ciekawi.

Teorya Quatrefages'a
o pochodzeniu ludności polinezyjskiej.

Notatka etnologiczna [1]).

Teoryę swą o pochodzeniu ludności polinezyjskiej ogłosił Quatrefages w pracy specyalnie temu przedmiotowi poświęconej: *Les Polynésiens et leurs migrations,* 1864, którą to pracę streścił następnie w dziele: *L'Espèce humaine* (stanowiącem tom 23 znanego wydawnictwa: *Bibliothèque Scientifique Internationale),* w rozdziale XVII *(Migrations par mer: Migrations polynésiennes, Migrations à la Nouvelle Zelande).* Po upływie lat kilkunastu przypomina ją znowu w odczycie, mianym na posiedzeniu publicznem Towarzystwa aklimatyzacyjnego w r. 1877: *Migrations Polynésiennes,* oraz opiera się na niej w rozprawie: *Maoris et Morioris* (wzmiankowany odczyt, oraz ta rozprawa wchodzą do dzieła: *Hommes fossiles et Hommes sauvages,* 1884). Nakoniec wyniki jej ostateczne podaje w ostatniem swem dziele: *Histoire générale des races humaines,* 1889.

---

[1]) W Nr. 38 z r. 1890 *Wszechświata* był umieszczony artykuł: *Skąd się wzięły ludy Oceanii.* Autor »przytacza nową pracę O. Sittiga o pochodzeniu ludów oceanicznych«, która w wynikach swych zupełnie się zgadza z poglądami na ten przedmiot Quatrefages'a, jako rzecz zupełnie sprzeczną z temi poglądami, a więc je obalającą; a nadto, przypisuje Quatrefages'owi, za wymienionym niemieckim autorem, »nowozelandzką hypotezę«, chociaż Quatrefages stale ją odrzuca i zwycięsko zbija. W celu sprostowania tych wiadomości, notatka etnologiczna: *Teorya Quatrefages'a o pochodzeniu ludności polinezyjskiej,* została wydaną w pomienionem Piśmie, w Nr. 41 i 42 z tegoż roku.

To troskliwe rozpowszechnianie przez Quatrefages'a swej teoryi o pochodzeniu ludzości polinezyjskiej, oraz wprowadzenie jej wyników do dzieła, stanowiącego uwieńczenie kilkudziesięcioletnich studyów nad antropologią i etnografią, ma swoją podstawę zupełnie słuszną. Teorya ta bowiem nie jest przygodną. Nie powstała ona na podstawie jakiegokolwiekbądź odkrycia, które dziś wzbudza podziw, a jutro tonie w zapomnieniu, lecz z zasad, które w nauce przedstawia autor, wypływa ściśle i jest poniekąd tych zasad świetną ilustracyą.

Nietylko wszakże sam autor przywiązuje do prac wymienionych tak wielkie znaczenie. Śmiało rzec można, że stanowią one klucz do poznania dokładnego stosunków etnograficznych Oceanii, a zarazem i do oryentowania się w pracach na tem polu innych badaczów. Quatrefages zebrał w nich skrzętnie i systematycznie uporządkował wszelkie odkrycia i spostrzeżenia, przez podróżników po Oceanii dokonane; zestawił w nich umiejętnie i ocenił trafnie wszystkie pomysły, oparte na faktach, ujawnionych w nauce.

Gdy wyprawy geograficzne nawet we wschodniej, najbardziej odosobnionej części Oceanii, nazwanej Polinezyą, nowych na tem polu odkryć już nie dokonywały; gdy mapa Oceanii przestała już być wogóle zagadką, a oznaczenie na niej prądów morskich i stref panujących wiatrów odsłoniło tajniki nawigacyi po oceanie Spokojnym, nastąpił okres badań nad ludnością.

Już wskutek samego tylko ustroju fizycznego piątej części świata kwestye etnograficzne wzbudzały szczególniejsze zainteresowanie. Przedewszystkiem zagórowało nad innemi pytanie co do pochodzenia ludności: czy jest ona autochtoniczną, czy też napływową? a jeśli napływową, to czy przybyła z zachodu, ze Starego, czy ze wschodu, z Nowego Świata?

Utrzymanie porządku chronologicznego w powstawaniu i upadaniu rozmaitych hipotez ułatwi przedstawienie samej sprawy.

Pierwszą stawia G. Ellis jeszcze w r. 1829 [1]); według

---

[1]) *Polynesian Researches during a residence of nearly six years in the South-Sea Islands.*

niego Polinezya zawdzięczała swą ludność Ameryce. Wiatry i prądy morskie poczęści spowodowały przypadkową migracyę, poczęści ułatwiały dobrowolną. Spostrzeżenie atoli, następnie udowodnione i poparte faktami, że nic niema wspólnego pomiędzy Polinezyjczykami a ludnością amerykańską, naturalnie pierwotną, lub też za taką poczytywaną, zarówno w ustroju fizycznym, jak i obyczajowym, oraz języku, przypuszczenie Ellisa podkopało. Jakkolwiek bowiem w czasie bardzo odległym owo przesiedlenie się odbyć się mogło, powinowactwo rasowe nigdy nie zaginęłoby bez śladu żadnego.

Następnie, znany ze swych poszukiwań po Oceanii śladów zaginionego przed laty trzydziestu kilku *Lapérouse'a*, a również i ze zgonu tragicznego w pociągu płonącym, Dumont d'Urville, wypowiada wniosek [1]), że wyspy, składające obecnie Oceanię, są resztkami przestrzeni lądowych, stanowiących przedtem przedłużenie Azyi w stronę południowowschodnią. Gdy wskutek opadnięcia lądu stałego nastąpiło zalanie tych przestrzeni przez fale oceanu, tylko wyżyny dawniejsze i wierzchołki gór pozostały nad wodą. W takim przeto razie ludność obecna Oceanii przedstawiałaby szczątki ludności dawniejszej, którą los szczęśliwszy, mieszcząc poprzednio po górach i wyżynach, w katastrofie ogólnej ostatecznie oszczędził.

Ale znowu przeciwko tej hipotezie występują fakty. Badania geologiczne Omaliusa i Dany wykazują, że chociaż atole świadczą o obniżaniu się lądu, zato wielka ilość wysp, a wśród nich i Taiti, przedstawia działanie odwrotne, a mianowicie podnoszenie się powierzchni lądowej. A nadto, świat roślinny i zwierzęcy na Oceanii w swych okazach dawniejszych jest zupełnie różny od azyatyckiego.

Przytem zaś, ludność Polinezyi od wysp Tonga do wyspy Wielkanocnej w jednym kierunku, od Nowej Zelandyi do Hawai w drugim, należy do jednej rasy, mówi narzeczami jednego języka, co już podówczas przypuszczano na podstawie licznych spostrzeżeń, a co następnie udowodniono w sposób niepodlegający żadnym powątpiewaniom. Przypuściwszy więc raz, że ludność Polinezyi stanowi szczątki

[1]) *Voyage de l'Astrolabe*, 1834.

tylko ludności lądu stałego niegdyś, a obecnie zatopionego, należy również przypuścić, że ów ląd, którego rozległość przewyższałaby rozległość Azyi całej, był zamieszkany przez jedną rasę, mówiącą jednym językiem.

Przypuszczenie to atoli wobec różnorasowej i różnojęzycznej ludności Azyi byłoby niemożebnem. Zalana Azya przedstawiałaby zjawisko pod tym względem wręcz przeciwne. W stosunku bowiem do rozległości lądu wzrastają różnice wśród jego mieszkańców.

W lat kilka po wystąpieniu Dumont d'Urville'a z hipotezą zalania dawniej istniejącego na miejscu Oceanii lądu stałego, odbyła się wyprawa naukowa na wyspy Polinezyjskie, wysłana przez rząd Stanów Zjednoczonych. Brał w niej udział antropolog amerykański, H. Hale. Otóż po odbytej podróży, która trwała lat cztery, występuje on z trzecią, wobec dwu zachwianych, hipotezą [1]).

H. Hale wykazuje możebność napływu ludności do Polinezyi z Azyi południowo-wschodniej, a właściwie z wysp, tę część Azyi otaczających. Nawet na poparcie swego wniosku kreśli na mapie Oceanii drogi, któremi ta migracya mogła się posuwać, oznacza ważniejsze miejscowości, gdzie się po drodze zatrzymywać mogła.

W miarę poznawania Oceanii, zainteresowanie się jej ludnością wciąż wzrastało. Częstsze i ułatwione podróże pozwalały bardziej się zbliżać do wyspiarzy rozmaitych, badać ich język, poznawać i zbierać podania miejscowe. Wysyłane na główniejsze archipelagi misye chrześcijańskie zajęły się przekładami na języki miejscowe swoich ksiąg świętych. Powstawały więc słowniczki narzeczy miejscowych i zarysy gramatyk. W r. 1853 P. L. Gaussin wydał dzieło, uwieńczone przez Akademię francuską, o języku polinezyjskim, w którym poprzednio spostrzeżone przez podróżników podobieństwo narzeczy stwierdza ostatecznie i wykazuje na formach gramatycznych [2]). Praca ta do czasów obecnych stanowi podstawę studyów lingwistycznych. W roku 1855 G. Grey, następnie wielkorządca Nowej Zelandyi, ogłosił

---

[1]) *United-States exploring expedition during the years* 1838 — 1842.

[2]) *Du dialecte de Taiti, de celui des Iles Marquises, et en général de la langue polynésienne.*

swój przekład zebranych śpiewów historycznych Maorów [1]). Treścią główną tych pieśni jest wędrówka z pierwotnej ojczyzny i zdobycie nowej. W rok zaś później wychodzi obrobienie naukowe w tych pieśniach zawartych podań, oraz ocena ich wartości, jako źródła do historyi wędrówek i kultury [2]). W r. 1862 Jul. Remy wydał w Paryżu Historyę archipelagu Hawajskiego, napisaną przez kilku Hawajczyków, a wydrukowaną na wyspie Maui, w Lahainaluna w r. 1838 [3]). W r. 1859 przepędza na Nowej-Zelandyi dziewięć miesięcy znany przyrodnik niemiecki Ferd. Hochstetter. Oprócz badań nad ustrojem powierzchni, nad florą i fauną miejscową, zajął się zbieraniem pieśni i podań, które ogłosił wkrótce w pomnikowem swem dziele [4]).

Hochstetter nie przyjmuje żadnej z krążących hipotez o pochodzeniu ludności polinezyjskiej, również żadnej nie stawia swojej; z tego jednakże, co utrzymuje o odosobnieniu Nowej Zelandyi i jej mieszkańców, z tego, jak wysuwa na pierwszy plan odrębność językową Maorów, a obniża znaczenie dla historyi ich podań, wnioskować się daje, że się skłania do poglądów autochtonicznych.

Tak więc, w ciągu tych kilkunastu lat od wyprawy amerykańskiej, nagromadziło się sporo materyału naukowego. Można było przystąpić do rozwiązania na ich podstawie kwestyi pochodzenia ludności polinezyjskiej już ze stanowiska ściśle krytycznego. W r. 1864, jak wiemy, wyszło dzieło Quatrefages'a: *Les Polinésiens et leurs migrations* [5]).

Quatrefages jest w antropologii monogenistą. Rozwiązanie kwestyi zaludnienia Polinezyi w tym lub innym kierunku wpłynąć mogło zbyt stanowczo na losy jego teoryi antropologicznych, by mógł pozostać obojętnym dla tej sprawy. Zainteresowanym więc będąc rezultatami kwestyi, sam przystąpił do jej rozwiązania.

---

[1]) *Polynesien Mythology and ancient traditional history of the New-Zeeland race.*

[2]) *Die Wandersagen der New-Seeländer und der Mauimythos.*

[3]) *Ka Mooolelo Hawai. Histoire de l'Archipel Havaiien. Texte et traduction.*

[4]) *Neu-Seeland,* 1863.

[5]) Uzupełniają to dzieło cztery mapy. Jedna z nich podaje plan wędrówek Polinezyjczyków, nakreślony przez Hale'a, uzupełniony przez autora. Inna zaś stanowi podobiznę sławnej »Karty Tupaii«.

Z trzech istniejących hipotez, najbardziej odpowiadała jego zasadom, a zarazem, dla swej trafności, zasługiwała na specyalne zajęcie się, hipoteza Hale'a. Ją więc przyjmuje za punkt wyjścia dla siebie. Zgodziwszy się jednakże na pomysł Hale'a, hipotezę jego rozwija i uzupełnia zupełnie samodzielnie, opierając się na wszystkich wydanych, a nawet nie wydanych [1]) źródłach.

A. de Quatrefages teoryi swej nadaje ostatecznie formę opowieści i nazywa ją, idąc śladem braci Thierrych, opowiadaniem polinezyjskiem, *un récit polinésien.* Przedstawia się ono w głównych zarysach jak następuje [2]):

W ostatniem tysiącoleciu przed erą naszą, na wielkich wyspach centralnych archipelagu Malajskiego, a nadto wśród wielu innych, i na wyspie Buro, panowała rasa mieszana. Złożyły się na nią były różne pierwiastki etnograficzne, przeważała w niej jednakże krew białych allofilów [3]).

Rasa ta była zahartowana w trudach wojennych i pokojowych, przedsiębiercza, dzielna, śmiała. Morze dla niej stało się drugą ojczyzną. Z niej to pochodziły te partye kolonistów, które w wędrówkach morskich dochodziły, w stronę północy do wysp Filipińskich oraz do brzegów Chin i tam osiadały. Ona prawdopodobnie wydała te zastępy zdobywcze, które w VII stuleciu pod dowództwem Ziu-Mu zdobyły Japonię.

Pod koniec owego tysiącolecia, lub na początku pierwszego ery naszej, z wyspy Buro wyszły nowe zastępy wychodźców, ale już w inną zwróciły się stronę: ku wschodowi. Opłynąwszy wyspy Salomona, na trzy podzieliły się głównie oddziały. Pierwszy zatrzymał się na wy-

---

[1]) *L'amiral Bruat, l'amiral Levaud, le général Ribourt avaient profité de leur séjour à Taiti et de leur autorité même pour obtenir des renseignements précis auprès des derniers témoins de la civilisation indigène: Ces pièces inédites avaient été libéralement mises à ma disposition.* Quatrefages. M. P. p. 403.

[2]) *Migrations Polynésiennes,* p. 404 *et sequentes.*

[3]) Quatrefages rasy białe, lub, jak się wyraża, mogące być przyjętemi za białe, dzieli na cztery konary: allofilski, fiński, semicki, aryjski. Następnie, dzieląc konar allofilski na gałęzie: pierwotną, *fossile,* azyatoamerykańską, indonezyjską i kaukaską (trzy pomniejsze pomijam), w gałęzi indonezyjskiej tworzy osobną grupę polinezyjską. *Histoire générale des races humaines,* p. 456.

spach Samoa, drugi — na wyspach Tonga, trzeci dotarł do wysp Fidżi.

Wyspy Samoa i Tonga były już puste. Zajęcie ich nie natrafiło na żadne przeszkody i odbyło się łatwo. Na Fidżi wędrowcy malajscy zastali czarnych kolonistów, Papuów. Pomieścili się jednakże tam i oni i żyli jakiś czas obok siebie spokojnie, pomimo odrębności pochodzenia. Wybuchła wszelako nakoniec między Papuami a przybyszami wojna. Malajczycy, będąc zwyciężeni, ustąpić musieli. Opuściwszy Fidżi i nowych poszukując siedzib, zwrócili się na wyspy Tonga. Tam zastali swych braci, dawniej przybyłych. Przeważając liczbą, czy też może górując sztuką wojenną, nabytą w codziennych walkach z Papuami, ujarzmili dawniejszych przybyszów na Tonga. Tylko potomkom naczelnych przewódców z Buro ojczystego zostawili niektóre przywileje wolnych ludzi; masę zaś ludności przywiązali do roli, w charakterze średniowiecznych w Europie poddanych.

Potomkowie przewódców z czasów wędrówki mieli się za synów bożych i za takich synów przez innych byli uważani [1]). Nie wszyscy więc mogli się przyzwyczaić do roli podrzędnej, wyznaczonej im przez nowych zwycięzców, nie wszyscy zadowolić się tylko cieniem dawniejszej swej powagi. Znaleźli się więc i tacy, którzy przenieśli dobrowolne wygnanie nad poniżenie i zależność. Tradycya dawnych wędrówek odżyła i wielu znowu nad poziom zwyczajnych ludzi wyniosła.

Jeden z takich synów bożych, imieniem Ootaja, mając żonę swą, Ananoonę, za towarzyszkę, opuściwszy wyspy

[1]) Aczkolwiek do morskich wędrówek przyzwyczajeni, poczytywali jednak Malajczycy za cud, wobec trudności, z któremi walczyli, dotarcie do lądu nowego, sobie nieznanego. Przypisywali przeto swoje powodzenie zasługom dowódcy i jego, za wcielenie bóstwa lub syna bożego uważając, stosownie czcili. Ponieważ łodzie (podwójne pirogi), na których dokonywali emigracyjnych wędrówek, niewielką tylko ilość osób mogły pomieścić, a każda łódź posiadać musiała swego naczelnika, przeto w każdej partyi emigrantów liczba takich naczelników była dość znaczna. Z nich po osiedleniu się w danej miejscowości, oraz z ich potomków, powstawała wszędzie klasa uprzywilejowana, czczona przez resztę ludności i wymagająca od niej czci. Dla klasy tej rzeczywiste zasługi przodków stanowiły wieczną rentę, zapewniającą im żywot spokojny, w próżniactwie i szacunku, a nawet czci, dokonywany.

Tonga, popłynął dalej na wschód; następnie, skierowawszy się nieco ku północy, wylądował na wyspie Nukahiwa, jednej z Markizów. Porter, zwiedzając Markizy, poznał w osobie Gattanewy sześćdziesiątego szóstego potomka Ootaji. Przechowana przez tradycyę liczba pokoleń, które przeminęły od Ootaji do Gattanewy, pozwala dojść, w jakim to czasie przybył ów wychodziec z Tonga na Nukahiwę. Stać się to mogło na początku wieku piątego.

Wówczas, gdy Malajczycy na Tonga, tępiąc się w walkach, marnie zużywali swe siły, dla osiadłych na Samoa ich braci nie starczyło już, wskutek rozrodzenia się, miejsca niezbędnego dla istnienia. Emigracya tylko mogła skutecznie zaradzić złemu. Jednemu z zastępów śmiałych wychodźców przewodniczył Oro. Odkryli oni wyspę Rajateę, następnie Taiti i inne z wysp Towarzyskich.

Na nich wychodźcy z Samoa znaleźli wszystkie warunki pomyślnego rozwoju. Wkrótce więc archipelag ten stał się ogniskiem nowego rozprzestrzeniania się Malajczyków, ale już na krańcach wschodnich Polinezyi. Jedni zajęli wyspy Pomotu; drudzy poczęli zdobywać od potomków Ootaji Markizy; inni znowu dotarli na północy do wysp Hawai, na wschodzie do wyspy Wielkanocnej; nakoniec jeden z naczelników samoańskich, nazwiskiem Karika, zajął wyspę Rarotonga, jedną z grupy Manajskiej. Dotarcie to Malajczyków już do krańców Polinezyi odbyło się pomiędzy ósmym a dwunastym wiekiem. Zewnątrz ich posiadłości pozostawała tylko na południu Nowa Zelandya. Ale i na nią kolej nadejść miała wkrótce. Archipelag Manajski leżał na drodze do Nowej Zelandyi.

Pieśni historyczne Maorów dostarczają obfitych materyałów do dziejów osiedlenia się na Nowej Zelandyi potomków dawnych wychodźców z Buro. Wtajemniczają one przytem w szczegóły różne, które rzucają promyk światła wstecz i wykazują, jak się to odbywać mogły zdumiewające wędrówki dotychczasowe.

Na początku piętnastego stulecia niejaki Ngahue, naczelnik wyspy Hawaiki (będzie to prawdopodobnie na mapach dzisiejszych wyspa Armstrong, albo też Buruti, w grupie wysp Manajskich), ściągnął na siebie gniew naczelnika, kobiety Hine-tu-a-hoanga. Jeszcze Wallis i Cook takie

kobiety, stojące na czele plemienia, poznali na Taiti. Musiał więc Ngahue opuścić wyspę i zwyczajem bliższych i odleglejszych przodków szukać po Oceanie nowej siedziby. Nieznany przypadek zapędził go na brzegi Nowej Zelandyi. Znalazł on tam znaczną ilość jaspisu, kamienia na równi ze szlachetnemi metalami cenionego przez jego rodaków. Nagromadził więc tych skarbów i wraca, sądząc, że potrafi za pomocą cennych podarków ułagodzić gniew zawziętej na siebie niewiasty. Tymczasem w czasie nieobecności Ngahue, na ojczystych jego wyspach wybuchła wojna domowa. Zwyciężeni, dowiedziawszy się od powracającego o nieznanych dotychczas wyspach, postanowili opuścić swoją siedzibę, odszukać je i na nich się osiedlić.

Na sześciu podwójnych pirogach wyruszyła partya emigrantów manajskich ku Nowej Zelandyi. Wszystkie statki szczęśliwie dotarły lądu. Tylko jeden, nazwany Arawa, pozostający pod rozkazami Tamy, omal co nie uległ zatonięciu. Niebezpiecznej tej przygody nie spowodowała jednakże nieostrożność dowódcy statku i załogi, lecz czary rozgniewanego na dowódcę głównego kapłana, Ngatoro.

Za tą flotylą niebawem podążyły inne. W krótkim przeto przeciągu czasu wychodźcy manajscy, nazywający siebie Maorami, znaleźli nową ojczyznę.

We wszystkich swych wędrówkach odleglejszych i bliższych Malajczycy okazywali wielką przezorność i dbałość o przyszłość. Na swe pirogi zabierali nietylko stosowną ilość pożywienia, ale również okazy zwierząt domowych, ażeby je w przyszłej swej ojczyźnie hodować i rozmnażać; zabierali nasiona i krzewy, by je zasadzić i uprawiać. Ootoja, przybywszy na Nukahiwę, przywiózł z sobą drzewo chlebowe, trzcinę cukrową i wiele rozmaitych innych roślin. Wychodźcy z Taiti przywieźli z sobą na wyspy Hawai świnię, psa i kury.

I Manajczycy nie odstąpili od przyjętego zwyczaju. Skoro Arawa dotknęła brzegu Nowej Zelandyi, najpierwszą sprawą uszczęśliwionej z przybycia załogi było uroczyste zasadzenie patatu. Pieśń historyczna o przybyciu do Nowej Zelandyi, w dalszym ciągu przesiedlania się z Manajów, Turi z towarzyszami wspomina o wielu pożytecznych roślinach i zwierzętach domowych, a między innemi o psie i szczurze.

Tak więc, razem z ludnością, pochodzącą ze Starego Świata, otrzymała Polinezya dzisiejszą swą florę i faunę.

Fakt ten sam przez się zdumiewa. Osiedlającym się bowiem w Polinezyi Malajczykom nieznane były te sposoby nawigacyi po środkowych przestrzeniach mórz i oceanów, za których pomocą dokonywają się obecnie podróże morskie.

A przytem uderza jeszcze jedna ważna okoliczność. Na całej Polinezyi zachowali Malajczycy wszędzie swą indywidualność rasową, aczkolwiek w wielu miejscowościach zleli się z ludnością obcego sobie pochodzenia. Na wyspach bowiem Hawai i północnych Pomotu znaleźli osiadłych Mikronezyjczyków, na Nowej Zelandyi Papuów, czy też innych Negrów. Ta sama więc właściwość rasowa, dzięki której dokonali tak zdumiewającego dzieła, zapewniła Malajczykom zwycięstwo nad obcemi żywiołami, pozwoliła wchłonąć je w siebie bez szkody, a wszędzie ocalić swój język, wierzenia, obyczaje. A na dokonanie dzieła swego, zaludnienia całej Polinezyi, potrzebowali półtora tysiąca lat.

Z Malajczyków stali się Polinezyjczykami.

W lat sto po dotarciu Polinezyjczyków do ostatnich kresów swojej nowej ojczyzny, Magellan otworzył świat Oceanijski dla Europy.

Opowiadanie polinezyjskie otrzymuje w tem zdarzeniu swój epilog nieprzewidziany.

Wskutek zetknięcia się z Europejczykami, Polinezyjczycy wymierają. Za lat kilkadziesiąt, jak można wnioskować z dotychczasowego od lat stu ubytku, pozostaną tylko po nich wspomnienia w literaturze naukowej i okazy, coraz większego nabierające znaczenia, po muzeach antropologicznych i etnograficznych [1]).

Tymczasem szczęśliwsi od Polinezyjczyków spadkobiercy po nich najpiękniejszych i najbardziej gościnnych na całej kuli ziemskiej dla człowieka krajów, Europejczycy, nie ustają w pracy nad badaniem ziemi i ludzi w przyszłej swej wyłącznie ojczyźnie.

W lat trzy po ogłoszeniu przez Quatrefagesa dzieła: *Les Polynésiens et leurs migrations*, nastąpiło otwarcie Akademii,

[1]) Kwestyę tę podjąłem w pracach: *Ludy na rozmaitych stopniach kultury (Wędrowiec*, 1886 r.) i *Ludy znikłe i ginące (Ateneum*, 1887 roku), które wchodzą do tego zbioru.

założonej przez kolonistów angielskich na Nowej Zelandyi. Stowarzyszenie to naukowe grupuje pracujących nad etnografią i fizyografią kraju, oraz ułatwia im ich zadanie. Coroczne publikacye tej Akademii [1]) stały się obfitem źródłem wiadomości dla pracujących w tym kierunku zewnątrz Nowej Zelandyi.

W. Colenso pomieszcza w rzeczonych publikacyach swoje prace etnologiczne [2]). W nich stwierdza pochodzenie obce Maorów. Ale kwestyę, skąd mianowicie przybyli, pozostawia jeszcze nie rozwiązaną stanowczo. Z tego jednakże, co wypowiada, wnioskować można, że podejmuje hypotezę Ellisa, kombinując ją z hypotezą Dumont d'Urville'a; samą zaś datę zaludnienia Nowej Zelandyi przez Maorów przenosi do bardzo odległej przeszłości. Mówiąc przytem o Maorach, odróżnia współczesnych Maorów od pierwotnych, o których tylko pozostały wspomnienia w podaniach, przez co jeszcze bardziej wikła się kwestya sama.

Następnie H. Lesson [3]) wystąpił z jedną jeszcze hypotezą, która, również jak poprzednia, jest skombinowaną. Autor wprowadza autochtonizm i immigracyę zarazem.

Wychodząc z zasady, że kraj, który wydał sobie tylko właściwe rodzaje w świecie roślinnym i zwierzęcym, nie mógł nie wydać swego człowieka, za kolebkę tego ostatniego uważa Kawai, jedną z dwu wysp składających Nową Zelandyę, a leżącą bardziej ku południowi. Z Kawai dopiero przeszedł człowiek do północnej (Te Ika a Maui), następnie na wyspy Tonga i Samoa; z tych zaś w promieniu po całej rozszerzył się Polinezyi.

Quatrefages prace Colenso i Lessona rozbiera w osobnej

---

[1]) *Transactions and proceedings of the New-Zeland Institute.* Wellington.

[2]) W paru tomach, które mam pod ręką, znajdują się prace następne W. Colenso:

On the Vegetable Food of the Ancient New Zealanders before Cook's Visit.

Historical Incidents and Traditions of the Olden Times, pertaining to the Maoris.

Contributions towards a better knowledge of the Maori Race.

On the fine Perception of Colours possessed by the ancient Maoris (XIII, XIV).

[3]) H. Lesson et L. Martinet: *Les Polynésiens, leur origine, leurs migrations, leur langage. 4 vol.* 1880 — 1884.

rozprawie: *Maoris et Morioris*[1]). Stwierdzając, że żadne nowe odkrycia nie usprawiedliwiają wznowienia upadłych hypotez, pierwszemu przypomina znane nam fakty geologiczne, zbijające przypuszczenie zalania wodą istniejących tam dawniej lądów; przypomina dane etnologiczne, wykazujące różnice pomiędzy Amerykanami a Polinezyjczykami. Co się zaś tycze wprowadzonych na scenę z podań Maorów pierwotnych, to tych Maorów utożsamia z resztkami ludności czarnej, co kwestyę upraszcza stanowczo i rozwiązuje.

Hypoteza Lessona składa się właściwie z dwu: pochodzenie autochtoniczne ludności Nowej Zelandyi i rozszerzenie się jej z tych wysp na całą Polinezyę. Pierwszą zbija Quatrefages swą teoryą monogenistyczną, znaną z Antropologii; drugą — tem, co służyło jemu samemu do uzasadnienia i udowodnienia swojej teoryi zaludnienia Polinezyi. Jedne bowiem i te same fakty, które stwierdzały wędrówkę Polinezyjczyków z północy na południe i wschód, nie mogą dowodzić wędrówek w kierunku przeciwnym, to jest z południa ku północy.

Tak więc, każda nowa praca o pochodzeniu ludności polinezyjskiej, skoro tylko jej autor wyprowadza ową ludność z Azyi południowo-wschodniej lub wysp przyległych (Malajskich), nietylko nie jest sprzeczna z teoryą zaludnienia Polinezyi Quatrefages'a, lecz nawet teoryę ową poniekąd podpiera, stwierdza, uwydatnia.

Rozprawiając o ludności polinezyjskiej nam współczesnej, pamiętajmy zawsze o dwu faktach. Na wyspie Wielkanocnej, inaczej zwanej Waihu (Rienzi), wznoszą się w ilości bardzo znacznej (do 400) menhiry; niektóre z nich dochodzą do 12 metrów wysokości. Fantazya ludzka tym głazom nadała rysy głowy człowieka, wyciosując na nich potwornie długie nosy, otwarte a szerokie usta, ostre podbródki. Na wyspie Tongatabu, w archipelagu Tonga, znajdują się dwa dolmeny olbrzymie, niby bramy tryumfalne,

---

[1]) Na wschód od Nowej Zelandyi, w odległości 700 kil., leżą wyspy Chatam, zupełnie odosobnione. Mieszkańcy ich noszą nazwę Moriori.

z trzech, obciosanych już, złożone głazów. Jedną z nich wieńczy również olbrzymia misa kamienna.

Kto wzniósł te pomniki megalityczne?

Ludność współczesna nam, skądkolwiekbądź ona przybyła, takich pomników wznieść nie mogła. Są one przeto dowodami, a jak na teraz jedynemi tylko, istnienia dawniejszej warstwy ludności na Polinezyi niż obecna, włączając w to i Papuów lub innych Negrów, poprzedzających w kilku miejscowościach Malajczyków.

Kiedy i kto da odpowiedź na to pytanie, przewidzieć trudno. Zapewne w ziemi spoczywają klucze do rozwiązania zagadki. Obecnie możemy tylko powtórzyć z mędrcem starożytnym: *Ars est longa, vita brevis.*

Ludy
na rozmaitych stopniach kultury pierwotnej.

Nie mniejszym niż inne nauki i historya powszechna musi uledz obecnie przeobrażeniom, jeśli ma pozostać ową *mistrzynią życia*, za jaką ogólnie jest uznawana. Każde bowiem naukowe odkrycie rozszerza jej widnokrąg zarówno pod względem czasu, jak i przestrzeni.

Czem jest dotychczas, najlepiej nam wyraża sposób, w jaki powstała.

Powstawała ona z dziejów pojedyńczych narodów, które istnienie swoje zaznaczyły szeregiem faktów, utrwalonych w pamięci własnej i sąsiadów, które wprowadzały zmiany w instytucyach społecznych, język swój wcieliły w utwory piśmienne, wznosiły pomniki artystyczne.

Rdzenną komórką historyi powszechnej stało się to, co Grecy o sobie i o ludach, z którymi zostawali w stosunkach wiedzieli. Dlatego Herodota nazwano jej ojcem. Z wystąpieniem Rzymian na widownię wypadków, przez historyę Grecyi ujętą, przyłączyły się do niej dzieje Rzymu. Chrystyanizm zaś wprowadził dzieje Żydów. Do tak skompilowanych dziejów starożytnych każdy z narodów obecnie istniejących, w miarę podnoszenia się, dołączał dzieje swoje, wysnute z podań i kronik. Przytem duch czasu, a raczej stan wiedzy ogólnej, dokonywał swego.

W przeciągu dwustu paru wieków, które upłynęły od Herodota do Cantù lub Schlossera, najśmielszy oraz najfantastyczniejszy umysł nie mógł się domyślać rzeczywistej starożytności rodzaju ludzkiego na ziemi, oraz warunków,

w jakich na początku swojego istnienia rozwijali się ludzie. Gdzie rozum nie mógł sięgnąć, sięgnęła fantazya. Powstały myty o pochodzeniu ludzi i o pierwotnym stanie ludzkości. A mytom tym przypisano znaczenie faktów dziejowych. Legendy miejsce kronik zatraconych zajęły. Chrystyanizm, skoro tylko wprowadził do historyi powszechnej dzieje Żydów, wyłącznie z mytów hebrajskich, nadawszy im wyjątkowe znaczenie, utworzył prolog do całości.

A nadto, w ludach starożytnych nieznajomość bytu ludów ościennych, niemożność porozumiewania się z sąsiadami wytworzyły nienawiść plemienną. W narodach chrześcijańskich ową nienawiść religia spotęgowała jeszcze. Dla Greka każdy nie-Grek był barbarzyńcą, niegodnym braterstwa: pogardzał nim przeto. Dla chrześcijanina inne narody były poganami lub odszczepieńcami, których nawrócić lub zgładzić należało: nienawidził więc je i tępił. Usposobienie takie tylko sąd mylny o różnych narodach oraz przedstawienie faktów błędne lub oszczercze wywoływało w historyi.

Tak więc, poświęcona głównie rasie ludzkiej przodującej nad innemi, a w obrębie tej rasy przedewszystkiem narodom zwycięskim, historya powszechna przestała być powszechną w znaczeniu, jak dziś możemy to słowo rozumieć, a stała się historyą klasyczno-chrześcijańskiej cywilizacyi.

Wskutek takiego założenia swego bada tylko pewną grupę zjawisk w świecie ludzkim. Wskutek metody wybiera, nawet ze zjawisk społecznych, te tylko, które są w widocznej łączności z sobą i dają się ująć w przyjęty schemat rozwoju. Dla jedności artystycznej ogranicza się ściśle co do miejsca i czasu. Dla systemu przewodniego przynosi prawdę w ofierze.

Nie poznajemy z niej człowieka, tylko bohatera; nie widzimy w niej ludzi, tylko klasy społeczne; przysłuchujemy się nie mowie ludzkiej, lecz utworom piśmiennym; przypatrujemy się nie życiu, jak ono płynie zawsze i wszędzie, lecz momentom dziejowym.

Niema przeto w nich miejsca dla ludzi, o których istnieniu świadczą tylko kawałki krzemienia łupanego, pochodzące z poprzedzających dobę dziejową okresów geologicznych; nie mogą one objąć każdej gromady istot po-

dobnych do nas, mieszkających na krańcach lub w częściach środkowych wielkich lądów i na wyspach, po oceanie Spokojnym rozsypanych, istot, o których tylko tyle powiedzieć można, że tak lub owak istnieją; aczkolwiek nauka zarówno pierwszych, jak i drugich, wprowadza do rodziny ludzkiej.

W taki przeto sposób, obok *dziejów* narodów ucywilizowanych, wytwarzających właściwie samą cywilizacyę, staje *byt* ludów żyjących w stanie zupełnej dzikości lub kultury pierwotnej. Niezależnie więc od *Dziejów powszechnych* powstaje *Historya rodzaju ludzkiego.*

W takiej historyi, którą możemy poniekąd nazwać etnografią, dzisiejsza historya powszechna znajduje swe pierwsze, wstępne karty. Badanie bowiem śladów człowieka w trzecio i czwartorzędowym okresie geologicznym przedstawia chronologiczne podstawy dziejów; poznanie zaś bytu ludów, przebiegających rozmaite stopnie kultury pierwotnej, odsłania rzeczywisty początek naszej cywilizacyi, wykazuje faktyczny i jedyny punkt jej wyjścia.

Przy badaniu atoli bytu powstają zaraz pytania: jakie jest pochodzenie owego ludu? czy stanowi pierwotną ludność kraju, czy napływową? czy jest czysty, nie zmieszany z innym, czy też powstał ze skrzyżowania dwóch, lub więcej niż dwóch, plemion i jakich? Z tych pytań wypływają następnie i inne: które ze składających ludność mieszaną plemion jest dawniejsze w tym kraju? jakie każde z nich wniosło zasoby intelektualne i dobytek moralny?

Badanie przeto bytu ludów prowadzi do wyjaśnienia lub postawienia tylko, co w nauce bywa częstokroć również ważnem, wielu pytań, które w dzisiejszej historyi powszechnej są pomijane lub też błędnie rozwiązywane. Wszak w niej dotychczas genealogia ludów opiera się na legendzie o Noem i trzech jego synach; wszak dotychczas nazwa Chamita obiega jej stronice...

Jak o pochodzeniu i wzajemnych stosunkach rodowych kilku członków jej radzić i mówić stanowczo nie możemy, póki nie poznamy poprzednio wszystkich członków całej rodziny; tak samo o pochodzeniu ras i stosunkach wzajemnych pokrewieństwa pomiędzy sobą rozmaitych szczepów i plemion, ludów i narodów twierdzić nic naukowo niepodobna przed poznaniem całej rodziny ludzkiej, przed objęciem jej jako

jednej całości, a to przez zbadanie pokrewieństwa pomiędzy wszystkimi jej członkami.

Zdeterminowanie pochodzenia każdego ludu, orzeczenie o pokrewieństwie kilku pomiędzy sobą opierać się tylko może na danych, przez antropologię dostarczonych.

I.

Negryci i Papuowie.

Nie tak jeszcze dawno był zwyczaj dzielenia rodzaju ludzkiego na podstawie wyłącznie koloru skóry, czyli jej zabarwienia. Naliczono pięć ras i tak je rozmieszczono: białą — w Europie, żółtą — w Azyi, czerwoną — w Ameryce, czarną — w Afryce, brunatną — w Oceanii.

Podział ludzi, oparty na podstawie koloru skóry, jest wadliwy, gdyż nietylko kolorem różnią się ludy jedne od drugich, a przytem różnica taka jest zupełnie powierzchowna. Antropologowie, odkrywszy wielką rozmaitość w ustroju czaszki i całego szkieletu, wyjaśniwszy różnicę, zachodzącą w stosunku do siebie miarowym wszystkich członków ciała i w ich rozroście, nakoniec, zbadawszy włosy w ich przecięciu i sposobach rośnięcia, inne obecnie podstawy do grupowania ludzi przyjmują.

Również błędnem jest rozmieszczenie według koloru w granicach jednej części świata, gdyż w każdej części świata spotykają się ludzie z rozmaitemi zabarwieniami skóry, a jak obecnie, nie tylko w Europie przeważa rasa biała, lecz i w Ameryce i Oceanii, dokąd w ślad za nią wciska się żółta.

Ludzi czarnych przeto nietylko w Afryce szukać należy. Stanowią oni właściwą ludność jednej części północnej Oceanii, od nich Melanezyą nazwanej. Oprócz zaś tego, znajdują się na wyspach, stanowiących przejście od Azyi do Oceanii, i na południowych kończynach Azyi samej.

Antropologowie, zastosowawszy do owych Negrów oceanijskich sposoby badania, przyjęte w swej nauce, i w nich odkryli zasadnicze różnice, dzielące ich pomiędzy sobą, i wykazali dwa różne typy, czy też plemiona: Negrytów i Papuów.

Wielorakie przyczyny, które w toku rzeczy poznamy, utrzymały oba te plemiona aż do czasów obecnych na najniższym stopniu kultury. W ich więc sposobie życia, w ich ustroju społecznym, w ich rozwoju umysłowym szukać należy pierwowzoru człowieka z doby przedhistorycznej rozwoju cywilizacyi.

1.

Kiedy Hiszpanie zajęli wyspy Filipińskie i, rozpocząwszy kolonizacyę, zaczęli wchodzić w bliższe stosunki z ich mieszkańcami, w Lusonie znaleźli ludność mieszaną, a wśród niej najpierwej wyróżnili tych, którzy im cerą twarzy i włosami przypominali Negrów afrykańskich. Tylko ci podobni do Negrów znacznie mniejszego od tamtych byli wzrostu. Dla tej więc przyczyny nazwali ich *małymi Negrami*, negryto. Nazwa ta weszła w użycie ogólne i dotychczas w antropologii i etnografii się utrzymała. Do cech więc zewnętrznych tego plemienia, czarnej cery i włosów wełnistych, dodać musimy wzrost bardzo mały. Są to najniżsi ludzie ze znanych na ziemi, wyjąwszy wszelako Buszmanów afrykańskich [1]).

Ale nietylko wzrostem różnią się Negrytowie od Negrów. Pomiar czaszek tych ostatnich wykazał, że są oni długogłowi (dolichocefale), Negryci zaś pod względem ustroju czaszki zbliżają się do krótkogłowych (brachycefalów). Dla

---

[1]) W wyróżnieniu wśród ludzi czarnych Negrytów, a następnie w zdeterminowaniu ich właściwości fizycznych, oraz własności intelektualnych, w zakreśleniu granic ich obecnej i dawniejszej ojczyzny, największe położył zasługi sławny naturalista i antropolog francuski, A. de Quatrefages. Jego traktaty:

Etudes sur les Mincopies et la race négrito en général, pomieszczony w *Revue d'Anthropologie* za rok 1872.

Nouvelles études sur la distribution géographique des Négritos et sur leur identification avec les Pygmées Asiatiques de Ctésias et de Pline, pomieszczony w *Revue d'Ethnographie* za 1882 rok.

Można je nazwać klasycznemi w tym przedmiocie pracami. Służą zaś one wespół z jego ocenami krytycznemi dzieł kilku antropologów i podróżników, zebranemi razem w dziele p. t.: *Hommes fossiles et hommes sauvages*, 1884, za główną podstawę w tej pracy.

Negrów wskaźnikiem długości głowy będzie cyfra od 72,54 do 73,40. Dla Negrytów zaś od 78,37 do 82,65, a nawet do 84,00 [1]).

Spójrzmy obecnie na kartę geograficzną Azyi południowo-wschodniej i Oceanii północnej. Potrzebnem nam to będzie dla zakreślenia granic tych przestrzeni, gdzie poszukiwać mamy Negrytów, gdzie ich znaleźć możemy.

Rozpocznijmy od wyszukania wyspy Formozy. Od niej ku północno-wschodowi leży grupa wysp Lieu-Kieu. Od tych wysp poprowadzona linia do brzegów wschodnich Queenslandu w Australii utworzy granicę wschodnią określanej przestrzeni. Ponieważ granica wschodnia ma objąć i Nową Gwineę, linia ta przeto powinna zakreślać łuk zwrócony ku wschodowi. Wyspy Zundzkie będą stanowiły granicę południową, wyspy Nikobarskie i Andamańskie — zachodnią. Północna granica przejdzie po linii, którą połączymy Formozę z wyspami Andamańskiemi. Linia ta wszakże ku południowi znacznie wygiętą być powinna. W obrębie przeto tych granic znajdujemy: Formozę, wyspy

---

[1]) W tem miejscu zapewne przydać się może przypomnienie, na czem właściwie polega ów pomiar. Przeprowadzamy dwie linie, jedną od guza czołowego nad wklęsłością nosową do guza potylicowego z tyłu głowy *(maximum podłużne, diamètre antéro-postérieur)*, więc przez długość głowy; drugą pomiędzy bocznemi ścianami czaszki, stanowiącemi skronie *(maximum poprzeczne, diamètre transverse)*, a więc przez szerokość. Przypuśćmy, że pierwsza linia w milimetrach wyniosła 180, a druga 148, wtedy dla uchwycenia stosunku pomiędzy długością głowy a jej szerokością, liczbę oznaczającą szerokość mnożymy przez 100 i dzielimy następnie przez liczbę oznaczającą długość: $\frac{\text{d. tr.} \times 100.}{\text{d. a. p}}$

Otrzymana liczba w rezultacie będzie właściwie wskaźnikiem. Jak w tym wypadku, wyniesie ona 82 z ułamkiem $\left(\frac{148 \times 100}{180} = 82{,}22\right)$. Otóż te 82 wskazują znaczną szerokość głowy w stosunku do jej długości i pozwalają zaliczyć owo indywiduum do krótkogłowych (inaczej szerokogłowych), brachycefalów (jest to czaszka Szamana Usury).

Ponieważ ten wskaźnik może się wahać pomiędzy 71,49 (wskaźnik dla Australczyków) i 85,7 (wskaźnik dla Lapończyków), przeto ci, którzy mają

od 71,49 do 75	nazywają się	dolichocefale
od 75,01 do 77,76	»	subdolichocefale
od 77,77 do 80,00	»	mesaticefale
od 80,01 do 83,33	»	subbrachycefale
od 83,34 do 85,07	»	brachycefale.

Filipińskie, Moluckie; wyspy Borneo, Celebes, Nową Gwineę, cypel północno-wschodni Australii i półwysep Malajski.

W obrębie tych granic, na tych obszernych przestrzeniach, nie stanowią oni wyłącznie ludności miejscowej. Zbyt piękne i bogate są to kraje, by mogły nie nęcić innych. Negryci stykają się wszędzie z obcemi sobie i rozmaitemi ludami: z malajskiemi na północy, z Papuami w Nowej Gwinei, z australskiemi w Australii. Wskutek tego w dwojakich ich spotykamy warunkach, już to stanowiących ludność skupioną w niektórych miejscowościach, już to, a częściej, rozpryśniętych grupami, mniej lub więcej licznemi, wśród innej ludności. Zetknięcie się przytem do skrzyżowania doprowadziło. Powstały pokolenia metysów, w których stosownie do przewagi liczebnej jednego z dwóch plemion w danej miejscowości, większy lub mniejszy uwydatnia się wpływ jednego lub drugiego.

Widząc Negrytów wśród ludności innoplemiennej, widząc nową ludność powstałą ze skrzyżowania się ich z obcemi sobie ludami, powinniśmy sobie zadać pytanie: która ludność była dawniejszą w rozmaitych krajach, Negryci czy Malajczycy na północy, Papuowie i inni na południu i wschodzie?

Zbyt mało są jeszcze znane i zbadane stosunki etnograficzne w Nowej Gwinei, Australii i na innych wyspach pomniejszych, gdzie spotykamy Negrytów obecnie lub ich ślady w metysach, by można było coś stanowczego orzec w tej kwestyi.

W lepszych pod tym względem warunkach znajdują się kraje, gdzie spotykamy Negrytów w zetknięciu się z plemionami malajskiemi (Borneo, Celebes, wyspy Moluckie, Filipińskie, półwysep Malajski), lub mongolskiemi (Formoza, wyspy Lieu-Kieu). W tych krajach zaś zamieszkują oni tylko miejscowości gorzej od natury obdarzone niż inne sąsiednie, lub mało dostępne, przechowują się po górach, w środkowych częściach wysp, w miejscach błotnistych, lub niezdrowych. Ta okoliczność wskazuje, że ustępowali lepsze ziemie innym, a więc, że ze swych siedlisk pierwotnych byli wypierani przez przybyszów. Byli przeto dawniejszymi mieszkańcami tych krajów niż Malajczycy lub mongolskie plemiona.

Jeżeli byli wypierani z tych miejscowości, gdzie obecnie ich jeszcze spotykamy, lub ich ślady widzimy w metysach, wynika z tego wniosek, że w czasach dawniejszych jeszcze rozleglejsze przestrzenie zajmować mogli, niż obecnie zajmują. Taki wniosek przywiódł A. Quatrefages'a do wielce poważnego odkrycia, prowadzącego do wyświetlenia stosunków etnograficznych Indyi, tak do dziś dnia jeszcze poplątanych i nieodgadnionych.

Kiedy pomiędzy dwoma a trzema tysiącami lat przed erą naszą plemiona aryjskie przedzierały się za Indus i Ganges, kraje, do których wchodziły, a które bardziej przewagą inteligencyi niż siły zdobywały, były już zaludnione. Staczać więc musiały walki. Echo tych walk brzmi w bohaterskich poematach sanskryckich. Ludność przedaryjską w Indyach nauka obecnie obejmuje pod ogólną nazwą plemion *drawidycznych*. Krzyżowanie się Aryów z owymi Drawidami dawało początek nowym pokoleniom metysów i nowym pierwiastkom etnograficznym.

Ale badania dowiodły, że i owi Drawidzi nie stanowili wcale ludności pierwotnej, czystej, niezmieszanej. Owszem, powstali oni ze zmieszania plemion mongolskich, które poprzedziły Aryów w Indyach, z ludnością, którą już w Indyach zastały. Pytanie więc staje w takiej postaci: jaka była ludność Indyi przed przybyciem plemion mongolskich, które poprzedziły Aryów?

Na tak postawione pytanie A. Quatrefages odpowiada, że ludność ową pierwotną w Indyach stanowili Negryci. I udowadnia swoje twierdzenie, wykazując w wielu plemionach, zamieszkujących obie Indye, od Annamu do stoków południowych Himalajów i brzegów Gangesu, cechy zasadnicze Negrytów: cerę czarną, włos kręcący się, wzrost mały, bądź przechowane cząstkowo w metysach, bądź też przez atawizm odradzające się w nich w całej swej potędze.

Autorowie starożytni (Ktezyasz, Pliniusz) w pracach swoich i opowiadaniach o Indyi, wyliczając plemiona zamieszkujące je, mówią o Pigmeach. Ktezyasz opisuje ich nawet. Aczkolwiek jego opis jest przepełniony niedokładnościami, ponieważ tylko powtarzał, co był słyszał, a fantazya ludu w tych wypadkach nie zna nieraz miary i jedną cechę zwiększa, a o innych wcale nie wspomina; jednakże, na co

pierwszy Quatrefages zwrócił uwagę, w ogólnych zarysach zgadza się z obrazem rzeczywistym Negryta. Dla swego przeto twierdzenia, że Negryci stanowili ludność pierwotną Indyi, francuski naturalista znajduje poparcie w autorze greckim.

Antropologowie odkrywają i w Japończykach przymieszkę żywiołu obcego, posiadającego cechy rasy czarnej. Tylko Negryci te ślady pozostawić mogli.

Więc, przenosząc się w głęboką starożytność, cofając się wstecz o lat kilka tysięcy, musimy posunąć bardziej ku północyi granicę przestrzeni, zajmowanej przez Negrytów. Przejdzie ona wtedy od południowej Japonii do zachodnich brzegów zachodniego półwyspu Indyjskiego.

Negryci więc posiadali ten kraj, gdzie następnie wyrosło wspaniałe i bujne drzewo cywilizacyi aryjskiej, gdzie umysł ludzki doszedł najpierwej do abstrakcyi filozoficznych i subtelności teologicznych; kraj, który był zawsze przedmiotem marzeń i pożądań wielkich wojowników wszelkich ras i epok; który, dla nadmiaru bogactw swoich i skupienia w sobie wszelkich ostateczności, wyobraźnię ludzką popycha do szaleństwa; który, nakoniec, przedstawiając swym mieszkańcom najwytworniejsze warunki bytu, pobudza ich do wysiłków woli i rozumu, ale wnet urokiem istnienia uspokaja, rozkoszami, niby czarem, usypia...

Negryci posiadali ten kraj, ale wyparci opuścili, a pozostając, przestawali być sobą.

Dziś, chcąc przedstawić obraz człowieka pierwotnego, lud na najniższym stopniu cywilizacyi stojący, zwracać się musimy do potomków pierwotnych mieszkańców Indyi, lub też do braci tych, którzy pierwsi zajęli Indye.

Właśnie ta okoliczność wymownie nam tłómaczy, dlaczego Negrytów niemasz już w Indyi. Ustąpili silniejszym. Tłómaczy, dlaczego znajdujemy ich w miejscowościach mało dostępnych i najmniej ponętnych. Ustępowali wciąż silniejszym. Byli więc mniej liczni niż mongolskie plemiona, mniej do walki usposobieni i wytrwali w niej niż malajskie. Stan dzisiejszy objaśnia ich przeszłość, przeszłość — stan dzisiejszy.

Tak więc antropologowie rozwiązują lub prowadzą do rozwiązania te kwestye, które nie były dostępne dziejopisarzowi z powodu braku odpowiedniego materyału, których

nawet nie objął lingwista, gdyż dane, na jakich opierać się może język, są trudniejsze do zebrania niż dane konieczne dla antropologa.

Ale, zarzuci kto, stan obecny kultury Negrytów może nie być pierwotnym. To zdziczenie, wskutek właśnie owego wciąż wypierania z miejscowości lepszych przez przemagające siły! Właśnie tylko poznanie bytu współczesnego Negrytów i ich umysłowego uzdolnienia może stać się odpowiedzią na ów zarzut.

Biada tym, którzy nie potrafią utrzymać się przy swojem!...

Z dawnych swych siedlisk wyparci przez turańskie i aryjskie plemiona, z teraźniejszych wypierani przez malajskie, Negryci, na całej przestrzeni, objętej powyżej zakreślonemi granicami, w kilku zaledwo punktach stanowią sami wyłącznie ludność miejscową. Na Filipinach, oprócz wyspy Negros (Bugas), zamieszkują środkowe części Lusonu i Mindanao. Na półwyspie Malakka — góry, przechodzące przez środek kraju. Nakoniec — wyspy Andamańskie, leżące w zatoce Bengalskiej.

Nie doszedłszy do świadomości wspólnego pochodzenia i losów wpólnych, rozdzieleni morzami i ludami obcymi sobie a nieprzyjaznymi, noszą też Negryci wszelkie inne a rozmaite nazwy. W Lusonie zwą ich Aigta lub Inegta, z czego powstało Aeta, i pod tą właśnie nazwą Negryci lusońscy są znani w antropologii i etnografii. W Mindanao zwą ich Mamanua. Na półwyspie Malakka Malajczycy nazywają ich głównie Urang-Utang (ludzie leśni). Sami zaś nadają sobie rozmaite nazwy, oznaczające najczęściej oddzielne pokolenia i rody. Bardziej znane są: Sakai, Semangi, Udai, Gorgai, Kenaboi, Mantra, Bersizi. Wyspiarzy andamańskich zwą zwykle Minkopami.

W tych tylko miejscowościach, będąc bardziej niż gdzieindziej w większej ilości skupieni, mniej mogli uledz wpływom zewnętrznym. Przeto w celu poznania właściwych Negrytów zwrócić się należy do Aetów lusońskich, Minkopów andamańskich i Urang-Utangów malackich.

Nie wszystkie wszakże te ludy znajdują się w jednakich warunkach geograficznych, nie wszystkie są jednakowo dostępne, a przeto jednakowo znane.

Chociaż Europejczycy ze wszystkich Negrytów najpierwej zetknęli się z Aetami, lecz Europejczykami tymi byli Hiszpanie, skorsi do chrzczenia niż do studyów, skorsi do obdarcia i wytępienia niż do naukowego zbadania i opisów.

Inaczej się rzecz ma w innych miejscowościach, zamieszkanych przez Negrytów, gdzie Europejczyków przedstawiali Anglicy, Holendrzy, Francuzi. Zwłaszcza ci pierwsi. W tym wypadku znajdują się Negryci na wyspach Andamańskich i na półwyspie Malakka.

Korzystając z sąsiedztwa z posiadłościami swemi indyjskiemi Anglicy w 1858 r. założyli na jednej z wysp Andamańskich (południowej) kolonię czarną. To wprowadziło ich w stosunki z Minkopami. Dalej, na półwyspie Malakka, zachodnim jej brzegu, zdobyli dwie prowincye (Malakka i Wellesley), a nad krajami, leżącemi pomiędzy temi prowincyami (Perak, Salangora), rozciągnęli swój protektorat. Ta okoliczność *ludom leśnym* zapewniła opiekę rządu angielskiego i ułatwiła do nich dostęp, z czego korzystają podróżnicy rozmaici.

2.

Jakkolwiek ze względów na dające się wykazać ślady Negrytów w Indyi przed i zagangesowej, cofnęlibyśmy w odległej przeszłości granice ich ku północy, a również, przy ściślejszem zbadaniu współczesnych stosunków etnograficznych w Oceanii, posunęli je ku południowi, w każdym razie nie wyjdą one poza koła zwrotnikowe. Negryci więc i w przeszłości i obecnie zamieszkują ten pas ziemi, gdzie już przyrodę nie macochą, lecz matką człowieka wyłącznie nazwać możemy.

Matki atoli bywają słabe i niebaczne.

Niejedna, zaspokajając od lat wczesnych szczodrobliwie wszystkie potrzeby swego dziecięcia, a przyszłego człowieka, nie budzi w nim żadnych pragnień i pomysłów; usypiając ciągłemi pieszczotami jego ciało, utrzymuje umysł w stanie martwej drzemki i wciąż jednakowych wrażeń; usuwając stale niebezpieczeństwa, nie naraża go nigdy na przygody różne, lecz zarazem nie hartuje go, nie rozwija w nim

przedsiębierczości i odwagi. Utrzyma go taka matka przy życiu i w zdrowiu dobrem; wychowa wszelako nie męża, lecz dziecię stare. Taką matką dla ludzi jest przyroda w strefie zwrotnikowej.

Ustępując przybyszom z innych stref siedliska dogodniejsze i obszerniejsze, cofając się przed następującym wciąż wrogiem w miejscowości niedostępne, ograniczone nieprzebytemi zaporami, Negryci pozostawali zawsze w pasie podrównikowym i wszędzie znajdowali te same warunki bytu.

Klimat stały, żadnym zmianom stanowiącym pory roku nie ulegający, szukać schronienia przed chłodami w pomieszkaniach, zdobywać się w ubraniu na środek zaradczy przeciw zmarznięciu, — nigdy nie zmuszał. Mogli przeto nie budować domów, skrzętnie na zimę zaopatrywanych; wystarczały schroniska przed deszczem. Wzniesienie ich nie wymagało wielkiej pracy, ale za to nie były długotrwałe, nie przywiązywały do miejsca, nie prowadziły do żadnych upiększeń. Mogli przytem Negryci wybornie obywać się bez odzieży. To znowu uwalniało ich od troski poważnej, ale nie rozwijało pomysłowości, zaradności, nie wytwarzało upodobań.

Wspaniała i urozmaicona roślinność podrównikowa, bogaty w okazy świat zwierzęcy, dostarczały stale tego samego pożywienia, a co większa, pożywienie to było do spożycia jakby już przygotowane, bez wielkiego zdobywało się wysiłku. Nie potrzebowali przeto hodować zwierząt domowych i troskać się o pokarm dla hodowanych w przewidywaniu, że karmiąc je dziś, na jutro sobie zdobywają pożywienie, gdyż mieli podostatkiem zwierzyny, ryb i ptactwa tuż pod ręką, w każdej porze roku, w każdej miejscowości. Nie potrzebowali zabezpieczać sobie pokarmu roślinnego, siejąc zboża, szczepiąc drzewa, gdyż wszędzie, gdzie tylko się zwracali, stał dla nich otworem ogród owocowy, rozlegały się przed nimi grzędy z warzywem.

Nawet niebezpieczeństwo, zagrażające ze strony silniejszych a krwiożerczych zwierząt zawsze jednakie, przy takich samych środkach obrony pozostawać dozwalało. Raz zdobyta maczuga, urządzony łuk, wynaleziony sposób zatruwania strzał, zawsze swego dokonywały. Dzikie bestye nie stawały się ciągle dzikszemi, ani też silniejszemi; czło-

wiek, broniąc się od nich lub je napastując, nie potrzebował stawać się wciąż przezorniejszym, wymyślać nowej broni lub starą udoskonalać. Dla wyrobienia łuku, zaostrzenia strzały, wystarczały zawsze jednakowe narzędzia krzemienne. Potrzeba metali wcale się nie dawała uczuwać.

Wszędzie przeto, gdzie tylko się utrzymali, Negryci mieszkają w skleconych naprędce szałasach lub domkach, nie o wiele staranniej i trwalej zbudowanych, chodzą zupełnie nago [1]), żywią się upolowaną zwierzyną i ptactwem, złowioną rybą, owocami obficie po drzewach rosnącemi, korzeniami wielu roślin leśnych i polnych. Bronią ich zawsze jest dzida i łuk, z którego celnie zatrute miotają strzały. Narzędziem ich jedynem jest siekierka krzemienna. Użytku metali ani ich wyrobu nie znają wogóle, chyba ci, którzy się z cudzoziemcami stykają bliżej. Jadło przyrządzają w garnkach, na słońcu po ulepieniu osuszanych; przechowują zaś lub przenoszą w noszach i workach z kory lub wiotkich gałęzi plecionych. Wyspiarze (Minkopi) i mieszkańcy nadrzeczni mają łodzie. W tym celu bądź wypalają w pniu drzewa stosowne wyżłobienie, bądź też wykonywają je za pomocą swoich siekierek. Jeżeli zaś tylko idzie o przeprawę przez rzekę lub przebycie po rzece pewnej przestrzeni, kilka związanych z sobą kloców wystarcza im (u Sakajów, Semangów). Ogień rozniecają za pomocą tarcia. Po domach za ognisko im służy warstwa gliny, ujęta w ramy drewniane (takie piece są u Sakajów). Inni, chcąc zaoszczędzić sobie fatygi przy tarciu i przechować czas dłuższy raz rozniecony ogień, podpalają wewnątrz drzewo rosnące. Tleje ono powoli. W grubym i twardym piecu nagromadza się gruba warstwa popiołu, a pod nią żarzą się iskry. Tak tlejące drzewo służy im nieraz za piece do przyrządzania strawy (zwłaszcza Minkopom).

Możność zaopatrzenia się codziennie w świeże i gotowe jadło w uprzywilejowanych ziemiach nie naraża w każdej danej chwili na wielki wysiłek pracy, lecz za to codziennie w jednaki sposób zatrudnia i nie pozostawia zupełnie wol-

---

[1]) Minkopom odzienie w pewnych wypadkach zastępuje błoto: chcąc bowiem zabezpieczyć się od ukąszeń owadów na noc, grubą jego warstwą ciało swoje pokrywają.

nego czasu. Rolnik odpoczywa zimą. Hodowca trzód zna już podział pracy. Silniejszy potrafi już wyręczyć się słabszym. Zdolniejszy kieruje mniej zdolnym. Łowiectwo tylko i rybołówstwo nie daje odpoczynku i pochłania najlepsze siły. Myśliwy i rybak sam i zawsze w sposób jednaki zajętym być musi. Ponieważ nie potrzebuje, a co większa, nie może robić żadnych zapasów na przyszłość, nie zaoszczędza sobie przeto pożywienia na jutro i nie zna, co to jest odpoczynek zupełny, długi; nie zna, co to jest myśl nie zaprzątnięta niczem, swobodna, lekka, przenosząca się z przedmiotu na przedmiot.

Wolna tylko chwila od zajęć pozwala człowiekowi oderwać się od biegu życia codziennego, zwrócić się ku przedmiotom innym, niż bezpośrednio zaspokajające pierwsze potrzeby. Praca zdobywa pożywienie, czas wolny przynosi ozdoby. Pierwszym krokiem, prowadzącym do sztuki, jest przyozdobienie przez człowieka siebie lub przedmiotu jakiego do niego należącego. Wyrabianie ozdób staje się pierwszem polem twórczości człowieka.

Ozdoby, używane przez Negrytów, są tak proste i pierwotne, jak ich cały żywot. Najważniejsza polega na osłonieniu bioder i przepasaniu głowy. Kora drzewna i włókna roślinne, z których plotą nosze i worki, dostarczają im materyału na przepaski do tego potrzebne. Przepaskę do bioder zastępują im nieraz poprzywiązywane do sznura pęki traw rozmaitych, w kształcie krótkiej spódnicy, zwieszającej się naokoło ciała. Takie pęki trawy noszą Aeci jeszcze na nogach, poniżej kolan przywiązane, co formuje niby daszek okrągły nad łydkami. Kobiety za uszy wkładają sobie kwiaty, a nawet całe łodygi pokryte kwieciem. Różnokolorowe ziarnka, nawiązane na sznurki z włókien, ozdabiają szyje oku płci.

Pochodzenie rasowe obdarza Negrytów bujnemi włosami, ale tylko na głowie: zarosty mają słabe wogóle. Głównie Sakaje pielęgnują swe włosy. Zwykle podnoszą je wszystkie do góry i opaską ze zwieszającemi się końcami przewiązują; układa ta przepaska włosy nakształt beretów lub czapek wysokich bez daszka. Minkopowie głowy sobie golą i dopiero na ogolonej kładą opaski, Czynność golenia załatwiają zwykle kobiety. Zamiast brzytew używają od-

łamków krzemieni lub szkła, które im morze na brzegi wyspy wyrzuca.

Sztuki tatuowania się nie posiedli dotychczas. Po wyschnięciu i odpadnięciu błota, którem się na noc obmazują, czy też po obmyciu się z niego, Minkopowie nacierają swe ciało kredą lub czerwoną farbą, bądź całkowicie, bądź w pasy podłużne lub poprzeczne.

Łowiectwo i rybołówstwo niewielką, i to ograniczoną liczbę ludzi wyżywić w danej miejscowości może. Wogóle przeto Negryci żyją w drobnych gromadkach. Tych atoli gromadek, aczkolwiek drobnych, nie stanowią już zebrani przypadkowo w pewnej ilości i również wskutek przypadku w rozmaite strony rozbiegający się nieznani sobie i obcy ludzie. Jest to już społeczeństwo, którego zawiązkiem — rodzina, skojarzona według obrzędu, ze zwyczajów powstałego i za konieczny uznanego, oparta na wzajemnem przywiązaniu członków i wymianie wzajemnych usług.

Na tworzenie się większych lub mniejszych gromad wpływają warunki miejscowe. Wyspy Andamańskie pod tym względem przedstawiają inne, niż Malakka i Filipiny. Wyspy są płaskie i niezupełnie pokryte lasami. Malakka zaś i Filipiny tylko w swych częściach górzystych i leśnych udzielają schronienia Negrytom. Tworzenie się większych gromad zależy od łatwości przenoszenia się z miejsca na miejsce i wolnych do zajęcia obszarów. Na wyspach Andamańskich tworzą się przeto większe gromady, niż w innych miejscowościach. Liczą tam one zwykle od kilkudziesięciu do kilkuset osób. Na górach, gdzie oprócz przeszkód znajdowanych w nierówności gruntu, potrzeba jeszcze zdobywać każdą piędź ziemi przez wycinanie drzew, gdzie z wielką usilnością powstrzymywać należy wegetacyę, wszędzie się z pod ziemi bujnie wydobywającą, gromady Negrytów są znacznie mniejsze i wynoszą tylko od kilku do kilkudziesięciu osób. Składa je więc jedna, kilka, lub kilkanaście rodzin.

Każda z większych gromad uznaje władzę jednego przewódcy. W mniejszych owym przewódcą jest ojciec rodziny.

Gromady Negrytów, czy to wskutek świadomości o grożącem wszystkim niebezpieczeństwie, czy też może wskutek

właściwości usposobienia, uwydatnionej w całej przeszłości, żyją z sobą w zgodzie. Wojen pomiędzy sobą nie prowadzą, a wszelkie zatargi załatwiają polubownie, na sądzie złożonym ze starszych. Może też na zgodność ową wpływa ta okoliczność, że małżeństwa muszą się kojarzyć najczęściej przez przechodzenie indywiduów z jednej gromady do drugiej, lub co najmniej z jednej do drugiej rodziny.

Ponieważ małżeństwo nie tylko łączy dwie jednostki, lecz i dwie rodziny, lub nawet rody, a stanowi związek społeczeństwa, pewne obrzędy poprzedzają jego zawarcie i towarzyszą mu; połączenie odbywa się jawnie, w oczach całej gromady.

Dorastający młodzieniec u Minkopów, po spożyciu uroczyście pewnego gatunku ryby, zwanej *gum-dah*, otrzymuje nazwę *gummo*, co ma oznaczać: mający zamiar ożenienia się. Musi więc udowodnić siłę swej woli, nabyć umiejętności zastosowania się do innych ludzi. W tym celu przez rok cały podlega stałym przepisom co do swoich zajęć i pożywienia. Miodu jeść mu już nie wolno. Jeśli jest rybakiem — łowi ryby po dawnemu, ale połów oddaje na użytek rodziny, sam zaś żywić się może tylko mięsem zwierząt. Jeśli jest myśliwym, poluje — zdobycz oddaje rodzinie, sam zaś żywi się wyłącznie rybami. Młode dziewczęta, po dojściu do dojrzałości, noszą pewne kwiaty, co je odróżnia od kobiet zamężnych i niedojrzałych.

Zwyczaj nie zabrania wielożeństwa lub dwużeństwa, ale się ono rzadko praktykuje. Swoboda zupełna panuje w stosunkach pomiędzy młodzieżą płci obojej. Ponieważ atoli na tej swobodzie gorzej zawsze wychodzić mogą kobiety niż mężczyźni, przeto w każdej gromadzie do jednego, starszego wiekiem, wybitniejszego powagą usposobień, należy opieka nad młodemi kobietami. On czuwa, by mężczyźni wypełniali swe w danym razie zobowiązania, popiera wymagania opuszczonych, on związuje ręce dwojga przy uroczystości ślubnej. To właśnie związanie rąk stanowi cały obrząd.

Po obrzędzie młodzi małżonkowie udają się w osamotnioną zupełnie jaką miejscowość i przebywają tam dość długi przeciąg czasu. Po powrocie witani bywają śpiewami, tańcami i ucztą. Dzieci w rodzinie bywa rzadko więcej nad

dwoje lub troje; są zaś one zawsze przedmiotem miłości wielkiej i pieczołowitości ze strony rodziców.

Do zajęć kobiety w rodzinie należy zwykle budować i pokrywać schroniska, przynosić wodę, w okolicach nadbrzeżnych łowić służące do pożywienia skarupiaki, dźwigać ciężary w czasie wędrówki gromady, golić, nacierać farbą lub kredą i dozorować w chorobie męża. Mężczyzna broni kobietę od natarczywości obcych, sporządza broń i narzędzia rybackie, zdobywa pożywienie dla całej rodziny.

3.

Jeśli do zbadania życia zewnętrznego ludów obcych wystarcza podróżnikowi pewna, dająca się zresztą nabyć przez wprawę, umiejętność patrzania na ludzi i przedmioty do nich należące, całkiem inaczej się rzecz przedstawia gdy idzie o życie wewnętrzne, umysłowe. W tym wypadku przypatrywanie się nie wystarcza, staje się nieodzownem porozumiewanie. Porozumiewać się zaś możemy tylko za pomocą mowy.

A czem są języki owych ludów? Kombinacyą dźwięków, dla nieobytego trudną najczęściej do złowienia, a zawsze uzupełnianą gestami. Kombinacyi tej żadne nie ujęło prawidło, nie utrwaliły żadne znaki piśmienne. Powstawać, tworzyć się ona może w danem pokoleniu i wraz z niem ginąć, jak powstają liście na drzewach z wiosną, a giną na zimę.

Jeśli pewna grupa etniczna wskutek właściwości swoich fizyologicznych i psychicznych wytworzy własny język, to ten język będzie tylko w ogólnych swych podstawach wspólny wszystkim ludom, tworzącym ową grupę. W miarę rozpleniania się tych ludów i koniecznego zajmowania coraz większych przestrzeni, powstają narzecza rozmaite, rozpadające się z kolei na różne gwary. Ilość gwar dorównywać częstokroć może ilości gromad w danym obrębie.

Na powstawanie coraz nowych gwar wpływa nie tylko tworzenie się jednych gromad a znikanie drugich, ale jeszcze odosobnienie, w których te gromady żyją. Wskutek tego jedno i to samo zjawisko, w dwóch gromadach sąsiednich spostrzeżone, może zostać rozmaicie w każdej nazwane.

Dany zaś wyraz, przechodząc przypadkowo z jednej gwary do drugiej, może utracić pierwiastkowe swe znaczenie, a przybrać nowe, różne od tamtego.

Gdy przybysz z Europy przez długi pobyt w jednym kraju i przez bliższe, niż to zwykle bywa, stosunki z krajowcami doszedł do możności porozumiewania się z nimi mową, porozumiewać się on będzie mógł tylko z tymi, z którymi się właściwie zetknął. Z sąsiadami ich pójdzie mu już trudniej. Po przebyciu zaś pewnej odległości, chociaż zawsze znajdować się będzie pośród tego samego ludu, umiejętność zdobyta przestanie już mu być przydatną. Uczyć się musi nowego dlań języka [1]).

Ponieważ wskutek tych przyczyn nie zawsze się udaje zbadać życie umysłowe każdego pojedyńczego ludu, przeto należy się posługiwać nieraz metodą znaną anatomom, którzy mając sobie daną jedną część szkieletu, lub nawet kość jedną z niego, odtwarzają z niej całość.

Język Negrytów, a raczej języki Minkopów, Aetów, Urang-Utangów, złożone z narzeczy rozmaitych, rozpadadających się z kolei na liczne gwary, nie są znane. Dopiero w ostatnich czasach liczniejsi podróżnicy, wśród których rzadko się jednak zdarzają filologowie, zaczęli układać listy wyrazów, spisywać rozmowy, zaznaczać zwroty oryginalne. Ponieważ znajomość języka Negrytów nie otworzy nam świata wewnętrznego tych ludów, nie wtajemniczy w ich pojęcia, należy przeto chwytać objawy zewnętrzne niedostępnego dla nas świata wewnętrznego, jak się one w faktach zwykłych i prostych objawiają i do nich

---

[1]) Językoznawstwo jako nauka nie objęło jeszcze nietylko języków drobnych ludów rozsianych wśród innych, jak np. Negrytów, ale nawet głównych języków piątej części świata, Oceanii, zarówno dla braku materyałów, jak też i dla trudności usystematyzowania już zebranych. Współcześni więc podróżnicy i badacze są pozbawieni wszelkiej w tym względzie ze strony tej nauki pomocy. Zdobywać sami muszą wszystko. A gdy przyszli znajdą się pod tym względem w lepszych warunkach, gdy będą w możności, wybierając się w podróż, zaopatrzyć się w słownik lub gramatykę nieznanych dzisiaj języków, ludów, które temi językami mówią, może już nie stanie.

Chcąc obecnie zbierać wiadomości o językach ludów oceanijskich, należy szperać po wydawnictwach etnograficznych i antropologicznych, ale jeszcze nie po filologicznych.

dla objaśnienia zastosowywać przez analogię teorye, oparte na całym szeregu spostrzeżeń, gdzieindziej dokonanych, objęte w jeden systemat naukowy.

Naprzykład. Minkopi i Sakaje nie znają w swych zupełnie różnych językach wyrazów dla oznaczenia liczb wyższych, pierwsi od *trzech*, drudzy od *czterech* [1]). Dla wyrażenia kilku Minkopi pokazują całą rękę, lub wymawiają wyraz ją oznaczający; dla wyrażenia kilkunastu, kilkudziesięciu mówią: *wiele, bardzo dużo.* Sakaje liczby wyższe od czterech przyjęli od Malajczyków, naturalnie ci tylko, którzy z nimi są w stosunkach bliższych.

Ten fakt, wykazujący brak zupełnie abstrakcyi w ich pojęciach, pozwala przytem na podstawie analogii wywnioskować, że napróżno szukalibyśmy w ich językach takich wyrazów, a więc w ich umyśle takich pojęć, których wytworzenie może się odbyć tylko na podstawie takiego procesu myślowego, jaki wytwarza pojęcie liczby wyższej od trzech lub czterech.

Dany przedmiot lub osoba będą nosiły zawsze tylko jedną nazwę: bądź to rodzajową, jeżeli są dla nich dalekie, obojętne, bądź też indywidualną, jeżeli poznają bliżej. Z chwilą nadania im nazwy indywidualnej, tracą one już rodzajowe. Dla oznaczenia człowieka w rozmaitych okresach jego życia mają Minkopowie dwadzieścia rozmaitych nazw, głównie obrazowo wystawiających zajęcie lub właściwości; nie mają za to tak ogólnych, jak dziecię, młodzieniec, mąż dojrzały. Nie mają wyrazu żonaty, dzietny, lecz: żonaty *od dni kilku*, żonaty, *ale nie mający jeszcze dzieci*, żonaty *mający jedno dziecko*, żonaty *mający więcej niż dwoje dzieci.* Stopnie pokrewieństwa oznaczają Minkopowie kilkunastu wyrazami. Mają więc takie: *mego ojca siostry mąż; syn w latach trzech, pięciu; brat starszy, siostra młodsza*, ale nie znają ogólnych: krewny, powinowaty, syn, brat, siostra.

Negryci (Sakaje, Minkopi, Mantra) ciała zmarłych otaczają czcią. Jedni grzebią, drudzy mieszczą w miejscach mniej dostępnych, by ochronić od pożarcia przez ptactwo

---

[1]) W języku Minkopów *jeden* jest ubatul, *dwa* inkpor; w języku sakajów *jeden* — nej, *dwa* — nal, *trzy* — ne; *cztery* (ampat) wzięte już z malajskiego.

lub dzikie zwierzęta; jeszcze inni palą razem z chatą, należącą do zmarłego[1]). Pomijając część obrzędową, zależną od zwyczajów rodowych, zawsze te fakta wykazują *kult zmarłych.* Kult zmarłych, będąc wynikiem pewnych już pojęć (przedstawienia sobie w człowieku duszy materyalnej, ale od ciała oderwanej, życia pośmiertnego człowieka), prowadzi do ważnych instytucyi społecznych i religijnych. Negryci, powstrzymywani w rozwoju, do tych instytucyi nie doszli, ale znając kult zmarłych, wstąpili na drogę ku nim wiodącą.

Negryci (Sakaje) noszą pewne przedmioty przy sobie, mające ukryte znaczenie. Są to talizmany. W talizmanach przechowuje się siła odpędzająca złych duchów. Noszący

---

[1]) Materyałem dla studyów antropologa są ludzie. Bada ich żywych, bada i szczątki ich. Badanie szczątków uzupełnia badanie żywych. Zdobyczą przeto najponętniejszą dla podróżników, przebiegających kraje nieznane w celach studyów antropologicznych, są szkielety i czaszki. Chociaż łatwiej je zdobyć niż żywe okazy, ale i ich zdobycie połączone bywa z niebezpieczeństwem i trudami.

Dr. Montano opisuje tak poszukiwanie szkieletu Mantry. Plemię to grzebie swoich zmarłych w miejscowościach dzikich, odległych od pomieszkań, »by zmarły nie dosłyszał piania koguta«. Chcąc więc znaleźć grób, potrzeba przebiegać lasy, trzymając się jak najdalej od osad ludzkich. »Wyjechałem z Kesang nad ranem, przewodnikiem był jeden Montra, nazywający się Pang-lima. Błądząc wśród lasów, wpadliśmy niespodziewanie na osadę. Należało oddalać się jak najśpieszniej, by nie wzbudzić podejrzenia. Ale nieszczęście chciało, że w miejscowości, gdzie mógł być grób, spotkaliśmy całą rodzinę Mantrów. Nie pozostało nic innego, tylko zapytać o grób i skłonić do pokazania go podarkami. Głowa rodziny, starzec poważny, odrzucił wszelkie dary, i o ile mu starczyła znajomość języka malajskiego, obrzucał mię złorzeczeniami. Następnie, w swej już mowie, zwrócił się z przekleństwami do przewodnika... Jednakże jakiś inny starzec, wpólidyota wprawdzie, za kilka cygar i parę szklanek wódki wskazał grób... Wykopawszy szkielet, jeszcze z większą ostrożnością należało przedzierać się z powrotem. Pang-lima wzdrygał się nieść zdobycz, a następnie usiąść obok niej na wozie, który już w nocy w osadzie pod Kessang nająłem... Nazajutrz zapytał on Chińczyka, w jakim celu podjąłem taką fatygę. Chińczyk, udając świadomego, wytłómaczył, że w swym kraju za pomocą czarów przywracam szkieletowi życie. »O, w takim razie, — zawołał przekonany Pang-lima — wnet przyniosę mu szkielet matki mej«. Zaledwie udało mi się go przekonać, gdy się z tem zwrócił do mnie, »że Chińczyk nie powiedział prawdy«. *(Quelques jours chez les indigènes de la province de Malakka, Revue d'Ethnographie* za rok 1882).

przeto talizmany wierzą w istnienie duchów, posiadają możność przeciwdziałania ich niewidzialnej potędze.

Wiara w duchy wykazuje, że człowiek począł spostrzegać rozmaite objawy życiowe i odróżniać jedne od drugich. Jedne, których przyczyny były dla niego widoczne, które sam spowodował i o tem nie zapomniał, nie robiły na nim wrażenia. Inne zaś, daleko liczniejsze i ważniejsze, których przyczyny pozostawały mu nieznane, które go trwożyły, podziw w nim wzbudzały, szkodziły mu i groziły, przypisał potędze niewidzialnych istot, duchów. Wszystko, czego pojąć nie zdołał, tłómaczył sobie wolą i siłą owych istot. To odróżnianie jednych objawów od drugich jest najważniejszą czynnością budzącego się umysłu. Od niej rozpoczyna się rozwój jego. Przypisanie przyczyn nieznanych zjawisk duchom nadaje kierunek owemu rozwojowi umysłowemu.

Wiara w istnienie duchów prowadzi do odróżniania szkodliwych, a więc złych duchów, od dobrych, do odróżniania wyższych od niższych. Zasiewa więc w duszy zasadnicze pojęcia etyczne, a przenosząc w sfery niewidzialne stosunki społeczne, uczy hierarchii, wzmaga potęgę władzy każdej, gdyż się z czasem okazuje, że świat duchów nie jest odbiciem stosunków społecznych ludzkich, lecz ludzkie stosunki odbiciem stosunków świata duchów, a więc, że wszelka siła wśród ludzi ma swe oparcie w sile duchów, a najpotężniejszy człowiek jest przedstawicielem na ziemi najpotężniejszego ducha, czasami nawet jego specyalnym tworem, dziecięciem, a zawsze blizkim mu i przez niego wyłącznie protegowanym i strzeżonym.

Wiara w istnienie duchów, zlewając się z kultem zmarłych, wytwarza obrzędy. Obrzędy stają się nowem polem dla twórczości człowieka. Budzą w nim poczucie piękna wyższego niż to, które daje upiększanie siebie lub przedmiotów bezpośrednio do niego należących, podtrzymują i kształcą upodobania artystyczne. Z takich obrzędów powstał *hymn*, a następnie *rapsod* Homera. Dla celów obrzędowych wznosili Grecy swe świątynie, wystawiali tragedye, Fidyasz wyrzeźbił swojego Zeusa.

Tak, kawałek kości lub kamienia, posiadający czarodziejską moc odpędzenia złego ducha i łamania jego siły,

zawieszony na szyi Negryta, wraz z kilku sznurami różnokolorowych ziarnek, wyróżnia dzikiego człowieka od innych stworzeń i wykazuje już wyjątkowe jego stanowisko w całej przyrodzie. I Negryci noszą na obliczu swem nigdy nie zatarte, a łatwo dające się odgadnąć piętno człowieczeństwa!

Za rozwojem atoli kultury podąża rozrost liczebny. Na wyspach, w przestrzeniach okrążonych górami, porosłych lasami, tylko pewna liczba przy zawsze jednakim stanie przemysłu mieścić się i żywić może. Urang-Utangi malaccy, nie uczuwając potrzeby wyrąbywania drzew, by lasy zamieniać na pastwiska i pola orne, mogące ich większą nakarmić ilość, zawsze *ludźmi leśnymi* pozostawać musieli. Pozostając atoli ludźmi leśnymi, rozpleniać się nie mogli.

Jeżeli przeto, cofając się ciągle przed przybyszami, Negryci zawsze znajdowali te same warunki bytu, które pozwalały im istnieć bez żadnych trosk o jutro i pracy dla zabezpieczenia sobie tego jutra, a więc pozostawać stale na tym samym stopniu kultury, to z drugiej strony owo ustępowanie z miejscowości obszerniejszych i dogodniejszych wpływało ujemnie na ich rozrost liczebny. Istnieli, ale się nie rozpleniali. A nawet przy ciągłym naporze pozostawać zawsze w tej samej ilości nie mogli. Istnieją, ale są skazani na zagładę.

Te same przyczyny muszą wywołać skutki te same, bez względu na nazwę geograficzną miejscowości, w której znajdujemy Negrytów. To samo więc im grozi na półwyspie Malajskim, co na Lusonie lub Andamanach.

4.

Negryci, owi Pigmeje Ktezyasza i Pliniusza, trzymali nas jeszcze na krańcach południowych Starego Świata. Papuowie — przenoszą do Nowego. Za nimi wkraczamy do Oceanii.

Od wieku zaledwo badana i dostępna dla większej liczby podróżników, od pół wieku dopiero częściej zwiedzana, a dotychczas prawie w stosunku do swej rozciągłości nie zaludniona, piąta część świata obecnie coraz bardziej nęci i zaciekawia mieszkańców Europy. Badacz przyrody znajduje tam nieznane sobie jeszcze gatunki zwierząt i roślin;

pokłady ziemi nową kartę tworzenia się jej pozwalają mu odczytywać. Badacz człowieka i stosunków ludzkich spotyka w Oceanii nowe rasy i rozmaitość wielką plemion i ludów. Zdeterminować tamte, rozwikłać pochodzenie tych staje się dla niego zadaniem odpowiedniem przygotowaniu naukowemu. Byt wszystkich ludów, pierwotny, prosty, przenosi go w czasy przedhistoryczne, rozwiązuje niejedną wątpliwość dziejową. Podróżnik ogląda wielce malownicze, a wskutek układu powierzchni ziemi i przewagi wód nad lądami, nigdzie dotychczas niespotykane krajobrazy, których urok podnosi jeszcze w wielu wypadkach przekonanie, że to on je pierwszy ogląda, albo że niewielu przed nim już je widziało. Kolonista osiedla się tam na urodzajnej glebie. Wyjątkowo zdrowy klimat wzmacnia siły, uzdalnia go do pracy i zabezpiecza zdrowie i życie całej rodzinie, z którą się rozstaje zwykle dopiero w późnej starości. Wykolejony losem ma przed sobą możność szybkiego wzbogacenia się i zatryumfowania nad przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi, w każdym zaś razie łatwe zapomnienie przeszłości w zupełnie odmiennych warunkach bytu. A przywiązany pracą i obowiązkami do miejsca, z rozkoszą choć w marzeniu tylko przenosi się do krajów, gdzie przyroda bogactwem swem hojnie zaopatruje wszelkie potrzeby człowieka, pięknością czarowną zachwyca i przywiązuje do siebie, a dobroczynności jej nie zmniejszają żadne groźne niebezpieczeństwa, związane z miejscowością; gdzie go nie gnębią, nie duszą i nie miażdżą żadne instytucye, którym niedbalstwo lub obłąd dawnych pokoleń, brak w nich przezorności i wiedzy dozwoliły gdzieindziej wzrosnąć i utrwalić się, gdzie wskutek tego człowiek nie stąpa po grobach, nie błąka się wśród więzień jawnych i zamaskowanych, lecz ze spokojem na teraźniejszość, z ufnością na brzask nowej cywilizacyi spoglądać może; gdzie nakoniec rzeczywista harmonia wszystkich warunków bytu pozwala dopiero prawdziwy poczuć urok istnienia.

W Oceanii, tylko w Oceanii, urzeczywistnia się przeto wymarzony stan ludzkości, pod nazwą złotego wieku powszechnie znany, a przez legendy na początku, przez wielu filozofów pod koniec istnienia człowieka na ziemi mieszczony. Chcąc dowodów, popatrzmy na wyjątkowo pomyślny wzrost kolonii angielskich w Australii, Tasmanii i Nowej Zelandyi;

poznajmy świetny rozwój społeczny ich mieszkańców i na nim oparte uzdolnienie zarówno do pracy umysłowej, jak fizycznej, oraz gotowość do podjęcia się wszelkiego poważnego zadania, prowadzącego do wzmocnienia potęgi człowieka [1]).

Ale urzeczywistnianie się to jest tylko chwilowe. Groźne i nad Oceanią zawisły wypadki. Za przedstawicielami rasy aryjskiej wciska się już wszędy pracowitszy od nich i oszczędniejszy, wytrwały, potulny, a w potomstwo bogaty Chińczyk. Już państwa europejskie, dla wyłącznej eksploatacyi Oceanii każde w swych różnorodnych celach, gotują się do walki z sobą, a nim wystąpią gotowe, by orężem przemódz jedno drugie, próbują swych sił w dyplomatycznych utarczkach.

---

[1]) W roku 1771 mieszkańcy Nowej Zelandyi zamordowali dowódcę naukowej ekspedycyi francuskiej, Marion du Fresne, razem z 16 marynarzami i pożarli. Byli to dopiero drudzy Europejczycy, którzy od roku 1643 zawinęli do ich brzegów. W r. 1814 osiedliła się na Nowej Zelandyi misya angielska. W roku 1838 kolonia angielska liczyła zaledwie 2.000 mieszkańców.

Obecnie zajmują cały kraj Anglicy. Liczba ich dochodzi do 600,000. Miasta są pobudowane według wszelkich zasad hygieny. Drogi żelazne przecinają wyspy we wszystkich kierunkach. Podwodny telegraf łączy z Europą przez Sidney, a statki parowe, odpływające regularnie, z całym światem. Do tysiąca szkół niższych publicznych, ćwierć tysiąca prywatnych, wyższe szkoły specyalne, uniwersytet kształcą młode pokolenia we wszystkich kierunkach wiedzy ludzkiej współczesnej. Towarzystwa naukowe w liczbie 6, połączone na wzór Akademii francuskich, tworzą Instytut, którego roczniki, wydawane pod t. *Transactions and proceedings of the New Zealand Institute,* znajomią mieszkańców i cały świat naukowy z tym tak ciekawym krajem. Piękne tablice, ilustrujące rozprawy przyrodnicze, współzawodniczyć śmiało mogą z tego rodzaju wydawnictwami paryskiemi i londyńskiemi.

Anglicy nowo-zelandzcy mają konstytucyę wielce liberalną. Zapewnia ona im zupełny samorząd, a więc parlament własny i ministeryum. Parlament jest złożony z dwu izb: izby deputowanej i rady prawodawczej. Według konstytucyi, rząd centralny mianuje tylko naczelnika kraju i członków rady prawodawczej. Ale i ten cień zależności od Metropolii cięży im. Wespół z innemi koloniami angielskiemi w Oceanii dążą i oni do zupełnego oderwania się od państwa Wielko-Brytańskiego i do utworzenia Stanów Zjednoczonych Oceanijskich.

Krajowcy (Maorowie, do 45,000) dla obrony swoich praw i interesów wysyłają do izby czterech deputowanych, wybranych z pośród siebie, a oprócz tego posiadają osobnego ministra, także krajowca.

Na krańcach północnych Oceanii, więc ze strony Azyi, u jej wrót leży wyspa. Rozmiarami dorównywa połączonym razem Francyi i Anglii. Kształtem zaś przypomina ptaka z obciętemi nogami. Dwa półwyspy przylegające do podłużnej płaty lądu ze strony zachodniej, to niby szyja i głowa, a jeden długi od wschodu — niby ogon wyciągnięty owego ptaka. Okrąża wyspę ze wszech stron ocean Spokojny. Przez całą długość przechodzi pasmo gór wysokich. Spływające z nich wody, tworząc liczne potoki i rzeki, w odwrotnym ją znowu, gdyż poprzecznym przerzynają kierunku.

Wyspa ta jest ojczyzną ptaka rajskiego i główną siedzibą Papuów, stanowiących drugą gałąź rasy czarnej, po za granicami Afryki zamieszkałej.

Wskutek swych znacznych rozmiarów jest ona mniej niż inne wyspy Oceanii, zwłaszcza wewnątrz, zbadana. Wskutek czujnej zapobiegliwości państw europejskich, by u wrót Oceanii żadne wyłączne państwo nie zyskało przewagi, niema na niej kolonii europejskich, i większa część jej brzegów jest wolna, nie zajęta dotychczas [1]).

Odkryli wyspę naszą Portugalczycy w dwu wyprawach, sięgających początków XVI stulecia (1511 i 1526 rok), i nazwali Papuazyą, od nazwy nadawanej przez Malajczyków jej mieszkańcom. Następnie w temże stuleciu zwiedzali ją kilkakrotnie Hiszpanie. Ci zaś nazwali ją Nową Gwineą, ponieważ mieszkańcy przypominali im kolorem swojej skóry mieszkańców Gwinei afrykańskiej. Nadana przez Hiszpanów nazwa bardziej się przyjęła. Po Hiszpanach przyszła kolej na Holendrów. W XVII wieku zwiedzali oni Nową Gwineę i od strony swych posiadłości morskich zajęli jej brzegi (zachodni i południowo-zachodni). W XVIII i XIX stuleciach do wybrzeży Nowej Gwinei przybijali wszyscy znakomitsi

---

[1]) Tak przynajmniej było do roku 1886, kiedym to pisał. Obecnie, według karty Nowej Gwinei, przyłączonej do dzieła von Bülowa pod tyt. *Deutschlands Kolonien und Kolonialkriege,* 1900, wyspę tę podzieliły pomiędzy siebie trzy państwa europejskie. Zachodnia do 141 południka (od Greenwich) należy do Holandyi. Środkowa, pomiędzy 141 a 148, do dwóch państw: północna jej część do Niemiec, pod nazwą: Kaiser Wilhelms Land; północna do Anglii. Również do Anglii należy i pozostała część wschodnia.

podróżnicy francuscy i angielscy (Bouguinville, Cook, d'Entrecasteaux, Dumont d'Urville, Wallace, Earl). Najwięcej jednakże do zbadania i do rozpowszechnienia prawdziwych wiadomości o tym kraju i jego mieszkańcach przyczynił się kilkoletni pobyt w nim podróżnika i naturalisty rosyjskiego Mikłucho-Maklaja [1]). Przed kilku laty, rząd niemiecki północno-wschodnie wybrzeża Nowej Gwinei ogłosił za swoje posiadłości.

Papuowie, jak i wszystkie ludy, stojące na nizkim stopniu kultury, nazwy obejmującej cały swój ogół nie znają, ponieważ nie doszli do poczucia jedności plemiennej. Każda ich gromada nosi przeto osobną. Wyraz *papua*, pod którym są znani, oznacza w języku malajskim *kędzierzawy*.

Antropologowie tak nam przedstawiają ich postać: Wzrostu są średniego, znacznie wszakże wyżsi niż Negryci i nawet Malajczycy. Dobrze a nawet atletycznie zbudowani. Kończyny mają wysmukłe, nogi płaskie. Skóra koloru sadzy, ale przybiera odcienie jaśniejsze. Włosy czarne, suche, kędzierzawe, rosną kupkami, co jest widoczne zwłaszcza u młodych; rozrastając się u starszych, nadają głowie podobieństwo do miotły. Stąd pochodzą wyrażenia: *Papuas*

---

[1]) Na ten kilkoletni pobyt złożyły się cztery wycieczki Mikłucho-Maklaja na Nową Gwineę. Po raz pierwszy zawitał w r. 1871, zamieszkał na brzegu północno-wschodnim i przebywał miesięcy 15. Na pamiątkę tego pobytu od jego nazwiska zostało nazwane wybrzeże na przestrzeni 250 km. wzdłuż. W r. 1874, podczas drugiej bytności, zbadał południowo-zachodnie wybrzeża. Pobyt wtedy trwał miesięcy 4. W trzecim znowu zamieszkiwał na północno-wschodnim brzegu w przeciągu miesięcy 17. Nakoniec w czwartym zwiedzał południowo-wschodnie strony oraz wysepki rozsiane w cieśninie Torresa. Współcześnie zasilał wszystkie europejskie pisma naukowe poświęcone antropologii i etnografii rozprawami, do których treści dostarczały mu osobiste badania i spostrzeżenia.

Prace Mikłucho-Maklaja wraz z poprzednio wydanemi Wallace'a *(The Malay Archipelago, a narrative of Travels with studies of man and nature)*, Earla *(The native races of the Indian Archipelago, Papuans)* i Albertisa *(New-Gwinea, What I Did and what I Saw)* stanowią podstawę wiadomości naszych o Nowej Gwinei i jej mieszkańcach. Wskutek sąsiedztwa ze swemi posiadłościami oraz dawnego władania zachodnią częścią wyspy, Holendrzy najwięcej się zajmują Nową Gwineą. Ale prace ich uczonych z przyczyny mało rozpowszechnionego języka nie są wszystkim dostępne.

à tête de vaudrouille, Mop-headed Papuans. Brody rosną im gęste, uwłosienie całego ciała jest znaczne. Przytem są oni wybitnie długogłowi [1]). Ale przy znacznej długości, czaszki ich są wysokie zarazem, a wązkie (dolichocefale i hypsistenocefale), i ku tyłowi głowy pochyłe. Uwydatnia się to szczególnie w kształcie czoła. Arkady nadoczne wystają, wskutek czego oczy wydają się zapadłemi. Na całej twarzy atoli uderza przedewszystkiem nos, wystający, duży, szeroki u podstawy, zgarbiony lub w łuk zagięty pośrodku; chrząstka nozdrzowa wystaje w nim nad nozdrza same. Nosy te na pierwszy rzut oka zbliżają Papuów do typu semickiego. Prognatyzm widoczny, zwłaszcza szczęki górnej. Wargi są grube i odstające. Podbródek w tył cofnięty. Budowa czaszki i nos wybitny nadają całej twarzy kształt podłużny.

Jeszcze jedna osobliwość w budowie anatomicznej Papuów zwraca powszechnie uwagę. Palec wielki u prawej nogi jest oddalony w swej podstawie od następnego o dwa milimetry. Pozwala to Papuom podejmować nogą do góry rozmaite przedmioty, a nawet mogą zastępować nią rękę przy wielu czynnościach, jak np. obieraniu bananów, łowieniu ryb.

Chód Papuów jest bardzo charakterystyczny. Mężczyźni, chodząc, wyciągają naprzód i stawią tylko prawą nogę, lewą zaś ciągną po ziemi, wcale jej nie podnosząc. Kobiety znowu po zrobieniu każdego kroku poruszają biodrami. Taki chód uznają za wielce powabny i wprawiają się w to od dzieciństwa. Ale chodzą tak jedynie wobec mężczyzn. Gdy są same wyłącznie, pociągają za sobą lewą nogę, stąpając jak mężczyźni prawą.

Daje się nadto spostrzegać w Papuach pewne specyalne uzdolnienie do snu. Zasypiają o każdej porze dnia i spać mogą przytem kilkanaście godzin z rzędu. Zainteresowani zaś zabawą lub rozmową czuwają noce całe.

---

[1]) Na 311 zmierzonych przez antropologów czaszek papuaskich (głównie przez Meyera i Mantegazzę — 241; Albertisa i Flowera — 41) wskaźnik dla 288 pozwala zaliczyć je do dolichocefalów i subdolichocefalów. Wyjątkowo zdarza się spotkać taką ilość jednolitych czaszek, i to, co jest w tym wypadku jeszcze ważniejszem, zebranych z rozmaitych stron tak obszernego kraju. Dowodzi to, że Papuowie nie ulegli przymieszce krwi obcej (*Revue d'Anthropologie* za r. 1883, str. 495).

Papuowie stanowią wyłącznie ludność Nowej Gwinei. Negryci wśród nich są tylko nielicznemi rozsypani gromadami, przytem głównie w głębi kraju. Innych zaś pierwiastków etnicznych podróżnicy tam nie znajdują. Nadto zaludniają Papuowie sąsiednie wyspy, leżące ku wschodowi i na południe, jak oto: Archipelag Salomona, Hebrydy, Nową Kaledonię.

Jakkolwiek te wyspy od koloru skóry Papuów, jako głównych mieszkańców, otrzymały swą nazwę ogólną (Melanezya, wyspy czarne), jakkolwiek zawsze główny stanowią oni na tych wyspach żywioł etniczny, wszelako nie pozostali na nich wolni od wpływów Polinezyjczyków [1]), zarówno wskutek zkrzyżowania się z nimi, jakoteż i naśladownictwa w kulturze. Dla poznania przeto właściwych Papuów zwrócić się przedewszystkiem należy do Nowej Gwinei. I co większa, na niej wyłącznie ograniczyć się przytem można.

Według kilku wyliczeń, opartych naturalnie tylko na przypuszczeniu, ilość Papuów na Nowej Gwinei może wynosić do pół miliona.

5.

Papuowie również jak Negryci nie przekraczają w swych siedliskach strefy równikowej. Te same przeto na nich, co i na Negrytów, oddziaływają warunki klimatyczne, Jednakże w kulturze Papuów widzimy znaczny, i to w każdym kierunku, postęp. Przyczyn zjawiska tego szukać należy poza sferą owych warunków.

Papuowie w głównej swej siedzibie, na Nowej Gwinei, byli sami wyłącznie panami kraju. Malajczycy, najstraszniejszy wróg w tamtych stronach rasy czarnej, nie uzyskali dostępu na wyspę. Władza sułtana malajskiego z Tidor i Ternat, wasala holenderskiego, nad kawałkiem północnego wybrzeża Nowej Gwinei jest zupełnie nominalna i ogranicza

[1]) Polinezyjczycy stanowią osobny typ ludności oceanijskiej. Pochodzenie ich dotychczas jest jeszcze kwestyą sporną w nauce. Monogeniści, na których czele stoi A. de Quatrefages, widzą w nich Malajczyków *(Les Polynésiens et leurs migrations,* 1 v.). Przedstawicielem innej teoryi o ich pochodzeniu jest A. Lesson *(Les Polynésiens, leur origine, leurs migrations, leur langage,* 4 v.).

się tylko poborem daniny od mieszkańców. Nie rzeczywistszą jest też władza samych Holendrów na zachodniej części wyspy. Ośmnaście posterunków militarnych utrzymuje pod protektoratem 14,000 nadbrzeżnych mieszkańców. Jeden fort opuszczony i zaniedbany (Dubos), drugi zaprojektowany, lecz jeszcze nie wzniesiony, nie mogą szerzyć grozy koniecznej w tym wypadku. Początek dany kolonizacyi niemieckiej przez zajęcie przez rząd niemiecki części północnowschodniej Nowej Gwinei sięga czasów bardzo jeszcze niedawnych, by mógł wywrzeć jakikolwiek bądź wpływ stanowczy na kulturę mieszkańców i ich stosunki wewnętrzne. Więc gdy Negryci ustępowali przybyszom lepsze części zajętego poprzednio przez siebie kraju, a sami cofali się w lasy i góry, lub na niewielkie wysepki, Papuowie korzystali z zupełnej swobody na obszarach, równających się Francyi i Anglii razem wziętych.

Mając niczem nieograniczone przestrzenie na swój wyłącznie użytek, łączyć się mogli w większe gromady. Łączenie się w większe gromady ułatwiało osiedlanie się w jednej miejscowości. Osiedlanie się prowadziło do zmiany bytu. Rolnictwo zastępowało po części łowiectwo i rybołówstwo. Trwałe, stosunkowo wygodne i obszerne domy zastępowały wędrowne szałasy, naprędce sklecone i szczupłe.

Jakoż Papuowie, zamieszkali w północnej i wschodniej części wyspy, są już rolnikami. Uprawiają ryż, pataty, tytuń. Osiedleni nad wodą, domy swoje budują na wodzie, częstokroć nawet dość daleko od brzegu, na wysokich palach. Takie domy są obszerne i dają schronienie kilku naraz rodzinom. Osadę nawodną łączy z lądem most.

Życie osiadłe, wprowadzając zmianę w pożywieniu, robi koniecznem używanie trunków i narkotyków. Papuowie żują tytuń i z rośliny *piper methusianum* przygotowują upajające soki *keu*. Możność wywoływania dowolnego w organizmie pewnych sensacyi, a w usposobieniu przewidywanych zmian, urozmaica już żywot wegetacyjny i udelikatnia system nerwowy.

Łączenie się w większe gromady wywołuje podział pracy. Podział pracy, zaoszczędzając czas i siły pewnej części społeczeństwa, pozwala kilku zdolniejszym jednostkom czas ten i siły skierować na przedmioty oderwane,

co przygotowuje życie umysłowe, budzi popędy artystyczne, prowadzi do twórczości.

Papuowie w upiększaniu siebie poszli dalej niż Negryci. A upodobanie w niem tak dalece wkorzeniło się w nich i rozwinęło, że nie wahają się przyozdabiać się kosztem niewygód, a nawet dotkliwego cierpienia. I tak, z wielką starannością pielęgnują włosy swoje. Jedni ciągle czesząc, rozstrzępiają je naokoło głowy i nadają im kształt miotły, drudzy w cienkie lub grube splatają warkocze, któremi następnie obwijają głowy, lub w kształcie frendzli spuszczają koło niej; inni zaś z włosów tworzą sztuczne na głowie piramidy.

Mężczyźni prześcigają kobiety w staranności pielęgnowania włosów. A ponieważ mają do roboty jeszcze z brodą, więcej niż kobiety poświęcają na to czasu. Żeby raz pomyślnie starannem uczesaniem ozdobioną głowę utrzymać czas jak najdłuższy w porządku, udając się na spoczynek nie kładą się, lecz siadają, a głowę podpierają o stosowne podpórki. Dla urozmaicenia zmieniają nawet za pomocą wapna lub proszku z muszli barwę czarną włosów na blond lub rudą.

Papuowie chodzą zupełnie nago. I jeśli przepaski biodrowe, używane przez nich, nie przewyższają materyałem i rozmiarami takiej przepaski u Negrytów, za to ozdabiają siebie większą ilością naszyjników, naramienników i obrączek. Przekłowają uszy, by wkładać w nie kolczyki. Przekłowają chrząstkę nozdrzową, by przez nią przeciągać długie pałeczki z bambusu lub kości. Oprócz tego namazują ciało, a zwłaszcza czoło i policzki, czerwoną lub białą farbą i dochodzą do tatuowania. To ostatnie jest wielce bolesne. Ponieważ nie znają sztuki nakłówania, jak sąsiedni Polinezyjczycy, więc narzynają na ciele rozmaite linie i koła, albo pewne wzory wypiekają rozżarzonym węglem.

Upodobanie w ozdabianiu przenoszą na przedmioty należące do siebie. Wszystko, co mają pod ręką, co służy do najprostszego nawet użytku, pokrywają delikatną i staranną rzeźbą. Wykonywanie wzorów rysunkowych za pomocą krzemienia lub kości na przedmiotach twardych uzdolniło ich do rysowania węglem na białych tablicach drewnianych. Raz zdobyta sztuka rysowania oddaje im bardzo

ważne usługi. Zastosowana do życia, pozwala im upamiętniać ważniejsze wypadki z niego. Są więc na drodze do wynalezienia pisma, do przechowywania w pamięci faktów, z których składają się dzieje. Rozwinięcie jednego zmysłu pociąga za sobą rozwój drugiego. Umiejętność chwytania i następnie odtwarzania kształtów zewnętrznych przedmiotów rozmaitych nie jest łatwiejsza od umiejętności chwytania, uporządkowywania i naśladowania dźwięków. Papuowie znają śpiew i muzykę. Głównemi ich instrumentami są: piszczałki z bambusowych gałęzi, trąbki z muszli i bębny, wyrabiane z kłód wydrążonych drzewa i obciąganych następnie skórą wężową. Kobiety i dzieci mają sobie wzbronione używanie tych instrumentów. Zakaz ten podnosi znaczenie muzyki.

Papuowie podobnież, jak i Negryci, nie mają wcale wspólnego języka. Każdy ród, a nawet każda rodzina mówią odrębnem narzeczem. Trudność poznania języka przeszkadza wtajemniczeniu się w ich życie umysłowe i stosunki społeczne. Są jednakże pewne fakty, świadczące o ich wyższości nad Negrytami.

Liczą do trzydziestu. Znają kilka konstelacyi, któremi się kierują w nocnych po morzu wędrówkach. Dzielą rok na miesiące księżycowe, których połowa stanowi porę musonów wschodnich, połowa zachodnich. Więc w pojęciach swych doszli do większej abstrakcyjności. Religia ich opiera się na dwóch zasadniczych podstawach: wierze w istnienie złych i dobrych duchów i kulcie zmarłych. Ale i tu przy porównaniu z religią Negrytów dojrzymy większego rozwoju. Negryci znają tylko przedmioty, oddalające złego ducha i słowa krępujące jego władzę — znają talizmany i zaklęcia; dla dobrych zaś mają modlitwę. Papuowie oprócz tych, posiadają jeszcze inne sposoby oddziaływania na duchów, oddalania złego, ubłagania dobrego, a te sposoby polegają na zapomnieniu swego interesu, na poddaniu swej przyjemności lub użytku wyższemu celowi. Papuowie poświęcają duchom rozmaite przedmioty, które, należąc już do nich, tem samem nie mogą już należeć do ludzi i być im pożytecznemi. Prowadzi to do składania ofiar, rozwinięcia strony obrzędowej w religii, utworzenia kasty kapłanów.

Technika rzeźbiarska, rozwinięta w celach upiększania różnych przedmiotów, także oddaje znakomite usługi na

tem polu. Po śmierci zmarłego ojca rodziny, przed uroczystem pogrzebaniem zwłok, rzeźbią z drzewa jego podobiznę. Nazywa się ta podobizna *Kerwar*. Staje się ona własnością syna, który ją przechowuje aż do śmierci swojej. Wtedy kerwar ojca niszczą i zastępują go nowym, wyobrażającym świeżo zmarłego. Już krok tylko, by taki kerwar stał się obrazem ducha, przedmiotem świętym, dla którego potrzeba osobnego przybytku, świątyni, osobnych stróży i opiekunów, kapłanów.

Do instytucyi kapłanów prowadzą w taki sposób dwie drogi, które początkowo wychodzą z dwóch różnych punktów, ale pod koniec schodzą się w jednym.

Tak więc jest tylko kwestyą czasu, by religia Papuów, rozwijając się drogą naturalną, doszła do tego stopnia, na którym znajdujemy religie narodów starożytnych na początku okresu dziejowego.

Nie tylko wszakże kerwar przypomina żyjącym zmarłego. Po pewnym przeciągu czasu, gdy po pogrzebaniu ciała nastąpić już mogło zgnicie jego, odkopują pozostałości. Szczęka górna przechodzi wówczas do najbliższego krewnego. Otrzymawszy ją, zaczyna nosić jako bransoletę.

Byt społeczny opiera się na rodzinie.

Po dojściu do dojrzałości, co zwykle następuje pomiędzy 13 a 15 rokiem życia, młodzieniec, podległszy przynajmniej w niektórych rodach obrzezaniu, żeni się. Zaślubiny odbywają się bez żadnych większych ceremonii. Poligamia nie jest wzbroniona, ale rzadko się spotyka. Również rzadkie są, wskutek zapewne zwyczaju zawierania wczesnych małżeństw, związki płciowe zewnątrz rodziny. Płodność kobiet niewielka. Liczba dzieci nie przechodzi 2 lub 3. Karmienie trwa trzy, cztery lata.

Po za rodziną, jako druga forma społeczna, istnieje gromada. Na pozór gromady nie znają władzy niczyjej nad sobą. Naczelników niema i wszelkie interesy ogólnego charakteru załatwiają się na zgromadzeniu ogólnem. Ale w istocie rzeczy ulegają one władzy zdolniejszych i wybitniejszych osób, których zdanie zawsze na takich zgromadzeniach zwycięża.

Urządzenie życia i stosunkowo znaczny dobrobyt dodatnio wpływa na charakter i usposobienie Papuów. Są oni

w większości żywi, weseli; zdolności umysłowe dość rozwinięte; z łatwością uczą się obcego języka; żywo się interesują tem wszystkiem, co przyjeżdżający biali posiadają i robią. Instynkty społeczne najbardziej się uwydatniają w stosunkach ku sobie w jednym rodzie lub gromadzie jednostek różnych płcią i wiekiem. Stosunki te zwykle są oparte na wzajemnej życzliwości i pobłażaniu. Dzieci zwłaszcza nigdy nie są karane, a jednakże są bardzo posłuszne i skromne.

Dalej, instynkty te uwydatniają się również w uroczystościach i zabawach. Dotychczas religia nie położyła na nie jeszcze swego piętna. Mają przeto one charakter wyłącznie towarzyski. Mieszkańce kilku osad w liczbie kilkuset łączą się z sobą w pewnych, określonych odstępach czasu i przepędzają z sobą pospołu kilka dni i nocy na tańcach, około rozłożonych ognisk, na śpiewach przy akompaniamencie muzyki. Takie uroczystości są dość częste. Najbardziej ożywiona odbywa się wśród ludności rolniczej pod koniec zbiorów polnych, w styczniu. W dziewięć miesięcy po niej przypadają prawie wyłącznie wszystkie wypadki urodzeń.

Stosunki przyjazne wśród członków jednego rodu wyczerpują niby zapas cały instynktu społecznego u Papuów. W stosunkach rodów do siebie występuje w całej grozie i jawności niczem nie poskromiona brutalność, niepohamowana krwiożerczość. Rody wiodą z sobą ciągłą wojnę, urozmaicaną podstępnemi napadami, wszelkiego rodzaju gwałtem i rozbojami. Zasada odwetu, panująca wszechwładnie w tym kraju, ciągle wywołuje nowe zatargi i walki, podtrzymuje wciąż rozdrażnienie i nienawiść.

Aczkolwiek Papuowie są panami w Nowej Gwinei, nie potrafili jednakże ustrzedz się całkowicie od zetknięcia z obcemi sobie plemionami. Mieszkańcy nadmorskich okolic północnych opłacają, jak wiemy, daniną swoją niezależność. Inni — przyjąć musieli protektorat holenderski. Jeszcze inni weszli w stosunki handlowe z Malajczykami i Europejczykami. Otóż wykazane strony dodatnie i ujemne Papuów uwydatniają się wśród tych, którzy pozostali zupełnie niezależni, którzy w żadne nie weszli stosunki z wyższymi od siebie kulturą. Pierwszym objawem wpływu obcego staje się wyraźne przytępienie umysłowe, wynędznienie fizyczne.

Czy okoliczność ta, wykazana przez etnografów nietylko na Nowej Gwinei, miałaby jedynie udowadniać owego dawnego twierdzenia fizyków, że przyroda skoków nie znosi? czy też w owej, przynoszonej Papuom cywilizacyi, kryje się coś takiego, co niszczy, do kogo się zbliży, upadla, kogo dotknie, zabija kogo ogarnia, kim owładnie?

II.

Australczycy.

Poszukując ludów, stojących obecnie na rozmaitych stopniach kultury pierwotnej, niepodobna zatrzymać się u wrót Oceanii. Owszem. Piąta część świata, wskutek swych warunków geograficznych i historycznych, nęcić nas w tym celu wyjątkowo, jak to słusznie wnosić można, powinna.

Złożona wyłącznie z wysp rozmaitej wielkości, począwszy od Australii, dorównywającej prawie rozmiarami Europie, a skończywszy na kilkuset mniejszych od niejednego miasta europejskiego, Oceania wielu ludziom dostarczała schronienia, które nietylko zabezpieczało je od napaści wrogów, ale nawet okazało się przez długi czas niedostępnem wszelkim obcym wpływom, chociażby one pożądanemi być mogły dla postępu kultury. W żadnej innej części świata ludy nie były tak jedne od drugich zupełnie odosobnione; w żadnej, wskutek tego, nie rozwijały się również powolnie, lubo zarazem również samodzielnie. Nadto, z ludami oceanijskiemi Europejczycy zetknęli się dopiero na początku bieżącego stulecia. Dłużej więc niż ludy inne przebywały one na stopniach kultury pierwotnej; najdłużej ze wszystkich, do naszych albowiem czasów, przechowały wszelkie cechy i właściwości człowieka przedhistorycznego.

Ale co było przed półwiekiem, lub ćwiercią jego nawet, nie jest już dzisiaj. Stan rzeczy obecnie w Oceanii trochę się odmiennie przedstawia.

Postęp w kulturze ludów oceanijskich, jakkolwiek powolny, został nagle w naturalnym swym rozwoju wstrzymany. Wskutek rozpoczęcia i wzrostu szybkiego kolonizacyi europejskiej, zeszły się z sobą w wielu miejscowościach dwa krańcowe ogniwa w łańcuchu jednej cywilizacyi, spotkały się dwie rasy, stojące na dwu możebnie skrajnych stop-

niach kultury. Spotkanie się to wywołało nieprzewidziane przez nikogo skutki.

Ujemne oddziaływanie kultury europejskiej, dostrzeżone na Papuach, nie jest wcale wyjątkowem lub też odosobnionem zjawiskiem. W głębi Oceanii, gdzie się ta kultura coraz bardziej rozszerza, oddziaływanie jej w tym kierunku coraz bardziej w miarę rozszerzania się jej uwydatnia. Ludy oceanijskie giną, opierając się kulturze wyższej siłą; giną, przyjmując ją.

Ludność oceanijska na początku bieżącego stulecia przedstawia pięć odrębnych typów; byli to: Negryci, Papuowie, Tasmańczykowie, Polinezyjczycy i Australczycy. Dwa pierwsze poznaliśmy. Tasmańczykowie wyginęli do szczętu; ostatni przedstawiciel tej rasy umarł w 1868 roku. Polinezyjczycy szybko się przeobrażają. Jedni z nich, jak mieszkańcy wysp Hawai, Taiti, Tonga, Samoa i t. d., wstąpili na drogę gwałtownych reform i przeniosły do swych siedzib rozmaite instytucye europejskie, drudzy, Maorowie na Nowej Zelandyi, biorą udział w życiu społecznem i państwowem Anglików. Hawajczycy, modlący się w świątyni chrześcijańskiej i wykonywający rozmaite praktyki religijne, obce sobie jeszcze przed laty kilkunastu, Maorowie zasiadający w parlamencie nowo-zelandzkim, nie mogą już należeć do ludów, stojących na stopniach kultury pierwotnej [1]).

Pozostają Australczycy. Do nich się więc zwracamy.

1.

Ze wszystkich narodów europejskich Anglicy większą niż inne okazują energię w kolonizacyi, większe też od

[1]) Oto są dane statystyczne, przekonywające o szybkiem znikaniu Polinezyjczyków: Na wyspach Hawai według Cooka w 1778 roku było mieszkańców od 300,000 do 400,000; w 1832 — 130,000; w 1850 — 82,000; w 1860 — 67,000; w 1872 — 49,000; w 1878 — 44,000. Na wyspach Taiti w 1774 przeszło 200,000; w 1878 roku tylko 11,172. Liczba Maorów na Nowej Zelandyi z 400,000 w przeciągu jednego stulecia spadła do 45,000.

Tasmańczyków w 1803 roku, w chwili założenia pierwszej kolonii angielskiej na Tasmanii, było do 10,000. W 1835 roku zaledwo paruset pozostawało przy życiu. Nawet metysów niema.

Wygasanie ludów oceanijskich jednakowo zainteresować powinno antropologa i filozofa, historyka i statystę, i dostarcza przedewszystkiem ciekawego przedmiotu do specyalnych studyów.

innych posiadają uzdolnienie w zastosowywaniu się do rozmaitych klimatów. Są oni przeto najstraszliwszymi wrogami dla ludności oceanijskiej.

Osiedlenie się Europejczyków, a zwłaszcza Anglików w jakimkolwiek bądź kraju Oceanii jest dla jego mieszkańców wyrokiem śmierci. Z przybyszami niema nawet walki. Jedyną ochronę przed zagubą przedstawia cofanie się. Ale żeby się cofać, należy mieć poza sobą niezajęte przestrzenie. Przestrzeń tylko w miarę rozległości danego kraju zbawia mieszkańców. Tasmańczycy na małej swej wyspie wyginęli. Maorowie, po krwawej próbie walki, przekonani o bezużyteczności jej, przestali być sobą, a zmiana, zaszła w bycie wskutek zastosowania się do nowych jego warunków, wywołuje powolne ich wymieranie. Australczycy są jeszcze obecnie, czem byli dawniej, dzięki rozległości, oraz w wielu miejscowościach trudnemu dostępowi do ich ojczyzny. Jak długo mają się cofać i gdzie się chronić, tak długo istnieć będą. Tylko bowiem utrzymuje ich unikanie zupełne zetknięcia się z kulturą europejską.

Mieszkańcy na zajętych przez Anglików przestrzeniach ulegają losowi Maorów, a niektóre plemiona uległy już losowi Tasmańczyków [1]).

Według antropologów na typ Australczyka składają się następujące cechy: najmniejsza ze znanych wśród ludzi objętość czaszki; wybitny dolichocefalizm. Wskaźnik 71,49, podany przez Broca, jest najwyższym w jego tablicy. Ze wszystkich więc ludów Australczycy są najbardziej długogłowi. Po nich dopiero idą Eskimowie. Dalej, arkady nadoczne są znacznie wystające; szczęka dolna w tył cofnięta; nos wklęsły u góry, szeroki u podstawy; usta bardzo szerokie; miękkie i proste włosy; owłosienie obfite na całem ciele; prognatyzm umiarkowany; skóra barwy ciemnej z odcie-

[1]) W 1789 roku w okolicach portu Jackson mieszkało plemię wynoszące do 1.500 indywiduów; w przeciągu lat kilkunastu wyginęło do szczętu. W prowincyi Wiktorya w 1824 roku liczono 5.000 krajowców; w 1831 było ich połowa; w 1863 do dwu tysięcy zaledwo; w 1871 mniej tysiąca, obecnie kilkudziesięciu. W prowincyi południowej w przeciągu lat dziesięciu (1861—71) z 5.000 pozostało 3.500. Nad rzeką Darling w 1830 i 1835 roku mieszkały liczne plemiona, według owocześnie zwiedzających podróżników; obecnie błąka się kilka dziesiątków.

niem czerwonawym. Do tego dodać należy długość i cienkość znaczną rąk i nóg; chudość całego ciała; bezmyślny i lękliwy wyraz twarzy.

Wszystkie te cechy ulegają wszelako wahaniu się dość znacznemu co do swego naprężenia, a nadto w rozmaitych występują kombinacyach, tak, że żadna z nich nie jest stałą w każdej jednostce. Tak naprzykład: wskaźnik długości głowy waha się pomiędzy 70,65 a 78,40. Ostatnia cyfra przekracza dwie skale (dolichocefalów i subdolichocefalów, długo i długawogłowych) i wchodzi do trzeciej (mesaticefalów, średniogłowych). Indywiduum przeto, które dostarczyło tych ostatnich cyfr, nie było bardziej długogłowe niż Chińczyk, Gal lub Meksykanin. Włosy wełniaste i kędzierzawe nie są rzadkością. Barwa skóry przechodzi od koloru sadzy lub czekolady do zwykłej śniadości. Prognatyzm mniej lub więcej wydatny z rozmaitych pochodzi przyczyn: już to z układu obu szczęk, już to tylko z układu jednej lub nawet wyłącznie zębów, rosnących naprzód.

Antropologowie, przypatrując się zewnętrznej postaci Australczyków, a zwłaszcza mierząc ich czaszki i szkielety, stają wobec trudnej do rozwiązania zagadki.

Ponieważ tak wielka rozmaitość w kombinacyi i naprężeniu typowych cech, a zarazem oddalanie się od nich nie może wypływać tylko z wielkiej obszerności Australii, ponieważ rozmaitość ta powstać nie mogła wyłącznie tylko pod wpływem różnic klimatycznych w obrębie tej samej wyspy, należy przeto uznać jej mieszkańców za rasę mieszaną.

Topinard nazywa Australczyków Negroidami o włosach prostych. Wskazuje więc, z jakich pierwiastków etnicznych powstali Australczycy, a mianowicie z Negrów i ludów, mających włosy miękkie i prosto rosnące.

Rozwiązanie atoli jednego pytania otwiera drogę innym. Powinniśmy wnet zapytać: który z obu pierwiastków etnicznych poprzedzał drugi? czyli: który z obu był dawniejszym w Australii? Wobec odosobnienia Australii, jaką drogą dostawały się na nią ludy różne?

Wskazanie wysuniętego ku północy australskiego półwyspu York, wązkości cieśniny Torresa (100 — 150 mil angielskich), oddzielającej Australię od Nowej Gwinei, za-

ludnionej przez czarnych o włosach kędzierzawych Papuów, i całej grupy wysp z pozostałemi śladami istnienia na nich Negrytów, również czarnych i kędzierzawych; wskazanie płytkości w tej cieśninie wody, ilości wysepek, mogących wybornie służyć za rodzaj pomostu lub stacyi przy wędrówkach z Azyi i Nowej Gwinej do Australii, skłania do przypuszczenia, że tą drogą przedostawać się mogły ludy czarne z włosami kędzierzawemi. Ale żeby to przypuszczenie uzyskało niewzruszoną podstawę, należałoby poprzednio udowodnić, że owi Negroidzi australscy byli właśnie Negrytami lub Papuami, należałoby poprzednio wykazać: jacy to byli owi drudzy, o włosach prostych? skąd się wzięli w Australii? A może właśnie oni byli przybyszami, i to stosunkowo późniejszymi, a owi Negroidzi autochtonami, w znaczeniu, jakie się zwykle nadaje temu słowu? Z odpowiedzią atoli poczekać wypada na dalszy rozwój studyów antropologicznych, oraz zakończenie sporu pomiędzy monogenistami i poligenistami.

Wytworzenie się ludności australskiej z dwu różnych pierwiastków etnicznych, w rozmaitych połączonych z sobą stopniach krzyżowania, nastąpiło w odległej przeszłości. Odróżniać przeto potrzeba od tego głównego procesu wpływy etniczne późniejsze na krańcach północnych i wschodnich wyspy, dokąd łatwy był dostęp Negrytów i Papuów, Malajczyków i Polinezyjczyków. Widoczne w wielu okazach ślady krzyżowań się późniejszych utrudniają jeszcze bardziej zadanie antropologa.

Odkryta na początku XVII stulecia przez Holendrów, przez nich najpierwej badana i Nową Holandyą nazwana, Australia stanowi obecnie posiadłość angielską. Anglicy osiadają głównie na brzegach wschodnich i południowowschodnich, gdzie pozakładane przez nich kolonie doszły szybko do bardzo kwitnącego stanu. Obecnie tworzą one skonfederowane z sobą państwa, dążące do zupełnego oderwania się od metropolii.

Wnętrze Australii, podobnież jak i wnętrze Afryki, przez długi czas było zupełnie nieznane. Pierwszy Stuart przebiegł cały ląd od południa do północy pomiędzy 1860 a 1862 rokiem. W lat dziewięć Giles i Warburton dokonali tego. Następnie dziesiątki podróżników, mając sobie wska-

zane drogi i ułatwione zadanie, zaczęli badać kraj w rozmaitych kierunkach i pracami swemi ułatwiają poznanie krajowców, którzy wskutek tego lepiej od wielu ludów oceanijskich są znane.

Anglików w Australii jest do dwu i pół milionów. Australczyków liczą obecnie do 50,000.

2.

Antropologowie, wykazawszy pomiarem czaszek, że głowy mieszkańców Australii najmniejszą wogóle wśród głów ludzkich posiadają objętość, a więc, że te głowy mniej niż inne mieścić mózgu w sobie mogą, wyrobili wśród interesujących się studyami etnograficznemi pewne względem Australczyków uprzedzenie. Powtarzano więc sobie częstokroć, że ponieważ oni mniej niż wszyscy ludzie posiadają mózgu, mniej też od innych są uzdolnieni, mniejsze niż inne ludy robić mogą postępy w rozwoju, najniżej przeto stać muszą w kulturze.

Wszelako tak nie jest.

Australczycy ze wszystkiemi ludami oceanijskiemi znajdując się w tych samych warunkach dziejowych i geograficznych, jak i one, stoją na pierwotnym stopniu kultury. Ale porównanie ich z Negrytami lub Papuami wcale na niekorzyść ich nie wypadnie. Tylko, że będąc rozrzuceni na większych bez porównania obszarach, nawet niż ci ostatni, wszelkie odcienie tej kultury współcześnie przedstawiają.

Inne są warunki bytu mieszkańców nadbrzeżnych, inne — środkowych krajów. Dwadzieścia stopni różnicy w szerokości geograficznej uwydatnić się też musi jak na północy, tak i na południu. Jakkolwiek cofanie się przed kulturą europejską, wnoszoną do Australii przez Anglików, stanowi warunek zasadniczy istnienia, jednakże sto lat kolonizowania wschodniej części wyspy nie mogło nie oddziałać na jej mieszkańców, gdy tymczasem część zachodnia pozostawała w dawnych warunkach.

Poznawszy byt Negrytów i Papuów, poznajemy tem samem byt Australczyków. Tak samo bowiem, jak i tamci, żyją gromadami i zaspokajają najważniejsze potrzeby swoje gotowemi płodami natury, bądź ze świata zwierzęcego,

bądź to z roślinnego. Tak samo chronią się w konieczności do szałasów lub naprędce skleconych domków; używają podobnych narzędzi i broni. Tak samo się ubierają i przyozdabiają, a nadwodni mieszkańcy takie same posiadają łodzie i przyrządy rybackie.

Nie mają również wspólnego języka, porozumiewają się rozmaitemi gwarami, odrębnemi w każdej prawie gromadzie, chociaż całość tych gwar stanowi osobną rodzinę w systemacie językowym.

Rozwój umysłowy Australczyków odpowiada ich bytowi społecznemu i również nie jest niższy od rozwoju innych ludów oceanijskich. Wiara w istnienie dobrych i złych duchów wywołuje te same zjawiska w świecie psychicznym, jak i gdzieindziej. Kult zmarłych prowadzi do takich jak i gdzieindziej obrzędów, które również te same instytucye powołać z czasem mogą do życia.

Chociaż w abstrakcyjnych pojęciach mniej postąpili od Papuów i liczyć tylko do sześciu umieją, jak Negryci do czterech, chociaż mniejsze od Papuów wykazują uzdolnienie do rzeźby i rysunków, jednakże, jak i oni, znają sposoby porozumiewania się z sobą za pomocą znaków symbolicznych. Cylinder niewielki drewniany, pokryty wyrzeźbionemi figurami lub rysami, przechowuje dla nich pamięć ważniejszych faktów, lub o nich obwieszcza sąsiednim gromadom.

Jeżeli wszakże wykazane przez antropologów upośledzenie fizyczne nie uwydatnia się w bycie społecznym i rozwoju umysłowym Australczyków, dostrzedz atoli śladów jego możemy w ich usposobieniach i upodobaniach. Australczyk jest lękliwy, potulny, ustępujący, a przytem uwydatnia dziecinną skłonność do zabaw w najprostszej ich formie, tańców i przebierania się.

»Korrobory, t. j. uroczystości taneczne — mówi znany francuski etnograf, El. Reclus [1]) — są głównym objawem życia społecznego w Australii. Urządzają je ze wszystkich, jakie tylko zdarzyć się mogą, powodów. Tańczą, gdy młodzież płci obojej dochodzi do dojrzałości i zawiera związek małżeński; tańczą, gdy grzebią ciało zmarłego. Tańczą z po-

[1]) *Contributions à la sociologie des Australiens*, w *Revue d'Anthropologie* za 1886 r. Zeszyt kwietniowy, str. 240.

wodu obfitych zbiorów, szczęśliwego polowania, lub poprostu przy uczcie każdej, w przystępie dobrego humoru. Również nie brak tańców w bardziej poważnych okolicznościach. Odtańcowują odniesione zwycięstwo, zawarty pokój lub przymierze. Kiedy się dwie gromady przyjazne zetkną w lesie lub na polu, obie wykonywają jedna przed drugą tańce różne. Bez zatańczenia przy powitaniu, pomawianoby je o złą ku sobie wolę, lub brak uprzejmości sąsiedzkiej. Ci ludzie pierwotni tańczą dla samego tańca, tańczą, by wynurzyć swoje uczucia radości lub smutku; tańczą nawet dla wyleczenia chorych. Taniec im zastępuje teatr, parlament, kościół«.

I życie Australczyków, mało lub wcale żadnych nie przedstawiając w porównaniu z bytem innych ludów oceanijskich stron nieznanych i cech oryginalnych, możeby i nie zasługiwało na bliższe przypatrywanie się, gdyby nie taka okoliczność. Negryci rozrzuceni po rozmaitych wyspach, Papuowie samotni na swojej, mało są dostępni dla podróżnych i badaczów. Na Tasmańczyków dopiero większą zaczęli wogóle zwracać uwagę, gdy ich z kilku tysięcy dogorywało kilkunastu. Maorowie wcieleni zostali do społeczeństwa europejskiego. Hawajczycy i Taitczycy sami się gwałtownie w ucywilizowane na pozór przedzierzgnęli społeczeństwa. Jedni tylko ze wszystkich ludów oceanijskich Australczycy najwcześniej, gdyż przed laty stu, zetknęli się z Europejczykami i pomimo tego zetknięcia, okupując je tylko liczbą, przechowują w całości swój byt pierwotny. Wskutek tego będąc oddawna bardziej od innych znani i dostępni, głębiej niż inni zostali poznani i zbadani. Nawet i język, ów konieczny a rzadko ujęty środek porozumiewania się pomiędzy ludnością miejscową a przybyszami, w tym razie nie stał na przeszkodzie. Anglicy poznawali gwary miejscowe, Australczycy uczyli się po angielsku. Literatura przeto antropologiczna i etnograficzna obfitszy nastręcza materyał do poznania Australczyków, niż innych ludów[1]). Rozmaite

[1]) Jak w wielu razach przy studyach etnograficznych, tak i w tym wypadku najlepszem źródłem, gdyż najbardziej krytycznem i wszechstronnem, są pisma peryodyczne angielskie i francuskie, poświęcone antropologii i etnografii, jak oto: *Journal anthrop. Institute of Great Britain, Revue d'Anthropologie, Revue d'Ethnographie.* Z nich to czerpię.

ludów pierwotnych zwyczaje, o których tylko wzmiankę znajdujemy, gdy idzie o wielu innych, skoro są praktykowane przez Australczyków, stają się szczegółowo znane i opisywane. Przypatrzmy się więc życiu Australczyka od kolebki aż do grobu.

3.

Urodzenie się szczęśliwe niemowlęcia jeszcze nie stanowi nic o jego istnieniu. Pozostawienie go przy życiu zależnem bywa od wielu okoliczności. Mogło się ono urodzić w pochodzie. Dla matki więc będzie ciężarem, opóźniającym jej kroki. Mogło się urodzić w czasie znaczniejszej posuchy, tak zwykłej w owym kraju. Dla matki więc będzie przeszkodą w poszukiwaniu wody. Rozstrzyga o nagłości warunków i następnie wyrok śmierci wydaje brat matki. Jedno uderzenie po główce lub zatknięcie mu ręką czy też garścią piasku ust pozbawia je życia. Zagrzebane naprędce już nie wstrzyma matki w pochodzie, już nie przeszkodzi poszukiwać jej wody.

Utrzymanie atoli przy życiu staje się przedmiotem pieczołowitości nawet tkliwej, zwłaszcza ze strony matki. Karmią je one do lat trzech lub czterech, to jest do czasu, w którym dziecię będzie już w stanie przyjmować pożywienie właściwe starszym, bez szkody dla swego organizmu. Skoro tylko nauczyło się już chodzić i jeść wszystko, rozpoczyna się dla niego wczesna nauka życia. Zostaje przyzwyczajane do wszelkich zajęć i obowiązków właściwych swej płci. Chłopak uczy się łazić po drzewach, robi bronią, wprawia się w łowy. Dziewczyna pomaga matce. Drobne kradzieże przyjmują się za żart. Szkody wyrządzane innym rodzice zaspokajają. Dzieci nigdy żadnych kar nie znają. System ten pobłażliwości dobre niespodziewanie wydaje owoce. Dzieci wyrastają na ludzi nie gorszych, niż ich rodzice. Między rodzicami zaś a dziećmi zawiązuje się dobry stosunek, który pierwszym w wieku późniejszym, w dobie starości i niedołęstwa, zapewnia ze strony potomstwa opiekę szczerą i staranność żywą.

W roku dziesiątym chłopcom przekłówają chrząstkę nozdrzową. W otworze tym ma on następnie nosić kość

długości sześciu cali. Jest to pierwsza ozdoba osiągana z wiekiem. Dalej idzie tatuowanie obu już płci. Tatuowanie odbywa się za pomocą narzynania poprzecznych lub podłużnych na ramionach i piersi rowków. Dojście do dojrzałości obchodzone bywa uroczyście nietylko przez rodzinę, lecz całą gromadę.

Dla każdej jednostki doba przełomu pomiędzy dwoma tak stanowczo różnemi okresami życia, jak dzieciństwo i dojrzałość, jest nader ważna. Od zachowania się w tym czasie samej jednostki, od wpływów na nią obcych, dodatnich lub ujemnych, zależy przyszły kierunek częstokroć całego życia. Do niedawna jeszcze dziecię, staje się mężem lub niewiastą. Z instynktowem poczuciem swoich praw i od nich zależnych obowiązków zwraca się ku przyszłości, ku życiu. Umysł, budzącą się świadomością nowych potrzeb niepokojony, z gorączką chwyta się wszystkiego, co mu o tem życiu objaśnia. Wyobraźnia, tajemniczemi widzeniami podsycona, tworzy nieznane sfery działalności, dziwaczne zaplątuje stosunki. Doba ta w życiu społeczeństwa ucywilizowanego przechodzi niepostrzeżenie, bądź na ławie szkolnej, bądź też przy pracy, w sposób praktyczny przygotowującej do pewnego stanu i zajęcia. O dojrzałości stanowią nie symptomaty fizyologiczne, lecz patent szkolny, czy też uchwalone wyzwolenie przez majstrów.

Inaczej u ludów pierwotnych. Doba przejściowa wyzyskaną jest wszechstronnie, zarówno w interesie społeczeństwa, jako też i jednostki. Dla społeczeństwa od chwili dopiero dojrzałości na świat ona przybywa. Dopiero wtedy otrzymuje nazwisko czy też imię własne, a istnienie jej wniesionem niby do akt cywilnych zostaje. Jednostka uzyskuje przyznanie praw do życia, chociaż wraz z przyznaniem sobie praw, brzemię obowiązków dźwigać poczyna. Uwydatnienie więc faktu dojrzałości fizycznej leży w interesie stron obu. Pociąga to za sobą akcyę rozmaitą.

Ludy pierwotne, żyjąc wyłącznie życiem przez potrzeby natury zakreślonem, uwzględniać i zaspokajać muszą wszelkie te potrzeby w miarę budzenia się ich. Kiedy więc w jednostce zaczynają się budzić popędy płciowe, których zaspokajanie jeszcze bardziej ową jednostkę wiąże ze społeczeństwem i pociąga za sobą zwiększenie się jego ilościowe,

słusznem jest, żeby ci tylko do niego jako członkowie czynni byli wcieleni, którzy złożą dowody, że w zamian za uwzględnienie ich potrzeb i udzielenie prawa zaspokajania tych potrzeb w społeczeństwie, społeczeństwo to w danym razie oczekiwać od nich może stosownych usług, a zawsze na nich liczyć. Składają więc dowody odwagi i siły, hartu i cierpliwości.

Ale to jeszcze nie wszystko. Wchodząca do społeczeństwa nowa jednostka, przystępująca do używalności wszystkich swoich praw, istota ludzka musi już znać tajemnice życia i natury. Najodpowiedniejszym czasem dla wtajemniczenia w życie jest chwila dojrzałości. Przed jednostką więc, za dojrzałą uważaną, po złożeniu przez nią wymaganych dowodów wartości osobistej, uchyloną zostaje zasłona, pokrywająca dotychczas tajemnice owe. A zasłonę uchylają najdostojniejsi mężowie w gromadzie.

Potrzeba oddziałania na umysł młodzieńczy, a zarazem uwydatnienia ogólnej radości z powiększenia się gromady, wywołuje uroczystość. Jakoż rzeczywiście, dojrzewająca jednostka, wiedząc od lat dziecinnych, że nastąpi chwila, w której niby mocą czarodziejską zniknie przed nią zasłona pokrywająca życie, może nie ulegać ciągłej pokusie przedwczesnego jej podniesienia lub przedarcia; tego, co zobaczyć legalnie może, podpatrywać nie ma potrzeby; co ma usłyszeć jasno i dobitnie, zawaha się podschłuchiwać; oczekując wyjaśnienia rzeczy sobie nieznanych przez osoby najdostojniejsze, może nie pożądać pokątnego inicyatora. Radość gromady jest też rzeczywista. Wszak młode siły zastępować muszą schorzałe lub przez wiek zwątlone; wszak w owej chwili dla społeczeństwa rodzące się jednostki zamieniają wymierające.

Dwojakie zadanie uroczystości nadaje jej dwojaki charakter: próby i wtajemniczania.

Obchody uroczyste dojrzałości, odbywające się w Australii, odkrywają nam stanowczo ten ich dwojaki charakter.

Naturalnie, że w kraju, gdzie nietylko odrębne plemiona żyją każde inaczej i stosownie do swoich własnych zwyczajów, lecz i oddzielne gromady, o jednakowym programacie tych uroczystości nawet mowy być nie może. Pomimo to wszakże, poznanie praktykowanego w jednej

gromadzie da pojęcie o praktykowanych w innych, ponieważ tylko różnica co do formy samej, takiego lub owego usymbolizowania pojęć, zachodzić głównie w tym wypadku może. Również i płeć jednostek, wprowadzanych do gromady, na formę obrzędu wpływa. Inne są dla mężczyzn, inne zaś dla kobiet. Pierwsze zawsze dłużej trwają i są bardziej skomplikowane. Zatrzymujemy się na nich.

Najprostszym sposobem próby jest następny: młodzieńca, uzbrojonego tylko w siekierkę krzemienną, wyprawiają do lasu. Powrócić z niego on dopiero wtedy ma prawo, gdy zdołał upolować, a raczej złapać tyle oposów, aby z ich skórek módz zrobić przykrycie dla siebie. Zwierzęta te są wielkości naszych królików, a przebywają na szczytach drzew, wznoszących się na 50 lub 60 stóp nad poziomem gruntu. Przytem wyżyć musi jeszcze w lesie, co też nie będzie łatwem zadaniem. Gdy powróci zdrów i rzeźki, ze stosownym zapasem skórek, lub nawet w przykryciu, złoży dowód zaradności i zręczności. Gromada nań liczyć już może. Wyżywi żonę i dzieci, przyda się ogółowi.

Ale ten sposób prosty odpowiednich wymaga warunków miejscowych. Naturalny bywa przeto zastępowany sztucznym. Sztuczny staje się zabawą, przynosi uciechę. Tem pożądańszem dla Australczyków staje się to zastąpienie, że się bardziej zgadza z ich usposobieniem lekkiem.

Gdy w danej gromadzie zbierze się pewna liczba dorastających młodzieńców, wówczas na zebraniu ogólnem bywa uchwalany dzień obrzędu. Wnet zatem podążają do sąsiednich gromad, przyjaznych lub sprzymierzonych, posłowie z obwieszczeniem o mającej się odbyć uroczystości i z zaprosinami. W wilię dnia naznaczonego, w miejscowości na ten cel obranej, zgromadzają się przybyli goście, gromada i wszyscy mający podledz próbie i wtajemniczeniu. Formują się trzy grupy. Młodzieńcy stanowią jedną, poważni mężowie i starcy drugą; nakoniec niewiasty i dzieci trzecią. Wtedy na wzgórzu lub miejscu zupełnie odkrytem, najczęściej cmentarzu, jeśli ten dość jest obszerny i nadaje się do takiej ceremonii, rozpalają ogniska i młodzież obok nich ustawiają. Młodzież trzyma w jednej ręce ubranie matki, a w drugiej przepaskę męską. Wyrażać to ma znaczenie chwili obecnej, w której z pod opieki matki prze-

chodzi do używania praw męskich. Mężczyźni dojrzali ze starcami na czele, tworząc długi łańcuch, poważnie naokół ognisk przeciągają. Poza tym dopiero łańcuchem reszta się uczestników gromadzi. Jedni przygrywają na narzędziach muzycznych i biją w bębny; drudzy śpiewają pieśń okolicznościową o zębie; inni nakoniec, nie grający i nie śpiewający, wraz z dziećmi krzyczą. Powstały stąd gwar i hałas, nie dający się opisać, wprawia w odurzenie, co podnosi jeszcze uroczystość. Młodzież tymczasem, wystawiona na ogień płonących stosów, składa dowody wytrzymałości.

Wśród plemion, u których tatuowania młodzieży nie dokonywają w dziesiątym roku życia każdego, ta właśnie chwila na tę operacyę bywa przeznaczana. Naturalnie, że dla mających podlegać operacyi, to spóźnienie na gorsze wychodzi. Ponieważ obecnie przy nacinaniu ciała już nie samo tylko tatuowanie mają na celu, lecz próbę cierpliwości i odwagi, przeto nacinania bywają głębsze i gęstsze. Przytem gorąco od płonących ognisk tylko potęguje ból świeżo zadanej rany.

Nazajutrz każdy z młodzieńców bywa powierzany swojemu Kabo. Taką nazwę nosi w tym obrzędzie poważny wiekiem i znaczeniem członek gromady, który bierze na siebie obowiązek przygotowania młodzieńca do życia go oczekującego.

Musi on przeto wtajemniczyć w to życie, wskazać mu jego prawa, nauczyć obowiązków, nadać nazwisko, odkryć nazwę bóstwa miejscowego; a przytem, towarzysząc mu ciągle przy całym obrzędzie, podawać, jeśli jeszcze nie jest zupełnie wzbronione, pokarm i wyznaczać jego ilość. W niektórych gromadach jest zwyczajem, że mający zostać członkiem gromady, przez cały ciąg uroczystości żywić się tylko krwią ludzką powinien. Krwi wówczas na pożywienie dostarczają mu jego rodzice i towarzysze, przecinając sobie żyły na ramieniu.

Młodzieniec swojemu Kabo winien okazywać zupełne posłuszeństwo i szacunek głęboki. Całą swą uwagę zwracać na jego słowa. W czasie jego przemówień na nic, co się dzieje wokoło, nie baczyć, każdy jego rozkaz bez wahania wykonywać. Najmniejszy bowiem spór lub roztargnienie pociąga za sobą karę śmierci. Po próbie wytrzymałości

przez ogień, następuje w taki sposób próba posłuszeństwa i siły woli.

Próby te atoli są tylko wstępem właściwie do najważniejszego aktu, którym jest wybicie uderzeniami młotkiem, czyli też wyrwanie przez pociągnięcie gwałtowne zęba, zwykle kła górnego z lewej strony [1]). Operacya ta stanowi kulminacyjmy punkt całej uroczystości. Ponieważ wobec innych zadawanych męczarni, ból uczuwany przy utracie zęba w ten sposób nie może uchodzić za największe udręczenie, mogące najdokładniej przedstawić pożądane właściwości młodzieńca, wyrwanie więc zęba zapewne już nie jest próbą, jak wszystko, co poprzedzało, lecz, jako symbol, ukrywać musi inną myśl jaką lub cel.

Co każdy ze wstępujących do gromady wskutek dojrzałości i w uroczystem jej obchodzeniu powinien był widzieć, usłyszeć to miał od Kabo. Ale słowa w tym wypadku mogą jeszcze nie wystarczać, do umysłu należycie nie przylgnąć, na wyobraźnię nie oddziałać skutecznie, wypaść bez śladu z pamięci. Czego nie dokonały słowa, dokonać mają pantominy i żywe obrazy. Występujący w nich przebierają się za zmarłych, za zwierzęta, za potwory wylęgłe w fantazyi. Obszerne też przy tej okoliczności mają pole do popisów zaklinacze złych duchów oraz czarodzieje rozmaici. Wrodzona przytem lekkość umysłu i wesołe usposobienie Australczyków z zapałem wyzyskują nadające się do zabawy chwile i są przez tok zabawy również skrzętnie wyzyskiwane.

By mieć czas stosowny do rozwinięcia pomysłowości w żywych obrazach, oraz miejsce właściwe dla coraz nowszych scen i pantomin, przed nastąpieniem jeszcze kulminacyjnego obrzędu całej uroczystości, mężczyźni, prowadząc

---

[1]) Niezależnie od wyrwania zęba, poddają młodzież stokroć bolesniejszej, a co większa, bardzo ważne pociągającej za sobą fizyologiczne następstwa operacyi, nazywanej *mika*. Nie mogąc na *tem* miejscu podać szczegółowej wiadomości o tej operacyi, a również opisać sposobu dokonywania jej, zainteresowanego czytelnika skierować muszę do rozprawy w tym przedmiocie Mikłucho-Maklaja, pomieszczonej w *Zeitschrift für Ethnologie* za r. 1880, lub zresztą do *Revue d'Anthropologie* za r. 1882, gdzie są urywki z tej rozprawy przytoczone.

z sobą inicyowaną młodzież, udają się w długą, kilkomilową nieraz wycieczkę, do miejsca zgóry oznaczonego. Młodzież, przed wystąpieniem w pochód, podlega nacieraniu na całem ciele tłuszczem, przetopionym z ochrą czerwoną, a w pochodzie bywa zwykle, z wyjątkiem twarzy, szczelnie okryta osłonami rozmaitemi, czego wymagają zresztą zapewne zadane przy tatuowaniu poprzednio rany, oraz otrzymane przy próbie ogniowej uszkodzenia.

W drodze, każdy przystanek służy do wykonania stosownego numeru z programatu, co opóźnia pochód i uniemożebnia częstokroć powrót, zwłaszcza z miejscowości bardzo odległej, w dniu tym samym. Przepędzają więc noc opodal od głównego teatru uroczystości. Ale to nie wpływa na zmianę usposobienia. Noc ta również upływa na zabawie. Tańce są przerywane pantominami lub całemi scenami, symbolicznie przedstawiającemi życie. Widzowie stają się z kolei aktorami, gdyż wszyscy, z wyjątkiem inicyowanych, łączą w sobie obie te godności. Po powrocie dopiero na miejsce główne obchodu następuje wyrwanie zęba.

Wyrwany ząb dostaje się zwykle czatującej obok matce operowanego. Porwawszy, bieży ona czemprędzej do lasu i tam, upatrzywszy wysokie, piękne a zdrowe drzewo, pod korą, w miejscu, skąd się rozchodzą gałęzie, ów ząb w niem chowa. Dla drzewa dar ten staje się zapowiedzią zguby. Stawszy się w ten sposób spowinowaconem z człowiekiem, wchodzi z nim w sympatyczny związek. Pokąd żyje człowiek, drzewo rośnie, ale po śmierci człowieka, wszyscy, którzy przechowują pamięć zmarłego, zaczynają niszczyć, w dowód właśnie tej pamięci, drzewo. Obłupane z kory, z połamanemi gałęziami, od ciosów nieustannych, choć powolnych, usychając ciągle, nie przeżywa długo tego, z którego losem przypadek je połączył.

Po wyrwaniu zęba uroczystość zbliża się ku końcowi. Jednakże, czy to wskutek że inicyowany, przeszedłszy wszelkie próby, może już oglądać życie w zupełnej jego nagości, czy też może dlatego, że rozbawienie się zdjęło wszelką uzdę z fantazyi, i ona owłada ostatecznie rozsądkiem i pozbawia umysł przytomności, tańce coraz są żywsze i dziksze, pantominy, a zwłaszcza sceny i obrazy stają się

coraz swawolniejsze i bardziej cyniczne[1]). Nakoniec wszystko powraca do normalnego życia. Ale nie rozpoczyna go jeszcze inicyowany młodzieniec.

Po długiej kąpieli, przyodziawszy się w strój męski, uzyskawszy oznaki specyalne plemienia, do którego należy, wkracza on w uroczystym pochodzie do osady. Witają go kobiety stare i młode. On atoli ma jeszcze ich unikać przez czas, ściśle przez starszych naznaczony. Bywa to karą za przeszłość. Nawet, by niemożebnem się stało wszelkie porozumienie, musi on wobec kobiety, chociażby przypadkowo spotkanej, przykrywać sobie usta kawałkiem szmaty. Oprócz tego powinien unikać wszystkiego, co mogłoby przypomnieć mu odbytą uroczystość. I tak, nie może polować ani zjadać tych zwierząt, które kopią nory, ponieważ ich nory przypominać mu mogą dziurę w szczęce po wyrwaniu zęba; podobnież tych, które pływają, ponieważ przypominać mu mogą kąpiel po uroczystościach.

Obchodzenie dojrzałości kobiet odbywa się mniej uroczyście, ale w każdym razie w obchodzie uczestniczy cała gromada, a zwłaszcza wszystkie kobiety z niej i młodzież. Ponieważ fizyologiczny objaw dojrzałości jest przemijający, wyzyskują więc tę chwilę w sposób wzbudzający litość i wstręt zarazem. Najczęściej naprzykład przywiązują pacyentkę w stanie patologicznym do drzewa. Zebrana młodzież dokonywa tańców naokoło i obrzuca ofiarę kwiatami i gałązkami. Powstające stąd stosy zapalają. Towarzyszy również temu obrzędowi wtajemniczenie w życie przez starsze i doświadczone niewiasty.

Stwierdzona i ujawniona w obchodzie uroczystym dojrzałość płciowa każdego indywiduum nadaje w społe-

[1]) Oto jedna ze scen: wykopują, ziemię daleko odnosząc, dół dość głęboki, jakby na grób. Kładzie się w nim jeden ze starszych uczestników. Dla niepoznaki dół przykrywają liśćmi, gałęźmi, a nawet leżący w nim, by zatrzeć zupełnie ślady, utrzymuje na sobie drzewko, które niby tam rośnie. W czasie procesyi, gdy nadchodzą w to miejsce, oczekujący w dole zrywa się niespodziewanie, gałęźmi i liśćmi, któremi był przykryty, obrzuca przerażonego młodzieńca, a dokonywa przytem, w roli powracającego po śmierci do życia, rozmaitych czarodziejskich skoków i czynności. Oryginalność pomysłu, a zwłaszcza stopień przejęcia się rzeczą samą, może dać pojęcie o innych scenach tego rodzaju. Większości pomysłów dostarczają przygody erotyczne.

czeństwie pierwotnem mężczyźnie prawa do poszukiwania żony i utworzenia następnie rodziny i własnego gospodarstwa, kobiecie zaś pozwala zostać poszukiwaną za żonę. Według przyjętego ogólnie zwyczaju w Australii, mężczyzna poszukuje żony nie w swojej gromadzie, lecz w obcej (jest to tak zwana *egzogamia).*

Rozmaite w poszukiwaniu doprowadzają do celu sposoby. Może on żonę dostać za wymianę lub poprostu kupić, zdobyć ją otwartym czynem przemocy, lub potajemnie ukraść. Ażeby drogą zamiany dostać żonę, potrzebuje mężczyzna posiadać siostry, by drogą kupna — przedmioty, pożądane przez ojca upatrzonej, lub przez głowę rodziny, gdy ojca ona nie ma. Nie posiadający sióstr ani też przedmiotów wartościowych, zastąpić je musi dzielnością osobistą i zręcznością wprawną. Żadne specyalne obrządki nie towarzyszą zawarciu małżeństwa. Fakt posiadania stanowi o związku i uprawnia go.

Ponieważ zawieranie małżeństw przy takich warunkach jest wynikiem zamożności lub osobistych przymiotów, przeto w okolicznościach pomyślnych nic nie staje na przeszkodzie poligamii. Posiadacz trzech lub czterech żon jest przedmiotem wielkiej zazdrości; dwóch — już mniejszej. Mający po jednej żonie są od tamtych liczniejsi, tak samo, jak wszędzie nędzarze od zamożnych i bogatych.

O ile kobiety niezamężne korzystają z nieograniczonej swobody w stosunkach z mężczyznami, o tyle, stawszy się żonami, jako przedmiot wyłącznie przez jednego nabyty, wyłącznie do tego jednego należeć muszą. Mąż upominać się może o nią jak o wszelką inną własność; a z przywłaszczycielem chwilowym postępuje jak ze zwykłym złodziejem. Również prawo własności żony uwydatnia mąż i w innym wypadku. Zdarzają się często zamiany żon przez mężów.

Nawet śmierć męża nie powraca żonie wolności. Gdy nie ma syna, przechodzi w spadku na brata mężowskiego. Ten, gdy jest jeszcze w wieku odpowiednim, może ją sam pojąć za żonę, lub postąpić z nią jak z siostrą, to jest wymienić na żonę dla siebie. Kobiety, nie należące do jednego wyłącznie, na drugi nieraz dostają się koniec kraju. Wskutek specyalnego upodobania mężczyzn, mają przed innemi powodzenie otyłe.

Podział pracy w rodzinie, pomiędzy składającemi ją członkami obu płci, odbywa się na podstawach zwykłych na tym stopniu kultury. Więc skoro od ilości żon zależy mniejsze lub większe natężenie zatrudnień, spadających na każdą, przeto nowe towarzyszki bywają zwykle witane życzliwie, a nawet i wówczas, gdy 60 lub 70-letni starzec dokupuje do swego gospodarstwa 12 lub 14-letnią dziewczynę.

Ale w takim wypadku, a zresztą i w innych, chociaż mniej rażących, zdarza się częstokroć opór ze strony sprzedawanej. Gdy na rozkaz ojca lub zastępującego go najstarszego w rodzinie, by opuściła rodzinną gromadę, udała się do obcej sobie, w której przebywa ten, który ją kupił lub wymieniał, dobrowolnie tego nie uczyni, odprowadzają ją przemocą. Gdy się opiera, ucieka, to pomimo, że jej krzyki i spowodowane przez wypadek ten zamieszanie, gromadzą licznych przyjaciół dawniejszych, którzy są gotowi odbić ją orężem, występują starsi i wolę ojca lub jego zastępcy uchwałą potwierdzają. Często, by nie mogła uciekać, włócznią przebijają jej nogi; by zmusić do milczenia, uderzeniami po głowie pozbawiają przytomności. W każdym razie, gdy małżeństwo przychodzi do skutku przez zamianę lub kupno, obie strony wcale się nie znają; zwłaszcza kobiety poznają swych przyszłych mężów już po zawarciu umowy.

Wstąpienie do obcej gromady, poddanie się władzy i wymaganiom nieznanego sobie dotychczas człowieka, stanowi właśnie najbardziej bolesną chwilę w życiu kobiet australskich. Jak przedtem życie jej upływa spokojnie wśród rodziny, dla której, stanowiąc kapitał pewny lub przedmiot dla wymiany, nie jest nigdy ciężarem, wśród rówieśnic i rówieśników, z którymi naturalna swoboda w stosunkach zapewnia wiele uciech i rozmaitości, tak i następnie ono popłynie. Stawszy się żoną i matką, zyskuje w obcej dla siebie gromadzie nowe prawa, zajmuje poważne stanowisko. Zwyczaj nie wyłącza kobiet z życia publicznego. Czy to odbywają się uroczystości, czy też obrady, kobiety biorą zawsze wybitny w nich udział, a nawet kierują dyplomatycznemi stosunkami. Często sprawują poselstwa do sąsiednich gromad. A jeszcze częściej tłumnem a gwarnem wystąpieniem z dwóch powaśnionych obozów doprowadzają

do zgody oba. Niektóre nawet kobiety dochodzą do znaczenia w ustroju tych społeczeństw pierwotnych wyjątkowego, a niedostępnego dla mężczyzn. W wielu gromadach jest zwyczaj, że kobietom, w podeszłym wieku będącym, podczas stosownej uroczystości bywa nadany tytuł Starej Matki, co oznacza uznanie jej wpływu, a nadto — wyraża pewne zobowiązanie się podlegania temu wpływowi i nadal.

Australczycy nie mają żadnej zorganizowanej władzy nad sobą. Interesa gromady całej należą do wszystkich członków gromady, którzy je sprawują na zgromadzeniach ogólnych. Wpływ wybitniejszą siłą fizyczną lub umysłem jednostki trwa tak długo, jak długo okoliczność, która ten wpływ uwydatniła. Nawet to, cobyśmy nazwali wymiarem sprawiedliwości, nie przeszło jeszcze do społeczeństwa, tylko pozostaje po stronie pokrzywdzonej.

Pokrzywdzony wyzywa krzywdziciela do walki. Walka odbywa się publicznie, wobec chętnego zawsze widowiska wszelkiego tłumu. Zwycięstwo, odniesione przez powoda, służy za udowodnienie winy obwinionemu, a zarazem jest karą dla niego.

Atoli, jak we wszystkich zwyczajach ludów pierwotnych tkwią zarodki przyszłych instytucyi społecznych, tak i w tym. Ponieważ przy zwykłych warunkach walki, pokrzywdzony mógłby nadto jeszcze być zwyciężonym, jak to bywa w pojedynkach, otaczający nakładają nieraz pewne ograniczenia w walce na krzywdziciela. W taki sposób szala zwycięstwa jest przechylona na stronę pokrzywdzonego. Częstokroć nawet, wdanie się świadków zmienia walkę na wymierzenie poprostu kary. Wymierzenie jednakże służy zawsze powodowi. Naprzykład. Obwiniony otrzymuje tarczę, obwiniający — pewną ilość pocisków. Pokrzywdzony już nie bywa sam narażony na niebezpieczeństwo. Ale i obwiniony ma widoki uniknięcia wymiaru sprawiedliwości. Zależy to od jego zręczności w zasłanianiu się. Zdarza się również, że nie z jednym, lecz z kilku, wskutek uchwały otaczających, walczyć musi, lub też owi kilku zadają mu w oznaczonem miejscu uszkodzenia, mniej lub więcej ciężkie.

Będąc równy wszystkim, nie posiadając żadnych przywilejów, ale za to nie uznając przywilejów innych, Australczyk pędzi życie spokojne. Spokój ten przeszedłby nawet

w usypiającą monotonię, gdyby nie przerywały go ciągłe obrady nad interesami gromady lub uroczystości, w których tak żywy udział bierze. Owo lekkie i wesołe usposobienie Australczyka wypływa zapewne z ograniczonych zdolności umysłowych, ale i życie bez troski niechybnie na spotęgowanie jego wpływa. Wszak dzieje nie wtajemniczyły go w przeszłość, nie wykazały, że na przestrzeniach, gdzie się obecnie wznoszą miasta angielskie, przodkowie jego przebywali, a Anglików wśród siebie on nie widzi; wszak nie ma świadomości grożącej zaguby, przyszłość więc go nie nęka, teraźniejszość nie zabija. Nie doszedł on jeszcze do zrozumienia stanowiska swego w walce wszechświatowej, a unikając instynktowo stusunków z przybyłymi wrogami, sądzi, że unika niebezpieczeństwa samego.

Czego nie dokonał jeszcze w Australii rozwój społeczeństwa prawno-polityczny, dokonywają zaczątki religii. Australczyk, nie mający niczyjej władzy nad sobą, ni wodza, ni sędziego, drży i skłania głowę przed czarodziejem, przyszłym kapłanem. Pozostaje on bowiem w bezpośrednich stosunkach z duchami złymi i dobrymi. Duchy mu wolę swą objawiają, sposobów wykonania użyczają.

I w kraju, gdzie łączy z sobą ludzi tylko instynkt społeczny lub przywiązanie rodzinne, jedni tylko czarodzieje tworzą stowarzyszenia, oparte na interesie, już kastowym; jedni tylko oni posiedli to, cobyśmy mogli nazwać doktryną, teoryą, a wreszcie nauką, i w ową naukę wtajemniczają swoich adeptów. Stanowiąc korporacye, przyszłe szkoły w zarodku przedstawiają. Każdy młodzieniec, który z darów przyrody rozumie mowę kangurów, lub widuje zmarłych rodziców, rodzeństwo, już się kwalifikuje do wstąpienia do ich grona. I wstąpi, gdyż go pociągną. Wykształcenie dalsze rozwinie w nim objawiające się zdolności. Kształcić go zaś będą biegli w swej sztuce za pomocą stosownych gestykulacyi, tańców, muzyki. Ruchy gwałtowne wprawią go w stan bezprzytomności. Dźwięki czarodziejskiej fujarki, używanej tylko wyłącznie przy czarodziejskich praktykach, wyrwą go z otoczenia, i dojrzy, czego inni nie widzą, a odgadnie, czego nikt pojąć nie może.

Australczyk łatwiej rozumie zagadkę życia, niż śmierci. Przyjście na świat człowieka nie zdziwi go. Śmierci tylko

szuka przyczyny zawsze i przypisuje ją okolicznościom zewnętrznym. W miarę, jak życie zbliża się rychlej ku końcowi, zaczyna on coraz bardziej lękać się czarodzieja, bardziej podlegać wpływom jego. Któż bowiem, jeśli nie czarodziej, mocą swą a sztuką, wprowadza w niego chorobę? kto go o śmierć najczęściej przyprawia? Gdy jeden rzuci czary, drugi, jeśli jest wyższy od niego, lub tylko dość biegły, by środki działania tamtego odgadnąć, te czary może wyprowadzić. Udaje się to częstokroć raz i drugi. Ale trudna rada. Człowiek umiera.

Śmierć głowy rodziny lub jej członka wkłada na pozostałych dwojaki obowiązek. Muszą go pogrzebać i ukarać tego, kto mu żyć przeszkodził. Jeśli nie został zabity na polu walki i nie umarł z ran, odniesionych w bójce lub bitwie, mógł umrzeć tylko wskutek czarów, lub z ręki skrytobójcy. Idzie więc w ostatnim wypadku o odkrycie winnego.

Australczycy różne na to posiadają sposoby. I tak, gdy niosą zwłoki na miejsce, gdzie pogrzebać mają, w drodze kilkakrotnie się zatrzymują. Przewodniczący orszakowi przykłada włócznię do zmarłego i uroczyście wzywa go do wyjawienia zbrodniarza. Wówczas otaczający wymawiają po kolei nazwiska wszystkich, na których paść może podejrzenie. Skoro po wymówieniu jednego zmarły się poruszy, zbrodniarz już jest odkryty. Będzie to bowiem jego nazwisko. Gdy zmarły nie ulegnie wezwaniu, radzą sobie inaczej. Rozpalają przy grobie ognisko, a kierunek dymu wskazuje, w której stronie przebywa winny śmierci. Gdy i ten sposób zawiedzie, mają jeszcze inny. Wówczas jeden ze starszych, lub też czarodziej przychylny rodzinie, kładzie się na świeżym grobie i w cichości chwyta wydobywające się z grobu głosy. Wyjawią one tajemnicę zgonu, nazwisko zbrodniarza podadzą,

Odkrycie winnego prowadzi do ukarania go; śmierć zawsze pomszczoną być musi.

Nie rozumiejąc zasad biologii, odgadli jednakże instynktem Australczycy, że nie wart sam życia, kto łamie prawa przyrody i żyć drugiemu nie pozwala.

Wycieczki w dziedzinę etnologii.

Świat Azyatycki.

Niezawsze nazwy utarte odpowiadają istocie rzeczy. Azyę i Afrykę do Starego zaliczamy Świata, tymczasem Europejczycy o pół wieku wcześniej dotarli do wysp, okalających wschodni brzeg Ameryki (1492), niż do Japonii, leżącej przy wschodnich brzegach Azyi (1545). Magellan o trzy wieki wcześniej odkrył cieśninę, nazwaną następnie od jego nazwiska (1520), niż Mamia Rinzo cieśninę Tatarską (1808). Spór pomiędzy narodami europejskiemi o władanie Nowym Światem oddawna już jest załatwiony; spór o władanie Afryką dopiero pomiędzy niemi wszczyna się i rozżarza.

Tak samo na polu nauki.

Ludność Starego Świata, niemniej niż ludność Nowego, przynajmniej dotychczas, nastręcza trudnych a ważnych do rozwiązania zagadnień.

I.

Ainowie.

Na czele ludów Świata Starego, zaciekawiających stale wszystkich podróżników, a za nimi badaczów naukowych, postawić możemy Ainów [1]).

[1]) Nazwa ta pochodzi od wyrazu Ajno, czy też Aino, który oznacza w języku tego ludu: »człowiek«. Ainami przeto oni sami siebie przedewszystkiem mianują.

Liczba mnoga w języku francuskim i angielskim będzie: Aïnos, Ainos. Od tej formy powstała błędnie używana po polsku: Ainos i Ainosi.

Zamieszkują oni: 1) wyspę Jesso, składającą wraz z innemi, na południe od niej leżącemi, archipelag Japoński; 2) wyspę Sachalin, przez Japonię w 1875 roku Rosyi odstąpioną, i 3) łańcuch wysp Kurylskich, od roku 1875 wyłącznie do Japonii należący.

Ainowie nie stanowią wszakże wyłącznej ludności tych krajów. Na wyspie Jesso zajmują oni głównie wybrzeża, z wyjątkiem południowego cyplu; na Sachalinie południową część wyspy, do 49° szerokości; z wysp Kurylskich zamieszkują wyłącznie tylko południowe i środkowe. Na Jesso wpośród Ainów wchodzą Japończycy; na Sachalinie oprócz Japończyków sąsiadują z nimi Gilacy i Orokowie; na wyspach Kurylskich bardziej północnych łączą się Ainowie z Kamczadałami.

Ilość Ainów w każdem siedlisku jest różna. Na Jesso wynosić może do 30.000, Na Sachalinie jest ich przeszło 2.000. Tylko na wyspach Kurylskich stanowią małe gromadki, nie przewyższające wogóle jednej setki.

1.

Odkrycie siedlisk Ainów, będące zarazem dziejami poznawania tego ludu, należy do ciekawszych, aczkolwiek już późniejszych kart z historyi odkryć geograficznych wogóle.

Jesso wchodzi do składu archipelagu Japońskiego. Najwcześniej przeto doszły do Europy wieści o istnieniu Ainów na tej wyspie, a dochodziły one równocześnie z wiadomościami, dostającemi się z Japonii o Japonii

Skoro w roku 1545 (według innych w roku 1546), zbłąkany okręt portugalski, zostający pod rozkazami Fernanda Mendeza Pinto, dotarł do brzegów Tanegi, małej wysepki, leżącej na południe od Kiu-Siu, a wieść o istnieniu nowych krajów obiła się o Europę, wnet do Japonii podążyli misyonarze chrześcijańscy. Oni to stali się pierwszymi etnografami tego kraju. Jeden z misyonarzów, Ludwik Froes, w *Listach Japońskich* pierwszy podaje opis Japonii (1565), a w nim przytacza co się o Ainach, mieszkających na Jesso, dowiedział, przebywając na Niponie. Drugi, Hieronim de Angelis, w kilkadziesiąt lat później (1622) sam dociera do Jesso i opisuje Ainów już na podstawie własnych spostrzeżeń.

Wyrznięcie w Japonii chrześcijan miejscowych i srogie wzbronienie przez rząd wylądowywania obcym (1638) przecinają ostatecznie możność dalszego badania kraju tą drogą.

Nastąpiła kolej wypraw eksploracyjnych i naukowych.

Ówczesny wielkorządca holenderski na Jawie, Van Diemen, wyprawił (1643 roku) z Batawii dwa okręty: »Breskens,« pod rozkazami kapitana Shepa, i »Castricum,« pod rozkazami kapitana Vriesa, na północne wody oceanu Spokojnego w celu poszukiwania wysp złotych i srebrnych, które podania mieściły na wschód Japonii. Holendrzy nie znaleźli tych wysp, ale pierwsi z Europejczyków dotarli na tych przestworzach oceanu do ziem jeszcze nieznanych.

Burza rozpędziła okręty. Shep i Vries odbywali więc poszukiwania każdy oddzielnie. Mając jednakże wytknięty jeden cel i wskazany jeden kierunek, obaj dopłynęli do wysp Kurylskich, Shep do Simuszyru, Vries po kolei do trzech: Urupu, Iturupu i Kunaszyru. Obaj przyjęli te wyspy za części lądu amerykańskiego, więc nadawszy im nazwy okolicznościowe, obaj je niezbadane opuścili i zwrócili się na zachód.

Shep, płynąc z powrotem wzdłuż wschodnich brzegów Niponu, wylądował na brzeg z kilku marynarzami, został przez Japończyków schwytany i uwięziony. Załoga okrętu, nie doczekawszy się swego kapitana, od brzegu, jak było umówione, odbiła i ku Jawie popłynęła.

Vries, płynąc bardziej na zachód, dostał się do zatoki Aniwa, na południowym brzegu Sachalinu. Następnie, udawszy się w kierunku północnym, dotarł na wschodnim brzegu Sachalinu do zatoki, nazwanej przez siebie zatoką Cierpienia. Przytem znowu nastąpiła pomyłka. Sachalin wydał się Vriesowi przedłużeniem Jesso. Cofnął się więc z zatoki Cierpienia ku południowi i podążył z powrotem na Jawę.

Wskutek wskazanych pomyłek rezultaty wyprawy holenderskiej wogóle były nieznaczne. W każdym atoli razie przyczyniły się do poznania Ainów. Vries kilkakrotnie się z nimi zetknął na Sachalinie i Jesso, i to, co podaje, potwierdza i uzupełnia wiadomości przesłane o nich do Europy przez dwu misyonarzów.

Następna wyprawa w te odległe i zupełnie na uboczu leżące strony odbyła się dopiero w półtora stulecia później: była to wyprawa wsławionego zgonem La Pérouse'a.

Tymczasem do wysp Kurylskich rozpoczęły się wyprawy z przeciwległego kierunku. Łańcuch ich sięga Kamczatki. Rosyanie, zająwszy ten półwysep pod koniec XVII stulecia, wieściami o krajach na południe leżących i nieznanych sobie ludach nęceni, zaczęli urządzać wyprawy zdobywcze na wyspy. Odbyło się ich w ciągu XVIII stulecia kilkanaście. Rezultatem tego było przyłączenie całego łańcucha z wyjątkiem dwu wysp, Kunaszyru i Iturupu, ku południowi najbardziej posuniętych, do okręgu Kamczackiego, oraz zetknięcie się bezpośrednie Rosyan z ludnością wyspiarską. Z Kamczatki wieści o Ainach przedostawały się do Europy. Opisy Ainów kurylskich, nazywanych Kurylami kosmatymi, wchodziły do prac naukowych.

La Pérouse, na początku 1787 r. wpłynąwszy na morze Japońskie, posuwał się na północ wzdłuż zachodnich brzegów Sachalinu. Często przybijając do lądu, po raz pierwszy ujrzał Ainów, zatrzymawszy się w zatoce, którą nazwał De Langle. Następnie również się z nimi zetknął, wylądowawszy w drugiej, bardziej na północ leżącej, a nazwanej przez siebie D'Estaing.

Ponieważ cel główny wyprawy leżał w zbadaniu wybrzeży wschodnich Azyi i wysp sąsiednich, dotychczas jeszcze nieznanych i nieopisanych, La Pérouse zatrzymał się na przeciwległym Sachalinowi brzegu Mandżuryi, w zatoce nazwanej przez siebie De Castrie. Tam poznał Oroków. Porównanie Ainów z Orokami uwydatniło wiele cech właściwych każdemu z tych ludów.

Cieśninę Tatarską La Pérouse poczytywał za głęboko w ląd Azyi wchodzącą zatokę, przypuszczając zarazem połączenie się Sachalinu z lądem stałym bardziej ku północy. Cofnął się więc z obawy mielizny i, płynąc z powrotem tąż drogą, odkrył południowo-zachodni cypel Sachalinu, przylądek na nim nazwał Crillon, okrążył go, przepłynął cieśninę, oddzielającą Sachalin od Jesso, która obecnie nosi jego nazwisko, wpłynął do zatoki Aniwa, gdzie przed półtorasta laty zatrzymywał się »Castricum,« a wydostawszy się z niej na wody oceanu, podążył do Kamczatki.

Pamiętnik podróży La Pérouse'a i mapy przez niego nakreślone zostały wydane w 1798 roku.

W 1795 roku wypłynęła na te wody angielska wyprawa

pod dowództwem W. Broughtona. Tylko nieświadomością losów wyprawy La Pérouse'a objaśnić można, że Broughton ponownie tą drogą, jaką i jego poprzednik, po cieśninie Tatarskiej przejechał i cofnął się tak samo, dla tychże przyczyn, tylko z bardziej na północ leżącego punktu (dojechał bowiem do 57°45′ szerokości, a zatoka De Castrie leży pod 51°29′).

Rezultatem podróży Broughtona jest jeszcze jeden opis Ainów z Jesso.

Na początku XIX wieku (1803 do 1806) odbyła się podróż naokoło świata Krusensterna. W 1805 r. Krusenstern dotarł do Sachalinu i zatrzymał się w znanej zatoce Aniwa. Tu częste odwiedziny lądu pozwoliły mu dokładnie przypatrzyć się Ainom i porównać ich z sąsiadami północnymi, oraz mieszkańcami krajów sąsiednich. Dochodzi on przeto pierwszy do wniosku, że Ainowie z Sachalinu, Ainowie z Jesso, oraz Kurylowie kosmaci — są jednym ludem.

Dokonana w 1808 roku wyprawa japońska na wyspę Sachalin, której dowódca Mamia Rinzo pierwszy dotarł do ujść Amuru, zbadał i opisał całkowicie brzeg zachodni Sachalinu, udowadniając, że jest wyspą, kładzie kres odkryciom geograficznym na tych wodach.

Z końcem odkryć geograficznych istnienie wogóle Ainów, trzy ich siedliska, oraz tożsamość ich w tych trzech siedliskach stały się faktem znanym.

Cóż atoli wyróżniało Ainów wśród, lub obok innych ludów? Co na nich zwracało szczególniejszą uwagę wszystkich podróżników, gdziekolwiekbądź ich tylko spotykali? Jakie nauki, czy też jaka nauka zająć się nimi była powinna?

2.

Ainowie są ludem pozostającym na pierwotnym stopniu kultury. Ich przemysł ogranicza się wyrobami najprostszych przedmiotów, do codziennego tylko użytku domowego, lub do łowiectwa i rybołówstwa służących, i przytem nie nosi na sobie żadnych cech oryginalności. Żadnych więc śladów po sobie w dziejach powszechnych zostawić nie zdołali. Żadnych pomników sztuki w ziemiach przez się zamieszkanych wznieść nie potrafili. Nawet mowy swej w postaci

pisma przechować nie umiejąc, żadnych zabytków twórczości umysłowej nie posiedli.

Zwracała przeto uwagę podróżników wyłącznie ich postać, zupełnie różna od postaci ludów, które ich otaczają.

Ludy, otaczające Ainów, są pochodzenia mongolskiego; w Ainach przeważają cechy przedstawiające zupełne przeciwieństwo z cechami zasadniczemi rasy mongolskiej. Wszyscy podróżnicy w swych opisach zgadzali się na to bez wyjątku.

Przedewszystkiem więc Ainami zająć się była powinna etnologia. Oni wyjątkowo są jej wyłącznym przedmiotem.

Ale etnologia w chwili wzmiankowanych poszukiwań i odkryć znajdowała się dopiero jako nauka w zawiązku. Brakowało jej rzeczy głównej: metody. Wytworzył się przeto taki stan rzeczy: materyały podówczas już zebrane dla etnologii w takiej postaci, jaką ona z czasem przybrała, nie były wystarczające; na podstawie zaś ich, ówczesne teorye antropologiczne, służące za punkt wyjścia i oparcia dla etnologii, do żadnego poważnego rezultatu doprowadzić nie mogły, Materyał więc dla nauki był niedostateczny, nauka zaś nieprzygotowaną do korzystania nawet z takiego materyału.

Pół wieku czekać należało, aż stan rzeczy zmienił się na lepsze w tym względzie.

Na początku drugiej połowy naszego stulecia Japonia wskutek traktatów z państwami europejskiemi (1854—1858) ponownie dla Europejczyków otwartą została. Równocześnie Rosya zdobywać zaczęła Sachalin. Do Japonii podążyli już nie sami tylko misyonarze, lub awanturnicy i wyzyskiwacze handlowi, jacy cisnęli się przed trzema wiekami, lecz również ludzie, którzy za doznawaną gościnność potrafili podnieść wiedzę, przemysł i dobrobyt gościnnego narodu. Za wyprawami wojennemi na Sachalinie nastąpiły inżynierskie i naukowe. Więc tu i tam Europejczycy mogli się stykać z Ainami już nietylko przygodnie, dorywczo, i ograniczać się opisem ich powierzchowności, lub zanotowaniem brzmienia kilkunastu wyrazów z ich języka, lecz przebywać wśród nich, wchodzić z nimi w stałe stosunki, wnikać w ich życie domowe, przypatrywać się im we wszystkich objawach ich bytu zewnętrznego i wewnętrznego. Zamiast więc obrazów z podróży, zaczęły się po-

kazywać studya etnologiczne [1]) o Ainach i poświęcone im monografie [2]).

A nadto, szkoły i uniwersytet, założone w Japonii na wzór europejski z wykładami języków europejskich, wychowują zastępy miejscowych badaczów. Japończycy sami zwrócili się do badań etnologicznych i zainteresowali się Ainami. Dowodzi tego ilość dzieł wydawanych [3]).

Skoro więc etnologowie, wskutek nowego kierunku swej nauki, obok opisów powierzchowności, zapotrzebowali jeszcze innego materyału do swych badań, wzmiankowane wypadki posiadanie go ułatwiły im w zupełności.

3.

»Pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobili Ainosi, powiada Siebold [4]), żywo przywiodło mi na myśl obraz człowieka, jakiego zwykliśmy sobie przedstawiać w czasach, zwanych okresem kamiennym. Gdy go widzimy przed ubogą chatą, robiącego rękami naczynia gliniane, albo na bagnie leśnem, lub na polu, odzianego w skórę i łyko, wyrywającego chwasty kawałkiem jeleniego rogu, zamiast narzędzia metalowego, lub koszącego zboże ostrą skorupą muszli zamiast noża, wtedy urzeczywistnia się w naszej fantazyi obraz pierwszych walk człowieka i jego pożycia w dawnych czasach.

---

[1]) Piękna praca H. Siebolda: *Ethnologische Studien über die Aino auf der Insel Yesso,* Berlin, 1881, została na język polski przetłómaczona przez dra L. Dudrewicza (*O Ainosach wyspy Jesso.* Warszawa, 1883).

[2]) Na czele monografii, jako źródło do poznania kwestyi, postawić należy D. Anuczyna: *Plemia Ainov.* Moskwa, 1873.

Autor w dodatku bibliograficznym wykazuje, że do r. 1875 dzieł i wszelkiego rodzaju rozpraw i artykułów, traktujących o Ainach, wyszło 141, z tych 53 w języku rosyjskim. Dotychczas ta cyfra, jak przypuszczać należy, niechybnie się podwoiła.

[3]) W r. 1887 wyszedł w Tokio tom I Memoryałów Uniwersytetu Japońskiego *(Memoirs of the literature college Imperial University of Japan).* Zawiera on trzy rozprawy i wszystkie trzy są poświęcone Ainom. A nadto, z wyliczenia dzieł o Ainach w trzeciej dowiadujemy się, że tylko w języku japońskim istnieje ich przeszło 400.

[4]) Wzmiankowana powyżej praca H. Siebolda, przekład dra L. Dudrewicza, str. 11 — 13.

»Silna, koścista, przysadkowata budowa ciała, przecięciowio większa niż Japończyka, szczególniej co się tyczy kobiet, długie, nieporządnie utrzymane włosy, silna broda, odzież ze skóry jelenia, lub z łyka drzewnego, bose nogi, uszy ozdobione wielkiemi kolczykami, usta, ręce i ramiona u kobiet i dziewic obficie tatuowane — dostatecznie ten obraz uzupełniają.

»Różnica cielesna od Japończyków zależy szczególniej na tem, ze barwa ich skóry nie jest, jak u tych ostatnich, lub u Chińczyków, żółto-brunatna, lecz bardziej czerwono-brunatna. Barwa skóry jest mniej ciemną u kobiet, niż u mężczyzn; dzieci są również jaśniejszej płci.

»Godnem uwagi jest uwłosienie u mężczyzn. Gęsta broda, długa na $1^1/_2$ stopy, zdaje się łączyć z długiemi włosami głowy od przodu i bufiastemi brwiami, zrośniętemi w jedną linię. Uwłosienie piersi, grzbietu, ramion i goleni u większej części mężczyzn jest także bardzo obfite. Kobiety również mają obfite włosy na głowie, brwi po większej części zrośnięte.

»Oczy Ainosów są zwykłej wielkości i mają wyraz ludzki. Położenie oczu nie jest, jak u ludów mongolskich, ukośne, lecz proste, jak u Europejczyków. Głos również jest zwyczajny; często znacznie grubszy i silniejszy. Nos silnie zaklęśnięty na kości nosowej i szeroki u dołu, płaski i gruby; jest to część ciała najszlachetniej zarysowana. Usta również zdają się proporcyonalne. Zwraca uwagę położenie zębów, mniej wystające niż u Japończyków. Podbródek również niezbyt cofa się ku tyłowi. Kończyny stosunkowo są duże. Ramię i przedramię zdaje się jednak za krótkie, w stosunku do górnej części ciała« (fig. 45—51).

W opisie tym Ainów z Jesso, dokonanym na podstawie osobistych spostrzeżeń przez H. Siebolda, brakuje wzmianki o barwie włosów i oczu. Określeniu ważnej tej cechy dla zdeterminowania pochodzenia rasowego, poświęcają rozprawę całą H. Lefèvre i Dr. Collignon. Z niej się dowiadujemy:

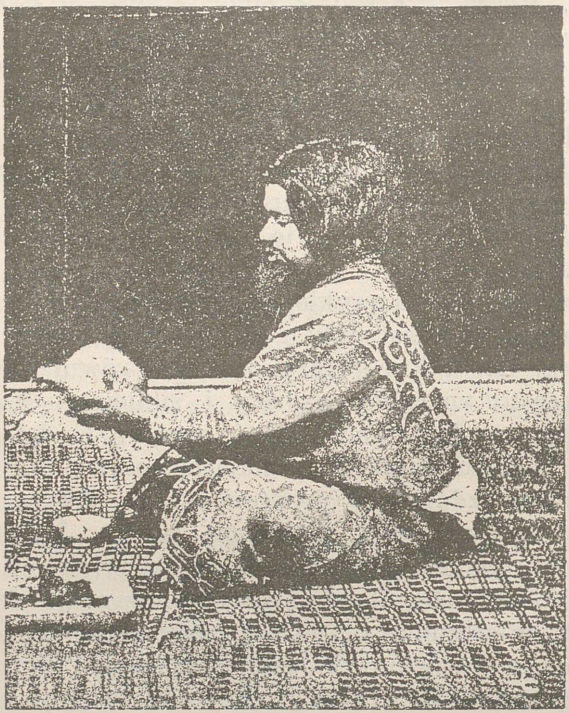
1) że na 100 wypadków wśród Ainów:

oczu ciemnych jest . . .	96,67
oczu wpółciemnych . . .	3,33
oczu jasnych	0,00
	100,00

2) że również na 100 wypadków:

włosów czarnych zupełnie jest . .	86,67
włosów bardzo ciemnych	13,33
włosów wpółciemnych	0,00
włosów rudych lub jasnych . . .	0,00
	100,00

Te dane tyczą się Ainów z Jesso. Ale ponieważ autorowie twierdzą, że Ainowie z Sachalinu różnią się od Ainów z Jesso tylko cokolwiek jaśniejszą cerą skóry, przeto



45. Aino z Jesso.

dochodzą do wniosku, że »wszyscy Ainowie mają włosy czarne i oczy ciemne« [1]). Przytem przypominają, że oczy są poziomo, nie zaś skośnie, jak u Mongołów, położone.

[1]) *Revue d'Anthropologie,* t. IV, 1889: *La couleur des yeux et des cheveux chez les Aïnos* (p. 132, 141).

Opis powierzchowności etnologowie uzupełniają danemi, otrzymanemi z pomiaru czaszek i szkieletów.

Od roku 1868 do 1880 dokonano pomiarów dwu szkieletów i dwunastu czaszek, z tych jeden szkielet i siedem czaszek pochodziły z Jesso, drugi szkielet i pięć czaszek — z Sachalinu. Pomiary zaś były dokonane przez d-rów: Buska, Davisa, Virchowa, Dönitza i Anuczyna.



46. Aino z Jesso, pijący wódkę.

Wszakże prace te jedynie przygotowawczemi ze względu na rezultaty, nazwać należy. Każdy bowiem nieznaczną tylko ilość okazów miał pod ręką.

W r. 1880, dr. I. Kopernicki otrzymał od dra B. Dybowskiego jeden szkielet i siedem czaszek ainowskich, pochodzących z Sachalinu, z nad zatoki Aniwa. Dokonawszy pomiarów, ogłasza, że pierwszą kardynalną cechą budowy czaszek jest to, że wszystkie one bez wyjątku są długie. Za drugą cechę typową dr. I. Kopernicki przyjmuje ich

eurygnatyzm, wyrażający się w szerokich, naprzód i na zewnątrz wysuniętych kościach jarzmowych, w wystających łukach jarzmowych i zgładzonych dołkach policzkowych. Nakoniec mniej wyraźny, chociaż wszędzie w mniejszym lub większym stopniu występujący prognatyzm, stanowi, według autora, trzecią wspólną cechę ich budowy ogólnej [1]).

Następnie dr. I. Kopernicki porównywa rezultaty pomiarów, otrzymane przez siebie, z rezultatami pomiarów czaszek ainowskich, otrzymanemi przez innych, oraz z rezultatami pomiarów czaszek ludów, sąsiadujących z Ainami



47, 48. Aino z Sachalinu.

i dochodzi do wniosku: »że niema żadnego ściślejszego powinowactwa rasowego Ainosów z innemi bliższemi i dalszemi ludami tej części świata. Ainosy stanowią tak pod względem kraniologicznym, jak i pod względem innych cech fizycznych i etnologicznych grupę zupełnie odrębną« [2]).

Więc Ainowie, aczkolwiek otoczeni światem mongolskim, nie należą stanowczo do rasy mongolskiej. Co kazała przypuszczać powierzchowność, stwierdziły pomiary. Ich wyraźna i znaczna długogłowość (dolichocefalizm) staje jako dowód obok cery skóry, pozycyi oczu, obfitości uwłosienia, chociaż

---

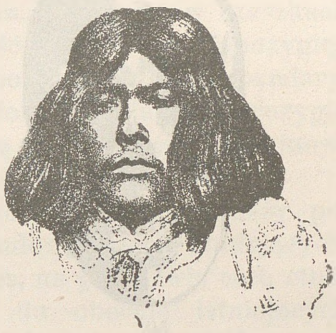
[1]) *O kościach i czaszkach Ainosów.* Kraków, 1881 (p. 20).
[2]) O. c. (p. 35).

wskazany eurygnatyzm niewątpliwie tylko przymieszce krwi mongolskiej zawdzięczać mogą.

Właśnie to zupełne odosobnienie w świecie mongolskim Ainów zaciekawia głównie co do nich. Z faktu bowiem tego odosobnienia bezpośrednio wypływa pytanie, tyczące się ich przeszłości, a mianowieie: skąd się wzięli w tym świecie? kiedy do niego weszli?

Wskazówką ważną mogłoby być w tym wypadku wyszukanie wśród ludów istniejących, jakiegokolwiekbądź pochodzenia rasowego, ludu, zbliżonego do nich cechami zewnętrznemi.

Bujne i czarne uwłosienie Ainów skłania O. Peschla do szukania pokrewieństwa pomiędzy nimi a Aetami na wyspach Filipińskich [1]). Vivien de Saint-Martin, widząc wiele cech wspólnych u ludów, stanowiących resztkę pierwotnej ludności na Sumatrze (Battowie), na Borneo (Dajacy), na Lusonie (Tagalowie), tworzy z nich osobną rasę oceaniczną i do niej, na podstawie dolichocefalizmu i bujnego uwłosienia, Ainów zalicza [2]).



49. Ainka z Sachalinu.

Dr. I. Kopernicki, bacząc, że wybitny dolichocefalizm Ainów najbardziej zbliża ich, pomimo wszelkich różnic, do Eskimów, stawia wniosek, że wśród nich »prędzej wolno byłoby szukać pochodzenia,« Ainów [3]).

Dr. L. Schrenck idzie w tym kierunku jeszcze dalej. W ludach, osiadłych na krańcach północnych i północno-wschodnich Azyi, i przedstawiających w niektórych okazach mniejsze lub większe zboczenie od typu mongolskiego, upatruje resztki dawnej ludności azyatyckiej (paleoazyatyckiej), z głębi kontynentu, przez później przybyłą ludność

---

[1]) *Nauka o ludach*, przekład dra T. Wisłockiego. Warszawa, 1876 (p. 466).

[2]) *Ethnologie du Grand Archipel d'Asie. L'Année Géographique*, 1870—71 (p. 90—97).

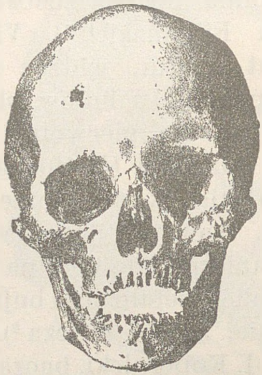
[3]) I. Kopernicki, o. c. (p. 36).

pochodzenia mongolskiego wyciśniętą. Nadając im przeto nazwę ludów okrajnych (Randvölker), pochodzących z paleoazyatyckiej formacyi etnicznej, zalicza do nich i Ainów [1]).

W roku 1884, dr. B. Dybowski powtórnie dostarczył dr-owi I. Kopernickiemu zbioru czaszek ainowskich; złożony on był z 12-tu okazów, pochodzących z tej, co i poprzednie, miejscowości. Dr. Kopernicki, dokonawszy pomiarów nadesłanych czaszek, rezultat ogłasza w słowach następnych: »Badania, powtórzone na nowym zbiorze czaszek, potwierdziły w zupełności wniosek nasz poprzedni o charakterystyce kraniologicznej tego plemienia, że zasadniczym, panującym typem budowy tych czaszek jest kształt długogłowy,



50.



51.

miernie wysoki, i że niemal wszystkie są szeroko-jarzmowe (phenozygae). Przypominają one przeto z wielu względów typ naszych europejskich czaszek długogłowych, mając szkielet napiętnowany w większym lub mniejszym stopniu, cechami typu mongolskiego« [2]).

Następnie dr. I. Kopernicki, rozstrząsnąwszy dane, które posłużyły L. Schrenckowi do utworzenia teoryi ludów paleoazyatyckich i do zaliczenia do nich Ainów, oświadcza, że »podziela w zupełności to przekonanie« [3]).

---

[1]) *Reisen und Forschungen im Amur-Lande in d. Jahren 1854 — 1865* (tom III, p. 244 — 252, 274 — 275).

[2]) *Czaszki Ainów, według nowych materyałów. (Pam. Akademii Umiejętności. Wydz. matem.-przyr.;* t. XII, p. 77).

[3]) Op. cit. p. 82.

Tymczasem materyał do studyów etnologicznych nad Ainami wzrasta ciągle, a w miarę rozwiązywania jednych kwestyi, powstają nowe. Stanowcze wyłączenie Ainów ze świata mongolskiego oraz zbliżenie, wskutek ich dolichocefalizmu, do typu europejskiego wywołało nowe zainteresowanie się całą tą sprawą.

Dr. Aureliusz Török, dyrektor muzeum antropologicznego w Budapeszcie, w roku 1888 ogłosił nową antropometryczną rozprawę o Ainach [1]). Wyliczywszy w niej wszystkie, będące obecnie w posiadaniu nauki czaszki Ainów (86), i zapowiedziawszy dokonanie przez siebie pomiaru dwu jeszcze nie zbadanych (z Muzeum budapeszteńskiego i drezdeńskiego), w pierwszej części swej pracy, poświęconej wyłącznie przeglądowi, oraz uzupełnieniu prac niektórych swych na tem polu poprzedników, wykrywa w czaszkach ainowskich wyjątkową szerokość jarzmową (fenozygię), którą, jako przekraczającą już spotykane u ludzi rozmiary, nazywa terozygią [2]) i utrzymuje, że właściwie owa terozygia (fig. 50 i 51) stanowi istotną różnicę pomiędzy czaszką ainowską a czaszką europejską [3]).

Z rasy mongolskiej wyłączonych Ainów należy pomieścić gdziekolwiekbądź wśród ludów, obecnie istniejących. Dokonywa tego A. de Quatrefages, na podstawie cech etnologicznych, zbliżających Ainów do obecnie istniejących kilku ludów, innych wszelako od wskazywanych przez Peschla i Vivien de S. Martin'a.

W ostatniej swej pracy, A. de Quatrefages, podając swój podział rodzaju ludzkiego, rasę białą albo kaukaską dzieli na cztery konary, niby na jednym pniu drzewa wyrosłe: aryjski, semicki, fiński i allofilski. Na konarze allofilskim siedem nalicza gałęzi, z których jedną nazywa azya-

---

[1]) *Ueber den Jezoer Ainoschädel... und über den Sachaliner Ainoschädel... Ein Beitrag zur Rassen-Anatomie der Aino.* W *Archiv für Anthropologie,* XVIII B. Dotychczas wyszła tylko część I.

[2]) *„Ich bezeichne diese Kategorie deswegen so, weil die eigentlichen Repräsentanten dieser Kategorie dem Thierreiche angehören und deswegen die Werthgrössen dieser Kategorie beim Menschen unbedingt als Fälle der Theromorphie aufzufassen sind* (O. c., p. 93).«

[3]) Op. cit., p. 95. Zainteresowanych tą kwestyą odesłać muszę do dzieła Topinarda: *Eléments d'Anthropologie générale,* str. 933 — 938. Terozygia Töröka będzie tylko zwiększoną fenozygią Topinarda.

tycko-amerykańską. Każda taka gałąź składa się z rodzin. Azyatycko-amerykańska gałąź składa się z trzech. Jedną z tych trzech jest rodzina Ainów. Rodziny rozpadają się na grupy, nazywane od terytoryum zamieszkanego. Rodzina Ainów tworzy cztery grupy: japońską, amerykańską, malajską i hinduską. W grupie japońskiej nasi Ainowie są przedstawicielami całej rodziny [1]).

W tym podziale A. de Quatrefages teoryi Schrencka, popartej przez Kopernickiego, nie uwzględnia. Owszem, swoją a zupełnie różną stawia poniekąd. Wszystkie bowiem połączone z Ainami przez Schrencka wspólnością pochodzenia okrajne ludy mieści on wśród rasy żółtej, a dla Ainów inne wskazuje pokrewieństwa.

Wykazane atoli przez A. de Quatrefages'a pokrewieństwo Ainów z trzema ludami innemi, rozrzuconemi po przestworzach lądowych i wyspach, co doprowadziło go do utworzenia całej rodziny ainowskiej, kwestyi, tyczącej się przeszłości Ainów japońskich nie rozwiązuje, a nawet poniekąd ją komplikuje, gdyż wiąże z przeszłością również zagadkowych, co do pochodzenia i przeszłości, ludów innych.

Również przy tem i teorya Schrencka objaśnić całkowicie pochodzenia i przeszłości Ainów jeszcze nie zdoła. Nietylko bowiem ich samych, lecz i zbliżonych do nich widocznemi cechami etnologicznemi, na północno-wschodnim lądzie azyatyckim wśród okrajnych ludów nie spotykamy.

Odkładamy przeto odleglejsze kwestye związków rasowych i pochodzenia Ainów *ad feliciora tempora.* W dalszym zaś ciągu poszukamy odpowiedzi na parę pytań, wypływających z ich obecnego położenia geograficznego i obecnego stanu ich kultury.

4.

Widząc Ainów, osiadłych wśród obcych sobie ludów, w krajach tak dalece odosobnionych, a przytem wskutek warunków miejscowych, tak niewiele ponętnych, postawić należy pytanie: czy Ainowie są dawniejszymi tych krajów mieszkańcami, niż ludność, obecnie z nimi sąsiadująca?

---

[1]) *Histoire générale des Races humaines.* Paryż, 1889 (p. 456).

a również: czy zawsze w tych samych, w jakich obecnie zamieszkują, przebywali granicach?

Stopień kultury, na którym stoją Ainowie, nie pozwala im, jak to wiemy, zaznaczać swych wędrówek pomnikami sztuki i przemysłu. Jedynie tylko mogli oni, osiedlając się w krajach, jeszcze przez inne ludy nie zajętych, nadawać nazwy rozmaitym miejscowościom, z których to nazw powstała następnie tak zwana nomenklatura geograficzna okolicy danej, lub całego kraju.

Przed laty trzema profesor uniwersytetu japońskiego, B. H. Chamberlain, podjął powyższą kwestyę i w cennej rozprawie, między innemi i tej kwestyi poświęconej [1]), podając nazwy wysp, przylądków i wzgórzy, jezior, gór i rzek, oraz wsi i miast, okolic i całych prowincyi w Japonii, rozpatruje je i bada, czy noszą one na sobie jakikolkiekbądź ślad języka ainowskiego. Wyspa Sachalin, jako nie należąca obecnie do państwa Japońskiego, nie wchodzi do zakresu jego badań. Również opuszcza, a to prawdopodobnie dla braku należytych materyałów, wyspy Kurylskie. Rozpoczyna zaś od wyspy Jesso, dzisiejszego głównego siedliska Ainów.

Przedsięwziąć podobnego rodzaju badania pozwala ta okoliczność, że język ainowski jest zupełnie różny od japońskiego. Przypuszczać przeto łatwo, że każdy wyraz ainowski, wyśledzony w nazwie geograficznej, potrafi się odosobnić wybitnie na ogólnem tle japońszczyzny.

Ale wyśledzenie samo nie małe nastręcza trudności. Ainowie, nadając nazwy miejscowościom, przypuściwszy już raz sam fakt nadawania, nie utrwalili brzmienia tych nazw w piśmie. Dokonali tego Japończycy. Japończycy zaś, wskutek odmiennego ustroju organów mowy, nie mogąc wymawiać dźwięków języka ainowskiego, już je stosownie do swej mowy zmieniali, a nadto utrwalili nazwy nie we własnem piśmie, którego również nie posiadają, lecz w piśmie chińskiem, złożonem z ideogramów i postaci zgłoskowych, wziętych naturalnie z języka chińskiego. Tak więc, brzmienia ainowskie zjapońszczone, utrwalone zostały w piśmie

---

[1]) *The Language, Mythology and geographical Nomenclature of Japan viewed in the light of Aino Studies.* Rozprawa ta wyszła we wzmiankowanych już *Memoirs of the University of Japan.*

za pomocą już to ideogramów chińskich, rzecz inaczej brzmiącą po ainowsku, niż po chińsku wyrażających, już to za pomocą postaci zgłoskowych również chińskich, oznaczających dźwięki bez żadnego znaczenia w japońszczyźnie. Powstały stąd rozmaite zawikłania. Naprzykład, ta sama nazwa miejscowości inne w języku japońskim, inne zaś w ainowskim ma znaczenie.

Aino-mura po japońsku oznacza: wioska wzajemnych bagien, po ainowsku: wioska ainowska. *Atsumi* po japońsku: zwilgocenie pięknego, po ainowsku: wiąz drzewo. *Fujube* po japońsku: zimowe pokolenie, po ainowsku: rzeka z dołami. *Izumo* po japońsku: wychodzące chmury, po ainowsku: zatoka przy przylądku. *Kiji* po japońsku: drzewo współczucia, po ainowsku: trawiasty. *Mennai* po japońsku: wewnętrzne pozwolenie, po ainowsku: zły strumień. *Otobe* po japońsku: następne pokolenie, po ainowsku: piaszczysta rzeka. *Sukunami* po japońsku: robiący w szeregu, po ainowsku: letni strumyk.

Wobec tego faktu wynika samo z siebie pytanie: która nazwa, japońska, czy ainowska, jest prawdziwą, to jest, która została nadaną rzeczywiście danej miejscowości, a która powstała bądź z przypadkowo zbliżonego w obu językach brzmienia wyrazów, bądź to z wadliwego systematu piśmiennego?

B. Chamberlain do rozwiązania tej kwestyi dochodzi dwojaką drogą. Po 1) ze znacznej ilości geograficznych nomenklatur ainowskich wysuwa systemat nadawania nazw rozmaitym miejscowościom przez Ainów. Po 2) obie nazwy, japońską i ainowską, zastosowuje do danej miejscowości.

Co do kwestyi powyższej B. Chamberlain wyjaśnia, że Ainowie przy nadawaniu nazw, określali tylko miejscowość, nie łącząc z nią wcale żadnych wspomnień osobistych, czy też historycznych, i nie zastosowując nigdy do nich żadnych refleksyi lub uwag, co się zupełnie zgadza z tym stopniem rozwoju umysłowego, na którym stoją Ainowie. Oto są typowe nomenklatury ainowskie: czerwona rzeka, strumyk wychodzący z jeziora, ujście jeziora, miejsce zarosłe trzciną, paląca się miejscowość (wskutek sąsiedztwa z wulkanem), strumyk przy drodze piaszczystej, szczurzy przylądek, toporkowy przylądek, pagórek skalisty, mieszkanie skaliste,

wieś przy początku zatoki, wzgórze nad źródłami rzeki, góra mająca wklęsłość, i t. d. Co zaś do drugiej, rozwiązuje ją, badając daną nazwę na miejscu. Wtedy o pierwotności, a więc i rzeczywistości nazwy wyrokuje jej właściwość. Jeśli np. *Jakanai* jest nazwą strumyka, więc prawdziwa nazwa jego będzie ainowska, która oznacza strumień jeleni, nie zaś japońska, oznaczająca: drogi rozstajne wewnątrz. Jeśli zbadanie okolicy, noszącej nazwę *Kunijoszy* wykaże, że rosną w niej, lub też rosły olchy, więc prawdziwą nazwą będzie ainowska, która oznacza: pokryty drzewami olchowemi, nie zaś japońska, oznaczająca: kraj szczęśliwy [1]).

Na podstawie takiej metody B. Chamberlain przystąpił do rzeczy. Z zebranych przez niego 225 nazw różnych miejscowości na Jesso, tylko 65 nie dało się wyjaśnić zastosowaną do przedmiotu i jego charakteru nazwą ainowską.

Z Jesso przechodzi autor do Niponu. Tam również znajduje na całej wyspie ślady bytności Ainów. Stosunek wszelako nazw ainowskich i japońskich do siebie znacznie się na Niponie zmienia. W północnej prefekturze Aomoni, na sto nazw japońskich jest od pięciu do dziesięciu ainowskich. O ile jednakże posuwamy się bardziej na południe wyspy, o tyle procent ten bardziej maleje. Pośrodku wyspy nazwy ainowskie stanowią jeden procent japońskich. Jeszcze niżej — pół procentu. Nakoniec na samem południu, nazw ainowskich nie spotyka się już prawie zupełnie.

Wnioski z tych badań wyprowadzić można następujące:

1) Na Jesso Ainowie są wcześniejszymi mieszkańcami, niż Japończycy, gdyż oni to nadawali nazwy rozmaitym miejscowościom, nie zaś Japończycy. Ci ostatni od Ainów przyjęli nazwy już utarte i je zatrzymali.

2) Ainowie przebywali również i na Niponie, wyspie, stanowiącej ognisko państwa Japońskiego.

3) Na Niponie Ainowie posuwali się, a właściwie ustępowali, usuwani przez nowo przybyłych Japończyków w kierunku północnym.

---

[1]) Zatrzymałem się dłużej na tej kwestyi, niżby to może należało ze względu na miejsce, ale miałem na uwadze: 1) trafność metody Chamberlaina, dającą się zastosować w wielu wypadkach, 2) ważność dla etnologii badania nomenklatury geograficznej w każdym kraju.

Według kronik japońskich, Japończycy przybyli do Niponu w środku ostatniego tysiącolecia przed erą naszą. Wypieranie więc Ainów z Niponu rozpoczęło się wraz z ich przybyciem na ten archipelag.

Gdy metoda Chamberlaina będzie zastosowana i do innych krajów, przez Ainów zamieszkałych, i nomenklatura geograficzna w krajach tych będzie ze względu na Ainów i ich stosunku do Gilaków, Oroków i Kamczadałów wyjaśniona, nastąpi wtedy nieodzowne uzupełnienie pracy Chamberlaina. A wraz z tem kwestya mniej odległej przeszłości Ainów otrzyma pożądaną podstawę w faktach niezbitych.

V.

Wykrycie faktu historycznego, że Ainowie zajmowali przed wiekami całą Japonię i piękny ten a bogaty kraj ustąpili jego obecnym mieszkańcom, nietylko już na ich powierzchowność zwraca naszą pomimowolną uwagę. Chciałoby się niezwłocznie odszukać przyczyn tego zjawiska, zawsze zaciekawiającego, choć nie nowego ani wyjątkowego w dziejach. Wtedy zaś na przedni występują plan ich charakter, ich usposobienie moralne, oraz uzdolnienie umysłowe.

»Gdyby Ainowie byli narodem pasterskim i posiadali znaczne stada, ich to właśnie należałoby wtedy przedstawić jako typ starożytnych patryarchów« — twierdzi La Pérouse, sentymentalnym swego wieku uniesiony idylizmem. Krusenstern podaje za charakterystyczną cechę usposobienia Ainów ich serdeczną dobroć, wyrażającą się zarówno w rysach ich twarzy, jak i w mowie i we wszelkich czynach. »Wszyscy członkowie rodziny, świadczy on, pozostają stale w zupełnej z sobą zgodzie... Wśród nich nie zdarzyło mi się nigdy usłyszeć żywej rozmowy, lub głośnego śmiechu, a tem mniej dostrzedz ostrej sprzeczki, czy też uniesienia i bijatyki. Dla przybyszów są oni w wysokim stopniu usłużni i zawsze gościnni... nie przymawiają się sami nigdy do żadnych upominków, a nawet ofiarowywane niechętnie przyjmują...« I kończy uwagą następną: »Wszystkie te tak rzadkie przymioty Ainowie zawdzięczają jedynie przyrodzonemu swemu charakterowi, nie zaś, co należało przypuszczać, wykwintowi cywilizacyi. Ja nie waham się nazwać ludu tego najlepszym

ze wszystkich, z któremi tylko pozwolił mi los zetknąć się kiedykolwiekbądź w życiu.«

»W charakterze tego ludu, utrzymuje H. Siebold, wogóle cichej natury, leży rys poważny, melancholiczny, a również niby żałoba po straconem na zawsze szczęściu...« I dodaje: »Był to dla mnie wzruszający widok, jak z wdzięcznością przyjmowali oni każde słowo przyjazne, jak je wielokrotnie powtarzali, aby się jego nacieszyć znaczeniem.«

Czy te atoli cechy charakteru Ainów, dostrzegane przez obcujących z nimi podróżników, są skutkiem przygnębienia, wynikłego z ciągłego ustępowania przed Japończykami? czy też stały się główną przyczyną tego ustępowania? Czy stan obecny kultury Ainów jest wynikiem ich upadku, a w nim dają się odszukać jeszcze ślady wyższego ich rozwoju w przeszłości? czy też odwrotnie, wobec ich przeszłości ten świadczy tylko, że Ainowie nie byli nigdy i nie są obecnie zdolni do rozwijania się stopniowego?

Z rozstrzygnięciem tego pytania należy się chyba zwrócić do religii Ainów, gdyż bez wątpienia, żadna strona ich bytu obecnego, przy takim stanie kultury wogóle, dokładniej uzdolnienia umysłowego nie przedstawia.

Ainowie znajdują się na tym stopniu rozwoju umysłowego, na którym wierzenia stanowią wiedzę.

Ainowie wierzą w istnienie niezliczonej ilości duchów [1]). Duchy te przebywają, według nich, zarówno w istotach obdarzonych życiem, to jest w człowieku i zwierzętach, jak również w każdem miejscu, oraz w przedmiotach wszelakich. Znajdują się one po mieszkaniach w każdym kącie i w ognisku. Znajdują się w najbliższem otoczeniu mieszkania: w polu, lasach i górach; w wodach i morzu; nad ziemią — w gwiazdach, słońcu i księżycu; pod ziemią — w przepaściach, norach i ukrytych dla oka ludzkiego głębokościach.

Duchy te istnieją niezależnie od siebie. Potęga ich wszelako bywa różna. Duch wielkiej góry jest potężniejszym naturalnie od ducha nikłego wzgórza; duch lasów — od ducha danego drzewa, lub jakiejkolwiekbądź miejsco-

---

[1]) Faktów do tego szkicu dostarczają mi materyały, zebrane na Sachalinie przez M. Dobrotworskiego i pomieszczone jako uzupełnienie jego *Słownika aino-rosyjskiego.*

wości w lesie; duch morza — od ducha wpadającego do morza strumyka, lub rzeczki; duch, przebywający w niedźwiedziu — od ducha, przebywającego w nędznej myszy, lub w komarze. Wierzenia te atoli prowadzą dopiero do uporządkowania hierarchicznego duchów i poddania jednych pod władzę drugich; ale same w pojęciach Ainów hierarchii duchów jeszcze nie stanowią.

Duchy te nazw osobnych nie noszą, tylko do nazwy miejscowości, lub przedmiotu, dla oznaczenia ducha ich dodają nazwę rodzajową ducha (kamuj); w taki sposób duch morza będzie się zwał atuj kamuj (atuj = morze); duch słońca: czup kamuj (czup = słońce).

Duchy te są przyczyną wszelkiego ruchu na świecie i wszelkich zjawisk; więc bywają złe i dobre, podobnież jak same zjawiska, bywając pożyteczne i szkodliwe dla człowieka, są przyjemne dla niego, lub go przerażają.

Wiara w istnienie duchów osobnych na każdem miejscu uwalnia Ainów od wznoszenia specyalnych budynków dla nich przeznaczonych. Żadnych świątyń Ainowie nie mają.

Duchy te są niedostępne i niewidzialne. Ainowie ich tylko czują po pewnym szmerze, poznają po pewnych odgłosach i dostrzeżonych ruchach. W bezpośrednie przeto stosunki z duchami sami nie wchodzą. Stosunki te podtrzymują wróżbiarze: im tylko wyłącznie duchy zjawiają się osobiście; z nimi rozmawiają, im jedynie wolę swoją objawiają. Istnienie wszelako osobnych pośredników do wytworzenia specyalnych obrzędów religijnych nie doprowadziło. Tak zwany szaman jest tylko poradnikiem, zaklinaczem, a w razie potrzeby i lekarzem. Kapłanem zaś jeszcze nie został.

Wskutek stałego otoczenia każdego Aina duchami, należałoby, aby każdy miał nieodstępnego od siebie szamana, co, będąc wszelako niemożebnem, doprowadziło do wynalezienia pewnych środków na duchy, dostępnych każdemu w danym razie. Środkami temi są zapobiegające czary, przygodne zaklęcia, ofiary w naturze i inawy.

Znanym wśród Ainów jest Onkikamuj (duch kaszlu), wywoływujący choroby piersiowe i gardlane, a przez nie sprowadzający śmierć. Dość duchowi temu okrążyć dom, lub wieś, by wszyscy mieszkańcy podlegli chorobie. Na

szczęście jednakże chód ducha kaszlu sprawia charakterystyczny łoskot. Łoskotem tym Ain ostrzeżony rzuca zaraz kamień na płonące ognisko. Dokonane czary zmuszają ducha do odwrotu i uchylają grożące niebezpieczeństwo.

Duchy pól starają się często, zwłaszcza w nocy, zwrócić Aina z prostej drogi, by się błąkał. W tym celu z różnych stron wołają na niego po imieniu. Wtedy Ain ratuje się, powtarzając zaklęcie: »Chanka kema, teech kuni nuki!« (przestań straszyć mię nocą). Słowa te oddalają ducha.

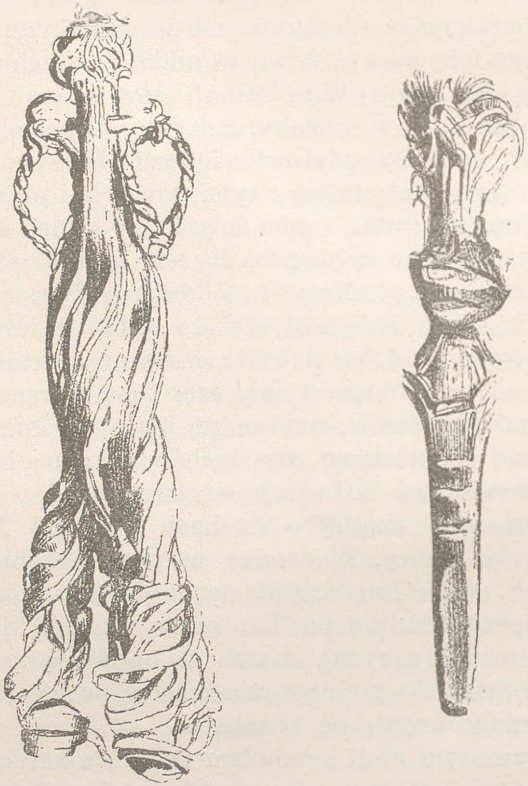
Pewny zły duch (Wen kamuj) sprowadza obłąkanie. Posiada on na to dwa sposoby. Rozpala po polach ogniska, na które patrzenie szkodzi człowiekowi, lub podążając za upatrzoną ofiarą, dotyka jej z tyłu. Ainowie i przeciw temu niebezpieczeństwu radzą sobie. Gdy który z nich spostrzeże ogień, wnet rozrzyna ucho psa, zaczem skrapia siebie i obmazuje krwią gorącą. Krew ta oddala wpływ czarodziejskiego ognia. Gdy zaś posłyszy za sobą szelest kroków dopędzającego go ducha, dobywa wnet noża, który zawsze nosi przy sobie, obnaża tylną część ciała, ręce zakłada, trzymając nóż, za siebie, nagina się i ucieka. Pomimo swej przewagi nad człowiekiem zły duch widokiem obnażonego ciała i wystawionego noża daje się odstraszyć.

Pamięci swej ciągłej o duchach dowodzi Ain, składając im wciąż ofiary. W drodze, w celu uczczenia duchów miejscowych, sypie im szczyptę tytuniu. U siebie duchom domowym przy każdym posiłku rzuca okruchy jadła, lub pijąc saki (wódka z ryżu), macza w napoju pręcik, który mu służy zwykle do podnoszenia wąsów przy jadle i piciu, i strąca z niego kroplę na ziemię.

Rzeczywistym atoli symbolem religii, a zarazem i religijności Ainów, jest *inaw*. Jest to kloc, lub też drąg drewniany różnej długości (od kilku cali do kilku łokci), ozdobiony wiórami i nacinaniami. Chociaż te ozdoby są fantastyczne, zawsze jednakże daje się w nich dostrzedz wzorowanie na postaci ludzkiej. Nacięcia przypominają rysy twarzy i figurę ludzką, przysztukowywane kawałki — członki ludzkie. Wióry na wierzchu — uwłosienie głowy i twarzy (fig. 52 i 53).

Użycie inawów jest bardzo rozmaite i da się porównać do użycia krzyża u chrześcijan. W każdej chacie stoi inaw na głównem miejscu, na cześć ducha domowego. Rodzi się

człowiek — strużą i stawiają inaw, choruje — znowu inaw nowy przy łożu, umiera — jeszcze inny stawiają przy trupie. Inawy wbijają w ziemię naokoło chat swoich, po drogach, w każdem miejscu ważniejszem w okolicy. Znaleziony inaw świadczy zawsze o bytności Aina; jest on nieomylnym jego śladem.



52, 53. Inawy.

W czasie burzy na morzu, Ainowie dla uspokojenia ducha mórz rzucają inawy do wody. Ta właśnie okoliczność i wzorowane na postaci ludzkiej ozdoby na inawie naprowadzają na wniosek, że symbole te początkowo mogły zastępować ofiarę ludzką składaną duchom.

Wiara w istnienie w każdem zwierzęciu ducha odrębnego uczy czci zwierząt. Ainowie, nie wznosząc świątyń,

nie znając kapłanów, nie posiadając zwłaszcza żadnego przez przepisy utrwalonego kultu, nie mają właściwie świąt związanych z kultem, ani też uroczystych wogóle obchodów. Jest jednakże jedna u nich uroczystość, którą nazwać możemy religijno-narodową. Ze wszystkich zwierząt w najwyższej czci pozostaje u Ainów niedźwiedź. Uznają go nawet za syna ducha gór, zwłaszcza, jeśli się im uda pojmać małego i wychować. Karmiące matki nie żałują swej piersi dla małego; dorastającego otaczają niezwykłą pieczołowitością; mieszczą go w osobno dla niego zbudowanej klatce; karmią go i poją starannie; dbałością o wygody jego dowodzą swej czci dla mniemanego ojca. Pielęgnowany niedźwiadek szybko przeistacza się w niedźwiedzia. Już zaczyna się w nim przebijać dzika natura: porywa za szczeble klatki, chce je zgruchotać, wydostać się z niej, rzucić się z właściwą sobie swobodą na opiekunów. I oto, głuchy ryk, towarzyszący usiłowaniom zburzenia klatki, staje się hasłem do chwili uroczystej dla całej osady i zaproszonych z sąsiedniej gości.

O dziwy logiki ludzkiej! Zaopatrzeni w liny, uzbrojeni drągami i nożami, rzucają się Ainowie z dziką, a podnieconą uczuciem religijnem zaciętością na syna ducha gór, w którym dotychczas potęgę czcili ojca, wiążą go, obalają i duszą położonym na gardle drągiem. Każdy podąża, by choć dotknięciem się do przyrządu uwydatnić swój zapał. Gdy zwierzę żyć przestało, rozpoczyna się drugi akt uroczystości. Dotychczasowi mordercy i całe ich otoczenie zaczynają uczuwać żałość; podnoszą się zewsząd westchnienia i szlochy; płaczą i jęczą zarówno mężczyźni, jak i kobiety i dzieci, a przyczyną tego jest fakt, że syn ducha gór istnieć przestał.

Ale wszystko ma swój koniec. Żałość zostaje ukojoną kilkunastu szklankami wypitej krwi gorącej; żałoba — zatartą pożarciem wątroby surowej i kawałkami mięsa upieczonej ofiary. Obfita ilość przygotowanego na tę uroczystość saki uspokaja umysły, rozwesela serca, podnieca wyobraźnię. Tańce i śpiewy zastępują objawy poprzedniej żałości. Hulanka i uczta trwa do dnia następnego i nieraz przeciąga się i do trzeciego. Czaszkę niedźwiedzia przechowuje rodzina, która go wypielęgnowała.

Następnie cała osada poluje na nową ofiarę. Szczęśliwą się czuje ta rodzina, której przedstawicielom los pozwala pojmać, by pielęgnować mogła, syna ducha gór. Przyszła uroczystość jej staraniem będzie już zapewnioną, a przechowywana czaszka długo będzie świadczyła o zaszczycie doznanym [1]).

Wiara w istnienie duchów również prowadzi do wierzenia w istnienie człowieka po śmierci, w postaci ducha. Wszak duchy istnieją, choć są niewidzialne. Człowiek, jako duch, staje się również niewidzialnym. Atoli ponieważ pozostali przy życiu niezawsze byliby radzi z ożycia zmarłego, wystrzegają się przeto wszyscy wymawiania chociażby przypadkowego jego imienia. Mógłby zmarły, słysząc wymówione swe imię, wziąć to za wezwanie do powrotu i zjawić się nagle. Duchy ludzkie przebywają po śmierci na oddalonych wyspach. Duchy niedźwiedzie w gąszczach lasu. Duchy wielkich ryb na dnie morza. O losy pośmiertne marniejszych zwierząt i ryb Ainowie nie troszczą się wcale.

Religia Ainów, jak widzimy, nie przekroczyła granic pierwotnego animizmu. Nie przedstawia przeto resztek jakiegokolwiekbądź systematu bardziej złożonego, lecz raczej sama jest dopiero zawiązkiem systematu. W obecnej swej postaci, jak każda religia pierwotna, stanowi punkt wyjścia dla wszelkich wierzeń wogóle. Z animizmu bowiem powstały wszystkie znane religie.

Bardziej pierwotnemi nie mogły być wierzenia Ainów nawet przed kilku tysiącami lat, gdy jeszcze zajmowali cały Nipon. Zatrzymanie się na jednym stopniu w wierzeniach świadczy o nizkiem uzdolnieniu umysłowem. Nizkie zaś uzdolnienie wyjaśnia przyczyny obecnego ich stanu.

---

[1]) B. Scheube opisał, jako naoczny świadek, uroczystość niedźwiedzia w rozprawie p. t.: *Der Bärencultus und die Bärenfeste der Ainos...*, pomieszczonej w *Mitth d. Deuts. Gesells. für Natur und Völkerkunde Ostasiens*, 1880.

II.

Andamani.

Faktem jest, że ludy dzikie, zetknąwszy się z kulturą europejską, giną. Giną — jak zginęli do szczętu od miecza i brutalstwa Tasmańczycy, giną — gdy brutalstwo i miecz zastąpione zostały przez troskliwą opiekę osiadłych wśród nich Europejczyków, jak na wielu wysepkach oceanijskich; giną — otrzymawszy nawet samorząd i prawa konstytucyjne, jak Maorowie od Anglików na Nowej Zelandyi; lub — potworzywszy własne swe państewka na wzór europejskich, jak na Hawai i Taiti. Nic już, jak się zdaje, tego fatum, zawisłego nad nimi, odwrócić nie zdoła, a nawet nic mu, chociażby tylko czasowo, zapobiedz nie może. I w niedługim przeciągu czasu o istnieniu tych ludów, o których przed wiekiem dowiadywano się dopiero w Europie, zaświadczą tylko czaszki i szkielety, przechowywane po muzeach, oraz garstki metysów, rozsiane po przestworzach wód i lądów. A zapewne prędzej to nastąpi, nim badacze ostatecznie docieką i sformują przyczyny tego zjawiska.

I również jest faktem, że samo istnienie i byt ludów dzikich dla nauki coraz większego nabiera znaczenia.

Antropolog w każdym takim ludzie otrzymuje nowy okaz, już to świadczący o rozmaitości rodzaju, już to obalający, lub potwierdzający przyjęte teorye o pochodzeniu i rozkrzewianiu się ludzi. Etnolog odkrywa ogniwo do powiązania z sobą łańcucha ludów powstałych i znikłych w kilkusetwiekowem istnieniu człowieka. Socyolog w bycie dzikiego ludu znajduje liczne wskazówki co do pochodzenia, oraz pierwotnej postaci rozmaitych urządzeń społecznych i wierzeń religijnych. Archeolog tam spostrzega, do jakiego użytku i w jaki sposób służyły zbierane przez niego narzędzia człowieka kopalnego. Lingwista, poznając mowę nieznanego dotychczas ludu, zdobywa dla swej umiejętności nowy język, lub kilka jego narzeczy, co wymownie przekonywa, że wszelkie uogólnienia dotychczasowe i klasyfikacye na tem polu były co najmniej przedwczesne. Nakoniec dziejopis widzi w tym ludzie obraz rzeczywisty kultury pierwotnej, którego mu nie dostarcza żaden naród historyczny, ni starożytni Babilończykowie, ani jeszcze staro-

żytniejsi Egipcyanie, i w taki sposób dociera ostatecznie do punktu wyjścia naszej cywilizacyi.

Ale ludy dzikie, w zetknięciu się z kulturą, jeszcze szybciej pod jej wpływem przeobrażają się, niż giną; a to, dodać należy, zawsze w sposób ujemny dla swego charakteru, szkodliwy dla zdrowia, a częstokroć nawet i dla pojęć.

Już i obecnie dla poznania pierwotnego stanu ludów oceanijskich zwracać się nieraz wypada do pierwszych podróżników. Ich opisy już i obecnie otrzymują znaczenie, niczem się zastąpić nie dających dokumentów historycznych.

Jednakże na krańcach południowych Azyi przechowały się ludy, do których epitet »dziki« da się jeszcze w całej rozciągłości zastosować.

Jednym z takich ludów są mieszkańcy wysp Andamańskich [1]). Zetknęli się z nimi i poznajomili Europejczycy dopiero przed trzydziestu kilku laty, co jest tem dziwniejsza, że wyspy te były już znane Grekom starożytnym, a nawet nazwa, nadana im przez Greków, brzmi w dzisiejszej ich nazwie [2]). A przytem i dla średniowiecznych podróżników nie pozostawały one zupełnie obcemi [3]).

---

[1]) Wyspy Andamańskie leżą w zatoce Bengalskiej i ciągną się długim łańcuchem pomiędzy 14 a 10 stopniami szerokości północnej, równolegle do 93 południka (od Greenwich), na przestrzeni dwustu kilkudziesięciu kilometrów. Jest ich cztery głównych: Północna, Środkowa i Południowa tworzą Wielki Andaman. Mały Andaman leży osobno, ku południowi, poniżej. Trzy pierwsze wyspy poprzedzielane są od siebie kanałami, szerokości różnej, od pół do dwu kilometrów. Wielki Andaman od Małego oddziela cieśnina szerokości dwudziestu kilku kilometrów. Kilkanaście maleńkich wysepek przylega z obu stron do brzegów Wielkiego Andamanu. Wielki Andaman ma do 300 km. długości, Mały do 50. Szerokość obu dochodzi zaledwo do 40. Przestrzeń obu wynosi 2508 mil kw. Powierzchnia wysp przedstawia dość wyniosłą, lasami bujnemi pokrytą płaszczyznę, na której wznoszą się góry pojedyńcze. Jedna z nich (Saddle Peak) na Północnym Andamanie sięga 2400 stóp wysokości.

[2]) Ptolemeusz, wzmiankując o wyspach Andamańskich, nazywa je wyspami ἀγαθοῦ δαίμονος (insulae bonae fortunae — brzmi w przekładzie łacińskim). Nazwa ta, przechodząc przez formy pośrednie: Agdaman, Angaman, przybrała wreszcie brzmienie: Andaman.

[3]) Mianowicie mówią o nich: Arab Sulejman, w sprawozdaniu ze swej podróży, odbytej po Oceanie Indyjskim w środku IX stulecia, i sławny Marco Polo. Obaj mieszkańców ich przedstawiają, naturalnie tylko ze słyszenia, jako okrutnych ludożerców. Taka ich sława mogła odstraszać od ich siedlisk nawet ciekawych podróżników.

Wyspy Andamańskie leżą w ustronnej zatoce Bengalskiej i w niej, leżąc na uboczu od wszelkich dróg handlowych, są zupełnie odosobnione. Najbliższy ląd, zachodnie brzegi wschodniego półwyspu Indyjskiego, jest od nich oddalony o kilkaset kilometrów.

1.

Zupełne odosobnienie, a zarazem przyleganie do posiadłości angielskich wysp Andamańskich, było przyczyną, że na tych wyspach w 1857 r., podobnie jak na początku ubiegłego stulecia, dla tychże przyczyn na Tasmanii, rząd angielski założył kolonię karną [1]). Ale losy Tasmańczyków, których z kilkunastu tysięcy zaledwie kilku, wskutek właśnie osiedlenia na ich wyspie deportowanych przestępców, dogorywało nędznie w chwili założenia na wyspach Andamańskich kolonii dla przestępców, skłoniły rząd angielski do zupełnie innego postępowania z ludnością miejscową na Andamanach.

Osiedlający się na Tasmanii Anglicy objęli prawie odrazu całą wyspę w posiadanie. Z dwu głównych na dwu krańcach przeciwległych wyspy urządzonych ognisk kolonizacyi, rozchodząc się w promieniach, osady kolonistów pośrodku jej zetknęły się z sobą. Na wyspach Andamańskich mieszczą się kolonie tylko na jednej z nich, południowej, i to w jednej tylko miejscowości, naokół zatoki Blaira, i na trzech w niej leżących drobnych wysepkach.

Na Tasmanii w drugim już roku po założeniu pierwszej kolonii rozpoczęły się stosunki nieprzyjazne z krajowcami, a w bezpośrednie z nimi zetknięcie się weszli zbrodniarze i wojskowi. Na Andamanach wojsko jest użyte wyłącznie do utrzymywania w karności skazanych na depor-

---

[1]) G. L. Domeny de Rienzi, autor znanego dzieła: *Océanie*, wspomina w niem (tom I, str. 116) o próbie Anglików założenia kolonii karnej na Andamanach jeszcze w 1791 r. Kolonia była założona w porcie Cornvallis, leżącym na wschodnim brzegu wyspy Północnej. Próba ta jednakże nie udała się, i kolonia w 1793 r. została opuszczona. Ten sam port był punktem zbornym eskadry angielskiej w 1824 roku, gdy ta udawała się na wybrzeża cesarstwa Birmańskiego w celu zdobycia Rangunu. Rienzi nazywa wyspy Andamańskie — Endamènes.

tacyę. Jedynie tylko przedstawiciele zarządu kolonii wchodzą w stosunki z krajowcami. Dla pożytku dorosłych są otwarte domy porady i zapomogi, w których każdy krajowiec, zwykle zgłaszający się dobrowolnie, znajduje zawsze opiekę i schronienie, jadło i pomoc lekarską; dla opieki nad dziećmi założone są ochrony. Jedne i drugie pozostają pod zarządem towarzystw filantropijnych angielskich z sąsiedniej Indyi. Nie gnębią przeto krajowców skazańcy i wojskowi; nawet i kupczący nie wyzyskują ich w taki sposób, jak to się dzieje gdzieindziej. Więc, gdy rezultatem samego procesu zetknięcia się na Tasmanii Europejczyków z krajowcami było szybkie i do szczętu zniknięcie tych ostatnich, Andamanie istnieją jeszcze. I jeśli z ubytku dotychczasowego wnioskować można o ubywaniu w przyszłości, to Andamanie mogą istnieć jeszcze lat kilkadziesiąt, to jest, lat kilkadziesiąt może jeszcze upłynąć, nim, znikając powoli, znikną zupełnie.

Przytem Andamanie, będący przedmiotem studyów, pozostają w dawnym co do istoty swej niczem niezmienionym bycie; pozostają niezależni, nie podlegają żadnym narzuconym sobie reformom instytucyi własnych. Ci, którzy wchodzą w stosunki z nimi, są uzdolnieni do badań etnologicznych, a nad postępem ich robót czuwają towarzystwa naukowe europejskie i indyjskie. A nadto, stosunki Anglików z Andamanami, wynikłe z wzajemnej życzliwości, pozwoliły pierwszym zdobyć klucz do ich świata wewnętrznego w mowie żywej. Badania nad Andamanami najnowsze są już oparte na znajomości języka andamańskiego.

Na czele takich badań postawić niechybnie należy pracę E. H. Mana pod tytułem: *On the aboriginal inhabitans of the Andaman Islands.* Autor jej przez lat dwanaście przebywał w charakterze wyższego urzędnika na Andamanach. A dzięki umiejętnemu prowadzeniu badań etnologicznych, a następnie ich opracowaniu, pozwala nam wejrzeć w życie ich mieszkańców [1]).

---

[1]) Francuscy etnografowie nazywają zwykle mieszkańców wysp Andamańskich Minkopami (les Mincopies), opierając się na tem, że oni siebie samych tak nazywają. Tymczasem poznanie języka owych Minkopów wykazało, że okrzyki: Min Keh, lub: Kamin kapi, które często krajowcy wydają, oznaczają: »Przyjdź tu«, »Stań tu« i nie są wcale

2.

Przypatrzmy się na wstępie życiu jednostki wśród Andamanów. Z kilku takich jednostek składa się rodzina, z kilkudziesięciu — gromada, z kilkuset — ród, z kilku rodów — cała ludność wszystkich wysp razem wziętych.

Przyroda nie uznaje różnic pomiędzy ludźmi. A ponieważ dla Andamanów jest ona matką dobroczynną, ulegając jej przeto we wszystkiem, stali się oni ostatecznie jej niewolnikami. Życie więc jednego Andamana niczem się nie różni od życia drugiego. Każda jednostka przedstawia dokładnie cały ogół. Ogół składają nie odróżniające się pomiędzy sobą jednostki.

Przybycie na świat dziecięcia nigdy nie jest zbytecznem, a tem mniej szkodliwem. Ta okoliczność najwybitniej cechuje społeczeństwo. Ojczysta wyspa może zapewnić każdemu, i to bez pracy wycieńczającej, bez starań zmudnych i gwałtownych zabiegów, dostateczne co do ilości, rozmaite co do jakości pożywienie. Istnienie więc każdego nowonarodzonego jest pod tym względem stanowczo zabezpieczone. Również i stosunki społeczne nie stają na przeszkodzie pozostawieniu niemowlęcia przy życiu. Jeśli jest pierwszem dziecięciem swej rodzicielki, bywa zawsze owocem naturalnej skłonności.

Sam fakt poczęcia przekształca znajomość dorywczą, lub zetknięcie się przypadkowe dwojga osób na związek stały i jedyny, który najczęściej śmierć tylko rozwiązuje. Wskutek poczęcia, kobieta z czasowej kochanki staje się żoną. By tak się stało, czuwa nad tem dotychczas tolerująca związek tajemny jej rodzina. W obronie porzuconej wystąpić gotowa cała gromada.

Jeszcze przed przyjściem na świat doznaje dziecię pieczołowitości pewnej. Kobieta, czując, że zostanie matką, wstrzymuje się od spożywania pokarmów niektórych (wieprzowiny, żółwia, miodu, kilku roślin). Skłania ją do tej poniekąd ofiary przekonanie, że spożycie tych pokarmów przyprawi dziecię o cierpienie. Naśladuje ją wkrótce i przy-

imionami własnemi. Upada zatem wszelka podstawa nazywania mieszkańców Andamanów Minkopami. Z zupełną więc słusznością przenieść na nich należy nazwę ich ojczystej wyspy.

szły ojciec; ale ten wstrzymuje się tylko od spożywania kilku gatunków owoców.

Zaraz w parę chwil po urodzeniu, dziecię zanurzają w chłodnej wodzie i starannie oskrobują muszlami. W kilka godzin, golą mu głowę, całe zaś ciało namaszczają białą i żółtą farbą. Początkowo mleko matki stanowi wyłączne jego pożywienie; w rok i dwa zaczyna spożywać wszystkie pokarmy, któremi żywią się jego rodzice i starsi.

Mieszcząc się zrazu w koszu na plecach matki, wkrótce, gdy tam młodsze zasiędzie, nadążając swym chwiejnym i powolnym krokiem, towarzyszy jej ono przy poszukiwaniu żywności, przy krzątaniu się nad jej przyrządzaniem. Tylko plecy matki, lub własne nogi przenoszą je z miejscowości jednej do drugiej, w odległych nieraz wędrówkach, przez gromadę całą przedsiębranych. Niestosowne dla dziecięcego organizmu pokarmy, oraz trudy w podróży doświadczane, jeśli nie zabiją go wcześnie, to zahartują stosownie na przyszłość.

Przychodząc na świat, już zastaje dziecię dla siebie imię wybrane. Wyboru dokonywają rodzice, mając zwykle na względzie stosunki towarzyskie, lub rodzinne, wskutek czego niemowlę otrzymuje imię, noszone przez naczelnika gromady, krewnego, lub przyjaciela. Wybór przytem nie bywa trudny. Imiona są wspólne obu płciom, a liczba używanych dochodzi zaledwo do czterdziestu. Nie wynikają stąd atoli żadne komplikacye: chociaż w jednej gromadzie kilku mężczyzn i kilka kobiet nosi jedno imię, nie doprowadza to nigdy do żadnego nieporozumienia.

Imię, lub nazwisko stanowią w naszych społeczeństwach symbol indywidualności. Wśród Andamanów niema indywidualności, są tylko osobniki. I jak osobnik dany zaciera się wśród większej ich ilości, tak imię zatrą następnie różne nazwy, już to przygodne i okolicznościowe, już to wskazujące wiek i stanowisko w społeczeństwie. Zwyczaje pod tym względem są tam wielce ciekawe.

Rodzice wybrali, przypuśćmy, imię Dora. Jeśli się urodzi chłopiec, będą go nazywali Dora-ota, jeśli dziewczyna — Dora-kata, ale tylko do trzeciego roku życia. Dodawane *ota* i *kata* oznaczają organy płciowe. Następnie, chłopiec będzie Dora-dala, dziewczyna Dora-poilola. Epoka dojrze-

wania przynosi im nowe, uzupełniające imiona, nazwy okolicznościowe, które się zmieniają wraz z przebiegiem dojrzałości, a zależą od obrzędów, którym młodzież płci obojej podlega podówczas. Następnie inną nazwę będzie nosił młodzieniec, żeniący się, inną ożeniony, i to inną przez dni kilka po uroczystości ślubnej, inną przez miesięcy kilka, inną znowu, zostawszy ojcem jednego dziecięcia, inną kilkorga. Tak samo i kobieta.

Nakoniec, gdy uwydatnienie w nazwie stosunków rodzinnych, wskutek rozbicia się rodziny, lub dojścia do dojrzałości jej członków, dostatecznie nie określi danej jednostki, nazwy uzupełniające oznaczać zaczynają stopnie starzenia się. Liczebnik, wskazujący lata życia, mógłby najłatwiej rozwiązać zadanie. Ale ponieważ Andamańczycy nie znają innych liczb oprócz ubatul (jeden) i kpor (dwa), uciekać się muszą do innych sposobów. Odróżniają więc starego od siwego. Oprócz nazwy osobnej dla wdowca lub wdowy, mają wspólną dla płci obu, oznaczającą pozostałą przy życiu w wieku podeszłym jedną z dwojga małżonków osobę.

Nawet rodzice nie używają w mowie zwyczajnej imienia dziecka. Ojciec o synu mówi zwykle: ten, któregom spłodził, o córce: ta, którąm spłodził. Matka mówi o synu: ten, któregom zrodziła, o córce: ta, którąm zrodziła.

Gdy dziecię na swych nogach stanie już silnie, a ręką potrafi ująć każdy dany przedmiot, syn staje się pomocnikiem w zajęciach ojca, córka pomocniczką matki. Ta okoliczność dobroczynny wywiera wpływ na stosunki pomiędzy rodzicami a dziećmi. Nic nie wchodzi wpośród nich. Szkoła nie oducza dziecięcia od domowego zwyczaju i częstokroć języka. Towarzysze nie wszczepiają w umysł jego pogardy dla stanu, lekceważenia dla wiedzy rodziców. Zawiązuje się przeto pomiędzy rodzicami a dziećmi poufała zażyłość, oparta na wzajemnem przywiązaniu. Z towarzysza dziecię staje się przyjacielem rodziców silnych i zdrowych, z przyjaciela — opiekunem starych i schorzałych.

Nie należy atoli w tych serdecznych stosunkach pomiędzy dziećmi a rodzicami szukać wyłącznie głosu krwi, nie należy opierać ich jedynie na wewnętrznym popędzie jednych istot do drugich, wynikłym ze związku fizyologicz-

nego w mniej lub więcej odległej przeszłości. Nie bacząc bowiem na wzajemne przywiązanie w rodzinie, zdarza się częstokroć, że chłopak lub dzieweczka bywają zmuszone opuścić swych rodziców. Z rodzicielskiego domu wypędza ich rozpowszechniony wielce pomiędzy ojcami rodzin zwyczaj adoptowania dzieci obcych, bez względu na istnienie, czy też ilość własnych.

Zadowolony z przyjęcia gość, opuszczając dom gościnny, ma prawo wyrazić swą wdzięczność przez zaniesienie prośby do gospodarza o ustąpienie mu któregoś dziecka. Uprowadzenie przez gościa jest już adoptacyą. Zgodzenie się ojca na uprowadzenie jest dobrowolnem pozbyciem się dziecka. Adoptacya przez obcego pozwala poszkodowanemu wynagrodzić sobie w taki sam sposób poniesioną stratę.

Adoptujący zastępuje przybranemu dziecięciu we wszystkiem ojca rzeczywistego. Rodzina jego staje się rodziną przybysza. Synowie i córki ojca przybranego uchodzą za rodzonych jego braci i siostry rodzone, co się uwydatnia zwłaszcza przy zawieraniu małżeństwa. Przybrany ojciec tak dalece wchodzi w prawa ojca rzeczywistego, że następnie może nawet swemu gościowi oddać dziecię przybrane w sposób, w jaki sam był je otrzymał.

Węzły wszelako naturalne nie są ostatecznie przez adoptacyę zerwane. Rzeczywiści rodzice odwiedzają swe dziecię i za pozwoleniem przybranego ojca, ugaszczać je mogą nawet przez pewien czas określony u siebie. A jeśliby dziecię ich przeszło do nowej rodziny, uwiadomieni o tem przez tego, komu początkowo było oddane, odwiedzają je w nowej. W taki sposób dzieci przechodzą od rodziny swojej do obcej i stają się niejako niby przedmiotem zamiany. Wędrówka tą atoli nie wpływa szkodliwie na losy dziecka, i przechodzenie z rodziny do rodziny nie narusza harmonii ogólnej w społeczeństwie [1]).

---

[1]) Badacze nie rozstrzygnęli jeszcze kwestyi, co powoduje dziwne to zjawisko adoptowania; czy należy w tem upatrywać chęć powiększenia w rodzinie rąk do pracy, czy też zawierania przyjaznych stosunków pomiędzy rodzinami. W każdym atoli razie, zjawisko to jest wielce ważne zarówno dla antropologa, pragnącego wykazać natężenie uczuć wrodzonych w człowieku, jak dla etnologa, szukającego w zwyczajach ludów pierwotnych klucza do zrozumienia instytucyi społecznych późniejszych.

3.

Klimat i rodzaj życia, zajęcia praktyczne i ciągłe stosunki ze starszymi, szybko przekształcają dzieci w ludzi dorosłych. Jest jednakże chwila, kiedy jednostka przestaje być dziecięciem, a na miano dojrzałego jeszcze nie zasłużyła, kiedy potrzeby nowe uczuwa, a jeszcze sobie praw do zaspokojenia tych potrzeb nie zdobyła. Chwila ta wśród społeczeństwa ucywilizowanego przechodzi niespostrzeżenie.

Inaczej u ludów pierwotnych. Żyjąc wyłącznie życiem przez potrzeby fizyologiczne natury zakreślonem, uwzględniać i zaspokajać przedewszystkiem muszą te potrzeby w miarę ich odczuwania. Kiedy więc w jednostce zaczynają się budzić popędy płciowe, których zaspokojenie jeszcze bardziej ową jednostkę wiąże z ogółem i pociąga za sobą zwiększanie się tego ogółu, słusznem jest, żeby ci tylko do społeczeństwa jako członkowie czynni byli wcieleni, którzy złożą dowody, że w zamian za uwzględnienie ich potrzeb i udzielenie prawa zaspokajania tych potrzeb jawnie i otwarcie, społeczeństwo to może w danym razie oczekiwać od nich usług stosownych, a zawsze na nich liczyć. Uwydatnienie zatem faktu dojrzałości fizycznej leży zarówno w interesie jednostki, jako też i społeczeństwa.

Dojście przeto do dojrzałości każdej jednostki obchodzone bywa wśród wszystkich ludów pierwotnych wyjątkowo uroczyście. Obchodowi towarzyszą rozmaite obrzędy symboliczne. Z rodzaju próby, której poddają dojrzewającego młodziana, czy też dziewczynę, poznajemy ideały życiowe społeczeństwa, z ceremonii, towarzyszących owym próbom, rozwój jego estetyczny i pedagogiczne uzdolnienie. Bohater dnia przedstawia się jako typ doskonałości żądanej.

Pomiędzy 11 a 13 rokiem życia jednostki rozpoczyna się u Andamanów epoka próby i trwa, zależnie od wyroku starszych, od jednego do pięciu lat. Próbę zaś ową stanowi wstrzymywanie się zupełne od danych pokarmów. Pokarmy te należą do najczęściej używanych, a więc są niezbędne i ponętne. Są niemi: miód oraz mięso żółwia i dzikiej świni. Ponieważ wstrzymywanie się od wszystkich trzech współcześnie, mogłoby jednostkę narazić na głód przeciągły,

przeto wymagane jest wstrzymywanie się od każdego po kolei. Wynikają z tego trzy okresy próby (gumul). Rozpoczyna wstrzymywanie się od mięsa żółwia (jadi gumul), potem następuje wstrzymywanie się od miodu (aja gumul), zamyka zaś niejedzenie mięsa dzikiej świni (redżyry gumul). W czasie tych trzech okresów młodzieniec i dziewczyna noszą jednaką nazwę: akajap. Również i sam przebieg próby jest dla obu płci, przynajmniej w ogólnym zarysie, jednaki.

Każdy okres próby kończy się długą i skomplikowaną ceremonią. Pacyent w czasie jej trwania wyłącznie się żywi pokarmem, od którego dotychczas się wstrzymywał. Przytem podlega rozmaitym ograniczeniom i operacyom, mającym uzupełnić niby złożone już dowody wstrzemięźliwości i siły woli. Ceremonie te stają się uroczystością dla całej gromady. Uczestniczący w niej dwojaki biorą udział. Jedni czynny, wykonywają bowiem sami przepisaną nad pacyentem akcyę; drudzy bierny, gdyż tylko są widzami. Serdeczne współczucie dla pacyenta oraz szczere zainteresowanie się całą ceremonią pobudza częstokroć nawet biernych uczestników, zwłaszcza niewiasty i dzieci, do głośnego wyrażania swojej obawy przez płacz i narzekania, swojej radości — przez śmiech i okrzyki. Grono osób starszych czuwa nad prawidłowym przebiegiem całej uroczystości i kieruje pojedyńczemi ustępami.

Kończąca każdy okres postu uroczystość składa się z kilku oddzielnych momentów. Najpierwej oblewają pacyenta gorącą tłustością żółwia po pierwszym okresie, oblewają miodem po drugim, rozpuszczonem sadłem dzika po trzecim. Chociaż spływająca po ciele tłustość lub miód starannie w ciało bywa wcierana, jednakże znaczna ilość jej, pokrywając go, tworzy warstwę skrzepłą. Przez cały ten czas zachowywać się on powinien bezwładnie i milcząco.

Do odbycia uroczystości trzeciej wymaganem jest, by krewni lub blizcy pacyenta upolowali dzikiego wieprza (maciorę dla dziewczyny). Wtedy przed oblaniem i nacieraniem wkładają na pacyenta rozpłatane zwierzę, bacząc, by głowa leżała na głowie, grzbiet zawisł na grzbiecie, nogi spadały po nogach.

Następnie pacyenta sadowią na ziemi pokrytej liśćmi. Naokoło niego kładą przygotowane do spożycia, i to w wiel-

kiej ilości, dla niego i dla całego zgromadzenia, odpowiednie jadło. Okrążają go towarzysze i przyjaciele, którzy mu służą, odgadując wszystkie jego życzenia, gdyż sam on ruszać się ani mówić nie może. Tak przepędza dzień pierwszy i noc następną. W nocy spać także nie powinien. By zadość uczynić wymaganiom, czuwający z nim towarzysze starają się wszelkiemi sposobami sen od niego odpędzać.

Nazajutrz otaczają pacyenta: matka, siostry, krewne i znajome kobiety. Rozpoczyna się głośny i rzewny płacz. Do płaczu skłania je litość nad stanem obecnym pacyenta, oraz obawa, częstokroć niepłonna, by znaczna ilość jadła, którą po długim poście musiał spożyć, nie przyprawiła go o chorobę. Po wynurzeniu w taki sposób swych żalów i obawy, zaczynają dopiero niewiasty nacierać pacyenta przygotowanemi farbami i maściami. Natarłszy, podają mu do rąk wiązkę liści. Wtedy zrywa się on nagle i zaczyna tańczyć zapamiętale.

Taniec ten przybiera charakter miotania się obłąkanego, trwa godzinę i dłużej i doprowadza tańczącego do zupełnego osłabienia. Otaczający, podczas tańca, dają ciągle oznaki zadowolenia i do coraz to gwałtowniejszych zachęcają ruchów.

Po tańcu następuje kąpiel, do której pacyent udaje się w licznem otoczeniu. Jeszcze przez dni parę pozostaje przedmiotem ciekawości ogółu i pieczołowitości krewnych i przyjaciół. Jeśli odbyta próba była pierwszą, przez dni kilka, używając zupełnej swobody co do jadła, przygotowuje się do drugiej. Jeśli była drugą, w takich samych warunkach przygotowuje się do trzeciej. Gdy zaś na ciele jego spoczął już rozpłatany dzik, wszystko skończone [1]).

Równocześnie z trzecią próbą kończy się urabianie zewnętrznej powierzchowności jednostki. Składa się na to tatuowanie i napuszczanie ciała farbami. Tatuowanie jest

---

[1]) U innych ludów te obchody noszą dwojaki charakter: próby i wtajemniczania w życie, przez udzielanie pacyentowi stosownych nauk; przytem otrzymuje on imię.

Podróżnicy europejscy dokładniej, niż gdzieindziej, zbadali obrzędy, towarzyszące obchodowi dojrzałości wśród ludów australskich. Opis tych uroczystości, oparty na tych badaniach, podałem w pracy p. t.: *Ludy na rozmaitych stopniach kultury pierwotnej.*

zupełnie proste i dokonywa się łatwo ostrym krzemieniem. Stanowią je nacięcia równe: długie u mężczyzn, u kobiet zaś okrągłe, lub trójkątne, niby centki. U mężczyzn te nacięcia idą równolegle, wzdłuż lub w poprzek ciała, na grzbiecie, plecach, karku, piersi, brzuchu, na wierzchu ręki i nogi. U kobiet owe centki pokrywają najbardziej wystające części i pstrzą je w regularnych odstępach. Już w ósmym roku życia rozpoczyna się narzynanie skóry na dziecięciu i stopniowo się prowadzi do epoki dojrzałości.

Do napuszczania używa się trojaka substancya: og, glina koloru jasno-oliwkowego, talaog, kreda koloru białego, i koile, ochra koloru brunatnego. Pierwsze dwie przy napuszczaniu rozcieńczają się wodą, trzecią rozcierają z tłustością żółwią, lub świńską. Owemi farbami całego ciała nie malują, tylko w pasy równoległe, podłużne, lub poprzeczne. Wzory do malowania ciała są te same, co do tatuowania.

Wyspy Andamańskie leżą pomiędzy zwrotnikiem a równikiem. Klimat więc ubrania nie wymaga; służyć ono może tylko do ozdoby. Strój, który po dojściu do dojrzałości jednostki obu płci przybierają na siebie, składa się wyłącznie z rozmaitych przepasek, porobionych z liści zwieszających się na sposób frendzli, oraz z włóknistych rozmaitych łodyg. Przepaski te mieszczą na biodrach, pod kolanami, poniżej ramion, lub przewieszają przez piersi. Głowy od dzieciństwa golone, przyozdabiają zwojem liści, giętkich łodyg, lub sznurami splecionemi z kory.

4.

Po odbyciu ostatniego gumul młodzieniec staje się w oczach wszystkich dojrzałym mężczyzną, a dziewczyna dojrzałą kobietą. On od tej chwili otrzymuje nazwę guma, która oznacza stan dojrzałości i może się już tytułować mar, co odpowiada naszemu pan. Ona — nazwę akalawi i może się już tytułować czana, pani. A ponieważ zwyczaj każe, by kobiety po dojściu do dojrzałości, jako oznakę tego, nosiły dowolnie przez siebie wybrany, ale zawsze stale, jeden jaki kwiat, więc do nazwy poprzedniej dodaje się nazwa kwiatu. Mężczyzna nazwę guma nosi do ożenienia

się i urodzenia się mu pierwszego dziecka. Wtedy nazwę tę zastępują inne po kolei, oznaczające wzrastającą rodzinę, lub wogóle stosunki rodzinne, tytuł zaś mar — bardziej zaszczytny maja. Kobieta po wyjściu za mąż i po przyjściu na świat pierwszego dziecka również zmienia obie dotychczasowe nazwy kolejno na coraz nowsze, oznaczające, podobnież jak i u mężczyzn, przyrost rodziny i stanowisko w niej.

Mężczyzna jako guma i kobieta jako akalawi pędzą początkowo przez czas jakiś żywot wesoły i niezależny, zawiązują z sobą w gronie swych rówieśników i rówieśnic swobodne i liczne stosunki i przygotowują się do opuszczenia rodziny. Sprzyja temu wszystkiemu sposób rozkładu zabudowań w osadzie, bądź wzniesionej na pobyt dłuższy, bądź tylko na czasowy.

Kilkanaście rodzin, stanowiących jedną gromadę, budują sobie pomieszkania na wybranej miejscowości zawsze według jednego planu. Domki wznoszą się tylko we dwa szeregi. Szeregi te idą w półkola nieco wydłużone, a łącząc się z sobą, formują nawet kształtny owal. Przestrzeń środkowa pomiędzy dwoma szeregami domków służy całej gromadzie jako plac do zebrań i zabaw, do których są zawsze wielce ochotni i oddają się im z zapałem. Jeden zwykle cały szereg domków i środek drugiego zajmują małżeństwa z dziećmi. Kilka chatek w drugim po jednej stronie dojrzali lecz nieżonaci mężczyźni, kilka chatek po drugiej stronie w tymże szeregu dojrzałe lecz niezamężne kobiety. W miejscu, gdzie się łączą oba półkola, po jednej stronie bywa zwykle urządzona wspólna dla wszystkich rodzin kuchnia, po drugiej stronie szeroka droga do osady.

Możność przebywania młodzieży obu płci w chwilach wolnych od zajęć wyłącznie w gronie swojem zwiększa swobodę stosunków i podnosi wesołość usposobienia. Wystąpienie wczesne z pod dachu rodzicielskiego i legalne usuwanie się z pod kontroli starszych przyzwyczajają do samodzielności i wyrabiają niezależność.

Gdy wola lub okoliczności zresztą skłonią nakoniec jaką parę, byleby nie zbliżonych do siebie przez pokrewieństwo, a nawet i adoptacyę, do zamieszkania wspólnego i wspólnej nadal pracy dla utrzymania życia, zawarcie mał-

żeństwa odbywa się uroczyście w oczach całej gromady. Sama ceremonia jest dość prosta. Narzeczeni rozbiegają się w strony przeciwległe. Znajomi i przyjaciele doganiają ich i sprowadzają do miejsca jednego. Wówczas starszy w gromadzie wzywa wszystkich na świadków dokonanego aktu połączenia.

Nowi małżonkowie udają się wtedy do wzniesionego już poprzednio dla siebie domku i w nim niby w więzieniu tylko we dwoje przebywają stale sami z sobą przez dni kilkanaście. Troszczyć się nie potrzebują o nic, gdyż pożywienia dostarczają im obficie krewni i znajomi.

Tak zawarty związek tylko śmierć rozcina, rozwodów bowiem nie znają. Wdowiec jednakże rychło się żeni, wdowa również rychło powtórnie za mąż wyjść może; zwyczaj zaś nakazuje, by wychodziła za brata, lub krewnego męża zmarłego. Poligamia i poliandrya między Andamanami nie istnieje. Wiarołomstwo żony bywa dochodzone publicznie i karane ze strony męża. Przytrafia się jednakże rzadko, wskutek zupełnie swobodnego postępowania kobiet niezależnych.

Czy uciążliwe, czy też pożądane dla młodych małżonków owo kilkunastudniowe wyłączenie z ogółu, wszelako skończyć się musi. Czeka ich oboje obowiązek wzajemnego wspierania się przy zaspokajaniu potrzeb życia. Aczkolwiek przyroda jest matką dla Andamanów, zaspokajanie jednakże tych potrzeb wymaga pracy i zapobiegliwości. Drzewa obfitują w owoce, lasy w zwierzęta. Trzeba wszakże tamte zrywać, na te zaś polować. Wody wewnętrzne i morze dostarczają wielkiej ilości ryb, raków, żółwi; trzeba jednakże je łowić. Polowanie, zbieranie owoców, połów ryb i raków wymaga, oprócz czasu i pewnej wprawy, jeszcze narzędzi stosownych do otrzymania, przyrządów do przechowania. Przytem pokarmy mięsne i rybne wymagają ugotowania lub upieczenia. Ogień i woda stają się nieodzownemi. Spożywanie dostarczanych przez przyrodę przedmiotów, bez umiejętności produkowania roślin i hodowania zwierząt domowych, popycha ludność do życia mniej lub więcej koczowniczego. Przenosić się muszą z miejsc, gdzie się żywność wyczerpała, na nowe siedliska. Nawet możność obywania się bez odzieży nie uwalnia człowieka od trosk o swe ciało. Pragnie je ozdabiać.

Nowi małżonkowie, stosownie do utartych przez wieki obyczajów, dzielą się pracą. Do mężczyzny w gospodarce domowej należy: polowanie, połów ryb, raków i żółwi, zbieranie miodu, budowanie domków na stały pobyt, sporządzanie czółen, oręża (łuków, strzał, włóczni z ostrzami kamiennemi), wyrabianie naczyń z gliny, wysuszonej na słońcu, i różnych przyrządów gospodarskich z drzewa lub roślin włóknistych (worów, koszów, plecionek), nakoniec dobywanie ognia. Do kobiety należy, oprócz przez samą przyrodę wskazanego pielęgnowania dzieci, dostarczanie materyału na ogień, przynoszenie wody do domowego użytku, przyrządzanie jadła przy ogniu. W podróży one dźwigają ciężary różne, gdyż mężczyźni grzbiet i ręce wolne mieć muszą w gotowości rzucenia się na zwierzę spotkane lub wytropione. One wznoszą szałasy na chwilowy pobyt podczas wędrówki, gdyż mężczyźni są zmuszeni badać podówczas okolicę, poznawać jej zasoby, odkrywać niebezpieczeństwa w niej grożące. Do kobiety również należy upiększanie ciała swego i mężczyzn. One golą, tatuują, przygotowują farby i niemi nacierają. One w razie potrzeby wykonywają nacinania lecznicze.

Wędrówki bywają dwojakie. Wycieczki, gdy gromada udaje się na łowy zwierząt, lub połów ryb, i przejście z jednej okolicy do drugiej, gdy gromada zmienia miejsce zamieszkania. Wędrówki te atoli nie mogą być zbyt długie. Gromada bowiem poruszać się może swobodnie tylko w obrębie pewnego terytoryum, należącego do jednego rodu. A takich rodów na wyspach Andamańskich jest dziewięć. Każdy strzeże czujnie swych granic.

Każdy ród ma naczelnika swego. Posiada go również i każda gromada, ale władza ich głównie polega na kierownictwie w wędrówkach i wyprawach. Przytem rada złożona ze starszych i w tym wypadku ogranicza ich samowolę.

Religię Andamanów stanowi pierwotna wiara w duchy. Etyką jeszcze owa religia nie owładnęła: niema w niej przeto żadnych nakazów; guślarzy na godność kapłanów nie wyniosła: niema w niej przeto żadnych karcicieli za obojętność dla tych nakazów. Jedyne przykazanie boskie tak brzmi: »Nie pal wosku.« Wypływa zaś ono z tego powodu, że duch najwyższy nie znosi palącego się wosku

i za naruszenie swego przykazania zsyła srogie a różne kary, naprzykład burzę w czasie połowu ryb, ukrycie się zwierzęcia w czasie łowów. Łatwo jest jednakże wosku nie palić.

Prawidłowy przebieg życia jednostki, przed dojściem jej do kresu przez przyrodę wytkniętego, przerywa tylko śmierć na polu walki i choroba. Łagodni i potulni, cisi i uprzejmi w życiu zwyczajnem, Andamanie w walce, którą atoli tylko ostatecznością przymuszeni rozpoczynają, stają się straszni, zawzięci, srodzy. Do niewoli nie biorą, rannych przeto dobijają. Ponieważ zaś walczą gromadami całemi, w walce zarówno narażane bywa życie dojrzałych mężczyzn, jak i dzieci, kobiet, starców.

Choroby były rzadkie poprzednio. Najczęściej się przytrafiały reumatyzmy i malarye; skórne należały do wyjątków. *Elephantiasis*, owa klęska wielu wysp polinezyjskich, Andamańczykom nie jest wcale znana. Ospa, odra i suchoty pokazały się wraz z przybyciem na ich wyspy Anglików. Również stosunkom z nimi zawdzięczają i te, które pochodzą z nadużycia napojów gorących i narkotyków.

Gdy nastąpi śmierć jednostki, oznaki cierpienia w pozostałych członkach rodziny są gwałtowne. Na ciało zmarłego przenoszą część przywiązania do żywego. Po starannem ogoleniu głowy, namaszczeniu farbą brunatną, obwiązują je w liście i w postaci siedzącej grzebią w ziemi, pod ogniskiem w domostwie dziecię, dojrzałego opodal od osady. Kobiety nie uczestniczą w uroczystościach pogrzebowych. Żegnają zmarłego w domu przez trzykrotne dmuchnięcie na głowę.

Skoro upłynie czas, który według obliczenia rodziny zmarłego, mógł być dostateczny, by ciało zgniło, odkopują trupa, przegniłe części odrzucają, szkielet zaś starannie oczyszczają i na kawałki łamią. Głowę, na czerwono pomalowaną, zawiesza początkowo u szyi matka lub żona, mąż lub ojciec zmarłej jednostki. Następnie przechodzi ta głowa po kolei do wszystkich członków rodziny, którzy pamięć o zmarłym przechowują, a blizcy mu byli. Pozostałe części szkieletu rozdają się dalszym krewnym i znajomym, ci zawieszają je u pasa, ramion lub kolan. A noszą tak długo, aż nowy trup dostarczy nowych ozdób, czy też pamiątek.

Wraz ze zgniciem ciała i pokruszeniem się kości ginie pamięć o jednostce, która istniała. Jak za życia tonęła ona w gatunku, tak po śmierci rozwiewa się w materyi.

Cywilizacya jedynie urabia i unieśmiertelnia jednostkę.

5.

Andamani, których byt i żywot za biegłym poznaliśmy przewodnikiem, czynią na nas takie wrażenie, jakby byli ludem nowym, który niedawno wyszedł z łona przyrody i wstępuje dopiero na próg życia, właściwego rodzajowi swemu. Ale matka przyroda z łona swojego coraz to innych ludzi nie wyprowadza. Ludzie nie powstają nowi, tylko się krzewią, rozpleniają, rozprzestrzeniają. Najmniejszą pomiędzy ludami różnicę stanowi wiek. Wszystkie więc są jednakowe stare, lub jednakowo młode.

Gdy na Andamanów nie już jak na nowy, lecz jak na stary popatrzymy lud, powstaje wówczas pytanie: jakie przyczyny na tym stopniu kultury ich zatrzymały?

Na to pytanie odpowiedzieć może tylko przeszłość tego ludu.

Ale jak poznać przeszłość ludu, który nie zostawił po sobie żadnych pamiątek historycznych, nie posiada żadnych dokumentów pisanych, lub rzeźbionych?

Każda nauka ma swoją metodę.

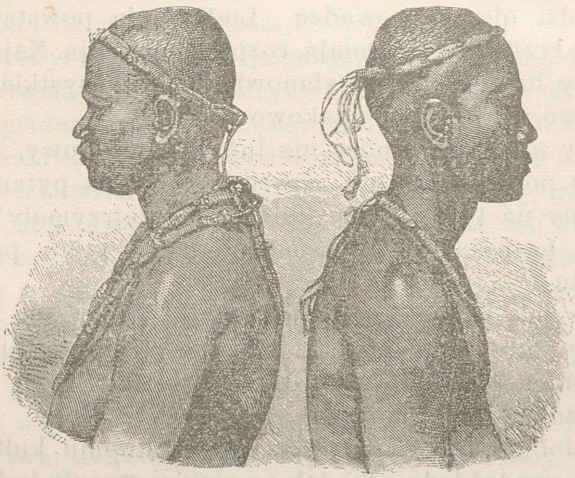
Podobnie, jak stojąc na nizkim stopniu kultury, lud nie może wydać jednostki, tak na nizkim stopniu kultury stojące plemię nie może wydać narodu. Historyę pojedyńczego narodu zastępuje wówczas historya plemienia, a za wszelkie dokumenty piśmienne muszą starczyć wskazówki etnograficzne.

Andamani nie są autochtonami na swych wyspach. Przybyli więc na nie. I skądkolwiekbądź przybyli i jakakolwiekbądź przyczyna zmusiła ich do szukania nowej siedziby i znalezienia jej na tych wyspach, stanowią oni tylko cząstkę jakiejś ludności, gałąź, która się od pnia ogólnego odszczepiła i wspólną opuściła siedzibę. Siedziba zaś sama i główny pień gdzieś pozostać musiały.

Andamani przedstawiają bardzo wybitny typ rasowy: są oni wogóle krótkogłowi, z nieznaczną skłonnością do

prognatyzmu, wzrostu mniej niż średniego, cerę mają czarną koloru sadzy, nosy małe, u podstawy dość szerokie, nieco przypłaszczone, choć w większości cebulkowate, włosy czarne rosną im na głowie krzaczysto i, nie będąc golone, wiją się (fig. 54 i 55).

Po tych przeto tak wybitnych cechach łatwo jest odszukać pokrewne Andamanom ludy wśród ras czystych; w krzyżowanych zaś, śledząc typ ich zasadniczy, również można dotrzeć do metysów po nich, a nawet spostrzedz odrodzoną przez atawizm jakąś jedną ich cechę w ludach zupełnie im na pozór obcych.



54. Kobieta i mężczyzna.

Wykazanie współplemiennych Andamanom ludów pozwoli poznać ich ojczyznę właściwą. Poznanie ich ojczyzny uwydatni rolę, którą te ludy w niej grają, Uwydatnienie roli obecnej da możność wejrzeć w przeszłość tych ludów. W taki sposób kwestya andamańska stanie się kwestyą całego plemienia, do którego Andamani należą.

Najbliższe do wysp Andamańskich w kierunku wschodnim, południowym i południowo-wschodnim lądy i wyspy są zamieszkane przez rasę żółtą. Wschodni półwysep Indyjski zamieszkują: Birmani, Syamczycy i Annamici. Na przylegającym do Indo-Chin długim półwyspie Malajskim, na wyspach

Filipińskich, Sundzkich i otaczających je archipelagach pomniejszych mieszkają i gospodarują Malajczycy. Dopiero na Nowej Gwinei i na wschód i północ od niej rozsianych po Oceanie różnych wyspach znajdujemy ludność czarną. Ale ci czarni są odmienni od Andamanów; główną cechę ich stanowi wzrost duży, a przytem mają długie głowy. Są to Papuowie.



55. Wódz andamański.

Otóż wśród Annamitów na wschodnim brzegu Indo-Chin, wśród Malajczyków na półwyspie Malajskim, na wyspach Filipińskich, Sundzkich i pomniejszych, do nich przyległych, lub je otaczających, na Nowej Gwinei wśród Papuów—znajdujemy drobnemi grupami rozsianą ludność, którą cechy zewnętrzne zupełnie do Andamanów zbliżają i za jednoplemienną z Andamanami poczytywać dozwalają.

Ludność ta nie ma własnej a wspólnej nazwy, tylko wszędzie nosi odmienną, jakby przygodną, a sobie przez innych nadaną. Na wyspach Filipińskich znaną jest ona pod kilku

nazwami: na Luzonie jako Aety, co prawdopodobnie oznacza czarni, na Mindanao jako Hilloony i Mamanua, na Panaju jako Aty. Na półwyspie Malajskim jednoplemiennymi z Andamanami są: Mantrasi, Sakaje, Udaje, Binua i inni, przez Malajczyków nazywani inaczej Urang-Utang (ludzie leśni, dzicy). W Annamie jednoplemienni z Andamanami są Moi.

Z Europejczyków pierwsi Hiszpanie zetknęli się z tą ludnością. Zajmując wyspy Filipińskie, poznali oni Aetów. W Aetach uderzyła Hiszpanów cera czarna, tak różna od cery Malajczyków, i wzrost mały. Nazwali więc ich Negrami małymi, Negritos. Wkrótce nazwa ta objęła całe plemię, gdyż w miarę poznawania innych grup tej ludności na lądach i wyspach sąsiednich i na nie przechodziła nazwa nadana Aetom przez Hiszpanów.

Żaden lud z plemienia Negrytów nie został dotychczas tak dokładnie zbadany i opisany, jak Andamani, dzięki pracy E. H. Mana [1]). Ale ze wzmianek o Negrytach kilku podróżników po krajach, gdzie się oni znajdują, widzimy, że kulturą nie-andamańscy Negryci wcale nie przewyższają pobratymczych sobie andamańskich [2]), jakkolwiek już w kilku miejscowościach na Luzonie i Mindanao poczęli karczować lasy, wznosić sobie stałe siedliska, hodować zwierzęta domowe i obrabiać pole.

Nie stojąc na wyższym stopniu kultury, niż Andamani, inni Negryci nie mogą dostarczać żadnego realnego materyału do poznania przeszłości całego plemienia. Chyba nim, jak w tym wypadku, będzie charakter miejscowości przez nich zajmowanych w każdym kraju, oraz stosunek do ludności, wśród której przebywają.

Negryci w każdym kraju, gdzie się znajdują, zajmują miejscowości od przyrody upośledzone. W jednym przeby-

[1]) Trudną a właściwie małoważną do celów naszych jest rzeczą dochodzić obecnie, po przyznaniu pokrewieństwa Andamanów z tylu ludami, po tak znacznych przestrzeniach rozsianemi, skąd oni właściwie na swe wyspy przybyli, lub z którym mianowicie z ludów wymienionych w bliższych zostają niż z innemi związkach krwi. Przybycie Negrytów na Andamany, jak to zobaczymy z treści części 6, sięga czasów bardzo oddalonych.

[2]) Kilka szczegółów interesujących dostarczyć może notatka dra Montano: *Quelques jours chez les indigènes de la province de Malacca* w *Revue d'Ethnographie*, za r. 1882 (str. 41 — 56).

wają na wyniosłych górach, w innych zamieszkują gąszcze lasów, lub błotniste doliny, a wszędzie zdala od miejscowości bardziej zaludnionych, wszędzie jakoby na uboczu, jakoby się kryli. Widocznem jest, że nimi nie kierowała przy obiorze siedliska wola, tylko konieczność zatrzymania się gdziekolwiek, konieczność ukrycia się przed kimś.

Taki stan rzeczy mógł nastąpić jedynie wskutek najścia na kraj wrogów, wskutek zdobycia kraju przez najeźdźców. Wyprowadzić się przeto daje z łatwością wniosek, że te kraje, w których się obecnie niby w ukryciu odnajdują Negryci, przez nich całkowicie dawniej zajmowane były. Więc Negryci przedstawiają dawniejszą ludność krajową, niż obecnie główni mieszkańcy tych lądów i wysp.

Jeszcze inna okoliczność potwierdza ten wniosek. Zwycięzcy czują zawsze nienawiść do pokonanych przez siebie; rozpęd w akcyi otrzymany przechodzi u nich w przywyknienie: gniotą więc bezcelowo, bezwiednie nawet dręczą. Pokonani, instynktowo obawiając się zwycięzców, ustępują przed nimi, bezmyślnym trapieni strachem. Negryci wszędzie, gdzie się znajdują, są prześladowani przez ludność, wśród której się znajdują, zwłaszcza przez Malajczyków, srogich i przebiegłych. Prześladowanie przybiera charakter otwarty tępienia: służą bowiem nieraz za cel do miotania pocisków, są zabijani już nie wskutek oporu, lecz cichej uległości, zupełnego pogodzenia się z losem.

6.

Wyróżnienie czarnych, lecz karłowatych i krótkogłowych Negrytów wśród również czarnych, rosłych, długogłowych, o wybitnych rysach twarzy, wyniosłych nosach, o włosach na podobieństwo mioteł okrętowych rosnących Papuów; dalej wykazanie, niemal obliczenie, rozsianych wśród żółtej rasy grup oddzielnych tych Negrytów; nakoniec wyszukanie na przestworzach wodnych od Nowej Gwinei — do wysp Andamańskich, od wysp Sundzkich — do Japonii, na przestworzach lądowych od Annamu i półwyspu Malajskiego—do Gatów zachodnich, i od przylądka Komoryn— do Himalajów, bądź to metysów po Negrytach, bądź też ludów i jednostek, już pojedyńczemi tylko typowemi cechami przy-

pominających odległych swych przodków, którymi byli ciż Negryci — jest zasługą naukową A. de Quatrefages'a.

Znakomity ten antropolog nie poprzestaje na tem.

Wiemy od pisarzów greckich, że istniał w starożytności jakiś lud, zwany przez nich Pygmeami. O tym ludzie krążyły różne baśnie, z których jednakże dają się wyciągnąć pewne charakterystyczne jego cechy.

Najwcześniejszą o Pygmeach wzmiankę znajdujemy w Homerze. Tak brzmi ona:

Idą Trojanie... do ptactwa podobni.
Jako gdy krzyk się rozlega żórawi pod niebios sklepieniem,
Które, jak tylko się wymkną przed zimą i deszczem ulewnym,
Zaraz szybują z hałasem do wód Oceanu falistych,
Mężów i Pygmeów plemieniu przynosząc mord i zagładę.

(*Iliada*, III, 2—5. Przekład A. Szmurły).

Już sama zazwa Pygmei, pochodząca od wyrazu w greckim języku oznaczającego: pięść, kułak, łokieć, wskazuje niewielki wzrost tego ludu. Stado żórawi, przynoszące im mord i zagładę — uzupełnia obraz upośledzenia przez naturę. Nie określając bliżej miejsca ich pobytu, podanie, jak widzimy, mieści ich na południu.

Drugą o Pygmeach wzmiankę znajdujemy we fragmentach podróżnika i historyka Hekataiosa (żył w VI stuleciu przed erą naszą). Mieści on Pygmeów w najbardziej oddalonej części Egiptu, nad Oceanem. Mord zaś i zagładę, przynoszoną im przez żórawi, tłómaczy w taki sposób, że są rolnikami, więc na ich posiewy rzucają się żórawie, niby szarańcza. Występując zaś do walki z żórawiami, przywiązują sobie do głowy rogi baranie i na wzór baranów bodą głową (*Fragm. Hist. Graec.* I, 18, wyd. Didota).

Ktezyasz, autor historyi Asyryi, Persyi i Indyi, tylko we fragmentach nam znanej obecnie (żył pod koniec V stulecia przed erą naszą), znajduje Pygmeów w Indyi i tak o nich prawi: »W Indyi Środkowej mieszkają ludzie czarni, Pygmeami zwani; mową od innych Indów się nie różnią, tylko bardzo małą postacią[1]). Król indyjski trzy tysiące

[1]) »Owce ich są wielkości jagniąt, osły i woły do wielkości owiec dochodzą« — widocznie dla zharmonizowania z Pygmeami otoczenia zwierzęcego dodaje Ktezyasz.

Pygmeów utrzymuje w swojem otoczeniu, są bowiem doskonałymi łucznikami. Są oni wielce sprawiedliwi i temiż co Indowie rządzą się prawami...« (Ctesiae Fragmenta: *De rebus Indicis*, 11, wyd. Didota).

Tenże autor jeszcze następną podaje wiadomość: »Wyżej Kynocefalów, ponad źródłami rzeki Indu, zamieszkują, jak utrzymują, odmienni (od Kynocefalów) ludzie: są oni czarni, jak inni Indowie; życie pędzą w próżniactwie, chleba nie jedzą, wody nie piją, ale, utrzymując liczne stada krów, owiec i kóz, ich mlekiem żyją, a nadto niczem« (Op. cit., str. 84).

Późniejszy od Ktezyasza historyk grecki Megastenes, w dziele swem o Indyi, do którego napisania skłoniła go podróż do tego kraju, odbyta na rozkaz króla Syryjskiego, Seleuka Nikatora, na początku trzeciego stulecia przed erą naszą, wyliczając ludy zamieszkujące Indye, w liczbie ich mieści Pygmeów i opowiada o nich to, co legenda za czaczasów powstania Iliady im przypisywała (*Fragm. Histor. Graec.* II, 423 — 425).

Arystoteles, powtarzając, jak twierdzi Pliniusz, co inni o Pygmeach powiedzieli, uzupełnia to tylko wiadomością, że oni po jaskiniach mieszkają (Op. cit. II, 180, 425 [1]).

Z zebranych tu cytat, skoro odrzucimy to, czem fantazya ludowa sam fakt zdołała upiększyć, jasno się przedstawia: 1) że w Indyach, jako też Egipcie południowym, mieszkali ludzie zbliżeni do siebie cechami typowemi (cerą czarną, wzrostem małym); 2) że ludność czarna w Indyach dochodziła ku północy do źródeł Indu; 3) że ludność ta była dość liczna, skoro 3,000 wyborowych łuczników dostarczać mogła do obrony króla indyjskiego.

Otóż w Pygmeach, opisywanych przez historyków greckich, A. de Quatrefages widzi: w afrykańskich Negrillów, w azyatyckich Negrytów [2]).

---

[1]) Żeby cytat nie mnożyć, opuszczam podaną przez Herodota wiadomość o dwojakich Etyopach (to jest ludach czarnych), egipskich i wschodnich, walczących w wojsku Kserksesa (Herodot, VII, 70).

[2]) Oto w jakich rozprawach rozwija A. de Quatrefages swoje poglądy: *Étude sur les Mincopies et sur la race négrito en général (Revue d'Anthropologie,* 1872).

Les Pygmées d'Homère, d'Hérodote et de Pline (Journal des Savants, 1881).

Utożsamienie Negrytów z Pygmeami doprowadza do ważnych wniosków. Więc w czasach najbardziej oddalonych, których sięgać mogą tylko dokumenty etnologiczne, ludność obu Indyi stanowili Negryci, i zamieszkując źródła Indu, dochodzili do Azyi Środkowej. Więc owi Drawidzi, dotychczas za pierwotną ludność Indyi poczytywani, są metysi, pochodzący z połączenia Negrytów z napływającą do Indyi rasą żółtą. Nad zlaną w taki sposób żółtą rasą z czarną zapanowali dopiero biali Aryjczycy.

Dziwne się rzeczy dzieją na tym świecie! Kto zdoła obecnie zbadać, jakie to wypadki zaszły przeróżne, i przedstawić, jakie to warunki się zbiegły, by zatrzymać przez ciąg czasu, nie dający się obliczyć nawet na stulecia, i przenieść na koniec XIX, idyllę z nad Indu i Gangesu do wysp Andamańskich.

Pamiętajmy jednakże, że możność odegrania idylli w wieku naszym przypłacają Andamani swem istnieniem.

III.

Todowie i ich sąsiedzi.

Człowiek, pomimo dawności swego istnienia na ziemi, które na dziesiątki tysięcy lat w przybliżeniu można obliczać; pomimo środków, jakiemi zwalczać umie dzisiaj odleg-

---

Nouvelles études sur la distribution géographique des Négritos et sur leur identification avec les Pygmées asiatiques de Ctésias et de Pline (Revue d'Ethnographie, 1882).

Les Papouas et les Négritos (Hommes fossiles et hommes sauvages, 1884).

Streszcza zaś je w ostatniem swem dziele: *Histoire générale des Races Humaines,* w rozdziale XVI, str. 339 — 410.

Quatrefages jest monogenistą. Chwyta więc i rozwija w duchu swej teoryi każdą kwestyę, mogącą ją poprzeć. Ażeby wyprowadzić ludność całego świata z jednej miejscowości, którą dla niego jest Azya, i pogodzić z tem istnienie Negrów w Afryce, podejmuje kwestyę pochodzenia i dawnego rozsiedlenia Negrytów, podobnie jak opracował teoryę zaludnienia przez Malajczyków Polinezyi dla objaśnienia pochodzenia Oceańczyków.

Dla nauki byłoby rzeczą wielce pożądaną, gdyby kto z przedstawicieli lub zwolenników teoryi poligenizmu opracował etnologię lub antropologię, w której podstawy tej teoryi razem zebrane z równą siłą i nauką byłyby rozwinięte, jak podstawy monogenizmu w dziele: *Histoire générale des Races Humaines.*

łości, dzielące jedne ludy od drugich; pomimo nawet zapału, z jakim bada swą przeszłość, i ciekawości, z jaką poznaje dotychczas nieznanych sobie członków swej starożytnej rodziny: rozumowanego wszakże, a nawet kompletnego nie posiada jeszcze katalogu wszystkich, zamieszkujących ziemię ludów. W spisach ich, czy to według ras, czy też według miejsca zamieszkania ułożonych, przy wielu nazwach znajdują się puste w rubrykach odpowiednich prze-



56. Toda czyli Toduwar.

strzenie, lub przy udzielonej informacyi – liczne znaki pytania. Wszystko to wymownie świadczy, że albo nic o danym ludzie powiedzieć się nie da, albo to, co się o nim mówi, jest jeszcze bardzo niepewne.

I nietylko morza i oceany, otaczające wyspy, nietylko pewnych wysp odosobnienie spowodowało późne i niedostateczne z ich mieszkańcami poznajomienie się Europejczyków. Góry i pustynie niemniejsze nieraz stanowiły, niż fale wód, przeszkody. A to nawet w świecie, który zwiemy Starym.

1.

Na zachodniem wybrzeżu półwyspu Indyjskiego zachodniego, o pięćdziesiąt parę kilometrów od brzegu Oceanu, wznoszą się Nilghiri, góry Błękitne. Zwarta ich masa, tworząca czworokąt o dwu bokach nierównoległych, przedstawia właściwie płaskowzgórze, wyniesione nad poziom otaczających je przestrzeni, od północy na 1,000, od południa na 2,000 metrów. Na tem dopiero płaskowzgórzu piętrzą się właściwe, o bardzo atoli łagodnych spadkach, góry. Wśród nich szczyt najwyższy, Dodabetta, jak również kilka jeszcze innych, dochodzą do 2,750 metrów wysokości. Długość płaskowzgórza w kierunku wschodnim wynosi pięćdziesiąt kilka, szerokość na zachodniej granicy trzydzieści kilka, na wschodniej dwadzieścia kilometrów.

Nilghiri od równika są oddalone tylko o jedenaście stopni geograficznych (leżą pomiędzy 11° 13′ a 11° 32′ szerokości północnej). Pomimo jednak tak blizkiego sąsiedztwa z równikiem klimat na tych górach, wskutek znacznego wzniesienia nad poziom morza, nie jest wcale gorący, lecz zbliżony zupełnie do klimatu w Europie Południowej. Na szczycie Dodabetty temperatura średnia wynosi 11,8° C., więc odpowiada temperaturze Francyi środkowej. Temperatura na innych wyniosłościach odpowiada, w miarę zbliżania się do poziomu płaskowzgórza, temperaturze Prowancyi, Toskanii, Sycylii. Z drugiej zaś strony sąsiedztwo z równikiem chroni klimat górski w Nilghiri od znacznego wahania się pomiędzy temperaturą letnią a zimową. Różnica bowiem pomiędzy letnią temperaturą średnią a zimową średnią wynosi tylko trzy stopnie. Trwa więc tam wieczna wiosna.

Od końca października do początku maja niebo ponad górami temi pozostaje bez obłoków. Podczas deszczów letnich w tej strefie, a to mianowicie w porze musonów południowo-zachodnich, najczęściej nad niemi tylko mgły się gromadzą. Jednakże obfitość wód jest tam dość znaczna. Każdą pochyłość ożywia potok, każdą dolinę przerzyna strumień. Płaskowzgórze przeto całe, zarówno jak i wznoszące się na niem szczyty, pokryte są bujną zawsze roślinnością, przedewszystkiem właściwą strefie umiarkowanej.

Sieć potoków i strumieni przekształca się w liczne rzeczułki i rzeczki. Wybiegają one z Nilghiri, w pieniących się nieraz wodospadach, i u stóp północnych płaskowzgórza tworzą rzekę Moyar, u stóp południowych rzekę Bawani, które znowu połączywszy się na wschodniej granicy, wpadają do Caweri i w niej niosą swe wody do zatoki Bengalskiej.

Anglicy, panowie oddawna Indyi, dopiero w bieżącem stuleciu poznali Nilghiri. Odrazu wszakże potrafili ocenić ważność tej miejscowości dla pewnych celów. Pierwsza wyprawa naukowo-administracyjna była dokonana, pod przewodnictwem D. Sullivana, w roku 1819. W r. 1821 już było założone w Nilghiri sanatoryum. Podążać do niego zaczęli, by odpocząć w klimacie umiarkowanym, spieczeni przez słońce równikowe Europejczycy z Madrasu i innych znaczniejszych kolonii angielskich. Następnie w środku samych gór u zachodniego podnóża Dodabetty powstało miasto Utakamund, w skróceniu Uti, do 20,000 mieszkańców już liczące.

Obecnie kolej żelazna z Madrasu dochodzi do miasta Mettapoliam, leżącego u podnóża Nilghiri, na prawym brzegu Bawani, skąd droga bita prowadzi już w góry. Coraz bardziej pokrywają się wciąż one osadami i pojedyńczemi willami Anglików, którym dopiero w nich nietylko klimat, lecz i roślinność przypomina Europę i jak Europa ich odradza.

Cywilizacya wdziera się więc gwałtownie do Nilghiri. Jej przedstawiciele, jej główni pionierowie, są jednak odmiennego charakteru, niż zwykli zdobywcy dla kultury europejskiej nieznanych krajów innych. Przedsiębierczy przemysłowiec, lub odważny eksploatator bogactw przyrody, skrytych we wnętrzu, lub na powierzchni ziemi rozsianych, nie osiada w Nilghiri; lecz ten, kto za zdobyte już pieniądze pragnie przedłużyć sobie dni żywota i pozbyć się nabytych w niewłaściwym dla siebie klimacie cierpień fizycznych. Wznosząc sobie dom, otacza go nie fabrykami lub zakładami przemysłowemi, lecz ogrodem, a ogród ten nadto zasadza roślinami europejskiemi.

Zapewne temu to przedewszystkiem charakterowi osiedlających się w Nilghiri Europejczyków przypisać należy

ten fakt, że po lasach, dokoła otaczających płaskowzgórze i pokrywających jego pochyłości, że po polach i pastwiskach, rozlegających się na samem płaskowzgórzu, wśród wyniosłych szczytów i na ich spadkach, przechowała się dotychczas ludność miejscowa, i to nie uszczuplając się liczebnie, a przytem na stopniu kultury, na jakim przebywała od wieków, nie uległszy dotychczas wpływom cywilizacyjnym przybyszów.

Ludność tę składają:

1) Irule albo Erullarowie (do 1.500 jednostek).
2) Kurumby (do 1.000 jednostek).
3) Koty albo Kohatarowie (do 1.200 jednostek).
4) Badagi albo Badakarowie (przeszło 10.000 jednostek).
5) Tody albo Toduwarowie (do 750 jednostek).

Każda z wymienionych grup, aczkolwiek tak szczupła liczebnie, przedstawia odrębne i różne od siebie, a w sobie zamknięte społeczeństwo. Różnica pomiędzy niemi polega zarówno na zewnętrznej postaci, jak i na sposobie życia. I chociaż nizki stopień kultury łączy je na pozór wszystkie z sobą w oczach Europejczyka, tyle wszelako w tej nawet nizkiej kulturze jest właściwości specyalnej każdemu ludowi, tyle nadto oryginalności, gdzieindziej nie spotykanej, że każda grupa stanowi osobną całość i tylko jako taka całość rozpatrywana być może; tembardziej, że za takie całości mają one siebie samych i uchodzą za nie wśród otoczenia całego [1]).

---

[1]) Wskutek osiedlania się na Nilghiri Europejczyków i ułatwienia do nich przez rząd angielski komunikacyi, ludność miejscowa stała się przedmiotem opisów licznych podróżników i badań przygodnych i fachowych etnografów. Na Nilghiri przemieszkał lat 33 missyonarz Fryd. Metz. Żadnych śladów propagatorskiej działalności on nie pozostawił. jednakże w opowiadaniach swych udzielił wielu ważnych wiadomości, które posłużyły za podstawę następnym badaniom *(The tribes inhabiting the Neilgherry Hills)*.

W r. 1893 przez styczeń przebywał w tych górach Paweł Mantegazza a przez lipiec, sierpień i wrzesień wsławiona H. Bławatskaja Opis kraju i mieszkańców pierwszy pomieścił w dziele swojem *India* (Milano, 1884), druga, pod pseudonimem Radda-Baj *(Ros. Wiest.*, 1885), pisała o nich także. Monografie ważniejsze:

Henry Harkness: *A description of a singular aboriginal race inhabiting the summit of the Neilgherry Hills.* Londyn, 1832.

Różny wygląd zewnętrzny ludów zamieszkujących Nilghiri pochodzi głównie z różnic rasowych.

2.

Niema na powierzchni ziemi drugiego kraju, w którymby ludność miejscowa przedstawiała wogóle tak wielką rozmaitość pod względem wyglądu zewnętrznego, jak w Indyach. W Indyach bowiem ta rozmaitość polega nie na różności szczepów lub plemion, lecz na różności rasowej.

Wskutek swego położenia geograficznego Indye, będąc, jako dwa półwyspy, przyczepione do masy lądowej, nie mogły być gościńcem dla ludów idących z kraju do kraju, lecz tylko miejscem stałego pobytu. Dla wchodzących w nie ludów pozostawało jedynie zamieszkać w nich i utrzymywać się przy raz zajętej ziemi, lub zginąć po wyparciu z niej. Fale Oceanu, okrążające Indye, odejmowały nadzieję i możność wszelakiej ucieczki.

Na ludność obecną indyjską, zwłaszcza zaś na półwyspie zachodnim, trzy główne złożyły się rasy: czarna, żółta i biała. Przedstawiciele każdej z nich wchodzili po kolei do Indyi w charakterze zwycięzców i w tym charakterze tu pozostawały, bądź mordując dawniej przybyłych, bądź też tylko wyciskając ich z miejscowości bardziej ponętnych.

Pomimo jednakże nienawiści, jakiej nabiera każdy zwycięzca do zwyciężonego, pomimo odrazy rasowej, która zwykłą nienawiść w tym wypadku potęgowała jeszcze, następowało z natury rzeczy łączenie się przybyszów z dawniej osiedlonymi.

W. Ross King: *The Aboriginal tribes of the Nilgiri-Hills (Journal of Anthropology,* 1870).

William E. Marschall: *A phrenologist among the Todas.* Londyn, 1873

Elie Reclus: *Les Monticoles des Nilgheries.*

Wszystko, co o Todach ważniejszego było gdziekolwiekbądź powiedziano, zebrał w jednę całość i, stosownie do swojego systematu socyologicznego ułożywszy, wydał Spencer w *Sociology Dscriptive,* t. V.

Ważną jest bardzo rozprawa krytyczna A. Quatrefagesa: *Les Todas (Hommes fossiles et hommes sauvages.* 1884), w której on roztrząsa rozmaite poglądy etnologów co do pochodzenia Todów, a również, dla klasyfikacyi, jego: *Histoire générale des Races humaines.*

Najdawniejsza ludność Indyi należała do rasy czarnej; stanowili ją Negryci. Przybyli później należeli do żółtej. Były to rozmaite plemiona mongolskie. Z połączenia się rasy żółtej z czarną powstały plemiona drawidyczne. Łączenie się jednakże dwu ras nie na całej przestrzeni półwyspów odbywać się mogło w jednakim do siebie stosunku liczebnym. Rasa żółta nacierała z północy, i tylko dzielniejsi



57. Rodzina Todów.

i wytrzymalsi jej przedstawiciele dosięgali odległego południa. Rasa czarna ustępowała z północy i, z konieczności chroniąc się na południu, stawała się w kierunku południa coraz gęstszą, coraz bardziej zwartą. W północnych przeto plemionach drawidycznych przemaga typ rasy żółtej, w południowych — typ rasy czarnej. Stąd pochodzi znana rozmaitość wśród tych plemion.

To łączenie się nie wyłączało wszelako możności przechowania się w niektórych miejscowościach wskutek jakichś sprzyjających warunków pierwotnych ras w zupełnej lub względnej czystości. Te pozostałości obu ras stanowią niby skrajne ogniwa w łańcuchu plemion drawidycznych.

Gdy po upływie pewnej ilości wieków do Indyi wtargnęła rasa biała, nastąpiły nowe kombinacye etniczne. Bardziej uzdolnieni biali już w przepisy religijne przeodzieli wstręt do zwyciężonych. Nienawiść kastowa zastąpiła w nowym porządku rzeczy nienawiść rasową.

Otóż zamieszkałe na tak niewielkiej stosunkowo przestrzeni, jaką zajmują góry Nilghiri, ludy przedstawiają ślady dziejowe zaludnienia całego kraju oraz typy składowych części ludności obecnej, która powstała w okresie niewiadomym co do następstwa i trwania, w każdym atoli razie poprzedzającym historyczny.

Irule i Kurumby, aczkolwiek różnią się od siebie, są potomkami rasy czarnej Negrytów.

Kotowie należą do plemion drawidycznych.

Badagowie należą do ludności, zwanej przedewszystkiem Indami. Są oni potomkami najpóźniej przybyłych do Indyi białych Aryów.

Todowie nie mogą być zaliczeni ani do rasy czarnej, wskutek swego wzrostu pokaźnego i jasnej cery ciała, ani do rasy żółtej, wskutek sobie właściwych tylko cech charakterystycznych, naprzykład, bujnego uwłosienia, wybitnych i prawidłowych rysów twarzy, cech zupełnie różnych od cech rasy żółtej. Zbliżając się do typu zasadniczego rasy białej, nie mogą wszelako być zaliczeni do Aryów, jedynych ze znanych dotychczas przedstawicieli w Indyach rasy białej.

Poznanie Todów wzbogaciło etnologię o jedną zagadkę więcej, i to zagadkę wcale niedającą się z łatwością rozwiązać.

Dla wyszukania pobratymczej dla Todów ludności, antropologowie przebiegają mieszkańców całej kuli ziemskiej.

Paweł Topinard, bacząc na bujne uwłosienie i dolichocefalizm Todów, ale pomijając kolor cery, upatruje w Australczykach pokrewne Todom ludy. Więc przybyć oni mogli do Indyi z południa.

W. Marshall łączy Todów z plemionami turańskiemi, chociaż zarazem przyznaje im znaczne podobieństwo zewnętrzne do Żydów i Chaldejczyków. W takim razie przybyli oni do Indyi z zachodu lub północy.

W. Ross King znajduje, że zbliżają się oni wielce do typu starożytnych Rzymian, jaki wytworzyć sobie możemy. Ale zarazem wykazuje kilka punktów zetknięcia Todów z Kaframi afrykańskimi.

Niektórzy, z Metzem na czele, opierając się na podobieństwie Todów do Żydów i Chaldejczyków, widzą w nich potomków znikłych ongi z widowni dziejowej dziesięciu pokoleń Izraelskich.

Inni zaś, naprzykład Leschenault de la Tour, by wyjaśnić cechy zewnętrzne Todów, zbliżające ich do rasy białej, uciekli się do takiego przypuszczenia: okręt wiozący krzyżowców Bretońskich i Normandzkich, wskutek dziwnych jakichś przygód dostawszy się na wody Oceanu Indyjskiego, uległ rozbiciu się przy brzegach malabarskich. Potomkami owych rozbitków mają być Todowie.

W oczach P. Mantegazzy w Todach przeważa typ semicki [1]).

Najponętniej się przedstawia pogląd A. de Quatrefagesa. Na podstawie cech zewnętrznych, jak oto: cery, twarzy, dolichocefalizmu i bujnego uwłosienia, zbliża on Todów do Ainów i tworzy z obu tych ludów osobną rodzinę. A ponieważ i Ainów zalicza Quatrefages do rasy białej, w taki więc sposób przez pokrewieństwo z Ainami wchodzą i Todowie do tej rasy.

Atoli, by zrozumieć stanowisko Todów w rasie białej, należy sobie przypomnieć dokładnie klasyfikacyę Quatrefagesa wszystkich ludów, stanowiących rasę białą.

I tak: według niego rasa biała albo kaukaska dzieli się przedewszystkiem na cztery konary, niby na jednym wyrosłe pniu drzewa; konary te są: Aryjski, Semicki, Fiński

---

[1]) Oto jakiemi słowy P. Mantegazza opisuje postać Todów: »Przedstawiają oni typ wyraźnie semicki, i każdy z nich mógłby służyć za model doskonały dla patryarchy biblijnego. Włosy na głowie są bardzo czarne i gęste, broda czarna i duża, brwi wydatne, nos orli, rabiniczny, oczy wielkie i czarne, usta piękne o wargach grubych, zęby piękne, podbródek nie wystaje, ani też się nie cofa. Cera jasno-czekoladowa«.

i Allofilski. Na konarze Allofilskim siedem dalej nalicza gałęzi, z których jedną nazywa azyatycko-amerykańską. Każda taka gałąź składa się z rodzin. Azyatycko-amerykańska gałąź składa się z trzech. Jedną z tych trzech jest rodzina Ainów. Rodziny rozpadają się ostatecznie na grupy, nazywane od terytoryów zamieszkiwanych. Rodzina Ainów tworzy cztery grupy: Japońską, Amerykańską, Malajską i Hinduską. W grupie Hinduskiej Todowie są przedstawicielami całej rodziny Ainów.

Chociaż zbliżenie Todów przez Quatrefagesa do Ainów, ludu również zagadkowego co do swego pochodzenia, kwestyi ostatecznie jeszcze na pozór nie rozwiązuje, jednakże rzucić ono może spory snop światła na stosunki etniczne Azyi.

Upatrując w Ainach japońskich, to jest we właściwych Ainach, wraz ze Schrenckiem i Kopernickim, odpartych przez rasę żółtą pierwotnych mieszkańców Azyi wschodniej, czy też tylko północno-wschodniej; w Todach zaś, widząc z Quatrefagesem pokrewny Ainom odprysk ich południowy, niknący ślad bytności tychże Ainów na południu Azyi, zbliżamy się powoli do możności naszkicowania choć w zarysie przewrotów etnicznych w tej największej części świata, uważanej nadto zawsze przez wielu za pierwotną kolebkę rodu ludzkiego.

Tak więc Todowie, na podstawie klasyfikacyi Quatrefages'a, stają się drugimi, niezależnie od tak nazwanych Indów, przedstawicielami rasy białej w Indyach. Indowie przedstawiają konar Aryjski rasy białej. Todowie konar Allofilski tej rasy.

W taki sposób wskutek szczególnych warunków na górach Nilghiri powstało muzeum etnograficzne. Jednakże, ponieważ te ludy żyją, każdy swem życiem odrębnem a sobie właściwem, ponieważ w życiu ich dzisiejszem przechowały się nadto ślady ich życia ubiegłego w oddalonej i nieznanej ich przeszłości, muzeum to etnograficzne możemy nazwać dla odróżnienia od innych żywem muzeum.

Przypatrzenie się choć przelotne życiu tych ludów, oraz ich wzajemnym do siebie stosunkom, ożywi to muzeum i w naszych oczach.

3.

Odrębność pochodzenia rasowego wyjaśnia odrębność sposobu życia ludów, zamieszkujących Nilghiri.

Irule przebywają w gęstych lasach, otaczających podnóże i pokrywających pochyłości płaskowzgórza. Nazwa ich pochodzi od wyrazu tamilskiego, oznaczającego ciemność. Zarówno przeto stosować się może do ciemności puszcz, w których przebywają, jak i do ciemnego koloru cery, którą po odległych swych przodkach, Negrytach, odziedziczyli.

Ze wszystkich ludów, zamieszkujących Nilghiri, stoją oni na najniższym stopniu kultury. Wskutek miejsca pobytu będąc mniej niż inne ludy dostępni przybywającym Europejczykom, mniej niż inne stosunkowo są znani. Chociaż zresztą to, co o nich jest wiadome, do przedsięwzięcia dalszych badań ani zaciekawia, ani się też nadaje.

Przebywając w lasach, Irule mieszkają i żyją jak zwierzęta leśne. Rozbici na małe gromadki, złożone zaledwie z kilku rodzin, kryją się po norach i jaskiniach i żywią się płodami leśnemi, korzeniami drzewnemi i mięsem złowionych zwierząt. Rozwój ich umysłowy odpowiada w zupełności sposobowi ich życia.

Na granicy puszcz leśnych, a łąk i pól uprawnych osiedlili się Kurumby. Nazwa ta w języku tamilskim oznacza karły. W głównych zarysach sposób życia tych karłów niewiele się różni od sposobu życia Irulów. Tak samo mieszkają po norach leśnych, a nadto, wskutek drobnego wzrostu, po rozłożystych drzewach, lub nakoniec w nędznie skleconych na ziemi szałasach. Tak samo jak tamci żywią się owocami, korzeniami i mięsem, tylko sąsiedztwo z innemi ludami wytworzyło dla Kurumbów nieznany tamtym swego rodzaju przemysł. Polega on na zbywaniu sąsiadom produktów leśnych i na korzystaniu w rozmaity sposób z pracy i zapobiegliwości tych sąsiadów. Wielce sprzyjającą temu rodzajowi przemysłu jest ich postać, wzbudzająca w każdym dzikością swą i niechlujstwem wstręt i obawę instynktową.

Kohatorowie przeważnie zajmują się hodowlą bydła, co właściwie sama ich nazwa (doiciele krów) oznacza. Ale

obok głównego swego zajęcia, stawiającego ich na oznaczonym stopniu kultury, uprawiają pewne rękodzielnictwo, nie mające żadnego związku z tem ich głównem zajęciem, a nadto wykazujące obok fachowego uzdolnienia zręczność niepoślednią i pracowitość mozolną. Posiadając sztukę oczyszczania, topienia i łączenia z sobą metali, zastosowują ją bez żadnych środków wprowadzonych przez przemysł europejski do wyrabiania broni siecznej, instrumentów muzycznych dętych i ozdób rozmaitych. Wyroby te ich są wielce cenione dla swej trwałości i kunsztownego wykonania. W pojęciach religijnych wzniósłszy się nad obawę rozmaitych duchów, czczą jakieś bóstwo, zwane Kamataraja; atoli postaci tego bóstwa nie przedstawiają.

Badagowie zajmują się rolnictwem i hodowlą bydła. Jako Indowie, przechowują podział na kasty, co zresztą wobec warunków, w jakich istnieją, wyrodziło się i stało czczym formalizmem; jako Indowie, wyznają Braminizm, który zresztą, nie będąc podsycany wpływem zewnętrznym, płynącym z ognisk religijnych, stracił swój charakter pierwotny i przetworzył się, co do dogmatów — w zbiór legend fantastycznych, co do rytuału — w praktykowanie guseł rozmaitych.

Środkowe, najponętniejsze i najobszerniejsze przestrzenie na płaskowzgórzu zajmują Todowie. Ze wszystkich wymienionych ludów oni są najmniej liczni. Ich to wszelako okrążający Badagi, Koty, a nawet Kurumbowie, za prawych i jedynych właścicieli gór Nilghiri poczytują, a w uznaniu swej od nich zależności, składają im daniny.

Todowie są ludem wyłącznie pasterskim. Ale gdy ich sąsiedzi hodują rozmaite zwierzęta domowe: woły i krowy, konie, kozy, owce i świnie, posiadają psy do strzeżenia swych zagród i stad, przy tych zagrodach utrzymują ptaki domowe; Todowie hodują jedynie tylko bawoły i żadnych innych stworzeń oprócz bawołów nie posiadają, a nadto w otoczeniu swem nie znoszą. Nawet dla psa nie robią wyjątku. Gdy inne ludy sąsiednie żywią się wszystkiem, co zdobyć mogą pracą, lub czego im przypadek dostarcza; Todowie — tylko mlekiem bawolem, a dodatkowo i jakby przygodnie, zbożem i owocami, składanemi im w daninie przez Badagów i Kotów. Mięsa nie jadają wcale, chyba

wyjątkowo, raz na rok, podczas uroczystości ludowej. Gdy inne ludy sąsiednie do swych zajęć różnorodnych, tak zwyczajnych, jak i przygodnych, używają rozmaitych narzędzi: do walki z krwiożerczemi zwierzętami (tygrysami, niedźwiedziami, panterami), w które obfitują góry, broni wszelakiej; do łowienia zaś innych — różnych sideł i pułapek; jedyną bronią i narzędziem w ręku Tody jest wysoki jego kij pasterski. Bawoły same siebie strzegą, bronić więc ich nie potrzebuje, a nawet wśród bawołów i sami Todowie czują się bezpiecznymi od napaści dzikich zwierząt.

Ponieważ wyłącznem mieniem Todów, właściwem ich bogactwem i jedynem źródłem ich pożywienia, a więc i środkiem dla nich do życia są bawoły, stały się przeto one jedynym przedmiotem ich myśli i pracy, zapobiegliwości i starań. Stały się osią, wokół której obraca się ich żywot cały; światem, w którym żyją i zewnątrz którego już nic dla nich nie istnieje. Możnaby było więc wyrzec śmiało, że to bawoły są właściwie uprzywilejowanymi mieszkańcami środkowych przestrzeni w górach Nilghiri, Todowie zaś ich stróżami, sługami, niewolnikami.

Bawoły regulują byt Todów. Od nich również zależnem się stało życie ich rodzinne, społeczne, a nawet umysłowe [1]).

Ponieważ na ograniczonej przestrzeni tylko ograniczona liczba bawołów istnieć, to jest wypasać się może, a bawoły tylko dostarczają w mleku pożywienia Todom wyłącznie, od ilości przeto bawołów zależną się stała ilość Todów. Dlatego przeto w społeczeństwie Todów jedną trzecią część ogólnej liczby stanowią kobiety.

Do utrzymania stale takiego stosunku uciekają się, jak pewni podróżnicy utrzymują, do zabijania nowonarodzonych dzieci płci żeńskiej. Inni zaś, broniąc ich od zarzutu dzieciobójstwa, twierdzą, że do utrzymania w równej mierze takiego stosunku liczbowego pomiędzy płciami dopomaga im posiadanie nieznanej dotychczas nikomu tajemnicy fizyologicznej (?).

---

[1]) Bawoły Todów, według świadectwa podróżników, mają się różnić od innych, zwykłych, wzrostem, siłą i pojętnością. Dla Tody zwykle są łagodne, posłuszne jego rozkazom, rozumieją mimiczne znaki, lub słowa do nich zwracane; w obecności Tody spokojne, na widok obcych ludzi, lub zwierząt, wpadają w gniew szalony i rzucają się ze wściekłością.

Taki stosunek pomiędzy ilością kobiet i mężczyzn prowadzi do poliandryi. Jakoż kobieta oddana jednemu mężczyźnie za żonę, staje się tem samem żoną wszystkich jego młodszych braci, w braku zaś ich, bliższych jego krewnych, a częstokroć nawet i obcych, którzy są pozbawieni braci, lub bliższych krewnych.

Kilku mężczyzn, połączonych z sobą oprócz związku krwi, wspólnością żony, wraz z pozostałymi przy życiu rodzicami oraz dziećmi, stanowią rodzinę [1]). Rodzina taka posiada pewną ilość bawołów na własność. Bawoły należeć mogą tylko do mężczyzn, więc w spadku przechodzą od ojców na synów.

Kilka rodzin poliandrycznych stanowi gromadę; kilka lub kilkanaście gromad stanowi klan [2]).

Rodziny, stanowiące jedną gromadę, trzymają się razem i osiedlają się razem w danej miejscowości. Miejsce, na którem wznosi swą osadę (murrt, lub mott) gromada, i otaczające tę osadę pastwiska są własnością gromady.

Właściwie każda taka osada Todów jest w rzeczywistości tylko stacyą w wędrówkach nieodzownych.

Jakkolwiek pastwiska, otaczające każdy pojedyńczy murrt, są bogate, przez pobyt wszakże na nich bawołów ulegają spasieniu. Konieczność przeto zmusza każdą gromadę kilka razy na rok zmieniać miejsce zamieszkania. Ale ograniczone terytoryum górskie nie pozwala coraz to nowych zajmować przestrzeni, wciąż świeżych nie może dostarczać pastwisk; więc nie na nowe i świeże po spasieniu jednego, tylko na leżące przez pewien czas odłogiem może przejść gromada. Każda gromada przeto posiada na zmianę kilka takich pastwisk, na które po kolei przechodzi; a na każdem pastwisku zastaje opuszczone przez siebie niedawno i na siebie oczekujące budynki, znamionujące osadę.

---

[1]) Przy tym dość rzadkim obecnie systemacie małżeństw, jest też odpowiedni systemat ojcowstwa. Oto pierworodne dziecię uważa się za dziecię najstarszego brata, drugie — drugiego z kolei, trzecie — następnego. To uregulowanie potrzebne jest dla dziedziczenia.

[2]) Oto nazwy tych klanów: Peiki, Pekkan, Todi, która to nazwa przechodzi zwykle na cały lud, Kutta, Kanna.

Wszystkie bawoły, stanowiące własność rodzin w każdej gromadzie, tworzą jedno stado gromadzkie [1]). Więc chociaż każdy bawół z tego stada jest własnością prywatną jakiejś rodziny, będąc jednakże w stadzie, pasąc się na pastwisku gromadzkiem, pozostaje pod opieką nie tej rodziny, lecz całej gromady.

Opieka gromady nad stadem ujawnia się w taki sposób, że do strzeżenia stada, wypędzania go na pastwisko rankiem, spędzania go wieczorem z pastwiska i dojenia bawolic, gromada utrzymuje dwu pasterzy specyalnych, nazywanych palkarpal i warsal, mających wyjątkowe położenie i znaczenie w gromadzie i w całym ludzie.

Ponieważ dojenie bawolic odbywa się w stadzie, więc i otrzymane mleko nie idzie bezpośrednio na pokarm rodziny, do którego te bawolice należą, lecz staje się własnością wspólną całej gromady, a dozór nad niem również do tych pasterzy należy.

Stosownie do takich zwyczajów w każdym murrt, pośrodku, w najdogodniejszem i najwidoczniejszem miejscu, wznosi się owalna zagroda z budynkiem wewnątrz, zwanym tuel. Jest to obora dla stada bawołów. Obok zagrody drugi budynek, paltshi, stanowi skład mleczywa [2]). Przy tym składzie, lub przy budynku w zagrodzie znajduje się osobne pomieszczenie dla obu pasterzy. Kilka oddzielnych, o jednej izbie, okrągłych chatek, z pokryciem stożkowatem i bardzo szczupłym otworem, dostarcza schronienia na noc pojedyńczym rodzinom [3]). Liczba tych chatek odpowiada liczbie rodzin, składających gromadę.

---

[1]) Takie stada złożone są głównie z bawolic jako dających mleko. Samców Todowie rozprzedają, lub w zamian sąsiadom oddają, pozostawiwszy tylko liczbę konieczną do rozpłodu.

[2]) Z budynku tego każdy członek gromady ma prawo brać tyle mleka oraz produktów z niego wyrabianych, ile mu potrzeba do przeżycia dnia. Pozostałe po przekarmieniu gromady mleko i produkty mleczne dzielą się pomiędzy rodziny, stosownie do liczby posiadanych przez nie bawolic.

[3]) Do tych chatek o zachodzie słońca, gdy bawoły zostały już przypędzone do tuelu, wciska się cała rodzina i w niej przebywa noc całą w zupełnej cichości. Ze zmrokiem ustaje wszelkie życie w każdej osadzie Todów. Sen bawołów nakłania i zmusza Todów do snu.

Dla człowieka, stojącego na nizkim stopniu rozwoju umysłowego, zupełnie wystarcza, by jakikolwiekbądź przedmiot lub istota wzbudzały w nim przestrach, lub były mu użyteczne, by zaczął jednych się obawiać, drugie czcić. Dla Todów karmiące ich bawoły stały się przedmiotem czci. Zbliżać się przeto stale do nich, pielęgnować je, mogą tylko ludzie inni niż zwyczajni. Otóż dlatego każda gmina z dozoru nad bawołami utworzyła jakoby wyjątkową instytucyę i sprawowanie owego dozoru porucza ludziom wyjątkowym. Wyjątkowość tych ludzi stanowi: pochodzenie z jednego klanu osobnego (Peiki [1]) i pewne przygotowanie się do swych zajęć.

Ze sposobu okazywania czci, lub obawy, powstały obrzędy, które następnie otrzymały nazwę rytuału religijnego. Z osób zbliżonych, lub dozorujących owe przedmioty, powstali kapłani. Todowie nie czczą żadnych innych istot oprócz bawołów, żadnych innych, z małemi wyjątkami, przedmiotów, oprócz tych, które z bawołami mają jakikolwiekbądź związek [2]). Pasterze bawołów w każdej gromadzie są przeto zarazem jedynymi jej kapłanami. A wszystkie ich czynności, wypływające bezpośrednio ze sprawowania obowiązku, stały się obrzędami religijnemi.

Cała gromada, naprzykład, obowiązkowo powinna być obecna przy wypędzaniu przez pasterzy rano z zagrody bawołów na pastwisko i przy wpędzaniu ich do zagrody na noc. Wówczas wszyscy obecni tworzą długi szpaler, przez który bawoły po jednemu kroczą powoli. Kobiety stają z jednej, mężczyźni z drugiej strony. Wszyscy oddają przechodzącym głębokie ukłony, a przytem, jakby na wyścigi, starają się mimicznemi znakami okazać szczere przywiązanie do przechodzącego bawołu, szczególniejszy jakiś szacunek, lub wyjątkowe uwielbienie. Owo ceremonialne pożegnanie i powitanie bawołów stanowi wszakże jedyny

---

[1]) Tylko wyjątkowo mogą być jeszcze wybierani z drugiego — Pekkan.

[2]) Nizki stopień rozwoju umysłowego nie pozwala im wznieść się ponad zwykły animizm pierwotny. Wierzą więc w istnienie rozmaitych duchów złych i dobrych, wierzą w duchy zamieszkujące rozmaite miejscowości, ale ich w widome istoty, lub przedmioty nie wcielają. Również czczą kilka przechowanych z odleglejszej przeszłości zabytków historycznych, jak oto: siekiery, noże, dzwonki, płyty do rąbania mięsa i t. p.

obowiązek względem istot czczonych i zastępuje wszelkie inne obrzędy religijne codzienne.

Jakkolwiek wszystkie bawoły są zwierzętami świętemi dla Todów — i wśród nich wszelako mogą się zdarzać jedne wyższe w świętości od drugich. Chociaż wszyscy pasterze pochodzą z uprzywilejowanego klanu i jednakowe odbyli przygotowanie do pasterstwa kapłańskiego — i wśród nich mogą się znaleźć, ku lepszemu, wyjątki. Otóż Todowie posiadają kilka uprzywilejowanych i wyjątkowo czczonych stad i przy nich wyższych od innych dozorców. W takim razie murtt bywa zwanym etud-murtt, palkarpal przybiera nazwę palal, warsal nazywa się kawilal. Zagroda dla wyjątkowo świętego stada zwie się już tiriri[1]), a bawolica poczytana za pierwszą, i zatem najbardziej w stadzie czczona, nosi na rogach dzwoneczki konku-der, co oznacza bogi-dzwonki.

Taką bawolicą może zostać tylko pochodząca z rodziny wyjątkowo czczonej już od bardzo dawna, która ciągle dostarczała takich wyjątkowych stworzeń. W razie wymarcia takiej rodziny w jednem świętem stadzie, robią się poszukiwania po innych. Na szczęście dla wiernych poszukiwania te zawsze prawie bywają uwieńczone pomyślnym skutkiem. Inaczej święte stado przestaje istnieć, jako oddzielne; bawoły bywają poprzyłączane do innych stad świętych.

Cześć dla bawołów nie przeszkadza jednakże Todom ich zabijać. Dzieje się to w dwu wypadkach.

Raz na rok cała gromada, wszelako bez kobiet, zbiera się w gąszczu leśnym, przyprowadziwszy z sobą miesięczne bawolę. Tam warsal to bawolę zabija maczugą, wyrobioną z drzewa świętego, powtarzając przytem jakąś formułę rytuałową. Następnie wydobywszy ogień przez tarcie, bawolę piecze na patykach, również ze świętego drzewa przyrządzonych. Upieczone mięsó wszyscy obecni zjadają pospołu[2]).

---

[1]) Przy takich właśnie tiriri przechowują się w osobnem zwykle pomieszczeniu pozostałe zabytki historyczne, czczone jako świętość, jako fetysze.

[2]) Uroczystość ta doroczna wielce jest zbliżona do również dorocznej uroczystości u Ainów, polegającej na zabiciu i zjedzeniu złapanego i odhodowanego przy osadzie niedźwiedzia młodego. Prawdopo-

Powtórnie zabijają bawoły na uroczystościach pogrzebowych.

Ciała zmarłych Todowie palą. Odbywa się to z wielką ceremonią. Po śmierci odnoszą trupa do murrt-kedu (osady śmierci lub zniszczenia), zwykle pod lasem, nad brzegiem strumienia zakładanej. Stos układają z siedmiu gatunków drzewa. Przed ułożeniem na nim ciała, z należących do zmarłego bawołów zabijają jednego lub dwa, mięsa ich jednakże nie zjadają. Palą na stosie również należące do zmarłego rozmaite przedmioty, a nawet łuk i strzały, których zmarły mógł nawet nie posiadać, lub, posiadając, wcale nie używał [1]). Popioły, pozostałe po spaleniu zmarłego, lub też tylko zwęglone kości zakopują w jamie, na którą kładą kamień [2]).

Dusza zmarłego, według wierzenia Todów, przechodzi do innego świata, zwanego Anmor, a znajdującego się w stronie zachodniej słońca. Poprzednio jednakże prze-

---

dobnie Quatrefages o tym obchodzie u Ainów nie wiedział, kiedy nie wyzyskał tego faktu na zbliżenie rasowe Todów do Ainów.

[1]) Ceremonia pogrzebu składa się właściwie z dwu aktów. Pierwszy akt odbywa się zaraz po śmierci, drugi w jakiś czas po pierwszym. Przed spaleniem zmarłego odcinają mu pęk włosów z głowy. Po spaleniu, wyszukują resztek głowy, które wraz z uciętemi włosami, oraz ze złotemi i srebrnemi przedmiotami, również w popiele odszukanemi, przechowują w płachcie płóciennej do drugiego aktu w domu. Na drugim obrzędzie odbywa się walka bawołów. W niej młodzież składa dowody wielkiej odwagi, rzucając się na rozjuszone poprzednio bawoły, w celu złapania po kilka ze stada i przyprowadzenia za rogi i ogon do palala, który je zabija maczugą. Wtedy dopiero pozostałe z pierwszego aktu resztki zmarłego i co tylko po nim dało się następnie jeszcze odszukać, podobnie jak poprzednio w ziemię zakopują. Imienia zmarłego wystrzegają się już wtedy żyjący wymawiać kiedykolwiek, a pamięć o nim ginie wraz z zapomnieniem imienia. Dwa te obrzędy odbywają się przy uczestnictwie całej gromady i zbliżonych z nią. Stawszy się głośnemi, sprowadzają sąsiednich Kotów i nawet Kurumbów, którzy czatują na mięso zabitych bawołów i rozchwytują je w celu zjedzenia.

[2]) Zwyczaj ten palenia ciał zmarłych ludzi, oraz z niemi wszelkich po zmarłych pamiątek, wielką wyrządza szkodę nauce. Dotychczas nie ma ona w posiadaniu szkieletu, a nawet czaszki Tody. Jeśli szczęśliwy jaki wypadek nie zapopiegnie złemu, Todowie wyginą, a śladu po nich nie pozostanie nawet w muzeach antropologicznych, co przy obecnym kierunku antropologii nie da się niczem już i nigdy powetować.

bywa ona czas jakiś na szczycie Makurti, góry najwyższej na krańcach zachodnich płaskowzgórza.

I w Armor wszelako nie rozstaną się Todowie z bawołami. I tam każdy spotka się ze swojem stadem i rozpocznie żywot w sposób nowy, acz bliżej nie określony, ze swojemi bawołami; prawdopodobnie jednakże będzie on tylko odbiciem żywota, pędzonego na tym świecie.

Nie mogąc, wskutek specyalnych warunków, stać się niewolnikami ludzi, Todowie stali się niewolnikami bawołów.

4.

Nic nie może bardziej szkodzić ludziom, zebranym w pewną ograniczoną całość, niż urządzenia oparte napozór na jakiejś mniej lub więcej abstrakcyjnej idei, jak u Todów, naprzykład, na boskości bawołów; w istocie zaś rzeczy na interesie jednej rodziny, czy też jednej klasy, lub kasty, jak u Todów naprzykład, na interesie klanu Peiki, dostarczającego kapłanów-pasterzy wszystkim gromadom w czterech pozostałych klanach.

Todowie są ludem wyłącznie pasterskim, a jednakże ustrój ich społeczny pozbawia jednostki prawa zajęcia się tem, co stanowi istotę życia pasterskiego. Okazywanie znakami mimicznemi uwielbienia wychodzącym z zagrody, lub wracającym do niej bawołom, nie może zastąpić czynnego zajęcia się ich hodowlą.

Taki stan rzeczy oddziaływa zwłaszcza szkodliwie na mężczyzn. Kobiety mają sobie pozostawioną sferę życia i zajęć domowych: dozór nad dziećmi, przyrządzanie strawy, zresztą przygotowywanie i ozdabianie ubrania. Zajęcie mężczyzn, przy koniecznym podziale pracy w rodzinie, ogranicza się przynoszeniem ze źródeł lub rzeczułek wody, drzew z lasu, wznoszeniem nowych, lub podtrzymywaniem starych budowli. Nigdy przeto tego rodzaju zajęcie nie może wyczerpać zasobu działalności męskiej, tembardziej, że i ta skromna praca męska w rodzinie Todów, złożonej zawsze z kilku mężczyzn dorosłych, rozkłada się na nich kilku.

Ogół więc jest skazany przez to na próżnowanie, rozleniwienie, ociężałość. To wszystko zaś odbija się ujemnie

na umysłowości, życiu wewnętrznem i sposobach uzewnętrzniania tego życia, jak przez cały ogół, tak też przez jednostki.

»Ogólny typ charakteru Todów jest zupełnie niezmienny, twierdzi Marshall; każdy Toda jest dziwnie szczery, uprzejmy i panujący nad sobą. Bywają też weseli, lecz przytem stanowczy. Są pełni uszanowania dla obcych, co jednakże wypływa raczej z poczucia własnej niższości, niż z czynnej zasady. Są odważni, lecz ich odwaga pochodzi raczej z braku przyczyn do bojaźni, niż z wewnętrznej a ukrytej siły. Gościnni, lecz przytem czujni i nieśmieli, jak gdyby jedne popędy skłaniały ich do wypowiadania co czują, inne zaś do skrywania. Spokojni. Postawa mężczyzn jest prosta, swobodna, niewymuszona. Ich układ i dźwięk głosu łagodny, spokojny i uroczysty. Kiedy odpoczywają, ułożenie ciała i wyraz oblicza posiada wiele spokoju wschodniego«.

»Todowie są niedbali i opieszali, dodaje inny (Shortt), siedzą nieraz po całych godzinach bezczynnie i nieruchomie. Napozór nawet są jakoby nieświadomi tego, co się około nich dzieje. Towarzystwa wcale nie poszukują«.

O intelektualnym rozwoju Todów ujemnie świadczy brak wszelkich tradycyi o przeszłości, o pochodzeniu, o powinowactwach plemiennych. O twórczości, również w ten sposób świadczy, pomijając już byt cały, brak wszelkich pieśni. Parę zwrotek, które niektórzy za pieśni podają, są właściwie formułami rytuałowemi [1]). Todowie o sobie milczą. co jest dowodem nie tajemniczości, lecz niewiadomości.

Należy teraz postawić pytanie, czy ten sposób życia Todów, to klasztorne prawie urządzenie bytu, jest stanem pierwotnym, czy też wynikło z rozmaitych przyczyn, niedostępnych dla braku materyałów zbadaniu historycznemu?

---

[1]) Przy obrzędzie poświęcenia bawolicy na pierwszą w świętem stadzie, następne, jak podaje Marshall, śpiewa palal słowa:

Jak piękną była bawolicą twoja poprzedniczka!
Ileż to ona dostarczała nam mleka.
Czy i ty nam tyle dostarczysz?
Bądź bogiem między nami.
Nie daj zginąć Tiriri.
Niech jeden stanie się tysiącem,
Niech wszystko będzie dobrze!
Miejmy dużo cieląt, miejmy dużo mleka!

Są to właściwie zaklęcia rytuałowe.

Walka niebezpieczna z bawołami, na tak wielce skomplikowanych ceremoniach pogrzebowych, świadczy, że śmiałość i odwaga w Todach tylko sztucznie została stłumiona gnuśnym sposobem życia. Palenie, wśród innych przedmiotów należących do zmarłego, łuku i strzał, świadczy, że broń ta była im kiedyś znana w przeszłości [1]). Przechowywanie przy każdym Tiriri w charakterze bożków, siekier, noży i płyt służących do rąbania mięsa, nietylko wykazuje, że i tego rodzaju narzędzia i przedmioty były im również znane w przeszłości, lecz że ta przeszłość jest dla nich drogą, że ją szanują, a pamiątki z niej pozostałe czczą jako bóstwa. A owa uczta doroczna, na której zjadają bawolę, a która obecnie stała się obrzędem ujętym w rytuał przepisów symbolicznych, czyż również nie będzie tylko bezwiednem wspomnieniem odrębnej przeszłości?

Obecny przeto byt Todów przedstawia się nam jako stan upadku. I aczkolwiek przechowane wyjątkowo pamiątki z przeszłości i symbolika paru obrzędów nie mogą świadczyć, że w owej przeszłości Todowie stali na wyższym znacznie stopniu rozwoju kulturowego, w każdym atoli razie żywot ich nie był tak wyłącznie, jak to obecnie, sekciarsko-pasterskim. Łowiectwo, którem się niechybnie zajmowali w owej przeszłości, uspasabiało ich do bardziej czynnego, więcej pomysłowego życia. I jeśli nie dokazało swego na Todach, stanęły niechybnie temu naturalnemu rozwojowi bądź przyczyny wewnętrzne, na przykład: niedostateczne uzdolnienie umysłowe, bądź zewnętrzne, to jest wypadki, które nazywamy dziejowemi, jak oto: przymusowa wędrówka, ustępowanie innym ludom zajętego poprzednio miejsca, otoczenie przez ludy nieprzyjazne, odcięcie się od reszty swoich i t. p.

---

[1]) Jest jeszcze inny obrzęd, do którego wchodzą łuk i strzały. Kiedy kobieta jest w siódmym miesiącu swojej pierwszej brzemienności, udaje się wraz z mężem w głąb lasu. Tam, przed ogniskiem, otrzymuje od męża przez niego zrobiony łuk i strzały trzykrotnie się zapytuje, jak się to nazywa, co on jej wręcza. Pozostają na noc w lesie pod gołem niebem.

To ofiarowanie kobiecie potrzebującej obrony łuku i strzał, czy nie jest symbolicznem upewnieniem jej, że w chwili zbliżenia się jej niemocy, może być pewną opieki mężczyzny nad nią czuwającego? Znowu więc spotykamy się z bronią i ze znajomością jej używania.

Jakkolwiek nie jest wiadomem, kiedy i skąd Todowie na Nilghiri przybyli, wszelako oni być nie mogą pierwotnymi tych gór mieszkańcami.

Na płaskowzgórzu znajdują się pomniki megalityczne, chociaż zdrobniałe, w porównaniu z europejskiemi mniejsze co do rozmiarów, dobrze wszelako przechowane, a więc widoczne. Są to głównie kromlechy i kryte dolmeny, na grobowiska przeznaczone. Kto je wznosił, o tem żadnych niema tradycyi, ani też to z jakichkolwiek bądź pobocznych śladów wywnioskować się nie daje. W tych bowiem grobowiskach nawet resztek kości ludzkich nie pozostało. Wznosiciele ich palili ciała zmarłych, jak to obecnie czynią Todowie. Twierdzić jednakże możemy, że nie Todowie te megality wznosili, a to przedewszystkiem na tej podstawie, że zbyt wielki okazuje się przeskok pomiędzy kulturą nieznanych owych wznosicieli megalitów a kulturą obecną Todów, ażeby można było tym ostatnim wzniesienie owych megalitów przypisywać; co tembardziej się uwydatnia, że i obecnie nicby Todom nie stało na przeszkodzie, skoro raz zdobyli się na podobne zabytki, w dalszym ciągu je wznosić, lub przynajmniej, ze wzniesionych już korzystać. A jednakże Todowie wprost do wykopanej jamy kładą resztki zwęglone zmarłego i kamieniem jamę przykrywają.

5.

W umyśle ludzkim, wśród wielu własności jego rozmaitych, uderza przedewszystkiem jedna: uzdolnienie czy też poryw do objaśniania wszystkiego, nie bacząc na sposób objaśniania samego, ani też na podstawę wniosków, lub na wypływające z nich nieodzowne wyniki. W historyi dotychczasowego rozwoju wiedzy własność ta tylko ujemnie oddziaływała. O ile bowiem zwrócenie uwagi na dane zjawisko, lub poznanie pewnego faktu wzbogacało naukę, o tyle błędne ich tłumaczenie szkodziło dalszemu rozwojowi badań, lub skierowywało je na zupełnie niewłaściwe drogi; a to tembardziej, że podobne objaśnienia przedstawiały się zwykle dla ogółu bardzo ponętnie, gdyż rzecz jasno i wyczerpująco napozór przedstawiały i, na razie, stosownie do poziomu ogólnego wykształcenia, zadowolnić mogły zupełnie.

Właśnie na tem to tle powstają myty wszelakie i legendy fantastyczne.

Każde zjawisko w świecie zewnętrznym, nas okrążającym, a nawet i wewnątrz nas zachodzące, jest otoczone, niby mgłą, siecią przeróżnych mytów i legend. Każde odkrycie na polu wiedzy, prowadzące do objaśnienia naukowego tego zjawiska, spotyka się przedewszystkiem z koniecznością rozproszenia mgły, otaczającej to zjawisko; z koniecznością porwania sieci mytów i legend, tworzących ową mgłę.

Nagromadzenie na stosunkowo, jak góry Nilghiri, szczupłej przestrzeni kilku ludów tak różnych postacią i zewnętrznemi cechami, kulturą i sposobem życia, a przytem, pomimo różnicy całej, żyjących pomiędzy sobą w utartych i niezmiennych stosunkach, więc niby związanych ze sobą niewidzialnemi węzłami, wywołuje liczne tłumaczenia. Tembardziej, że wyobraźnia ludów południowych przed największą nawet nie cofnie się cudownością, fakty zaś same przez się wzbudzają podziw.

Kilkanaście razy liczniejsi Badagowie składają daninę Todom, jako rzeczywistym władcom Nilghiri. Ci zaś władcy za całą broń przeciw okrążającym ich hołdownikom i dzikim bestyom posiadają kij pasterski. Kotowie doskonali nożownicy, zręczni jubilerzy, artystyczni rękodzielnicy instrumentów muzycznych, nie posiadają żadnych narzędzi skomplikowanych do wykonywania swego kunsztu. Dziki Kurumba i, mogący się pysznić swoim bramanizmem, Badaga, pochylają się lub padają przed przechodzącym Todą, który to samo czyni przed ubóstwionemi bawołami, a tych samych bawołów ubóstwianych mięso, zabiwszy ich poprzednio, rzuca innym na pożarcie, sam zaś zadawalnia się, jak dziecię lub starzec, mlekiem;—Todą, który czcząc bawołów nie znosi obok siebie żadnych zwierząt domowych, a dzikich się nie obawia.

O każdym ze wzmiankowanych ludów na Nilghiri krążą liczne legendy. Głównie wszelako kupią się one około dwu ludów, przedstawiających najbardziej rażący kontrast pomiędzy sobą: około Todów i Kurumbów.

Wysoki, kształtny w postaci, piękny na obliczu, poważny zawsze, zawsze spokojny i milczący, białą płachtą, niby starożytny rzymianin togą, pokryty Toda jest żywem przeciwstawieniem z drobnym, karłowatym, wiecznie ruchli-

wym, biegającym, niby czegoś szukającym, coś węszącym, ze wstrętnym dla swej postaci, odrażającym swym dzikim wyrazem oblicza i wzrokiem — Kurumbą.

Ludy, okrążające Todów i Kurumbów, w rozwoju umysłowym nie wzniosły się wyżej ponad animizm pierwotny, to jest wiarę w złe i dobre duchy, kryjące się w otoczeniu człowieka, w celu przeciwdziałania sobie wzajemnego. Otóż dla tych ludów Kurumbowie przedstawiają złe duchy, Todowie, jako ich przeciwieństwo — duchy dobre. Pierwszym przeto przypisują wszelkie szkody i złe przygody, którym niespodzianie podlegają: śmierć, choroby, kradzieże [1]), u drugich szukają ratunku i pomocy na spowodowane zło przez tamtych. Co Kurumba zepsuje, temu Toda zaradzić może, jeżeli zechce; kogo Kurumba uśmiercić zamierza, tego Toda tylko uzdrowić potrafi.

Todowie milczą zawsze o sobie. Z przypisywanych im wpływów, z upatrywanej w nich władzy korzystają, nietłumacząc wcale faktów, niewyjaśniając przyczyn swej działalności. Tylko ostatecznie przyciśnięci pytaniami powołują się na tajemne rozkazy swych bawołów. Kurumby w nieconym w innych przez się wstręcie ku sobie, we wzbudzonej w in-

---

[1]) Kurumba, według krążących opowieści, będąc rozgniewany za cokolwiek bądź, narzuca na winowajcę chorobę i śmierć z niej niezwłoczną, swem spojrzeniem oraz słowy: zobaczysz mię przed śmiercią obok siebie. Dotknięty tem spojrzeniem, po usłyszeniu zwłaszcza słów, uczuwa niebawem pewne charakterystyczne, a zawsze jednakie w tych wypadkach, symptomaty i umiera przed upływem dni 13-tu od wydania na siebie wyroku. Jakoż przed śmiercią zobaczy zawsze stojącego przy swem łożu Kurumbę. I to następuje zawsze — chyba, że Toda wczas zapobieży złemu.

Gdy sam nie może dokonać kradzieży, Kurumba, również, według opowieści, oczarowywa kogokolwiek bądź swem dotknięciem i ów oczarowany nieświadomie, działając niby we śnie, wykonywa jego wolę, kradnie i ukradzione przedmioty mu oddaje.

Opowiadania o tego rodzaju sprawkach Kurumbów są bardzo liczne i nawet wśród Anglików znajdują wiarę w możebność faktów samych, a przytem wbudzają i w nich obawę, co do następstw własnego zetknięcia się z Kurumbami.

Odkrywacze nieznanych dotąd sił przyrody w cyklu pierwszych opowieści dojrzeć mogą działania suggestyi, w cyklu drugich — działania hypnotyzmu. Co naturalnie pociągnąć za sobą powinno nowe zainteresowanie się temi ludami.

nych wyobraźnią obawie siebie szukają i znajdują środki do życia. Uznawanie w nich czarodziejów zapewnia im nietykalność bądź przed osobistą zemstą poszkodowanych, bądź nawet w sądach angielskich. Zwykle niema świadków zarzucanego im przestępstwa; fakt sam pozostaje nieudowodnionym. W kodeksie przytem karnym nie znajdują sędziowie żadnego artykułu, nadającego się do zastosowania do obwinionego

Badagowie wśród tych ludów górskich stoją na wyższym, niż oni wszyscy, stopniu kultury. Patrzenie ich na przedmioty, lub fakty, przybiera już charakter obserwacyi. Obserwowanie zjawisk wyradza już pragnienie ich objaśniania.

Przytoczmy jeszcze legendę, która służy Badagom do wyjaśnienia, sobie i innym, przyczyn tak odmiennej działalności Todów i Kurumbów, oraz stosunku wzajemnego, zachodzącego pomiędzy temi ludami.

Jakiś król Wschodu, będący zarazem i dobrym bogiem, wystąpił był kiedyś do walki ze złemi duchami i wtargnął do ich ziemi. Tam znalazł on sprzymierzeńców w osobach żyjących tam Todów. Chcąc ich za doznaną pomoc wynagrodzić, wzniósł dla nich na płaszczyźnie Góry Błękitne i, ażeby zapewnić im na wieczne czasy pożywienie bez pracy, duchy dobre, nad któremi przewodniczył, przemienił w bawoły, mające Todów wiecznie karmić. Kurumby są zaś dzieci zwierząt, spłodzone z duchami płci żeńskiej. Ponieważ po ojcach odziedziczyli oni złość i dzikość, po matkach — moc czarodziejską, wielki bóg postanowił ich wytracić; na prośbę jednakże ducha dobrego, który na chwilę porzucił był postać bawoła, odwołał swój wyrok zagłady, lecz oddał ich w wieczne poddaństwo Todom, pod tym jednakże warunkiem, ażeby ci czuwali nad ich postępkami i przeciwdziałali ich czarom.

Zupełnie zadowoleni tem wyjaśnieniem spostrzeganych faktów, Badagowie patrzą z rezygnacyą na czary rzucane przez Kurumbów. A gdy Toda spóźni się z przeciwdziałaniem, lub, dla wiadomych tylko sobie, a raczej bawołom swoim przyczyn, odrzuci prośbę o pomoc, znoszą cierpliwie śmierć najbliższych sobie istot oraz wszelkie wyrządzane szkody, gdyż tak być musi, od tego bowiem Kurumba jest Kurumbą, a wielki bóg — wszechpotężnym bogiem.

Stosunki etnograficzne
na krańcach wschodnich Azyi.

Żyjemy w czasach, które w historyi wszystkich nauk, a zwłaszcza tyczących się samego człowieka, np. antropologii i etnografii, epokę stanowić mają. Dopiero bowiem obecnie da się wyrzec z zupełną słusznością, że niema już na kuli ziemskiej zamieszkanego przez człowieka kąta, na którymby nie stanęła stopa badawczego Europejczyka, że niema od biegunów aż po równik żadnego ludu, któregoby na miejscu nie poznał Europejczyk i nie wciągnął do swego katalogu.

Wielkie odkrycia naukowe, następujące jedno po drugiem od czterech stuleci, na odpowiednią drogę kierują badawczość ludzką. Za odkryciem kształtu i ustroju powierzchni ziemi następuje odkrycie jej miejsca i znaczenia we wszechświecie. Odkrycie pochodzenia człowieka wynikło z długiego i mozolnego badania wszelkich istot żyjących na ziemi. Odrodzona wiedza podnieciła umysły. Podniecenie umysłów wytworzyło szeregi bohaterów nauki. Gdy jedni poświęcają nauce cały swój czas, mienie, ambicyę, namiętności, drudzy nie wahają się poświęcić jej nawet życia. Przebiegają, nie bacząc na wszelakie niebezpieczeństwa, kraje podrównikowe w Afryce; przedzierają się przez lody i ciemności kilkumiesięcznej nocy do biegunów. Nawet pewność śmierci nie powstrzymuje ich na drodze. I oto znamię doniosłe: najfanatyczniejsze okresy powstających religii nie przedstawiają tak długich list męczenników, jak roczniki odrodzonej wiedzy. Gdy tamci wszakże przez zgon przedwczesny i dobrowolny śpieszyli posiąść nagrodę i dopiero

wtedy rozpocząć odpowiednie według swych pojęć życie, męczennicy wiedzy, narażając się na śmierć, są z zupełną świadomością przygotowani do stracenia tego, co stanowi dla nich jedyny cel i urok istnienia: zaspokajania ciekawości naukowej.

Przykłady śmierci jednych bohaterów, i to w okolicznościach wzbudzających zgrozę, nie odstręczają innych do podobnych przedsięwzięć, owszem, jakoby pociągają jeszcze, nęcą... Za Livingstonem, że ograniczę się tylko kilku bliższemi w czasie faktami, podąża Stanley; za Crampelem — Dybowski, Maistre. I oto niedostępne dotychczas wnętrze Afryki otwiera się dla badaczów europejskich. Wymarznięcie ze 138 ludzi złożonej wyprawy Franklina, zniknięcie wśród lodów okrętu »Jeanette,« wywołało dziesięć innych wypraw pod biegun północny. I oto Azya, owo ognisko dwojakiej kultury ludzkiej, dotychczas mniej niż Ameryka znana i w cztery wieki później niż Afryka okrążona, staje się dostępną i od równika i od bieguna.

A gdy przyszłe pokolenia, wczytując się w Dzieje Powszechne, nazywać będą, nie bez pewnej podstawy, wiek XIX barbarzyńskim i ciemnym — na równi z osiemnastu poprzednio ubiegłemi, imiona bohaterów i męczenników nauki, których wytworzył pomimo barbarzyństwa swego i ciemnoty wiek XIX, zmiękczyć ostrość ich sądu potrafią i zmuszą dopatrzyć się w XIX wieku początków nowej ery.

Udostępnienie tak niedawne Azyi wywołało na jej wschodnich krańcach nowe życie. Odległy Wschód azyatycki niby się zbliżył do ogniska kultury zachodniej i wchodzić zaczyna w obręb jej promieniowania. Uwydatnia się to, niedość jeszcze znane i oceniane, zjawisko dziejowe w trzech nader doniosłych faktach. Mamy na myśli: urzeczywistniany z dnia na dzień projekt połączenia Europy z krańcami północno-wschodniemi Azyi drogą żelazną; dalej usadowienie się Anglików i Francuzów w Indo-Chinach; nakoniec zbudzenie się z długiego letargu kulturowego dwu głównych na owym Wschodzie narodów: chińskiego i japońskiego, i zwarcie się ich z sobą a następnie pierwszego z nich z Europą w groźnej walce orężnej.

Te trzy fakty zwracają uwagę na ludy, zamieszkałe na krańcach wschodnich Azyi, i zarazem — ułatwiają po-

znawanie tych ludów. Poznawanie zaś prowadzi do wyświetlenia miejscowych stosunków etnograficznych.

Wyświetlenie stosunków etnograficznych, na krańcach wschodnich Azyi nabywa obecnie większej niż kiedykolwiek ważności i wyjątkowego dla nauki znaczenia. Stosunki te bowiem, wobec wskazanych faktów i wskutek tych faktów, ulegają ciągłej zmianie i w niedalekiej przyszłości przekształcić się mogą zupełnie. I gdy wielu ludom, na owych krańcach zamieszkałym, grozi los, jaki spotkał już ludy amerykańskie i oceanijskie, inne, powołane do życia dziejowego, łącząc się z sobą politycznie, krzyżując rasowo, wytworzyć mogą w przyszłości nowe ludy i narody.

Krańce wschodnie Azyi, od przylądka Wschodniego (Ost-Cap), leżącego przy wejściu do cieśniny Berynga z oceanu Lodowatego, ciągną się aż do przylądka Romania, zamykającego południowy cypel półwyspu Indo-chińskiego. Tuż nad przylądkiem Wschodnim (różnica w minutach) przebiega północne koło biegunowe. Przylądek Romania tylko o stopień geograficzny (różnica również w minutach) jest oddalony od równika. Tak więc ciągną się te krańce przez sześćdziesiąt kilka stopni geograficznych, naturalnie, bez uwzględnienia ukośnych kierunków i wszelkich załamań, co w każdym razie wynosi do tysiąca mil.

Tak znaczna długość wschodniego wybrzeża Azyi zmusza, przy rozpatrywaniu stosunków geograficznych na tem wybrzeżu, do pewnego ugrupowania zamieszkałych tam ludów. Podstaw do ugrupowania dostarczają warunki geograficzne, które, w tym wypadku, zbiegają się z politycznemi.

Takich grup mamy tutaj trzy. Jedna zamieszkuje północno-wschodnie, druga — południowo-wschodnie, trzecia nakoniec — właściwie wschodnie, pomiędzy temi obu środkowe, krańce Azyi.

I.

Ludy na krańcach północno-wschodnich.

Zwarta masa lądowa, stanowiąca Azyę północną, na krańcach wschodnich zwęża się stopniowo. Po trzech, przecinających tę masę od południa ku północy rzekach wielkich,

których długość prawie pół szerokości Azyi wynosi, idą trzy inne (Jana, Indygirka, Kołyma), również w tym kierunku płynące, ale już o dwie trzecie, co najmniej, od tamtych krótsze. Ostatnia z tych trzech rzek, Kołyma, jest również ostatnią z rzek azyatyckich wpadającą do oceanu Lodowatego. Ustrój powierzchni tego krańca Azyi pozwala wodom z niego spływać i w innych kierunkach. Anadyr płynie ku wschodowi; Penżyna, Giżyga, Jama i inne — ku południowi.

Zwężania lądu dokonywa ciągle i pod rozmaitemi kątami łamanie się linii brzegowej. I oto, oprócz wielu innych, pomniejszych zatok, powstaje z Oceanu Spokojnego jedna większa, wchodząca w głąb lądu od południa, morzem Tunguskiem lub Ochockiem, druga mniejsza, wchodząca od wschodu, zatoką, lub nawet morzem Anadyrskiem nazwana; oprócz wielu innych, pomniejszych, wyskakują dwa główne półwyspy, w kierunku północno-wschodnim — Czukocki, w kierunku południowo-zachodnim — Kamczacki. Dwa te półwyspy stanowią właśnie krańce północno-wschodnie Azyi.

Do krańca wschodniego półwyspu Czukockiego, krańca zawartego pomiędzy przylądkiem Wschodnim, powyżej już wzmiankowanym, i Czukockim, zbliża się, w ostry wydłużony cypel, ląd amerykański i powstaje cieśnina Berynga; pod nią zaś, wskutek gwałtownego cofania się Azyi ku zachodowi, ku wschodowi zaś Ameryki — morze Berynga. Morze to sięga aż do miejsca, gdzie Ameryka, po raz ostatni zbliżając się do Azyi, już nie cypel, jak w cieśninie, lecz długi a wąski półwysep i łańcuch wysp ku niej wyciąga. Półwysep — jest to Alaska, łańcuch wysp — Aleuty. Zataczają one łuk, zbliżający się od wschodu do Kamczatki.

Do południowego cyplu drugiego półwyspu, Kamczackiego, przytyka łańcuch wysp, nazwanych Kurylskiemi. Łańcuch ten, idący w kierunku północno-wschodnim od wysp Japońskich, łączy pas środkowy Azyi z krańcami jej północno-wschodniemi.

Naprzeciw ostatniej, licząc od południa, wyspy z szeregu Japońskich, Sachalinu, wpada do Oceanu Spokojnego druga już z kolei rzeka azyatycka, dążąca z zachodu ku wschodowi. Jest to Amur. Wyspy Kurylskie łączą z sobądwa pasy Azyi. Rzeka Amur oddziela te dwa pasy jeden od drugiego.

Powstałe z wielorakich załamów linii brzegowej półwyspy, a z wyżyn lądowych, ponad powierzchnią mórz i oceanu wystających, wyspy stawały się teatrem wydarzeń, w dziejach zaludnienia Azyi wielce ważnych. Półwyspy, dostarczały schronienia partej i wypieranej z wnętrza Azyi ludności, którą, w stosunku do obecnie ją zamieszkującej, nazwać możemy pierwotną. Wyspy ułatwiały tej ludności przedostawanie się z jednego pasa Azyi na drugi, z jednej części świata do drugiej.

Odkrywanie ziemi stanowiło wstęp konieczny do poznawania jej mieszkańców.

1.

Poznawanie ludów, zamieszkałych na mało dostępnych krańcach lądów stałych, lub we wnętrzach tych lądów, o ile ono bezpośrednio nie wynikało z przedsiębierstwa kupiecko-przemysłowej natury, stawało się przez czas długi jakby tylko dodatkiem, nadprogramowym nawet, poznawania lądu. Poznawanie zaś lądu bywa zawsze związane z wielkiemi zagadnieniami geograficznemi, wypływającemi jedno z drugiego, niby ogniwa w łańcuchu.

Nie inaczej się dzieje przy poznawaniu północno-wschodnich krańców Azyi. Poznawanie ich było związane z wielkiem zagadnieniem geograficznem, powstałem jednocześnie z odkryciem Ameryki.

W wieku XVI, nawet po pierwszem już okrążeniu kuli ziemskiej przez Magellana, południową Amerykę z częścią zatoki Meksykańskiej i z leżącemi w niej wyspami, Antyllami, przyłączono do pasa środkowego Azyi, na wschodnich jej krańcach. Tak zwana Hiszpania Nowa, dzisiejszy Meksyk, na globusach i mapach owoczesnych stanowiła południowe Chiny, Cathay, jak zwali je wtedy, a półwysep Floryda bywał utożsamiany z Koreą [1]).

Odkrywanie krajów, stanowiących północną Amerykę i północno-wschodnie krańce Azyi, rozwiewało błędne po-

[1]) Charakterystyczny typ takiego połączenia przedstawia tak zwany »Globe doré« pochodzący z pierwszej połowy XVI stulecia. Jest on przechowywany w Bibliotece Narodowej w Paryżu, a wizerunek jego mieści *Atlas de Géographie Historique,* wydawany przez F. Schradera, karta 30.

jęcia geograficzne, oparte na takiem połączeniu Ameryki z Azyą. Ale to rozwiewanie odbywało się stopniowo, bardzo powoli, również jak stopniowo i powoli, piędź po piędzi, odkrywano brzegi zachodnie Ameryki północnej, a wschodnie Azyi. Górującem przeto nad innemi zagadnieniami geograficznemi, które w przeciągu paru wieków poruszały i zaciekawiały świat naukowy, było to: czy ląd azyatycki łączy się z amerykańskim, czy też tylko do amerykańskiego się zbliża, a w tym ostatnim wypadku, gdzie się zbliża i na jaką odległość? Należało odgraniczyć Azyę od Ameryki, lub też stanowczo połączyć z sobą obie te części świata. Ważne to zagadnienie wiek XVII otrzymał w całości w spadku po XVI i przekazał XVIII.

Krańce północno-wschodnie Azyi przylegają bezpośrednio do Syberyi i stanowią z punktu geograficznego uzupełnienie i zakończenie tego kraju, obejmującego cały północny pas Azyi. Prowadzą zaś na nie drogi morskie i lądowe. Pierwsze przez ocean Lodowaty — od północy, przez Spokojny — od południa; drugie — przez Syberyę.

Z położenia geograficznego krańców tych wypływa, że odkrycia geograficzne na nich odbywały się dwiema drogami, a nadto, na drodze lądowej poprzedzały morskie, co stanowi już wyjątek w dziejach geografii. Gdy bowiem morskie drogi są zamknięte lodami przez większą część roku, lądowe — zawsze są otwarte, a nawet w zimie, ścinającej wody i pokrywającej wszystko grubemi warstwami śniegu, trwającej tam przez nasze trzy pory roku, dostępniejsze i wygodniejsze niż latem.

Tak więc krańce północno-wschodnie Azyi i z przyczyny dróg, prowadzących na nie, jako też i bezpośredniego sąsiedztwa z pasem północnym Azyi, dzielić muszą losy polityczne tego pasa i należeć do państwa, do którego należy Syberya. Odkrycie ich przez Rosyan i owładnięcie niemi było naturalnem następstwem odkrycia przez nich Syberyi i owładnięcia nią. I co większa, cała akcya dotycząca tych krańców była prowadzona i dokonana za pomocą tych samych sił i temiż sposoby, co i akcya dotycząca całej Syberyi.

Kozacy zdobyli Syberyę, posuwając się powoli i systematycznie na wschód, jakkolwiek po drodze spotykali wciąż

coraz to nowe przeszkody naturalne, z których każda położyć mogła tamę ich dalszemu posuwaniu się i stać się granicą wschodnią ich zdobyczy dotychczasowych, gdyby oni nie posiadali tej organizacyi społecznej, jaką posiadali, i gdyby nie nęciła ich przestrzeń, dająca swobodę dla tej ich organizacyi konieczną, oraz ułudne wieści o bogactwach nieznanych dotychczas krajów [1]). Temi przeszkodami były wielkie rzeki syberyjskie, płynące wszystkie, jak to wiemy, prawie równolegle ku sobie, a więc w jednym kierunku, z południa na północ, z gór oddzielających Syberyę od Azyi środkowej, do Ocenu, okrążającego jej brzegi północne.

Kozacy, posuwając się na wschód pasem środkowym Syberyi, w jednakiej prawie odległości od północnych tundr i gór południowych, zmuszeni byli przecinać każdą po kolei rzekę na swej drodze. Przecięcie rzeki prowadziło do zdobycia całej doliny. Zdobycie doliny było nieodzownym warunkiem dalszego posuwania się na wschód.

Dla zdobycia doliny wystarczało Kozakom założenie nad rzeką główną zameczku, nazywanego pospolicie »ostrogiem.« Z takiego ostrogu, na łodziach, budowanych na miejscu, z miejscowego, a zawsze pod ręką znajdującego się obfitego materyału drzewnego, robili oni w górę i dół rzeki, a następnie po jej dopływach, na wschód i zachód, ciągłe wycieczki i zakładali w punktach ważniejszych nowe ostrogi. Każdy nowy ostróg stawał się podstawą nowych operacyi wojennych, dostarczał w razie potrzeby schronienia walczącym, a z czasem rozrastał się w ognisko administracyi i handlu. Każda wycieczka była nowym podbojem nowego kawałka ziemi. Usadowiwszy się w taki sposób, rozgospodarowawszy się w dolinie jednej rzeki, przedostawali się Kozacy następnie konno przez wyniosłości, dzielące wodozbiory rzeczne, na dolinę rzeki drugiej z kolei i tak dalej.

Jakkolwiek posuwanie się Kozaków na wschód było powolne, powolność ta była wszelako raczej pozorną, niż rzeczywistą. W 1587 roku Kozak Jermak zakłada w dolinie pierwszej wielkiej rzeki syberyjskiej pierwszy ostróg — Tobolsk. W 1632 — Beketow zakłada ostróg Jakuck, już

---

[1]) Te bogactwa stanowiły: złoto, srebro, futra drogocenne i wykopywane kości zaginionego mamuta (Elephas primigenius).

nad brzegami trzeciej i ostatniej wielkiej rzeki, Leny. Tak więc na zdobycie całej właściwej Syberyi kozacy zużyli mniej niż pół wieku.

Od założenia nad Leną Jakucka rozpoczyna się odkrycie i zdobywanie północno-wschodniego krańca Azyi w trzech odrazu kierunkach.

Wodozbiór Leny dostarcza kozakom środków do przedarcia się do naturalnych granic północnego pasa Azyi od południa. Prawe dopływy Leny: Witim, Ołokma, Ałdan, wypływają z gór Jabłonowych. Prawy dopływ Ałdana, rzeka Maja, z gór Stanowych. Góry Jabłonowe oddzielają wodozbiór Leny od wodozbioru Amuru. Góry Stanowe idą równolegle od brzegów morza Ochockiego, w niedalekiej od nich odległości. 1639 roku przez te góry przedostaje się kozak Moskwityn z 30 ochotnikami na brzegi morza Ochockiego i zimuje obok tego miejsca, gdzie następnie stanął Ochock. W 1644 roku kozak Pojarków, a tuż za nim Chabarow stają już nad Amurem. Zbieg okoliczności nadaje temu wypadkowi pamiętne znaczenie. Mandżurowie zdobywali wtedy Chiny.

Mniejsza długość rzek na krańcach północno-wschodnich Azyi pozwalała kozakom z dwu stron dwiema drogami zdobywać doliny. Posuwając się wciąż na wschód, w wypróbowany sposób przedostawali się konno przez wyniosłości, dzielące jedną od drugiej. A nadto na łodziach spuszczali się w dół rzeki, ku północy, docierali do jej ujścia, okrążali brzeg oceanu Lodowatego, oddzielający ujście jednej rzeki od ujścia drugiej, wpływali w ujście owej drugiej rzeki i, płynąc pod wodę, w górę, znajdowali się w jej dolinie, niby spadając z północy. W taki sposób w 1638 r. zajęli kozacy dolinę rzeki Jany, w 1639 — dolinę rzeki Indygirki. W 1644 kozak Staduchin zakłada nad Kołymą, a więc u samych wrót półwyspu Czukockiego, ostróg Dolny-Kołymsk. W 1648 r. garstka śmiałków pod przewodnictwem Semena Dežniewa spuszcza się na 7 łodziach po Kołymie na ocean Lodowaty. Pływają po nim pędzeni przez wiatry przez miesięcy cztery (lipiec — październik). Pięć łodzi z załogami ginie na tych wodach. Dwie, z naczelnikiem wyprawy, wiatry przybijają do brzegów półwyspu Czukockiego, poniżej ujścia Anadyru. I oto prosty

przypadek rozwiązał wielkie zagadnienie geograficzne. Deżniew bowiem, płynąc od północy, okrążył cypel północnowschodni półwyspu, a więc pierwszy przepłynął przez cieśninę oddzielającą Azyę od Ameryki. Ale przypadki ludzi nie uczą. Ażeby korzystać z przypadków pomyślnych, należy być tak przygotowanym, aby i bez nich obyć się było można.

Odkrycie przypadkowe Deżniewa, o wiek przeszło wyprzedzające zbadanie naukowe brzegów wschodnich półwyspu, a o dwa — brzegów jego północnych, pozostało bezowocnem dla nauki i znikło bez śladu wśród innych tylu śmiałych wypraw. Przechowały je podania ustne i spóźnione sprawozdanie piśmienne, butwiejące w kancelaryi zarządu syberyjskiego. Obecnie, dla utrwalenia pamięci śmiałego awanturnika, wchodzi w zwyczaj przylądek Wschodni nazywać przylądkiem Deżniewa.

Zimę w roku 1648 na 1649 przeżył Deżniew nad brzegami oceanu Wschodniego. Był to fakt również zdumiewający, jak przedostanie się z oceanu Lodowatego na prostej łodzi na ocean Wschodni. Latem w 1649 wpłynął w ujście Anadyru i, płynąc wciąż w górę rzeki, o 480 wiorst od ujścia założył na jej brzegach ostróg Anadyrsk. W rok potem (1650) spotyka podążającego w dół rzeki Semena Motora, który na dolinę Anadyru przedostał się drogą lądową z doliny Kołymy.

Zdobycie tak znacznych przestrzeni a, co większa, dotarcie do dwu Oceanów w trzech różnych kierunkach, na razie zadowoliło śmiałych awanturników, i pochody ustały. Ale w miarę rozglądania się i zagospodarowywania się w nowych krajach, dochodziły coraz pewniejsze wieści o ziemiach jeszcze nieznanych, a leżących na południe od Anadyrska, a na wschód od Ochocka. Otóż w nowem pokoleniu obudziły się żądze zgasłego, i w niespełna pół wieku owa ziemia, Kamczatka, pokrywać się ostrogami poczęła. Pierwszy po wywiadowczej wyprawie wtargnął na nią kozak Atłasow, naczelnik Andyrska w 1697 r., przeszedł całą wzdłuż, zakładając ostrogi, i oparł się aż o brzegi Oceanu na południowym cyplu półwyspu, naprzeciw wysp Kurylskich. Z założonych przez niego i jego bliższych następców ostrogów, otrzymują ważniejsze znaczenie: Górny i Dolny Kam-

czack nad rzeką Kamczatką, w środkowej Kamczatce, i Wielki Rieck nad rzeką Wielką, już na południu półwyspu. W 1711 kozacy przedzierają się powtórnie na południowy cypel Kamczatki, a wiedząc o leżących nieopodal wyspach i nawet widząc pierwszą z nich, dostają się na nią, a z niej i na drugą. Były to Szumszu i Paramuszyr. We dwa lata później, 1713, Kozyrewski, z 55 towarzyszami, zwiedza je wszystkie, oblicza, że jest ich 14, i dociera do Jesso, wyspy północnej z archipelagu Japońskiego.

Dotychczasowe wyprawy na Kamczatkę z Jakucka, ogniska władzy, odbywały się lądem. Droga szła na Dolny Kołymsk i Anadyrsk, więc podnosiła się wysoko na północ i zwracała się na południo-wschód, zarysowując w taki sposób nad Kamczatką kąt rozwarty, ostrzem ku północy zwrócony. W 1716 r. na zachodnie brzegi Kamczatki zawinęła pierwsza łódź, wysłana z Ochocka.

Przezimowanie Deżniewa, po opłynięciu północno-wschodniego cyplu Azyi, nad brzegami oceanu Spokojnego i dotarcie kozaków do wysp Kurylskich zamykają okres pierwszy poznawania krańców północno-wschodnich Azyi, okres, który ze względu na samych działaczów nazwać należy awanturniczym, ze względu na skutki dla nauki osiągnięte — zaledwie wstępnym, wywiadowczym. Wieści o odkrytych krajach podbiegunowych w kierunku wschodnim, a więc Ameryki, położonych, przedostają się do Moskwy i Petersburga, a stamtąd na Zachód europejski. Podniesione od dwu wieków i nierozstrzygnięte zagadnienie o stosunku Azyi do Ameryki pod wpływem tych wieści odżyło i, jak wnosić było można, na właściwą weszło drogę. Odkryte kraje stają się *objectivum*, przedmiotem wypraw naukowych przez rozmaite rządy państw europejskich wysyłanych. W tych zaś wyprawach Kamczatka, wskutek swej centralnej na krańcach tych pozycyi, przylegając bowiem od północy do półwyspu Czukockiego, od południa, przez wyspy Kurylskie, łączy się ze średnim pasem Azyi, a od wschodu przez Aleuckie z Ameryką, wskutek nadto stosunkowo łagodniejszego klimatu, oraz obfitości materyału budulcowego, staje się ogniskiem i punktem wyjścia dla wypraw rosyjskich, punktem odpoczynku i schroniskiem dla wypraw innych narodów. Beryng na Kamczatce dwukrotnie przy-

gotowywa swoje wyprawy z 1728 i 1741 r., Cook zawija na Kamczatkę w 1778, Clerc — w 1779, La Pérouse — w 1789.

Gdy kartografowie na podstawie odkryć, sprawozdań i zdjęć, z natury dokonanych przez wymienionych sławnych żeglarzy, wykreślali brzegi oceanu Spokojnego i wytykali drogi, prowadzące z południa przez ten Ocean na krańce północno-wschodnie Azyi, zainteresowani nowemi krajami uczeni i publiczność otrzymywali stosowne o tych krajach oro- i hydrograficzne wiadomości, oraz opisy flory i fauny tych miejscowości. Współcześnie z drugą wyprawą morską Berynga była urządzona wyprawa naukowa lądowa na Syberyę i Kamczatkę. Składali ją uczeni rosyjscy i zagraniczni. Z liczby ich dwaj, Jerzy Wilhelm Steller i Stefan Kraszeninnikow, przez lat trzy (1738—1741) bawili na Kamczatce. Z ich wszechstronnego opisu tego półwyspu powstało obszerne dzieło rosyjskie, skracane i tłómaczone na inne języki. Przez czas bardzo długi stanowiło ono dla Europy podstawę i źródło wszystkich wiadomości o krańcu północno-wschodnim Azyi.

2.

Ze sprawozdań o szybkiem zdobyciu przez kozaków północno-wschodnich krańców Azyi wywnioskowaćby było można, że krańce te nie były wcale zaludnione. Wniosek ten jednakże byłby mylny, — zaludnienia dowodzi konieczność stawiania ostrogów i — ludność dzisiejsza. Kraj był zaludniony, ale ludność jego stała na takim stopniu kultury, że z nią kozacy liczyć się nie potrzebowali. Wszak kultura tylko, ucząc należycie wyzyskiwać ziemię, przywiązuje do niej i uczy jej bronić w razie potrzeby.

Kozacy w swych wyprawach szli jeden na tysiąc. Jak poprzednio Hiszpanom w Ameryce, a obecnie wszelkim białym w Afryce, tak też i kozakom zdobywającym Syberyę, pozorów nieprzezwyciężonej siły i uroku nadprzyrodzonego w oczach tubylców nadawała broń palna i, po części, koń. Również jak w Ameryce i Afryce, ludność na krańcach Azyi była nieliczna i nie połączona z sobą żadną organizacyą administracyjną lub polityczną. A nadto, w Azyi była ona obcą sobie pochodzeniem rasowem i mową i składała się z odrębnych ludów. Ludy te z zawiści ku sobie

i nieprzyjaźni łączyły się nawet ze zdobywcami, występując jedne przeciw drugim i tępiąc się wzajemnie, tamtym ułatwiały ich zadanie.

Stan kultury nie pozwolił ludom tym pozostawić po sobie żadnych śladów swojego istnienia w pomnikach historycznych, a nawet mowy swej nie zdołały one utrwalić w znakach piśmiennych. Dla poznania tych ludów przeto, każda o nich u obcych wzmianka, każdy ich opis, chociażby niezdarny i niezupełny, nabiera znaczenia niczem niedającego się zastąpić dokumentu dziejowego.

Zdobywca Kamczatki, Atłasow, który do niej z Jakucka przedzierał się przez doliny rzek Jany, Indygirki, Kołymy, i Anadyru, na co stracił rok czasu, ale wskutek czego mógł poznać mieszkańców tych dolin i dzielących je wzgórzy, w 1700 roku jako sprawozdawca swych czynności był już w Moskwie. Opowiadanie jego dostało się do kroniki Jesipowa i, w niej przechowane, stanowi pierwszy co do czasu dokument o ludach, zamieszkujących północno-wschodnie krańce Azyi. Oto co w nim dotyczącego tych ludów znajdujemy:

»Między rzekami Kołymą a Anadyrem nieodzowna przestrzeń lądowa w kształcie półwyspu wchodzi w morze. Z lewej strony tego półwyspu (to jest północnej) na morzu latem stoją wiosenne lody, a zimą to morze jest zamarzłe. Po drugiej zaś stronie (prawej, a więc południowej) na wiosnę bywają lody, ale latem nie bywają, Na tym półwyspie Atłasow nie był. Tamtejsi innoziemcy (tak kronika mianuje tubylców odkrywanych krajów), Czukczowie, którzy przebywają na tym półwyspie i przy ujściu Anadyru, opowiadają, że naprzeciw tego półwyspu leży wyspa, i że z tej wyspy zimą, skoro tylko morze zamarznie, przychodzą ludzie, mówiący swoim (odrębnym) językiem, i przynoszą sobole ale nędzne...

»Dążąc na Kamczatkę i powracając z Kamczatki, żywili się oni (Atłasow i jego towarzysze) mięsem renów i rybami, otrzymywanemi od mieszkańców lub łowionemi przez siebie sieciami... Podróżowali po dolinie rzeki Kamczatki latem i zimą na renach, zimą zaprzężonych do nart (sani), latem wierzchem... Owoce na Kamczatce rosną następne: borówka czyli brusznica, czeremcha, wiciokrzew. Tamże znajduje się roślina, którą mieszkańcy zwą abagatka. Suszą ją oni

na słońcu i karmią się nią; jak ją zetrą, tworzy się z niej biały proszek, niby mąka, słodki jak cukier...

»Od strony Penżyny (rzeka płynąca z północy ku południowi, wpada do morza Ochockiego, a więc na zachód od Kamczatki) mieszkają Koryacy. Ci mają gęste brody, zarost rudy, wzrostu są średniego, mówią swoim językiem, żadnej religii nie znają, ale wpośród siebie mają szamanów, którzy o czem zażądają oni, im wróżą: biją w bębny i wrzeszczą. Odzież i obuwie wyrabiają sobie ze skóry renów, przy obuwiu podeszwy z nerp (cieląt morskich). Żywią się rybą, rozmaitemi zwierzętami i cielętami morskiemi. Namioty stawiają ze skóry renów.

»A z temi Koryakami mieszkają inni innoziemcy, mową i wszystkiem podobni do nich, a nazywają się oni Lutorcy. Ich mieszkania ziemne są podobne do ostyackich. A z temi Lutorcami mieszkają Kamczadałowie, wzrostem niewysocy, z brodami średniej długości, z twarzy podobni do Zyryanów. Ubranie noszą sobole, lisie, renowe, a podbijają je sobolami. Mieszkania ich zimowe są ziemne, letnie zaś — drewniane, na palach, wzniesionych nad powierzchnią ziemi na trzy arszyny, zbudowane z desek, pokryte korzeniami jodłowemi; wchodzą do nich po wschodach; takie mieszkania stawiają w blizkiem z sobą sąsiedztwie; w jednem miejscu będzie ich po trzysta i czterysta. Kamczadałowie żywią się rybami surowemi i zwierzyną; zapasy ryb przechowują na zimę w sposób taki: świeże ryby składają do dołów i zasypują ziemią; te ryby gniją. Zimą, wyjąwszy ryby, wkładają do naczyń, nalewają naczynia wodą, następnie w nie rzucają rozpalone kamienie, wodę rozgrzewają, ryby w wodzie rozcierają i tak spożywają. Ryba ta wydaje tak wielki smród, że Rosyanin znosić go nie może. Naczynia gliniane, garnki i dzbany, oraz statki drewniane na wodę sami wyrabiają. Posiadają i inne jeszcze naczynia z wysp (Kurylskich) przywożone. Religii żadnej nie znają. Szamani kamczadalscy różnią się od innych Kamczadałów tem, że noszą długie włosy.

»Po górach na Kamczatce mieszkają Koryacy renowi, z którymi Kamczadałowie mówią językiem koryackim. Wzmiankowani innoziemcy nie znają nad sobą władzy żadnego państwa wielkiego i jassaku (podatku w naturze)

nie płacą. Życie pędzą według swej woli. Z pośród siebie tego tylko poważają, kto jest bogaty. Wyprawy wojenne urządzają na siebie rodami. Bitwy często się wydarzają.

»Latem wszyscy ci innoziemcy chodzą nago. W boju mężni, a do boju — skorzy. Żon mają po jednej, po dwie i po trzy, stosownie do sił swoich każdy i do zamożności.



58. Kamczadał.

Żeniąc się, nie baczą na pokrewieństwo. Bydła nie posiadają żadnego, tylko psy. Sobole i lisy łowią sieciami przy rzekach, gdzie jest ryb dużo, a po drzewach strzelają z łuków drewnianych, a broni palnej nie znają i bardzo się wskutek tego boją Rosyan, nazywając ich ludźmi ogniowymi. Walczą z nimi dopóty, aż padnie jeden Kamczadał

trupem od kuli; wówczas, przerażeni, w popłochu ogólnym pierzchają.

»Zimą na wyprawy wojenne udają się Kamczadałowie na łyżwach, Koryacy renowi na nartach. Jedni wiozą, drudzy strzelają. Latem do boju występują piesi i nadzy.



59. Kamczadałka.

»Tatarzy dostarczają im nożów, siekier, nożyczek, krzesiw, igieł, naparstków, ozdób różnych, materyi jedwabnych; od nich zaś nabywają sobole, lisy, bobry, wiewiórki, gronostaje i inne przytem drobiazgi — za tanie pieniądze.

«Atłasow w celu poznania innoziemców posyłał w dół rzeki Kamczatki aż do morza jednego kozaka. Kozak ten dotarł rzeką aż do morza i opowiada, że od rzeki Jełowki

(lewy dopływ Kamczatki, płynie od północy prawie pionowo) naliczył ostrogów kamczadalskich 160. W niektórych ostrogach w jednej, w niektórych zaś w dwu jurtach mieszkali Kamczadałowie po dwustu i więcej. Letnie jurty na palach okrążają ostrogi, każdy ma swoją.

»Przed przybyciem Rosyan Kamczadałowie ostrogów wcale nie znali. Zaczęli je budować w liczbie znacznej dopiero przy Rosyanach. Z tych ostrogów oni walczą, rzucają drobniejsze kamienie procami, a większe bryły spuszczają prosto rękami; nadto używają zaostrzonych drągów i kijów. Do tych zaś ostrogów przystępują Rosyanie przykryci tarczami, zapalają je i stają naprzeciw wrót, którędy ludziom wyjść należy, i w tych wrotach wielu zabijają. Ziemne ostrogi zdobywają Rosyanie, rozkopując je, a znajdującym się w nich wyjść na wierzch nie dozwalają.

»Naprzeciw pierwszej rzeki Kurylskiej, na morzu, widział Atłasow niby wyspy, jak mu się wydawało. Innoziemcy mówili, że rzeczywiście tam się znajdują wyspy, a na tych wyspach wznoszą się miasta murowane, a w nich ludzie, wspaniali, ale do jakiego należący państwa i jacy, oni tego powiedzieć nie umieją (są to wyspy Kurylskie i Japońskie, jak wiemy obecnie). Z tych wysp pochodzą drogie naczynia i ubranie z pasiastych i pstrych kitajek. I również ci Kurylowie, mieszkańcy Łopatki (południowego krańca Kamczatki), opowiadali, że do brzegów Kamczatki rok rocznie przybywają łodzie, ale co one przywożą, nie wiedzą.

»Penżyńscy innoziemcy (Koryacy) w miejscu łodzi mają bajdary, zszyte ze skóry nerp (cieląt morskich), długie na pięć i sześć sążni, szerokie na półtora... W tych bajdarach pływa po 30 do 40 ludzi. Kamczadałowie mają łodzie niewielkie, do 20 ludzi tylko mieszczące. Innych statków Rosyanie nie spotykali.

»W ziemiach Kamczackiej i Kurylskiej (na południu półwyspu) rolnictwo jest możebne, ponieważ klimat ciepły, a gleba czarna i miękka. Ale mieszkańcy tych ziem orać ziemi, ani jej obsiewać nie umieją« [1]).

---

[1]) Urywek ten kroniki pomieszczono w pracy A. Sgibniewa: *Istoriczeskij oczerk gławniejszych sobytij w Kamczatkie* (Mors. Zbor., 1869, Nr. 4 pag. 71—76).

Ten pierwszy dokument wprowadza nas odrazu *in medias res.* Z niego widzimy, że mieszkańcy odkrywanych krańców północno-wschodnich Azyi nie przewyższali owocześnie kulturą mieszkańców odkrytych następnie wysp Oceanijskich. Nadto poznajemy z niego nazwy ważniejszych, jak sądzić możemy, grup etnograficznych. Będą to: Czukczowie, Koryacy, Lutorcy, Kamczadałowie, Koryacy renowi, Kurylowie. Ale tylko nazwy. Brak bowiem charakterystyki tych grup i odgraniczenia siedlisk jednej grupy od drugiej

Drugim z kolei dokumentem jest *Podróż po Syberyi* wzmiankowanego poprzednio Kraszeninnikowa. Jako członek wyprawy naukowej, odpowiednio do celu przygotowany, zbierał on wszelkie wiadomości o Kamczatce i jej mieszkańcach i oto jaką daje ich charakterystykę ogólną i podział [1]).

»Mieszkańcy Kamczatki są również dzicy, jak ich kraj. Jedni z nich, jak (w Syberyi) Lapończycy, nie mają nawet siedlisk stałych, lecz wędrują z jednego miejsca na drugie, pędząc z sobą stada renów. Drudzy mają mieszkania stałe nad brzegami rzek, wpadających do morza Wschodniego i do morza Penżyńskiego (Ochockiego). Ryby lub zwierzęta morskie, które łowią w tych morzach, stanowią ich pokarm. Niektórzy nakoniec zamieszkują wyspy położone w okolicy przylądka południowego, Łopatki. I oni też żywią się zwierzętami morskiemi, rybami, rozmaitemi rzeczami, które morze wyrzuca na ich brzegi, albo roślinami, rosnącemi na wybrzeżach, jak np. kapusta, rzepa morska i t. d. Jedni mieszkają w jurtach czyli namiotach ze skór renów, inni — w wykopanych w ziemi dołach. Wszyscy ci dzicy są wogóle bardzo grubi w obyczajach, umysł ich pozostaje w zupełnej niewiadomości wszystkiego, nie znają wcale pisma, są bałwochwalcy, nie mają żadnego pojęcia o bóstwie.

»Dzielą mieszkańców tego kraju na trzy ludy: Kamczadałów, Koryaków i Kurylów.

»Kamczadałowie zamieszkują część południową półwyspu, od ujścia rzeki Uki do przylądka Łopatka. Mieszkają też na pierwszej z wysp Kurylskich, Szumszu.

---

[1]) Nie znalazłszy dzieła Kraszeninnikowa w oryginale, korzystam z przekładu francuskiego, p. t.: *Voyage en Sibérie, contenant la description du Kamtchatka, tome second.* Paris, 1768.

»Koryacy zamieszkują nadto część północną półwyspu; wybrzeże morza Penżyńskiego, aż do rzeki Nukczan (poza tą rzeką mieszkają już, według autora, Tunguzi, inaczej Lamuci), oraz wybrzeże oceanu Wschodniego, aż prawie do rzeki Anadyru.

»Kurylowie zajmują drugą wyspę, noszącą ich nazwę (drugą z Kurylskich), i dalsze, aż do tych wysp, które należą już do Japonii.

»W taki więc sposób Kamczadałowie od południa mają za sąsiadów Kurylów, od północy — Koryaków. Koryacy zaś sąsiadują z Czukczami (od północy), Jukagirami i Lamutami (od zachodu).

»Można podzielić Kamczadałów według ich mowy na dwa ludy: północny i południowy. Północny mieszka wzdłuż rzeki Kamczatki, od jej źródeł do ujścia i wzdłuż brzegów oceanu Wschodniego, od ujścia rzeki Uki, ku południowi, aż do ujścia rzeki Nalaczewa. Lud ten należy poczytywać za główny, ponieważ jest on mniej gruby w swych obyczajach, bardziej ogładzony, a przytem na całej przestrzeni, zajmowanej przez siebie, używa jednego języka, wówczas gdy ludy inne mówią tylu językami, ile właściwie znajduje się osad różnych.

»Lud południowy mieszka nad brzegiem morza Wschodniego, począwszy od rzeki Naleczewa do przylądka Łopatka; dalej nad brzegami morza Penżyńskiego (Ochockiego) począwszy od tego przylądka, idąc ku północy, aż do rzeki Chariuzowa.

»Dzielą również i Koryaków na dwa ludy: jeden nazwany Koryacy renowi, drugi — Koryacy osiedli. Pierwsi są wędrowni, przechodzą z miejsca na miejsce ze swojemi stadami; drudzy mają stały swój pobyt wzdłuż rzek, jak Kamczadałowie. Język koryacki i kamczadalski są tak różne, że ludy, mówiące niemi, nie mogą się z sobą porozumiewać. Nawet Koryacy renowi doświadczają pewnych trudności przy porozumiewaniu się z Koryakami osiadłymi, a zwłaszcza tymi, którzy sąsiadują z Kamczadałami, ponieważ ci od Kamczadałów pożyczyli pewnej liczby słów.

»Kurylowie dzielą się także na dwa ludy, bliższy i dalszy. Pod Kurylami dalszymi rozumieją tych, którzy zamieszkują drugą z wysp położonych na południu Kam-

czatki, a pod Kurylami bliższymi, tych, którzy zamieszkują pierwszą z tych wysp i krańce przylądka Łopatka. Ale podział ten nie jest słuszny całkowicie. Chociaż bowiem ci bliżsi różnią się nieco od Kamczadałów językiem, zwyczajami i nawet postacią zewnętrzną, tem niemniej wszelako rzeczą jest pewną, że pochodzą od Kamczadałów, których ja nazywam południowymi, i że różnica, zachodząca pomiędzy temi dwoma ludami wypływa tylko z tego, że Kurylowie sąsiadują, handlują i wchodzą w rozmaite stosunki z Kurylami właściwymi (dalszymi).

»Kamczadałowie, bądź północni, bądź to południowi, nazywają siebie samych ltelmen (mieszkaniec), dla rodzaju żeńskiego Itelma. Koryacy renowi nazywają siebie Tumugutu. Koryacy osiedli nazywają siebie Czauczu. Kurylowie zaś siebie Uiwut Eeke. Należy zwrócić na to uwagę, że my nie nazywamy żadnego ludu własną w jego języku nazwą, lecz najczęściej nazwą, nadawaną temu ludowi przez sąsiadów, którzy wcześniej byli podbici. W taki sposób nazywamy Kamczadałów nazwą nadawaną im przez Koryaków, ponieważ wyraz Kamczadał pochodzi od koryackiego wyrazu Konczala, oznaczającego Kamczadała. Wyraz Koryak pochodzi od nazwy rena, w języku koryackim brzmiącej: kora... Czukczowie, lud dziki i wojowniczy, zamieszkujący krańce północno-wschodnie Azyi, są nazwani nazwą, którą nadają sobie wszyscy Koryaci osiedli, tylko zepsutą przez wymawianie.«

W czasach, gdy główną podstawą dopatrywanych różnic pomiędzy ludami była mowa, Kraszeninnikow następną wiadomość podaje o językach kamczackich.

»Mieszkańcy Kamczatki posiadają trzy główne języki: kamczacki, koryacki i kurylski. Ale przytem każdy język rozpada się specyalnie w swoim obrębie na języki drugorzędne, czy też narzecza. I tak, język kamczacki posiada trzy główne narzecza: pierwsze jest w używaniu przez Kamczadałów północnych; drugie — wśród południowych. Te dwa narzecza, północne i południowe, są tak różne od siebie, że można je przyjąć za języki osobne. Ale chociaż te języki nie mają z sobą żadnego podobieństwa, Kamczadałowie północni i południowi porozumiewają się z sobą bez tłómaczów. Trzecim językiem kamczackim jest ten,

którym mówią mieszkańcy brzegów morza Penżyńskiego (Ochockiego), od rzeki Worowskaja do rzeki Tigil. Koryacy renowi mają swój język odrębny, również jak i Koryacy osiedli.« O narzeczach języka Kurylów Kraszeninnikow nic nie wspomina, tylko twierdzi, że »Kurylowie mówią powoli, w sposób odmienny, płynnie i przyjemnie. Wyrazy w ich języku są dźwięczne, niema w nich zbiegu samogłosek lub współgłosek.«

Jako uzupełnienie swych twierdzeń o językach kamczackich wogóle, Kraszeninnikow w swem dziele podaje słowniczki, o stu kilkudziesięciu wyrazach każdy, trzech języków kamczackich, czterech języków koryackich (Koryaków renowych z północy, Koryaków z nad brzegów rzeki Awaczy, z nad brzegów rzeki Uki i zamieszkałych na wyspie Karadze) i słowniczek kurylski.

Porównywając dane, dostarczone przez pierwszy dokument, z danemi dostarczonemi przez drugi, widzimy, że drugi, zgadzając się z pierwszym co do ogólnej charakterystyki ludów zamieszkujących Kamczatkę, uzupełnia ich listę. Kraszeninnikow do wyliczonych przez Atłasowa Czukczów, Koryaków dwojakich, Kamczadałów i Kurylów, dodaje Jukagirów i Lamutów; pozwala zaś z tej listy wykreślić Lutorców, jako lud odrębny, ponieważ, jak się okazuje, byli to Koryacy zamieszkali nad rzeką Olutorą.

Dalej, wśród ludów objętych jedną nazwą, jak oto: Koryaków, Kamczadałów, Kurylów, Kraszeninnikow wyróżnia odrębności, pozwalające te ludy poddawać szczegółowszemu podziałowi. Dzieli więc Koryaków według sposobu życia na dwa, według zaś mowy na cztery ludy; Kamczadałów — na dwa według strefy zamieszkania, na trzy — według mowy; Kurylów również według strefy zamieszkania na dwa, bliższy i dalszy.

Kozacy, zająwszy Kamczatkę, głównie się osiedlać poczęli w południowej części półwyspu, zaludnionej przez Kamczadałów. Prawdopodobnie na ten ich wybór wpłynęły zarówno spokojniejszy i bierniejszy, niż Koryaków, charakter mieszkańców, jak i łagodniejszy niż w północnej części klimat. Ostrogi, jak oto: Bolszyrieck, Wierchnij i Niznij Kamczack, stały się osadami wyłącznie kozackiemi; port Petropławowsk otwierał drogę morską na świat cały.

Według urzędowych danych, dla których za podstawę służyły listy płacących jasak (podatek), ludność na Kamczatce w roku 1711 dochodziła do 10,000 [1]). Czy to byli policzeni tylko mężczyźni płacący jasak, czy też i kobiety złożyły się na tę cyfrę — niewiadomo. W każdym razie ta cyfra znacznie niższą być tylko mogła od rzeczywistej. Nikt bowiem przy możności schronienia się łatwego w górach i ucieczki w niezbadane i nieograniczone przestrzenie, nie pożądał wpaść dobrowolnie w listy jasaczne.

Wkrótce atoli rozmaite przyczyny wpływać zaczęły na szybkie zmniejszanie się ludności. Pomijam skutki często się powtarzających w pierwszej połowie XVIII stulecia powstań. Pomijam uciążliwą powinność przewożenia urzędników i wypraw naukowych. Przewożenia te, oprócz wycieńczenia i fatygi dokonywających je, odrywały część ludności od zajęć, zabezpieczających pożywienie przez rok cały, i spowodowywały głód, z którego ginęły całe osady. Z przybyciem kozaków zaszczepił się syfilis w ludności kamczackiej i poczęły ją nawiedzać epidemie ospy. Panująca w r. 1768 i 69 zabrała do 6,000 mieszkańców. Kamczadałów pozostało przy życiu zaledwo półtora tysiąca [2]).

Kamczatka w drugiej połowie XVIII stulecia stała się miejscem wygnania dla więźniów wojennych i politycznych [3]). Ta okoliczność spowodowała głośną ucieczkę M. Beniowskiego w r. 1771 z 52 towarzyszami niedoli.

3.

Powstałe z odkryciem Ameryki zagadnienie o stosunku geograficznym tej części świata z Azyą, przekazane XVIII stuleciu przez dwa poprzednie, doczekało się w owem stuleciu rozstrzygnięcia stanowczego. Rozstrzygnięcie zaś zagadnienia samego pociągnęło za sobą zbadanie i opisanie jednego z dwu półwyspów, stanowiących północno-wschodnie krańce Azyi — Kamczackiego.

---

[1]) A. Sgibniew. Op. cit. Nr. 4, p. 81.

[2]) A. Sgibniew. Op. cit. Nr. 6, p. 50.

[3]) Zainteresowani dziejami Kamczatki znajdą do nich wskazówki w pracach: *Pamiątki historyczne na Kamczatce* i *Awanturnik z XVIII w.* — wchodzących do tego zbioru.

Zbadanie i opisanie drugiego, Czukockiego, było związane z drugiem zagadnieniem geograficznem, które wypływa z pierwszego.

Gdy ustaliły się pojęcia Europejczyków co do kształtu ziemi, łatwo było wpaść na myśl, że, jeżeli płynąc przez Atlantyk, po okrążeniu Afryki, w kierunku wschodnim dosięgamy Azyi południowej i krańców jej południowowschodnich, to naturalnie, płynąc po Oceanie Lodowatym również na wschód, dosięgniemy Azyi północnej i jej krańców północno-wschodnich, a północno-zachodnich Ameryki. Droga do Azyi i Ameryki przez Ocean Lodowaty, oblewający północne brzegi Europy, Azyi i Ameryki, zwana przejściem północno-wschodniem, z powodu przeszkód w postaci lodów, na owym Oceanie przez większą część roku gromadzących się, i wielu wysp przy brzegach Europy i Azyi, mało jeszcze zbadanych, znana jest ze swej trudności.

Kwestya przejścia tego była podjęta jeszcze w wieku XVII; ale wskutek niepomyślnej wyprawy angielskiej pod dowództwem J. Wooda w roku 1676, w tymże wieku została zaniechaną; w XVIII zaś z natury rzeczy ustąpić musiała zagadnieniu, rozstrzygniętemu przez Berynga, Cooka i innych. Wyniki atoli tego rozstrzygnięcia obudziły ją nanowo w wieku XIX.

Przygotować i ułatwić przejście z Europy do Azyi północno-wschodniej powinny były prace wstępne, polegające: na zbadaniu brzegów Oceanu Lodowatego wogóle, a zwłaszcza przy krańcowym półwyspie Czukockim, jako w miejscu najbardziej oddalonem od Europy, to jest od punktu wyjścia drogi; na odkryciu wysp, które wedle podań okrążały te brzegi i nawet z niektórych dogodniejszych punktów dostrzedz się dawały; nakoniec, na dokładnem poznaniu samego półwyspu, który stawał się jakoby celem owego przejścia. Nastąpił więc szereg wypraw przygotowawczych.

Dwie z nich, najważniejsze, podjęło państwo, którego północne krańce oblewa właśnie ów Ocean Lodowaty, i które wskutek tego najbardziej było zainteresowane odkryciem tego przejścia.

Jak dla badania częściowego brzegów wschodnich Azyi północnej punktem wyjścia wypraw stały się osady i porty

kamczackie, tak też dla badania częściowego wybrzeży północnych krańca wschodniego Azyi stać się mogły tylko osady i porty, jeżeliby one istniały, w odpowiedniej do badanych przestrzeni ilości, na półwyspie Czukockim. W obu wymienionych wyprawach rosyjskich, F. Wrangla, 1820 — 1823, i Maydela, 1868 — 1870 za punkt wyjścia morskich i lądowych wycieczek służył Dolny-Kołymsk, nie o wiele niżej ku północy leżący, niż Tromsoe i Hammerfest w Norwegii.

Przed trzydziestu kilku laty półwysep Czukocki miał odegrać ważną rolę w przedsięwzięciu wszechświatowego znaczenia. Gdy próba pierwszego połączenia Ameryki z Europą za pomocą drutu telegraficznego, zarzuconego w głąb Atlantyku, nie udała się, powstała w r. 1864 w New-Yorku »Western Union Extension Company« z kapitałem wynoszącym 10·000,000 dol. w celu przeprowadzenia linii telegraficznej lądowej z Ameryki do Europy przez Azyę. Według projektu przyjętego, linia ta w głębi morskiej byłaby tylko zanurzona na przestrzeni cieśniny Beryngа. Z brzegów tej cieśniny szłaby przez cały półwysep Czukocki na dolinę rzeki Amuru. Dwa oddziały inżynierów Amerykańckich wylądowały w roku 1865 na brzegach dwu półwyspów krańcowych północno wschodniej Azyi. Jeden, do którego należał znany podróżnik i publicysta Jerzy Kennan, z Petropawłowska, drugi od ujścia Anadyru, podążały w głąb kraju, by zbadać miejscowość i wytknąć linię dla słupów telegraficznych. Podążający łodzią po Anadyrze od jego ujścia byli we wrześniu już zaskoczeni przez zimę. Ponieważ nie posiadali innych środków podróżowania oprócz łodzi, musieliby, jak przed dwustu kilkunastu laty wyrzucony na te same lodowe pustkowia Dežniew, zarzuceni śniegiem przezimować na nich, gdyby nie Kennan. W grudniu, zaniepokojony brakiem wiadomości o drugim oddziale, przedziera się on na saniach, przez psy ciągniętych, przez wzgórza śniegowe z Giżygi, więc od brzegów morza Ochockiego, do Anadyrska, ostatniej w kierunku Oceanu Wschodniego, a o kilkaset wiorst od niego oddaoddalonej osady ludzkiej. W tej osadzie dochodzą go wieści głuche, że jacyś ludzie płynęli po Anadyrze i zimują prawdopodobnie na jego brzegach. Domyślając się, że to być mogą jego ziomkowie, wyrusza w ten sam sposób w sty-

czniu z Anadyrska w dół rzeki Anadyru na poszukiwanie tych ludzi i dwunastego dnia podróży wygrzebuje ich z pod śniegu.

Gdy linia pomiędzy cieśniną Berynga a doliną Amuru została wytkniętą, 15,000 słupów telegraficznych do ustawienia na niej przygotowanych, kilkadziesiąt stacyi i składów zbudowanych, setki robotników z nad Leny, a kilku-



60. Czukcza (mężczyzna).

dziesięciu z Ameryki zajętych pracą, parostatek na Anadyrze, drugi na Penżynie, psy, reny i konie w dostatecznej ilości zakupione — pomyślne zapuszczenie w Atlantyk drutu telegraficznego w r. 1867 wstrzymało wszelkie roboty na półwyspie Czukockim. I chociaż ruch wszczęty przez kilku ludzi, objąwszy ich nakoniec kilka setek, w stosunku do przestrzeni był mało znaczącym, w przyszłości może się okaże zapowiedzią nowych i dla tego krańca Azyi czasów.

Z roku 1878 na 1879 na północnem wybrzeżu półwyspu Czukockiego, o trzy stopnie geograficzne wyżej ku północy od tego miejsca, gdzie owych Amerykanów zaskoczyła zima, a o 180 kilom. na wschód od cieśniny Berynga, od 28 września do 18 lipca, 294 dni przepędził ze swą drużyną również przez zimę, jak Amerykanie, i również na



61. Czukcza (kobieta).

wodzie, tylko już Oceanu, zaskoczony podążający z Zachodu na Wschód Vasco de Gama północny — Nordenskiöld.

Wyruszył on był z Tromsoe na okręcie »Vega« 25 lipca, 6 sierpnia dotarł do ujścia Jeniseju, 19 — okrążył przylądek Czeluskina, co w tej wyprawie miało znaczenie okrążenia przez południowego Vasco de Gama przylądka Dobrej Nadziei, 27 — dosięgnął ujścia Leny, we wrześniu, 28, ze wszech stron otoczony lodami tamującemi dalszą drogę, w odległości dwu i pół kilometrów od wybrzeża, na którem

obok siebie mieściły się w sąsiedztwie trzy osady czukockie: Eutlin, Pitlekaj, Irguneuk, zmuszony był oczekiwać lata przyszłego. Skoro nadeszło, lody w przeciągu jednego poranka lipcowego (18 lipca) pękły, ruszyły, rozbiegły się, a o godzinie 4 popołudniu »Vega« spokojnie popłynęła w obranym od brzegów Norwegii kierunku. Następnie w dniu trzecim po swojem wyzwoleniu (20 lipca) okrążyła przylądek Wschodni (Deżniewa), wpłynęła na cieśninę Berynga i skierowała się ku południowi.

Kwestya przejścia połnocno-wschodniego rozstrzygniętą została.

Lata podróży Vegi stanowią epokę w dziejach geografii krain podbiegunowych.

Wyprawy naukowe, których celem, wypadki, których teatrem w XIX stuleciu stał się półwysep Czukocki, wskutek swego wszechświatowego znaczenia budziły ogólne zainteresowanie się samym półwyspem na obu półkulach ziemi. Z kolei to zainteresowanie się z wód i lądów przeszło i na ludzi, na nim zamieszkałych. I chociaż znaczenie tych wypraw i wypadków dla etnologii nigdy nie wyrówna znaczeniu ich dla geografii, w każdym razie jednakże one dopiero dostarczyły materyału umożebniającego naukowe traktowanie przedmiotu [1]).

Już Atłasow w opowiadaniu swojem wzmiankuje o Czukczach, jako mieszkańcach »półwyspu, wchodzącego pomiędzy Kołymą a Anadyrem w morze,« i dodaje, że mieszkają oni i przy ujściu Anadyru. Kraszeninnikow podaje o Czukczach, że są bitni i srodzy, że są lepsi rybołówce niż ich sąsiedzi, posiadają wielkie stada renów i noszą koszule z wnętrzności wielorybich. Ponieważ przez ich

---

[1]) Oprócz dzieł G. Kennana: *Tent-life in Siberia* i Nordenskiölda: *Vegas fard kring Asien oh Europa,* przetłómaczonych na wszystkie języki, do poznania półwyspu Czukockiego i lądów na nim mogą służyć jeszcze:

Nordqvist: *Zamietki o nynieszniem położenii Czukczow* (Izwiest. imp. rus. geogr. obszcz. 1880, XVI).

Stein: *Die Tschuktschen* (Petterm. geogr. Mitheil. 1881).

Deniker: *Le peuple tchouktche d'après les dermiers renseignements* (Revue d'Anthropologie, 1882).

Ogólnych wskazówek co do wypraw podbiegunowych dostarcza dzieło Fr. Hellwalda: *Im ewigen Eise.*

ziemie prowadziła droga z Jakucka na Kamczatkę, na Dolno-Kołymsk i Anadyrsk, rządcy Kamczatki wspominają o częstych na nich wyprawach wojennych.

Z wypraw tych pozostały najbardziej w pamięci dwie, obie Pawłuckiego. Pierwsza trwała półtora roku, od wiosny 1731 – do jesieni 1732 r. Brało w niej udział 215 kozaków, 160 Koryaków, 60 Jukagirów. Pawłucki z tym oddziałem dotarł do oceanu Lodowatego i brzegiem jego w kierunku wschodnim przeszedł paręset wiorst. Rezultatem tej wyprawy było zabicie do 1.000, a wzięcie do niewoli kilkuset Czukczów i zabranie 40.000 przeszło renów.

Cios ten, zadany ilości i bogactwu Czukczów, wszelako ich samych nie uśmierzył. W czasie drugiej wyprawy, 1745 — 1747, Pawłucki również dotarł do Oceanu i zdobył 20.000 renów. W powrocie zdobycz tą uprowadzili mu Koryacy. Od Koryaków wydarli ją Czukczowie. Gdy Pawłucki, chcąc powetować straty, puścił się za nimi w pogoń, otoczony przez przeważającą ich liczbę padł w bitwie.

I ta wyprawa nie uśmierzyła Czukczów. Rozsiani na wielkich przestrzeniach, w nich szukali, rozpierzchając się, obrony, z nich korzystali, okrążając z daleka wielkiem kołem kozaków. Przytem wschód i północ zawsze były dla nich otwarte. W takim stanie rzeczy jedyny na półwyspie ostróg, w celu ich uśmierzenia założony, Anadyrsk, okazał się mało pożyteczny. Jakoż, po uregulowaniu bliższej z Kamczatką komunikacyi lądowej w r. 1765, został przez załogę wojskową opuszczony i stał się najwyżej ku północy i wschodowi na tych krańcach posuniętą osadą handlową. Rozebranie ostroga, wykazując spokojniejsze kozaków względem Czukczów zamiary, wpłynęło na przyjaźniejsze z obu stron stosunki. Zbliżenie się jednakże nie nastąpiło. Wiadomości o Czukczach zbierane i podawane nie przekraczały, aż do czasu opisanych wypraw naukowych z drugiej połowy XIX stulecia, w szczegółach tego, co o nich Atłasow i Kraszeninnikow podali w XVIII wieku.

Z materyałów zaś, przez te wyprawy dostarczonych, dają się wyprowadzić następne twierdzenia.

Lud, znany dotychczas pod ogólną nazwą Czukczów, składa się z dwu od siebie zupełnie różnych ludów: Czukczów, dla których oznaczania należy przybrać przymiotnik:

właściwi; drugiego, dla którego nazwa jeszcze się całkowicie nie utrwaliła. Jest ich bowiem kilka różnych: Iuci, Namolle, Szukluki, Onkiloni, Anguali, Ajgwany, Eskimowie azyatyccy.

Czukczowie właściwi są zupełnie z powierzchowności podobni do Koryaków. Oko nawet wprawne dostrzega zaledwo pewne drugorzędne różnice. Przytem według sposobu życia dzielą się jak i Koryacy, na Czukczów osiadłych i Czukczów renowych. Różność zajęcia nie zmienia wcale typu fizycznego obu tych działów.

Czukczowie osiedli zamieszkują głównie brzegi oceanu Lodowatego, począwszy od ujścia Kołymy, ku wschodowi, aż do przylądka Wschodniego. Na brzegu wschodnim cypla północno-wschodniego półwyspu spotykają się już z Eskimami azyatyckimi (tę bowiem nazwę wybieram z kilku przytoczonych, dla oznaczenia tego ludu). Zajmują się głównie rybołówstwem, dostarczającym im przeważnie pożywienia.

Czukczowie renowi wędrują zimą i latem pomiędzy brzegami oceanów Lodowatego i Wchodniego a doliną rzeki Anadyru. Zajmują się hodowlą renów, których stada w posiadaniu jednej rodziny dochodzą do kilkunastu tysięcy. Reny dostarczają im pożywienia, okrycia, sposobu przenoszenia się, zwłaszcza zimą, z miejsca na miejsce.

Czukczowie, zarówno osiedli, jak i wędrowni, mówią jednym językiem, naturalnie z domieszką wyrazów, wypływających ze sposobu życia; język ten jest wielce zbliżony do języka koryackiego.

Wyprawa szwedzka dostarczyła 6 czaszek Czukczów osiadłych. Pomiar tych czaszek wykazał, że wskaźnik ich cefaliczny jest 78,33, co pozwala zaliczyć Czukczów do mezaticefalów. Wskaźnik cefaliczny dla Jakutów jest 81,44; dla Tunguzów 81,1; dla Jukagirów (jedna tylko czaszka znana) 75,1.

Eskimowie azyatyccy są osiedleni na brzegach oceanu Wschodniego (morze Berynga), począwszy od przylądka Wschodniego do przylądka Olutorskiego. Pomiędzy przylądkiem Wschodnim a Czukockim są oni zmieszani z Czukczami osiadłymi. Głównem ich zajęciem jest rybołówstwo. Sposób życia nie różni się od sposobu życia Czukczów, naturalnie osiadłych. Język jest taki sam, jak Eskimów

amerykańskich. Z 11 znanych czaszek wyprowadzono wskaźnik cefaliczny 79,11. To ich stawia na krańcach mezaticefalizmu. Eskimowie amerykańscy mają wskaźnik 76.

Liczba Czukczów osiadłych i wędrownych i Eskimów na półwyspie Czukockim wynosi do 10 tysięcy. Jest to cyfra średnia pomiędzy 12 i nawet 15 tysiącami, podawaną przez jednych, a 7 lub nawet 3 podawaną przez innych. Ponieważ Czukczowie i Eskimowie, dotychczas przynajmniej, mniej niż inne ludy na całej kuli ziemskiej podlegali wpływom wyższej kultury, tak zawsze zgubnej dla ludów pierwotnych, przeto wśród nich wymierania gwałtownego podróżnicy nie zauważyli. A nawet zapewne okoliczność następna świadczyłaby o niejakim przyroście pierwszych. Przed r. 1868 Czukczowie, począwszy od przylądka Wschodniego w kierunku zachodnim, sięgali tylko do prawego brzegu rzeki Kołymy; od roku wymienionego przeszli na lewy brzeg i zajmować poczęli pomiędzy Kołymą i Indygirką tak zwane Wielkie Tundry, które poprzednio zajmowali Jukagirzy od wschodu, Tunguzi — od zachodu [1]).

Na całej przestrzeni półwyspu Czukockiego Rosyanie, oprócz dwu miast, leżących na zachodnich krańcach półwyspu, na południu — Giżygi, czy też Giżygińska, i na północy—Dolnego Kołymska, zajmują jeszcze dwa punkty: osadę Penżynę, nad rzeką Penżyną, i Anadyrsk, nad Anadyrem. W Penżynie było w 1885 Rosyan kilkudziesięciu, w Anadyrsku — do 200.

4.

Na uzupełnienie badań Kraszeninnikowa nad półwyspem Kamczackim, któreby odpowiadały współczesnym nam

[1]) Posiadającym dzieło E. Réclus: *Nouvelle geographie universelle, VI. L'Asie Russe*, radziłbym na karcie noszącej tytuł: *Populations de l'Asie du Nord*, sprostować rozmieszczenie Jukagirów. Lud ten, według Réclus, zajmuje, począwszy od zatoki Borchoińskiej, doliny Jamy, Indygirki, Kołymy i sięga aż do zatoki Czauńskiej. Otóż Jukagirzy wygasają szybko. Wykazane przestrzenie na karcie zajmują Tunguzi, aż po za prawy brzeg Indygirki, a następnie — Czukczowie, wśród których niby oddzielne zaledwie wysepki mogą jeszcze spotykać się Jukagirzy. Więc — nie jednym kolorem, oznaczającym Jukagirów, te przestrzenie na karcie należałoby oznaczyć, lecz zaledwie nielicznemi kropkami w tym kolorze.

badaniom półwyspu Czukockiego, czekać należało prawie półtora wieku.

Od 1879 do 1883, lat cztery, przepędził na Kamczatce dr. Benedykt Dybowski, obecnie profesor uniwersytetu lwowskiego. Przebywał tam w charakterze lekarza urzędowego. Charakter lekarza pozwalał mu zbliżyć się do ludności miejscowej. Pozycya urzędowa dostarczała środków do takiego zbliżenia, ułatwiając rozjazdy po Kamczatce i zabezpieczając osobistą swobodę. Dr. Dybowski zbadał więc ludność kamczacką wszechstronnie, a rezultatami takiego badania i pobytu są zbiory obfite i których, z wielu powodów, nie możnaby było zastąpić przez nowe. Te zbiory są: etnograficzne, złożone z przedmiotów do codziennego życia służących, ubrania, ozdób, narzędzi, przedmiotów czci i sztuki; anatomiczne, złożone z czaszek i całych szkieletów Koryaków, Kamczadałów i Kurylów; lingwistyczne — z list wszystkich części mowy, a nadto z nazw zoologicznych i botanicznych we wszystkich językach kamczackich.

Zbiory etnograficzne dostarczają możności poznania życia ludności kamczackiej naocznie.

Zbiory anatomiczne powierzył dr. Dybowski profesorowi antropologii na uniwersytecie krakowskim, drowi Izydorowi Kopernickiemu. Uczony ten badacz opracował zaledwo część ich trzecią i na podstawie pomiarów wydał dwie monografie, które, ze względu na źródła, jako też obrobienie, stały się w kwestyi traktowanej podstawowemi w nauce. Obie te monografie tyczą się Kurylów. Śmierć przedwczesna przerwała dalsze opracowywanie materyałów anatomicznych. Światło, które stąd spaść mogło na wykrycie osobliwości i właściwości anatomicznych Koryaków i Kamczadałów, nie zostało zapalonem, gdyż ręka mająca je zapalić skrzepła. W dziale przeto etnologii, poświęconym ludom, na krańcach północno-wschodnich Azyi zamieszkałym, pozostał rozdział, i to najważniejszy, nie napisany. A wszakże napisać go miały ręce polskie, którym bardzo rzadko zdarza się zapełniać karty w księgach ogólnej wiedzy.

Ze zbiorów lingwistycznych powstało, opracowanych przeze mnie a wydanych przez Akademię Krakowską, pięć słowników różnych narzeczy, któremi mówiła i mówi jeszcze ludność kamczacka.

Notatki d-ra Dybowskiego, uzupełniające zbiory lingwistyczne, pozwalają mi podać kilka szczegółów o obecnym stanie tej ludności.

Dr. Dybowski, godząc się w ogólnym zarysie na podział ludności kamczackiej, podany przez Kraszeninnikowa, o Koryakach podaje co następuje:

»Zajmują oni całą północną Kamczatkę, poczynając ze wschodu od rzeki Oziernowskiej, a z zachodu od rzeki Uetemen, powyżej Tigilu. Dzielą się zaś na osiadłych i koczujących. Do pierwszej kategoryi należą wsi następujące, wszystkie położone blizko wybrzeża morskiego.

»Z zachodniego brzegu półwyspu, idąc od południa ku północy: Wojampołka — mieszkańców 96; Kachtana — 230; Pałłan — 160; Kinkil — 117; Lesnowskaja — 170.

»Ze wschodniego brzegu, idąc od południa ku północy: Oziernowskaja — 34; Uka — 21; Chalula — 18; Iwaszkina — 26; Dranka 53; Karaga — 108. Wszystkich więc osiadłych Koryaków jest na Kamczatce 1.033 (m. 536, k. 497).

»Koczujący dzielą się na dwa rody, ród pierwszy i drugi. Do pierwszego rodu należy 157; do drugiego 128. Czyli ogółu 285 (m. 165; k. 120). Wszystkich tedy Koryaków na Kamczatce jest 1.318 (m. 701; k. 617).

»Osiedli zajmują się rybołówstwem, hodowlą psów zaprzęgowych i polowaniem na sobole, niedźwiedzie, lisy, psy morskie i t. p. Koczujący — hodowlą reniferów i polowaniem. Osiedli mają bardzo niewiele koni i bydła rogatego i prawie nie uprawiają ziemi. Z rozporządzenia władz miejscowych sadzą tu i owdzie kartofle, ale to tylko dla oka *naczalstwa*. Mieszkają w domkach drewnianych, na wzór chat rosyjskich budowanych, zamiast szyb mają ramy zaciągnięte błonami z kiszek niedźwiedzi. Koczujący mieszkają w namiotach, skórami reniferowemi pokrytych.

»Za obrębem półwyspu Kamczackiego osiedleni żyją wzdłuż wybrzeży morskich przez Giżygę do Ochocka; koczujący — ku północy do Anadyru, gdzie się już stykają z Czukczami. Jaka jest liczba Koryaków za obrębem półwyspu, powiedzieć nikt nie może.

»Rozpytując się o narzeczach, dowiedziałem się, pisze dr. Dybowski, że narzecza wschodnie różnią się nieco od zachodnich, lecz każdy Koryak rozumie dobrze wszystkie

narzecza; muszą więc one być bardzo do siebie zbliżone. Rozróżniają atoli narzecza: karagińskie, pałłańskie, olutorskie, giżygińskie, anadyrskie. Te trzy ostatnie poza granicami półwyspu.«

Na zapytanie, czy Koryacy są spokrewnieni z Kamczadałami, dr. Dybowski odpowiada: »Ani język, ani fizyognomia, ani usposobienie nie przemawiają za pokrewieństwem. Gdy Kamczadale są flegmatyczni, leniwi, mało przedsiębierczy; Koryacy są żywi, ruchliwi i przedsiębierczy. Ubranie jak jednych, tak i drugich podobne, bo Kamczadale z dawien dawna odzienie swoje kupowali od Koryaków. Reniferowych kuklanek i torbazów letnich i zimowych dostarczali i obecnie dostarczają Koryacy. Uprząż psią prawdopodobnie przyjęli Koryacy od Kamczadałów, bo dawniej wszyscy Koryacy byli koczujący. Dzisiaj większa część już jest osiadłą, ale to z konieczności, bo stada reniferów wyginęły.«

Wiadomości te szczegółowe uzupełnić należy kilku opowiadaniami, charakteryzującemi dokładnie usposobienie i byt Koryaków. Dybowski pisze:

»Sam jeden wśród Koryaków bawiłem całemi tygodniami, zwiedzałem daleko w głębi kraju namioty koczowników i nigdzie nie miałem najmniejszych dowodów na potwierdzenie urabianych zupełnie niesłusznie podań o dzikości Koryaków.

»Zarzucają Koryakom, że są mściwi, skorzy do noża i że to mają najczęściej czynić z zazdrości o swoje kobiety. Może to prawda. Kobiety są zwykle brudne. Gdym raz zapytał, dlaczego kobiety koryackie są tak brudno ubrane, odpowiedział mi śmiejąc się Koryak, małżonek jednej z niewiast, że gdyby jego żona się stroiła, to byłby przekonany, że to czyni dla obcych, bo co do niego, to i brudno ubrana żona jest zawsze piękną w jego oczach.

»Koryacy nie są religijni. Koczujący są zresztą bałwochwalcy. Nie życzą sobie chrześcijaństwa z powodu kosztów na chrzciny, śluby w świątyniach, etc. Jeżeli niektórzy przyjęli chrześcijaństwo to tylko dla oka. Dają oni dzieciom imiona chrześcijańskie, ale w domu używają imion swoich. Raz mnie zapytał Koryak, czym chrześcijanin, gdym mu odpowiedział, że tak, zapytał jeszcze: jaki?... nakoniec zadał

pytanie: »czy i ty sądzisz, że dusza po śmierci kiedyś w ciało się oblecze, bo my temu nie wierzymy. Gdy spalimy ciało zmarłego, to dym, dajmy na to, do dusz się dostanie, ale co z popiołem będzie? Przecież do nich się nie podniesie.« Swoim szamanom daleko więcej wierzą, niż kapłanom chrześcijańskim.

»Długo nie chcieli pozwalać na szczepienie ospy, jednak dali się przekonać o potrzebie szczepienia, i o ile mogłem, szczepiłem dzieciom. Do lekarzy mają zupełne zaufanie, i wielu Koryaków chorych przyjeżdżało do mnie po radę, a wiedząc mniej więcej o czasie, w którym przybywałem do wiosek ich współplemieńników, czekali na mój przyjazd po parę tygodni.

»Osiedleni Koryacy są wszyscy chrześcijanie.

»Cerkwi dla Koryaków na całym półwyspie jest dwie. Jedna — w Drance, druga — w Pałłanie. Przy cerkwiach są szkółki, do których uczęszczają chłopacy.

»Koryacy są zdolni do nauk, a szczególnie do rzemiosł. Rzeźbią bardzo pięknie z natury nożykiem z kości morsa. Kobiety wyszywają bardzo gustownie i pracowicie kuklanki, torbazy etc.

»W podróżach moich czułem się wśród tego dzikiego ludu bardziej bezpiecznym, aniżeli na mniej ludnych ulicach po miastach europejskich, i jestem pewny, że ci dzicy ludzie zawstydziliby wielu Europejczyków przez porównanie z nimi pod względem moralności i szlachetności uczuć społecznych. Złodziejstwo jest nieznane, a gdy głód nawiedza okolicę przez nich zamieszkaną, to śpieszą z pomocą, dzieląc się z ubogimi, bez wszelkiego wynagrodzenia, czego już Łomuci, wspólnie z nimi zamieszkujący góry Kamczackie, nigdy nie czynią.

»Koryacy nie są piękni w pojęciu europejskiem, bo twarz ich, azyatyckich kształtów, Europejczykowi podobać się nie może, ale są pięknie zbudowani, jak wogóle górale, przytem są zwinni, zgrabni. Włosy noszą albo krótko strzyżone, albo z grzywką na przodzie, co przy ich gęstych włosach wygląda, jak gdyby byli w czapce spuszczonej na czoło. Wielu wygala sobie patynę na głowie, odpowiada akurat otworowi czapki; służy im to dla ochłody, a zarazem jest oznaką pewnej elegancyi.

»Kobiety są po większej części niełądne; młode są miłe, zgrabne, wesołe, a mając prawo czysto się ubierać, robią przyjemne wrażenie. Krój sukien męskich i żeńskich prawie podobny; latem noszą się krótko, odziane w skóry na zamsz wyprawne. Zimą noszą kuklanki i paski, czyli pojedyńcze i podwójne kuklanki. Jeżdżą na reniferach saniami, nigdy konno.«

Wśród Koryaków osiedli na Kamczatce i Łomuci. Jest ich do 250.

Z kolei przechodzę do Kamczadałów.

Przypominamy sobie, że Kraszeninnikow, chociaż tak zwanych przez siebie Kamczadałów podzielił był tylko na dwa odrębne ludy, północny i południowy, gdy przeszedł do języka tych dwu ludów, zauważył, że tak zwani północni Kamczadałowie mówią dwoma odrębnemi językami, inaczej na dolinie rzeki Kamczatki i na wschodnim brzegu półwyspu, to jest nad wybrzeżem oceanu Wschodniego, a inaczej na zachodnim, to jest na wybrzeżu m. Ochockiego. Z tego wynikł nowy, na podstawie języka, podział Kamczadałów: na wschodnich, zachodnich i południowych.

Dr. Dybowski potwierdza podział Kraszeninnikowa Kamczadałów na trzy ludy i w swych zbiorach lingwistycznych przedstawia materyał do trzech odrębnych słowniczków trzech języków kamczadalskich.

Ale jeżeli za podstawę podziału Kamczadałów na trzy różne ludy przyjmujemy, idąc za Kraszeninnikowem i Dybowskim, język różny, anatomicznych bowiem podstaw nie wykazała dotychczas nauka, poprzednio z braku stosownego materyału, a dziś, po śmierci d-ra Kopernickiego, z braku ręki biegłej, któraby te materyały naukowo obrobiła; to obecnie okaże się, że jest tylko jeden lud kamczadalski, garstka Kamczadałów, mówiących na zachodnim brzegu swoim językiem. Oto co dr. Dybowski pisze w tym względzie:

»Z największą starannością zbierałem wyrazy kamczadalskie, jakie się jeszcze przechowały w pamięci mieszkańców Gałyginy i Jawiny (dwu wsi na południu Kamczatki, zaludnionych przez Kamczadałów południowych Kraszeninnikowa). Lecz, niestety, niewiele nazbierać mogłem. Śmierć bowiem już na drugi rok po mojem przybyciu do Kamczatki zabrała starostę w Gałyginie i starą babę w Jawinie,

jedynych ludzi, którzy jeszcze znali język kamczacki (południowy). Narzecze to, które nazwałem narzeczem jawińskiem, już nie egzystuje.

»Podobnież rzecz się ma i z narzeczem wschodniem kamczackiem. I tu znałem tylko dwie osoby, mówiące jeszcze po kamczacku. Od nich pochodzi cały słownik wyrazów, com spisał. Dzisiaj nie wiem, czy żyją oni. Podeszły ich wiek bowiem i choroby mogły i te ostatnie szczątki żyjącego języka sprzątnąć ze świata. Gdyby nawet i żyli jeszcze, to wątpię, ażeby podyktować jeszcze mogli nowy słownik. Tak więc to, co w ręku Sz. Pana się znajduje, jest ostatnią pamiątką ludu tak marnie znikłego.

»Trzecie narzecze, a mianowicie narzecze zachodnie, jest jeszcze żyjące. Mówiących niem ludzi jest dosyć, tak, że jeszcze jakich lat 50 egzystować może.«

To »dosyć« atoli składać się może z paru setek, i ta para setek stanowi resztki ludności Kamczatki, nazywanej przez Atłasowa i Kraszeninnikowa Kamczadałami. Chociaż bowiem urzędowa statystyka na Kamczatce podaje pod rubryką Kamczadałów cyfrę, o jakie tysiąc przewyższającą cyfrę Koryaków (tych do 1,400, tamtych do 2,300), cyfra ta nie wykazuje mówiących po kamczacku, lecz płacących podatek futrami (jassak), jak za czasów Atłasowa i Kraszeninnikowa.

Nakoniec przechodzę do trzeciej, według Kraszeninnikowa, grupy ludności kamczackiej. Grupę tę, jak sobie przypominamy, stanowią bliżsi i dalsi Kurylowie.

Otóż kwestya kurylska na Kamczatce tak się przedstawia — w nowem świetle:

Pod Kurylami należy pojmować mieszkańców wysp Kurylskich. Postępy etnologii wykazały, że na wyspach Kurylskich mieszka lud, zamieszkujący również wyspę Jesso i Sachalin, i noszący ogólną nazwę Ainów.

Dr. Dybowski badania swe w kwestyi Ainów na Kamczatce i Kamczadałów na wyspach Kurylskich streszcza w taki sposób:

»1) Kurylczycy (Ainowie) z wyspy Szumszu (pierwszej z Kurylów od wyspy Kamczatki) nie pamiętają, ażeby ich przodkowie zamieszkiwać mieli w okolicach, które dzisiaj

nazywają Kurylskiemi na Kamczatce, a mianowicie — na wybrzeżach jeziora Kurylskiego.

2) Również nie pamiętają oni, ażeby Kamczadałowie osiedlali się na wyspach Kurylskich.

3) Najstarsi mieszkańcy wsi Jawiny, pytani o Kurylczyków (Ainów), powiadali, że mieszkańcy wysp Szumszu (Ainowie) prawie co rok na wiosnę przybywają do Jawiny i że tak było od niepamiętnych czasów; że Kurylczycy polują na wybrzeżach półwyspu; że nawet dawniej mieli przyjeżdżać do ujścia rzeki Jeziornej dla połowu ryb; ale nie pamiętają ażeby się Kurylczycy osiedlali kiedy na półwyspie.

4) Nikt z obecnie żyjących Kamczadałów we wsi Jawinie nie pamięta, ażeby Kamczadale odwiedzali kiedy wyspę Szumszu.«

Więc któż są ci bliżsi Kurylczycy, którzy, według Kraszeninnikowa, zamieszkiwali pierwszą wyspę Kurylską, Szumszu, i cypel południowy Kamczatki i, jak widać z nazwy jeziora, sięgali dalej w głąb półwyspu? »Na wydanie rozstrzygającej całkowicie to pytanie odpowiedzi żadnych, twierdzi dr. Dybowski, danych nie mamy; mogli to być Kamczadale, mogli to być Kurylczycy.«

Ale ponieważ Kraszeninnikow odróżnia od bliższych Kurylczyków dalszych, więc, jeżeli pod dalszymi rozumiemy czystych Ainów, czy pod bliższymi rozumiećby nie było można mieszaniny, powstałej ze stosunków wszelakiej natury Ainów z południowymi Kamczadałami? Wszak na to przypuszczenie naprowadzają własne słowa Kraszeninnikowa: »Chociaż bowiem ci bliżsi różnią się nieco od Kamczadałów językiem, zwyczajami i nawet postacią zewnętrzną, tem niemniej wszelako rzeczą jest pewną, że pochodzą oni od Kamczadałów południowych, i że różnica, zachodząca pomiędzy temi dwoma ludami, wypływa tylko z tego, że Kurylczycy bliżsi sąsiadują, handlują i wchodzą w rozmaite stosunki z Kurylami właściwymi (dalszymi, Ainami).« Tylko te słowa Kraszeninnikowa należałoby tak przestawić: różnica pomiędzy dalszymi i bliższymi Kurylczykami wypływa stąd, że Kurylczycy bliżsi sąsiadują, handlują i wchodzą w rozmaite stosunki z Kamczadałami.

Rosyan na półwyspie Kamczackim jest do 2,500.

Mieszkańcy wysp Kurylskich wchodzą do grupy środkowej ludów na krańcach odległego wschodu azyatyckiego.

Dla uwidocznienia sobie rozkładu rozmaitych ludów na krańcach północno-wschodnich Azyi, rozłóżmy przed sobą kartę geograficzną tych krańców.

Otóż — od rzeki Kołymy, wpadającej do oceanu Lodowatego, wzdłuż brzegów tegoż Oceanu aż do przylądka Wschodniego, czyli Deżniewa, mieszkają Czukczowie osiedli. Na cyplu północno-wschodnim, pomiędzy przylądkami Wschodnim i Czukockim, ciż Czukczowie już się mieszają z Eskimami azyatyckimi. Od przylądka Czukockiego brzegi oceanu Wschodniego, w tem miejscu nazwę morza Berynga noszącego, aż do przylądka Olutorskiego, zamieszkują Eskimowie azyatyccy. Przestrzeń na południe od Czukczów osiadłych i na zachód od Eskimów, po dolinę rzeki Anadyru, zajmują Czukczowie wędrowni.

Na południe od Czukczów mieszkają Koryacy. Osiedli — na brzegach: północnym, począwszy od Ochocka, i wschodnim, aż do ujścia rzeki Uetemen, morza Ochockiego i na zachodnim brzegu morza Berynga, pomiędzy przylądkiem Olutorskim i ujściem rzeki Oziernowskiej. Wędrowni — zajmują przestrzenie, rozlegające się pomiędzy brzegami mórz, zajętemi przez osiadłych, i sięgają aż po dolinę Anądyru. W taki sposób Koryacy wchodzą na półwysep Kamczacki i zajmują jego północną połowę.

Poniżej Koryaków na Kamczatce mieszkają tak zwani Kamczadale. Jeszcze do niedawnego czasu, pod tą nazwą jedną istniały trzy różne ludy, mówiące trzema odrębnemi językami. Obecnie tylko lud, mieszkający na zachodniej stronie półwyspu, utrzymał jeszcze swój język.

Wśród Czukczów od zachodniej granicy ich posiadłości, oddzielnemi grupami zamieszkują wygasający Jukagirowie, a nawet Jakuci. Czukczowie zaś przekraczają granicę naturalną półwyspu i dawną swych posiadłości i siedlą się na lewym brzegu Kołymy.

Wśród Koryaków z zachodu cisną się Łomuci i nawet dosięgają północnej Kamczatki.

Liczba Czukczów razem z Eskimami azyatyckimi wynosi około 10,000. Liczba Koryaków z Kamczadałami do 4,000. Wśród nich, na obu półwyspach, liczba Rosyan sięga zaledwo 3,000, na Czukockim do 500, na Kamczackim do 2,500.

Na wyspach Kurylskich, przylegających od południa do Kamczatki i łączących ją z Japonią, mieszkają Ainowie. Na wyspach Aleuckich, łączących Kamczatkę z Ameryką — Aleuci.

II.

Ludy na krańcach południowo-wschodnich.

Krańce północno-wschodnie Azyi opierają się o koło biegunowe. Krańce jej południowo-wschodnie, przekroczywszy zwrotnik, sięgają równika. Warunki klimatyczne, wypływające z położenia tak odmiennego na kuli ziemskiej obu tych krańców, są tak różne, że wytwarzają z nich niby dwa światy odrębne. Jednakże, przy poznawaniu na obu tych krańcach stosunków etnograficznych, niejedna, i to znaczna, nasuwa się analogia.

Pierwszą jest łamanie się linii brzegowej, i to w tych samych kierunkach: północnym i zachodnim. Jak na północo-wschodzie łamania się te wytwarzają dwa półwyspy: Czukocki i Kamczacki, tak też i na południo-wschodzie — również dwa, mające kształt półwyspu Indo-Chiny i przylegający do nich półwysep Malakka.

Również jak i na północo-wschodzie, do krańców południowo-wschodnich Azyi zbliżają się szeregi wysp, które tu jak i tam, już łączą Azyę z inną częścią świata, już to ułatwiają przejście na krańcach wschodnich z jednego jej pasa do drugiego. Jak na północo-wschodzie Aleuckie łączą Azyę z Ameryką, tak na południo-wschodzie Zondzkie, idące w kierunku południo-wschodnim, łączą ten kraniec Azyi z Oceanią. Jak na północo-wschodzie Kurylskie ułatwiają przejście z północnego pasa Azyi do środkowego, lub odwrotnie; tak też na południo-wschodzie: Formoza i szereg wysp Riu-Kiu, idących w kierunku północnym, ułatwiają przejście z południowego pasa do środkowego i odwrotnie,

Rozczłonkowywanie się lądu w półwyspach i odosobnianie się w wyspach te same na południo-wschodzie, co

i na północo-wschodzie, w dziejach zaludnienia obu tych krańców Azyi, wywołały zjawiska.

Po analogiach geograficznych idą analogie historyczne. Ten sam bieg wypadków dziejowych w Europie, te same powstałe w niej prądy naukowe i potrzeby ekonomiczne doprowadziły, i to w tym samym okresie dziejowym, do odkrycia obu tych krańców Azyi wschodniej. Jak tam, tak i tu, dopiero po odkryciu półwyspów, nastąpiło poznawanie ludów te półwyspy zamieszkujących i, w miarę poznawania ziemi, postępowało poznawanie ludzi.

Ale na tem już się kończą i dalej nie sięgają analogie wszelkie.

Już sama przyroda, mieszcząc krańce północo-wschodnie Azyi pod kołem biegunowem, południowo-wschodnie zaś pomiędzy zwrotnikiem a równikiem, wytworzyła z nich niby dwa światy różne. Różnemi też światami pozostają one przy bliższem poznawaniu ziemi i ludów, na tej ziemi zamieszkałych, różnemi przy badaniu przeszłości tych ludów, przy wnikaniu w ich teraźniejszość i przy wyprowadzaniu, na podstawie teraźniejszości, niektórych wniosków co do ich losów przyszłych.

Półwyspy Czukocki i Kamczacki, przylegając do pasa północnego Azyi, mało wskutek warunków klimatycznych zaludnionego i na pierwotnym stopniu kultury stojącego, są również mało zaludnione i pozostają na tym samym stopniu kultury, co i pas północny Azyi. Inaczej się rzecz przedstawia na południo-wschodzie. Indo-Chiny, jeżeli za ich kres północny przyjmiemy 22 stopień szerokości północnej, całą swą masą przylegają do Indyi i Chin, to jest krajów, w których kultura azyatycka na Wschodzie największego dosięgła rozwoju. Nawet jedno z państw indochińskich, Birma, przekracza ów 22 stopień i niby klinem wchodzi pomiędzy Indye a Chiny. Takie sąsiedztwo odbiło się: popierwsze, na ilości mieszkańców Indo-Chin; powtóre, na ustopniowaniu kulturowem tej ludności.

Gdy na krańcach północno-wschodnich ludność się liczy na tysiące, na krańcach południowo-wschodnich — na miliony. Gdy na krańcach północno-wschodnich, gdzie człowiek nie owładnął warunkami klimatycznemi, lecz uległ im, te warunki na jednym stopniu uspołecznienia utrzymują

ludność całą; na krańcach południowo-wschodnich spotykają się wszelkie stopnie kultury, począwszy od indyjskiego i chińskiego uspołecznienia—aż do pierwotnej dzikości, zmuszającej człowieka do pierzchania na widok swego współziomka w lasy i góry, gdzie jeszcze nie domy, lecz jaskinie i drzew konary za przytułek mu służą.

Dalej, półwyspy na północo-wschodzie, przylegając do pasa północnego Azyi, razem z tym pasem wchodzą w skład jednego państwa europejskiego; bieg wypadków historycznych Indo-Chiny dwom narodom europejskim, półwysep zaś Malakka jednemu z nich poddał pod wpływy i władzę.

Poznawanie nawet obu krańców Azyi inne przechodziło koleje, inne narody do niego przystępowały, nadto, jako odbywające się jedną tylko drogą, było powolniejsze i, co zdumiewać może, gdy na krańcach północno-wschodnich dobiegało swego okresu, na krańcach południowo-wchodnich dopiero się rozpoczynało.

1.

Na krańce południowo-wschodnie Azyi już nie dwie prowadzą z Europy drogi, lądowa i morska, jak na krańce jej północno-wschodnie, lecz jedna, morska. Z natury więc rzeczy wypływało, że poznawanie tych krańców mogło być tylko wynikiem wielkich odkryć geograficznych, rozpoczynających nowy okres życia dla narodów europejskich, i od tych odkryć w ścisłej pozostawało zależności. Okręty narodów europejskich jedynie po okrążeniu przylądka Dobrej Nadziei przybijać mogły do krańców południowo-wschodnich Azyi, a nadto te tylko przybijały, które już to wytrzymać wskutek swej mocy tak odległą zdołały podróż, już to nie uległy ponęcie zatrzymania się po drodze tak długiej bądź na brzegach Afryki wschodniej, Madagaskaru, wysp Maskareńskich, bądź w Indyach, na Cejlonie, wyspach Zondzkich. Przytem nie wszystkie narody europejskie, obecnie gospodarujące na morzach, do krańców południowo-wschodnich Azyi przytykających, równocześnie na tych morzach występowały.

W wieku XVI, korzystając z prawa przysługującego odkrywcom i zdobywcom, na tych morzach panowali wy-

łącznie Portugalczycy. W wieku XVII — głównie, bezpośredni ich następcy, Holendrzy. Gdy zaś tych ostatnich w XVIII wieku zastępować poczęli Anglicy i Francuzi, ponętniejsze wskutek zysków i znaczenia dla ich rywalizacyi przedstawiały pole Indye Przedgangesowe, niż Indo-Chiny i przylegający do nich krańcowy półwysep. Zresztą, z tych obu półwyspów był od XVI do końca XVIII wieku bardziej znanym i częściej odwiedzanym tylko jeden, Malakka, i to z zachodnich jego brzegów. Kto bowiem dotarł do południowego cyplu tego półwyspu i z oceanu Indyjskiego, przepłynąwszy cieśninę Syngapurską, przedostał się na Wschodni, śpieszniej mu już było podążać do Chin i Japonii, niż zbaczać na zachodnie jego wybrzeża lub do Annamu.

W 1511 roku Portugalczycy, pod dowództwem sławnego Alfonsa Albuquerque, zajęli na zachodnim brzegu półwyspu Malackiego miasto Malakkę. Znalazłszy w nim punkt oparcia za pomocą agentów politycznych i handlowych, wchodzili w stosunki z Birmą i Syamem. Król syamski, Fro-Borom-Raxa, obdarzył nawet portugalskiego zdobywcę podarunkami różnemi, chcąc w nim znaleźć sprzymierzeńca przeciw swym wrogom. Ze Syamu Portugalczycy przeprawiali się do środka półwyspu i nazwę jednego ze środkowych krajów, po syamsku brzmiącą Kampucze lub Kamfoxa, przerobili na Kambodża, i pod tą nazwą kraj ów jest znany Europejczykom aż do czasów obecnych.

W 1640 r. zajęli Malakkę Holendrzy. W roku następnym Van Diemen, znany ze swej działalności gubernator Indyi holenderskich, w celu poznania sąsiedniego półwyspu urządza wyprawę na dolinę rzeki Mekongu. Składała się ona z sześciu członków, na czele jej stał Geraerdt van Wusthof. Od lipca do listopada posuwali się Holendrzy w górę rzeki i dosięgli miasta Vien-Szenu, odległego od jej ujścia o 800 *km.* Byli to pierwsi nad brzegiem Mekongu Europejczycy. Atoli sama wyprawa pozostała bez żadnego skutku. A na jej powtórzenie z większemi rezultatami—należało oczekiwać przeszło dwa wieki.

W XVIII stuleciu poczęli Holendrzy, dla mocniejszego usadowienia się na wyspach Zondzkich, wycofywać się z Indyi i Indo-Chin. I chociaż Malakka do 1824 r. pozosta-

wała w ich rękach, krańce południowo-wschodnie Azyi przestają niby istnieć dla Europy.

Prawie żadne, gdyż ograniczające się zapisaniem kilkunastu nazw geograficznych, rezultaty dla nauki wypraw portugalskich i holenderskich na te krańce Azyi przypisać należy dwom przyczynom: stanowi wogóle wiedzy w Europie, a następnie składowi osobistemu tych wypraw. Nauka o człowieku i ludach (antropologia i etnografia) jeszcze nie była powstała. Wyprawy zaś składali kupcy uzbrojeni, za którymi w ślady podążali krzewiciele chrystyanizmu.

Ludy odkrywanych i poznawanych krajów w jednych i drugich widzieli swych wrogów i w stosunkach z nimi, z konieczności, obronną przybierać musieli postawę. Przed pierwszymi strzegli swego mienia, gdyż ci, nawet kupcząc, ceny nabywanych i zbywanych przedmiotów orężem popierać byli w stanie. Przed drugimi bronili swych ognisk domowych i całości rodzin. Boć przecie ci drudzy występowali w duchu tych słów: »Mniemacie, żem przyszedł zsyłać pokój na ziemię; nie, mówię wam, nie pokój, ale rozłączenie. Albowiem odtąd będzie pięciu w jednym domu rozłączonych: trzech przeciwko dwom, a dwaj przeciwko trzem. Stanie ojciec przeciwko synowi, a syn przeciw ojcu swemu, matka przeciw córce, a córka przeciw matce... Przyszedłem puścić ogień na ziemię, a czegoż chcę, jedno aby był zapalon...« (Łuk. XII, 49—53. Mat. X, 34—36). Europejczyk stawał się zwiastunem klęsk wszelakich dla kraju, do którego go ciekawość i żądza bogactw zaprowadzała.

Po bezowocnych próbach Portugalczyków i Holendrów owładnięcia, na krańcach południowo-wschodnich Azyi, jednym półwyspem, stają się one oba obecnie przedmiotem pożądań i zabiegliwości dwu innych narodów europejskich: Francuzów i Anglików.

Nowe prądy kolonizacyjne szukają nowych środków kolonizacyi. Europejczyk w innej już postaci staje przed mieszkańcem pożądanego kraju. A najbardziej skutecznego środka do kolonizacyi może mu dostarczyć poznanie ludności miejscowej i, zachodzących wśród niej, stosunków rasowych i politycznych.

2.

Francya w Indo-Chinach ubiegła Anglię. Ustąpiwszy jej w XVIII stuleciu swe zdobycze w Ameryce Północnej i Indyach Przedgangesowych, pod koniec tegoż stulecia pożądać poczęła naprawy strat poniesionych. Jakoż przedstawiło się ku temu pole. Król Annamu, państwa obejmującego wschodnią część Indo-Chin, od granic Chin do południowych granic Kambodży, Gia-Long, pozbawiony przez swego współzawodnika tronu, udał się do Ludwika XVI o pomoc, z czem wysłał do Paryża syna swojego Kanh-Dzue. Dnia 28 listopada roku 1787, a więc na dwa niespełna lata przed Rewolucyą, w Wersalu podpisali przedstawiciele obu rządów traktat, mocą którego Francya, za zobowiązanie się dostarczenia królowi Gia-Long okrętów, wojska i pieniędzy, otrzymywała na wschodnich brzegach półwyspu miasto i port Tourane [1]), leżące w zatoce tegoż nazwiska, oraz wyspy Poulo-Condore, naprzeciw ujścia Mekongu.

Wypadki, zaszłe wkrótce w samej Francyi, przeszkodziły Ludwikowi XVI wypełnić ściśle swe zobowiązania. Rzeczpospolita ich na siebie nie przyjęła. Pomimo to Gia-Long na tronie się utrzymał, co w każdym razie zawdzięczał stosunkom z Francyą i prywatnej pomocy Francuzów. Ale Tourane i wyspy Poulo-Condore pozostały tylko własnością nominalną Francyi. Raz atoli zawiązane stosunki stały się prologiem do akcyi polityczno-wojennej, rozpoczętej przez Francyę w drugiej połowie XIX stulecia.

Niepokonana niechęć ludów wschodnich do przejmowania się wierzeniami narodów europejskich uwydatniała się w Annamie kilkakrotnem tępieniem ich krzewicieli. Francya występowała w obronie swych współwyznawców. W 1847 roku wice-admirał francuski Rigault de Genouilly zniszczył flotę annamską stojącą w porcie Tourane. I znowu rewolucya we Francyi przeszkodziła dalszym krokom wojennym. Gdy rząd Napoleona III podjął politykę kolonizacyjną, ten sam wice-admirał, dowodząc wyprawą, w której brali udział i Hiszpanie, w r. 1858 dnia 31 sierpnia zdobył Tourane, a w lutym roku następnego (15 – 17) Saigon, miasto

[1]) Dla uniknięcia zamieszania w imionach własnych zachowam pisownię francuską.

leżące na południu, przy ujściu rzeki Saigon do oceanu Wschodniego, w części państwa Annamskiego, zwanej Kochinchiną. Francuzi niebawem opuścili Tourane, ale z Kochinchiny już się nie ruszyli. Saigon z okręgiem i zajęte przez nich następnie dwa inne miasta z okręgami na północ od delty Mekongu, więc po lewej stronie rzeki (Myto, Bienhoa), były im ustąpione na własność razem z wyspami Poulo-Condore w traktacie, zawartym z rządem Annamskim 5 czerwca 1862 r. w Saigonie.

Na północ delty Mekongu i Kochinchiny, po obu stronach rzeki Mekongu leży kraj Kambodża. Zawarty w dniu 11 sierpnia 1863 r. przez admirała de la Grandière z władcą tego kraju Norodonem traktat oddaje Kambodżę pod protektorat Francyi. Nakoniec 1867 r. Francuzi zdobywają znowu w Kochinchinie jeszcze trzy okręgi: Vinh-Long, w delcie Mekongu, Hatien i Chaudoc już na prawym brzegu tej rzeki, a więc całą Kochinchinę.

Jako władcy faktyczni Kochinchiny całej, a protektorowie Kambodży, mając punkt wyjścia i oparcia w delcie Mekongu, Francuzi rozpoczęli naukowe badania kraju od wyprawy w górę tej rzeki. Wyprawa ta otwiera nowy okres w fizyografii Indo-Chin i stanowi z afrykańskiemi, środkowo-azyatyckiemi i podbiegunowemi najpiękniejszą kartę we współczesnych dziejach. Takie znaczenie zapewniają jej bohaterstwo biorących w niej udział, widownia jej i doniosłość naukowa rezultatów.

Uczestników było sześciu. Każdy miał swój dział naukowy, oraz wytknięty zakres pracy i obowiązków. Na czele stał Doudart de La Grée, kapitan fregaty, reprezentant Francyi w Pnom-Penh, na dworze króla Norodona. Jego to właśnie zręczności dyplomatycznej i staraniom Francya zawdzięcza protektorat nad Kambodżą. Do niego należał kierunek wyprawy, przedstawicielstwo Francyi w obcych krajach, zapewnienie bezpieczeństwa i środków istnienia jej członkom. Franciszek Garnier, wskrzesiciel tradycyi Korteza i Pizarra, przyszły zdobywca Tonkinu, dokonywał obserwacyi astronomicznych i meteorologicznych. Delaporte prowadził roboty geometryczne, zdejmował plany, rysował widoki. Carné, delegowany z ministeryum spraw zewnętrznych, badał lud i mowę jego. Dwaj lekarze Joubert i Thorel,

badali przyrodę zwiedzanych krajów, pierwszy zoologię i mineralogię, drugi — świat roślinny i zwierzęcy.

Widownia wyprawy — koryto i brzegi Mekongu w granicach Indo-Chin, oraz miasto i prowincya Jun-Nan w Chinach południowych, bądź po raz pierwszy zwiedzaną była przez Europejczyków, bądź też poprzednio zwiedzaną była bardzo rzadko i pobieżnie. Mekong (Matka wód), największa rzeka z azyatyckich, niosących swe wody do mórz południowych, przepływająca 3.500 *km.* (Indus — 3.180, Ganges — 3.000, Eufrat — 2.100), stać się może z czasem najbliższą drogą, łączącą wyniosłości Tybetu, skąd wypływa, z posiadłościami europejskiemi w Azyi, przez które przepływa.

Wyprawa opuściła Saigon w kierunku północnym dnia 5 czerwca 1866 roku; zawinęła z powrotem do Saigonu od południa d. 29 czerwca 1868 r. A wśród licznych przywożonych przedmiotów troskliwą baczność uczestników wciąż na siebie zwracała trumna ze zwłokami ich przewódcy, zmarłego z wycieńczenia pracą i troską w Jun-Nan roku poprzedniego (12 marca).

Od Kratie, ostatniego punktu znanego podówczas na Mekongu, do miasta Sangai, leżącego przy ujściu Jan-tse-Kiangu, którą to rzeką wyprawa wracała, zrobiła ona 9,860 *km* drogi, piechotą 3,990, na łodziach — 5,870. Z przebytej drogi 6,720 *km* po raz pierwszy zostało wniesione na plany. Z 58-iu pomiarów astronomicznych miejscowości 50 po raz pierwszy było dokonanych. Roślinność Indo-Chin po raz pierwszy w całości przejrzana, 1,500 nieznanych dostarczyła okazów. Badania meteorologiczne z lat dwu przedstawiają po cztery bez przerwy na dobę obserwacyi. Główniejsze po drodze pokłady geologiczne były opisane; mowa mieszkańców przebieganych krajów w 26 różnych słowniczkach spisana. Ale największy podziw wzbudzała wiadomość o zwaliskach świątyń i pałaców w Kambodży. Uwaga archeologów i historyków chwilowo oderwała się od brzegów Nilu i Eufratu, by spocząć na brzegach jeziora Tonle-Sap. Głucha wieść o istnieniu miast zwalonych w Kambodży przedostała się z czasów portugalskich. Wspomina o tem Ribadeneira w r. 1591, Christoval w 1607 r. Badania archeologiczne Dolaporte'a na miejscu i zgromadzone przezeń okazy głuchą ową wieść przekształciły w znane fakty.

Najście Prusaków na Francyę zatrzymało rozwój rozpoczętej przez nią akcyi nad Mekongiem. Ustąpienie Prusaków z Francyi i wzmocnienie się w niej nowego rządu zatrzymaną akcyę wznowiło. Wypadki szybko jedne po drugich następować zaczęły. W roku 1873, dnia 20 listopada, Fr. Garnier, uczestnik wyprawy w górę Mekongu, a po śmierci De la Grée jej dowódca, ze 175 ludźmi zdobywa Hanoi, stolicę Tonkinu, innej prowincyi państwa Annamskiego, leżącej na północnych granicach półwyspu, a następnie - zajmuje całą deltę rzeki Song-Koi.

Rzeka ta, wypływając z Jun-Nanu, wpada do oceanu Wschodniego i razem z dopływami swojemi tworzy naturalną granicę pomiędzy Chinami a Annamem, czyli pomiędzy pasem środkowym Azyi a jej krańcami południowowschodniemi.

Śmierć Garniera, poniesiona 21 grudnia tegoż roku w obronie zdobyczy, położyła kres dalszym zwycięstwom Francuzów. Z delty Song-Kai wycofali się oni następnie. Jej atoli łatwe zdobycie zmusiło rząd annamski do zawarcia dnia 15 maja 1874 roku traktatu, już drugiego, z Francyą, przez który zyskała ona zdobyte w roku 1867 trzy nowe okręgi w Kochinchinie i, co jeszcze ważniejsza, Annam uznawał jej nad sobą protektorat. Protektorat bowiem, w wytwarzających się stosunkach państw europejskich z państwami w innych częściach świata, stawał się zwykle wstępem do anneksyi tych państw zupełnej. Tak i w tym razie. Traktat ten nie zakończył walki czynnej i przedsiębierczej Europy z drzemiącym Wschodem, lecz ją właściwie rozpoczął, stał się dla niej koniecznym wstępem. Obie strony rozumiały to i przygotowywały się do czynu.

Całkowicie uprawnieni w posiadaniu Kochinchiny, Francuzi utrwalali swą władzę i poznawali kraj. Dr Harmand, w pięciu wyprawach (1874 – 1877), badał dopływy Mekongu i przebiegał przestrzenie pomiędzy doliną tej rzeki a brzegami oceanu Spokojnego. Delaporte w dalszym ciągu pracował nad ruinami w Kambodży. Annamici losem swym zainteresować pożądali potężnych swych sąsiadów i w przeszłości zwierzchników — Chiny.

Powtórne przez Francuzów zdobycie Hanoi, którego już nie opuścili (Rivière d. 25 kwietnia, 1882 r.), i wyprawa

Couberta na Hue, stolicę Annamu, dnia 16 — 20 sierpnia, 1883 r., doprowadziły: 1) Do dwu traktatów, trzeciego już i czwartego z Annamem, z dnia 25 sierpnia 1883 r., podpisanego ze strony Francyi przez dra Harmanda, i z dnia 6 czerwca 1884 roku, podpisanego przez Patênotre'a, mocą których protektorat Francyi nad Annamem został wzmocniony i, przez utworzenie rezydentów z eksortą wojskową w Hue, przeszedł w czynny, a zajęcie Tonkinu uprawnione. 2) Do usadowienia się Francuzów już nietylko w faktycznie zależnym od Annamu Tonkinie, lecz do posuwania się ich ku północy, do granic Chin, i ku zachodowi, do brzegu Mekongu, który po dwakroć cofnął się już był w tył ku zachodowi, tworząc swem korytem dwa proste prawie kąty. 3) Do wmieszania się Chin w sprawę, co wywołało wojnę z Chinami trzyletnią (1883 — 1885) i zawarcie z niemi nakoniec przymierza dnia 9 czerwca 1885 roku, mocą którego Chiny wycofywały swe wojska z Tonkinu, zrzekały się wszystkich swych praw do Annamu, uznawały protektorat Francyi nad tem państwem i zobowiązywały się do polubownego oznaczenia granicy pomiędzy swemi trzema prowincyami (Jun-Nan, Kwang-Si, Kwang-Ton), a rozszerzonym i wydłużonym Tonkinem. To zobowiązanie się po latach kilkunastu zostało korzystnie dla Francuzów w 1895 roku uskutecznione.

Posuwanie się Francuzów ku zachodowi Tonkinu zetknęło ich z ludami mało znanemi, lub wcale nieznanemi, i skończyło się zdobywaniem krajów już nie od Annamu, lecz Syamu zależnych. Walka z wojskiem annamskiém przekształciła się w walkę z ludnością miejscową, lub w zatargi z wojskiem syamskiem; występowanie zbrojnie przeciwko sobie ludności miejscowej Francuzi nazywali rozbójnictwem (piraterie).

Pomimo wojen i pirateryi, która, jak się zdaje, i obecnie jeszcze nie wszędzie wygasła, praca nad badaniem naukowem krajów nie ustawała, a zarząd niemi wciąż był zastosowywany do miejscowych warunków i wymagań wyższej natury.

Wyprawy naukowe Aymonniera (1881 — 1886), w okolicy dolnego Mekongu, i Pavie (1886 — 1890), w okolicy górnego, uzupełniały wszechstronnie rezultaty pierwszej wyprawy

na Mekong. Przytem przybywała z Francyi znaczna liczba podróżników i ludzi wykształconych na urzędy cywilne i wojskowe. Ci, przypatrując się krajowi i biegowi w nim spraw i do sądów swych bądź to ze względów niezależnej słuszności, bądź powodowani duchem partyi, której sprzyjali, wznosząc żywioł krytyczny, wzbogacili literaturę przedmiotu.

Zcentralizowana i biurokratyczna Francya długo sobie nie mogła poradzić z zarządem kraju, którego obszar dorównywał prawie obszarowi jej samej [1]). Zdobywcami kraju byli wojskowi, a więc zależni od ministeryum wojny. Przewoziły zdobywców okręty, stąd wypływała zależność tamtych od ministeryum marynarki. Kraj zdobywany należał do państw już istniejących; zdobywanie przykrywały traktaty, nad któremi czuwało ministeryum spraw zewnętrznych. Ciągłe stykanie się z sobą trzech ministeryów, jako ciał sobie obcych, trzech ministrów, przedstawiających nieraz trzy różne partye polityczne, lub trzy odcienie jednej, sprowadzały zatargi, lub co najmniej ciągłe hamowanie akcyi, wymagającej przedewszystkiem inicyatywy osobistej, jednolitości i szybkości. Ponad temi wszelkiemi względami unosiły się nadto hasła cywilizacyjne. Miejscowa ludność powinna była odczuć, że się to odbywa nad nią nie prosty zabór, lecz misya humanitarna...

Ustanowienie w r. 1887 dnia 17 października zarządu cywilnego i postawienie na jego czele urzędnika, noszącego tytuł Gouverneur Général [2]), a dla ujednostajnienia ruchu machiny poddanie pod jego bezpośrednią władzę Lieutenant-Général w Kochinchinie, oraz Résidents Généraux w Kambodży, właściwym Annamie i Tonkinie, nie rozstrzygało jeszcze pytania: które ministeryum ma zawiadować nabytkami w Indo-Chinach? Dowodzi tego pomieszczenie owego

[1]) Według statystyki z r. 1891, Kochinchina zajmuje przestrzeni 67,000 *km*² i liczy 2,034,000 mieszkańców, Kambodża: 100,000 i 1,500,000, Annam: 140,000 i 12,000,000, Tonkin: 150,000 i 4,000,000. Razem 457,000 *km*² i 19,524,000 mieszkańców. Francya w Europie zajmuje 512,000 *km*². (A. Rambaud: *La France Coloniale*, str. 531).

[2]) Urząd ten stał się karyerą nawet dla polityków. W maju 1891 r. otrzymał go Lanessan, deputowany do Izby z Paryża. Pozostawał na nim do d. 29 grudnia 1894 r. Po nim nastąpił A. Rousseau, były podsekretarz stanu w ministeryum kolonii.

Gouverneur Général początkowo pod władzą ministeryum marynarki, przeniesienie następnie pod władzę ministeryum handlu i przemysłu (dnia 14 marca 1889 roku) i ponowne pomieszczenie pod ministeryum marynarki (dnia 12 marca 1892 r.). Erę w zarządzie kolonii francuskich ma stanowić utworzenie w r. 1894 dnia 20 marca osobnego ministeryum kolonii.

Zdumiewające w każdym razie, pomimo znacznych ofiar, zdobycze Francyi na półwyspie Syamo-Annamskim nie uszły uwagi jej wiekowej współzawodniczki, przezornej a czujnej Anglii.

Po opuszczeniu w roku 1824 przez Holendrów miasta Malakki, leżącego na półwyspie Malackim, zajęli to miasto Anglicy. Wkrótce stało się ono stolicą całego okręgu. Następnie Anglicy zdobyli dwa inne jeszcze okręgi, oraz dwie wyspy nadbrzeżne, przy zachodnim brzegu Puolo-Pinang, na samem południu Syngapore. Równocześnie zbliżali się i od północy.

Zachodnią część Indo-Chin zajmuje państwo Birmania. Sięgało ono od Tybetu i Chin do przesmyku Kra, stanowiącego geograficzną granicę, oddzielającą Indo-Chiny od półwyspu Malackiego, ku południowi i od delty Gangesu do granic Syamu ku wschodowi. Pomiędzy rokiem 1824 a 1853 Anglicy zajęli połowę jego nadbrzeżną, czyli Birmanię Dolną.

Zbliżanie się Francuzów od strony Tonkinu do granic wschodnich, nigdy zresztą stanowczo nie wytkniętych, Birmanii i Syamu i polityczno-handlowe traktaty, przez oba te państwa zawarte z Francyą, popchnęły Anglię w r. 1885 do przyłączenia drugiej połowy Birmanii, dotychczas jeszcze niezależnej, Birmanii Górnej, do swych posiadłości indyjskich, a nadto do zaopiekowania się bardziej niż dotychczas czynnego Syamem. Spotykali się więc Francuzi wzdłuż Mekongu wszędzie z Anglikami, już to jako władcami Birmanii, Dolnej i Górnej, już to jako protektorami Syamu.

Próba zgodnego podzielenia się Indo-Chinami była zrobioną w traktacie, zawartym pomiędzy Anglią a Francyą w dniu 15 stycznia roku 1896. Z pod omówień dyplomatycznych i terminów geograficznych przegląda w nim myśl zasadnicza taka: Francya owładnąć ma wschodnią

częścią półwyspu, więc Kambodżą i Annamem, oraz przy niej pozostają dwie poprzednio już od Annamu oderwane prowincye jego, na północy Tonkin, na południu Kochinchina. Przy Anglii zaś powinna pozostać zachodnia część tego półwyspu, a więc państwo Syam i obie Birmanie, Górna i Dolna, oraz cały półwysep Malacki [1]).

W taki to sposób ludy, na krańcach południowowschodnich Azyi, dostały się przez bieg wypadków historycznych pod wpływy i rządy dwu państw europejskich. Każdy z dwu półwyspów znalazł swego władcę, jednego lub dwu: Malacki—Anglików, Indo-Chiny—tychże Anglików i Francuzów.

3.

Etnograf, badający mieszkańców ziemi, staje nieraz przed przedmiotem swojego badania w roli geologa, badającego materyały, z których ta lub owa powstała ziemia. Oba bowiem w przedmiocie swych badań odkrywają uwarstwienia różne, oba, z układu tych uwarstwień i stosunku ich wzajemnego ku sobie, wnosić mają o przeszłości danego zakątka ziemi, jeden o przeszłości geologicznej, drugi o przeszłości etnograficznej, dziejowej. Tylko między warstwami geologicznemi a warstwami etnograficznemi ta zachodzi różnica, że pierwsze idą zwykle w głąb powierzchni ziemi, wówczas gdy drugie, przylegając do jej wyniosłości, piętrzą się, wypierane z dołu przez inne, nad jej powierzchnią. Im dawniejsze ludy, tem zajmują one w kraju wyżej położone miejscowości, a gdy brak miejsc takich, cofają się w głąb jego, od dróg do niego prowadzących, coraz to dalej. Wybrzeża morskie i doliny rzeczne są to właśnie owe wrota, z których rozpoczyna się akcya pokrywania, a następnie wypierania, jednych warstw przez drugie; wrota, które pozostają zawsze przy ostatnich przychodzących.

[1]) Według E. Reclus, *Nouvelle Geographie Universelle*, VIII, Indo-Chiny wprawdzie z Manipurem, Dżitogongiem i Birmanią, mają rozległości 2,175,243 *km*² i 34,000,000 mieszkańców, Malakka zaś 250,192 *km*² i 1,525,000 mieszk., więc razem 2,425,435 *km*² i 35,525,000 mieszk. (str. 715 i 908). Gdy od tych cyfr odejmiemy posiadłości francuskie 457,000 *km*² i 19,534,000 mieszk., do 2,000,000 *km*² pozostaje przy Anglii z 14,000,000 mieszkańców.

Ale skoro obaj, geolog i etnograf, dojdą do uwarstwień, stwierdzą ich istnienie, określą ich rozmiary, uwydatnią zasadnicze cechy, zdobędą niektóre dane do uogólnienia prowadzące, robota jednego dopiero się rozpoczyna, drugiego zaś się przerywa, zatrzymuje, jeżeli się nawet nie kończy zupełnie. Skały bowiem, choć nieme, więcej zdołają powiedzieć geologowi niż etnografowi ludzie, jakkolwiek ci są przez przyrodę obdarzeni mową, a nadto — posiedli sztukę przechowywania swej mowy w postaci pisma, nadającego się do kreślenia nawet na owych niemych skałach.

Przyczyna takiego stanu rzeczy nie leży wszelako w człowieku, lecz przebywa zewnątrz środków mu dostępnych, nie wchodzi, co większa, nawet nigdy do jego świadomości od początku jego istnienia; a skoro zaś weszła, zapobiedz złemu już nie było w jego siłach.

Będąc jedne od drugich mniej co do swej istoty zależnemi, skały pozostają dłużej sobą. Jako trwalsze, z natury rzeczy wchłaniają w siebie człowieka samego i już nie jego, tylko w postaci utworów rąk jego ślad jego istnienia przechowują.

Różnic, stanowiących rozmaitość skał, napróżnobyśmy w stosunkach ludzkich poszukiwali w tem, co istotę ras stanowi. Ta istota przez krzyżowanie się jednostek ulega zmianie, zaciera się, a wytwarzając stale nowe odmiany, sama w swych zasadniczych cechach znika nakoniec. Trwalszemi pomiędzy ludźmi, niż różnice rasowe, są różnice, wytwarzane wśród nich przez kulturę. Ale i na nich opierać się stale etnograf nie może. Czas i te znosi. Kultura bowiem z zasady swej się rozwija, a więc wciąż się zmienia, a oporni jej rozwojowi, na prawa jej nie baczni, giną.

Tylko przeto, zestawiając z sobą pozostałości rasowe ze stanem kultury, a w wielu przypadkach z jej szczątkami, możemy w odkrywanych uwarstwieniach ludności, w każdym badanym kraju, dochodzić do pewnych mniej więcej danych etnograficznych. Ale jest to robota, której uczyć dopiero konieczność poczyna.

Zastosowanie tych uwag do stosunków etnograficznych, na południowo-wschodnich krańcach Azyi, uwydatnia na tych krańcach kilka uwarstwień wśród ludności tamtejszej.

Powstaniu i przechowaniu się tych uwarstwień wyjątkowo sprzyja powierzchowność geograficzna kraju. Przytykając do pasa środkowego Azyi, we wschodniej jego części wielce górzystego, stały się Indo-Chiny areną dla kształtowania się w rzeki wodom, spływającym z owych gór i płaskowzgórz.

Nie pamiętam, który to z podróżników upatruje w Indo-Chinach (bez półwyspu Malajskiego) kształt ręki ludzkiej, mianowicie lewej, gdy ją dłonią, z palcami ku dołowi, zwrócimy ku sobie. Pięć palców wskazywać nam będzie istnienie i kierunek pięciu głównych rzek, spływających z wyżyn pasa środkowego. Idący w osobnym kierunku, a od czterech innych odstający, palec wielki przedstawiać ma rzekę Song-Kai (Czerwoną rzekę), płynącą w kierunku wschodnim i wpadającą w zatoce Tonkińskiej do morza Chińskiego. Cztery zaś inne palce — rzeki, płynące w kierunku południowym: Mekong, najdłuższą i największą rzekę w Indo-Chinach, wpadającą, pomimo zmienionego kierunku, do tegoż morza Chińskiego; Menam, najkrótszą rzekę w Indo-Chinach, wpadającą do zatoki Syamskiej; Saluen i Irauaddi — do oceanu Indyjskiego. Tylko dla ściślejszego upodobnienia dodać należy, że próżni między palcami na ręce odpowiadają w Indo-Chinach góry, w większości pokryte pierwotnemi lasami. Te góry w miarę posuwania się ku północy wzrastają, aż się zleją nakoniec z górami pasa środkowego.

Już poprzednia wzmianka historyczna, o zajęciu przez Francuzów i Anglików Indo-Chin, naprowadza na wniosek, że jesteśmy w przededniu powstania na tych krańcach Azyi nowej warstwy, mającej zapanować nad wszystkiemi innemi, wcześniejszemi, a złożyć się z Europejczyków i z nich pochodzących metysów. Wojsko, urzędnicy administracyjni, przemysłowcy, handlarze, komisanci, nakoniec pewien procent ludzi bez określonego zajęcia, dający się objąć ogólną nazwą awanturników, wytwarzają tę warstwę, której łącznikiem z dawniejszemi stają się metysi.

Zaraz pod tą warstwą, dopiero powstającą, a którą, wskutek tego, zwać możemy jeszcze warstwą przyszłości, spoczywa druga, będąca do ostatnich wypadków dziejowych warstwą wyłącznie panującą, a więc niby pokrywającą

w krajach, gdzie powstała, wszystkie inne. Wytworzyły ją też żywioły napływowe. Czy żywiołom tym ukształtować warstwę górną ludności w Indo-Chinach te same dozwoliły przyczyny, które obecnie dozwolają Europejczykom rozpocząć wytwarzanie jeszcze ponad nią wyższej, przyczyny, spoczywające w większem uzdolnieniu rasowem, za czem poszło odpowiednie przygotowanie techniczne? Czy też tylko długi szereg wieków, w każdym jednakże razie już historycznych, a nawet głównie przypadających na naszą erę, a przytem pochłaniająca ilość liczebna? Na te pytania odpowiedzieć może badanie nad pochodzeniem tej warstwy samej, a również i przez nią wypartej.

Składają ją rozmaite ludy historyczne: Annamici, Kambodżanie, Syamici, Birmanowie i Malajczycy. Wszystkie te ludy potworzyły w swoim czasie niezależne jedne od drugich państwa, których znaczenie dziejowe dobiegło obecnie do końca. Wszystkie te ludy, stanąwszy na mniej więcej jednym poziomie wykształcenia kulturowego, pomimo różnic plemiennych, szczepowych, a nawet rasowych, dzielących je, wytworzyły każde w granicach swojego państwa, zresztą niezawsze ściśle określonych i ochranianych, jedną warstwę etnologiczną na całej przestrzeni obu półwyspów, dorównywającej prawie czwartej części Europy.

Annamici, począwszy od granicy chińskiej na północy, zajęli deltę rzeki Song-Kai (Tonkin dolny) i, posuwając się głównie pasem nadbrzeżnym, dotarli do ujść Mekongu, zajęli jego deltę, przeszli na brzeg jego prawy i już po obu stronach rzeki podsunęli się w górę do granic Kambodży. Jest to Kochinchina.

Kambodżanie, począwszy od brzegu zatoki Syamskiej, zajmują ku wschodowi kotlinę jeziora Tonle Sap (Wielkiego jeziora) i oba brzegi, ponad Kochinchiną, Mekongu, a sięgają ku północy, pokąd tylko Mekong Dolny nie przestaje być spławnym, więc do wysp Khong.

Kraj, położony pomiędzy dolinami rzek Mekongu i Menamu, powyżej wysp Khong, zajmują Syamici. Główną wszakże ich siedzibą pozostaje dolina Menamu. Menam będąc najkrótszą rzeką w Indo-Chinach z pięciu głównych, już nie wypływa z wyżyn Azyi środkowej, a nawet nie przekracza 20-go stopnia szerokości. Osiedli w dolinie jego

Annamici ku północy nie sięgają wyżej tego miejsca, gdzie Mekong raptownie, po raz już drugi, zwróciwszy się ku wschodowi, a następnie południowi, tworzy jakby kąt prosty. Od koryta Mekongu, w tym jego zwrocie ku wschodowi, tylko wyniosłe jego brzegi oddzielają źródła Menamu.

Doliny rzek Saluenu i Irauaddi zajmują Birmanowie.

Malajczycy, głównie osiedleni na półwyspie Malakka, nie utworzyli na tym półwyspie żadnego, na wzór wymienionych ludów, wielkiego a jednolitego państwa. Po części na to wpływać mógł brak odpowiednich warunków geograficznych, po części zaś już od XVI stulecia osiedlenie się na Malacce Europejczyków, początkowo, jak wiemy, Portugalczyków, następnie Holendrów, których zastąpili nakoniec Anglicy. Jednakże istnieje tam jeszcze dotychczas kilka niezależnych państewek malajskich, jak oto: Perak, Pahany, Negri-Sembilan (związek 9-ciu państewek), Dżahor.

Wszystkie ludy, stanowiące pierwszą dotychczas warstwę ludności w Indo-Chinach i na półwyspie Malackim, rozważane pod względem cech etnograficznych, przedstawiają trzy odrębne grupy. Pierwszą z nich stanowią: Annamici, Syamici i Birmanowie.

Etnologia na stanowisku swem obecnem, nie znając jeszcze psychologii ludów, przy ich klasyfikacyi głównie się opiera na cechach zewnętrznych. Wśród tych cech przedewszystkiem uderzają: kształt głowy, cera skóry i uwłosienie, nakoniec wzrost. Wszystkie te cechy zbliżone do siebie u Annamitów, Syamitów i Birmanów, wykazują ich wspólne pochodzenie rasowe. I tak:

Annamici: wskaźnik głowowy u mężczyzn 83,23, u kobiet 81,23. Cera żółta, odcieni wosku i miedzi; włosy na głowie czarne, grube, twarde, długie; na twarzy zaczynają rosnąć w latach trzydziestu i pokazują się tylko na wargach i brodzie. Wzrost średnio 1,59 *m.* u mężczyzn, 1,51 u kobiet.

Syamici: wskaźnik głowowy 81,5. Cera żółto oliwkowa; uwłosienie czarne i twarde; broda rzadka. Wzrost średnio 1,61.

Birmanowie: wskaźnik głowowy 83,6. Cera żółto-oliwkowa; uwłosienie czarne, twarde. Wzrost 1,67.

Wahający się pomiędzy 83,23 (Annamici) i 81,5 (Syamici) wskaźnik głowowy zmusza do zaliczenia tych ludów

do krótkogłowych (brachycefalów), co przy cerze żółtej (rozmaitych odcieni) i uwłosieniu czarnem, twardem, grubem, a rzadkiem, wzroście małym (Annamici) lub niżej średnim (Birmanowie), stanowi główne cechy rasy żółtej, czyli mongolskiej.

A. de Quatrefages w swych tablicach etnologicznych, pomieszczonych w dziele: *Histoire générale des races humaines* (1889), które dotychczas jeszcze nie są zastąpione przez



62. Annamita z Tonkinu [1]).



63. Annamita z Saigonu [2]).

dokładniejsze lub oparte na innym, równoważnym systemacie, rasę mongolską, inaczej żółtą, dzieli na cztery szczepy: syberyjski, tybetański, indo-chiński i amerykański. Następnie w szczepie indo-chińskim, nas w tym razie przedewszystkiem obchodzącym, wyróżnia gałęzie: birmańską, chińską i Tai. W taki sposób Birmanowie stanowią osobną gałąź w szczepie indochińskim rasy mongolskiej. Druga gałąź tego szczepu, Tai, rozpada się na dwie rodziny: annamską i syamską.

[1]) Rysunek wzięty z dzieła: *Annamites et Extrême-Occidentaux* — par Le Général Frey, Paryż, 1894, i wyobraża malarza Khana, według portretu przez niego samego zrobionego.

[2]) Fotografia wzięta z *L'Anthropologie* Nr 5, 1890 r. i wyobraża Nai, strzelca annamskiego.

Annamici więc i Syamici będą stanowili dwie rodziny w gałęzi Tai, szczepu indo-chińskiego tejże rasy.

Oprócz cech głównych, wykazują nadto pochodzenie mongolskie tych trzech ludów: charakterystyczna postać (przysadkowatość i nogi kabłąkowate) i twarz (nosy spłaszczone, oprawa i linie oczu, grubość warg), a przytem cechy moralne (usposobienie do ustroju stadowego, ospałość, lenistwo, okrucieństwo) i umysłowe (brak wszelkiego krytycyzmu w poglądach społecznych i pojęciach naukowych).

Pewne wahanie się we wskaźnikach głowowych, we wzroście i w odcieniach barwy skóry, spotykane w tych ludach, przypisać należy wpływowi krzyżowania się, czego istnienie innych warstw ludności w Indo-Chinach dowodzi.

Drugą grupę w warstwie dotychczas panującej, a więc pierwszej wśród ludności w Indo-Chinach, stanowią Kambodżanie.

Pomimo kilkudziesięcio-letnich już stosunków ludów europejskich z ludnością Indo-Chin, badania etnologiczne dopiero się tam rozpoczynają. Przyczyny tego szukać należy w obszarze samego kraju, w trudności komunikacyi, w niedostępności wielu krajów, nakoniec w charakterze stosunków Europejczyków do tej ludności. Etnolog dotychczas jeszcze ukrywa się pod postacią dyplomaty, administratora lub wojskowego. Stanowcze zaliczenie Annamitów i tak dalej do rasy mongolskiej, umieszczenie nad nimi etykiety »człowiek żółty,« po części uspokaja i zadowala badacza. Z rasą mongolską Europejczycy stykają się w samej Europie, w niej się pogrążają, wstępując do Azyi północnej i środkowej; sam wyraz: »Mongoł« budzi już określone pojęcie o człowieku. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy w świecie mongolskim spotyka się ludność, do której nazwy »mongolska« wcale nie można, lub po części tylko można zastosować, która, obok cech rzeczywistego lub pozornego mongolizmu, posiada jeszcze inne, odrębne, nieznane.

Takich ludów *nie* mongolskich, lub *niezupełnie* mongolskich, znajduje się kilka na krańcach wschodnich Azyi. Takim ludem właśnie, i to jednym z pierwszych, gdyż w warstwie górnej, są Kambodżanie, którzy sami nazywają siebie Kmerami.

Na tle ogólnem mongolizmu (wskaźnik głowowy: dla mężczyzn 83,74, dla kobiet 85,11; wzrost: 1,66 dla mężczyzn, 1,45 dla kobiet) tyle się w nich spotyka odstąpień od typu czystego Mongoła, że wszyscy etnologowie dochodzą do jednego zdania, że Kambodżanie są przedewszystkiem metysami mongolskimi. Ale jakież to inne pierwiastki etniczne wchodzą w ich ustrój fizyczny?

Już samo wyliczenie różnych odpowiedzi daje pojęcie o zawiłości tej kwestyi. Harmand (o którym wyżej wspominałem) twierdzi, że Kambodżanie powstali z miejscowej ludności dawniejszej i przybyszów Malajów. Maurel zgadza się na ową ludność pierwotną, ale widzi w nich przymieszkę nie Malajów, tylko czystych Mongołów. Dla Moura i Wakego w skład Kmerów weszła ludność przybyła z Indyi, bądź to Aryowie, bądź to już Drawidzi.

Opierając się na fakcie stwierdzonym silnej metyzacyi, w Kambodżanach upatrywać należy dawniejszych stosunkowo od Annamitów i Syamitów mieszkańców Indo-Chin. Tego samego dowodzi istnienie w Kambodży na północ od jeziora Tonle-Sap w prowincyi Ang-Kor (świeżo odstąpionej Syamowi) rozwalin wspaniałych gmachów (o których wspomniałem), jedynych w Indo-Chinach pomników, świadczących o innej, dawniejszej i, co być może, wyższej od dzisiejszej cywilizacyi w tym kraju. Zresztą poznanie warstw następnych rzuci trochę światła na przeszłość Kambodży.

Trzecią grupę w dotychczasowej warstwie górnej ludności na krańcach południowo-wschodnich Azyi stanowią Malajczycy.

Gdy poprzednio staliśmy już wobec zagadki etnologicznej w postaci Kambodżan, obecnie, przechodząc do Malajczyków, stajemy wobec jeszcze większej, gdyż już rzecz idzie nie o ludność drobnego kraiku w Indo-Chinach, nie przewyższającą znacznie miliona głów, lecz o ludność wynoszącą kilkanaście milionów, rozrzuconą od krańców południowo-wschodnich Azyi do krańców południowych Oceanii i wschodnich Afryki (Madagaskar), ludność, w której liczni antropologowie poligeniści widzą osobną z pochodzenia rasę ludzką, nie zaś szczep lub gałąź innej rasy, żółtej, który, jak to utrzymują monogeniści, uległ tylko wskutek bardzo wczesnego odłączenia się od pnia głównego a zwłaszcza

wskutek nowych dla siebie warunków klimatycznych, oraz koniecznego krzyżowania się, pewnym istotnym zmianom w ustroju fizycznym i usposobieniu moralnem.

A. de Quatrefages, w przytoczonych powyżej tablicach etnologicznych, obok tablic dla rasy czarnej, białej i żółtej, mieści czwartą — dla ras oceanijskich, powstałych ze zmieszania (races mixtes océaniennes). Otóż w tej tablicy oddziela ludy, w których żywioły etnogeniczne istnieją obok siebie niezmieszane (juxtaposés), od ludów, w których te żywioły się zlały (fondus). Wśród tych ostatnich wykazuje dwie gałęzie: malajską i polinezyjską; w gałęzi zaś pierwszej, w rodzinie Malajczyków wschodnich, wśród innych grup wyosabnia grupę Malajczyków, zamieszkałych na Malacce. Będą to właśnie ci Malajczycy, którzy, wśród górnej warstwy ludności na krańcach południowo-wschodnich Azyi, stanowią naszą grupę trzecią.

Półwysep Malakka, razem ze środkiem sąsiedniej wyspy Sumatry, jest główną siedzibą owych Malajczyków [1]).

4.

Ludy, ustępujące obecnie Europejczykom panowanie swe nad południowo-wschodniemi krańcami Azyi, potworzywszy państwa na tych krańcach, nigdy nie doszły do odgraniczenia stanowczego jednego państwa od drugiego, do wytknięcia każdemu stałych granic. Wpłynęły na to warunki geograficzne, góry pokryte śniegiem lub pierwotnemi puszczami, i rzeki bystre. Te ostatnie, poprzerzynane wodospadami w górnym swym biegu, szerokie i nieujęte w stałe brzegi w dolnym, nie dały nad sobą zapanować człowiekowi.

---

[1]) Do tych pięciu ludów mógłbym jeszcze dołączyć Chińczyków. Chociaż nie stanowią oni osobnego państwa w Indo-Chinach i na Malacce, w każdem z państw łączą się z ludnością panującą. Od północy wciskają się jako główna ludność środkowego pasa Azyi, do którego Indo-Chiny przytykają. Od wschodu i zachodu nacierają jako emigranci, poświęcający się handlowi i rzemiosłom. Zwłaszcza na Malacce ich wpływy wzrastają i wzmaga się ich ilość. Ale do Chińczyków wrócę, mówiąc poniżej o stosunkach etnograficznych na krańcach wschodnich Azyi środkowej.

Bardziej zaś, niż warunki geograficzne, wpłynęły na to— usposobienie i charakter samych tych ludów. Ludy mongolskie, przy stadowem swem urządzeniu, są wrogie dla wszelkiej inicyatywy prywatnej, która jedynie tylko wprowadza narody na szerokie gościńce rozwoju i postępu. Ospałość rasowa i brak krytycyzmu, we wszelkich stosunkach, przeszkadzały im zarówno udoskonalać formy bytu społecznego i rozwijać swe potrzeby, jako też wynajdować coraz to nowsze pola—dla pracy rozbudzonej i rozwiniętej inteligencyi, i szukać nowych dróg dla zaspokajania powstających potrzeb. Dla utrzymania się na właściwym sobie stopniu kultury — potrzebowały przedewszystkiem pól do uprawy. Tych pól dostarczały tylko delty rzek wielkich, brzegi tych rzek, skoro one spłynęły na równiny, oraz stosunkowo wązkie pasy morskich wybrzeży. Przemysł pozostawał na pierwotnym stopniu; lasy [1]) i bogactwa mineralne, nie będąc wyzyskiwane, nie nęciły tych ludów w głąb kraju, w puszcze i na wyżyny, a rzeki stanowiły nieprzebyte zapory. Wynikało z tego, że pomiędzy państwami tworzyły się szerokie pasy pograniczne, do którego nominalnie tylko rościły pretensye oba sąsiednie ludy, nigdy tych pretensyi nie popierając zresztą żadnym aktem woli.

I tak, patrząc na kartę Indo-Chin, zdawaćby się mogło, że pomiędzy Annamem a Syamem granicę naturalną powinnoby tworzyć koryto rzeki Mekong. Jednakże—ani jedno, ani drugie państwo o Mekong właściwie się nie opiera. Spór o granicę powstał dopiero, gdy Europejczycy stanęli naprzeciw siebie po obu stronach tej rzeki.

Nad Mekongiem, nim on stanowczo utraci charakter rzeki górskiej, która, zstępując na równiny, niby z pięter, spada coraz to niżej, a więc od granicy chińskiej aż do ostatnich wodospadów przy wyspach Khong, osiadły ludy, objęte ogólną nazwą Laosowie. Są one niezależne od obu po obu brzegach Mekongu rozciągających się państw, tworzą

[1]) »Annamita rzadko się zapuszcza w głąb lasów, obawia się on tygrysów, które są ich mieszkańcami licznymi, i dla których uczuwa cześć religijną; a bardziej jeszcze — febry leśnej, której często pada ofiarą i, rzecz dziwna, względem której mniej posiada odporności niż Europejczyk.« *Revue scientifique,* 6 grudnia, 1890. *(Les forêts de l'Indo-Chine).*

liczne drobne państewka, uznające tylko nad sobą zwierzchnictwo jednego z dwu wielkich państw sąsiednich.

Gdy Mekong, gwałtownym zwrotem ku wschodowi, zagrodził Syamitom dalsze posuwanie się ku północy, powinnyby państwa annamskie i birmańskie, jak sądzićby należało również patrząc na kartę, zetknąć się z sobą bezpośrednio. Tymczasem tak nie jest. Pomiędzy Annamem a Birmą, poczynając od górnych dopływów Menamu, następnie od górnych dopływów Saluenu, wachlarzowato spadających z gór Birmańskich, aż po góry środkowego pasa Azyi, rozsiadły się ludy, noszące ogólną nazwę Szan, które, jak i Laosowie, tworzą szeregi drobnych państewek niezależnych, od południa pozostających pod zwierzchnictwem Syamu, a od północy pod zwierzchnictwem Birmanii. I tu dopiero ludy europejskie, zetknąwszy się w pochodzie swym, od wschodu (Francuzi) i od zachodu (Anglicy), podjęli kwestyą utworzenia stałej granicy i właściwego jej utrwalenia.

Nie inaczej się dzieje i na granicach Annamu od strony Chin, więc od północy i północo-wschodu. I tu właściwie dopiero Francya, dotarłszy do Chin, podjęła kwestyę odgraniczenia stałego Tonkinu przez linię graniczną, znaną obu państwom i ściśle na kartach i w protokółach oznaczoną. Tylko właściwie delta rzeki Song-Kai jest przez Annamitów zamieszkana. Kraj powyżej położony, przez który przepływa owa Song-Kai i dwa główne jej dopływy: Song-Ba (rzeka Czarna) i Song-Szai, głównie jest zamieszkany przez lud zwany Tho, który, będąc w obrębie nominalnych granic państwa Annamskiego, podlega mu również nominalnie, a w rzeczywistości, podzielony na klany, zachowuje zupełny prawie samorząd administracyjny pod rządami wybitniejszych wśród siebie rodzin.

Tak więc, obok ludów, które w Indo-Chinach pozakładały wielkie państwa, Annamitów, Syamitów, Birmanów i Kambodżan, w dolinie Mekongu środkowego (górny Mekong przepływa w granicach Chin), nad źródłami i górnym biegiem rzek, zlewających się w Menam i Saluen, nad brzegami trzech rzek w Tonkinie, istnieją ludy, od wymienionych, które potworzyły wielkie państwa, całkiem niezależne, lub od nich wpół tylko zależne: Laos, Szan, Tho. Ludy te

stanowią drugą, a uwzględniając tworzącą się obecnie najświeższą, trzecią warstwę ludności w Indo-Chinach. Tej warstwy na półwyspie Malakka nie spotyka się wcale.

Zatrzymamy się po kolei na każdym z tych ludów.

Laosowie. Pomiarów antropometrycznych, zdjętych na Laosach, nie posiadamy. Dr. Harmand twierdzi, że oni są brachycefale. A ponieważ i inne cechy charakterystyczne (cera skóry, uwłosienie, wzrost) zbliżają ich do typu mongolskiego, A. de Quatrefages we wzmiankowanych tablicach etnologicznych zalicza ich do rodziny Syamitów.

Główną drogę do kraju i w kraju Laosów stanowi Mekong. Od czasów pierwszej wyprawy na tę rzekę Doudart de Lagrée (1866—1868) utrwaliło się przekonanie, że rzeka ta w środkowym swym biegu (od granic Kambodży do Chin) nie może być na całej przestrzeni, tylko w kilku działach, spławną. Otóż dopiero ostatnie lat dwa dowiodły, że tak nie jest i że spławność Mekongu bardziej zależy od stanu wód, to jest od pory roku, niż od przeszkód miejscowych, kamieni stanowiących piętra, po których spada, i wysp rozsianych po niej. Dwie kanonierki francuskie, »La Grandière« i »Massie«, od października 1893 do października 1895 roku przebyły Mekong na całej przestrzeni od wodospadów Khone (poniżej wyspy Khong) do Tang-Ko, miejscowości, gdzie Mekong staje się już granicą ku północy pomiędzy Tonkinem a Birmanią. Otwarcie żeglugi po Mekongu da poznać bliżej głównych mieszkańców jego brzegów. Nim to nastąpi, oto co o Laosach podaje G. Simon, naczelnik wyprawy:

»W miarę jak się płynie w górę Mekongu, począwszy od Khone, ludność laoska nie zmienia się tak bardzo widocznie w swym typie rasowym; mówię tu naturalnie o mieszkańcach nadbrzeżnych. Fizycznie — są to ci sami ludzie; proporcya między członkami dobrze zachowana, dobrej budowy ciała, wzrostu średniego, prawie takiego, jak my sami. Kolor skóry jest ciemniejszy, to jest bardziej bronzowy, w Laosie dolnym niż górnym. W przeciwieństwie do Chińczyków i Annamitów Laosowie noszą włosy krótko strzyżone; niektórzy, wierni jeszcze tradycyom syamskim, goląc sobie głowę naokoło, pozostawiają na wierzchołku tupet w postaci szczotki okrągłej...

»Co dotycze ich przymiotów moralnych, nie sądzę, by było można spotkać gdziekolwiek lud, mający bardziej słodki charakter, bardziej ustępujący, zgodny, lepszych, jednem słowem, dzieci, niż są Laosowie. Nigdy wśród nich niema sporów, kłótni, bójek. Zawsze się tak urządzają, by był spokój i zgoda. Lubią nadewszystko przyjemności pod wszystkiemi postaciami, ale za to mało skłonności mają do pracy.

»Uroczystości zajmują im znaczną część roku. A oprócz tego zawsze znajdują tysiące powodów do zabawy, jak oto: małżeństwo czyjekolwiekbądź, śmierć bonzy, lub wysokiego urzędnika i bogatego sąsiada, zbiór ryżu i zbudowanie chaty, szczęśliwie odbyta podróż, zakończenie pomyślne interesu, złożenie ofiar w pagodzie i t. p.

»Niektóre uroczystości trwają dwa lub trzy dni. Zwykle odbywają się około pagody, gdzie naprędce wznoszą lekkie schronisko – dla przyjęcia i pomieszczenia wszystkich zaproszonych z sąsiednich wsi. Oprócz jadła należy im z sobą przynosić swoją matę i poduszkę, gdyż sypiają zwykle na miejscu uroczystości, wprost na ziemi.

»Laosowie między sobą mało okazują gościnności. Każda wieś posiada przeto swoją »sala«. Jest to rodzaj szopy dużej, czworokątnej, wzniesionej na gruncie do pagody należącym, a przeznaczonej wyłącznie na hotel dla podróżnych. Nieraz taka szopa składa się tylko z dachu słomianego bez ścian. Utrzymywanie ich należy do bonzów, którzy, z małemi zresztą wyjątkami, dozwalają im, jako też i swoim pagodom, walić się ze starości.

»Pory roku w Laosie stanowią o programacie całorocznych zajęć gospodarskich. Od maja do listopada, pora roku dżdżysta, jest poświęcona na zasiew i zbiór ryżu. Ryż jest podstawą wszelkiego pożywienia. W październiku przytem i listopadzie sadzą tytuń i bawełnę. Nadbrzeża urwiste Mekongu, w czasie małych wód w rzece zupełnie odkryte, dostarczają gruntu wyjątkowo żyznego i przyjaznego dla tych roślin, i to na przestrzeni bezmiernie rozległej.

»W grudniu, styczniu, lutym — jest czas poświęcony rybołówstwu; wody nizkie, rzeka spokojna, ryby w obfitości. Niektóre, jak naprzykład «plabenk«, mają rozmiary rekina, nie mając jego żarłoczności. Jedna taka ryba osolona i uwę-

dzona może wykarmić całą rodzinę w przeciągu roku. Po ryżu bowiem następują ryby, jako ulubione jadło Laosów.

Do ryżu i ryb dołączają niekiedy świninę, kury, kaczki, bawoły, ale nigdy wołów« [1]).

Te wiadomości uzupełniam jeszcze powziętemi z innego źródła francuskiego:

»Ze strony Laosów nie mamy powodów obawiać się niczego. Jest to naród bardzo spokojny, bojaźliwy do ostateczności, słaby i niedołężny. Zadawala się bardzo niewielką ilością jadła. Wyjątkowo zabobonny, dla swoich bonzów ukazuje niezwykłą uległość i poszanowanie. Czczą oni Buddę, swego wielkiego boga; posągi jego i posążki spotykają się w wielkiej ilości...

»Domy Laosów są to proste szopy z bambusu i słomy. W jednej takiej, nie posiadającej żadnych przedziałów, mieści się cała rodzina; wogóle są one brudne i źle utrzymane. Ubiór ich jest złożony z kawałka tkaniny, którą sami wyrabiają i którą zarzucają niedbale naokoło siebie...

»Głównem zajęciem mieszkańców jest wyrób rozmaitych tkanin, które sprzedają następnie Kambodżanom i Syamitom. Oprócz temi tkaninami, handlu żadnego nie prowadzą. Przenoszą nad sprzedaż zamianę. Monetę ich stanowi drobny pieniądz syamski i kulki srebrne, wartości dwu franków. Przyjmują chętnie pieniądze srebrne, zwłaszcza piastry, które zaraz przedziurawiają i zawieszają sobie około szyi...« [2]).

Zapewne wskutek większego porządku i bezpieczeństwa, wprowadzonego do kraju przez Francuzów, Laosowie rozpoczęli przypędzać bydło (bawoły i woły) do Kochinchiny i Annamu na sprzedaż [3]).

Ludy Szan. Mniej dostępne niż Laosowie, ludy te mniej jeszcze są zbadane i znane. W braku zupełnym po-

---

[1]) *Revue Française de l'Etranger et des Colonies,* Nr. 210, czerwiec, 1896, artykuł pod tyt.: *La Mission G. Simon en amont de Luang-Prabang.*

[2]) *L'Ile de Khong. Lettres laotiennes d'un Engagé volontaire.* Paryż, 1896.

[3]) »Ważny wypadek handlowy miał miejce w Annamie. Znaczna karawana Laosów przybyła do Hue (stolicy Annamu) z 15 słoniami i wielką ilością bydła... 1.500 sztuk bawołów, wołów i krów było sprzedane, mniej niż we trzy dni.« *Rev. Franç. de l'Etrang. et des Colonies,* Nr. 198, 1895 r., str. 377. W Nrze 203, z tegoż roku, takaż sama wiadomość o przypędzeniu bydła i bawołów do Kochinchiny: *Lettre de Cochinchine,* str. 662—663.

miarów antropometrycznych, tylko wygląd zewnętrzny stanowić może o ich pochodzeniu. Otóż, opierając się na nim, zaliczyć należy ludy te do rodziny Thai. Chińczycy nazywają ludy Szan »białymi dzikimi«. Wskazuje to, że wśród otaczających je ludów mają oni jaśniejszą cerę, a zarazem — przedstawia nizki stopień ich kultury. W każdym razie niżej pod tym względem nie stoją od Laosów.

Ludy Tho. Konieczność polityczna zmusiła Francuzów do dotarcia do granic, a raczej, do wytworzenia granicy wschodniej i północnej dla Tonkinu. Traktat, zawarty z Anglią w roku 1896, wzmiankowany już na tem miejscu, stanowi, że ową granicą ze wschodu ma być rzeka Mekong, od miejsca wpadnięcia do niej prawego dopływu Nam-Huok. Z Chinami konwencya graniczna też już jest zawarta i granica północna wytknięta. Nim te granice wytknięto i traktatami zawarowano, Francuzi zdobywali piędź po piędzi ziemi, posuwając się od delty Song-Kai w głąb kraju, na wschód i północ. Chociaż dotychczas żadna jeszcze specyalnie naukowa komisya nie zbadała zdobytego Tonkinu pod względami etnograficznemi, w liczbie wojskowych i administracyjnych urzędników znajdowały się jednostki przygotowane do zdobycia i naukowych, chociaż luźnych, wiadomości.

Mam tu na myśli dzieła A. de Pourville'a: *Le Tonkin Actuel*, 1887—1890; *Deux années de lutte*, 1890—1891; *La politique Indo-Chinoise*, 1892—1893; oraz P. Famina (vice-président de la commission d'abornement des frontière Sino-Annamite en 1894): *Au Tonkin et sur la frontière du Quang-Si*, 1895.

Dzieła te, obok szczegółów politycznych, wojskowych i administracyjnych, mieszczą i etnograficzne, z których czerpię o ludach Tho.

Famin upatruje wielkie zbliżenie pomiędzy Tho a Kambodżanami pod względem fizycznym, moralnym i obyczajowym, i twierdzi, że najście Annamitów i Syamitów przerwało ciągłość terytoryalną pomiędzy jednymi i drugimi. Kambodżanie, jakkolwiek ze wszech stron okrążeni, na południu przechowali swoją niezależność; Tho, wypierani ze środkowych Indo-Chin, szukali schronienia na północy, pod chińską granicą. Wobec pytania o pochodzeniu samych Kambodżan, utożsamienie z nimi ludów Tho sprawy jeszcze

nie rozstrzyga całkowicie; w każdym razie jednak rzuca pewne światło i dostarcza punktu wyjścia dla przyszłych badań.

Tho są wszyscy rolnicy, uprawiają głównie ryż i zamieszkują wogóle doliny. Noszą ubranie ozdobione kołnierzem i rękawami, na głowie turbany, wszystko koloru błękitnego. Każda rodzina, nawet najmniej zamożna, przysposabia i zabarwia sama sobie tkaniny bawełniane. Chodzą



64. Tho mężczyzna.



65. Tho kobieta [1]).

zwykle boso, czy to po polach, czy też po swoich osadach; tylko wybierając się w góry lub dłuższą jaką drogę, używają sandałów. Domy ich, budowane z drzewa i łat bambusowych, są stawiane przez zamożniejszych na palach. Wówczas dół służy za stajnię dla wołów i bawołów, piętro — za mieszkanie dla rodziny. Mężczyźni wyłącznie są zajęci robotą polową. Kobiety, biorąc i w niej udział, tkają nadto

[1]) Podobizny te są wzięte z dzieła P. Famin: *Au Tonkin et sur la Frontière du Kwang-Si.* Paryż, 1895.

materyę na ubranie, hodują bydło domowe i utrzymują przy domach małe ogródki warzywne.

Rodzina jest podstawą społeczeństwa wśród nich. Ojciec posiada nad rodziną władzę nieograniczoną; jego rozkazy są spełniane bez krytyki i oporu. Ma on prawo posiadać kilka żon, ale pierwsza tylko używa praw małżonki prawej; inne, które najczęściej sama ona wybiera, są to tylko służące. Wszystkie dzieci męża ją tylko zowią matką. Zresztą poligamia ta jest wynikiem zamożności. Ubogi zadawala się jedną lub najwyżej dwiema żonami.

Religię ich stanowi kult przodków. Nędzne i nieliczne świątynie są tylko nawiedzane w uroczyste dni świąteczne. Prawie każda jest pobudowana dla przechowania w pamięci króla jakiego lub bohatera. Stąd posągi bogów w nich się prawie nie spotykają.

Tho są wogóle wysocy, silni i daleko mocniejsi od mieszkańców delty. Cera ich jest jaśniejsza od cery Annamitów, nosy cieńsze; policzki i szczęki mniej wystające; usta mniejsze; powieki szerzej rozcięte. Mężczyźni i kobiety mają twarze często bardo regularne i zbliżone do pojęcia wyrobionego wśród Europejczyków o pięknie. A przytem posiadają więcej przedsiębierczości i energii, niż mieszkańcy delty, co wypływa z ich większego oddalenia od Annamitów.

Z punktu widzenia moralności Tho przedstawia więcej wartości niż Annamita. Przy wstrzemięźliwości i posłuszeństwie tego drugiego, Tho jest otwartym bardziej i uczciwym. Ale zato mniej niż tamtem posiada rozumu, a zwłaszcza sprytu, zręczności i nie ma tego daru naśladownictwa i zastosowywania się. Będąc bardziej z charakteru hardy i niezależny, niż Chińczyk i Annamita, Tho jest mniej od nich pracowity. Wrodzone usposobienie pociągałoby go w góry, na polowanie i włóczęgostwo, bardziej niż do kopania brózd po polach. Jednakże umie on ulegać konieczności i staje się dobrym rolnikiem.

Jednakowo nie cierpiąc Annamitów jak i Chińczyków, Tho nie mieli udziału w rozbójnictwie tonkińskiem i, jak twierdzą naoczni świadkowie, sprzyjają Francuzom. Dobry naczelnik postu francuskiego, działając na nich dobrocią i postępując z nimi sprawiedliwie, może wszystko na nich wymódz i do wszystkiego zachęcić.

5.

Przyczyny, które ludom, zamieszkującym południowowschodnie krańce Azyi i tworzącym na tych krańcach państwa, nie dozwoliły bądź te państwa oprzeć o granice naturalne, bądź nakreślić im inne, ale stałe, wpłynęły też i na to, że w obrębie tych samych państw góry i puszcze pierwotne stały się schroniskami ludności różnej, a odrębnej od ludności panującej. Otóż ta ludność stanowi warstwę trzecią, a przy uwzględnieniu obecnie się tworzącej z Europejczyków, czwartą.

Ludy panujące ludność, chroniącą się po górach i lasach, zwą w swej mowie »dzikimi.« Pod tą też nazwą ludność ta głównie jest znana i ona przechodzi do obcych. Ale nie jest to ich nazwą jedyną. Inną nadają oni sobie sami; inną jeszcze nadają im ich sąsiedzi. Wszystkie te nazwy są rodzajowe, okolicznościowe, nigdy zaś rasowe lub plemienne. Z obfitości nazw powstaje wielkie zamieszanie. Odrębna nazwa nie oznacza zawsze odrębności pochodzenia. Zbliżona nazwa nie oznacza zawsze zbliżenia lub wspólności plemiennej.

Jeżeli przy poznawaniu ludów, stanowiących zwierzchnie warstwy, stawaliśmy wobec zagadek etnograficznych, zagadki te się mnożą, gdy przystępujemy do ludów, stanowiących warstwę jeszcze dawniejszych mieszkańców Indo-Chin i Malakki, a to z dwu powodów. Jeden leży w samym przedmiocie badań, to jest w samych tych ludach; drugi w tej okoliczności, że te ludy są jeszcze mniej znane od stanowiących warstwy panujące.

A. T. Mondière, przez lat osiem zamieszkały w Indo-Chinach i, jako obeznany ze stosunkami miejscowemi, autor wielu cennych rozpraw etnograficznych, wylicza ludy »dzikie« w Indo-Chinach i na Malacce w dwu pracach, jednej p. t. *Les races de l'Indo-Chine,* pomieszczonej w *Revue d'Anthropologie* za rok 1882 i 1883, i w artykule: *Indo-Chine* — w *Dictionnaire des Sciences Anthropologiques.* Z tych dwu prac się okazuje: 1) Że na krańcach południowo-wschodnich Azyi, tę warstwę ludności, którą nazwać możemy czwartą, stanowią czterdzieści trzy ludy. A cyfra ta może nie być ścisłą i nie zawierać jeszcze wszystkich. 2) Że te ludy przed-

stawiają wielką rozmaitość pod względem wzrostu i kształtu głowy. I tak, co do pierwszego, Pou Thaï, mają wzrost mały: 1,55 *mm*, Tsiam czyli Kam — 1,67, a więc znacznie wyższy. Co do drugiego, wskaźnik głowowy dla Gnia-Heunów wynosi 73,71; będą więc oni dolichecefale czyści. Poddolichocefale są Moi, których wskaźnik wynosi 77,48 i Theh — wskaźnik 76,17. Mezaticefale są: Nago — 78,10; Bolowy — 78,4. Są i pod-brachycefale, są i brachycefale ze wskaźnikami 86,84 i 88,13 — lud Sos. Więc wśród przeważnie ludów drobnych znajdują się wzrostu średnio-wysokiego; wśród krótko- i krągłogłowych — długogłowi. Widoczną więc jest przymieszka innej rasy, której przedstawiciele po części wpłynęli przez krzyżowanie na powstanie mezaticefalów, średniogłowych, po części utrzymali się w pierwotnej czystości rasowej.

Wszystkie te ludy są wogóle małoliczne. Ilość głów w każdym z nich dochodzi od kilkuset zaledwo do kilkunastu tysięcy.

Żeby z pracy obecnej nie robić katalogu ludów dzikich, zamieszkałych w Indo-Chinach i na Malacce, tembardziej, że przy wielu nazwach trudno będzie nawet zdobyć najkrótszą notatkę etnograficzną, ograniczę się tylko szczegółowszą wzmianką o kilku ludach, mających większe znaczenie i stąd bardziej znanych.

Rozpocznę od północy, to jest od Tonkinu. W Tonkinie tę czwartą warstwę ludności będą stanowiły ludy Man i Meo. Dotyczące ich wiadomości poczerpnę z dwu powyżej już przytoczonych dzieł P. Famina *(Au Tonkin)* i A. de Pouvourville'a *(Le Tonkin actuel)*.

Oto co o ludzie Man podaje P. Famin: »Many są to górale i nomadzi. Zakładają swoje wioski w środku okolicy, którą mają zamiar uprawiać, i przebywają w niej dwa lub trzy lata najdłużej. Następnie, czy to działając pod wpływem zwyczaju, wyrobionego przez długą przeszłość, czy też że ziemia nie uprawiana nigdy jałowieje i odmawia plonu, wyruszają oni z tego miejsca i przenoszą swoje wioski do innej miejscowości, upatrzonej i poprzednio przygotowanej przez wycięcie lasu i wypalenie traw... Jak i wszyscy mieszkańcy tego kraju, Many noszą ubrania z grubego płótna koloru ciemno-szafirowego. Ubranie to stanowi tu-

nika bez kołnierza, z zachodzącemi na piersiach połami, którą przepasują pasem również płóciennym. Tunika przy brzegach jest ozdobiona różnokolorowemi haftami. Pod tunikami mężczyźni noszą krótkie spodnie, u dołu również haftowane. Kobiety spodni nie noszą, jak wszystkie Annamitki, lecz spódnice marszczone, biało haftowane. Mężczyźni i kobiety noszą włosy długie, a na nich zawoje błękitne. Uprawiają ryż górski, czyli klejki, grykę, bawełnę, arachidy, pataty i niektóre warzywa, znają pewne drzewa owocowe i zbierają miód dziki, z wosku zaś wyrabiają świece, używane przy obrzędach religijnych. Głównem źródłem ich dochodu jest zbieranie korzenia Ku-Nau, zawierającego substancye barwne, który sprzedają Chińczykom. Polowanie jest ulubionem przez nich zajęciem i posiadają w niem wielką wprawę.

»Lud Man zbliża się do typu indo-europejskiego. Mężczyźni i kobiety mają cerę znacznie jaśniejszą niż Annamici; zdarzają się nawet jednostki zupełnie białe. Nosy mają oni proste i cienkie, oczy duże i prawidłowo osadzone, policzki wcale nie wystają. W ogólności — są wysocy, dobrze zbudowani, bardzo silni i odważni, doskonali piechury i tragarze niezmęczeni. Są oni gościnni, weseli, usłużni, ale usposobienia zmiennego, żadnej niepodatni dycyplinie, oporni wszelkiej organizacyi, któraby mogła ich swobodę zupełną ograniczać.

»Religia Manów, ich obrzędy weselne i pogrzebowe są jeszcze mało lub niedokładnie znane. Ale z tego, co dotychczas jest o tych obrzędach wiadome, wnosić można, że nic one nie mają wspólnego z wierzeniami i obrzędami chińskiemi i annamskiemi.

»Many są podzieleni na znaczną ilość pokoleń, które różnią się znacznie jedne od drugich i używają przytem różnych narzeczy. Wszyscy członkowie jakiegokolwiek pokolenia pędzą życie zupełnie niezależne. Niektórzy płacą władzom annamskim podatek pogłówny, ale nigdy nie znali podatku gruntowego i byli zawsze uwalniani od danin w naturze. Wszystkie rodziny, należące do jednego pokolenia, przechodzą z jednego miejsca na drugie razem, uczęszczają na jedne rynki, noszą jednakowe ubrania,

zachowują jednakie zwyczaje i posiadają takie same procedery kulturowe.

»Podstawą ich organizacyi społecznej i politycznej jest wieś. Naczelnik wsi jest wybierany przez naczelników rodzin i otrzymuje dziesiątą część wszelkich wyrobów. W zarządzie wsią dopomaga mu rada, złożona z naczelników kilku rodzin znaczniejszych. W każdej znaczniejszej grupie wsi, ponad naczelnikami wsi, znajduje się Man-Muk, do którego zresztą należą tylko sprawy ogólniejszego znaczenia, obchodzące ową grupę wsi, i który nie wdaje się nigdy w rządy pojedyńczych naczelników wsi. Godność Man-Muka jest prawie zawsze dziedziczną w rodzinie i przechodzi z ojca na syna. Wielu z takich Man-Muków posiada wpływy istotnie obszerne i wielkiem się cieszy uznaniem. Tylko jest rzeczą niemożebną dotrzeć do niego Europejczykowi; czy to bowiem wskutek podejrzliwości ze strony Manów, czy rozkazu z góry, każdy z nich ukrywa nazwę Mam-Muka swojego. Dopiero Francuzi od lat kilku dowiedzieli się o istnieniu takich Man-Muków.«

Wiadomości o ludzie Meo dostarcza mi A. de Pouvourville. »Wogóle — utrzymuje on — dla Europejczyków sąsiedztwo z dzikiemi ludami, a zwłaszcza Meo'ami, dostarcza przyjemności i poparcia. Lud ten o cerze białej, który czuje do ludów żółtych odrazę i pogardę widoczną, jest do Francuzów przywiązany, nie jako do obrońców, lecz do równych sobie i sojuszników. I potrafią utrzymać i przechować związek z wiarą i godnością ludów pierwotnych. Bez uniżenia i pochlebstwa, stają się żołnierzami poświęconymi sprawie, towarzyszami pożądanymi, gospodarzami na potrzeby gościa czujnymi.

»Meo nie przychodzi rzucać się do nóg Europejczykowi, ani też, jak to czynią Annamici, nie składa mu w podarunku żadnych przysmaków, za które następnie oczekuje z miną rozczuloną podwójnej zapłaty, rzucanej mu nakoniec z obrzydzeniem z powodu jego wykrzywiania się, którą on jednakże chwyta z krzykiem i ruchami zgłodniałego zwierzęcia. Meo, skoro tylko spostrzeże podróżnika, powraca do swego domu, a gdy ten się zbliża do progu, wyciąga ku niemu ręce i zaprasza go, by wszedł. Niema potrzeby wydawać jakichkolwiekbądź rozkazów; każdy w domu podąża wykonać swoją

powinność; łóżko ustawia się w najdogodniejszym kącie izby gościnnej; gość bywa rozebrany, umyty, ułożony; gdy wypoczął, stół jest już zastawiony, gospodarz do jadła zaprasza i sam z gościem je spożywa...

»Wymówka jest jedyną karą, jaką im wymierzyć można. Na wybuch gniewu wzrusza on ramionami, pogardzając człowiekiem, który nic umie się powstrzymywać. Na zniewagę on się wyprostowuje i rusza na znieważającego. Na złe obejście dobywa szabli i tnie nią. . Tylko naczelnicy pokoleń mają prawo wymierzać karę, ale rzadko do tego uciekają się prawa.

»Rozmaite gałęzie administracyi są w ręku starców, ale najwyższa władza należy do członków jednej rodziny... Czynny i niezmęczony, Meo od najwcześniejszego dzieciństwa przywyka wystarczać sam sobie. On mieszka na wierzchołku swojej góry, z której zchodzi idąc, na którą wchodzi biegnąc. Jest on bardzo powściągliwy: kobieta dla niego jest środkiem, zabezpieczającym istnienie plemienia. Z troskliwością zazdrosną utrzymuje ją na uboczu, zajętą przędzeniem jedwabiu. Co dotycze jego samego, on dba o swój dobytek, poluje, jeździ konno, je niewiele, nigdy nie odpoczywa. Swobodny, w najrozciąglejszem rozumieniu tego słowa, oddaje hołd panującym nad sobą, gdy zejdzie na dolinę, co czyni dwa razy na rok. Resztę czasu przepędza samotnie na swych górach, wojak nieszkodliwy dla obcych, straszny dla nieprzyjaciół...« [1]).

Obraz ten, tchnący sentymentalizmem XVIII wieku, w ogólnym zarysie nie jest pozbawiony prawdy. Idealizacya Meo wypływa z porównania jego z Annamitą lub Chińczykiem.

Prawdziwem atoli niby kościeliskiem ludów dzikich jest Kambodża i otaczające ją góry Annamu, Syamu i Laosu.

---

[1]) W języku Meo'w wieś górska nosi nazwę Muong. Otóż zabawna powstała pomyłka, której ulegają liczni pisarze, piszący o Tonkinie, przyjmując Muong za nazwisko ludu. Nawet w tak poważnem dziele, jak A. Rambaud (byłego ministra oświaty): *La France Coloniale*, czytamy na str. 554: *Les tributs Sauvages: Dans la Cochinchine on distingue particulièrement... Les Moïs et les Chams et dans le Tonkin les Muongs.* Są to jedyni dzicy, których autorowie tego rozdziału wymieniają w Tonkinie. To dzieło wyszło w 1893 roku.

Na samą Kambodżę z ogólnej liczby 43 ludów dzikich w Indo-Chinach przypada 16. Wynika to zapewne z tych przyczyn, że kraj ten bardziej niż inne dostępny od morza, ciągnący się wzdłuż Mekongu dolnego, nęcił więcej niż inne przybyszów, a zarazem w swych górach i puszczach dostarczał schroniska niedobitkom, pierzchającym z pola walki orężnej i kulturowej. Długiego zaś rozwoju w nich kultury i przytem dawnego, dowodzą ruiny w Ang-Kor i inne.

Z ludów dzikich, o których wyrzekł pewien autor, że »by módz żyć, stać się dzikimi byli zmuszeni«, wyróżniają się bardziej od innych Tsiamowie (Kamy—w języku kambodżyjskim, Loi lub Hoi — w annamskim). Na pograniczu wschodniem Kambodży i Annamu, w kilku odrębnych miejscowościach, dogorywają ci dolichocefale, średniego wzrostu, o nosach prostych, chociaż szerokich, uwłosieniu miękkiem, a również jak i cerze od sąsiednich ludów jaśniejszej. Tsiamowie w dzikości swej obecnej przechowali niektóre szczątki dawniejszej swej cywilizacyi wyższej, oraz organizacyi społecznej. »Przez nich to i wśród nich ten kraj, — mówi Zaborowski — nim jeszcze uwydatniły się były wszelkie wpływy chińskie i annamskie, wcześniej nawet nim nastąpiła immigracya Kambodżan, otrzymał był początki cywilizacyi pośpiesznej. Ale ta cywilizacya nie była ich własnem dziełem. Była wprowadzoną całkowicie. Wpływy jej jednak rozszerzały się niegdyś aż do Tonkinu, a ściągające się do tych faktów dokumenty historyczne sięgają 1109 roku przed erą naszą« [1]).

Pod wyrazem Moi—Annamici obejmują wszystkie znane sobie ludy dzikie. Otóż pewnych szczegółów ważnych o jednych z tych Moi, zamieszkałych wśród puszczy, o trzy dni drogi od miasta kochinchińskiego Bien-hoa podaje P. d'Enjoy w opisie swojej wycieczki do nich [2]).

»Przybyliśmy do wioski. Na dość małej wśród puszczy pierwotnej polance tunel, wzniesiony z drągów w kształcie litery A, pokryty liśćmi, stanowił całą ową wioskę. Miał on

---

[1]) *Revue Scientifique*, Nr 10, 9 marca, 1895: *Populations de l'Indo-Chine. Les Tsiams. Origine et charactères.* O państwie Tsiampa przechowały się podania w kronikach annamskich. O nich to wspomina Marco Polo w swych Podróżach.

[2]) *Une excursion chez les Moï. Rev. Scient.* 7 grud., 1895, Nr 22.

50 *m.* długości, 1 *m.* wysokości, 2 *m.* u podstaw trójkąta szerokości. Na nasz widok podniósł się wielki krzyk, wydawany przez dziatwę. Tłum istot dziwacznych, wykrzywiając się, nagich, z rozwianemi włosami, rzucił się bezładnie z tunelu i rozbiegł się po lesie, wyskakując jak małpy. Na wielkiem drzewie, pod którym zatrzymaliśmy się, zaskoczony nagle jeden Moi zbierał miód. Na krzyk, skoczył z wysokości 5 *m.* na ziemię, niby kot, i rzucił się na nas, opuściwszy nadół głowę, w celu przebicia koła, któreśmy utworzyli. Nadaremne były usiłowania. Pozostał w naszych rękach... W słowach spokojnych nam objaśnił (mieliśmy tłómaczów pośród naszych tragarzy), że wioska, gdzieśmy byli, należała do pokolenia Leo, mężnego i wojowniczego, i dodał, że jeżeli rodacy jego pierzchnęli na nasz widok, nie pochodziło to z tchórzostwa, ale ponieważ sądzili, że w mojej osobie widzą ducha księżyca, który porywa dzieci we mgle, powstającej z przepaści... Nasz więzień miał wystające kostki u nóg, zaostrzone jak ostrogi u koguta. Cera jego była ciemna, ale bardziej odcienia bronzowego niż czarnego. Głos chrapliwy. Oblicze podłużne, nos wydłużony, uwłosienie gładkie. Był on rosły, wysmukły, członki ciała silnie zarysowane, głowa wyniosła; wydawał się posągiem bronzowym. Miał ogon, jak małpa.

»To odkrycie mnie zdumiało. Zbliżyłem się do niego i żeby być pewnym, żem nie uległ przywidzeniu, wziąłem w rękę wyrostek ogonowy dzikiego. W taki sposób sprawdziłem, że kolumna pacierzowa po wyjściu z ciała przedłużała się o jakie trzy lub cztery pierścienie, które tworzyły mały ogonek fauni. Zadziwiony mojem oglądaniem więzień zwrócił się nagle do mnie i wyrzekł, wydając ciężkie westchnienie, że dawniej wszyscy Moi posiadali ten przyrostek. »To jest dowodem czystości mojej rasy — rzekł on. — Moi, rodzący się ze związków z obcymi, nie mają już ogona. I tak, z każdem pokoleniem ogon staje się rzadszym. Nasz upadek poczyna się od dnia, kiedy nasz król, który posiadał ogon długi na trzy łokcie, został wypędzony ze zraszanych przez rzeki złote bogatych równin, które zamieszkiwali nasi przodkowie. Lasy są dzikie, ale dają swobodę«.

W ciekawy sposób dziki ów ułatwił sobie ucieczkę. Autor tak kończy swe opowiadanie: »Nazajutrz Moi zniknął.

Strażnik jego dostał obłędu i gorączki, womitował ciągle. W chwili uspokojenia opowiedział nam, że więzień dał mu do spróbowania soku jakiejś rośliny, zwieszającej się z sąsiedniego drzewa. »To czyni silnym« — powtarzał dziki. I nierozsądny uwierzył jego słowom. Moi są zanadto głupi, by potrafili łgać — utrzymują Annamici. Zaraz po wyssaniu rośliny nieszczęśliwy strażnik wpadł w zupełną nieprzytomność. Dałem mu do zażycia chininy, lecz chory nie mógł jej przyjąć. Przerażony jego stanem, wydałem rozkaz powrotu do Bien-hoa, gdzieśmy stanęli dnia czwartego, śpiesznie podążając drogą, którąśmy sobie idąc w tę stronę wśród lasu wytknęli, którą tylko różne gruboskórce, liczne ślady swoje zostawiając, po nas przechodziły«.

Dla ludów dzikich, zamieszkałych na Malacce, dużo materyału dostarcza: *Revue d'Ethnographie.* W wydawnictwie tem znajdujemy dwie poważne prace: d-ra Montano, *Quelques jours chez les indigènes de la province de Malakka,* i J. Erringtona de la Croix, *Études sur les Sakaïes de Perak.* Z pierwszej biorę co następuje o Mantrach.

Mantra, jeden z bardziej znanych ludów dzikich na Malacce, głównie zamieszkuje góry Kumunin w prowincyi Kessang, na północ od miasta Malakka. Coraz bardziej ubywając, jak i inne ludy dzikie na półwyspie, z konieczności łączą się z sąsiadami, a często również dzikiemi, jak i oni, ludami, wskutek czego do dawnej metyzacyi przybywa nowa. Ślady typów wyższych prawie się u nich nie spotykają. Najczęściej zaś Malajczyków i Negrytów. Oto obraz z natury ich życia. »Błądząc przez godzin kilka w puszczy pierwotnej, — mówi autor, dr. Montano — przybyłem nad brzeg potoku, z którego drugiej strony wznosiło się wzgórze, pokryte lasem gęstym. Pomiędzy potokiem a wzgórzem rozścielało się małe półko, na którem rosło trochę patatów, parę garści ryżu, a na krańcach tego półka mała chatka, zanurzona w cieniu olbrzymich drzew. Trzech mężczyzn, cztery kobiety i czworo dzieci z dwoma innymi mężczyznami, którzy byli odeszli na polowanie, składało całą rodzinę, odłączoną od innych, nie widującą miesiące całe nikogo obcego... Pomiędzy tymi, do których się zbliżyłem, jeden mężczyzna był rachityczny, drugi epileptyk; dostał on ataku, kiedym go mierzył; jedna z kobiet była

karlicą; dzieci miały brzuchy ogromne; wszystkie wstrętnie brudne, pokryte pryszczami, prawie nagie. Główną rzeczą wśród ruchomości Mantra jest ognisko, zbity kawał ziemi w ramach drewnianych, na którem żarzy się ciągle ogień.. Kilka naczyń glinianych na warzenie korzeni różnych i patatów, kilka koszów z temi produktami, koszyk z wapnem i orzechami palmowemi składało cały dobytek... Jak wszyscy dzicy w tych lasach, niestałe i niepewne mają oni pożywienie. Ryż rzadko się udaje. Jego uprawa wymaga wielkiej pracy. Oddają więc pierwszeństwo rozmaitym korzeniom i owocom, zbieranym po lesie... Mało znają zwierząt domowych, a nawet i bawołów, tak rozpowszechnionych na półwyspie... Pies, parę kur, dwa lub trzy wieprzaki stanowią całe ich towarzystwo domowe... Polowanie dostarcza im głównie pożywienia, ale jedyną ich bronią jest łuk, z którego miotają zatrute strzały... Narzędzi rolniczych nie mają żadnych...



66. Sakaja z Peraku.

»A jednakże w głuszy swych lasów ci dzicy przechowują wspomnienia, kiedy byli panami kraju całego, włączając w to i wybrzeża. Utrzymują, że posiadali piśmienne dokumenty, pisane na liściach drzewnych; zostały one zniszczone i poginęły w czasie najścia Malajów. Od tego czasu skrywają się oni w górach, gdzie zapomnieli czytania i pisania i nawet zaniechali rachowania lat...«

Trzy pasma gór wyniosłych (1.000 do 2.500 *m.*), idących prawie równolegle do brzegu obu Oceanów, zajmuje środek półwyspu Malakki, w miejscu, gdzie ten półwysep najbardziej się rozszerza. Z tych gór wypływająca rzeka Perak (Srebrna) nadaje nazwę państewku malajskiemu, nad nią się rozciągającemu. Miejscowości, oddalone od brzegów Oceanów i rzeki, po spadach gór i górskich dolinach, zajęli Orang-Utany (ludzie leśni [1]), w Peraku znani jeszcze pod nazwą Sakai.

Wycieczka J. Erringtona de la Croix w głąb posiadłości Sakajów dostarcza następnej uwagi, co do ich zewnętrznego wyglądu. Ze czterdziestu ludzi, kobiet i mężczyzn, których był poznał w ich wiosce Kampong-Tchabang, każda jednostka przedstawiała pewne różnice etnograficzne, »stanowiące przejście pomiędzy typem Negryto czystej krwi a Malajczykiem«.

Powtórna ta wzmianka o pozostałości typu Negryto w ludach dzikich na Malacce jeszcze bardziej wikła, przez wprowadzenie na scenę jeszcze nowej rasy (czarnej), i tak już powikłaną kwestyę pochodzenia ludów na południowowschodnich krańcach Azyi. Za to też zarazem wróży jej ostatecznemu rozwiązaniu szersze i głębsze znaczenie, niż to, którego, sądząc po zwierzchnich tylko czyli panujących warstwach ludności, moglibyśmy dla etnologii i antropologii oczekiwać.

Ale nietylko, pnąc się po górach lub zagłębiając się w głąb puszcz leśnych, odkrywamy warstwy dawniejszej ludności Indo-Chin i Malakki. Wykopaliska o innych jeszcze warstwach świadczą. Rezultaty jednak badań tych wykopalisk należą już do paleoetnologii, nauki, której tylko obecnie nazwę przekazuje wiek XIX następcy swemu XX. Oby mu tylko zdołał przekazać i swoje hasło, pod którem walcząc i pracując, ludzie tego wieku nowe i niewzruszone podwaliny dla wiedzy wytworzyli; — na nowe drogi w pomroce mytów i spekulacyi błąkające się umysły wprowadzili; a które brzmi: *Sapere aude...*

---

[1]) Wyraz *Orang* po malajsku znaczy: człowiek; wyraz *utan* — las. Nie znając właściwie imion etnicznych i etnograficznych, Malajczycy siebie, co się przechowało w podaniach, dawniej nazywali *Orang di bawa anggin* — ludzie z pod wiatru wiejącego, ludzie wschodni; obecnie przyjęli nazwę *Orang Malain,* co znaczy ludzie wędrowni, wędrowcy.

III.

Ludy na krańcach wschodnich Azyi środkowej.

Za granicę pasa środkowego Azyi, na krańcach jego wschodnich, przyjąć należy: od północy największe w kierunku zachodnim zagłębienie się w masę lądową oceanu Spokojnego, pod nazwą morza Ochockiego; od południa zaś — największe zagłębienie się tegoż oceanu w kierunku północnym, pod nazwą zatoki Tonkińskiej. Szerokość pasa środkowego wyniesie, w takim razie, 33 stopnie geograficzne (od 55° do 22°). Jest on przeto dwa razy przeszło szerszy od każdego sąsiedniego.

Linia brzegowa w tym pasie, wskutek środkowego jego położenia, nie ulega takim załamywaniom się jak w obu sąsiednich, które, jako krańcowe, jeden od północy, drugi od południa, a więc każdy przez dwa oceany omywany, kończą się każdy dwoma półwyspami, wchodzącemi w te dwa oceany; ale linia ta idzie przeważnie w jednym kierunku — południowo-zachodnim.

Ponieważ łamanie się linii brzegowej w rozmaitych kierunkach, tworzące półwyspy, dostarcza rozlicznych zakątków dla chronienia się ludności, partej do brzegów ze środka lądu, lub odwrotnie, z brzegów na owe lądy środkowe się wdzierającej, — przeto na krańcach północno-wschodnich poznaliśmy ludy, które, przy sprzyjających nadto warunkach klimatycznych, zaledwo z nazwiska znane są administracyi państwowej, a zależność swą wyrażają jedynie podatkami, uiszczanemi w naturze, ilekroć o nie przybędą upominać się odważni i przebiegli poborcy; przeto na krańcach południowo-wschodnich naliczyliśmy kilkanaście rozmaitych państewek, panujących nad kilkudziesięciu ludami rozmaitego pochodzenia szczepowego, a nawet rasowego, stojącemi przytem na rozmaitych stopniach uspołecznienia i kultury technicznej.

Jednakże, gdybyśmy, biorąc za podstawę tę wiadomość geograficzną, że linia brzegowa w pasie środkowym Azyi idzie przeważnie w jednym kierunku, oraz, że do czasów tak jeszcze bardzo niedawnych, gdyż do 1860 r., na całym tym pasie, w całej jego rozciągłości, jedno tylko państwo,

Chiny, przytykało do brzegów oceanu Spokojnego, gdybyśmy, mówię, wnioskowali, że stosunki etnograficzne na krańcach wschodnich Azyi środkowej nie przedstawiają rozmaitości takiej, jak na krańcach północno-wschodnich i południowo-wschodnich, bylibyśmy poniekąd w błędzie.

Prawa przyrody są powszechne i niezmienne. Działają one zawsze z jednakową siłą i ciągłością, chociaż skutki ich działania, jako zależne od obszaru zastosowania, niezawsze w jednakowej uwydatniają się mierze. Prawa geologiczne, których działanie tylokrotnie zmieniło kierunek linii brzegowej w pasach sąsiednich, i na krańcach środkowego przerywają jednostajność kierunku głównego tej linii, a przytem — wytworzyły łańcuch wysp rozległych, równoległy do linii brzegowej. Prawa społeczne, pomimo potęgi państwa chińskiego i liczebności narodu chińskiego, nietylko w sąsiedztwie Chin i na wyspach przyległych, lecz i w ich granicach, poprzednich i teraźniejszych, zachowały rozmaite ludy, których istnienie faktyczne urozmaica obecnie stosunki etnograficzne na tych krańcach, oraz rzuca znaczne światło na te stosunki w przeszłości.

Przerwana jednostajność linii brzegowej tworzy półwysep Korejski i morze Żółte, którego zachodnie krańce noszą nazwy zatok Petszyli i Liaotung. Nad brzegiem tej ostatniej leży miasto chińskie Szanhaikuan. Do tego miasta przytyka idący z zachodu sławny mur chiński. Mur ów uzupełnia poniekąd przyrodę, oddziela bowiem, zastępując granicę naturalną, część południową pasa środkowego Azyi od części jej północnej. Czego nie dostarczyła przyroda, wytworzyły myśl i praca ludzka.

Tak więc, pomijając na razie bardziej od lądu oddalone wyspy, na krańcach wschodnich lądu stałego, w pasie środkowym Azyi, znajdujemy trzy różne całości geograficzne; północną część pasa środkowego, z przybrzeżną wyspą Sachalin, półwysep Korejski i południową część pasa środkowego. Tym różnym całościom geograficznym odpowiadają odmienne na nich stosunki etnograficzne, każda przytem ma odrębne dzieje swego odkrycia, które stanowiły wstęp do zbadania tych stosunków.

1.

Północna część krańców wschodnich pasa środkowego Azyi pozostawała dla Europy dłużej niedostępną, a więc i nieznaną, niż krańce tejże Azyi na północo-wschodzie, chociaż na nie, również jak i na tamte, prowadziły dwie drogi: lądowa i morska. Ale lądowa przechodziła przez całą długość tej największej części świata; morska dopiero po zbadaniu krajów na północo i południo-wschodzie mogła być otwartą ostatecznie. I rzecz dziwna, odkrycie Ameryki spowodowało pewne zagmatwanie pojęć o tych krańcach, wyrażane nawet na kartach geograficznych. Gdy bowiem na karcie tak nazwanej »Katalońskiej,« pochodzącej z drugiej połowy XIV wieku, te krańce są przedstawione w postaci półkola, wchodzącego do Oceanu, naturalnie bez Syberyi i Korei [1]), w półtora wieku później, na tak zwanym »Globe doré«, już do tych krańców, jak wiemy, przytyka Ameryka północna, na Chinach leżą przyszłe Stany Zjednoczone, Korea okazuje się w postaci i pod nazwą Florydy. Stosunki handlowe, zawiązane z Chinami we środku XIV stulecia przez Portugalczyków i Holendrów, nic nie wpłynęły na poznanie krajów, leżących na północ starego Muru chińskiego. Najdawniejsze wzmianki o wyspie Sachalinie znajdują się w sprawozdaniach z podróży kapitana holenderskiego Vriesa, odbytej w roku 1644 na okręcie «Castricum«. Zatrzymał się on był na południowym brzegu Sachalinu w zatoce, którą nazwał Aniwa; a następnie, popłynąwszy na wschód i zwróciwszy się na północ, dotarł na wschodnich jego brzegach do zatoki, którą nazwał, wskutek rozmaitych przygód nieszczęsnych w niej doświadczonych, zatoką Cierpienia. Vries poczytywał Sachalin za przedłużenie wyspy Jesso. Opuścił go przeto bez bliższego poznania i wykazania stosunku jego do przeciwległego lądu stałego Azyi. W historyi poznania tego lądu epokę stanowi dopiero wyprawa francuska pod dowództwem La Péreuse'a.

[1]) Karta ta została w podobiźnie wydana w *Atlas de Géographie Historique* F. Schradera, Paryż, 1896, gdzie nosi nazwę: *Le Monde connu au XIV siècle* (Nr. 27).

Pomiędzy wyprawą holenderską a francuską minęło prawie półtora wieku. Podróże Berynga i Cooka, odbyte pomiędzy temi dwiema wyprawami, wykazały istnienie cieśniny oddzielającej Azyę od Ameryki; ale zarazem, wskutek oddalenia poza koło biegunowe owego największego zbliżenia się jednej części świata do drugiej i zaznaczenia tylko istnienia wysp Aleuckich i Kurylskich, bez wykreślenia ich kierunku i ich wyliczenia, obszerne pozostawiły pole, i w rzeczywistości i w wyobraźni, do poszukiwania tam nowych wysp i lądów. Jakoż wielce ważnym dokumentem, dla zrozumienia pojęć owoczesnych o geografii tego zakątka dwu światów, staje się wydana La Pérouse'owi z kancelaryi królewskiej Instrukcya, nad którą sam Ludwik XVI miał pracować. Czytamy w niej następujący ustęp, dotyczący zamierzonego pobytu La Pérouse'a na wodach północnych oceanu Wschodniego[1]): »Stanąwszy na wysokości góry Eliasza (leżącej na zachodnim brzegu Ameryki północnej, na granicy pomiędzy Kanadą a posiadłościami Stanów Zjednoczonych, nabytych od Rosyi) puści się ku wyspom Szumagin, w pobliżu wyspy (sic!) Alaska. Potem popłynie

[1]) La Pérouse korzystał z każdej okoliczności, by przesyłać do Francyi listy, papiery swoje i zbiory. Stanąwszy na Kamczatce w dniu 7 września 1787 roku, wyprawił był nawet stamtąd drogą lądową, przez Syberyę i Petersburg, do kraju rodzinnego z nagromadzonemi materyałami jednego z dotychczasowych współtowarzyszy swoich, Lessepsa, stryja słynnego inżyniera. Ostatnia taka przesyłka była przesłana w lutym 1788 r. z Botany-bay w Australii. Zbiory piśmienne z takich to przesyłek posłużyły za materyał Miletowi de Mureau do ułożenia opisu podróży La Pérouse'a, wydanego w 4-ech tomach w Paryżu 1797 r. Nie mogąc mieć oryginału tego opisu, posługuję się jego przekładem na polski: »Podróż p. La Pérouse na odkrycia nowych krajów w latach 1785, 1786, 1787 i 1788, wydana przez M. L. A. Milet Mureau, tłómaczona z francuskiego. Tomów 3, w Krakowie 1801—1803.« W tomie pierwszym znajdujemy: »Szczególne instrukcye króla Imci dla JP. de la Pérouse swego kapitana okrętów, komendanta fregat *La Boussole* i *l'Astrolabe*,« pod datą 26 czerwca 1785 r. Sposób, w jaki powstało rzeczone dzieło, usprawiedliwia poniekąd wadliwy układ jego. Ułożone z notatek dorywczych, jest pełne powtarzań się, zbijań i sprzeczności. Użytkowanie z niego jest wskutek tego wielce utrudnione i częstokroć może nawet, co do wyników ostatecznych, nie być zupełnie pewnem. Trudne to użytkowanie jest spotęgowane jeszcze przez przekład niezupełnie wolny od zarzutów pod względem języka i jasności. Ale nie posiadając oryginału, zmieniać go nie mogłem.

ku wyspom Aleuckim, a następnie do obudwu grup wysp, z zachodniej strony pierwszych, których istotne położenie i liczba nie są znane, a które wzięte z brzegami Azyi i Ameryki składają wielkie północne wybrzeże, czyli wielką zatokę (wyjaśnienia, w jaki sposób wyspy stanowić mogą wybrzeże lub zatokę, nie znajdujemy). To uskuteczniwszy, odpocznie na wybrzeżu Awacza, w porcie śś. Piotra i Pawła, w stronie najbardziej przyległej południo-wschodowi półwyspu Kamczatki... Teraz żeglugę obróci wzdłuż wysp Kurylskich i wejdzie w rozpoznanie onych-że; dalej popłynie wzdłuż północno-wschodniego, wschodniego i południowego brzegu Japonii, oraz, za nadejściem dalszych pór roku, w miarę mniej lub więcej przyjaznych wiatrów i mórz mniej lub więcej trudnych do przebywania, posunie swoje poszukiwania do wysp przyległych wschodnio-południowej stronie wysp Japońskich, nie pomijając wysp Lekejo aż do Formozy. To uskuteczniwszy, wypocznie w Makao i Kantonie, lub też w Manilla, jak okoliczności pozwolą...« Według instrukcyi, na to był przeznaczony koniec trzeciego roku wyprawy (miała ona wyruszyć w 1785), a na wiosnę czwartego roku powinien był La Pérouse »żeglugę swoją tak obrócić, ażeby przejść cieśninę, oddzielającą Formozę od brzegów chińskich, lub też między tą wyspą i innemi na wschodzie leżącemi. Roztropnie sobie postąpi w zwiedzaniu brzegu wschodniego półwyspu Korei i zatoki Hoan-Hay, nie zapuszczając się dalej, a oraz tak miarkując, ażeby wiatrem południowo-zachodnim lub południowym bez trudności mógł objechać południowy brzeg Korei. Potem rozpozna brzeg wschodni pomienionego półwyspu i Tartaryi [1]), jako też i naprzeciwko Japonii leżącą wyspę. Wszystkie te brzegi całkiem są nieznane Europejczykom. Przejdzie cieśninę Tessai [2]) i przejrzy kraje znajome pod nazwiskiem Jesso, jako też kraj przez Holendrów Ziemią Stanów (Terre des États), a przez Rosyan wyspą Nadjeżda nazwany. Krajów tych dotąd słabą tylko mamy znajomość i jedynie z dawnych Relacyi Podróży, wydanych przez kompanię

[1]) Tartaryą zwano podówczas kraj nadmorski, leżący pomiędzy Koreą a Syberyą.

[2]) Taką nazwę w owoczesnych geografiach nosi kanał, oddzielający wyspę Jesso od lądu stałego.

holenderską Indyi wschodnich, których dokładność nie była jeszcze dotąd stwierdzona. Teraz dokończy rozpoznania tych wysp Kurylskich, których nie mógł zwiedzić w przeszłym roku, w swej drodze z wybrzeża Awacza do Makao. Pomiędzy niektóremi z tych wysp ile możności będzie starał się zbliżyć do lądu południowego Kamczatki i stanie (już powtórnie) na kotwicach w porcie Awacza... Stanąwszy pod 37°30′ szer. półn. i 180° dług. wschodniej, obróci żeglugę ku zachodowi, dokładając starania w wynalezieniu wyspy, która w roku 1610 przez Hiszpanów odkrytą być miała, i takowe poszukiwania posunie do 165° dług. wschod. Potem uda się ku południo-wschodowi...«

Z tej instrukcyi widzimy, że La Pérouse miał za zadanie, oprócz zbadania lądów i wysp istniejących, jeszcze sprawdzenie istnienia za istniejące błędnie podawanych. Dla uwidocznienia sobie, jakie to lądy i wyspy wyobraźnia tam rozsiewała, łatwo jest na karcie obecnej północnej części oceanu Spokojnego dorzucić je według brzmienia tej instrukcyi. I tak należy: 1) na zachodzie łańcucha wysp Aleuckich pomieścić dwie grupy jeszcze innych; wątpię bowiem, by autorowie instrukcyi mogli mieć na względzie, pisząc to, wyspy Komandorskie (Berynga i Miedzianą), lub wyspy Bliźnie, ponieważ są one zbyt drobne, by mogły uchodzić za odrębne całości geograficzne, a nadto wchodzą, jako ostatnie ogniwa od zachodu, do tegoż łańcucha. 2) Naprzeciwko Japonii, prawdopodobnie od wschodu, także pomieścić jakąś wyspę. 3) Taką samą wyspę — na południowschodzie Japonii. 4) Takież wyspy — na wschód od Formozy. 5) Na wschód od wysp Jesso, pomiędzy nią a wyspami Kurylskiemi — nieokreślonych kształtów ziemię, zwaną przez Holendrów: Ziemią Stanów, a przez Rosyan — Nadjeżdą. Nakoniec 6): na krańcach już tych wód — wyspy, które od półtora wieków przedtem przez Hiszpanów miały być odkryte.

Że utrzymywanie ogółu europejskiego w błędach geograficznych leżało w interesie narodów handlarskich, wykazują słowa następne La Pérouse'a: »Z pewnością zaręczono mi, że kapitanowie okrętów przed odjazdem z Holandyi poprzysięgnąć muszą, jako podróży swojej nikomu nie wyjawią, ani papierów sobie powierzonych nikomu nie

powierzą« (III, 38). W Historyi zaś Podróży Beniowskiego czytamy, że gdy on, płynąc z północy, zatrzymał się w Makao (wrzesień i październik 1771 roku), to pełnomocnicy kompanii handlowych, holenderskiej i angielskiej, wszelkich dokładali usiłowań, by od niego papiery jego (dzienniki okrętowe, mapy kreślone i t. d.) nabyć na wyłączną własność; gdy zaś on na proponowane warunki się nie zgadzał i stawiał swoje (np. pensyi rocznej wynoszącej 4,000 f. st. dla niego, a po jego śmierci dla żony, 600 dla każdego oficera i 30 — dla każdego uczestnika jego wyprawy), starali się te papiery wykraść za pomocą przekupionych członków załogi okrętowej (III, 297 — 309).

Taki stan rzeczy mogły tylko uchylić wyprawy naukowe, przez rządy przedsiębrane a dokonywane przez żeglarzy, niezależnych od interesów kompanii handlowych. Taką wyprawą była już Cooka; taką właśnie była La Pérouse'a. Cook do północnej części krańców wschodnich Azyi środkowej się nie zbliżał; La Pérouse te krańce badał i je opisywał.

Przechodzimy więc do wyprawy La Pérouse'a, jako stanowiącej wstęp do poznania północnej części krańców wschodnich pasa środkowego Azyi.

2.

Streszczoną instrukcyą co do krajów, na północnych wodach oceanu Wschodniego leżących, opatrzony La Pérouse, mając pod swojemi rozkazami dwa okręty, »Bussole« i »Astrolabe,« wypłynął w dniu 1 sierpnia 1785 r. z Brestu. Po okrążeniu Ameryki południowej, po zwiedzeniu wysp Wielkanocnej i Hawai, już w roku następnym (1786) stanął był w dniu 23 czerwca na wysokości góry Eliasza. Wygrawszy więc na czasie rok cały, nie popłynął wtedy na zachód, wzdłuż Aleutów ku Kamczatce, jak to nakazywała instrukcya, lecz ku południowi — wzdłuż zachodnich brzegów Ameryki północnej. W tym kierunku dosięgłszy Monterey na brzegach Meksyku, zwrócił się dopiero na zachód dnia 24 września, a 3 stycznia 1787 roku był już w Makao. Zbyt wczesna pora roku dla wyruszenia na północ skłoniła go do zwiedzenia wysp Filipińskich. Ale już w kwietniu opuścił

je i 21 ujrzał Formozę, a w miesiąc później, d. 21 maja — wyspę Quelpaert, leżącą nieopodal od południowych wybrzeży Korei. Nakoniec, opłynąwszy ten półwysep, dnia 12 czerwca wylądował na wybrzeżu wschodniem Azyi środkowej, w miejscu, gdzie Korea przylega do lądu stałego. Byli to pierwsi na tych krańcach Azyi Europejczycy. Przeto, czem w historyi odkryć geograficznych stała się podróż La Pérouse'a jako fakt, tem dla krajoznawstwa powszechnego i etnografii staje się opis tej podróży. Oto więc, co znajdujemy w tym opisie:

»Tartarya jest to kraj wysoki... rozciąga się od północo-zachodu ku północo-wschodowi, przedstawiając się wzrokowi w różnych płaszczyznach. Góry lubo nie tak wysokie, jak na brzegach Ameryki, liczą jednakże wysokości od 600 do 700 sążni. Nie znaleźliśmy gruntu, jak o 4 mile od lądu... Zbliżyłem się do pobrzeża bardzo przykrego, drzewami i trawą zarosłego. Na szczycie najwyższych gór widzieliśmy śniegi, lecz w małej ilości. Zresztą nie można było spostrzedz śladu uprawy, co dało nam powód do sądzenia, że ludy Mantszu, będąc wędrownemi i pasterzami, nad takowe lasy i góry przenieśli płaszczyzny i doliny, gdzie trzody żyźniejsze znajdują pastwiska. Wzdłuż tego pobrzeża od 40 mil przeszło nie zdarzyło nam się nigdzie znaleźć ujścia rzeki...« Ciągle panujące gęste mgły i obawa osadzenia się na mieliźnie, stąd konieczność częstego sondowania morza, utrudniały posuwanie się ku północy; pomimo tego La Pérouse ciągle płynął w tym kierunku i zdejmował kartę linii brzegowej; przytem nigdzie śladów zaludnienia nie spotykał. Dnia 23 czerwca zatrzymał się w zatoce, którą nazwał Ternay. Było to pod 45° 13′. Wjeżdżał już więc w nieznany dotychczas kanał Tatarski, oddzielający Sachalin od lądu stałego. W czasie kilkudniowego pobytu w tej zatoce zdarzyło się im, jak opisuje, »znaleźć tatarski grobowiec, obok chatki w gruzach i chwastach mocno zagrzebanej. Ciekawością zjęci, tenże otworzywszy, znaleźliśmy dwie osoby obok siebie leżące. Głowy ich kitajkowatą były pokryte kapicą, zwłoki zaś w niedźwiedzią skórę zawinięte z pasem z tejże samej skóry, do którego dwie małe sztuki chińskiej monety z rozmaitemi mosiężnemi fraszkami przywiązane były. Po samym zaś grobie korale szklane niebieskiego

koloru rozsiane były. Nadto znaleźliśmy tamże do dwunastu gatunków srebrnych naszyjników, z których każdy dwie uncye ważył, a które, według później powziętej wiadomości, kolczykami były; tudzież siekierę żelazną, nóż z takiego samego kruszcu, łyżkę drewnianą, grzebień i mały woreczek nankinowy, ryżem napełniony... Chińska moneta — wzmiankuje La Pérouse — niebieski nankin, kitajka, kapice są dowodem formalnego związku z Chinami tych narodów, które, według podobieństwa, są także podległe temu państwu.« Posuwając się stale ku północy, dnia 4 lipca po raz trzeci wylądowuje na brzegu Tartaryi, w zatoce (pod 47°51′), którą Suffren nazywa. Przytem taką czytamy wiadomość: »Ślady ludzkie były tu daleko świeższe. Spostrzeżono tam ostrem narzędziem popodcinane gałęzie, na których zielony liść mocno się jeszcze trzymał. Dwie skóry, sztucznie na małych drzewkach rozpostarte, znajdowały się na boku małej chatki,.. której mieszkańcy ze strachu w knieje się schronili...« Dnia 7 lipca z przyczyny mgły oddaliwszy się od brzegów Tartaryi w kierunku północno-wschodnim, po raz pierwszy ujrzał Sachalin. »Widok tego kraju bardzo się różnił od Tartaryi — zapisuje w dzienniku; — widziano tylko dokoła suche skały, których rozpadliny jeszcze śniegiem pokryte były.« Po dwu dniach podróży, znowu w północnym kierunku, dodaje: »Wreszcie spostrzegłem, że się znajdujemy w kanale, Segalię (Sachalin) od stałego lądu oddzielającym... Teraz nie pozostaje nam jak tylko dochodzić, czy kraj Jesso (za którego przedłużenie poczytywano, jak wiemy, Sachalin) jest wyspą, czy też półwyspem. W ostatnim przypadku musiałby z chińską tak być spojony Tartaryą, jak Kamczatka z rosyjską. Z największą niecierpliwością oczekiwałem rozejścia się mgły...«

Zbliżyć się jednakże do brzegu Sachalinu mogli Francuzi dopiero dnia 12-go. Stanęli w zatoce, leżącej pod 47°49′ szerokości, którą La Pérouse od nazwiska kapitana okrętu »Astrolabe,« De Langle'a zatoką Langle nazwał. Tu dopiero od czasu wyjazdu z Filipinów po raz pierwszy spotkali się z ludźmi. Nad zatoką stało parę chat świeżo, jak widać było, przez mieszkańców opuszczonych. Mężczyźni w liczbie dwudziestu kilku nadjechali czółenkami z morza od północy. Kobiety i dzieci znajdować się mogły w sąsiednim lesie,

skąd dochodziło na wybrzeże szczekanie psów i dokąd życzących się udać marynarzy wstrzymali przybyli krajowcy. Oto, jak ich opisuje La Pérouse: »Ubrani byli tylko w długą suknię, która, zapomocą pasa i małych guzików spinając się, mogła wyśmienicie uwalniać od użycia spodni. Głowę mieli gołą... włosy na przodzie i na bokach były wygolone, tylne tylko odrastały do kilkunastu cali... Wszyscy mieli ze skór wilków morskich buty i trzewiki chińskiej nader sztucznej roboty. Broń ich składała się z łuków, pik i strzał, żelazem obwiedzionych... Byli bardzo ubogimi, trzech tylko lub czterech miało srebrne kolczyki... całkowicie podobne do tych, jakie, w grobie przy zatoce Ternay znalazłszy, poczytywałem za naramienniki. Reszta ich lichej ozdoby była równie z miedzi, jak w rzeczonym grobowcu. Ich krzesiwa i lulki zdawały się być chińskiemi lub japońskiemi... Są w powszechności przystojni, mocnej konstytucyi, dosyć przyjemnej fizyognomii, wzrostu nizkiego... Paznokciom dają rość jak chińczykowie i pozdrawiają się sposobem tychże; sposób ich siadania na matach jest taki sam, jedzą podobnie jak i tamci małemi patyczkami«.

La Pérouse, jako wychowaniec XVIII stulecia, dzielił panujące w niem pojęcia o wrodzonej dobroci człowiekowi i o wyższości moralnej człowieka dzikiego nad ucywilizowanym. I chociaż mogły mu stać w pamięci ostatnie chwile zjedzonego przed ośmiu laty na wyspie Hawai Cooka [1]), a lat dwa zaledwo mogły go dzielić od tragicznego końca jego własnej podróży, kiedy mógł sam doświadczyć na sobie dobroci wrodzonej człowiekowi, oto, co w dalszym ciągu wypowiada o tych wyśpiarzach: »Bez wątpienia, umiejętności uczonej klasy Europejczyków są nierównie wyższe, jak

[1]) Dla ścisłości przytaczam ustęp z *Ka Mooolelo Hawaii* (Historyi wysp Hawajskich, napisanej przez krajowca, str. 37): »Wtedy (po zabiciu Cooka i czterech jego towarzyszy) Kalaniopuu (wódz Hawai) złożył Lono (tak Hawajczycy, poczytując Cooka za boga, jego nazywali) w ofierze; kiedy uroczystość była ukończona, oddzielili kości Lono od mięsa i przechowali jego kości, jak również i wnętrzności. Ciało zniszczyli na ogniu; wnętrzności Lono zostały zjedzone przez dzieci; zjadły je one przez omyłkę, biorąc je za wnętrzności psie; dlatego to je zjadły. Kupa jest ten, który je zjadł, a z nim Mohoole i Kaiwikokoole (są to przyszli działacze z czasów Kamehamehy, pierwszego cywilizatora na wzór europejski tych wysp)«. To dzieło wydano w Paryżu w 1862 r.

tych dwudziestu kilku wyśpiarzy; lecz umiejętności powszechne ludów na tych wyspach bardziej są rozszerzone, niż w pospolitych klasach europejskich narodów; zdaje się, że wszyscy członkowie tego społeczeństwa jedną otrzymali edukacyę... Tkactwo nie jest im nieznajome. Przyniosłem z sobą warsztat, na którym płótno tkali zupełnie do naszego podobne, z tą tylko różnicą, że ich przędza jest z kory wierzbowej... Chociaż ziemi nie uprawiają, umieją jednak jej dobrowolne płody z wielką przezornością na pożytek obracać. Znaleźliśmy w ich chatach wielką ilość korzonków gatunków lilii, którą nasi botanicy za żółtą lilię uznali. Suszą ją, a suszona służy im za zapas zimowy. Znajduje się tam także wiele czosnku i korzeni angeliki; takowe rośliny można także znaleźć na granicy borów... Krótkie nasze pobycie nie pozwoliło nam dowiedzieć się, czyli wyśpiarze mają rząd jaki, i w tej mierze nad same domysły nic nam nie pozostało. Lecz można być pewnym, że starszym wielką cześć wyrządzają i ich obyczaje tchną łagodnością i uprzejmością. Gdyby skotarzami tylko byli i liczne trzody chowali, nie czyniłbym sobie innego wyobrażenia o zwyczajach i obyczajach patryarchów... Dozwolili malarzom naszym malować się, lecz z uporem sprzeciwiali się życzeniom P. Rollina, naszego cyrulika, wymierzania rozmaitych części ich ciała... Ta wzbronność, oraz ich lekkomyślność w ukrywaniu przed nami swych żon, jedynie tylko może im być zarzuconą. Możemy zapewnić, że mieszkańcy tej wyspy polerowny naród składają, lecz biedny tak dalece, że w najpotomniejsze czasy nie należy się im obawiać ani ambicyi zdobywców, ani chciwości kupców. Nieco tranu i suszonych ryb są nader lichemi do zbycia artykułami. My tylko dwie skóry cenne nabyliśmy. Widzieliśmy także skóry z niedźwiedzi i wilków morskich na suknie poprzykrawane. Zdarzyło się nam znaleźć ułomy węgli kamiennych na brzegach wyrzucone, lecz ani jednego nie znaleźliśmy kamyka, któryby złoto, żelazo lub miedź zawierał. Nie sądzę oraz, ażeby ich góry rudę zawierać miały. Wszystkie srebrne naczynia tych dwudziestu kilku wyśpiarzy nie ważyły dwu uncyi...« I ten opis taką kończy uwagą, dotyczącą pochodzenia tych wyśpiarzy: »Jeżeli z Chińczykami i Tatarami powszechny mają początek, ich oddzielenie się od tych narodów nader dawne

być musi, ponieważ wcale nie są im podobni w powierzchowności, a mało co w ich moralnych zwyczajach«.

Pewnego rozwoju umysłowego ci wyśpiarze dowiedli w następnej okoliczności. »Uważając nas — pisze dalej La Pérouse — trzymających papier z ołówkiem dla zebrania słownika w ich języku, dociekli naszego zamysłu i uprzedzili nas w zapytaniu, wskazując nam dobrowolnie różne przedmioty i grzecznie cztery do pięciu razy powtarzali nazwy różne, dopóki o pochwyceniu ich z naszej nie byli pewni wymowy...[1]). Nakoniec udało nam się okazać im nasze życzenie, ażeby nam określili własny swój kraj i Tartaryę. Wtedy jeden ze starców, powstawszy, końcem swej piki znaczył na piasku zachodnie pobrzeże Tartaryi, ku północnej i południowej stronie idące. Na wschodzie, naprzeciwko prawie i w tym samym kierunku swoją wyspę umieścił, a położywszy rękę na piersiach, dał do zrozumienia, że swój własny kraj określa. Między Tartaryą i swą wyspą cieśninę morską naznaczył, a wskazując na nasze okręty, które z brzegu widzieć można było, dawał do zrozumienia, że przez tę cieśninę żeglować można. Na południu swej wyspy wskazał inną, naznaczając oraz cieśninę jako drogę najodpowiedniejszą dla naszych okrętów. Jego dowcip w dociekaniu naszych zapytań był nader bystry, lecz słabszy nierównie od innego wyśpiarza. Ten widząc, że kreślone na piasku figury nikną, wziął od nas ołówek i papier, na którym swoją wyspę odrysowawszy, nadał jej nazwisko Tszoka. Wskazał także zapomocą linii małą rzekę, na której brzegu znajdowaliśmy się. Potem odrysował Tartaryę, naznaczając podobnie jak starzec cieśninę i, z niemałem naszem zdumieniem, przyłączył rzekę Segalię (Amur), której nazwisko wyśpiarze jak i my wymawiali, i ujście tej rzeki naznaczył nieco na południe względem północnego cyplu

[1]) Dalsze porozumiewanie się Francuzów z mieszkańcami Sachalinu ułatwiła następna okoliczność. Wśród załogi okrętowej było kilku Chińczyków. Przypadkiem wśród wyśpiarzy znalazło się dwu Tatarów, którzy ze stałego lądu przybyli w interesach handlowych. Chińczycy mowy wyśpiarskiej nie rozumieli; ale Tatarzy z wyśpiarzami swobodnie rozmawiali; jeden z Chińczyków zaś mógł rozmawiać z Tatarami. W taki sposób Tatarzy służyli za tłómaczów pomiędzy Chińczykami a wyśpiarzami; Chińczycy za tłómaczów pomiędzy Francuzami a Tatarami.

swej wyspy, wyrażając siedmiu kreskami liczbę dni, których wymagała podróż z naszego stanowiska do ujścia Segalii...«

Potwierdzenie w zdobytych w taki sposób od wyśpiarzy wiadomościach własnych domysłów, że się znajdują w kanale pomiędzy wschodniemi krańcami Azyi a Sachalinem, i przedstawiająca się łatwa możność bliższego zbadania zachodniego wybrzeża Sachalinu i wschodniego lądu stałego, obu zupełnie nieznanych dotąd Europejczykom, skłoniły La Pérouse'a do dalszego posuwania się na północ. Jakoż d. 19 lipca pod 48° i 59′ szerokości znajduje drugą zatokę na brzegu Sachalinu i nazywa ją Estaing[1]); dnia zaś 23 jeszcze inną, pod 50° i 54′, którą De la Jonquière mianuje. »Stanąwszy pod 50° szerokości, już nie powątpiewałem, — pisze La Pérouse — żeby wyspa, wzdłuż której już od 47° płynęliśmy, i która, według opowiadania krajowców, powinna się była rozciągać daleko bardziej ku południowi, nie była wyspą Segalią, której północny cypel Rosyanie pod 54° naznaczyli, a która, idąc z północy na południe, ma być jedną z najdłuższych wysp na świecie[2]).

---

[1]) Na brzegu tej zatoki znaleźli Francuzi kilkanaście chat krajowców; spotkali dwie kobiety, które na ich widok uciekały; w innem miejscu zobaczyli, jak krajowcy pomagali przybyłym z lądu stałego Tatarom spychać do morza 4 łodzie napełnione rybami; z Tatarami tymi za pomocą Chińczyka rozmawiali. Drobniejsze jednakże szczegóły tego powtórnego zetknięcia się z krajowcami nie wzbogacają niczem już podanych wiadomości.

[2]) Potwierdzenie tej wiadomości, udzielonej przez La Pérouse'a, znajduje się na karcie wydanej w 1750 r. w Paryżu, a noszącej tytuł: *Partie Orientale de l'Empire de Russie en Asie où se trovent les Provinces de Jakukskoy, Nerckzinskoy, Selinginskoy, Ilimskoy, Krasnojarskoy, Narimskoy, Jenisseiskoy, Mangajeiskoy etc. et les Confins de la Tartarie Chinoise, dressée d'après les cartes de l'Atlas Russien, par le S-r Robert de Vangondy, fils de M-r Robert, Géographe ord. du Roy. Avec Privilège. 1750.*

Na karcie rzeczonej Sachalin jest już oznaczony jako wyspa, tylko więcej niż o połowę krótsza, rozpościera się bowiem tylko od 50° do 54°, gdy na współczesnych od 46° do 54°40′, oraz dwa razy bardziej oddalony od brzegów Azyi, niż na współczesnych. Tuż za południowym cyplem Sachalinu umieszczony napis na tej karcie nie pozwala wnioskować, jakie jej autor miał wyobrażenie o stosunku Sachalinu do Jesso.

Wobec faktu istnienia tej karty dziwić może ta okoliczność, że La Pérouse ciągle, jak widzimy, pozostaje w wątpliwości, gdzie się znajduje, i czy Jesso razem z Sachalinem, stanowią wyspę, czy też, jak się wyraził, półwysep, »spojony z Tartaryą chińską, jak Kamczatka

Z drugiej strony dno morskie, które w miarę naszej dalszej w głąb północy podróży ciągle się podnosiło, wskazywało, że inną odkryłem drogę i że wyspa Segalia niczem innem nie była, tylko hakiem, czasem przez morze zalewanym... Woda nagle spadała do takiego stopnia, że żeglując prosto ku północy głębia w tym kierunku z każdą milą do trzech sążni się zmniejszała...« Ponieważ głębokość kanału do 18 sążni tylko już wynosiła, poszukując bezpieczniejszego przejścia zwrócił się ku zachodowi, a następnie znowu ku północy. Posuwając się ciągle ku północy, dnia 26 znaleźli się Francuzi powtórnie na brzegach Tartaryi, a 28 w odnodze pod 51°20′ szer., którą to odnogę La Pérouse, w celu uczczenia owoczesnego ministra marynarki francuskiej, De Castries, ochrzcił jego nazwiskiem.

Trzydniowy pobyt w tej odnodze zetknął Francuzów po raz pierwszy z ludnością Tartaryi w samej Tartaryi. Wierny idylicznemu usposobieniu, oto w jakich słowach tę ludność opisuje La Pèrouse: »W żadnej części świata nie znalazłbym narodu z lepszych złożonego ludzi. Ich dowódca, czyli najstarsza głowa, przyszedł na brzeg z kilku innymi mieszkańcami celem przyjęcia nas. Rzuciwszy się na ziemię, pozdrowił nas chińskim zwyczajem i zaprowadził do swojej chatki, gdzie żona, synowie, dzieci i wnuki się znajdowały. Kazawszy potem czystą rozpostrzeć matę, naglił nas usiąść na niej. Potem wsypano małego ziarna, któregośmy dokładnie nie poznali, do kotła, stojącego nad ogniem z łososiem, który ku naszej był przeznaczony uczcie. To ziarno składa ich najwyborniejszą potrawę. Dawali więc nam poznać, że go mieli z kraju Mantszu. Nazwisko to dawali ludom, o siedem lub osiem dni drogi powyżej rzeki Segalii (Amuru) osiadłym... Pokazywali nam na migi, że pochodzą z narodu Orocze... Wieś Oroczów składa się z czterech chałup, dachem z kory pokrytych. Ławy stały dokoła izby, a ognisko na środku pod znacznym otworem, ujście dymu ułatwiającym, umieszczone było... Opuszczając chałupę, właściciele kładą deski przede drzwiami dla wzbronienia wchodu

---

z rosyjską«. Jeszcze jest bowiem trudniej przypuścić, żeby o istnieniu tej karty nie wiedział wcale. Więc chyba nie ufał wiadomościom, służącym za podstawę do utworzenia tej karty.

psóm, zostawiając chaty wraz z majątkiem otworem. Wkrótce przekonaliśmy się o nieposzlakowanej wierności tych ludzi, o ich religijnej niemal czci ku własności. W ich chatach materye, korale, sprzęty żelazne i zgoła to wszystko, co ku zamianie przeznaczone było, worami zostawiając, ni razu nie zostaliśmy w naszej ufności zawiedzionymi... Ich wieś zabudowana jest na nizkim i bagnistym wzgórku; nie zdawała nam się jednakże być w zimie zamieszkaną... Nieopodal stąd zwiedziliśmy trzy jurty, czyli podziemne mieszkania, do kamczackich zupełnie podobne, których opis w ostatniej podróży Cook'a jest podany. Te tak są obszerne, że w czasie surowej zimy mieszkańcy z siedmiu chatek w nich zmieścić się mogli... Według wszelkiego podobieństwa różne rodziny, naród ten składające, rozbiegły się w ościenne odnogi w celu łowienia i suszenia tamże łososiów. W zimie dopiero schodzą się znowu, przynosząc z sobą zapas ryb, w celu wyżywienia się niemi aż do powrotu słońca... Te ludy zdają się, tak, jak na wyspie Segalii, nie uznawać zwierzchnika i nie być podległemi rządowi. Łagodność ich obyczajów i uszanowanie ku starszym są zdolne naprawić takową anarchię. Nie byliśmy nigdy świadkami acz najmniejszych swarów. Ich zobopólna przychylność, ich tkliwość ku swoim dzieciom były w oczach naszych czułym widokiem, lecz uczucia nasze wzdrygały się na smród łososi, któremi równie ich domy jak i miejsca za domami zapełnione były. Kości z tychże wszędy były porozrzucane, ognisko posoką naokoło spryskane; chciwe psy, chociaż wcale łaskawe, lizały i połykały te szczątki... O religii ludu tego nie można nic powiedzieć, nie widzieliśmy bowiem ani kościołów, ani księży, prócz kilku bałwanów grubej rzeźby u powały ich chałup wiszących. Też bałwany wyobrażają dzieci, ramiona, ręce, kości, nie bez znacznego podobieństwa do upominków w naszych wiejskich kościołach. Być atoli może, że te posągi, które niesłusznie za bałwany wzięliśmy, jedynie dla wznowienia pamiątki pożarcia przez niedźwiedzi dziecięcia, lub otrzymanej przez tychże zwierzów rany strzelca służyły. Z tem wszystkiem niepodobna, aby tak słaby lud od zabobonu był wolny... Psy ich najdroższym są majątkiem; zaprzęgają je do małych, nader lekkich sani, całkiem podobnych do sani mieszkańców Kamczatki...«

Wśród Oroczów Francuzi znaleźli kilkunastu obcych im, którzy twierdzili, że przybyli z kraju Bitszy, leżącego, według nich, na południe od zatoki Castries. Ponieważ ci przybyli na czółnach, La Pérouse sądził, że od nich poweźmie obchodzące go wiadomości o kanale. Jakoż czytamy: »Użyliśmy całej naszej zręczności dla wybadania z nich nieco z geografii krajowej. W tym celu odrysowaliśmy na papierze Pobrzeże Tatarskie, rzekę Segalię (Amur), wyspę tegoż nazwiska (Sachalin), którą ciż inaczej Tszoka zwali, zostawując naprzeciwko tegoż pobrzeża między obojgiem drogę. Wziąwszy nam ołówek z ręki, złączyli zapomocą kreski wyspę ze stałym lądem, a spychając przytem swe czółna na piasek, dali nam do zrozumienia, że wypłynąwszy z rzeki Segalii (Amuru) bieg swój ku hakowi zwrócili, który wyspę tę ze stałym łączył lądem; potem wyrywając trawę z gruntu morza, którą grunt odnogi był zarosły, też w piasku sadzili, chcąc nam przez to dać poznać, że hak, około którego płynęli, takąż trawą morską zarastał. Powzięta o haku wiadomość, który wyspę Segalię z czasem z Tatarskiem może złączy pobrzeżem, odpowiada naszym doświadczeniom, tam bowiem, znajdując głębokość do sześciu tylko sążni, byliśmy zmuszeni przystać na ich powieść«.

Ciągła obawa, że się zbliżają do mielizn, nieprzebytych dla wielkich okrętów, że mogą na nich uwięznąć, znalazła podnietę w niemych przestrogach mieszkańców Bitszy, co spowodowało, że La Pérouse, dnia 2 sierpnia opuściwszy zatokę Castries, już nie na północ, dokąd go nęcić mogła ciekawość naukowa, lecz na południe, to jest z powrotem się zwrócił. Podbudzany chęcią wydostania się z niebezpiecznego kanału, śpieszył ku południowi. Dnia 8-go odkrywa małą wysepkę, o 6 mil od Sachalinu odległą, i nazywa ją Manneron; dnia 9 okrąża przylądek południowo-zachodni Sachalinu i nazywa go Crillon; dnia 15, okrążywszy drugi przylądek, już południowo-wschodni, Aniwa, znany Holendrom z Castricum, zatrzymuje się chwilowo nieco na północ od niego, już na wschodnim brzegu Sachalinu, pod 46°9′. W taki sposób przepłynął pomiędzy Sachalinem a Jesso i odkrył cieśninę, noszącą obecnie nazwę od jego nazwiska.

Mniej nieco przezornej obawy i jeszcze o stopień jeden posunięcie się z zatoki Castries na północ pozwoliby nosić

jego nazwisko innej cieśninie, która obecnie jest znana, jako cieśnina Mamia Rinso. Nazwisko bowiem to nosił japoński żeglarz, które, we dwadzieścia lat później, pierwszy, płynąc z południa, ją przepłynął.

Zatrzymanie się wyprawy przy przylądku Crillon zetknęło Francuzów po raz drugi z mieszkańcami Sachalinu i dało możność La Pérouse'owi uzupełnić poprzednio podane o nich wiadomości. Czytamy: »Dopiero na przylądku Crillon pierwszy raz odwiedzili nas wyśpiarze, dotąd bowiem zawsześmy domy ich odwiedzali, bez wzniecenia w nich najmniejszej żądzy widzenia naszych statków. W początku mieli nas w podejrzeniu i nie pierwej do okrętu się zbliżyli, aż im kilka wyrazów ze słownika ułożonego w zatoce Langle zostały przeczytane. Jeżeli bojaźń, którą zrazu powzięli, była znaczną, zaufanie, z jakiem później ku nam byli, godne jest podziwienia. Wchodzili na nasze okręty, bawiąc się jak u najlepszych przyjaciół, posiadali w okrągi i palili tytuń... Zwracając uwagę na układ ciała tych wyśpiarzy, widzieliśmy, że są piękni, dobrze złożeni, mocni, brodę zapuszczają na ramiona i piersi, mając szyję i grzbiet włosem okryty, co zdaje się bardzo właściwym przymiotem człowieka, ponieważ i w Europie również obrośnięci dają się spostrzegać ludzie. Biorąc średni stosunek ich wzrostu, ten calem jest mniejszy od naszego, co jednak nie tak łatwo się spostrzega, gdyż doskonały układ ciała, stosunek jego części i wydatne, mocne muskuły czynią ich w ogólności urodziwymi. Ciało ich również jak Algierczyków, lub innych z nadbrzeża Berberyi ludzi, jest od słońca opiekłe... Co do fizycznego układu, zdają się być lepiej ukształceni od Japończyków i Chińczyków, zbliżają się wiele do ludów Europy...«

Nazwiska tego ludu La Pérouse nie podaje.

3.

Poza działem wodnym rzeki Zei, głównego dopływu lewego Amuru, od północy rozlega się Syberya. Poza działem wodnym rzeki Sungari, prawego dopływu tegoż Amuru, od południa ciągnie się granica, polityczna i etnograficzna, Korei. W taki więc sposób dolina średniego i dolnego Amuru, razem z dolinami wzmiankowanych Zei

i Sungari, a nadto z doliną Ussuri, jeszcze innego a również prawego, jak Sungari, dopływu Amuru, stanowią właściwie krańce wschodnie północnego pasa Azyi środkowej.

Czem dla ziemioznawstwa tych krańców była poprzednio opisana podróż po kanale Tatarskim w 1787 r. La Pérouse'a, oraz następnie wzmiankowany epilog tej podróży, to jest przebicie się wzdłuż owego kanału Japończyka Mamii Rinso w 1808 roku, tem dla ich ludoznawstwa w 1860 r. stało się przyłączenie lewego brzegu Amuru, wraz z jego ujściem i krajem leżącym pomiędzy Ussuri a morzem Japońskiem — do Rosyi. Chociaż bowiem te przestrzenie rozlegają się na północ od muru chińskiego, były one jednakże, należąc do Chin, nie więcej dostępne dla Europejczyków, niż w czasach, poprzedzających traktat pekiński, kraje leżące za tym murem.

Ogłoszone rezultaty odbytych na te krańce Azyi, po ich udostępnieniu, podróży dra L. von Schrencka i N. Przewalskiego, otwierają je dla nauki. Pierwszy w pomnikowem dziele swem [1]) kładzie podstawy dla etnologii tych krańców, drugi — ograniczając się zresztą granicami kraju Usuryjskiego [2]), kładzie takież podstawy dla przyrodoznawstwa tego kraju i poznania bytu jego mieszkańców [3]).

Życie dziejowe danego kraju wogóle, a tembardziej powstawanie tego życia w nim wcześniejsze lub późniejsze, zależy głównie od szerokości geograficznej owego kraju, warunkującej jego klimat. Źródła Zei nie przekraczają znacznie 55° szerokości północnej. Źródła Sungari i Ussuri sięgają nawet 42° tejże szerokości. Tak więc dolina średniego i dolnego Amuru leży na tej samej szerokości geograficznej, co i Europa środkowa. Warunki przeto klimatyczne nie stały na przeszkodzie rozbudzeniu się w niej wczesnemu życia dziejowego. Warunki zaś historyczne,

---

[1]) *Reisen und Forschungen im Amur-Lande.* III. *Die Völker des Amur-Landes. Geographisch-historischer und Anthropologisch-ethnologischer* Theil. 188?. (Wydanie petersburskiej Akademii nauk).

[2]) *Putieszestwie po ussuryjskom kraje,* 1867—1869. Petersburg, 1870.

[3]) Obok dzieła Przewalskiego pomieścić możemy, z przyczyny traktowania w niem tego samego przedmiotu, dziełko, skromniejszych rozmiarów i celów, W. Wasilewskiego: *Z krańców Sybiru, zapiski myśliwego-turysty.* Warszawa, 1886.

mianowicie sąsiedztwo z Chinami, a nawet należenie faktyczne do państwa Chińskiego — takiemu rozbudzeniu się sprzyjały.

Tymczasem, stosunki etnograficzne w tej dolinie bardziej się zbliżają do poznanych przez nas poprzednio stosunków owych, na krańcach północno-wschodnich Azyi, niż do tych, któreśmy następnie znaleźli na krańcach południowowschodnich. Owego bowiem kilkakrotnego uwarstwowania ludności, wynikającego z długiego trwania doby historycznej, jakie badaliśmy w Indo-Chinach, w dolinie Amuru nie znajdujemy wcale. Raczej widzimy tam to pożycie sąsiedzkie obok siebie osiadłych, a od siebie niezależnych, rozmaitych, różnych nawet pochodzeniem ludów, jakie przy sprzyjających okolicznościach staje się dopiero podścieliskiem dla doby dziejowej, a jakie poznaliśmy na Kamczatce i na półwyspie Czukockim.

Wejście do składu państwa Chińskiego tych krańców uwydatniło się osiedleniem się na nich Chińczyków w kilku miejscowościach (jak oto: w dolinie rzeki Nonni, lewego dopływu Sungari, oraz w górnych dopływach Sungari i Ussuri), wśród ludności miejscowej. Ale to osiedlenie się posiada charakter bardziej kolonizacyi, niż wyrobienia warstwy górnej, rządzącej [1]).

Rzeczone zbliżenie się stosunków etnograficznych w dolinie Amuru do stosunków tych na północo-wschodzie Azyi, lub raczej, ta pochwycona tożsamość pomiędzy niemi, nie wyłącza jednak i pewnej wybitnej, zachodzącej również pomiędzy niemi, różnicy. Różnica owa wypływa z warunków geograficznych, to jest położenia tych różnych krańców względem masy lądowej, a więc i mieszkańców tej masy.

Na dwu półwyspach, stanowiących krańce północnowschodnie Azyi, całkiem podobnie jak i na dwu innych, stanowiących te krańce na południo-wschodzie, ludy zamiesz-

---

[1]) Uwarstwienie ludności, wynikające z życia dziejowego, rozpoczyna się dopiero dla tych krajów od czasu przyłączenia ich do Rosyi. Odbywa się zaś ono jednocześnie w dwu kierunkach: Rosyanie napływają w charakterze rządców kraju i kolonistów, którym pochodzenie z narodu panującego ułatwia formowanie warstwy górnej. Chińczykom prawdopodobnie za ostry dla nich klimat przeszkadzał w takiem dwojakiem osiedlaniu się w dolinie Amuru.

kujące te krańce są oddzielone od masy głównej lądu azyatyckiego zatokami morskiemi i morzami. Stykały się przeto z ludnością tej masy tylko na stosunkowo niewielkiej, a zawsze ograniczonej przestrzeni, mającej charakter przesmyków. Inaczej na krańcach Azyi środkowej, zarówno w północnym, jak i południowym jej pasie. Tu ludność tych krańców z konieczności styka się z ludnością głównej masy lądowej na takiej przestrzeni, na jakiej stykają się same te krańce z lądem stałym. Jak więc nic nie oddziela krańców od lądu stałego, tak też i ludności tych krańców nic nie oddziela od ludności masy lądowej. Znaczenie mórz i zatok mogą mieć poniekąd rzeki i góry. Ale rzeki z natury rzeczy nigdy nie płynące w kierunku równoległym do brzegu, tylko pionowym, ułatwiają dostęp do niego. Góry, mogąc przybierać i równoległy kierunek do brzegu, na tej całej przestrzeni nie przybierają go wszelako, czy też nawet przybierając, jak łańcuch nadbrzeżny Sichota-Alin, ciągnący się w kraju Usuryjskim pomiędzy zatoką Piotra i Pawła (nad którą wznosi się Władywostok) a ujściem Amuru, lub łańcuch gór Stanowych, pomiędzy rzeką Ud i Udzką zatoką a miastem Ochockiem, nie dochodzą do takiej wyniosłości, którąby mogła stanowić nieprzebyte przeszkody. Tak więc ludy, zamieszkujące dolinę dolnego i średniego Amuru i doliny Zei, Sungari i Ussuri, od strony lądu są okrążone przez ludność lądu stałego Azyi, są przez tę ludność niby długo sięgającemi jej ramionami objęte, gdyż ta ludność z głębi lądu sięga po brzegi jego, opłókiwane falami morza Japońskiego i Ochockiego.

Tę ludność od północy stanowią Tunguzi, a od południo-zachodu i zachodu — Mandżurowie. Pierwsi są koczownicy, drudzy — osiedli. Pierwsi na przestrzeni, przewyższającej rozległością niejedno państwo europejskie, trudnią się głównie hodowaniem renów; drudzy skromne środki do życia zdobywają pierwotnem rolnictwem i pasterstwem. Pierwsi z głębi lądu dochodzą do brzegu morza Ochockiego, na którym to brzegu, począwszy od zatoki Tugur do miasta Ochocka, wyłącznie sami zamieszkują, a od Ochocka łączą się z Koryakami i wśród ludności koryackiej, pod nazwą Łomutów, wchodzą do Kamczatki północnej. Drudzy z głębi lądu wciskają się ku zachodowi na dolinę Sungari górnej

i jej prawych dopływów, zatrzymując się wszelako przed wodozbiorem rzek: Tumenia (stanowiącego polityczną granicę pomiędzy Rosyą, to jest krajem Usuryjskim, a Koreą) i Ussuri; ku południowi — sięgają północnych brzegów morza Żółtego, w zatokach Korejskiej i Liao-Tung, i muru chińskiego. Nazwy pierwszych nie zna historya, drugich — zapisała jako przed wiekami zdobywców Chin, przed którymi sławny mur chiński nie zdołał ich obronić, i którzy, usadowiwszy na tronie chińskim swoją dynastyę, dotychczas jeszcze nominalnie w nich panują.

A. de Quatrefages w pomnikowem swem dziele: *Histoire générale des Races Humaines*, rasy żółte, czyli pień żółty lub mongolski, dzieląc pierwiastkowo na szczepy, wśród szczepów wyróżnia osobny syberyjski (trzy inne: tybecki, indo-chiński i amerykański); następnie wśród szczepu syberyjskiego — osobną gałąź mongolską (druga — turecka); dalej w gałęzi mongolskiej wyosobnia rodzinę tunguską; w tej nakoniec rodzinie oddziela Mandżurów od grupy właściwych Tunguzów. W taki więc sposób w Tunguzach, dochodzących do morza Ochockiego, a nawet północnej Kamczatki, i Mandżurach, sięgających morza Żółtego i muru chińskiego, mamy bezpośrednich przedstawicieli rasy żółtej.

Pomiędzy Tunguzami od północy a Mandżurami od południa dziesiątek innych ludów jakoby zdąża do ujść Amuru, jakoby w poszukiwaniu wytchnienia i spokoju posuwając się ku wschodowi, tylko je nad brzegami morza, i to w kierunku tej rzeki, osiągnąć się spodziewa. Jedne z nich, jak oto: Manegry i Birary, trzymają się głównie lewego brzegu Amuru i dolin, leżących wzdłuż jego lewych dopływów, pierwsi — Zei, drudzy — poniżej tamtych, Burejry. Inne ludy, jak oto: Solony i Daurowie, trzymają się głównie prawego brzegu Amuru, a nadto zajmują dolinę rzeki Nonni, lewego dopływu Sungari. Jeszcze inne: Oroczowie v. Tazy [1]), Samagirny, Negdy, odsunięte od brzegów Amuru, ciągną się pasami równoległemi do jego łożyska; wówczas gdy trzy znowu inne: Goldy, Olcze i Giliaki, zajmując oba brzegi tej wielkiej rzeki, tuż jeden za drugim zbliżają się

[1]) Oroczów tych, czyli Tazów, należy odróżniać od Oroczonów, innego ludu, zamieszkałego w dolinie Amuru górnego.

do jej ujścia. Goldowie z doliny Ussuri sięgając prawego brzegu Sungari, a od ujścia jej — do Amuru, dochodzą do 51° szerokości. Tu przecinają im drogę dalszą Olczowie, ci zaś z kolei zatrzymują się w tem miejscu, gdzie Amur, jakby unikając pogrążenia się w morzu, zwraca się na zachód. Od tego jego zwrotu aż do jego ujścia osiedli Giliacy. Następnie ciągną się oni jeszcze wązkim pasem ponad brzegiem morza Ochockiego ku północy, aż do zatoki Tugur, gdzie im dalsze posuwanie się przecinają Tunguzi. Nadto przechodzą, przez cieśninę Tatarską, na wyspę Sachalin i stanowią główną ludność w północnej części tej wyspy. Wśród Giliaków oddzielnemi kępkami na Sachalinie są rozsiani Orokowie. Południową część Sachalinu zajmują Ainowie [1]).

Tych to ostatnich właśnie widział, poznał i, nie podając zresztą ich nazwy, opisywał La Pérouse w czasie pobytu swego na brzegach Sachalinu w zatokach Langle, Estaing i przy przylądku Crillon, w zatoce Aniwa. Wylądowawszy zaś na brzegu Tartaryi, spotkał się tam, jak to sobie ze słów jego przypominamy, z Oroczami. Tylko wzmiankowanego przez niego ludu Bitszy na tych krańcach nie znajdujemy wcale [2]).

Wszystkie te ludy, nie przedstawiając dziejowego uwarstwowania, stoją na jednakim stopniu kultury. Latem żywiąc się rybołowstwem, zimą — zapasami z lata nagromadzonemi i myśliwstwem, z natury tych swych zajęć pędzą życie nawpół osiadłe, napoły zaś koczownicze, w dwojakich w tym celu urządzonych letnich i zimowych osadach. Zależność swą od państwa, do którego należą, uwydatniają w płaceniu danin lub podatków. W stosunkach swych wewnętrznych rządzą się autonomicznie, już to ulegając wła-

---

[1]) Ten pochód ludów do ujść Amuru, powstrzymywany po drodze przez energię każdego z nich, obrazowo wielce przedstawia karta etnograficzna, uzupełniająca wyżej wzmiankowane dzieło Schrencka.

[2]) Schrenck z zupełną słusznością na wytłumaczenie tego punktu przypuszcza, że tu zaszła omyłka, i że nazwę miejscowości La Pérouse wziął za nazwę ludu. Na poparcie tego przytacza nazwę rzeczki Bitszy, która wpada do jeziora Udyl, i nazwę osady Bitszu, leżącej przy ujściu Gorinu do Amuru. Gdyby ci przybysze pochodzili z nad rzeki, byliby Samagirnami, gdyby zaś z osady — Goldami.

dzy swych naczelników plemiennych, już to radzie starszych. Ilość jednostek w każdym z tych ludów waha się pomiędzy kilkuset (Orokowie), kilku tysiącami (Giliacy, Negdy, Samagirny, Birary) i kilkunastu tysiącami (Goldy, Oroczowie, Manegry, Daurowie).

Co zaś do pochodzenia Schrenck dzieli je wszystkie na trzy odmienne grupy. Pierwszą stanowią Giliaki, drugą — Ainowie, trzecią — wszystkie pozostałe, a więc: Manegry, Birary, Solony, Daurowie, Orocze, Samagirny, Negdy, Goldy, Olczowie i Orokowie.



67. Giliak.

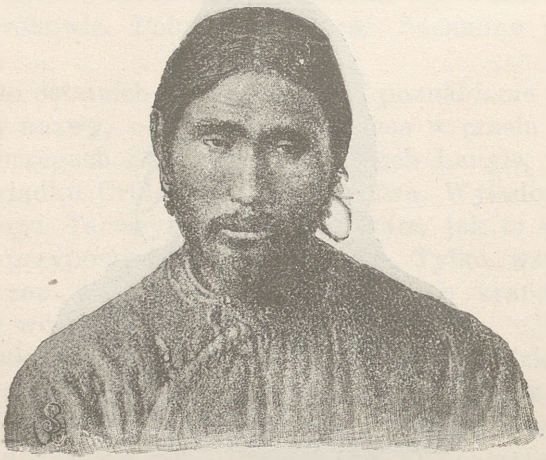
Przyłączając trzecią grupę do rodziny tunguskiej, Schrenck obie pierwsze, Ainów i Giliaków, bada jako osobne okazy antropologiczne, jako przedstawicieli, a jak w tym przypadku, jedyną pozostałość wyróżniających się wśród ogółu mieszkańców, nie już tylko na tych krańcach wyłącznie, ale na całej kuli ziemskiej, większych niegdyś całości etnicznych.

Ainowie na stałym lądzie się nie spotykają. Oprócz południowej części Sachalinu zamieszkują głównie wyspę Jesso, a nadto jeszcze łańcuch wysp Kurylskich. Wśród ludów, przebywających na wschodnich krańcach Azyi środ-

kowej, należą oni właściwie do wyśpiarzy, a zatem wchodzą do innego związku ludów.

Giliaki, pomimo odrębności swojego pochodzenia, nie przedstawiają jednakże wśród otaczających jednego typu. Owszem, wskutek krzyżowania się z sąsiadami, Tunguzami z jednej strony, a Ainami z drugiej — powstały wśród nich, według Schrencka, trzy odmienne typy: giliako-tunguski (fig. 67), giliako-ainowski (fig. 68) i właściwy giliacki.

Pod wielu względami uzupełniające pracę Schrencka, wzmiankowane już dzieło Przewalskiego pozwala nam poznać byt ludów w kraju Usuryjskim. Są to osiedli głównie



68. Giliak.

w klinie pomiędzy dolną Sungari a dolną Ussuri, zrzadka po całej dolinie Ussuri i nakoniec po obu brzegach Amuru, począwszy od ujścia do niego tej ostatniej rzeki aż do siedlisk Olczów—Goldy (fig. 69 i 70), należący do rodziny Tunguzów; oraz współplemienni im Oroczowie, ciągnący się równolegle pomiędzy nimi a brzegami morza Japońskiego.

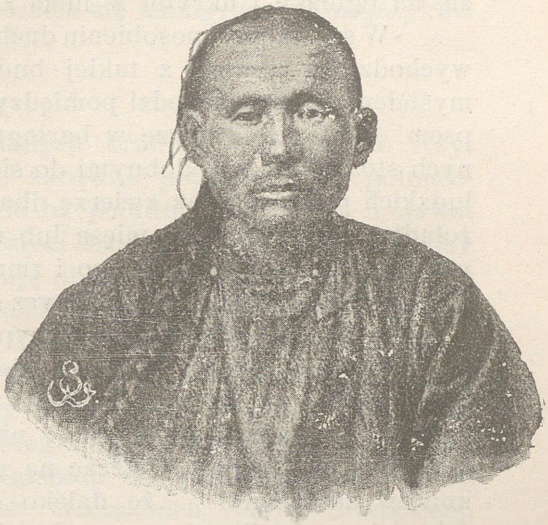
Goldy mieszkają w osadach, złożonych od 3 do 10 fanz (domków na wzór chiński budowanych). Zajmują się rybołówstwem i myśliwstwem. Są obyczajów łagodnych, spokojni, przedewszystkiem kochający dzieci i szanujący starszych w rodzinie i osadzie. Każdy dojrzały wśród nich mężczyzna, gdy nadto jest właścicielem fanzy, jest panem siebie i swojej

rodziny. Wszystkie zaś sprawy osady zależą od ogólnego zgromadzenia jej mieszkańców. Buddyzm, przerodzony w szamanizm, stanowi ich religię. Wskutek swego cichego charakteru do przestępstw nie dochodzą; nawet zwykłe gdzieindziej złodziejstwo jest u nich rzadkim wypadkiem.

Chociaż to, co nazywamy oświatą ludową jest dla Goldów rzeczą nieznaną, jeszcze na niższym niż oni stopniu kultury pierwotnej stoją Oroczowie. Według sposobu życia dzielą się oni na osiadłych i wędrownych. Pierwsi z natury rzeczy zbliżają się do Goldów. Życiu drugich Prze-



69. Gold.



70. Gold.

walski poświęca parę wymownych kart. Czytamy w jego dziele: »Przedstawiają oni typ zupełnie dzikich myśliwych. Przez całe życie włócząc się ze swojemi rodzinami z miejsca na miejsce, zatrzymują się w budach naprędce z łoziny splecionych. Nędzne te schronienia wznoszą tam, gdzie można dostać obfitszej żywności, więc — na brzegu rzeki w czasie pobytu w niej ryb, lub w leśnej gęstwinie, gdzie przebywa zwierzyna. Zdarza się często, że wędrująca rodzina tam osiada, gdzie mężczyźni upolowali dzika lub

jelenia i tam dopóty przebywa, dopóki dostarcza pożywienia upolowana sztuka. Ogryzłszy ostatnie kości, przenoszą się wtedy na inne miejsce.

»Zwykle cała rodzina wpółnaga zbiera się naokoło ogniska, rozłożonego pośrodku budy. Dym wygryza tam oczy; smród piekącego się mięsa i palącej się tłustości zabija powonienie. Otaczający, nic na to nie zważając, czyhają na kąski.. Pośród dzieci mieszczą się psy myśliwskie; po kątach leżą przyrządy łowieckie, skóry zwierzęce i broń, jedyne ich bogactwo. Przybycie nieznajomego wzbudza szmer chwilowy, wraz ze szczekaniem psów. Ale jedno i drugie wkrótce się uspakaja i cała uwaga na nowo skupia się na ognisku i ukrytej w niem zwierzynie.

»W smutnem usposobieniu ducha — mówi autor o sobie — wychodziłem zawsze z takiej budy. Jakże mała różnica, myślałem wtedy, zachodzi pomiędzy człowiekiem tym a jego psem! Żyjąc jak zwierzę w barłogu, nie podtrzymując żadnych stosunków z podobnymi do siebie, nie zna on żadnych ludzkich pożądań i, jak zwierzę, dba tylko o nasycenie swego żołądka. Najadłszy się mięsa lub ryb, wpół tylko upieczonych, zasypia; głód budzi go i zmusza do nowych wysileń; idzie na polowanie, zabija zdobycz spotkaną, rozkłada ogień i znowu się najada i znowu zasypia. Tak przepędza ten człowiek całe życie. Dziś dla niego to samo co wczoraj, jutro będzie — co dziś. Żadnego uczucia ani pożądania, radości lub nadziei on nie zna; nic ludzkiego, duchowego dla niego nie istnieje. Patrząc na nich, przekonałem się, — kończy nasz autor że daleko większa dzieli przepaść człowieka ucywilizowanego od dzikiego, niż dzikiego od wyższego jakiegokolwiekbądź zwierzęcia«.

Tych to właśnie, w taki sposób przedstawianych Oroczon czyli Oroczów, poznał w zatoce De Castries La Pérouse. Ich to obraz, skreślony przez La Pérouse'a, poznaliśmy poprzednio. Porównawszy oba te świadectwa, niechybnie, uderzeni ich sprzecznością, zapytamy siebie, czem ta sprzeczność, polegająca zresztą bardziej na kolorycie niż na faktach, objaśnić się daje: czy tem, że owi Oroczowie, w przeciągu jednego stulecia jeszcze bardziej zdziczeli, czy też, że obaj podróżnicy, jeden z XVIII, a drugi z XIX w., na innych stali stanowiskach i z innego punktu widzenia patrzali na

jeden i ten sam przedmiot? La Pérouse, przejęty idylizmem poprzedniego stulecia, w dzikości pierwotnej szukał niezepsutej przez cywilizacyę istoty ludzkiej; ową więc dzikość podnosił, ubarwiał, idealizował. Przewalski, na dzikość pierwotną patrząc tylko jako na stan przejściowy ludzkości, bada ją ze stanowiska nauki; ale, zarazem, nie może ukryć pewnej boleści i wstrętu, odczuwanych na jej widok, jako człowiek przyszłości, który pragnie przeszłość jak najdalej i jak najśpieszniej poza sobą zostawić i o niej, jeżeli można, zapomnieć nawet. Wszak to poważne a stałe: *Memento.*

W kraju Usuryjskim z czasów chińskich pozostało do 5 tysięcy Chińczyków, zajmujących się przeważnie rolnictwem, a od r. 1860 rozpoczęła się immigracya Korejczyków z sąsiedniej Korei.

4.

Dotychczas na badanych krańcach wschodnich Azyi spotykaliśmy tylko *ludy*, zarówno poprzednio na północo-wschodzie, jak i następnie na południo-wschodzie, a nawet i ostatnio, w północnej części środkowej. Ludy te, jakośmy to widzieli, bądź to zajmują obok siebie pewne przestrzenie i, będąc od siebie niezależne, pozostają na tym samym lub blizkich sobie stopniach kultury (na półwyspie Czukockim, Kamczatce i w dolinie Amuru z jego dopływami); bądź też, wskutek większej różnicy w kulturze i zależności od siebie, już są, niby pokłady geologiczne, uwarstwowane rozmaicie (w Indo-Chinach i na Malacce). Na pozostających jeszcze do przejrzenia krańcach wschodnich Azyi środkowej, a mianowicie: na półwyspie Korejskim, na lądzie stałym, poza murem chińskim w kierunku południowym aż do granic Tonkinu i, z małemi wyjątkami, na wyspach okalających krańce tego lądu, już nie spotykamy różnych ludów, tylko jednolite *narody*, które docierają do krańców zajmowanych przez siebie krajów i przez siebie zajęte przestrzenie całkowicie zapełniają. Tych narodów, odpowiednio do liczby całości geograficznych i politycznych, mamy trzy: Korejczycy, Chińczycy i Japończycy.

Z ludów dzieje wytwarzają narody. Do poznania więc narodów prowadzą dzieje. Ale i w obrąb dziejów sięgają niektóre zadania etnologii.

Narody, będąc wytworami dziejów, powstają w każdym kraju z łączenia się i ostatecznie ze zlewania się z sobą pojedyńczych ludów, które przyroda albo też przypadek umieściły w tym kraju. Ludy, jako przedstawiciele rozmaitych plemion, szczepów i ras, wchodząc do tych narodów, wnoszą z sobą różne pierwiastki etniczne. W taki sposób każdy naród jest wynikiem pewnych części składowych, których początku i istoty docieka etnologia, wytwarzanie się zaś jednej z nich całości bada dopiero historya.

Nie dość jeszcze. Cóż właściwie tworzy same dzieje? Czyż nie rozwój kultury na tle uzdolnienia rasowego? Więc, jeżeli sam rozwój stanowi dzieje, kultura i uzdolnienie rasowe są to dwa czynniki zasadnicze owych dziejów. Dociekanie uzdolnienia rasowego wchodzi również do zadań etnologii. Stąd wynika powtórne zetknięcie się dziejów z etnologią.

Wielkie odkrycia geograficzne w końcu XV i na początku XVI wieku dowiodły, że, niezależnie od ogniska kultury europejskiej, która powstała w Azyi zachodniej i zlała się z powstałą w dolinie Nilu, istniały, jakoby poza dotychczasowemi dziejami powszechnemi, nie objęte cyklem owych dziejów, jeszcze dwa inne ogniska: w Ameryce i Azyi wschodniej. Z każdego tego ogniska wypłynęły odrębne od naszego cykle dziejowe, obejmujące odrębne grupy ludów i narodów, posiadających samodzielne podstawy cywilizacyi, odmienny jej rozwój, a nawet w niezależnym swym przebiegu — odrębne narody wybrane.

Istotę każdej kultury stanowią nie tyle dane jej materyalne, które z natury rzeczy w trzech owych ogniskach mogły być i były tylko jednakie, a więc nie tyle to, co daje owa kultura pod względem technicznym, czego i jak uczy, lecz głównie do czego prowadzi i jak usposabia. Uzdolnienie przeto rasowe uwydatnia się właśnie nie w technicznej stronie kultury, lecz w wytwarzanem przez kulturę usposobieniu rasy całej i przedstawicieli jej, pojedyńczych narodów. Z usposobienia bowiem wypływa inicyatywa. Doniosłość inicyatywy jest miarą energii. Energia zaś, jako wytwór siły dwojakiej, fizycznej i umysłowej, stanowi o wartości jednostki i społeczeństw.

Dopiero pod koniec XV i w XVI wieku naszej ery nastąpiło spotkanie wychowańców owych trzech ognisk kultury, będących zarazem przedstawicielami trzech różnych cywilizacyi. Ponieważ miejscem spotkania się nie był jakiś grunt neutralny, ani też Europa, tylko Ameryka i Azya wschodnia, gdzie Europejczycy stawali w charakterze odkrywców i zdobywców, — już ten sam fakt wymownie wskazywał, że ci ostatni inicyatywą przewyższali wychowańców dwu innych ognisk.

W Ameryce okazało się, że przewyższali i siłą. Nastąpiło bowiem, jak wiemy, wygaszenie zupełne ogniska miejscowej kultury przez przybyszów, wytępienie zupełne prawie samej ludności i dopiero na gruncie, w taki oczyszczonym sposób, zaszczepienie nowej kultury europejskiej. Na południo-wschodzie Azyi sprawy, jak wiemy, inny wzięły obrót.

Jeszcze skuteczniejszą odporność spotkali Europejczycy na krańcach wschodnich Azyi środkowej w południowej części, gdzie już nie pojedyńcze ludy, zawsze dla siebie obojętne, a częstokroć z sobą powaśnione i wzajemnie sobie szkodzące, lecz narody stanęły przeciw nim do walki. Tępiąc jednych, wzbraniając dostępu innym, narody te odniosły były na razie zupełne zwycięstwo nad przybyszami [1]).

---

[1]) Dzieje odkrycia przez Europejczyków Chin, Korei i Japonii weszły do dziejów powszechnych. Ograniczę się więc kilku faktami. Chociaż na krańce wschodnie Azyi środkowej w południowym jej pasie prowadzi i droga lądowa, poznanie wszakże tych krańców nastąpiło dopiero w XVI wieku i było bezpośrednim skutkiem osiedlenia się Portugalczyków na Malacce w 1511 r. Podróż bowiem Wenecyanina Marka Polo na dwór władcy Azyi, Kubilai, przedsięwzięta w drugiej połowie w. XIII, która doprowadziła drogą lądową do brzegów Oceanu Wschodniego, nie znalazła naśladowców. A chociażby i znalazła, rezultaty nie mogły być pomyślne, w stosunkach bowiem politycznych Azyi zaszły ważne zmiany, a mianowicie, upadek państwa Dżengis-Chana, który czasowo połączył był Azyę wschodnią ze środkową i zachodnią i, w taki sposób, ułatwił przedostanie się z jednego jej krańca na drugi, a którego ów Kubilai był wnukiem. Z podróży Marka Polo w pamięci geografów XIV i XV stulecia pozostały tylko podania o bogatym kraju, na krańcach wschodnich Azyi leżącym, a nazywanym Kataj, i o istnieniu poza tym krajem wysp Szipangu (transkrypcya fonetyczna chińskiej nazwy Je-pen-kuo = państwo słońca wschodzącego, Japonia). W XVI zaś do owego Kataju i Szipangu dołączano, jak to wiemy, na kartach geograficznych — odkrywane współcześnie lądy i wyspy amerykańskie. W lat

Ta odporność względem Europejczyków kultury wschodnio-azyatyckiej wykazała jej znaczenie; ale ponieważ Europa nie doczekała się przybycia w odwecie jej przedstawicieli do siebie, uwydatnił się zarazem i jej charakter.

Gdzie na wschodzie Azyi leżało ognisko kultury dziejowej, nie wykryły dotychczasowe badania. W każdym jednakże razie rzeczą jest pewną, że leżało ono wśród rasy mongolskiej, której Azya jest kolebką i głównem siedliskiem.

I Mongoł i Arya stanowią jednostkę społeczną, mieszkają po domach, warzą sobie strawę, posiadają dorobek w mieniu, czytają księgi, przechowujące im doświadczenie przodków, własne przechowują dla potomstwa, w piśmie lub druku. Pomimo tego wszystkiego, pomimo nawet wspólnej nazwy człowieka, to są dwie istoty tak różne, że zupełne porozumienie się pomiędzy niemi i wspólne działanie, prowadzące do jednego celu, w jednakowem rozumieniu tego celu, jest rzeczą niemożebną. Cechą główną rasy mongolskiej jest trzodowość w instynktach społecznych, w umysłowości zaś lenistwo, prowadzące do zupełnej obojętności dla nauki i wiedzy, a uwydatniające się w braku wszelkiego krytycyzmu, co wszystko razem wzięte wytwarza znany ich konserwatyzm.

Otóż w trzech wymienionych narodach, które na krańcach wschodnich w południowej części Azyi środkowej spotykamy, żywioł mongolski stanowi główną podstawę etniczną. Ta podstawa właśnie tworzy wspólność między nimi. To zaś, co je dzieli, co stanowi między nimi różnicę — jest przymieszką żywiołów etnicznych obcych.

Liczba przedstawicieli rasy żółtej (520 mil. stanowiących 45 procentów ogólnej ludności kuli ziemskiej) i jej rozmieszczenie się na lądzie stałym Azyi wskazuje, że kolebki tej

---

sześć po osiedleniu się Portugalczyków na Malacce (1517) pierwszy Fernao Perez de Andrade przybył na brzegi chińskie, zajął wyspę Tamao, jedną z Szan-Czuen, i dotarł do Kantonu. Od tego czasu Chiny podlegać zaczęły napadom Portugalczyków, następnie Holendrów, dalej Anglików i Francuzów, niby powalony olbrzym, który nie oddalać od siebie, lecz niszczyć na sobie tylko mógł natrętnych nieprzyjaciół. Jedynie Makao i Tai-nan na Formozie zostawały stale w rękach przybyszów; pierwsze — Portugalczyków do czasów obecnych, a drugi — Holendrów do 1662 r.

rasy poszukiwać należy nie na krańcach tej części świata, lecz pośrodku lądu. Z drugiej zaś strony widzieliśmy, że na krańcach wschodnich Azyi, począwszy od półwyspu Czukockiego do granic Korei i od granic Tonkinu do cyplu południowego Malakki, zamieszkują ludy rozmaitego pochodzenia szczepowego i nawet rasowego. Zniknięcie tych ludów na krańcach wschodnich w południowej części Azyi środkowej (wyjątek stanowią Ainowie na Jesso i wyspach Kurylskich, oraz półdzicy mieszkańcy Formozy i wysp Riu-Kiu), wobec trzech wymienionych narodów: Korejczyków i Chińczyków, na lądzie, i Japończyków, na wyspach, naprowadza na myśl, że właśnie te trzy narody powstały ze zlania się ludów mongolskich, nacierających ze środka Azyi na krańce jej wschodnie, z ludami, poprzednio te krańce zamieszkującemi.



71. Korejczyk z klasy wyższej.

Zatrzymamy się po kolei nad każdym z tych narodów.

Korejczycy. A. de Quatrefages w genealogicznem drzewie rasy żółtej czyli mongolskiej, w szczepie syberyjskim, w gałęzi mongolskiej, wyosabnia rodzinę Korai, której jedynym przedstawicielem jest naród korejski [1]). Liczą w nim od 10 do 12 milionów jednostek. Jakkolwiek łączy te miliony jeden język i wszystkie, objęte ustrojem społecznym, stanowią jedno państwo, typ fizyczny Korejczyka jest trud-

[1]) *Histoire générale des races humaines*, str. 419.

niejszy do pochwycenia i określenia, niż typ moralny. E. T. Hamy robi uwagę, że niejeden podróżnik, nie wiedząc, w jaki sposób objaśnić i pogodzić spotykane odmiany etniczne, wymykające się z pod wszelkiego uporządkowania, zmuszony jest wprowadzać na scenę najbardziej niespodziewane żywioły, jak Aleutów lub Turków [1]). Nawet kraniometrya nie ratuje: obok dolichocefalów stoją brachycefale. W każdym razie jednakże te wszystkie odmiany spotykają się na tle powszechnie mongolskiem i poza ogólny wygląd Mandżura, Chińczyka lub Tybetańczyka nie przekraczają. Przekroczenia stanowią rzadkie wyjątki. »Jednostki z rysami europejskiemi, oczyma błękitnemi, jasnemi włosami przypominają niektóre ludy z Azyi zachodniej; gęste brody — Ainów« — twierdzi Quatrefages [2]).



72. Korejczyk z klasy niższej.

Typ moralny Korejczyków zwięźle a wymownie kreśli L. Chastang: »Są oni łagodni, uczciwi, gościnni, ale ich lenistwo i niedbałość są niezwykłe. Jeżeli ich kraj da się porównać z ukształtowania do Włoch, oni sami są to godni współzawodnicy lazaronów neapolitańskich. Tylko tragarze i ludność wiejska pracują nieco; ale pracować przestają, skoro tylko skromny zapas pieniężny pierwszym, pole obsiane drugim pozwalają nie troszczyć się o pożywienie w dniu jutrzejszym. Wszyscy inni dni całe trawią na wałęsaniu się i paleniu ciągłem tytuniu w długich cybuchach. Są

[1]) *Anthropologie* za 1895 r.: *Considérations générales sur les races aunes*, str. 255.

[2]) Opus citatum, str. 416.

odważni, ale nie posiadają żadnego temperamentu. Wytrwali, w innych warunkach i otoczeniu mogliby nawet stać się dobrymi robotnikami. Pozbawieni przezorności i pomysłowości, nie dążą do poprawienia i podniesienia swego bytu. Przeniesieni na krańce swego kraju wpadają w tęsknotę po nim. Oblicze ich wyraża zawsze pogodę i zadowolenie. Są inteligentni i pełni dobrych chęci do nauki, ale pod warunkiem, by nabycie jej nie kosztowało żadnych wysileń. Uczą się z łatwością języków obcych, ale nie dochodzą do znajomości dokładnej żadnego. Obdarzeni dobrą pamięcią, przechowują w niej, czego ich nauczono, obojętni na wszystko, co następnie dochodzi do ich wiadomości. Słowem, mogą dojść do pewnego wykształcenia, ale to wykształcenie pozostaje zawsze powierzchownem... Wszelki wysiłek umysłowy przyprawia ich o chorobę... Gościnność uważają za obowiązek; domy ich są zawsze otwarte dla przechodniów, nawet cudzoziemców. Wielka zgoda, a jeszcze większa solidarność panuje w rodzinach. Przyjaźń cenią, a w niej szczerzy są i bezinteresowni. Zrywają ją zaś tylko dla ważnych powodów i za trzeciem przewinieniem jednej strony. Zapewniają utrzymanie żonie zmarłych przyjaciół. Starość szanują. Grzecznością jest utrzymywać, że ktoś dziś starszym się wydaje, niż był wczoraj« [1]).

Mając swój odrębny język, używają chińskiego; mają swoje pismo, a posługują się chińskiem; swoje piśmiennictwo (legendy historyczne, baśnie i powieści) — karmią się chińskiem i japońskiem. Mogąc być wskutek szczęśliwej pozycyi geograficznej i samej liczby niezależnymi — do niezależności tak politycznej, jak i umysłowej nigdy nie dochodzili. Wszystko to razem doprowadziło, że obecnie przyszłość ich nie od nich samych, lecz od losów ich sąsiadów stała się zawisłą, a następnie od woli tych sąsiadów.

Chińczycy. Stajemy wobec wielkiego zagadnienia, nie już etnologicznego lub dziejowego, ale wszechświatowego, ściągającego się nie wyłącznie tylko do przeszłości, lecz bardziej do przyszłości. Dowodzą tego liczby następne.

Naród chiński, liczący od 325 do 350 milionów głów, stanowi trzy piąte rasy żółtej, a przeszło jedną piątą lud-

[1]) *Revue scientifique*, 1896, Nr. 16 (tom 2). *Les Coréens*, str. 494.

ności ogólnej kuli ziemskiej, wynoszącej półtora tysiąca milionów, i równa się prawie ludności Europy całej. Państwo, przez ten naród stworzone, o dwa miliony kilometrów kwadratowych zajmuje więcej przestrzeni, niż jej zawiera Europa.

A. de Quatrefages, na pniu rasy żółtej wyróżniając cztery szczepy (syberyjski, tybetański, indochiński i amerykański), w szczepie indochińskim ustanawia gałąź chińską, której naród chiński jest jedynym przedstawicielem, co jednakże nie przeszkadza mu pod względem etnograficznym rozpadać się na dwie grupy: północną, Petczylijczyków, i południową — Kantończyków [1]). Ilość Chińczyków, fakt, że oni do najwyższego stopnia rozwoju podnieśli kulturę wschodnio-azyatycką i że są jej obecnie jedynymi przedstawicielami istotnymi, pozwala wnosić, że wśród nich owa kultura powstała i że oni byli zawsze najgłówniejszymi jej przedstawicielami. »Z ogniska owej kultury — pisze Quatrefages — wychodzący Chińczycy wzrastali w liczbę, pochłaniając w każdym kierunku plemiona, które się poddawały, wypierając na północ i wschód, południe i zachód te, które odtrącały podwójne jarzmo, polityczne i cywilizacyjne. W taki więc sposób podbój całych Chin dzisiejszych przez Chińczyków starożytnych przedstawia szczególne zjawisko. Podbój zmierzał nie z ukrain do środka, lecz przeciwnie szedł od środka do ukrain. Jakkolwiek odbywał się on wielce powoli, działał wszelako jako mina, która, wybuchając, rozrzuca daleko w kierunkach zupełnie sobie przeciwległych szczątki skał, pod któremi była podłożona, a te padają na grunty całkowicie sobie obce. Podobnież Chińczycy rozrzucili na wszystkie strony szczątki ludów przez siebie podbitych« [2]). Szczątki tych ludów pozostały dotychczas na granicach zachodnich, północnych i południowych państwa chińskiego; na wschodnich zaś, docierając do brzegów oceanu Spokojnego, przypierały do tych brzegów ludność dawniej tam osiadłą. Nakoniec i dawniejsze i przerzucane z Azyi środkowej ludy uległy jednemu losowi, asymilacyi z cisnącymi się wciąż Chińczykami.

---

[1]) Opus citatum, str. 419.
[2]) Opus citatum, str. 430.

Od czasu, gdy żegluga morska, wytworzona przez Europejczyków, poczęła służyć Chińczykom, grożą oni zalaniem Ameryce i Oceanii. Gdy zaś z czasem przywłaszczą sobie mechanizm przemysłu europejskiego, ku czemu budzi się obecnie w nich dążność, a w czem sami Europejczycy stają się ich mistrzami, rozpoczynając naukę od wojskowości i komunikacyi, rasa biała znajdzie w nich współzawodników, z którymi walka, początkowo na polu ekonomicznem, a następnie i politycznem, stanowić może o przyszłych losach tej rasy. Jak obecnie korzystają już żółci Chińczycy z wynalazków i odkryć białych Europejczyków, tak w przyszłości skorzystać mogą wyłącznie dla siebie z wyniszczenia ludów amerykańskich i oceanijskich, dokonanego przez tych białych, a rozpoczętego obecnie przez nich podboju czarnych Afrykanów, i kula ziemska, nim ją dotknie przewrót kosmiczny, przynoszący koniec jej teraźniejszej postaci, należeć będzie, twierdzą pesymiści, do żółtych, jedynych przedstawicieli dotychczas różnobarwnej ludzkości.

Całe to wszelako niebezpieczeństwo grozić może rasie białej dopiero w razie przyjęcia przez Chińczyków jej kultury; powstaje więc pytanie: czy uzdolnienie rasowe pozwala przyjąć Chińczykom ową kulturę, czy dotychczasowa ich własna kultura usposobiła ich do przyjęcia obcej, a wyższej od swojej, i, co za tem idzie i co stanowi w tym przypadku istotę rzeczy—do rozwijania w dalszym ciągu i w tem samem naprężeniu tej obcej?

Ponieważ wyższość kultury europejskiej, udowodniona przez wypadki dziejowe, stan obecny rasy białej na kuli ziemskiej i jej stosunki do innych ras, nie polega wyłącznie na wyższości technicznej, lecz głównie na tem usposobieniu, tej sile umysłowej, która tę wyższość wytworzyła i, jak przypuszczać możemy, nadal, przynajmniej do pewnego kresu, wytwarzać nie przestanie, przeto dla współzawodniczenia skutecznego, a następnie pokonania tej rasy, niedość jeszcze uznać za dobre wyników kultury europejskiej i przyjąć jej technikę; potrzeba przytem tego, co do wytworzenia owej techniki doprowadziło i wciąż ją rozwija, podnosi, udoskonala. Ażeby Chińczyk został Europejczykiem, Francuzem lub Anglikiem, przedewszystkiem potrzeba, by prze-

stał być Chińczykiem. Potrzeba, by się wyrzekł tej miłej, a zgubnej w skutkach, niby odurzający narkotyk, ułudy, że jego ojczyzna jest środkiem ziemi, jego naród — jedynym, prawdziwym, rzeczywistym narodem na świecie, przez bogów wyjątkowo umiłowanym i przez nich bezpośrednio za pomocą syna niebios rządzonym; że losy jego kraju są osią, wokół której obracają się dzieje świata. Wyrzeczenie się tej ułudy, a raczej otrząśnięcie się z niej, pozwoli mu zrozumieć, że w istocie rzeczy nie syn nieba nim rządzi samowładnie, lecz pierwszy lepszy faworyt tego syna; pozwoli mu dojrzeć marności swej nauki całej, czczości i kłamliwości piśmiennictwa, nieudolności języka, szkodliwości systematu piśmiennego; pozwoli mu ocenić istotną wartość owych sławionych egzaminów, które, prowadząc niby na urzędy, przytępiają w najlepszym razie, nie zaś rozwijają umysł przyszłych dostojników państwowych, a zwykle otwierają tylko pole do oszustwa i szalbierstwa; pozwoli mu spostrzedz, że powierzać bez kontroli swoje losy istocie, której jedyną wartość stanowi spamiętanie kilkuset zdań z księgi przed kilku tysiącami lat, jak sądzą, napisanej, jest co najmniej śmieszną a zdrożną lekkomyślnością... Ale, by przestać być Chińczykiem, potrzeba było nie być Mongołem.

Ustrój państwowy i urządzenia społeczne Chińczyków są doskonałym przyrządem konserwującym. Czy wszakże konserwowanie każdego trupa lub czyichś odpadków jest rzeczą konieczną i dla pożądanego biegu spraw na kuli ziemskiej potrzebną?

Walka przyszła Aryów z Chińczykami może mieć jeden tylko charakter walki z owadami po części, po części zaś z nieznaną dotychczas siłą przyrody. Geniusz rasy białej potrafi wyjść zwycięsko z walki z owadami, bądź niszcząc je, bądź też czyniąc je nieszkodliwemi dla siebie. Potrafi również zapanować nad siłą przyrody, zmuszając ją do służby sobie. Byleby tylko pozostał on sobą, nie dał się bałamucić mistycyzmem zrozpaczonych lub kuglarstwem spodlonych umysłów.

Japończycy. Owe nieznane, a tylko przypuszczane pierwiastki etniczne, które na podstawie mongolizmu wytworzyły nowe jego formy i typy w postaci Korejczyków

i Chińczyków, w Japonii dają się dojrzeć i dociekać. Wytwarza to specyalny interes dla etnologa. Poważna liczba Japończyków, 40 milionów dochodząca, ten interes potęguje jeszcze.

Japonia, jako kraj i państwo, składa się z wysp. Wyspy Japońskie stanowią średnie ogniwa wielkiego łańcucha wysp, ciągnącego się równolegle do wschodnich brzegów Azyi i łączącego strefę równikową z — biegunową. Skrajnemi od południa ogniwami owego łańcucha będą Formoza i Filipiny. Z Formozą wyspy Japońskie łączy szereg wysepek Riu-Kiu. Filipiny tylko cieśninami są oddzielone od Borneo, przez który przechodzi równik. Skrajnemi od północy ogniwami będą Sachalin i szereg wysepek Kurylskich. Sachalin od lądu stałego Azyi oddziela wązki kanał Tatarski i jeszcze węższa ku północy cieśnina Tatarska. Szereg wysepek Kurylskich dotyka prawie Kamczatki. W taki więc sposób średnie ogniwa, trzy wyspy większe, Kiu-Siu, Hondo, czyli Nipon, i Jesso, oraz kilkadziesiąt drobnych, stanowiące właściwą Japonię, przez Kiu-Kiu sięgają Formozy i Filipinów, przez Sachalin, lądu stałego Azyi środkowej, przez Kuryle — stref północnych tejże Azyi.

Sądzićby należało, że wyspy, z natury rzeczy stanowiąc ograniczone wodą, a więc mniej od lądowych dostępne kraje, są skazane na bezludność, lub ostatecznie na jednolitą ludność. Tymczasem tak nie jest. Dowodzą tego w Europie wyspy Brytańskie, na których zachodnich i północnych krańcach dotychczas jeszcze przechowały się resztki pierwotnych mieszkańców Europy zachodniej — Celtów, a powstały na nich naród, Anglicy, wytworzył się z liczniejszych pierwiastków etnicznych, niż którykolwiekbądź inny naród europejski. Dowodzą tego w Azyi wyspy Japońskie.

Najdawniejszymi mieszkańcami wysp Japońskich byli Ainowie, których szczątki istnieją jeszcze dotychczas, jak to wiemy, na południu Sachalinu, na krańcach północnych i zachodnich Jesso, a których, razem z Giliakami, Schrenck wyróżnia wśród ludów zamieszkujących dolinę Amuru i wyspę Sachalin, jako obcoplemiennych współczesnej ludności tych krajów. Charakterystyczne cechy tych Ainów (cera jasna, ciemne a wielce bujne uwłosienie i wyraziste

rysy twarzy) przechowały się w licznych postaciach współczesnych Japończyków, zwłaszcza północnych. Od południa w czasach pierwotnych przedostawali się z pierwotnej swej ojczyzny, wysp Zondzkich na wyspy Japońskie, głównie Kiu-Siu i południowe krańce Hondu (Niponu) Negryci. Tych zaś charakterystyczne cechy (cera czarna, czarne a kędzierzawe włosy, wzrost mały) przechowały się w licznych postaciach współczesnych mieszkańców Formozy i wysp Riu-Kiu, oraz w postaciach południowych Japończyków.

Do tych dwu najdawniejszych, a więc względnie pierwotnych żywiołów etnicznych, w Japonii, przyłączyły się w czasach późniejszych, gdyż o tem wspominają podania i kroniki japońskie, jeszcze dwa inne. Z lądu stałego Azyi, przez Koreę, napływały ludy mongolskie, w podaniach i kronikach noszące nazwę Kmaso albo Jonso; z wysp zaś Zondzkich, skąd poprzednio przedostawali się do Japonii Negryci, i z półwyspu Malakki napływali Malajowie, którzy, zająwszy pierwotne siedziby owych Negrytów, rozpierzchać się poczęli w różne strony świata. Ci Malajowie w podaniach i kronikach japońskich noszą nazwę Jamato.

Przedostając się z wysp bardziej na południe leżących do Japonii, Negryci i Malajowie pominąć nie mogli Formozy i wysp Riu-Kiu. Owszem, zarówno Formoza, jak i archipelag, wydłużony z południa na północ, Riu-Kiu, stanowiły pożądane i długie etapy w tem ich posuwaniu się na północ. Wskutek tego ludność tych wysp powstała głównie z dwu pierwiastków: negryckiego i malajskiego. Dopiero w czasach późniejszych poczęły osiadać na nich kolonie: chińskie na Formozie, japońskie na Riu-Kiu [1]).

Liczebny stosunek napływających Mongołów i Malajów do wypieranych i pochłanianych Ainów i Negrytów nie da się oznaczyć. W każdym razie sam fakt wyparcia lub pochłonięcia wykazuje znaczną po stronie tamtych przewagę. Również nie da się oznaczyć ten stosunek do siebie dwu napływających żywiołów. Prawdopodobnie jednakże żywioł mongolski musiał być przeważający liczbą skoro bardziej się uwydatnia w postaci ogółu japońskiego i w języku ja-

[1]) Formoza do ostatniej wojny japońsko-chińskiej należała do Chin. Po wojnie przeszła pod władzę Japonii.

pońskim, który, pomimo swego odrębnego stanowiska z przyczyny pierwiastków, zalicza się jednakże do rodziny języków mongolskich jako przyczepkowy (aglutynacyjny) [1]).

»Ludzie prostego pochodzenia i wieśniacy przedstawiają najczęściej typ mongolski... Arystokracya i wyższa szlachta odwrotnie, typ bardziej ich zbliżający do Malajo-Polinezyjczyków« — twierdzi Deniker [2]). Tak więc, pomimo wytworzenia się z czterech wyliczonych pierwiastków etnicznych przez zlanie się jednego narodu japońskiego, w zewnętrznym wyglądzie Japończyków przechowały się ślady ich różnego pochodzenia. Ślady te, dając się pochwycić, ująć i określić, wykazują samo pochodzenie.

Opierając się na tych danych, postawić możemy pytanie: jakie każdy z tych pierwiastków etnicznych wniósł do narodu japońskiego uposażenie umysłowe?

Stan obecny Ainów i — Andamanów (najliczniejszych teraz przedstawicieli Negrytów) wykazuje, że ich udział w utworzeniu się narodu japońskiego nie mógł być doniosły w następstwa dla tego narodu dodatnie, że ich wniosek do umysłowości japońskiej bardziej ją przytępić, niż podnieść zdołał. Stan obecny kultury i uspołecznienia w Azyi, będącej głównem siedliskiem rasy mongolskiej, oraz owe kraje w Europie, w której ludy z tej rasy, zdobywszy je, osiadły, wykazują, co mongolizm wnosi do umysłowości ludzkiej, jak ją i w jaki sposób urozmaica. Przewaga żywiołu mongolskiego w Japończykach tylko ich zbliża do innych narodów i ludów azyatyckich. Pozostaje czwarty żywioł — malajski.

Położywszy przed sobą kartę Oceanii, gdy zobaczymy te tysiączne wyspy, składające dziesiątki archipelagów, rozsiane po obu stronach równika, od zwrotnika Raka (Hawai), poza zwrotnik Koziorożca, do 46° szerokości południowej (Nowa Zelandya), aż do 110° długości wschodniej (wyspa Wai-hu czyli Wielkanocna), i, zadawszy sobie pytanie, skąd ludność na tych wyspach pochodzi, gdy sobie przypomnimy, że ci wszyscy wyśpiarze stanowili ludność napływową i są Malajami,—przedsiębierczość i wytrwałość,

---

[1]) A. Levèfre: *Les Races et les langues*. str. 67, 68.

[2]) *Dictionnaire des Sciences Anthropologiques*, str. 632.

a głównie śmiałość tych Malajów, którzy bez środków komunikacyi europejskich, na drobnych łodziach odważyli się na takie podróże, wzbudzi słusznie w nas podziw. Ten podziw będzie jeszcze zwiększony, skoro nadto przypomnimy sobie, że nietylko w tym jednym kierunku, na wschód od ich kolebki, odbywały się peregrynacye malajskie i że Madagaskar (leżący pomiędzy 44—50° zachodniej już długości) otrzymał w ich osobach (Howowie) głównych zdobywców i pierwszych założycieli państwa madagaskarskiego. Ludność polinezyjsko-malajska ginie w zetknięciu się z rasą białą. Zniknięcie jej zdaje się być wyrokiem niecofniętym przyrody. Ginie bowiem zarówno w niezależnej aż do chwil ostatnich (od niedawna Stan Ameryki północnej) Hawai, jak konstytucyą obdarzonej, a do Anglii należącej, Nowej Zelandyi, jak i na innych wyspach, pozostających pod pierwotnym swym rządem, ale gdzie tylko Europejczycy osiedlać się zaczęli. Niedawne wcielenie Madagaskaru do kolonii francuskich zapewne w tym kierunku oddziała i na Malajów madagaskarskich. Ale inne widocznie wyroki przyroda wydawała w przeszłości. Dzielność dawna pozostaje zawsze dzielnością — choć we wspomnieniach dziejowych, choć tylko na kartach historyi. Wszak dzień wczorajszy już jest historyą, stając się przeszłością.

Otóż to wszystko, co Japończyków obok ludów mongolskich od nich odróżnia, otrzymali oni od Malajów. Quatrefages nawet wycofowuje ich z rasy mongolskiej i razem z Malajami zalicza do rasy oceanijskiej [1]).

A odróżnień jest wiele.

Każdy z trzech narodów, które na krańcach wschodnich w południowej części Azyi środkowej poznajemy, doszedł już był w rozwoju swoim kulturalnym, i to przed wiekami, do najwyższego stopnia tego rozwoju, to jest do takiego, do jakiego tylko w tem ognisku kultury dojść mógł jedynie. Czas dla tych narodów jakby już był stanął, bieg dziejów na krańcach wschodnich Azyi się zatrzymał.

W uzdolnieniu swem, to zatrzymanie się czasu i dziejów — narody te poczytywać zaczęły za szczyt pomyślności i dobrobytu. Z takiego zapatrywania się na ten stan

[1]) Opus citatum, str. 507.

rzeczy wypływało, jako jedyne zadanie, taki stan rzeczy utrzymać.

W rozwoju swym społecznym każdy z wymienionych narodów doszedł był, i to przed wiekami, a Chińczycy przed ich setkami nawet, do utworzenia własnego państwa. Państwa narodowe stały się przedstawicielami dążności narodowych i rządy — wykonawcami zadań narodowych. Utrzymanie więc bez zmiany stanu rzeczy w każdym narodzie za swój cel jedyny przyjąwszy, rządy wszystkie rozporządzalne środki, a miały ich niewyczerpaną ilość i władały wszystkiemi, jako nieograniczone monarchie, ku temu celowi skierowały i jemu poświęciły wyłącznie.

Ponieważ, wewnątrz każdego państwa, górowało ponad wszystkiem zadowolenie z istniejącego w kraju porządku i powstała chęć utrzymywania niezmiennie raz zaprowadzonego stanu rzeczy, inicyatywa jakiejkolwiekbądź zmiany i pobudka do tej inicyatywy mogły przyjść tylko z zewnątrz. Owem »zewnątrz« dla Korei i Japonii przez długie wieki były Chiny, a dla Chin — Ocean wschodni, bezbrzeżny i nieskończony, gdyż ich nauka i stan żeglugi takim go czyniły. Wszystko więc szło pomyślnie. Zadanie rządów było ułatwione i cele ich łatwo się osiągały — aż do czasów przybycia na brzegi tych państw okrętów europejskich.

Nie dopuszczać okrętów tych do swoich portów, a tępić osiedlających się siłą lub podstępem Europejczyków na swojej ziemi — stało się jedynym, przed grożącem niebezpieczeństwem, środkiem ratunkowym, przez prosty instynkt podawanym. Chwyciły się więc tego środka rządy tych trzech państw i, jak wiemy, przez wieki cztery wytrwale i umiejętnie stosowały go w praktyce. Ale nie zawsze one miały mieć do czynienia tylko z Portugalczykami i Holendrami.

Obecnie, gdy Rosya graniczy już z Koreą, a przez Mandżuryę układa odnogę kolei syberyjskiej, gdy Francya z Tonkinu, a Anglia z Birmanii dotykają do samych Chin, jedna tylko Japonia, jakkolwiek najmniej zagrożona, potrafiła krytycznie spojrzeć na swą przeszłość i trzeźwo ocenić nową, wypływającą z biegu dziejów wszechświatowych, więc niecofniętą, sytuacyę. To poprowadziło ją do rozpoczęcia reform. I, przyznać należy, rozpoczęła od rzeczy podstawowych.

Chiny, rządzone przez syna niebios, który ukrywa się, niby na ojczystem niebie, w swych pałacach niedostępnych zwykłym ludziom, przedstawiają zawsze typ niezmienny monarchii wschodniej, zaprawionej teokratyzmem. Korea zawsze czci jednakowo rządzącego nią z władzą nieograniczoną monarchę swego, na którym nigdy oko poddanego spoczywać, na którego nigdy cień poddanego padać nie może, a który, panując nad narodem cztery razy mniej licznym niż Japończycy, a czterdzieści niż Chińczycy, bywał zawsze hołdownikiem jednego z monarchów sąsiednich. Japonia, wprowadziwszy u siebie rządy konstytucyjne na wzór monarchii konstytucyjnych na zachodzie Europy, próbuje szczerze i uczciwie godzić parlament narodowy z tradycyjnym tronem. Gdy zaś, za pomocą sztuki wojennej europejskiej nad dziesięć razy potężniejszym wrogiem, Chinami, w niedawnej wojnie o prawa do Korei, odniosła rozgłośne zwycięstwo, zachęcona powodzeniem, nie bez słuszności przypisywanem nowemu w kraju porządkowi rzeczy, otwiera obecnie naoścież wrota do siebie nauce europejskiej, jakkolwiek, ostrożna, przez szparę zaledwo w nich wpuszcza Europejczyków, i to w charakterze nauczycieli... Od przyjęcia się kultury europejskiej w Japonii zależeć będą losy dziejowe Wschodu azyatyckiego. Ono rozstrzygnie pytanie, kto w przyszłości, mniej lub więcej odległej, na tych krańcach gospodarzyć będzie: czy Europejczycy, z północy i z południa na nie jak obecnie z powodzeniem zupełnem się wdzierający, czy też przez kulturę europejską odrodzeni Japończycy, ci potomkowie Mongołów i Malajów.

Świeże trzy wypadki: skuteczny choć tajemny i oględny udział Japonii w powstaniu krajowców przeciw Hiszpanom na Filipinach; protest jej przeciw wcieleniu do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej wysp Hawai, jako Stanu nowego; nakoniec, uczestniczenie jej w związku z państwami europejskiemi w obecnej wyprawie do Chin—wykazują budzenie się w niej pewnej, instynktowej zapewne, chęci szerszego życia dziejowego. Jak na tem powołaniu Japonii do tego życia wyjdą przedstawiciele kultury zachodniej, dotychczasowi jej wychowańcy—przyszłość to dopiero wykaże...

Dobiegliśmy do końca. Jedno wszelako pozostało jeszcze pytanie.

Te kilkadziesiąt ludów, rozsianych na krańcach wschodnich Azyi, od koła biegunowego do równika, różne cerą, postacią, mową, stopniami kultury i uspołecznienia, podlegać muszą klasyfikacyi rasowej. Większość ich należy do rasy mongolskiej, co było zaznaczane przy ich opisywaniu. Ale są i takie, które do tej rasy zaliczyć się nie dają. Więc gdzie ich pomieścimy?

Na północo-wschodzie tylko jednych Kamczadałów i Eskimów Quatrefages zalicza do rasy mongolskiej, tworząc z pierwszych osobną rodzinę kamczadalską w gałęzi właściwie mongolskiej szczepu syberyjskiego, zaliczając drugich do szczepu amerykańskiego tej rasy. Rodzina kamczadalska obejmuje, według niego, grupę Kamczadałów kamczackich (a więc wschodnich, południowych i zachodnich), oraz przytem Aleutów z wysp Aleuckich. Czukczowie zaś, z Koryakami stanowiąc jedną rodzinę, należą, wciąż według niego, do rasy białej. W tej zaś rasie specyalne zajmują stanowisko, do którego zrozumienia poznać należy podział rasy białej całkowity.

Rasę białą czyli kaukaską Quatrefages dzieli na cztery szczepy: allofilski (obcoplemienny niby), fiński, semicki i aryjski. W pierwszym szczepie wyróżniwszy gałąź azyatycko-amerykańską, w niej dopiero zamieszcza rodzinę Czukczów.

Wielu antropologów i etnografów z ludów, zamieszkałych na krańcach północnych i północno-wschodnich Azyi, tworzą osobną rasę, nazywaną hyperborejską, czyli Hyperboerów, i do niej wprowadzają zarówno Czukczów i Koryaków, jak i Kamczadałów i Eskimów. Dr. Dybowski przychyla się do takiego utworzenia nowej rasy, robiąc uwagę, że, »jeżeli ta nazwa nic nie objaśnia, za to też niczego przytem nie obiecuje.«

W części północnej Azyi środkowej, na wschodnich jej krańcach, Schrenck wśród ludów pochodzenia mongolskiego wyróżnia dwa, Ainów i Giliaków, zupełnie obcych Mongołom, a wyróżniwszy, zalicza te ludy do ludności paleoazyatyckiej, dawnych, pierwotnych mieszkańców Azyi.

Quatrefages zalicza Ainów do rasy białej i mieści ich w szczepie allofilskim, w gałęzi azyatycko-amerykańskiej, obok Czukczów i Koryaków; Giliaków zaś zalicza do rasy mongolskiej i, wbrew Schrenckowi, mieści w rodzinie tunguskiej, stanowiącej, jak to sobie przypominamy, gałąź właściwie mongolską w szczepie syberyjskim. Inni antropologowie, zgadzający się na istnienie rasy hyperborejskiej, zaliczają do niej Ainów i Giliaków.

Ludy i ludki na krańcach południowo-wschodnich Azyi, chociaż, również jak i na północy, oddalają się niektóre od ludów mongolskiego pochodzenia, nie są jeszcze wszelako, dla braku odpowiednich materyałów, ostatecznie w rasie mongolskiej wyróżnione, ani też do innych ras, jak to się stało z ludami północnemi, wprowadzone.

Za przykładem Europy.

Odkrycia naukowe, wynalazki techniczne, praca z zamiłowania twórczości, praca z konieczności ekonomicznej — wytworzyły w Europie dobę działalności dotychczas w dziejach nieznanej. Potęgę tej działalności, siłę jej natężenia wykazują zdumiewające skutki. Europa stała się za ciasną dla Europejczyków. I oto zdobywają świat cały.

Kultura w swym rozwoju skoków gwałtownych nie zna — jedne więc rasy przy zetknięciu się z białą giną. Życie nie znosi martwości — inne przeto przy zetknięciu się z białą zostają wciągnięte w wir życiowy i odradzają się, wstępując na nowe drogi. Przez co Europejczycy obejmują w posiadłość kulę ziemską bądź faktycznie, zastępując dawnych mieszkańców rozmaitych na niej lądów, bądź rozszerzając wszędzie swe wpływy, owoce swej pracy, materyalnej i umysłowej.

Ameryka, raz już zdobyta, powtórnie przez nowe fale emigracyjne zdobywaną zostaje. Oceania już się stała kolonią europejską, Afryka zaś — staje się nią. Jedyna Azya, owa kolebka życia kulturowego, pozostaje dla Azyatów. Lecz to bardziej na pozór, niż w rzeczywistości. Azyaci bowiem sami przestają być sobą. Wpływ kultury europejskiej sięga nawet najbardziej od Europy oddalonych części Azyi i wnika w życie jej mieszkańców.

Wypadki zaszłe tam przed kilku laty obecnie tego dowodzą.

Zawrzała była groźna wojna pomiędzy dwoma państwami, stanowiącemi krańce odległego Wschodu. Japonia, najusilniej

i najskuteczniej odradzająca się pod wpływem kultury europejskiej, wyzwała do walki orężnej Chiny, państwo nieprzyjazne a nawet, o ile możność pozwala, odporne tej kulturze.

Nierówność potęgi materyalnej tych dwóch państw jest uderzająca. Japonia dwanaście razy jest mniejszą od Chin pod względem przestrzeni i dziesięć razy mniej ludną niż Chiny. Wyzywając przeto te ostatnie do walki, oprzeć się w niej na czemś innem, niż na obszarach wielkich i znacznej ludności, zamyślała.

Pozornie poszło im o kęs ziemi, Koreę. W rzeczywistości zaś ta walka miała rozstrzygać o pierwszeństwie na odległym Wschodzie azyatyckim owych dwóch państw, a raczej dwóch narodów państwa te tworzących. Przebieg i rezultat walki nie może być i nie jest obojętnym dla Europy. Anglia za pomocą swej floty gospodaruje na oceanie Wschodnim i w kilku nabrzeżnych miastach. Granica Rosyi przytyka do północnych kresów Korei. Francya, owładnąwszy Annamem i Tonkinem u wrót pola walki znajduje się prawie.

Lecz jest okoliczność po nad wszelkiemi innemi górująca. W sporze dyplomatycznym, poprzedzającym walkę orężną, w przygotowaniu się wojennem do samej walki i w sposobie jej prowadzenia, wielce starożytne Chiny i, od najstarszych państw europejskich, starożytniejsza Japonia, przez lat tysiące w zgodzie z sobą i pokoju pozostające, poszły za przykładem młodej Europy.

I.

Poznajmy naprzód ów kęs ziemi, o który to toczyła walkę Japonia z Chinami, przypatrzmy się mieszkańcom tego kraju w bycie dotychczasowym, nim rezultat wojny, wcielając ich do jednego z walczących państw, ku czemu zmierzają wypadki, wywoła stanowczy przełom w tym bycie.

Korea jest to długi, do tysiąca wiorst z północy na południe ciągnący się półwysep. Szerokość jego wynosi ćwierć długości. Wchodzi on do oceanu Spokojnego, który przy brzegach jego nosi nazwy mórz: Żółtego — przy zachodnim, Japońskiego — przy wschodnim. Od północy dwie rzeki, płynące w odwrotnych kierunkach z jednej wyżyny,

Yalu — ku południo-zachodowi, i Tumanga — ku północowschodowi, oddzielają Koreę od Chin, a właściwie od Mandżuryi. Lewy atoli brzeg Tumangi, nieopodal od ujścia jej do morza Japońskiego, należy już do Rosyi. Stanowi on południową granicę klina, którym kraj Amurski, a raczej okręg Ussuryjski, odcina Mandżuryę od Oceanu. Od południowschodu szereg wysepek, niby przerwana tama, łączy Koreę z Japonią. Tak więc półwysep Korejski, będąc naturalnem ogniwem, łączącem oderwane wyspy z masą lądową Azyi środkowej, przedstawia pewnego rodzaju pomost, prowadzący z lądu stałego na archipelag Japoński, lub odwrotnie, z archipelagu ułatwiający zdobycie nadbrzeża i usadowienie się na stałym lądzie azyatyckim.

Szerokości geograficznej Korei (34°—42°) odpowiadają w Europie: Hiszpania południowa, Sycylia, Grecya. Klimat wszelako w Korei jest zupełnie odmienny, niż we wzmiankowanych krajach europejskich. Chłody syberyjskie, stosownie do pory roku, następują tam po upałach saharskich. Spowodowują to zjawisko wiatry, wiejące po kolei — to od północy, wprost z mroźnych pustyń Mandżuryi i Gobi wschodniego, przed któremi niedość skutecznie osłaniają Koreę wzgórza mandżurskie; to znowu wiejące od południa, z wód otwartego zupełnie oceanu, ogrzanego słońcem zwrotnikowem. Przytem przerzyna półwysep, przez całą długość jego, pasmo wysokich gór, co już i bez innych przyczyn ochładzałoby klimat. Również, z przyczyny tych gór, Korea jest obficie wodą zraszana, a rzeki, w górnym swym biegu przybierając charakter potoków, dopiero w pasie nadbrzeżnym rozlewają się szeroko i tworzą przy ujściu do morza porty wygodne. Trzy ich głównych z trzech stron półwyspu, ułatwiają przystęp do niego: na wschodnim brzegu Yuen-San, na południowym — Fu-San, na zachodnim — Chemulpo. Miasto stołeczne państwa Han-Yang, głównie Seul, stolicą, nazywane, od tego ostatniego portu o mil kilkanaście jest zaledwo oddalone.

Górzyste położenie Korei, przy tych wurunkach klimatycznych, wytwarza dziwne i rzadkie urozmaicenie flory i fauny. Stoki gór pokryte są lasami iglastemi i liściastemi, dostarczającemi coraz bardziej wyniszczanego, a więc i poszukiwanego na południu, materyału budulcowego i do przemysłu fabrycznego służącego. Na równinach rosną obficie

rozmaite zboża, zwłaszcza proso i ryż, rozmaite rośliny włókniste, głównie konopie, ze strączkowatych *dolychossoya*, nad której zaaklimatyzowaniem w Europie przemyślają filantropijni botanicy.

O rozmaitości i doniosłości bogactw kopalnych krążą tylko podania. Złoto ma spoczywać tuż pod zwierzchniemi warstwami ziemi.

Po lasach gnieżdżą się liczne niedźwiedzie, dziki, pantery, tygrysy. I one właściwie są gospodarzami tych lasów rzeczywistymi. Ilość tych rozmaitych gospodarzy na tę szerokość geograficzną jest zupełnie wyjątkową. Po wilgotnych dolinach plenią się rozmaite gady i płazy, mnogością swą i szkodliwością nieustępujące indyjskim. Ród ptasi przedstawiają liczne Bażanty.

Łakomym więc kąskiem dla sąsiadów w danej chwili przedstawić się może ten kęs ziemi. Wszak chłody syberyjskie od Syberyi, upały saharskie od Sahary nie odstręczają łaknących przestrzeni ludzi! Tygrysy i niedźwiedzie gospodarujące po lasach, to gotowy kapitał dla odważnych przodowników przemysłu leśnego. A złoto tuż pod górną warstwą ziemi...

II.

Byt społeczny każdego narodu czy też ludu jest wynikiem dwojakich danych: pochodzenia rasowego i właściwości rozwoju dziejowego.

Pierwszych danych dostarcza etnologia, — po drugie zwracać się należy do pomników historycznych.

Zatrzymamy się na pierwszych.

Korea, jak to już z samego położenia geograficznego jest widocznem, leży w obrębie zamieszkania rasy *żółtej*.

Rasa żółta stanowi atoli prawie połowę (0,44) ogólnej ludności ziemi i obejmuje nie o wiele mniej, niż część trzecią (0,28) ogólnej przestrzeni, zamieszkanej przez ludzi na ziemi. Z natury więc rzeczy rasa żółta nie może być jednolitą we wszystkich swych okazach i obejmuje, pod jednem pojęciem, tak znaczną ilość ludów wszelakich, jak i rasa *biała*, która naprzykład, pod jedną nazwą białego, jednoczy: Aina, Lapończyka, Araba, Serba, Greka i Szweda; lub *czarna*, pod

jedną nazwą czarnego: Andamana, Papua, Australczyka, Negra, Hottentota, Buszmana.

Ażeby dojść do *żółtego Korejczyka*, w rasie żółtej powinniśmy wyróżnić szczepy, w szczepach — plemiona, w plemionach — rodziny; w rodzinach dopiero grupy ludów, lub pojedyńcze ludy.

Rozpadanie się antropologicznych czy też etnologicznych całości, znanych pod nazwami ras, szczepów, plemion, rodzin, grupy ludów - jest wynikiem naturalnym dwóch przyczyn: rozpierzchnięcia się z pierwotnej kolebki rasowej danej rasy i krzyżowania. Rasa żółta, zamieszkując przestrzenie różne od krain podbiegunowych do równika, zajmując wszelkie podniosłości gruntowe od poziomu morza do wyżyn tybetańskich, rozpadła się na trzy szczepy: syberyjski, tybetański i indo-chiński. Korejczyk należy do *szczepu* syberyjskiego.

Szczep syberyjski w dalszym ciągu indywidualizacyi rozpada się na plemiona: mongolskie i tureckie. Korejczyk należy do *plemienia* mongolskiego.

Plemię dzieli się na rodziny. Plemię mongolskie zawiera rodzin pięć: mongolską, tunguską, samojedzką, kamczadalską i korejską. Korejczyk należy do *rodziny* korejskiej.

Każda z tych rodzin zajmuje znaczne przestrzenie na północy w Azyi, co prowadzi znowu do wyróżniania się w rodzinie—grup ludowych. W rodzinie mongolskiej wyróżniają się jako całości osobne: właściwi Mongołowie, Kałmucy, Buryaci. W rodzinie tunguskiej — Tunguzi właściwi, Mandżurowie, Giliacy. Rodzina korejska składa się z jednego ludu korejskiego, zamieszkującego półwysep Korejski, a więc przestrzeń ściśle ograniczoną i nie nadającą się wskutek tego do wytwarzania osobnych grup ludowych.

Lecz te same przyczyny, mianowicie: osiedlenie się na półwyspie i ograniczone rozmiary półwyspu, które nie pozwoliły rodzinie korejskiej, zamieszkałej na Korei, rozpaść się na grupy ludów, wpłynęły na zmianę typu plemiennego. Korea, leżąca na samym krańcu odległego Wschodu, jako półwysep wysunięta w przestrzenie wodne oceanu i wodami jego okrążona, dostarczała schronienia wszelkim rozbitkom na morzu, podlegała częściowym imigracyom przedstawicieli

rozmaitych ludów. Przybysze tonęli w masie ludności mongolskiej, lecz ich indywidualność rasowa odbijała się na zewnętrznych cechach Mongoła korejskiego. Nos się niektórym zwężał, usta malały, barwa oczu i włosów stawała się jaśniejszą, uwłosienie obfitszem. Tak więc typ mongolski, ulegając zmianie pod wpływem warunków geograficznych, wyosabniał się w plemieniu i przechodził powoli w typ Korejczyka właściwy. Na mieszkańcach Korei proces przekształcania się typu jest widocznym. Obok typowego Mongoła spotyka się Korejczyk z cechami zupełnie różnemi, naturalnie w pewnych granicach, od typu mongolskiego.

Genealogia ludów, oparta na schemacie etnologicznym, ułatwia schwytanie pokrewieństwa, zachodzącego pomiędzy rozmaitemi ludami. I tak: Korejczyka do sąsiadów najbliższych od północy, Mandżurów, i nieco odleglejszych, Giliaków i Tunguzów, zbliża pokrewieństwo rodzinne. Do plemion tureckich: Jakutów, Kirgizów — pokrewieństwo plemienne. Do Chińczyków — pokrewieństwo szczepowe.

W odległej przeszłości Korea odegrała ważną rolę w powstawaniu rasy oceanijskiej. Przez Koreę bowiem żywioł mongolski najskładniej przedostawać się mógł na wyspy sąsiednie, na których powstało z czasem państwo Japońskie.

Ludność Korei wynosi od ośmiu do dziewięciu milionów głów.

III.

Gdy w celu poznania bytu społecznego korejczyków od danych, dostarczonych przez etnologię, zwrócimy się do pomników historycznych, które z natury rzeczy jedynie odsłonić mogą przeszłość tego ludu, uderzy nas przedewszystkiem okoliczność, że żadnych tego rodzaju pomników Korea nie posiada, a może—nie zostały one dotychczas przez Europejczyków odkryte i ogółowi udostępnione. To ostatnie jednakże przypuszczenie jest bardzo wątpliwem.

W każdym razie atoli, zarówno brak wszelkich pomników historycznych, jak i ich utajenie głębokie, są to fakta, mające samo przez się wielkie znaczenie. Wynikły one bowiem bądź z charakteru ogólnego cywilizacyi azyatyckiej, bądź też ze stosunków Europy z Azyą.

Azya geograficzna, to jest leżąca w obrębie granic w geografii wskazanych, jeśli na nią popatrzymy ze stanowiska dziejowego, rozpada się na *dwie* różne Azye, Azye dziejowe: zachodnią, właściwie południowo-zachodnią — i wschodnią. Granicę między temi dwoma światami dziejowemi stanowią stepy w Syberyi zachodniej, znaczne bardzo wyżyny w Azyi środkowej i łańcuch gór Himalajskich. Odcięta, w taki sposób, od głównego pasma część Azyi geograficznej, wraz Europą i północno-wschodnim kątem Afryki, stanowi scenaryum dziejowe jednej kultury, pozostała część wschodnia — drugiej.

Przyczyny tego zjawiska dziejowego są następujące. W odległej starożytności, która wszelako nie przekracza trwania naszego cyklu dziejowego, aczkolwiek tysiącami lat mierzyć się jedynie daje, na dwóch krańcach Azyi, tej największej masy lądowej na kuli ziemskiej, na wschodnim i zachodnim, powstały, co mogło prawdopodobnie odbywać się nawet współcześnie, dwa niezależne od siebie ogniska życia kulturowego. Na wschodzie Azyi powstało ono wśród rasy *żółtej*, na zachodzie — wśród rasy *białej*. Uzdolnienie umysłowe, a raczej właściwości psychiczne tych ras, stanowiły o dalszym przebiegu i późniejszym rozwoju tej kultury.

Wskutek wypadków, których przebieg rozwijają dzieje powszechne, z ogniska zachodniego kultura azyatycka przeniosła się do Europy, gdzie natrafiła na nowe pokłady etniczne, innych przedstawicieli rasy, szczep aryjski. Krzewiąca się kultura coraz to nowe ludy budziła i powoływała do życia. Każdy z tych ludów, wnosząc świeże siły, składał je jej na ofiarę. Kultura starożytna ciągłe się przeto odmładzała, wciąż się rozwijając, udoskonalała i, pomimo ciążących jeszcze nad nią tradycyi fińskich i semickich, wstąpiła nakoniec na drogę, zapewniającą jej i nadal rozwój stały, prawidłowy i samodzielny.

Inne były losy kultury na Wschodzie. Z ogniska wschodniego nie przekroczyła dalej jak na wyspy, okrążające wschodni brzeg Azyi, a rozwijając się głównie w narodzie, wśród którego powstała i który dotychczas jest jeszcze głównym jej przedstawicielem, doszła do pewnego stadyum, zawarunkowanego własnościami, jak wnosić należy, rasy,

i na nim się zatrzymała, skrzepła, skrystalizowała się, spoczęła. Tym narodem są Chińczycy.

Pustynie i góry, dzielące Azye dziejowe, skuteczniejszą stanowiły przegrodę, niż oceany. Dawniejsze i częstsze były stosunki pomiędzy Azyą wschodnią i Ameryką, lub Europą i Ameryką, niż pomiędzy Wschodem europejskim i Wschodem azyatyckim. Dzieje powszechne przebiegły dwa swe okresy, starożytny i średniowieczny, a o Chinach w Europie nie więcej jak i o Ameryce było wiadomem. A gdy obecnie odnajdują historycy ślady wcześniejszych, niż Kolumba, podróży do Ameryki, na ślady podróży na Wschód odległy w starożytności lub w wiekach średnich nie natrafiono [1]). Podróż przypadkowa w XIII wieku Marco Pola do Chin stanowi fakt luźny, który pozostał bez bliższych następstw.

Tak więc dwie kultury, powstałe na gruncie azyatyckim, rozwijały się zupełnie każda odosobniono, niezależnie od siebie i całkowicie samodzielnie. Obok odrębnego przemysłu i techniki, każda z nich posiadła swoich osobnych bogów, doszła do własnej kosmogonii; z obrębu przez siebie zajętej przestrzeni, z wyznawców ogłaszanych przez siebie dogmatów—wytworzyła jedyny na ziemi i we wszechświecie swój świat centralny, po za którym już nic dla niej nie istniało i istnieć nie mogło nawet. Była to ułuda, lecz ułuda zbawcza, przyjemna, gdyż uspakajała i uszczęśliwiała zarazem.

Losy atoli wszelkich ułud są zawsze jednakie...

Dwie kultury, oparte na dwóch sobie przeczących i wzajemnie siebie wykluczających zasadach, spotkać się a raczej zetknąć się musiały. To zetknięcie się nastąpiło, chociaż może i za późno dla wzajemnych korzyści.

A w zetknięciu się, dwa fakta uderzają przedewszystkiem. Nastąpiło ono na wschodnich brzegach Azyi, lecz nie na zachodnich brzegach Europy. Europejczycy więc dotarli do Azyi, lecz nie Azyaci do — Europy. Europejczycy po

---

[1]) Pisząc to, naturalnie pomijam najazdy ludów mongolskich na Europę wschodnią. Były to ruchy żywiołowe. Ludy te, opuszczając swą kolebkę i osiadając w Europie, nie stanowiły nigdy ogniwa, łączącego Azyę wschodnią z Europą. Wywarłszy w pewnej mierze wpływy etniczno-społeczne, same szybko ginęły lub rozpływały się w innych pierwiastkach rasowych.

dwakroć stawać byli zmuszeni przed Azyatami, nim ci ostatecznie uznali wyższość ich kultury i, pomimo wrodzonego, w pewnym stanie umysłowego rozwoju, wstrętu do wszelkich nowości, ugięli się przez tą wyższością.

Stosunki przeto Europy z odległym Wschodem azyatyckim i, na owych stosunkach oparte, zaznajomienie się wzajemne — przechodziły dwojaki okres.

Okres pierwszy rozpoczyna się na początku XVI stulecia. Portugalczyk Andrade w 1517 r. odkrywa wybrzeże Chin w zatoce Kantońskiej, w pięć lat później Portugalczycy zajmują Makao i osiedlają się w niem, w dwadzieścia zaś pięć, 1542 roku zbłąkany okręt portugalski, zostający pod rozkazami Fernanda Mendesa Pinto, dociera do brzegu Tenegi, małej wysepki japońskiej, na południe od Niponu leżącej. Za temi odkryciami nastąpiły częste, jak na ówczesne środki komunikacyjne, podróże do Chin i Japonii. Pierwotnie odbywali je głównie ziomkowie Andrade i Pinto i ich najbliżsi sąsiedzi, Hiszpanie, następnie Holendrzy i Anglicy. Celem zaś owych podróży były dalsze odkrycia geograficzne i handel. Lecz wkrótce przyłączyły się i inne.

Europejczycy wzięli się do obalenia w odkrywanych krajach legendami semickiemi—legend mongolskich. Poczęli uczyć mieszkańców odległego Wschodu, że przedmiotom ich wiary i kultu religijnego nie odpowiada żadna rzeczywistość; że mędrcy i kapłani miejscowi są oszustami, wyzyskującymi ciemnotę i łatwowierność tłumów; nakoniec, że szeregi przodków, których ci mieszkańcy, jako swe bóstwa i opiekunów, czcili, za swe błędy, wypływające z nieznajomości kosmogonii i historyi żydowskiej, jako zbrodniarze i wyrzutki społeczne, sami wieczną ponoszą karę, a więc na czczenie nie zasługują, a opieki żadnej użyczyć nie są w stanie... A gdy nadto, ciż Europejczycy oprócz owych swoich zapatrywań się, które co najmniej przerywają ciągłość dziejową każdego narodu, oprócz płodów swych ubogich, w porównaniu z tamtemi, krain i wyrobów rękodzielniczych, ustępujących po części miejscowym, niczego, co by poznawani Azyaci pożądali, lub uznać za niższe od swego nie mogli, przedstawić nie zdołali, samozachowawczy instynkt zwyciężył.

Na początku XVI wieku przerywają się prawidłowe i przyjazne stosunki Europy z odległym Wschodem azyatyckim. Chiny i Japonia przed nieproszonymi a natrętnymi gośćmi swe porty stanowczo zamknęły. Śmierć czekała każdego śmiałka, któryby zakaz formalny wylądowywania chciał w jakikolwiekbądź sposób naruszyć, lub obejść. Pozwolenia na utrzymywanie w paru miastach portowych faktoryi, wyłącznie handlowych, udzielane jako wyjątkowy przywilej narodom handlarskim, i wyprawianie na Wschód od czasu do czasu poselstw uroczystych przez państwa europejskie — stanu rzeczy nie zmieniały i bez wpływu rzeczywistego pozostawały.

I tak kultura zachodnia, przy pierwszem zetknięciu się ze wschodnią, poniosła smutną i stanowczą porażkę.

Z tego okresu pozostały w literaturze naukowej dość liczne opisy Chin i Japonii, oraz mieszkańców tych krajów. Lecz o Korei i Korejczykach — tylko jeden się pokazał i to przypadkowo.

Przy brzegach wyspy Quelpart, leżącej nieopodal od Korei i należącej do Korei, w 1653 r. rozbił się był okręt holenderski »Krogulec«. Z załogi okrętu wyratował się niejaki Henryk Hamel. Wpadł on jednakże w ręce Korejczyków, którzy go jako niewolnika zabrali na wyspę, skąd dopiero po latach trzynastu pobytu udało mu się uciec. Powróciwszy do Europy, przygody swe nieszczęsne Hamel opisał. W opisie dotknął wyspy i jej mieszkańców. Otóż to opowiadanie Hamela stanowi jedyne źródło z owych czasów do poznajomienia się z Koreą.

Okres drugi zaznajamiania się Europy z odległym Wschodem azyatyckim rozpoczął się w drugiej połowie bieżącego stulecia, a więc — po dwuwiekowej przerwie.

Pierwsza porażka, chociaż dotkliwa i upakarzająca, bezpośredniego wpływu na przedstawicieli kultury zachodniej nie wywarła żadnego. Wyparci, jako żywioł szkodliwy z jednego zakątka Azyi wschodniej, mieli oni przed sobą otwartą już Amerykę i Oceanię. Podbijali więc nowe części świata, zdobywali coraz to inne przedmioty dla handlu i, nie z mniejszą gorliwością jak na brzegach Azyi wschodniej, swe wierzenia wszędzie szczepili. Porażkę w Azyi wynagradzało powodzenie zupełne w Ameryce i Oceanii.

Lecz śmiałość młodzieńcza w praktyce życiowej i ciekawość nienasycona w umysłowości, wniesione do kultury zachodniej przez szczep Aryjski, odżyły i, jak za czasów greckich i rzymskich, uwydatniły się w szeregu odkryć naukowych. I ułudy pomału pierzchać poczęły przed faktami.

Odkrycia astronomiczne rozwiały ułudę geocentryczną, przyjmującą ziemię naszą za środek wszechświata. Odkrycia geograficzne rozwiały ułudę europocentryczną, z Europy wytwarzającą jedyny punkt na ziemi, zaludniony przez ludzi wyjątkowo uszczęśliwionych wiedzą pochodzenia nadprzyrodzonego. Okrycia antropologiczne rozwiały ułudę antropocentryczną, upatrującą w człowieku, i to samo przez się w człowieku białym, cel przyrody, uwalniającą go, jako cel przyrody, od podlegania jej prawom, a nawet nadającą człowiekowi potęgę, za pomocą środków nadzwyczajnych, dowolnego zmieniania tych praw.

Dokonany pod wpływem tych odkryć przewrót w pojęciach stał się nowym bodźcem do rozwoju wiedzy i wzmożenia pracy. Skoro pierzchły ułudy, runęły oparte na ułudach przywileje. Zastąpiła je samowiedza,

Przy powtórnem zetknięciu się z odległym Wschodem azyatyckim, Europa zdobyła się już na innych, niż poprzednio przedstawicieli. Inny też był i skutek tego zetknięcia się. Wiedza, nauka, wynalazki techniczne—zdumiewały uśpionych wschodniowców. Porty chińskie, japońskie, a od r. 1882 i korejskie — zostały otwarte dla Europejczyków. Japonia swoje odrodzenie we wszystkich kierunkach życia, Chiny zaś tylko naukę wojskowości—powierzyły przybyszom z Zachodu.

Lecz europejskich kupców, przemysłowców, uczonych badaczy i ciekawych podróżników bardziej nęcą Chiny i Japonia, niż Korea. W roku 1893 dokonany w miesiącu czerwcu spis wszystkich cudzoziemców na Korei wykazał ich 11,645. W liczbie tych znajduje się 9,240 Japończyków, 2,205 Chińczyków, Europejczyków i Amerykanów 200. Cyfry te wykazują, że głównymi przedstawicielami kultury europejskiej na Korei — są Japończycy. Oni to właściwie pośredniczą pomiędzy tym krajem a Europą.

Z takiego stanu rzeczy wypływa, że i drugi, rozpoczęty okres zaznajamiania się z odległym Wschodem azyatyckim, nie jest bogatszym od pierwszego pod względem źródeł

naukowych do poznania dziejów Korei, bezpośrednio w Korei od Korejczyków zdobytych. Wszystkie więc wiadomości, tyczące się przeszłości tego kraju pochodzić mogą tylko ze źródeł japońskich, lub chińskich. Nieodzownie przeto muszą stać one w związku ścisłym z dziejami tych państw i na tle samych tych dziejów uwydatniać się jedynie.

Oto jest wiązka tych wiadomości ze źródeł japońskich.

Korea, co wskazuje samo jej położenie geograficzne, ważną odegrała rolę w powstawaniu narodu japońskiego, a więc i państwa. Ze czterech żywiołów etnicznych, z których wytworzył się naród japoński, Korea dostarczyła głównego: mongolskiego. Żywioł ten w stosunku do innych, a tymi innymi były: Ainowie, Negryci i Malajczycy, przedstawiał wyższą kulturę. Jakoż w podaniach japońskich przechowały się imiona dwóch korejczyków, Tasso i Tisso, którzy nauczyli japończyków wielu rzemiosł i rękodzieł: kowalstwa, stolarstwa, tkactwa, krawiectwa, oraz sposobu wyrabiania z ryżu spirytualnego napoju *sake*. Korejczyk Wami wprowadził do Japonii księgi mędrca chińskiego Konfucyusza. Również za pośrednictwem korejczyków przeniesionem zostało do Japonii z Chin jedwabnictwo.

Wdzięczność za siew rzeczy pożytecznych wyrodziła uznanie dla siewców. Uznanie popchnęło młody naród do pożądania samego kraju, z którego pochodzili ci siewcy. I oto Japończycy zdobywają Koreę. Fakt zdobycia miał mieć miejsce przed dwoma tysiącami lat.

W XVI stuleciu naszej ery w samej Japonii nastąpiły ważne zamieszki polityczne. Władza mikadów, cesarzy japońskich, została uszczuploną na rzecz panów feudalnych — tajkunów. Korea korzystała z tych zamieszek. Dynastya miejscowa objęła władzę w kraju. Pamięć przechowała nawet datę tego przewrotu. Miał to być rok 1392. Od tego czasu stosunki między Koreą a Japonią układały się, jak to się zwykle układają pomiędzy dwoma sąsiedniemi państwami, z których jedno czyha na wolność drugiego. Po zatargach następowała zgoda, przerywana nowemi zatargami. Groźne fale oceanu ułatwiały zgodę.

Źródła chińskie zmniejszają doniosłość owego, przed dwoma tysiącami lat, dokonanego przez Japonię podboju Korei, i utrzymują, że Japonia nigdy w istocie rzeczy nie

owładnęła i nie władała Koreą, gdyż ta ostatnia zawsze się jej opierała. Objęcie władzy w kraju w XIV stuleciu przez dynastyę miejscową odbyć się miało za pomocą Chin. I od tego faktu rozpoczyna się zwierzchnictwo Chin nad Koreą. Założyciel dynastyi Ni-Taizo obrał Han-Yang za stolicę, wprowadził zwyczaje chińskie, uznał język chiński za oficyalny w kraju, przyjął pismo chińskie, kalendarz chiński, erę chińską.

Chinizacya więc Korei, chociaż pod narodową dynastyą, według źródeł chińskich ma trwać już wieków pięć.

Poznajmy jej skutki.

IV.

Chcąc poznać byt społeczny mieszkańców Korei w obecnym stanie, zwróciliśmy się do etnologii—w celu określenia pochodzenia rasowego Korejczyków; następnie zwróciliśmy się do pomników historycznych — w celu poznania ich rozwoju dziejowego, a to z tej przyczyny, że, jak to wiemy, byt społeczny każdego narodu jest wynikiem dwojakich danych: pochodzenia rasowego i rozwoju dziejowego.

Etnologia wykryła nam pochodzenie rasowe Korejczyków.

Pomników historycznych, któreby odkryły rozwój dziejowy Korejczyków, nie znaleźliśmy.

Dzieje przeto Korei, w ścisłem rozumieniu tego słowa, pozostają nam nieznane. Zbyt szczupła wiązanka faktów, wydobytych z podań dziejowych dwóch sąsiednich państw, Japonii i Chin, zaledwie parę dat, i to naturalnie przybliżonych, utrwalić w przeszłości Korejczyków pozwala. W każdym atoli razie te daty odkrywają przeszłość tak długą, że dziesiątkami stuleci mierzyć ją możemy.

Wskutek więc braku pomników historycznych nic nie pozostaje innego, jak oprzeć się przy poznawaniu bytu społecznego Korejczyków na danych, dostarczonych przez etnologię, i w fakcie, że Korejczycy należą do rasy *żółtej*, do plemienia *mongolskiego* — poszukać klucza do wyjaśnienia wielu stron tego bytu.

Działalność rasy *żółtej* i wszystkich jej szczepów (syberyjskiego, tybetańskiego i indo-chińskiego) w »Historyi

powszechnej« zbyt się wyraźnie zaznaczyła, właściwości plemion różnych dość częstym już i dokładnym podlegały spostrzeżeniom, by na podstawie wielu ilości wiadomych o wartości jednej niewiadomej, czy też mniej wiadomej, wnosić nie było możebnem, a wnioski same mogły być nadto ryzykowne.

Rasę *żółtą* we wszystkich jej szczepach cechuje: pociąg żywiołowy do ustroju stadowego; pewne ograniczenie zdolności umysłowych, nie pozwalające wnieść się do krytycyzmu. Co, razem wzięte, wstrzymuje jednostki od wszelkiej inicyatywy; wyradza w nich jako pojedyńczych całościach bojaźliwość, rezygnacyę, apatyę; zaciera wszelką osobistą oryginalność; niszczy wszelki zarodek indywidualności.

Cały naród korejski rozpada się na dwie wybitnie się odznaczające klasy: na tych, którzy są *nyangban*, lub do nich należą, i na tych, którzy *nie* są nyangbanami i do nich *nie* należą. Wyraz *nyangban* oznacza osobę urzędową, począwszy od pierwszego ministra do ostatniego przy dworze, przy urzędzie lub urzędowej osobie pasorzyta lub sługi. Klasa pierwsza rządzi krajem, czuwa nad porządkiem w nim, nad pracą i mieniem jego mieszkańców; klasa druga pracuje na wyżywienie siebie i zapewnienie należytego dobrobytu i spokoju pierwszej.

Monarcha, stojący na czele rządu, jest przedmiotem czci składanej w wielu innych krajach tylko przedmiotom, wyobrażającym bogów lub boginie. Wymawianie imienia panującego monarchy jest stanowczo wzbronionem przez zwyczaje, jak u żydów starożytnych było — wymawianie nazwy boga ich narodowego, a u wielu ludów — zmarłych rodziców. By ułatwić spełnienie zakazu wymawiania imienia monarchy, za życia nie nosi on żadnego. Dopiero po śmierci otrzymuje je i pod niem pozostaje w tradycyach czy też kronikach. To wyniesienie się nad zwykłych ludzi przepłaca władca Korei bardzo drogo, gdyż i on stać się musi niewolnikiem zwyczajów, podlegać ogólnemu prawu zawisłemu nad Koreą i, jak ostatni poddany, ostatecznie wpaść w ogólną apatyę. Oddalony od ludu, zamknięty w pałacach, bez żadnej styczności z życiem, wrącem czy też tylko sączącem się na okół niego, zdala od pracy i trosk, będących urozmaiceniem żywota ludzkiego, pracą i troskami innych zabezpieczony,

spędza czas na bezczynnych ceremoniach i odpoczywaniu po nich zupełnem. Ułatwienie życia a nawet i funkcyi życiowych, chociażby tak prostych, jak współubieganie się o kobietę i staranie o zachowanie jej dla siebie, cały interes a na nim opierający się urok życia odejmuje temu monarsze. Właściciel jedyny skarbów całego państwa, władca nieograniczony miliona ludzi — jest prostym manekinem ubieranym, nakarmianym, zabawianym, oprowadzanym, wożonym. Słyszy on tylko to, co słuchać mu dozwolono; widzi tylko to, na co, żeby patrzał, leży w czyimś interesie. Dla nominalnego władania milionami ludzi — staje się nieszczęsny rzeczywistą igraszką w ręku najnikczemniejszego wśród nikczemnych faworytów.

Życie Korejczyka prywatnego da się porównać do życia owego ziemianina italskiego, z czasów tryumwiratów rzymskich, u którego, jak opisuje Wirgiliusz:

Nec spes libertatis erat, nec cura peculi...[1]).

Dla podobnych-że przyczyn nie dba i Korejczyk o zwiększenie mienia swojego, ponieważ właśnie powiększyłby on tylko dobrobyt tych, których, zresztą niezupełnie słusznie, wrogami swymi mianuje. Więc tylko tyle łoży on w sprawach ekonomicznych pracy i staranności, ile mu one zapewnić mogą nędzne z dnia na dzień przeżywanie. Nie dba o czystość, schludność, upiększenie swego mieszkania, otoczenia, domu, ulicy, gdyż dbałość o piękno rozpoczyna się wtedy, gdy niknie troska o sposób wyżywienia się jutrzejszy. Jedno mu pozostało instynktowo, niby pamięć jakiegoś odległego przyzwyczajenia. Jako mieszkaniec Wschodu nosi on szaty długie. Szaty te są koloru białego, lub wogóle jasne. Posiadając zwykle jedną, troska się, żeby ta szata, po całodziennem noszeniu dnia jednego, nazajutrz posiadać mogła wygląd czysty i świeży. Zwykle nocą zaradza temu niewieści personal domowy.

Bieda i brud stały się nieodłącznymi towarzyszami Korejczyka, niby symbole wartości jego. W biedzie i brudzie szuka on nawet oręża przeciwko wszelkiemu nowator-

---

[1]) Wolności przestał był wyglądać i dbałość o mienie odeń odbieżała... Bukoliki, I, 32.

stwu w sposobie życia. By nie ściągać wieścią o bogactwie kraju do niego cudzoziemców, a z nimi nowych wyobrażeń i potrzeb, pozwala on złotu i innym bogactwom kopalnym spoczywać spokojnie pod powierzchnią ziemi. Usposobienie to ludności przyoblekł rząd w formę prawnego zakazu dobywania z ziemi złota i innych metali, oprócz żelaza. Nie znając formuły ascetycznej przezorności: »nie wódź nas na pokuszenie,« on ją odgadł, wysnuł ze swej istoty. By nie być wodzonym na pokuszenie, na opór, na obronę siebie lub mienia, pozbył się on wszelkiej broni, chociaż wyrabianie jej rozpoczyna dzieje ludzkości, i nie posiada żadnej. Rząd i to usposobienie ludności przyoblekł w formę prawnego zakazu wyrabiania i posiadania oręża. Wskutek czego, pomijając już inne okoliczności i następstwa, Korea jest jedynym w tej szerokości geograficznej krajem, w którym człowiek nie posiadł jeszcze całkowicie ziemi i, jak w czasach przedhistorycznych, ustępuje posiadanie jej i gospodarkę na niej—krwiożerczym zwierzętom i jadowitym płazom.

Miarę siły społecznej i wartości ludzkiej mieszkańców danego kraju wyraża stanowisko w nim kobiety. Stanowisko kobiet na Korei odpowiednio uzupełnia całość obrazu.

Gdzie mężczyzna nie jest istotą, kobieta nią tembardziej nie będzie. Na Korei kobieta jest własnością męża, kochanka, stałego lub przygodnego, nakoniec pierwszego lepszego z tłumu. Jako własność, rzecz czyjaś, nie nosi ona nawet imienia. Przezwisko jakiekolwiekbądź zupełnie jej wystarcza. Na stanowisku żony, których może być kilka, stosownie do zamożności gospodarza, spełnia ona wszelkie posługi w domu, dokonywa wszelkich prac za domem, na polu, w lasach, na wodzie, prac — gdzieindziej do mężczyzn wyłącznie należących.

Z życia towarzyskiego są kobiety wykluczone, a w rodzinie odosobnione. Mając sobie wyznaczoną część mieszkania, tam przepędzają czas wolny od zajęć, tam ciągle przebywają, właściwie mieszkają, gdyż wejście do męzkiego przybytku jest im wzbronione. Małżeństwa dopełniają się zwykle bez zezwolenia narzeczonej; często zaś nawet bez zezwolenia stron obu. Rozwody są to proste formalności, ułatwione zwłaszcza dla mężów. Wdowy, skazane na do-

zgonne opłakiwanie zmarłych małżonków, tracą prawa do powtórnego zamężcia.

Stanowisko to prawne i ekonomiczne kobiet rozwinęło w nich wszelkie ujemne właściwości płci, dodatnie zaś zagłuszyło. Przewrotność iście niewolnicza i wyrobiona zanikiem wyższych instynktów, lubieżność samicza, nie jednym wyłącznie tylko zapewnia,— wszystkim zaś ułatwia istnienie. Lekceważenie kobiet przez mężczyzn i pogardzanie niemi — są ogólnem zjawiskiem i cechą społeczeństwa korejskiego.

Pogarda ta ogólna wytworzyła dziwne po miastach zwyczaje. Kobiety wolne, to jest, nie będące w danej chwili niczyją własnością, od późnego zmierzchu do brzasku porannego obejmują w wyłączne posiadanie ulice. Wszelki ruch miejski, nie będący w związku z ich rzemiosłem, czy też upodobaniami, ustaje wtedy całkowicie. One występują do akcyi. Biegają po ulicach i przebiegają je, podążając do swoich przyjaciół i przyjaciółek; chodzą i przechadzają się, by zawierać pożądane znajomości; gwarzą, hałasują, *flirtują* (z niechęcią używam brukowej nazwy tej fizyologiczno-towarzyskiej zabawy); bawią się i zabawiają, ciągną i porywają, słowem — są sobą i w swoim żywiole...

Zwyczaj ten ochrania od stykania się z nocnemi kobietami tych, którzy zetknięcia się z niemi nie pożądają wcale. Ułatwia zaś tego pożądającym.

Brutalność mężczyzn w stosunku do kobiet, płochość kobiet w stosunku do mężczyzn potrzebują przeciwstawienia, niby reakcyi, w uczuciach. Reakcya zjawia się w stosunkach rodziców do dzieci. Są one ze strony obojga przedmiotem tkliwości, która staje się nawet conajmniej chorobliwą. Wywołuje to następnie zniewieściałość w przyszłych obywatelach,—rozkapryszenie w przyszłych matkach, żonach i przyjaciółkach.

Pod wpływem rozszerzenia się języka chińskiego, mowa Korejczyka stała się gwarą powszednią, na prywatny tylko użytek skazaną. Myśl każdej jednostki zużywa się całkowicie na wyuczenie się i spamiętanie kilkunastu tysięcy, stanowiących pismo chińskie, symbolów i obrazów, które przestały już być obrazami, chociaż nauka jakiegokolwiekbądź języka i pisma, to dopiero wstęp do właściwej nauki.

Najczęściej przeto promyk inteligencyi zgaśnie pierwej, nim przy świetle jego umysł zbada tajemnice pierwszego tysiąca znaków piśmiennych.

Dni jak jeden podobne do siebie stwarzają podobne również do siebie miesiące; te — lata; lata - stulecia; i życie sączy się w nich, aż się wysączy.

Rozkładane codzień o zmierzchu na wyżynach, otaczających stolicę, ognie obwieszczają monarsze, że dzień rozpoczęty od poranku przeszedł bez żadnych przygód, a więc dla niego pomyślnie, i utonął w czasie nieograniczonym pogrążył się w wieczności jak i poprzednie... oby tylko nie był ostatnim...

A czegóż właściwie więcej komukolwiek potrzeba?

V.

Rok 1885 zostanie pamiętnym w dziejach odległego Wschodu azyatyckiego. W roku tym bowiem Chiny i Japonia, udowodniwszy sobie wzajemnie na podstawie tradycyi, kronik dawnych i rozmaitych aktów, swych praw do Korei, zawarły między sobą przymierze na następujących podstawach: Oba rzeczone państwa uznają wzajemnie prawa swoje do Korei i zgadzają się na wspólną opiekę nad tym krajem; obowiązują się dopomódz królowi korejskiemu do uformowania i wykarmienia koniecznej dla utrzymania porządku na półwyspie ilości wojska; każde z dwóch państw zawarowywa sobie w razie potrzeby, którą jednakże samo tylko uznaje, prawo wysłania wojska swojego na Koreę, z tem wszelako zastrzeżeniem, że o wysłaniu i o ilości wysłanego wojska uwiadomi państwo sprzymierzone, ażeby i ono takąż ilość wojska wysłać mogło.

Akt ten utrwalał prawo do Korei dwóch państw: Chin i Japonii, i wprowadził je oba we wspólne władanie *(condominium)* tym krajem. Wspólność ta była wszelako nominalną jedynie, pozostawała tylko na papierze. Rzeczywiste zaś władanie akt ten przyspasabiał wyłącznie jednemu państwu.

Przebieglejsze i bardziej militarnie przygotowane państwo w tym akcie otrzymywało prawo, a nawet zachętę, do wyszukania, w chwili sobie najdogodniejszej dla zajęcia

Korei, pozornie słusznej przyczyny zajęcia i do wysłania tam wojska. Wówczas, ubiegłszy drugie w obsadzaniu wojskiem kraju, mogło ono lwi kąsek, i to zgodnie rzecz załatwiając, zatrzymać naturalnie przy sobie; lub też mogło ono, usadowiwszy się spokojnie, na podstawie przymierza, i rozgospodarowawszy się na dobre w Korei, drugiego wcale nie dopuścić do kraju, wszystko to, jak mówimy, na podstawie przymierza własnemi siłami i orężem zdobytego, a krwią swych obywateli oblanego.

Traktat 1885 r. w istocie rzeczy nie sprzymierzał Chin i Japonii przeciw Korei, lecz Koreę wydawał na łup jednego z obu współubiegających się o nią państw. Potrzeba było tylko trochę cierpliwości każdemu z nich, by spokojnie wyczekiwać powodu do zajęcia kraju tego. A właściwie można było wyczekiwać i niespokojnie. Wszak powód zajęcia zależał od uznania strony zainteresowanej a *fortuna audacem juvat.*

Bieg atoli wypadków nie narażał na wyczerpanie się cierpliwości oczekujących.

Chociaż na wyżynach górskich co nocy w Korei płonęły ognie zwiastujące, że dzień ubiegł pomyślnie, niewszystko atoli w ostatnich czasach odbywało się tam, jakbyśmy to mogli przypuszczać. Znaleźli się ludzie, i to dość liczni, którzy zapragnęli czegoś innego, niż to, co było i co jest.

Stronnictw właściwych w Korei dotychczas nie bywało i być nie mogło nawet. Zawiedzione w nadziei otrzymania wygodnego urzędu, a raczej, zdradzone przez protegującego ich na dworze faworyta, jednostki grupują się i stanowią niezadowolonych ze stanu obecnego. Ci jednakże wiedzą, co czynić mają. Czekają mniej lub więcej cierpliwie i cichaczem intrygują przeciwko szczęśliwszym współzawodnikom. I na tem się kończyło. Nowe panowanie, lub świeża piękność i nowy faworyt na poprzednim dworze, zmieniały personel urzędniczy w otoczeniu monarszem, a za zmianą najwyższych urzędników szła zmiana niższych, od tych już zależnych. I oto jedna grupa niezadowolonych nikła, — a powstawała natomiast druga...

Ponieważ przyczyny powstawania grup niezadowolonych nie mogły dostarczać nazw ideowych tym grupom,

gdyż to niezadowolenie wynikało z osobistych, lecz nie z ogólnych spraw i interesów, i tylko osoby, lecz nie idee bywały na względzie — przeto te grupy poszukiwały nazw dla siebie w nazwach stron świata. Więc się mianowały: południową, północną, małych lub wielkich południowców, i tak dalej.

Grupy niezadowolonych tworzyły się wyłącznie z wchodzących do świata urzędniczego i z tym światem związanych osobistemi interesami, więc tworzyły się wyłącznie z *nyangbanów*. *Nie*-nyangbani trzymali się, jako zupełnie obcy światu urzędniczemu, zdala od tych grup wszelkich. *Nie*-nyangbanami zaś był lud cały...

Podmuch wszelako z Zachodu dokonał swego choć niebezpośrednio. Otwarcie kraju dla cudzoziemców (widzieliśmy, w jakiej ilości właściwi cudzoziemcy, biali, z tego korzystają, do cudzoziemców przeto niebezpiecznych w Korei zaliczają Chińczyków, a głównie Japończyków) w pojęciach ludu stało się przyczyną wszystkiego złego, przezeń w ostatnich czasach doświadczanego. Powstaje właściwe stronnictwo — i to ludowe. A ponieważ powstało w obronie, według siebie, zagrożonych praw swoich, opartych na przeszłości i tradycyi, przez pojęcia idące z Zachodu, nazwało się ono wschodniowcami, *Togakuto*. Nazwa ta, chociaż utworzona z nazwy strony świata, jest już ideową, ukrywa bowiem pewną zasadę ogólną.

Głównem niebezpieczeństwem grożącem z Zachodu jest, według Togakutów, upadek starych zwyczajów, wynikający ze stosunków z cudzoziemcami. Oni, dopuszczeni na dwór monarszy, łamią etykietę dworską, podkopują więc powagę monarchy i na niej opartą jego władzę. Władza zaś monarsza jest najwyższym darem łaskawych bogów, za który nigdy dość wdzięczności okazać im ludzie nawet nie zdołają. W podkopaniu władzy monarszej, leży początek złego i klęsk wszelakich trapiących kraj.

Występując w obronie tradycyi, opierają się Togakuci na środkach, dostarczanych przez tradycyę. Najliczniejszych zdobywa im zwolenników odkopane stare proroctwo, że dynastya obecnie panująca tylko lat pięćset ma istnieć. Te pięćset lat dobiegły do końca. Dynastya rozpoczęła rządy w 1392. Za proroctwami w tradycyi idzie guślarstwo.

Ono zatem dostarcza zaklęć, których umiejętne wypowiedzenie ma przenieść każdego członka stronnictwa, w chwili stanowczej, na punkt zborny i zapewnić mu zdobycie nieodzownych do rozpoczętej akcyi przedmiotów. Uczenie się na pamięć zaklęć owych i wprawianie się w należyte wypowiadanie, dla ich skuteczności, jest przygotowaniem do wystąpienia na pole czynów tych rewolucyonistów przeszłości.

Wiara głęboka, wynikająca z prawdziwego przekonania, nie gardzi drobnemi ułatwieniami, mogącemi urzeczywistnić prędzej nieco oczekiwane zjawiska. By ułatwić spełnienie się starego proroctwa pod koniec 1893 r. był obmyślany mały planik. Podłożony w zabudowaniach pałacowych ogień miał wyłudzić z wnętrza pałacu monarchę. W popłochu łatwo się było do niego zbliżyć — proroctwo będzie spełnionem. Tembardziej, że obecnie panujący na Korei monarcha został władcą Korei nie z praw natury, jako syn po ojcu, lecz był adoptowanym przez ostatniego monarchę korejskiego.

Planik został wykryty. Obwiniony, o przewodniczącą rolę w przygotowaniach spełzłych na niczem, niejaki Kim-Ok-Kium zbiegł w styczniu roku 1894 do Japonii. Stamtąd ściągnięty zdradziecko do miasta chińskiego Shangai w marcu został zabity przez innego korejczyka, Hong-Tyong-U. Zabójca pochwycony przez władze chińskie utrzymywał, że działał według rozkazu rządu korejskiego. Zareklamowanie przez rząd korejski zabójcy i ciała zbiegłego spiskowca potwierdzało to zeznanie. Władze chińskie spełniły żądanie korejskich. Wydany Hong-Tyong-U żadnej nie poniósł za zabójstwo kary [1]), ciało zaś zabitego Kim-Ok-Kiuma zostało na sześć kawałków pocięte i na tykach

---

[1]) Dziwne to rzeczy dzieją się na tym odległym Wschodzie azyatyckim! Zabójca Kim-Ok-Kiuma, agent tajny rządu korejskiego, przez czas długi, prawie do samych opowiadanych wypadków, przebywał w Paryżu. Tam wszedł w stosunki przyjazne z kołem wybitniejszych pisarzy francuskich i jednym z nich, braciom Rosnym, dostarczył treści do dwóch studyów: *Les moeurs de la Corée (R. pol. et lit.* 2 Sem. Nr. 2, 1893) i *La Corée et les Coréens (R. Scient.* 2 Sem. Nr. 26, 1893). Obie te prace są zresztą mdłe, stroune, a głównie idylizmem beletrystycznym owiane i wiadomości pewnych o Korei, pomimo tytułu, udzielić nie są w stanie.

po całej Korei dla przestrachu obnoszone. Ojciec jego w więzieniu został uduszony, a cała rodzina uwięziona.

Głód na wiosnę w Korei bywa zjawiskiem bardzo częstem. Wynika on nie z gatunku gleby, lecz z niedbałości i niezaradności osiadłych na niej. Przypadły na wiosnę 1894 roku, rozmiarami nie przewyższał wcale poprzedniego. Lecz towarzyszące mu okoliczności wywołały niespodziewane komplikacye. Sroga kaźń Kim-Ok-Kiuma i widok szczątków jego ciała na pokaz roznoszonych, inaczej, niż rząd mniemał, usposobiły Togakutów. Popchnęły ich bowiem do czynów gwałtownych. Jak dopisały tradycyjne zaklęcia, zawyrokować trudno. Ale część stolicy Seulu, zamieszkała przez Japończyków i Chińczyków (jest ich tam do tysiąca razem) została zrabowana, konsul japoński Oiski-Massarai, zelżony, trzy porty, w których osiedlać się cudzoziemcom było dozwolonem, uległy losowi stolicy...

Powód do zajęcia Korei przez wojska państw opiekuńczych był aż zanadto prawny i wystarczający. Cel ukryty przymierza chińsko-japońskiego został wyjaśniony. Jedno państwo ubiegło drugie w zajęciu swem wojskiem Korei. Tem państwem była Japonia.

W sierpniu już Seul i miasto portowe Chemulpo znajdowało się w rękach Japończyków: 9,000 wojska je zajmowało. Równocześnie królowi korejskiemu przez wysłańca rządu japońskiego był wręczony projekt zreformowania zarządu Korei, złożony z dwudziestu czterech artykułów, oraz nagląca odezwa, o śpieszne przystąpienie do dzieła; a Chiny, stosownie do umowy z 1885 roku, o wkroczeniu wojska japońskiego do Korei i o liczbie tego wojska uwiadomiono i do współdziałania w dziele przyśpieszenia reform w Korei wezwano.

W odpowiedzi na reklamacyę Japonii król korejski, wskutek zawiłej pisowni chińskiej trojako czytające się imię, które jeszcze jako prywatny człowiek był otrzymał, noszący, mianowicie: Heni, Li-Hi i Li-Hui, władzę złożył czasowo w ręce swego ojca, Tai-Won-Kiuna, i w ten sposób ułatwił stosunki swego rządu z Japonią. Ojciec królewski już raz był sprawował urząd regenta w czasie małoletności swego syna, adoptowanego, jak wiemy, przez ostatniego króla. Jako regent, Tai-Won-Kiun mógł się okazać powol-

niejszym, niż sam król, na żądania Japonii, przez co powaga monarchy mniejby na tem ucierpiała.

Chiny zaś odpowiedziały, że dopiero wtedy będą traktować o reformach na Korei, gdy wojsko japońskie opuści Seul i Chemulpo. A równocześnie zaczęły przygotowywać wojsko w ilości 20,000 na granicy Mandżuryi z Koreą, do wkroczenia na półwysep. Japonia w żądaniu Chin, ażeby opuściła Koreę, jak również w przygotowywaniu przez nie większej ilości wojska do wkroczenia na półwysep niż jej 9,000, widząc jawne naruszenie umowy z 1885 roku, wypowiedziała wojnę Chinom i wzmocniła armię swą na Korei.

Wypadki szybko rozwijać się poczęły. W ciągu trzech dni wrześniowych (13—15) wojsko chińskie, wkraczające do Korei było doszczętnie pod Piong-jang przez Japończyków zniesione; we dwa dni później (17) flota chińska, wioząca posiłki owym 20-tu tysiącom w liczbie 10,000 również przez nich rozbita — przy ujściu Yalu. Zniesienie wojska chińskiego i rozbicie przez Japonię chińskiej floty otworzyły drogi do Chin lądowe i morskie. Na dzień 15 października zwołany przez rząd japoński do Hiroshymy parlament ogłosił Chiny wrogiem cywilizacyi i upoważnił w adresie do cesarza rząd do przełamania barbarzyńskiego oporu Chin w cywilizowaniu Wschodu, przyrzekając pomoc i uznanie całego narodu japońskiego.

I oto, gdy Japonia, podniecona zwycięstwami, zająwszy zupełnie Koreę, zdobywała mądremi i łagodnemi środkami, wśród których niepoślednią odgrywało rolę rozdawanie pieniędzy wśród ludności biedniejszej, życzliwość jej mieszkańców i bezustannie groziła Chinom, w celu »złamania ich barbarzyństwa,« zdobyciem Mukdenu, stolicy Mandżuryi, i Pekinu, stolicy całego państwa; Chiny zaś, a właściwie rząd chiński, walczył już nie z wrogiem zewnętrznym, lecz wewnętrznym, w postaciach ogólnej anarchii, dążności autonomicznych rozmaitych prowincyi a głównie — rewolucyi w samej stolicy: znaleźli się protektorowie tego rządu wśród państw europejskich i milion pierwszy raz sprawdziło się przysłowie: *duobus litigantibus tertius gaudet.*

Wspaniały obraz przedstawiają dzieje, gdy się na nie patrzy z odległości kilku tysięcy lat i ze stanowiska etnologicznego. Co w nich boli jednostkę, zaciera się wtedy w przeszłości, występują zaś ruchy żywiołowe ludów, jak same żywioły, przynajmniej pozornie, wiecznych.

Z Korei fale żółtej ludności przedzierały się na wyspy, otaczające wschodnie brzegi Azyi. Fale te z natury rzeczy były złożone ze śmielszych i dzielniejszych jednostek, nie lękających się przygód na oceanie i nieznanych warunków istnienia na nowych lądach. Do lądów tych dotarły z południa fale innej jeszcze ludności, również śmiałej i przedsiębierczej. I oto ci żółci, odnowieni na zewnątrz, przerodzeni wewnętrznie, tąż drogą wstępują do swej starożytnej kolebki w roli reformatorów społecznych, zwiastunów nowego porządku rzeczy. Gwałtowne ich uderzenia wstrząsają gmachem, burzą podwaliny najstarszego na ziemi państwa.

Lecz to właśnie, co podnieca Japonię do wystąpienia w roli reformatora, co dostarcza jej siły i środków do prowadzenia w celu reformatorskim walki orężnej, co stanowi podstawę i źródło tej jej żywotności — nie wyszło z niej samej, nie wynikło z jej własnego rozwoju, nie wykwitło z jej umysłowości. Istota ruchu, stała podnieta do czynu, konieczność ciągłej działalności, ów *spiritus movens* społeczeństwa ludzkiego, ów odżywczy prąd życia umysłowego — przeniesione do Japonii zostały z Zachodu, z drugiego, jak wiemy ogniska kultury na ziemi, i jakby na niej tylko zaszczepione. Japonia działa sama, działa samodzielnie, lecz nie działa sama przez się. Jest ona niby w ruch wprowadzona, niby nagalwanizowana.

Oby tylko w porę udało się rękom ją galwanizującym zamknąć bateryę i przerwać toki, nim owa działalność, powstała wskutek galwanizowania, na nich się zwracać pocznie...

Pamiątki historyczne na Kamczatce.

Kamczatka jest oddalona od środkowej Europy o 2,000 mil, a przytem leży w takim zakątku północno-wschodniej Azyi, że nawet droga morska, która, ułatwiając komunikacye, zbliża zwykle jedne kraje z drugiemi, w tym wypadku na zbliżenie nie wpływa. Podróżnik, udając się na Kamczatkę wodą, nim do jej portów zawinie, okrążyć wprzód musi Azyę całą, wprzód dotknie brzegów Chin i Japonii [1]). Wskutek takiego oddalenia, kraj ten nie mógł być widownią wypadków dziejowych, w znaczeniu jak je ogólnie sobie przedstawiamy; i, zdawałoby się nawet, że byt jej mieszkańców prędzej w dziedzinę etnologii wchodzi, niż w dziedzinę historyi właściwej. A jednakże i Kamczatka ma swoje pamiątki historyczne [2]).

---

[1]) Tak przynajmniej było w roku 1886, kiedym to pisał. Obecnie kolej żelazna syberyjska, doprowadzona do Amuru, znacznie skraca drogę lądową i daje jej pierwszeństwo nad morską.

[2]) Ziomek nasz, dr. Benedykt Dybowski, obecnie profesor Zoologii na Uniwersytecie lwowskim, przepędził lat przeszło cztery (od lipca roku 1879 — do września roku 1883) na Kamczatce. Rezultatem tego pobytu, oprócz studyów nad ludnością miejscową, fauną i florą, oprócz zwiedzenia sąsiednich wysp i krajów, są jeszcze zbiory rozmaite. Zbiór czaszek i szkielet ludzki wydobyty z pokładu, prawdopodobnie czwartorzędowej formacyi, będącego niegdyś łożyskiem rzeki, złożył Dybowski dr-owi Kopernickiemu, dla dokonania pomiarów, wymaganych przez antropologię, a prowadzących do zdeterminowania pochodzenia. Zbiory fotografii krajobrazów i ludzi, sprzętów domowych, ubiorów, oraz innych przedmiotów, mających związek z życiem mieszkańców Kamczatki, mogliśmy oglądać w r. 1884 na wystawie etnograficznej, urządzonej wyłącznie z tych zbiorów, na rzecz wydawnictwa *Pamiętnika fizyograficznego.*

Pamiątki te aczkolwiek związane są wyłącznie ze wspomnieniami pojedyńczych faktów, mogą jednakże pewne rzucić światło na niektóre kwestye ogólnego znaczenia, oraz przypomnieć ludzi, których czyny zapisane są na karcie dziejów, w historyi odkryć geograficznych, a imiona w poczcie męczenników powołania i nauki. Do poznania więc tych pamiątek nietylko prosta ciekawość zachęcić może.

Na czele pamiątek historycznych na Kamczatce postawić należy pomnik Berynga, nie dla porządku chronologicznego jedynie, chociaż Beryng był pierwszym Europejczykiem, bezpośrednio z Europy tam przybywającym, nie dla znaczenia jego wśród spółczesnych i sławy u potomnych, lecz że Beryng trzykrotnie na Kamczatce przebywając, wchodził w stosunki bliższe, niż kto inny z ludnością miejscową i pobyt jego niczem nie zagładzone dla niej sprowadził następstwa.

Dokładne jednakże zrozumienie wypadków wymaga cofnięcia się, od daty jego pobytu na parę dziesiątków lat, w przeszłość.

1.

Zdobycie dla państwa rosyjskiego Syberyi wschodniej, wchodzącej w kształcie półwyspu klinem pomiędzy ocean Lodowaty i dwa morza, Ochockie i Beryngа, również było dziełem Kozaków, jak i zachodniej, tylko późniejszem i w dłuższym przeciągu czasu dokonanem. Odbywało się ono w sposób nader prosty i jednostajny. Z zajętej już raz przez nich miejscowości oddziały, z kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi złożone, na ochotnika posuwały się dalej na wschód. Nęciła ich zdobycz łatwa, bezkarność za postępki, obfitość przygód, a nakoniec, pogłoska o morzach wielkich i wyspach bogatych, gdzieś na krańcu lądu. Kraj, w którym

---

Zbiory lingwistyczne, obejmujące do dziesięciu tysięcy wyrazów, spisanych z mowy ludów tamtejszych: Kamczadałów (trzech narzeczy), Aleutów, Koryaków i Kurylów, mnie oddał do opracowania. Właśnie te zbiory dr-a Dybowskiego zachęciły mię do poznania dziejów odkrycia Kamczatki i losów jej mieszkańców. Pomocną zaś mi wielce była praca A. Sgibniewa: *Istoryczeskij oczerk gławniejszych sobytij w Kamczatkie,* pomieszczona w wydawnictwie: *Morskoj Zbornik,* za 1869 r.

posuwali się wciąż naprzód, przedstawiał zupełne nieraz pustkowie, aczkolwiek już był zamieszkanym. Ludność miejscowa w stosunku do obszarów była zbyt nieliczną. Składały ją koczownicze gromady Jukagirów i Czukczów od północy, Jakutów i Koryaków od południa. Żyli oni z rybołówstwa lub myśliwstwa, stosownie więc do pory roku zmieniali swoje siedliska. W lecie rozbijali namioty ze skór zwierzęcych; na zimę kryli się w wykopanych norach. Jedynem mieniem tych ludów były stada reniferów; jedynem bogactwem — skóry zwierząt. Pierwsze zastępowały im nasze zwierzęta domowe; drugie posiadaczy szczęśliwych wynosiły na wyższy stopień w hierarchii społecznej. Na całej więc przestrzeni, rozlegającej się przed takiemi oddziałami, nie było nic, coby je wstrzymać mogło. Nawet rzeki nie stawały się rzeczywistą przeszkodą, gdyż obfitość materyału budowlanego ułatwiała przeprawę przez nie.

Oddziały ochotnicze wybierały się w pochód zupełnie lekko, bez żadnych zapasów, a więc i ciężarów. Proch i kule były dla nich wszystkiem; otwierały im wszędzie drogę, zapewniały utrzymanie. Żywności dostarczała im zwierzyna, na którą polowali, lub spotkani koczownicy. Posuwali się więc ciągle przed siebie. Gdy pora roku stosowna do wyprawy zbliżała się ku końcowi, zatrzymywali się w danej miejscowości i w punkcie dogodniejszym, a przytem obronniejszym, stawiali sobie lub kopali schronisko zimowe, tak zwane »zimowje.« W niem oczekiwali wiosny. Skoro miejscowość poznana nie przedstawiała korzyści, jakich się spodziewali, opuszczali z wiosną schronisko i bądź zapuszczali się jeszcze dalej w głąb kraju, bądź też powracali, skąd byli wyszli, by znowu wyruszyć w świat, ale już inną drogą. Częściej jednak owo »zimowje« przekształcali na obronny »ostróg,« to jest, budowali kilka obok siebie domów, zagrodę otaczali częstokołem lub wałem i obwarowywali wrotami mocnemi. Wtedy całą przestrzeń kraju naokół obejmowali na własność. Wieść o zdobyciu dosięgała innych Kozaków; przybywały nowe oddziały i ludność się zwiększała. W końcu wysłaniec z centralnego punktu administracyi rządowej obejmował władzę nad takim ostrogiem, w charakterze naczelnika lub

komisarza rządowego (zwanego zwykle »prykaszczykiem«); albo też władzę naczelną z ramienia rządu otrzymywał jeden z wybitniejszych naczelników wyprawy.

Częstokroć Kozacy nie chcieli podlegać mianowanemu komisarzowi i sami z pośród siebie wybierali naczelnika. Rządził on jednakże tylko do mianowania nowego. Wówczas nieposłusznych spotykała kara, lub musieli wyjednywać sobie przebaczenie nowemi zdobyczami.

Pobudowanie ostroga, oraz skupienie się w nim w większej ilości przybyszów, wpływało wnet na zmianę stosunków ich z ludnością miejscową. Z gości stawali się gospodarzami. To, co było w istocie rzeczy łupem, nazywać zaczęli podarkami i wymagać częstszego ich składania. Następnie podarki dobrowolne przemieniali w daninę obowiązkową, daninę zaś w podatki. Podatki raz złożone znamionowały przyjęcie poddaństwa, a to ostatnie nakładało stałe już obowiązki, którym uchybienie pociągało za sobą karę. Wymierzanie kary oprzytomniało nieraz karanych, a wówczas obronność ostroga wystawioną była na próby, częstokroć nawet ciężkie.

Ludność miejscowa, aczkolwiek niedostateczna do zaludnienia kraju, stosunkowo do liczby osiadających wśród niej Kozaków przedstawiała cyfrę bardzo poważną. Wszystko atoli rozstrzygała nie siła liczebna, lecz wyższość cywilizacyi, objawiająca się, jak w tym razie, głównie w wyższości broni. Kozacy posiadali broń palną, tubylcy broni palnej nie znali. Za wałem przeto lub częstokołem ostroga, przy zapasie należytym kul i prochu, dziesiątki kozaków wytrzymywały napad tysiąca koczowników.

Po każdym napadzie na ostróg, będącym bezowocną próbą wypędzenia przybyszów, odstępowali coraz bardziej złamani i stawali się jeszcze uleglejsi. Reszty dokonywało nawracanie na chrystyanizm.

W taki to sposób, zdobywając przed sobą przestrzenie, kozacy w środku XVII wieku dosięgają brzegów oceanu Wschodniego. Natrafiwszy zaś na zaporę niepokonaną od wschodu, zwracają się w dalszych wycieczkach na południe i, na początku XVIII stulecia, zdobywają Kamczatkę.

W r. 1697 niejaki Atłasow z 55 kozakami i 60 ochrzczonymi Jukagirami wyruszył na zdobycie nowej ziemi od

południa, o której doszły już do niego pogłoski. Wstąpiwszy na półwysep, gromadkę swą podzielił na dwa odziały. Sam z jednym pociągnął ku południowi, wzdłuż brzegu zachodniego; drugi wyprawił wzdłuż wschodniego. Oba oddziały spotkały się dopiero w południowej części półwyspu, prawie po środku jego, u źródeł rzeki Kamczatki, gdzie zbudowali »zimowje,« a następnie ostróg, nazwany »Wierchniekamczackim.« W ostrogu tym Atłasow zostawił 15 kozaków, pod dowództwem Sierakowa; sam zaś z resztą powrócił do Anadyrska, skąd następnie udał się do Moskwy, by osobiście złożyć sprawozdanie o zdobytym kraju. Za czyny swe został wyniesionym do godności »głowy« kozaków jakuckich i mianowany rządcą Kamczatki.

Gdy powracał w nowym charakterze ze 100 kozakami na miejsce swego urzędowania, zdobywca Kamczatki podległ smutnej przygodzie. Spotkawszy w drodze, już po wyjeździe z Tobolska, pewnego kupca rosyjskiego, nie mógł się powstrzymać, żeby nie skorzystać z trafu szczęśliwego, i ograbił go, za co nie na Kamczatkę, lecz do więzienia trafiwszy, lat kilka w niem przepędził. Tymczasem Sierakow nie doczekał się obiecanej pomocy i opuścił po trzechletnim pobycie ostróg; w drodze zaś powrotnej do Anadyrska, zaskoczony przez Koryaków, zginął wraz z towarzyszami.

Lecz ani uwięzienie Atłasowa, ani tragiczny zgon pierwszej partyi zdobywców nie powstrzymały wypadków. Kamczatka przedstawiała bardzo ponętną zdobycz. Leżąc pomiędzy 50 a 60 stopniami szerokości geograficznej, klimat ma daleko cieplejszy niż te kraje, z których do niej przybywano. Przytem kraj sam przedstawiał wielkie bogactwa naturalne. Znaczna długość brzegów morskich stosunkowo do obszarów, ilość rzek wyjątkowo obfitujących w rybę, dozwalała z wielkiem powodzeniem i korzyścią oddawać się rybołówstwu. Góry i doliny pokryte lasami dostarczały wybornych legowisk dla zwierząt, których puszyste futra wielce ludziom są przydatne. W roku 1704 już 6 zimowjów liczono na Kamczatce, a ludność w okolicy ich składała w daninie pewną ilość skór zwierzęcych od osoby. W zastępstwie Atłasowa przysłany Kobelew zakłada drugi ostróg, przy ujściu rzeki Kamczatki, »Niżniekamczacki.« Następca jego Zinowjew wprowadza stałe księgi podatkowe.

W roku 1710 kozacy zakładają trzeci ostróg, w zachodniej części kraju, przy ujściu rzeki Wielkiej do morza i nazywają go »Bolszerieckim.« W tymże roku, zbierając daninę po całym półwyspie, doliczyli się do 10,000 mieszkańców.

W jesieni r. 1727 do portu Bolszerieckiego przybywa Beryng. Był to Duńczyk, urodzony w Jutlandyi około roku 1680, pewniejszej bowiem daty jego urodzenia nie znamy. Wcześnie wstąpiwszy do służby rosyjskiej, w godności komandora stawał na czele ekspedycyi, wysyłanych przez rząd w celu zbadania wód północnych pomiędzy dwiema częściami świata. Cel i kierunek tej ekspedycyi prowadzą go na Kamczatkę.

Miał z sobą Beryng dwa okręty, a na nich wielki zapas żywności, amunicyi, przyrządów, słowem wszystkiego, co było lub stać się mogło potrzebnem w takiego rodzaju wyprawach, wychodzących zwykle na niewiadomy przeciąg czasu. Otóż, stanąwszy w porcie, cały ładunek z obu okrętów kazał znieść na ląd; a ponieważ miał odpłynąć na wiosnę ze wschodniego brzegu, przeto wydał rozkaz, by ów ładunek przewieźć na drugą stronę półwyspu, do Niżniekamczacka, oddalonego od miejsca, gdzie wylądował, na 833 wiorsty. Przewieźć należało zimą.

Przez środek Kamczatki przechodzi pasmo gór; do dziś nawet niema tam żadnych dróg, a choćby były przeprowadzane, to w porze zimowej niewieleby ułatwiły zadanie, gdyż, tak jak cały kraj, pokryteby były głębokiemi warstwami śniegu. Jedynemi na Kamczatce zwierzętami pociągowemi są psy, a sanie zastosowano do ich wielkości i siły, nie nadawały się więc wcale do przewiezienia takich ciężarów, zwłaszcza przez góry, po bezdrożach zimą. Pomysł Berynga był przeto niewykonalnym, albo też wykonanie go wymagało niezliczonych ofiar w ludziach, dobytku i czasie.

Kamczadałowie przez cały ciąg długiej swej zimy żyją wyłącznie rybą, na zaspokojenie zaś wszystkich innych potrzeb swoich mają tylko skóry zwierząt upolowanych. Skóry te zastępują im nasze sukna i płótna. W nie ubierają się, na nich śpią i okrywają się niemi. Skóry są też jedynym przedmiotem wywozu, za który Kamczadał otrzymuje wszystko, czego potrzebuje. Przytem futrami płacą

rządowi daninę, futrami łagodzą gniew urzędników, uspakają pożądliwość przybyszów, zwróconą na swe żony i córki, futrami wykupują synów zabieranych do posług, a polują na zwierzęta dostarczające tych futer tylko zimą, za pomocą psów.

Przetransportowanie ładunku z dwóch okrętów Berynga z jednego brzegu Kamczatki na drugi, musiało się odbyć w jesieni także i zimie, a dokonać tego mieli Kamczadałowie. Powziąć taki zamiar mógł Beryng, ponieważ nie znał warunków miejscowych, sposobu życia i utrzymania ludności, przedstawić mu zaś skutki jego pomysłu mógł tylko rządca Kamczatki. Tymczasem 24-ty z kolei taki komisarz, Tarabukin, przybył niewiele wcześniej na Kamczatkę od Berynga, a następca jego Petrow spółcześnie z Beryngiem opuścił Kamczatkę.

Władza więc miejscowa, z pomocą załogi okrętowej, spędziła Kamczadałów ze wszystkich miejscowości leżących w kierunku drogi, z psami i saniami, i ładunek został pomyślnie przewieziony do Niżniekamczacka. Znaczna część jednakże ludzi użytych do tej roboty zginęła. Poginęły przytem i psy, do takich ciężarów nie przywykłe. Ci, którzy do domów swych na wiosnę popowracali, zastali tam głód, nędzę i choroby, a strata psów stała się przeszkodą do zagospodarowania się i w roku następnym.

Dnia 14 lipca r. 1728 ekspedycya wypłynęła na morze, dnia 2 września zaś była już z powrotem w Niżniekamczacku. Beryng przebył tam drugą z kolei zimę, a r. 1729 w lipcu wyruszył z powrotem do Europy. W czasie powtórnego pobytu poznał złe, którego stał się sprawcą i jakby chcąc wynagrodzić klęski materyalne strawą duchową, w raporcie złożonym władzy centralnej zwraca uwagę przedewszystkiem na to, że na Kamczatce tylko jeden jest kapłan chrześcijański. Władza centralna wnet zapobiegła temu. Wydany został rozkaz pobudowania w ważniejszych ostrogach świątyń chrześcijańskich i wyznaczony etat na utrzymanie przy nich stosownej obsługi. Wysłany atoli z Moskwy na Kamczatkę wysoki dostojnik, Filewskij, nie dojechał na miejsce przeznaczenia. W drodze został uwięziony i do Moskwy z powrotem wysłany, za parę postępków niewłaściwych powołaniu jego i godności. Na miejsce jego miano-

wano Chontucewskiego. Ten, przybywszy na Kamczatkę w roku 1724, donosi rządowi w r. 1744, że z Kamczadałów chrześcian już 6,000; w r. 1749 zaś oznajmia, że wszyscy są chrześcianie.

Lecz nim kapłani chrześciańscy zaczęli rany zadawane przez administracyę leczyć środkami religijnemi, nim nauczyli, jak dla zapewnienia sobie lepszego bytu po śmierci należy zapominać za życia krzywd, znosić cierpliwie niedolę i poniewierkę — wybuchło na Kamczatce powstanie. Głód, mór, a zwłaszcza rządy 26-go komisarza, Nowgorodowa (1729 — 1730), zmusiły ludność do chwycenia się rozpaczliwego środka.

Powstanie rozpoczęło się w dolinie rzeki Kamczatki, od napadów na domy kozacze. Dnia 21 lipca r. 1731 zdobyli Kamczadałowie ostróg Niżniekamczacki i wszystkich Rosyan, bez względu na wiek i płeć, wymordowali. Lecz w parę dni nadeszło 77 Rosyan z dwoma działami i dwoma moździerzami, z prochem i kulami. Rzucili się na ostróg i odebrali go, a następnie wszystkich Kamczadałów wyrznęli. Część ich schroniła się do budynku, gdzie składano daniny. W nim znaleźli zapas prochu; podpalili więc dom i wylecieli w powietrze. O zdobycie większych ostrogów już się dalej, nauczeni tym wypadkiem, Kamczadałowie nie kusili. Dla odwrócenia wszakże napaści rozesłane oddziały wojenne zdobywały wioski kamczadalskie, ludność wycinały. Kamczadałowie w odwecie napadali na drobne oddziały i wymordowywali je, za co sami znowu stawali się ofiarą większych i uzbrojonych należycie.

Wszyscy ujęci naczelnicy kamczadalscy przed śmiercią zeznali, że do powstania popchnęły ich okrucieństwo i zdzierstwo Nowgorodowa i jego pomocników. Nowgorodow więc został powieszonym, jego zaś wspólnicy knutowani byli publicznie.

W r. 1740 dnia 27 września Beryng po raz trzeci przybywa na Kamczatkę. Wylądował on wówczas w porcie nazwanym następnie »Petropawłowskim« i w nim całą przepędził zimę, przygotowując się do nowej ekspedycyi. Zapasy podróżne szły mu z Ochocka. Zawinęły więc statki je przewożące do portu, gdzie przed laty 13 wylądował był Beryng, i zostały przewiezione na brzeg wschodni, jak poprzednio, drogą lądową; odległość tylko o $^3/_4$ była mniejszą.

Na wiosnę r. 1741 dnia 4 czerwca odpłynął Beryng z brzegów Kamczatki, by samemu śmierć znaleźć, a sąsiednim wodom i wyspom imię swe nadać. Ekspedycya posiadała dwa okręty. Ten, na którym był Beryng (Piotr) przez całe lato pływał po morzu, następnie Berynga nazwanem, i będąc już blizkim rozbicia w czasie silnej burzy, zatrzymał się przypadkowo dnia 5 listopada na nieznanym załodze brzegu. Rzucono kotwicę. Liny naprężone bujaniem się statku pękły. Zatopienie zdawało się nieuchronnem. Tymczasem fale przerzuciły okręt na spokojne wody małej zatoki. Początkowo sądzili od śmierci wybawieni żeglarze, że się znajdują na zachodnim brzegu Kamczatki. Nie była to jednakże Kamczatka, lecz nieznana wyspa z szeregu Aleuckich. Cała załoga chorowała na szkorbut, nie wyłączając dowódcy, który nawet był blizkim śmierci. Obezwładnionego cierpieniami zdrowsi wynieśli na brzeg pusty i złożyli w jamie naprędce wykopanej. W tej jamie leżąc, zasypywany ciągle osuwającym się piaskiem, którego nawet nie dozwalał osuwać, bo go ogrzewał, umarł Beryng dnia 8 grudnia. Wyspa na której to się działo otrzymała miano od jego nazwiska, a grupa cała — od jego godności Komandora.

Na pamiątkę nieszczęśliwego podróżnika wzniesiono pomnik w Petropawłowsku.

II.

W r. 1771 stał się niezwykły i niespodziewany wypadek na Kamczatce.

Zdawało się, że wszystko idzie ku lepszemu. Nienawiść ludności miejscowej już nie wzniecała obawy. Przypuszczanie zemsty z jej strony nie trwożyło umysłów. Powstanie pierwsze w r. 1731, szerzenie chrystyanizmu zupełnie pomyślne, powstanie drugie w r. 1745, nakoniec straszna ospa w 1768 i 1769 latach doprowadziły cyfrę mieszkańców Kamczatki, nazywanych już »inorodnyi,« do 1,333 osob, z 10,000. Ten wypadek atoli wykazał, że i z zewnątrz może grozić nieprzyjaciel i to taki, przeciw któremu miejscowe ostrogi niekoniecznie pewną przedstawiałyby ochronę, a zapasy amunicyi prędko mogły się wyczerpać.

Rzecz tak się miała.

Kamczatka, wskutek swego odosobnienia, trudnej komunikacyi, a wreszcie zupełnie odrębnego sposobu życia mieszkańców, wybornym była punktem na umieszczanie przestępców politycznych. Uciekać nie mieli dokąd ani o czem... Warunki miejscowe bytu najdzielniejszy umysł zabić, najbardziej wyrobioną energią złamać mogły. Otóż w r. 1771 już ich zebrała się w Bolszeriecku spora garstka. Byli to: Turczaninow, poufny regentki Anny; Chruszczew, kapitan gwardyi; Mejder, lekarz; Panow, porucznik gwardyi; Stepanow, kapitan armii; Baturyn, półkownik artyleryi i niejaki Gurjew. Między nimi najwybitniejsze zajmowali stanowisko dwaj cudzoziemcy: Beniowski, mianujący się Węgrem, i Szwed, Winbladt, obaj w Polsce przez wojska rosyjskie w czasie konfederacyi barskiej wzięci do niewoli. Wśród garstki tej powstał zamiar owładnięcia Kamczatką, czego tem łatwiej było dokonać, że przyłączyli się do nich przedstawiciele rozmaitych klas ludności miejscowej i inteligencya. Na czele spisku stanął Beniowski. Jakoż dnia 27 kwietnia, uwięziwszy przedstawicieli władzy centralnej, ogłosił się on rządcą Kamczatki, dnia 12 zaś maja opuścił brzegi Kamczatki na okręcie »św. Piotr«, z 55-ciu sprzymierzeńcami. Zamiary jego były niewiadome. Mogła to być ucieczka, lecz również mógł leżeć w jego planie powrót i, ze zwiększonemi środkami i siłami, wylądowanie w dogodniejszym jakimś punkcie.

Wiadomość o tym fakcie drogą urzędową doszła do Ochocka dnia 27 lipca. Naczelnik portu Ochockiego wysłał sprawozdanie o tem do Irkucka dnia 26 sierpnia. Gubernator irkucki donosi o tem władzy centralnej dnia 15 października, a dnia 7 lutego r. 1772 raport jego już jest w stolicy. Dnia 26 marca r. 1773 został wydany rozkaz wzmocnienia obrony brzegów Kamczatki. Wykonanie rozkazu zabrało lat parę, w ciągu których wyobraźnia ciągle była podsycaną toczącym się procesem, w celu wykrycia całego spisku, zeznaniami ujętych i dobrowolnie powracających spiskowców. Napad na Kamczatkę ze strony morza przedstawiał się jako rzecz pewna, a więc i oczekiwana.

I oto dnia 18 kwietnia r. 1779 do portu Petropawłowskiego weszły dwa wojenne okręty angielskie. Jeden z nich trzywiosłowy niósł 26 dział; drugi dwuwiosłowy — dział 22.

Ukazanie się ich wywarło ogromne wrażenie na przedstawicielach władzy i interesujących się sprawami ogólniejszemi mieszkańcach. Wrażenie to spotęgowane było jeszcze następną okolicznością. Wykonywając rozkaz władzy centralnej, tyczący się obrony brzegów, na port Petropawłowski wcale władza miejscowa nie zwrócila uwagi, gdyż zdawało się, że wszelki napad jest prawdopodobniejszym ze strony zachodniej, jako bliższej lądu azyatyckiego, niż ze strony wschodniej, przeciwległej Amerycę. W porcie więc tym po odjeździe Berynga pozostało tylko 10-ciu żołnierzy, strzegących pozostałości różnych po ekspedycyi i rozwalonych zabudowań, wzniesionych przez niego.

W owym czasie zarząd centralny Kamczatki przebywał w Bolszerjecku. Gdy do tej mieściny doszły wieści o okrętach angielskich, naczelnik kraju Bem zebrał radę wojenną, na której uchwalono, by żadnych kroków nieprzyjacielskich nie rozpoczynać, ponieważ nie było wojska ani dział, dla zbadania zaś celu przybycia, wysłać deputacyę na okręty, z osób nienależących do zarządu. Jednakże, jak się okazało, nikt w mieście nie znał żadnego obcego języka. Przeto do deputacyi, złożonej z kupca Posielskiego i prykaszczyka kupca Panowa, dodanym został lokaj Bema, mówiący po niemiecku. Deputacya wyruszyła, lecz, by zarazem postąpić stosownie do instrukcyi z góry przysłanej, która nakazywała, by w razie przybycia obcych okrętów, nawet w celach przyjaznych, nie dozwalać załodze w większej ilości nad 10-ciu wysiadać na brzeg, wysłano równocześnie gońca do Wierchniekamczacka z rozkazem, by ztamtąd, dla wzmocnienia załogi w porcie Petropawłowskim, wysłano wszystko wojsko z amunicyą.

Deputacya rządowa przyjętą była na okrętach wielce przyjaźnie. Dowódca eskadry prosił tylko o żywność, a ponieważ bez zezwolenia naczelnika kraju stać się zadość jego prośbie nie mogło, przeto z okrętów wysłano deputacyę do Bema. Obie deputacye stanęły razem w Bolszerjecku. Deputacyę angielską składali: kapitan okrętu Hour, porucznik King i malarz Weber, Niemiec, który miał służyć za tłumacza. Dopiero wtedy wyjaśniło się, że owa eskadra, złożona z okrętu »Resolution«, ze 114 załogi, i »Discovery«, ze 70 załogi, stanowiła ekspedycyę Cooka.

Była to już trzecia podróż sławnego marynarza. Po odkryciu wysp Sandwich, udał się on był na tych okrętach ku północno-zachodnim brzegom Ameryki, przepłynąwszy cieśninę Berynga, wszedł na ocean Lodowaty i na nim pod 70° 41′ był zatrzymany przez lody. Wydobywszy się z niebezpieczeństwa na północy, udał się na południe i na wyspach Sandwich, dnia 14 lutego tegoż roku, został zabitym przez krajowców. Po zabiciu Cooka dowództwo nad eskadrą objął Clarke, i on to właśnie stał w porcie Petropawłowskim, przygotowując się do dalszej wycieczki na północ.

Relacye te uspokoiły zupełnie co do celu podróży zarząd kamczacki. Bem spełnił całkowicie prośbę deputacyi i nawet sam udał się do Petropawłowska, by obejrzeć eskadrę. Dnia 5 czerwca Anglicy wyruszyli na morze, ale już dnia 13 sierpnia byli z powrotem, wioząc ciało Clarke'a zmarłego na okręcie. Załoga pogrzebała swego dowódcę w północnej stronie portu, pod drzewem brzozowem. Mogiłę usypaną dość wysoko, obłożyli darniną i otoczyli płotem. Eskadra angielska, nad którą po śmierci dwóch dowódców objął władzę kapitan Hour, opuściła Petropawłowsk dnia 1 października tegoż roku. La Pérouse, w kilka lat potem będąc na Kamczatce, postawił na mogile Clarke'a nagrobek kamienny, z napisem francuskim. Nagrobek ów zniknął, a z nim pamiątka historyczna.

III.

Rok 1787 został pamiętnym dla mieszkańców Kamczatki. Od lat czterech posiadali już oni nowy zarząd administracyjny. Dotychczas rządził całym półwyspem jeden komisarz czy też naczelnik, mianowany przez rządcę sybirskiego lub nawet przez władzę centralną. Każdy taki naczelnik, wstępując na urząd, otrzymywał szczegółowe instrukcye i w czasie urzędowania obowiązanym był składać sprawozdania o zarządzie. Lecz te instrukcye układali po rozmaitych kancelaryach, o mil setki i tysiące od Kamczatki odległych, ludzie nieznający wcale kraju, niemający żadnego pojęcia o jego potrzebach i właściwościach. Instrukcye więc nie dawały się zastosowywać w praktyce i nie mogły ogra-

niczać władzy naczelników Kamczatki. Prawdziwości sprawozdań przez nich składanych nikt nie kontrolował na miejscu. Rządzili więc oni zupełnie samowolnie, a ponieważ na takich naczelników brano zwykle ludzi z niższych szczebli władz administracyjnych i wojskowych, byli to więc prości awanturnicy, których gnała ze stron rodzinnych na kraniec świata bądź chęć zbogacenia się bezkarnego, bądź obawa sprawiedliwości. Rządy ich przedstawiały cały szereg zdzierstw, gwałtów, okrucieństw; bywały też wypadki, że za swe czyny zbrodnicze otrzymywali doraźną karę z rąk pokrzywdzonych. Często skargi głośne lub denuncyacye tajemne sprowadzały na nich komisye śledcze; lecz kto uniknął zemsty mieszkańców, sądu mógł się już nie obawiać. Sprawa ciągnęła się lata całe i obwiniony nieraz umierał, nie doczekawszy się wyroku, a używając nagromadzonego dostatku. Jeden z głośniejszych takich rządców, Nowogrodow, w dziesięć lat dopiero po wytoczeniu mu sprawy został powieszonym. Samowoli więc ich nic ograniczyć, bezprawiu nic w istocie zapobiedz nie mogło.

Reforma, zaprowadzona przed laty czterema, polegała głównie na uszczupleniu władzy takiego jednego rządcy. Dosięgało się tego przez wcielenie Kamczatki do większej całości admninistracyjnej. Zarząd osobny, funkcyonujący na miejscu, został zniesiony, a cały półwysep podzielony na trzy okręgi. W każdym takim okręgu władza administracyjna spoczywała w ręku dwóch osób, od siebie niezależnych. »Horodniczy« rządził miastem centralnem w okręgu; »isprawnik« — całym okręgiem, wyjąwszy miasta. Każdy z nich miał swoją kancelaryę, z liczbą stosowną urzędników podrzędniejszych, pisarzy, poborców i t. d. Najwyższa zaś władza przeniesioną została na naczelnika kraju ochockiego. Podział więc władzy na miejscu pomiędzy sześciu, ograniczał każdego z nich przynajmniej co do przestrzeni. Poddanie owych sześciu władzy jednego dygnitarza, rezydującego w najbliższem ognisku administracyjnem, łatwiejszy dozór nad ich czynnościami miało zaprowadzić.

Otóż w rzeczonym r. 1787 naczelnik kraju ochockiego, pod którego władzę w taki sposób dostała się Kamczatka, zapragnął poznać osobiście półwysep. Był nim wtedy niejaki Kozłow-Ugrenin.

Dwa miesiące, od listopada r. 1786 do stycznia r. 1787, jechał naczelnik z Ochocka do Iżygi, miasta leżącego na północy Kamczatki, jednego z trzech okręgowych. W czasie dwutygodniowego pobytu w Iżydze zawiesił w urzędowaniu i oddał pod sąd dla postrachu isprawnika Hansa. Następnie wyruszył do Niżniekamczacka. Było to zimą. Sanie miał ogrzewane piecem, a psów 50 je ciągnęło. Podróżował ze świtą, kancelaryą, zapasami podróżnemi, pod taki więc orszak i ciężary potrzebował psów 250. Dróg nie znają na Kamczatce. Miejscowi podróżni, zwłaszcza zimą, na lekkich nartach, ciągnionych przez kilka małych a zwinnych psów, przedrzeć się mogą wszędy. Inaczej jednak rzecz przedstawiała się obecnie. Sanie naczelnika były ciężkie i ogromne; kilkadziesiąt innych szło za niemi. Potrzeba było drogę torować, po lasach drzewa wyrąbywać. Jechali przeto naprzód horodniczy i isprawnik i zgromadzali Kamczadałów na robotę, a ponieważ już nie 10,000, jak na początku wieku, lecz zaledwo 1,300 ich było, mieli więc oni wielką trudność w dostarczeniu robotnika, tembardziej, że część znaczną ludności już poprzednio spędzili byli z psami dla transportowania podróżnych.

Przybywszy na wiosnę do Niżniekamczacka, zapragnął naczelnik spróbować innego sposobu podróżowania. Niżniekamczack leży przy ujściu rzeki Kamczatki do morza Berynga. Rzeka ta przepływa w skośnym kierunku prawie cały półwysep. U jej źródeł leży Wierchniekamczack. Zamierzył przeto Ugrenin udać się do Wierchniekamczacka wodą i poznawać kraj płynąc rzeką.

Dla urzeczywistnienia zamiaru tego znieśli Kamczadałowie prawie z całego półwyspu swoje »boty« (łodzie powstałe z wyżłobienia pnia drzewnego). Z kilkunastu botów zbitych razem zrobiono dwie duże tratwy, dla naczelnika i jego sekretarza, Woronowa, a na nich pobudowano kajuty. Na tratwie, którą miał płynąć naczelnik, postawiono armatę. Lecz niedość było pobudować tratwy i przygotować dostateczną ilość botów dla transportowania świty i zapasów podróżnych; należało jeszcze obmyślić sposób poruszania ich na wodzie.

Rzeka Kamczatka płynie z gór i wśród gór, bieg jej zatem jest bystry, a płynąć należało przeciw wodzie, w górę rzeki. Jeden sposób okazał się najpraktyczniejszym: holo-

wanie. Postanowiono więc tratwy po wodzie ciągnąć za liny z brzegu, do czego użyto Kamczadałów. Szło ich brzegiem kilkudziesięciu i tratwy ciągnęli. Innych kilkudziesięciu było zawsze w pogotowiu, na zmianę tamtych, czego wymagał pośpiech. Za tratwami płynęły boty z otoczeniem i zapasami. Wystrzały armatnie dawały sygnał zatrzymania się i odjazdu. Zawrzały więc życiem tak spokojne i martwe dotychczas brzegi Kamczatki. Podróż ta zabrała lato całe.

W Wierchniekamczacku otrzymał Ugrenin wiadomość o przybyciu do portu Petropawłowskiego w d. 25 sierpnia eskadry wojennej francuskiej, złożonej z dwóch okrętów. Wyruszył więc w nową podróż, w celu poznania siły i zamiarów owej eskadry.

W drugiej połowie XVIII stulecia narody europejskie zostały zainteresowane nowemi odkryciami geograficznemi. Pomiędzy niemi podróże Cooka otwarły piątą część świata. Początki kolonizacyi przez Anglików Australii zwróciły uwagę rządu francuskiego na korzyści, mogące się dać osiągnąć z nowych zdobyczy terytoryalnych na oceanie Spokojnym; lecz przedewszystkiem należało poznać owe ziemie i zbadać grunt na miejscu. Postanowiono więc wysłać ekspedycyę naukową. Ludwik XVI własnoręcznie dla niej kreślił instrukcye. Na dowódcę — najodpowiedniejszym się zdawał młody oficer marynarki, który przez lat dwa (1782 — 84) na czele eskadry, wysłanej do zatoki Hudsońskiej przeciw Anglikom, w walce z nimi złożył dowody zarówno męstwa osobistego, jak i przezorności nieodzownej dla wodza. Był nim Jan Franciszek Galoup de La Pérouse (urodzony w roku 1741).

Wyprawa wyruszyła z Brestu dnia 1 sierpnia r. 1785. Składały ją dwa okręty wojenne: »Boussole« i »Astrolabe,« zaopatrzone we wszystko, coby się przydać mogło w podróży po nieznanych wodach, w zakresie czasu, nie dającym się z góry oznaczyć. Te dwa okręty, o których doniesiono Ugreninowi, że zawinęły do portu Petropawłowskiego, były to właśnie »Astrolabe« i »Boussole,« wiozące La Pérouse'a i uszczuploną już przez wypadek załogę [1]).

[1]) Na brzegach Ameryki, w porcie Francuskim, dwie łodzie z 6-ciu oficerami i 16-tu majtkami zatonęły.

Wypłynąwszy z Brestu, La Pérouse w ciągu lat dwóch zwiedził Polinezyę, następnie Kalifornię, północno-zachodnie brzegi Ameryki i, zwróciwszy się ku Azyi, na początku roku 1787 zawinął do cieśniny Tatarskiej, oddzielającej ląd azyatycki od wyspy Sachalin, w celu dostania się przez nią na morze Ochockie. W cieśninie tej odkrył zatokę i nazwał ją imieniem ministra francuskiego de Castries. W posuwaniu się ku północy, został wstrzymany przez mieliznę. Zarzuciwszy kotwicę w miejscu głębokiem na 9 sążni, wysłał łodzie wiosłowe, dla zbadania wód powyżej. Te znalazły tylko 6 sążni głębokości, był to bowiem liman amurski. Ze stanu wody niskiego wywnioskowawszy, że wyspa Sachalin łączy się z lądem, zawrócił się, przepłynął cieśninę pomiędzy Sachalinem a wyspą Matsmai, następnie nazwaną na cześć jego cieśniną La Pérouse'a, i znalazł się powtórnie na oceanie Spokojnym. Płynąc następnie ku północy, zawinął do portu kamczackiego.

Ugrenin zwiedził okręty francuskie i zaopatrzył je w kilka sztuk bydła i inne zapasy. A ponieważ La Pérouse powziął był zamiar wysłania z Kamczatki sprawozdania o swojej podróży drogą lądową, Ugrenin zapewnił mu opiekę nad wysłańcami. Po trzytygodniowym pobycie na Kamczatce, dnia 19 września, La Pérouse opuścił port Petropawłowski, a dnia 25 września wyjechał Ugrenin.

Wypadki wspomniane zwiększyły zwykłe otoczenie Ugrenina o dwie osoby. Pierwszą był Francuz Lesseps, stryj znakomitego twórcy kanału suezkiego, wysłany przez La Pérouse'a ze sprawozdaniem do Francyi; drugą — naczelnik portu Petropawłowskiego Chabarow, który w roku następnym otrzymał od rządu francuskiego medal z popiersiem Ludwika XVI, za przyjęcie, przygotowane eskadrze. Również zwiększały się coraz bardziej zapasy i zbiory Ugrenina. W każdej wsi, przez którą przejeżdżał, ludność miejscowa witała go z chlebem i solą i składała podarki, po skórce sobolej lub lisiej od osoby. Trzymiesięczny pobyt Ugrenina w Bolszerjecku, sposób przepędzania tam czasu i charakter rozrywek dały możność Lessepsowi do wypowiedzenia w swoich pamiętnikach uwagi, że Rosyanie i Kamczadałowie nie są wcale zazdrośni o swoje żony i o ich honor.

Nakoniec w lutym 1788 r. Ugrenin wyruszył z Niżniekamczacka z powrotem do Ochocka. Powrót atoli nie był tak wspaniałym i radosnym. Spędzone w ilości kilkuset psy zaczęły ginąć z głodu i znużenia. Mieszkańcy uciekali z całym dobytkiem i kryli się w niedostępnych miejscowościach. Wszelkie wysiłki horodniczych i sprawników nie doprowadzały do rezultatów pożądanych. Nie było komu ciągnąć sani, ani też eskortować podróżnych. Zapasy i zbiory pozostawały po drodze. Brak środków do przejazdu zmusił Ugrenina do rozstania się z Lessepsem, wysłał go więc naprzód. Dnia 25 kwietnia stanął Lesseps w Ochocku, Ugrenin zaś dopiero 10 października.

Dwuletni pobyt naczelnika kraju na Kamczatce przyprawił mieszkańców o klęskę głodową, gdyż oderwał ich od zwykłych zajęć i pozbawił jednego dobytku — psów. A ponieważ przed laty kilku ospa do 6,000 zabrała Kamczadałów, obecne zaś przejazdy wygubiły psy, przeto łącząc jedne wypadki z drugiemi, klęskę ową »psią ospą« Kamczadałowie nazwali. Chcąc zapobiedz na przyszłość klęskom, dającym się przezornością uchylić, wysłali w roku 1790 do centralnego zarządu Syberyi wschodniej w Irkucku deputacyę, która między innemi upraszała o zmniejszenie liczby urzędników. Deputacya ta była przyjętą bardzo uprzejmie i powróciła z zapewnieniem nadal łask i opieki.

Gdy Lesseps dążył przez Syberyę i Rosyę do Paryża, jakieś groźne a w szczegółach nieznane wypadki sprawiły, że on jeden tylko z całej wyprawy ocalał i mógł powrócić do kraju. La Pérouse z Kamczatki popłynął był do Australii[1]). W styczniu roku 1788 wyprawił listy do Francyi z Botany-Bay. Przyniosły one ostatnie o nim i jego towarzyszach wiadomości.

»Astrolabe« i »Boussole« zginęły bez śladu, wraz ze wszystkimi i wszystkiem, co było na nich[2]).

Z przyczyny braku zupełnego wiadomości o losach wyprawy La Pérouse'a, Zgromadzenie Narodowe, na wniosek

[1]) Po drodze zawinął na wyspę Mauna, jednę z archipelagu Samoa. Na niej dnia 11 grudnia krajowcy zamordowali kapitana De Langle, naturalistę Lamanona i dziewięciu marynarzy.

[2]) Na pamiątkę pobytu na Kamczatce nieszczęśliwego podróżnika, dr. Dybowski w r. 1892 wzniósł krzyż z napisem w języku francuskim.

Towarzystwa przyrodniczego, uchwaliło w roku 1791 nową ekspedycyę na poszukiwanie zaginionej. Dwa okręty, »L'espérance« i »Recherche,« pod dowództwem d'Entrecasteaux, jeszcze w tymże roku opuściły Francyę. W dwóch następnych latach d'Entrecasteaux po dwakroć zawijał do Tasmanii, przepłynąwszy całą Polinezyę, na ślady La Pérouse'a nigdzie jednakże nie natrafił i sam następnie umarł na okręcie. Choroby zabrały pół załogi, a nakoniec same okręty z resztą załogi zostały na Jawie skonfiskowane przez Holendrów.

Dopiero w roku 1825, na wieść o krążących wśród mieszkańców Melanezyi pewnych przedmiotach, które mogły były należeć do La Pérouse'a, Dumont d'Urville zaproponował nowe poszukiwania i wyruszył na korwecie, przezwanej »Astrolabe.« Jakoż w istocie na wyspie Wanikoro, należącej do archipelagu Santa-Cruz, Dumont d'Urville od mieszkańców usłyszał podanie, że przed laty, dwa okręty rozbiły się na skałach koralowych, otaczających wyspę. Sondując na wskazanem miejscu, marynarze okrętu Astrolabe (nowego) wyszukali kotwicę, parę armat, broń palną i t. d. Były to widocznie szczątki okrętów La Pérouse'a, lecz tem niemniej losy załogi i jej dowódcy pozostały niewiadome.

IV.

Od czasów »psiej ospy« upłynęło lat 65.

W stosunkach miejscowych na Kamczatce nic się nie zmieniło... Ułatwienie środków komunikacyjnych, możność dogodniejszego zbytu bogactw krajowych, łatwiejszego dowozu przedmiotów niezbędnych dla życia—nie wpłynęły na polepszenie bytu Kamczadałów. Raz puszczona w ruch machina administracyjna dokonywała swego. Niszczeni klęskami głodowemi i chorobami, trapieni i poniewierani we wszystkich stosunkach — nikli liczebnie, nędznieli fizycznie, tępieli umysłowo. Życie więc płynęło torem zwyczajnym, cicho, spokojnie, martwo — gdy oto wypadki dziejowe odbiły się i o Kamczatkę, niby echo z szerszej i głośniejszej widowni życia politycznego.

Był to rok 1854, drugi wojny wschodniej.

Dnia 18 sierpnia wpłynęła do zatoki Awaczyńskiej, w której leży port Petropawłowski, eskadra wojenna, złożona z sześciu okrętów angielskich i francuskich, pod dowództwem dwóch admirałów sprzymierzonych narodów. Ci nie wysłali już deputacyi, jak to uczynił niegdyś Clarke; lecz po stosownem zbadaniu pozycyi i przygotowaniu się, rozpoczęli kroki nieprzyjacielskie. Dnia 20, po zburzeniu dwóch bateryi rosyjskich, broniących portu, Anglicy i Francuzi próbowali wylądować, zostali jednak odparci. We cztery dni później, po zburzeniu dwóch innych bateryi, wylądowali i zajęli wzgórze św. Mikołaja, tuż nad portem wznoszące się... Rosyanie rzucili się na nich w przeważającej liczbie i zmusili do odwrotu. Pędzeni z wyniosłości, ze wszystkich stron naciskani, Anglicy i Francuzi w ciężkich nader znaleźli się warunkach. W porcie znaleziono zabitych 34 żołnierzy i 4 oficerów, lecz istotna strata sprzymierzonych dziesięćkroć była większa, gdyż zabierali trupy i ciężko rannych.

Dnia 27 sierpnia eskadra odpłynęła na otwarte morze.

Cmentarz zaś, na którym pochowano poległych, zwiększa ilość szczupłą pamiątek historycznych na Kamczatce.

Kamczadałowie pozostali obojętnymi świadkami całej tej akcyi wojennej. To, co widzieli, zainteresować głęboko ich nie mogło, tego, o czem następnie się dowiadywali, zrozumieć nie zdołali. W apatyi swej bowiem instynktowo przeczuwali, że przyszłość nic już im przynieść nie może. Wszystkie owoce cywilizacyi już poznali, wszystkich jej skutków doświadczyli. Wypadki te dziejowe odbiły się o Kamczatkę niby echo i niby echo przebrzmiały bez śladu, bez wpływu, bez skutków żadnych.

Gromadne zabijanie się w sposób wyraźny i dorywczy, jakiem jest bitwa, odtwarzane bywało niejednokrotnie w mowie ludzkiej w każdym języku. Lecz żaden opis tak dokładnie zamętu, powstałego w czasie wojny, lub bardziej realnie skutków samej bitwy nie przedstawia, jak drobny poemacik hebrajski, znany jako »Pieśń Debory...« Należy on do najwcześniejszych utworów piśmiennictwa hebrajskiego i pochodzi z czasów walk, staczanych w Kanaanie, między napływającemi pokoleniami judzkiemi i dawniejszymi mieszkańcami tego kraju.

Autor, stanąwszy na stanowisku wyjątkowo przedmiotowem, opisuje śmierć wojownika zamordowanego, a następnie przenosi nas do jego rodziny. Matka wyglądała w oknie powrotu syna. Spóźnianie się jego bardziej ją dziwi, niż niepokoi. Przypisuje je wyłącznie łupom bogatym, które go nęcą i zatrzymują... Już liczy branki wiezione, już widzi barwę i wyrób szat zdobytych. Przedniejsze i mędrsze niewiasty z jej otoczenia jeszcze bardziej w tym kierunku podniecają jej wyobraźnię. A tymczasem syna już ona nigdy oglądać nie miała!

Gorzka ironia, przebijająca się w zestawieniu rzeczywistości z ułudą, nie odejmuje wcale obrazowi barwy prawdy, nie pozbawia go tętna życia.

Patrząc na mogiły, kryjące pod sobą kilkudziesięciu wojowników, patrząc na fale obok podnoszące się, które dziesięćkroć tyle ich pochłonęły, przenosimy się mimowolnie myślą na przeciwległy Kamczatce kraniec świata starego. Każdy z zabitych na jej brzegach zostawił w kraju swoim kogoś, co niecierpliwie oczekiwał powrotu jego. Oczekujący mogli nie wyglądać wyłącznie łupów i branek; żywotniejsze z oczekiwaniem mogły tam być związane interesy... Dla ojca niejednego lub matki, może dopiero po powrocie syna rozpocząć się miały dni należnego odpoczynku, jako nagroda za mozoły wychowania. Dla niejednej młodej niewiasty powrót oczekiwanego może zapewniał życie rodzinne, uświęcone zwyczajami, prawem obwarowane. Niejedno niemowlę może dopiero wtedy mogło być wcielonem do społeczeństwa uprawnionego. A przytem, wszakże tych kilkaset zabitych, to synowie narodów, które wydały Newtona i Laplace'a, Szekspira i Woltera, które współzawodnicząc z sobą, innym przewodniczą na polu wiedzy, sztuki, wynalazków.

Skąd pewność, że w żadnym z owych kilkuset przedwcześnie rozprysłych mózgów nie powstałaby z czasem kombinacya myślowa, wydzierająca przyrodzie z tylu jej tajemnic jedną, lub że nie zabłysnąłby w nim nigdy pomysł, mogący ulżyć w pracy milionom? Grozę wieści dla oczekujących zwiększała jeszcze oziębłość obwieszczenia rządowego o bitwie i zabitych, a jak w tym wypadku, boleść po stracie potęgowały dalsze sprawozdania o wojnie, wykazujące zupełną bezowocność poniesionych ofiar.

Pamiątki historyczne na Kamczatce, przypominając tragiczne losy kilku jednostek, przedewszystkiem zwracają uwagę na dolę mieszkańców. Zapytać więc siebie możemy: czy klęski, ich nawiedzające, leżą w przyrodzie kraju samego, czy też — ludzi?

Kamczatka jest obszerna, pomieścićby przeto mogła dwa razy tyle milionów ludzi, ile zaledwo jest tam dzisiaj tysięcy. Bogactwa naturalne, umiejętnie wyzyskiwane, owym milionom zapewnićby mogły dostatek wszelki; więcej bowiem mieliby oni na sprzedaż przedmiotów cenionych w handlu wszechświatowym, niż potrzebowaliby sprowadzać dla zastąpienia tego, czego na miejscu mieć nie mogą. Klimat, choć surowy, jest wielce zdrowym i zabezpiecza organizm ludzki od wielu chorób. Kamczatka przytem jest nietylko bogatym i zdrowym, ale i pięknym krajem. Malownicze widoki wszczepiają w umysł pierwiastki estetyczne; powaby natury urozmaicają bieg monotonny codziennego życia. Mogłyby przeto tam nie ginąć, lecz powstawać, nie marnieć, lecz rozwijać się spokojnie i mnożyć pokolenia liczne ludzi zdrowych, pracowitych i — szczęśliwych.

Przyroda nie jest przyczyną klęsk — a więc... ludzie.

Odkrycia geograficzne Beniowskiego.

Beryng w dwu swoich wyprawach (1728 i 1741) wykazał, że Azya nie łączy się z Ameryką również ku północy, jak się nie łączy i pośrodku. Poprzednio powszechnie przyjmowano, a nawet na kartach przedstawiano, takie połączenie. Beryng dowiódł dopiero, że jedną część świata od drugiej oddziela cieśnina i morze, nazwane następnie nazwiskiem tego śmiałego żeglarza. Odkrycia te jednak rozstrzygały kwestyę geograficzną w zasadzie tylko. Zarówno bowiem brzegi wschodnie Azyi, jak zachodnie Ameryki pozostawały nieznane, odległość jednych od drugich niezmierzona, wyspy, pomiędzy niemi leżące, albo jeszcze nie odkryte, albo też nie zbadane. W historyi odkryć tych mórz i ziem po nazwisku Berynga idzie zwykle nazwisko Cooka. Fr. Hellwald wszelako, kreśląc dzieje wypraw podbiegunowych *(Im ewigen Eise)*, robi taką uwagę: »Beniowski w 1771 roku, a więc o lat pięć wcześniej od Cooka, widział północno-zachodnie brzegi Ameryki, czego nie należy pomijać.« Te słowa, obok innych zresztą okoliczności, skłoniły mnie do poznania *Pamiętników Beniowskiego* i poczerpnięcia z nich wiadomości o jego odkryciach geograficznych, aczkolwiek one w szeregu odkryć nie występują. Nie jest to bez podstawy. Beniowski stał się tylko przygodnym odkrywcą. Warunki, w których odbywał swą podróż po części północnej oceanu Wschodniego, nietylko odkryciom nie sprzyjały, ale nawet wręcz im przeszkadzały, bądź to zmuszając ciągle do pośpiechu, bądź też na inne przedmioty, niż położenie geograficzne kraju i jego przeszłość, zwracając stale uwagę. Jako przygodny odkrywca,

nie był obeznany z podróżami poprzedników w tych okolicach, i sam nie wiedział, na jakie lądy i wyspy, spostrzegane z okrętu, on pierwszy z Europejczyków patrzy dopiero, do jakich portów lub wybrzeży on pierwszy przybija. Również jako przygodny podróżnik, i to na czele wyprawy morskiej stojący, nie rozporządzał ilością dostateczną stosownych narzędzi, któreby mu dozwalały ściśle zaznaczać położenie ziem widzianych i zwiedzanych; a nadto, sposób przez niego przyjęty oznaczania długości od Kamczatki odszukanie na karcie, wielokrotnie wzmiankowanych lądów i wysp, utrudnia obecnie nie mało. Wszelako — *suum cuique.*

W każdym razie *Pamiętniki* [1]) zasługują na poznanie. Obok żeglarza przedsiębierczego i energicznego występuje w nich również i etnograf. Na etnografie zaś odbija się duch wieku, zabarwiający spostrzeżenia dziwnym, a sobie tylko właściwym kolorytem, na który się składają sentymentalizm i sielankowość. O metodzie naukowej przytem jeszcze mowy, naturalnie, być nie może.

I.

W piątek, dnia 13 maja 1771 r., gromada podróżników, złożona z 96 osób, wśród których było 75 do służby, przez

[1]) Dzieło, które nazywam na tem miejscu *Pamiętnikami,* składa się z Dziennika podróży i kilku osobnych rozdziałów, w których Beniowski zapisywał zebrane o danych krajach wiadomości, z memoryałów, ułożonych w odleglejszych celach i, nakoniec, z listów i odezw, w charakterze dokumentów przytaczanych. Językiem oryginału jest francuski. Ja mam pod ręką przekład polski, noszący tytuł: *Historya podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maurycego-Augusta hrabi Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego, z francuskiego tłómaczona.* Tomów I—IV. Edycya nowa. W Warszawie, w drukarniach połączonych Gazety Warszawskiej i sukces. Tomasza le Brun, 1806; oraz angielski: *Memoirs and Travels of Mauritius Augustus Count de Benyowsky, Magnate of the Kingdoms of Hungary and Poland, one of the chiefs of the Confederation of Poland... written by himself. Translated from the original manuscript. In two volumes.* Londyn, 1790. Przekład ten opatrzony jest planami bitew pod Gródkiem, Żwańcem, Brahą i Żuką, widokami wysp, widzianych z okrętu,—brzegów, do których przybijano, nakoniec wizerunkami ludzi i mapami, zdjętemi z różnych miejscowości. Uderza przytem pomieszczenie obrazu, przedstawiającego jadącego saniami Kamczadała, widzianego już w opisie podróży do Kamczatki Kraszeninnikowa.

Beniowskiego nazywanych towarzyszami, 9 kobiet i 12 pasażerów, o świcie spostrzegła ku zachodowi skały wysepki Alajdy, zamykającej od północy łańcuch wysp Kurylskich. »O 9-tej godzinie — pisze Beniowski — zrana złożono radę, w którą stronę udać się nam potrzeba. Wniosłem, aby zawinąć do której z wysp Kurylskich, dla zaopatrzenia się w żywność i suchary. Zgodziło się na tę moją propozycyę całe zgromadzenie... Zbliżanie się jednakże okrętu ku dwu wyspom wznieciło dość ważną i niebezpieczną sprzeczkę. Chcieli bowiem niektórzy, żeby koniecznie do nich zawinąć, i gdy jedni usilnie mnie o to naglili, drudzy zuchwałość swą posunęli aż do grożenia mi, iżem się skłonić nie chciał do ich żądania. Dla zapobieżenia nadal takowej niesforności, a z niej mogącym wyniknąć bezprawiom, sąd natychmiast złożyłem i dwu najwinniejszych na więzienie skazałem. Dla obawy zaś jakowego rozruchu do żadnej z wysp Kurylskich nie zawinięto«.

Takie zachowanie się załogi do odkryć nie usposabiało. Miał Beniowski nad nią podwójną władzę, jako kapitan okrętu i głowa całego przedsiębierstwa. Lecz ponieważ była złożona ze sprzecznych z sobą żywiołów, połączonych tylko przypadkowym celem i to rozmaicie pojmowanym, ciągle on był zmuszony uciekać się do grozy kary i, po usunięciu winnych, do przysiąg, które, wciąż ponawiane, traciły na swem znaczeniu dla przysięgającego.

Wskutek wspomnianego wydarzenia Beniowski popłynął ku północo-wschodowi i w następny piątek, d. 20-go, Św. Piotr i Paweł stanął na kotwicy pod wyspą Berynga. Trzy dni poświęcono na naprawę okrętu i opatrzenie go w żywność i wodę. Czwartego dnia, gdy Beniowski oświadczył, że zamierza ruszyć pod żagle do Chin, skąd łatwo będzie dostać się do Europy, przybyło trzech deputowanych od całego zgromadzenia z żądaniem, by żeglugę na północ Kamczatki obrócić i tamtędy szukać do Europy przejścia. Nadchodząca wiosna zapewniać miała pomyślny takiego przedsięwzięcia skutek; gdyby się zaś znalazły nieprzebyte zawady, łatwo będzie — dowodzili deputowani — wylądować na poblizkiej Ameryki brzegach... Dzień minął na deliberacyach. Beniowski usłuchać musiał... I oto we środę, 25 maja, rozwinąwszy żagle, ku północy popłynęli. We czwartek,

według dziennika podróży, czas był piękny, śnieg suchy polatywał, mróz coraz bardziej tężał; liny i żagle, marznąć począwszy, kierowanie okrętu trudnem czyniły. W piątek również była pogoda, lecz mróz jaknajtęższy. W sobotę, już 28 maja, czas był jasny, bez śniegu, lecz mróz nie do wytrzymania. O świcie, na 29-ty, »ujrzano ziemię, którą wziąłem — pisze Beniowski — za przylądek Apachazena. Podług raportu: szerokość 59° 0′, długość 13° 26′ (oznacza on długość od Kamczatki)«.

W niedzielę, 29 maja, wiatr gwałtowny, czas mglisty. »Szturm wielokrotnie — czytamy w Dzienniku — o mało nas z jaknajwiększym impetem nie wpędził na krę ogromną, o którą pewnie byłby się okręt strzaskał w drobne kawałki, gdyby był o nią uderzył. Niezmierne bowiem sztuki lodu, nakształt gór, dokoła nas otaczały. Zaledwo okręt przecisnąć się między niemi zdołał, co szelest przeraźliwy sprawiało... O godzinie 4-tej zrana tak silnie szturm się wzmógł, że zerwał nam przedni żagiel. O godzinie 5-tej straciliśmy pryncypalny maszt przy sterze, który pękł na dwoje. Wtem o 6-tej okręt tak się przechylił, że ruszyć nie można było sterem. Szczęściem, że niedługo świtać poczęło i wnet spostrzegliśmy przyczynę tego nadzwyczajnego uderzenia. Był to kawał ogromny lodu, który, uczepiwszy się, przymarzł między rudlem a tyłem okrętu. Zaledwieśmy go oderwać zdołali... Podług raportu: szerokość 59° 10′, długość 14° 34′«. Posuwali się więc w kierunku północno-wschodnim.

Lody i nocna burza wpłynęły na usposobienie załogi. Czytamy dalej: »W poniedziałek, 30 maja, czas był mglisty, a morze lodem okryte. O 9-tej godzinie zrana prosił mnie p. Krustyew [1]), występując w imieniu całego zgromadzenia, żebym złożył radę w celu odmiany dyrekcyi naszej podróży i zaniechania żeglugi ku północy. Była to piękna dla mnie okazya wyrzucenia na oczy moim towarzyszom, jak daleko przez swoję nieufność sami się krzywdzą, gwałtem mnie zmuszając do tak niebezpiecznej żeglugi... Otrzymałem zatem bez najmniejszej przeszkody od całego zgromadzenia zezwolenie działania na przyszłość tak, jak mi się zdawać

[1]) Był to kapitan gwardyi. Po powrocie do Europy wstąpił do wojska francuskiego.

będzie z najlepszem dobrem całego zgromadzenia. Ukontentowany tak pomyślną decyzyą, na znak mojej wdzięczności, podwójną porcyę gorzałki dnia tego wszystkim rozdać kazałem«.

Kierunek jednakże żeglugi pozostał ten sam, a przyczyny w Dzienniku nie wyjaśnione. W sobotę bowiem tegoż tygodnia znajdowali się pod 65° 20′ szerokości i 25° 30′ długości. Więc się byli posunęli ku północy o 6° i 10′, ku wschodowi — o 11° prawie. Był to jednakże najdalszy kres w kierunku północnym. Nastąpił powrót w kierunku południowo-wschodnim. Pod niedzielą, 5-go czerwca, czytamy (lecz już w angielskim przekładzie pełniejszym): »Na kotwicy, o trzy mile od brzegu, okrążeni przez lody; wiatr nieregularny i wzmagający się; morze niespokojne. O trzeciej po południu zbliżyły się łodzie. Zdawało się, że to są Czukczowie. Zaprosiłem ich na okręt za pośrednictwem Koryaka (mieszkańca Korei w polsk. przekł.), który był z nami [1]). Przybyli oni bez obawy. Od nich to stanowczo się dowiedziałem, że jesteśmy tylko o mil 14 od przylądka Czukockiego...[2]). Ten zaś, obok którego wczoraj wieczorem przepływaliśmy, wskazywał wielką ziemię Alaksinę. Tak Czukczowie nazywają Amerykę. O 4-tej godzinie znajdując się w niebezpieczeństwie z przyczyny lodów i dowiedziawszy się, że było niemożebnością posuwać się dalej, postanowiłem powrócić do brzegów Ameryki (powracam do przekładu polskiego), ile że wiatr miałem ku temu pomyślny. W tym momencie kra urwała mi linę i zaledwo Czukczowie zdążyli dopaść swych łodzi. Udarowałem ich wódką i nożami. O 5-tej popołudniu ruszyliśmy pod żagle... O 6-tej, pędzeni pędem wody, wyminęliśmy przylądek Alaksyny, a o 11-tej odkryliśmy wnijście do zatoki. Że w niej przylądek zasłaniał nas od lodów, umyśliłem więc w owem miejscu gdziekolwiek do lądu przybić. Według raportu: 64° 50′ szerokości, 26° 4′ długości. W poniedziałek, dnia 6-go czerwca, zbliżyliśmy się ku brzegom, a upatrzywszy wygodne stanowisko, zarzucono w niem kotwicę«.

[1]) Koryak ten, jak wiem z innego źródła, nazywał się Brechów; odbywszy podróż do Europy, powrócił do Rosyi.

[2]) Przylądek Czukocki leży przy wejściu do cieśniny Berynga, od strony Azyi.

Był to więc ląd Ameryki. Cook w 1778 r. posunął się był wyżej od Beniowskiego o 5° 10′, gdyż do przylądka, który nazwał Lodowym, pod 70° 30′. Miejscowość na lądzie amerykańskim, w której się zatrzymał Beniowski, była to prawdopodobnie część zatoki, którą następnie Cook opisał i nazwał zatoką Nortona.

Beniowski na brzegu amerykańskim przebył do piątku, 10 czerwca, a więc dni pięć. Oto co robili i widzieli: »Wysłałem – czytamy pod dniem 6 czerwca — na ląd 28 towarzyszów, żeby z żaglów rozbili namioty... Udałem się na ziemię z p. Krustyewem i, znalazłszy miejsce wygodne do naprawy okrętu, 36 naszych towarzyszów, pod zarządem Panowa [1]), przeznaczyłem do tej pracy. Reszty zaś użyłem do polowania, połowu i przysposobienia drzewa na opał. We wtorek, 7 czerwca, gdy wszyscy robotą sobie naznaczoną zatrudnieni byli, prosiłem pana Kuzniecowa [2]), jako najzwinniejszego, aby, dobrawszy sobie kilku towarzyszów, wypadł na zwiady. O 8-ej dopiero z wieczora powrócił Kuzniecow, który mi doniósł, że, wdrapawszy się na górę pobliską od północy, odkrył drugą ziemię od północy wschodniej (po drugiej stronie odnogi). Ku wschodowi zaś, dała się widzieć przestrzeń, górami i rzekami okryta. Zmierzch nie dozwolił mu rozpoznać dokładnie odleglejszych objektów; dlatego powrócił, prosząc mnie jednak, żebym mu dnia następnego pozwolił wybrać innych towaszyszów, z którymi spodziewa się nierównie dalej posunąć swe ku wschodowi spostrzeżenia. Dodał mi jeszcze, że po rozmaitych znakach, które pilnie uważał, wnosi, że ten kraj jest zaludniony. Widząc go w tak pięknych chęciach, a żądając dokładną o tej krainie powziąć wiadomość, z ochotą przyzwoliłem na jego żądanie... We czwartek, 9 czerwca, o 1 popoł. powrócił Kuzniecow. Doniósł mi, że o 4 mile od brzegu spostrzegłszy wioskę, do niej się udał. Składała się ona z 8 chałup. Na widok jego, mieszkańcy jej pośpiesznie pouciekali, a tak tylko w jednem domostwie znalazł starą babę i kilkoro dzieci. Stara owa baba miała cerę śniadą,

[1]) Był to porucznik gwardyi. Został zabity przez krajowców na Formozie.

[2]) Prosty chłop z Kamczatki, najwierniejszy towarzysz Beniowskiego; po powrocie jego do Europy wstąpił do wojska francuskiego.

rozmaite odmalowane figury na czole i nozdrza przekłóte. Nie umiejąc ani słowa po czucku (lub po koryacku, dodaje przekład angielski), nie mógł on od niej niczego się dowiedzieć. Znalazłszy w chałupach kilka łuków i strzał, których ostrza żelazne dobrze były wyrobione, zabrał je z sobą wraz z zupełnym ubiorem z piór ptasich, wiedząc, że ta ciekawość przyniesie mi ukontentowanie. Nie znalazłszy nic więcej, coby godnem było uwagi, powrócił, zostawiając w nagrodę tego co wziął, kilka nożów i zwierciadełek... W piątek, 10 czerwca, spostrzegłszy, że nadbrzeża zniżały się ku wschodowi, a wiatr był pomyślny, kazałem ponad niemi żeglować, ile że kry już nam dokuczać przestały.«

W taki to sposób Beniowski opuścił ląd stały Ameryki. Nie opuścił jeszcze wszakże jej wysp i półwyspów.

II.

Wyspy Aleuckie, ciągnące się długim łańcuchem od wschodu ku zachodowi, z wydłużonem w tymże kierunku półwyspem Alaską, zamykają wyjście z morza Berynga na Ocean. Burzliwe cieśniny, których jest kilkanaście znaczniejszych, lub płytkie kanały, oddzielające pomniejsze wyspy jedną od drugiej, przedstawiają, dziś nawet przy stosunkowo dokładnej znajomości wód i brzegów, znaczne dla podróżników niebezpieczeństwo. Żegluga Beniowskiego przypada na czasy ich odkrywania, opisywania i badania. Traf, a nie znajomość miejscowości kierowały żeglarzem.

Szóstego dnia, po opuszczeniu zatoki amerykańskiej, Beniowski wypłynął na Ocean. Wnosić to możemy z tych słów dziennika: »We środę, 15 czerwca, raptem powstał wiatr potężny... O szóstej godzinie znajdowaliśmy się między przylądkiem a wyspą, którą cieśninę przed nocą minęliśmy.« Płynąc wzdłuż półwyspu Alaski ku wschodowi, w niedzielę, 19 czerwca, znalazł się u brzegów wyspy, o której się następnie dowiedział, że się nazywa Wielki Kadyk. Szerokość, według raportu, 54° 0′, długość 32° 30′.

Ów Wielki Kadyk utożsamić możemy, na podstawie danych o szerokości geograficznej, z wyspą Kadyakiem, leżącą u południowych brzegów Alaski i przedstawiającą

ostatnie ogniwo, wschodnie, wysp Aleuckich. W taki sposób Beniowski poprzedził D. Bragina na tej wyspie o lat pięć. W historyi zaś odkrycia wysp Aleuckich, ów Brangin jest podany jako pierwszy Europejczyk, który dotarł z zachodu do tej wyspy i ją opisał.

Pewna okoliczność, której zawdzięczał Beniowski pomyślną żeglugę wzdłuż Aleutów w kierunku zachodnim, rzuca wiele światła na ówczesny stan rzeczy na tych wyspach. Na parę lat przed przybyciem na te wyspy Beniowskiego, pewien Niemiec, rodem z Saksonii, nazwiskiem Leichtenfeld, który w wojsku lądowem dosłużył się był rangi kapitana, znalazłszy się na krańcach wschodnich Azyi, zaciągnął się na służbę na okręt, wyprawiony na Aleuty dla połowu bobrów. »Odprawił on na nim — czytamy w Pamiętnikach — dwie podróże, a za trzecią, ująwszy sobie blisko pięćdziesiąt ludzi ekwipażu, opanował okręt na wyspach Aleuckich. Poczem wpadły mu w ręce dwa inne statki, których ekwipaże także do niego przyłączyły się. Tym sposobem, widząc się na czele stu trzydziestu czterech ludzi ochoczych i na wszystko determinowanych, swoje założył siedlisko na wyspach Aleuckich, gdzie z wyśpiarzami przez ślubne związki ściśle się połączył. Tak zaufany w przywiązaniu mieszkańców tych wysp, przedsięwziął założyć osadę, a że mu brakło na broni i potrzebnych narzędziach, osobliwie żelastwie, przeto postanowił był napaść na jakie miasto i zdobyć w niem wszystko, co tylko potrzebnem do jego byłoby zamiarów...« W tym czasie przezwał się on był Ochotynem. Beniowski poznał się był z nim na wyspie Berynga i, nakłaniany do przyłączenia się do jego przedsiębierstwa, zaledwo zdołał wymówić się bez obrażenia go, przedstawiając konieczność uzyskania poprzednio dla osady opieki któregokolwiekbądź z państw. Ochotyn opatrzył był Beniowskiego listem do Tajona (naczelnika) jednej z wysp, a swego teścia. Powołanie się na Ochotyna na Kadyaku, a zwłaszcza pokazanie tego listu, uzyskało mu dobre przyjęcie i koniecznego, zważywszy niebezpieczeństwa przeprawy, przewodnika w osobie Grzegorza Salaziowa.

We środę, dnia 22 czerwca, stanął Beniowski w zatoce tej wyspy, do której, stosownie do wskazówek Ochotyna,

podążał. Według raportu, szerokość była 52° 25′, długość 28° 15′. Wyspę nazywa Urumusir.

Długość łańcucha wysp Aleuckich i ich układ pozwala dzielić je na odrębne grupy. Tych grup jest cztery. Noszą one nazwy wysp Lisich, Andrejanowskich, Szczurzych i Bliźnich (Bliższych, od Kamczatki). Wyspa Berynga stanowi zachodnie tego łańcucha ostatnie ogniwo, odpowiednie Kadyakowi wschodniemu. Podana przez Beniowskiego szerokość północna wyspy (52° 25′), do której zawinął, każe jej szukać pomiędzy Andrejanowskiemi lub Szczurzemi. Czas, użyty na podróż, naprowadza na wniosek, że powinna ona gdzieś więcej ku wschodowi leżeć [1]). Nadana nazwa Urumusir bardziej jest właściwa wyspom Kurylskim, gdzie spotykamy Usir, Paramusir, Simusir, Kunasir, niż Aleuckim. W każdym jednakże razie, trudność odszukania tej wyspy na atlasach obecnie do powątpiewania w rzeczywistość samego faktu, to jest, w pobyt Beniowskiego na jednej z wysp Aleuckich, jeszcze nie doprowadza. Oto w jakich słowach opisuje Beniowski ów pobyt:

»We czwartek, 22 czerwca. Na lądzie w porcie Urumusir. O 1-ej popoł. dano mi znać, że Tajon eskortowany od kilku partyi Ochotyna, przybywa na czele znacznej liczby swoich poddanych. Wybiegłem zatem naprzeciw niemu. Najpierw, Tajon prezentował mi swą żonę, potem swe dzieci, żonę p. Ochotyna i znaczniejszych wyśpiarzy. Po pierwszych pokłonach i pozdrowieniach, wszyscy goście zrobili koło, pośród którego siadł Tajon... Oddałem list... Czytał go Tajon, a pocichu tłómaczył ojciec Tajona. Płakała z radości żona Ochotyna. Patrząc ja na tę jej czułość, przekonany zostałem, że pomiędzy owemi narodami, które my dzikiemi zowiem, znajdują się dusze, które możnaby stawić na wzory przyjaźni i przywiązania. Po przeczytaniu listu, jeden z otoczenia Tajona, przystąpiwszy do mnie, oświadczył, że zastępując pod niebytność Ochotyna miejsce komendanta na wyspie, czeka wraz ze swoimi kolegami, których jest 40, na moje zlecenia... Ze swej strony, Tajon

---

[1]) W wyjątkowo dokładnej monografii wysp Aleuckich wschodnich Weniaminowa wyspy pod nazwą Urumusir nie znalazłem, jak również na atlasach które mogłem mieć pod ręką.

proponował mi, żebyśmy nawzajem przysięgę wiecznej przyjaźni wykonali.«

Przysięga została wykonaną, przyjaźń zaprzysiężoną, obie strony wzajemnie się upominkami obdarzyły; okręt był naprawiony i w żywność i wodę podostatkiem zaopatrzony. Czytamy dalej: »W piątek, dnia 24 czerwca. Udałem się w towarzystwie pana Kuzniecowa ku wschodniej części wyspy. Ze wszech stron widzieć mi się dały prześliczne równiny, które pewnie byłyby bardzo sposobne do uprawy roli. Lecz, że rolnictwo zgoła nieznajome tamtejszym wyśpiarzom, ani śladu więc onego nigdzie nie znalazłem. Pokarmem ich jedynym są warzywa, ryby, mięso bobrowe i krów morskich. Drzewo na tej wyspie jest bardzo dobrego gatunku, zdatne do budowli okrętów. Mieszkania wyśpiarzów, ze wszystkiem są podobne do bałaganów kamczackich. Skończywszy tę podróż — dodaje autor — pewny, że więcej nic już ciekawego nie ujrzę w owych stronach, zatrudniłem się pilnie przygotowaniami do naszego odjazdu.«

W niedzielę, 26 czerwca, o 3 godzinie popołudniu, Św. Piotr i Paweł podniósłszy kotwice, wybił się na środek kanału. O 11-ej, podniósłszy znowu kotwice, wyruszył pod żagle. W poniedziałek znalazł się na otwartym oceanie pod 51° 30′ szerokości. Wiatr dął północno-wschodni. Ster skierowano ku południo-zachodowi.

Droga do Makao, na wyspy Japońskie i Formozę, pola do odkryć geograficznych Beniowskiemu już nie przedstawiała...

Mundus vult decipi...

W *Revue politique et litteraire*, piśmie jednem z poczytniejszych w prasie francuskiej a poświęconem ważniejszym zjawiskom społecznym i na polu piśmiennictwa, w numerze 15, z dnia 8 października roku 1892, wyczytałem:

»Przystąpiono do podziału popiołów sławnej pani Bławatskiej na trzy części: jedna pozostanie na ziemi angielskiej; druga będzie przewiezioną do Ameryki; trzecia zaś spocznie w Indyach, gdzie pułkownik Olcott, powiernik prorokini, jest już zajęty wzniesieniem pomnika godnego pozostałej o niej pamięci«.

Przypadek zdarzył, że, w poszukiwaniu materyałów etnograficznych, wpadłem na prace wzmiankowanej prorokini: *Z jaskiń i puszcz Indostanu* i *Plemiona zagadkowe; trzy miesiące w Górach Błękitnych Madrasu.* Polegając na tytule, spodziewałem się w nich znaleźć sporo pożądanych wiadomości.

Pomijając obecnie pytanie, czy znalazłem, com poszukiwał, uderzony przedewszystkiem przy czytaniu zostałem charakterem podawanych wiadomości, ich zabarwieniem, nie spotkanem dotychczas w lekturze mojej, a zwłaszcza sposobem objaśnienia tego, co miało w opowiadaniu figurować jako fakty i co za fakty było podawane.

Jakoż wielce dla mnie był ciekawy i poniekąd objaśniający wszystko to, co mię przy czytaniu wspomnianych prac Heleny Bławatskiej uderzało, szereg artykułów W. Soło-

wiewa, pod tytułem: *Współczesna kapłanka Izydy, znajomość moja z H. P. Bławatską i z Towarzystwem Teozoficznem. Epizod fin du siècle (Rus. Wiest.* 1892).

Stanowisko autora w piśmiennictwie ruskiem daje zupełną rękojmię prawdziwości opisywanych faktów. Opisywał zaś autor to tylko, na co sam patrzał, czego sam bezpośrednio w stosunkach z H. Bławatską i jej kółkiem doświadczał. Podnosi nadto pracę tę pomieszczenie w niej listów Bławatskiej, oraz przekład dosłowny części znacznej *Sprawozdania komisyi utworzonej dla zbadania fenomenów Towarzystwa Teozoficznego* a ogłoszonego przez angielskie Towarzystwo dla badań psychicznych.

Następujących kilka kart z życia H. Bławatskiej jest przeto opartych: 1) na zeznaniach naocznego a wiarogodnego świadka, W. Sołowiewa; 2) na listach Bławatskiej i jej pracy *Plemiona zagadkowe;* 3) na faktach odkrytych i wyjaśnionych przez specyalnie dla zbadania fenomenów utworzoną komisyę.

I.

W 1883 roku Bławatska przebywała w Indyach. Mieszkała w Madrasie. Oto jakiemi słowy [1]) opisuje lato na krańcu południowym półwyspu zachodniego: »wieje tu wiatr zachodni, począwszy od 7-mej zrana, więc prawie od wschodu słońca, do 5-tej po południu i to przez całe trzy miesiące letnie. Termometr wskazuje 128° *(sic)* w cieniu. Wszystkie drzwi i okna w kierunku tego wiatru równego, ciągłego, jak aksamit miękiego, są zawieszone matami, z trawy pachnącej, zwanej *kuzi.* Wszystkie szczeliny zapakowane, wszystkie otwory założone watą... Lecz wszystko to nic mu nie przeszkadza przenikać przez takie nawet przedmioty, przez które wodaby nie przeszła. Przewiewa nawet ściany. I takie zjawiska następują w pomieszkaniu; wszystkie książki, gazety, rękopisy, słowem wszelki papier drży i porusza się, niby istota żyjąca. Karta po karcie podnosi się, jakoby podejmowana niewidzialną ręką i powoli zwija się w cie-

[1]) We wzmiankowanej pracy *Plemiona zagadkowe, trzy miesiące w Górach Błękitnych Madrasu.*

niutką trąbkę... Na meblach i wszystkiem wciąż osiada kurzawa, która, nie będąc co godzina ścierana, dochodzi do calowej grubości... Wówczas jedyną ulgę człowiekowi dostarczyć może tak zwana *panka*, to jest otwarcie szeroko ust w kierunku wschodnim i pozostawanie w pozycyi bądź siedzącej, bądź leżącej, bez wszelkiego ruchu, przy poruszaniu zawieszonego u sufitu olbrzymiego wachlarza...«

Europejczycy jeszcze w marcu uciekają z Madrasu. Schronienia na lato dostarczają im Góry Błękitne (Nilghiri), dokąd 17 lipca wyruszyła i Bławatska, korzystając z zaproszenia rodziny generała Morgana, stale w górach tych przebywającej. Wyjechawszy o 6-tej wieczorem, nazajutrz przed południem stanęła w Mettapolliam, ostatniej już stacyi drogi żelaznej, u samego podnóża gór Błękitnych, a znowu o 6-tej wieczorem znalazła się już u celu podróży.

Nilghiri dla mieszkańców południa Indyi stanowią istotne sanatoryum.

Anglicy, panowie oddawna tego kraju, dopiero w bieżącem stuleciu odkryli je i poznali. Pierwsza wyprawa naukowo-administracyjna została dokonana pod przewodnictwem D. Sullivana w 1819 r. Wkrótce w środku samych gór, u zachodniego podnóża najwyższego w nich szczytu, Dodabetty, powstało miasto Uttakamund, w skróceniu Utti nazywane, obecnie do 20,000 mieszkańców już liczące.

Rodzina generała Morgana, u której w czasie trzechmiesięcznego pobytu swego w Nilghiri gościła Bławatska, przebywała w Utti. Nie należała jednakże do przygodnych tylko mieszkańców Nilghiri. Generałowa Morgan, nie bacząc na wysokie stanowisko urzędowe męża, zajęła się, zostawszy właścicielką znacznych obszarów gruntu, plantacyami herbaty i kawy, oraz hodowlą na znaczną skalę bydła. Bławatska, goszcząc u Morganów, korzystała z ich stosunków z otoczeniem, od nich i przez nich dowiadywała się o mieszkańcach tych gór: Kurumbach, Todach, Badagach, a i sama miała nieraz możność osobiście zetknąć się z nimi.

I właśnie opisywanemi przez Bławatską »Zagadkowemi plemionami w górach Błękitnych« są mianowicie owi Kurumbowie, Tody i Badagowie.

Dlaczego atoli plemiona te stały się zagadkowemi głównie w jej opowiadaniu?

Nie potrzeba na to Indyi, by o ludności danego kraju nie jednolitej a różnorodnej, złożonej z kilku ludów, różniących się wszystkiem, co tylko różnić między sobą ludy może, powstawać mogły rozmaite legendy, tyczące się pochodzenia, rozmaite opowiadania o zaciekawiających bardziej stronach życia tych ludów i o ich wzajemnych do siebie stosunkach. Nie potrzeba na to Indyi, by wyobraźnia, zawsze uczynna i gotowa w człowieku do funkcyonowania, zastępując mozoł dociekań, wytworzyła cały systemat kosmiczny, objaśniający w danym wypadku wszelkie zjawiska, rozwiązujący wszelkie zagadnienia.

Taki atoli systemat, skoro on powstanie w Indyach, kolebce fantazyi, i skoro ma za przedmiot same Indye, bądź to ich ziemie, bądź ich ludność, przybiera wspanialsze niż mógłby je przybrać gdzieindziej rozmiary. Grunt rzeczywistości znika wtedy z przed oczu. Między niemożebnym wytworem fantazyi a możebnością, wytworzoną prawami przyrody i biegiem życia, zaciera się podówczas wszelka granica. Nie spotyka się wtedy nic takiego, coby się stać i dziać nie mogło. Urojenie, bardziej niż rzeczywistość, zaczyna męczyć, dławić, przygnębiać.

A cóż dopiero jeśli do legend i to indyjskich, do systematu powstałego w Indyach, dołączy się teorya, mająca służyć pewnym interesom, z wiedzą i nauką przeto nic wspólnego nie posiadająca; jeśli w tych legendach właśnie i w tym systemacie te interesa mianowicie szukać opory lub usprawiedliwienia zaczną?

Oto znajdujemy się w takim wypadku.

II.

Bławatska w pracy swej *Zagadkowe plemiona w Górach Błękitnych*, przedstawia zbiór legend i opowiadań, powstałych w Indyach o ludach indyjskich i ogłasza systemat indyjski kosmiczno-etnologiczny, szukając i znajdując w nim poparcie swych teoryi.

Opowiadanie następne, które podaję, choć w streszczeniu, ale utkane ze słów własnych autorki, wskaże kierunek jej i poniekąd cele.

Pan K., jeden z wyższych urzędników i wybitniejszych przedstawicieli angielskiego społeczeństwa w Madrasie, bliskiemi stosunkami przyjaźni z rodziną Morganów złączony (co właśnie przeszkodziło autorce podać jego nazwisko w całości), »udał się na polowanie z kilku przyjaciółmi, kilku Badagami i liczną służbą własną. Upolowali słonia. Wówczas dopiero spostrzegli, że zapomnieli wziąć z sobą noża, do wyrzynania kłów specyalnie służącego. Pozostawili więc dla ochrony od dzikich zwierząt czterech Badagów przy słoniu, a sami udali się do sąsiednej plantacyi na śniadanie. Pan K., po upływie dwóch godzin, miał powrócić po kły z nożem... Kiedy powrócił, siedziało na słoniu do dziesięciu Kurumbów, którzy gorliwie pracowali nad odjęciem kłów... obojętnie oświadczywszy przybyłemu, że ten słoń jest ich, ponieważ na ich ziemi spoczywał. Jakoż w istocie, schroniska ich o kilkanaście kroków tylko od tego miejsca były odległe... Na ostrzeżenie, by odeszli, gdyż inaczej nahajkami będą rozpędzeni, odpowiedzieli śmiechem zuchwałym, nawet na bara-saaba (możnego pana) nie spojrzawszy... Pan K. zwrócił się wtedy do służby, by ich rozpędziła. Było z nim do dwudziestu strzelców doskonale uzbrojonych; on sam był rosły, tęgi mężczyzna, lat 35, odznaczający się wielką siłą, wybornem zdrowiem i gwałtownością. Kurumbów było do dziesięciu, prawie nagich i bez wszelkiego oręża... Badagowie, zostawieni przy słoniu, wnet po zjawieniu się ich uciekli. Ale zdawało się, że dość trzech myśliwych, by im poradzić. Jednakże nikt na rozkaz K. nie ruszał się z miejsca. Wszyscy, pozielenieli z przestrachu, stali, pospuszczawszy głowy... Na powtórzony rozkaz, jeden ze strzelców odrzekł: »Nie można, saab, nie można... To śmierć pewna, oni na swej ziemi...« Wtedy jeden z Kurumbów, ich wódz, podniósł się na głowie słonia, wyprostował, zaczął po niej skakać, pochylając się na wszystkie strony, pokazując w śmiechu zęby i niemi, jako szakal, szczękając... następnie, obrzuciwszy wpadłemi jak u żmii, błyszczącemi oczyma obecnych, zakrzyczał: «Kto pierwszy dotknie naszego słonia, wspomni o nas w dzień swojej śmierci. Nie doczekać mu nowiu...« Było to w czasie pełni. Rozgniewany K. sam, gdyż słudzy stali nieruchomi... rzucił się na Kurumba, schwycił go za włosy i daleko od-

rzucił na zlemię. Pozostałych, czepiających się niby wampiry uszu i kłów słonia, uderzając nahajką, rozpędził w minutę. Ci, odchodząc, zatrzymali się o dziesięć kroków od K., i gdy ten odrzynał kły, oczów z niego, jak twierdzą słudzy, nie spuszczali. Skończywszy zadanie i oddawszy kły do niesienia swojej służbie, K. odchodził już od słonia, gdy spotkał na siebie stale zwrócony wzrok wodza Kurumbów. »Oczy tej gadziny, opowiadał, zrobiły na mnie wrażenie wzroku wstrętnej żaby. Poczułem literalnie nudności... Nie mogąc powstrzymać się, uderzyłem go parę razy nahajką. Karzeł dotychczas leżał na trawie, gdziem go był rzucił; zerwał się bystro na nogi, lecz nie uciekł, tylko odszedłszy nieco, patrzał wciąż na mnie...« Dnia następnego, pod pozorem wielkiego znużenia wczorajszego, K, wstający, jak wszyscy w Indyach, bardzo wcześnie, przespał nawet południe. Wieczorem, poczuł wielki ból w prawej ręce. »Ot stary reumatyzm« — tłómaczył sobie. Na drugi dzień był tak osłabiony, że zaledwo mógł chodzić, a na trzeci – położył się całkowicie... Zdrów jak wół, rumiany, atletyczny K. dnia czwartego, pozbawiony snu i apetytu, wyglądał jak szkielet. Piątej nocy, którą przepędzał jak każdą od czasu polowania — z otwartemi oczami, krzyknął raptownie: »Odpędźcie tę brudną gadzinę... Kto śmiał wpuścić do mnie to zwierzę!...« Lekarz zaopiniował, że chory wpadł w malignę. K. jęczał i krzyczał do samego ranka, twierdząc, że widzi przed swem łóżkiem zbitego przez siebie Kurumbę... Dnia dziewiątego stracił mowę. Trzynastego — umarł.«

Kilka tej treści szczegółowych opowiadań, w których już Badagowie (do trzydziestu) stawali się ofiarą gniewu i wzroku rozgniewanych Kurumbów, ma udowodnić sam fakt możności narzucenia przez Kurumbę choroby, z jednakiemi symptomatami, kończącej się zwykle dnia trzeciego lub trzynastego śmiercią obrażającego, zjawiania się zawsze przed umierającym tego samego Kurumby, który narzucił chorobę.

Inne opowiadanie przedstawia Kurumbów jako złodziei wprawnych, dokonywających kradzieży za pośrednictwem osób, bezwiednie dla nich działających. A bardzo liczne stwierdzają ich szkodliwość, nieconą przez nich

w każdym trwogę, bojaźń przed nimi przez wszystkich odczuwaną, z czego wypływa zupełna dla nich w sądach angielskich bezkarność. Kurumba, jak wroga siła przyrody, jest niezwyciężony. Rezygnacyę wobec niego nakazuje rozum; do niej prowadzi sam instynkt. Panuje Kurumba jak zło, będące środkami ludzkiemi niepokonane. Ucieczkę przed nimi, ratunku przeciw nim, nie w ludzkiej szukać należy pomocy!

Jak Toda przedstawia przeciwieństwo z Kurumbą w postaci i sposobie życia, tak też staje on jako przeciwieństwo jego zarówno pod względem umysłowym i moralnym.

»Było już około piątej wieczorem — tak opisuje Bławatska swą wycieczkę do osady Todów, w towarzystwie rodziny Morganów — i słońce zbliżało się ku zachodowi, kiedyśmy wyjechali z lasu i, wyszedłszy z powozu, weszli na wielką polanę... Todowie porali się ze swemi bawołami i nie zwracali na nas uwagi wcale, chociaż podeszliśmy do nich dość blisko. Lecz bawoły zaryczały. Jeden z nich, przewodnik stada, ze srebrnemi dzwoneczkami na zagiętych rogach ogromnych, odłączywszy się od tegoż, podszedł do samej drogi. Zwróciwszy ku nam wysoko podjętą głowę, zatrzymał na nas błyszczące ogiem oczy, i głośno, niby pytając, kto jesteśmy, zaryczał; wnet wysoki i kształtny młodzian, jako Hermes wśród wołów Jowisza, stanął między nim a nami. Złożywszy ręce i skłoniwszy się przed nim, zaczął mu do ucha szeptać nikomu nieznane słowa. Wtedy zaszedł niezwykły wypadek... Bawół, wnet po pierwszym wyrazie, zwrócił ku niemu głowę, słuchał go i jakoby rozumiał... Popatrzywszy na nas, niby chcąc nas obejrzeć szczegółowo, kiwać począł głową, wydając krótkie, wyraziste jak mowa, ryki w odpowiedzi na pełną uszanowania przemowę tego młodego; nakoniec, rzuciwszy na nas już zupełnie obojętne spojrzenie, odwrócił się i odszedł powoli do swojego stada...« A bawoły są złe i popędliwe stworzenia, zwłaszcza należące do Todów.

Lecz nietylko bawoły rozumieją i ulegają Todom. Boją się ich dzikie zwierzęta. »Najstarsi z mieszkańców Utti — utrzymuje Bławatska — nie wspominają o żadnym wypadku nietylko pożarcia przez tygrysa Tody, ale nawet zranienia;

a również zranienia Tody i przez słonia wściekłego. Zaduszenie przez dzikie zwierzęta bawolęcia — o bawole nawet mowy być nie może — ze stada Todów nadzwyczajną jest rzadkością. Porwanie przez tygrysa kobiety ich lub dziecka — rzecz niesłychana! A dzieje się to w 1883 roku, w Nilghiri, gdzie, pomimo dość gęstego zaludnienia, nie mija nigdy tydzień bez nieszczęśliwego wypadku z ludźmi, w kraju, gdzie trzecia część tabunów i stada odlicza się już z góry na pastwę dzikim zwierzętom... Jeden tylko Toda może przesiadywać dnie całe na brzegu lasu i spokojnie tam drzemać, obojętny a pewny swego bezpieczeństwa.«

Obawiają się Tody i Kurumbowie, w okrucieństwie nie ustępujący dzikim zwierzętom. Oto, co Bławatska w tym względzie podaje: »Spotykając Todę, Kurumba pada na ziemię, jakby w ataku epilepsyi. Wije się jak robak, drży całem ciałem, okazując bardziej moralną obawę, niż fizyczny przestrach. Kurumba rzuca wszelkie swe zajęcie nietylko gdy Toda dotknie się doń, ale nawet gdy skinie swym kijem, rzuca je nagle i ucieka bez oglądania się...«

Wpływ, wywierany przez Todę na Kurumbę, jedyny stanowi ratunek w narzuconej przez tego ostatniego chorobie. Toda jeden tylko może, skoro zechce, wybawić chorego od niechybnej śmierci. Lecz, by zechciał, potrzeba na to dwóch warunków. Pierwszy, żeby, pomiędzy rażeniem przez Kurumba i wezwaniem Tody, nie upłynęło więcej trzech godzin. Drugi warunek stanowi stan moralny pacyenta.

Świadectwo moralności dla chorego w tym wypadku, oraz i we wszystkich, kiedy do Tody udają się po ratunek, a mianowicie, czy chory nie pije, to jest, czy nie używa gorących napojów i, jak się wyraża Bławatska, czy nie jest rozpustnikiem, wydają bawoły. Pacyenta kładą przed przewodnikiem stada. Jeśli on spokojnie go obwącha, to oznacza, że Toda może go wyleczyć. Jeśli zaś zacznie się rzucać na jego widok, to czemprędzej usuwają go z przed oczu bawołu, a Toda odmawia swej pomocy.

Władza i potęga Todów sięga, według Bławatskiej, jeszcze dalej. Wiemy, że podróżnicy oskarżają Todów o dzieciobójstwo, dzieciobójstwu przypisując utrzymywanie stałego stosunku liczebnego między płciami, dla uniknięcia

ciągle grożącego przeludnienia. Bławatska broni ich od tego zarzutu, utrzymując, że posiadają oni tajemnicę regulowania według płci urodzeń, to jest, że płeć mającego się urodzić dziecięcia zależy u nich od woli rodziców.

Czczą również Todów, jak twierdzi Bławatska, i Badagowie a cześć swą okazują przez składanie im daniny. Co ma oznaczać, że Badagowie uznają w Todach prawych i rzeczywistych właścicieli Nilghiri.

Do wysłuchania ostatecznego sądu Bławatskiej o Todach i Kurumbach, a zarazem do przyjęcia rezultatów jej badań i dociekań, przygotowują słowa, które wkłada ona w usta swego gospodarza. »Ja i moja żona, często mi powtarzał czcigodny generał angielski, postarzeliśmy się na tych górach. My oboje, jak również i dzieci nasze, mówimy dobrze językiem Badagów i rozumiemy mowę innych plemion miejscowych. Badagowie i Kurumby [1]) pracują na naszych plantacyach setkami. Oni przywykli do nas i nas lubią. Patrzą na nas jak na swoich ziomków, jak na najwierniejszych przyjaciół swoich i obrońców. Przeto, jeśli są wogóle tacy, którzyby o sobie powiedzieć mogli, że poznali ich samych, że znają życie ich domowe, zwyczaje, obrzędy i wierzenia, to bez wątpienia my, żona moja, ja i starszy syn, który, mając tu posadę, w ciągłych z nimi pozostaje stosunkach. Oto, opierając się na niejednokrotnie w sądzie ujawnionych faktach, powtarzam śmiało: Todowie i Kurumby rzeczywiście posiadają jakąś siłę, są obdarzeni mocą, o której nasi mędrcy nie mają pojęcia... Jeślibym był zabobonnym, to rozwiązałbym tę zagadkę w bardzo prosty sposób. Powiedziałbym naprzykład, co mówią o nich nasi misyonarze: Kurumby, to płód piekielny, pochodzą wprost od dyabła. Todowie zaś, chociaż są poganami, stanowią na nich antydotum. Oni widocznie są narzędziem Boga, dla podkopania władzy Kurumbów i osłabienia szkód, przez nich wyrządzanych. Lecz, nie wierząc w dyabła, doszedłem oddawna do innego przekonania: nie należy przeczyć istnieniu w przyrodzie i w człowieku tych sił, których my nie pojmujemy...«

---

[1]) Mowa tu o Kurumbach, którzy osiedli pod osadami Badagów i Anglików i, jak robotnicy, pracują na plantacyach.

Myśl tę czcigodnego generała angielskiego, autorka tak dalej rozwija: »Ludzie, obeznani z magią egipską, staro-chaldejską a nawet średniowieczną, muszą nieodzownie przyznać, że Todowie posiadają, jeśli nie całkowitą, to przynajmniej cząstkę tak zwanej tajemnej nauki, czyli okultyzmu. Tylko ten systemat, który od najdawniejszych czasów dzielą na *białą* i *czarną magię*, może dać logiczne wyjaśnienie poczucia prawdy i moralności w tem półdzikiem plemieniu...[1]). Todowie są wyznawcami wyrodnymi, a może nawet wpół nieświadomymi starożytnej nauki *białej* magii, a Kurumbowie — to wstrętni wyznawcy *czarnej* magii, czyli czarodziejstwa [2]).«

Poznanie Kurumbów wykazało nadto, według Bławatskiej, istnienie w nich władzy odłączania od siebie cząstek własnej swej istoty i przenoszenia tych cząstek, nie podlegając warunkom czasu i przestrzeni, według swej woli. Zjawianie się Kurumbów przy umierających ofiarach ich gniewu, jest właśnie, według niej, dowodem tej władzy. Kurumba bowiem staje wtedy przed nimi w *astralnem* swem ciele, to jest w cząstkach, odłączonych od swego rzeczywistego, pozostającego na miejscu ciała.

III.

Dociekanie nieznanych sił przyrody w ludach pierwotnych nie odrywało tak zupełnie Bławatskiej od myśli o chlebie powszednim, od zapobiegliwości na jutro. Dowodzi tego list następujący, wysłany z domu generała Morgana do państwa Coulomb, na których opiece zostawiła swój dom w Madrasie.

Piątek.

»Droga pani Coulomb i markizie!

Oto chwila stosowna do działania — więc nie kryjmy się w kącie. Generał jedzie w swych interesach do Madrasu.

---

[1]) W licznych opowiadaniach jej o Todach, wzmiankach i cytatach— żadnego nie znalazłem faktu, świadczącego o przypisywanych im tu przez autorkę właściwościach.

[2]) O Badagach w *Zagadkowych plemionach* nie znajdujemy wiele. Grają oni wogóle w tem opowiadaniu rolę powiernika z tragedyi, opowiadającego ważniejsze sprawy bohaterów, lub chórów, wyrażających podziw lub grozę.

Stanie tam w poniedziałek i zabawi dwa dni. Jest on prezydentem tutejszego Towarzystwa i chce zobaczyć szafę. Bardzo rzecz możliwa, że zada jakiekolwiekbądź pytanie, a może tylko popatrzy. Niema wszakże wątpliwości, że oczekuje on fenomenu, co nawet mi powiedział. W takim razie błagajcie K. H., którego codzień widzicie, albo Christofolo [1]), by podtrzymali honor rodziny. Powiedzcie, że dość będzie kwiatka i że, jeśli *pot de chambre* pęknie pod ciężarem ciekawości, to wypadałoby zamienić go *w tej chwili.* Niech będą przeklęci inni. Jego zaś ja cenię na wagę złota. Na Boga, lub kogo chcecie, *tej okazyi nie zaniedbujcie;* nie powtórzy się raz drugi! Mnie tam niema, to właśnie doskonale. Polegam na was i was błagam, nie rozczarowujcie mię, ponieważ wszystkie moje projekty i przyszłość z wami wszystkimi jest związana (będę miała dom, by przepędzać tutaj sześć miesięcy na rok, ten dom będzie należał do mnie i do Towarzystwa, wy przeto nie będziecie dłużej tak się męczyć od gorąca, jak teraz, jeśli się powiedzie).

Oto jest chwila stosowna, by zrobić cokolwiekbądź. Zakręćcie głowę generałowi, wszystko on dla nas zrobi... Posyłam wam jedno *en cas* i bądźcie zdrowi...«

Wzmiankowany *en cas* składał się z takiego oto bileciku:

»Generałowi Morgan.

Teraz nic nie mogę powiedzieć, dam wam znać w Utti. K. H. (Koot Hoomi)«.

A oto inny jeszcze:

»Drogi panie Coulomb!

Sądzę, że to, jest właściwie to, co dla was jest koniecznem [2]). Postarajcie się wszakże, jeśli dbacie o powodzenie, zgromadzić innych jeszcze widzów, oprócz wyłącznie *tylko* naszych *domowych głupców.* Rzecz warta starań! Adyarska miseczka stać się może historyczną... Nie mam możności pisania, nie oglądając się. Ukłony i podziękowania. H. P. B«.

O skutkach tych listów i wywiązaniu się powierników — zaświadczy następujące opowiadanie generała Morgana [3]):

---

[1]) Kogo oznacza Bławatska temi literami i co rozumie pod »Christofolo«, wyjaśni się z dalszego ciągu.

[2]) Następujące opowiadanie gen. Morgana wykaże, co właściwie stanowiło owe »to, dla was konieczne«

[3]) Pomieszczone ono było w *The Theosophist* za grudzień 1883 r.

»W miesiącu sierpniu, przybywszy do Madrasu w czasie nieobecności pani Bławatskiej i pułkownika Olcotta, odwiedziłem główną siedzibę Towarzystwa Teozoficznego, w celu ujrzenia wzbudzającego podziw wizerunku mahatmy Koot-Hoomi, przechowywanego tam w szafie i codziennie oglądanego przez jego uczniów (chela). Przybywszy do domu, dowiedziałam się, że pani Coulomb, ta właśnie, u której się przechowuje klucz od szafy, jest nieobecną. Pozostałem, by doczekać się jej powrotu. Pani C. powróciła mniej więcej w godzinę i weszliśmy na wschody, by zbliżyć się do szafy i obejrzeć wizerunek. Pani Coulomb szybko podeszła, ażeby otworzyć podwójne drzwiczki szafki kredensowej, i gwałtownie je otworzyła. Otwierając, nie zauważyła, że jakaś miseczka była oparta o drzwiczki; przeto, gdy szafka została otworzoną, ta upadła i rozbiła się na drobne kawałki. Podczas gdy pani Coulomb załamywała ręcę, utyskując na przygodę ze sprzętem ulubionym przez panią Bławatską, a mąż jej, klęcząc, zbierał czerepki, odezwałem się, że trzeba dostać masy do sklejania fajansu służącej i postarać się o sklejenie czerepków. Wskutek mych słów pan Coulomb został posłany po ową masę. Czerepki zaś, skrupulatnie zebrane, obwinięte w papier i zawiązane, złożono do szafy, drzwi zaś zamknięto. Pan Damodar K. Mavalancar, sekretarz Towarzystwa, siedział na krześle naprzeciw szafy, w oddaleniu prawie dziesięciu stóp. Po upływie krótkiego czasu przyszła mi do głowy myśl, którą wnet wypowiedziałem. Rzekłem, że jeśli *bracia* uznają wypadek za ważny, to nie będzie dla nich trudnem naprawić przedmiot rozbity; jeśli zaś nie, to pozwolą winowajcom zagładzić winę jak potrafią. Nie przeszło pięciu minut po wypowiedzeniu tych słów, gdy p. Damadar, który dotychczas był pogrążony w głębokiej zadumie, odezwał się nagle: »Zdaje mi się, że tam znajdzie się odpowiedź«. Jakoż skoro otworzono drzwi, na półce ukazała się kartka maleńka. Rozłożywszy ją, wyczytaliśmy: »Nielicznemu zebraniu obecnych. Pani Coulomb ma obecnie możność przekonania się osobiście, że dyabeł nie jest tak czarny, jak go malują. Zło łatwo naprawić. K. H«. Następnie, rozwiązawszy papier, w który były związane czerepki, ujrzeliśmy zupełnie całą miseczkę. Nie można było wyszukać najmniejszego śladu sklejenia. Natychmiast napisałem

na tej samej kartce, żem był obecny, kiedy ten przedmiot został rozbity i wnet do całości pierwotnej doprowadzony, postawiłem datę i podpisałem się. Pod tym więc względem nie może wyniknąć żadne nieporozumienie. Tu należy nadmienić, że pani Coulomb sądzi, iż wiele cudów odbywających się w głównej siedzibie Towarzystwa jest sprawą dyabelską. Właśnie do tego zmierza żartobliwa uwaga śpieszącego jej z pomocą mahatmy«.

Więc *en cas* przesłane przy pierwszym liście Bławatskiej Coulombom okazało się zbytecznem. Fenomen udał się i, jak wnioskować możemy z przytoczonego opowiadania generała Morgana, wywarł pożądane wrażenie. Bławatska trafiła do celu.

Niezawsze atoli powiernicy Bławatskiej tak pomyślnie urządzali fenomeny. Dowodzą tego dwa listy następne, również z Nilghiri pisane do nich.

»Droga przyjaciółko, mówią mi (Damodar), że Dewan Bahadoor Ragoonath Rao, prezydent Towarzystwa, chce coś położyć w Świątyni. Na wypadek, jeśli on to zrobi — oto odpowiedź Christofolo. Na Boga, urządźcie to, umocnimy się. Całuję was i bądźcie zdrowi. Moje pozdrowienie markizowi. Szczerze wasza. Luna Melancolica«.

Ragoonath Rao włożył do szafy list pisany po sanskrycku. Pan Coulomb, przewidując, że odpowiedź, z góry nadesłana przez Bławatską, nie będzie stosowną, takowej do szafy nie włożył; list sanskrycki odesłał Bławatskiej, prosząc, by go zawiadomiła telegraficznie, czy zawsze sobie życzy, by jej odpowiedź, była włożoną do szafy. Bławatska odpisała:

»*Zapóźno,* drogi markizie. Jeśliby to, co się znajduje w rękach *Christofa*, zostało niezwłocznie jako odpowiedź podane, wyszłoby doskonale; dlatego ją wam i posłałam. Teraz nie będzie to miało sensu. List wasz doszedł rąk moich o $6^1/_2$ wieczorem, prawie o siódmej; wiedziałam zaś, że malenki »Punch« przychodzi o 5-tej. Kiedyż więc mogłam wyprawić depeszę? Nadeszłaby ona nazajutrz lub po jego wyjściu. Ach! jaka okazya opuszczona! Ale, cóż robić!.. Obecnie muszę was prosić o jedno: Mogę powrócić z pułkownikiem i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powrócę; ale może się także zdarzyć, że pozostanę tutaj do

października. W takim razie na dzień lub dwa, dopóki pułkownik będzie przebywać w domu, *potrzeba mi przysłać klucz od szafy*. Przyślijcie mi go drogą podziemną. Zobaczę go *odpoczywającym;* dość będzie i tego. Lecz nie chcę, by podczas mej nieobecności opatrywano *lunam melancolicam* szafy. A bez wątpienia *zaczną ją opatrywać*, jeśli mnie tam nie będzie. Powinnam wrócić! Lecz jak to mi dokucza, że wszyscy *ztąd* zaczną odwiedzać mię tam! Wszyscy przybędą patrzeć, a to mi dokuczyło«.

W październiku, Bławatska, wyjechawszy z Nilghiri, udała się do Pounah. Zkąd do pani Coulomb wyprawiła list taki: »Teraz, droga moja, zmienimy programat. Uda się co, lub nie, obojętne mi; spróbować powinnam. Jakób Sassoon, szczęśliwy posiadacz setek tysięcy rupij, z którego rodziną wczoraj spożywałam obiad, chce zostać teozofem. Gotów on jest złożyć 10,000 rupii na potrzeby Głównej siedziby. Oświadczył bowiem pułkownikowi, że się zadowolni, gdy zobaczy chociażby najmniejszy fenomen i przekona się, że »mahatmy« mogą słyszeć to, co się mówi, lub jeśli dostarczą jakiegokolwiekbądź *innego dowodu swojego istnienia.* Pani otrzyma ten list w piątek, 26-go. Proszę zwrócić się do szafy i poprosić K. H. (lub Christofolo), by przesłał mi telegram, który ja otrzymam pomiędzy 4 a 5 godziną popołudniu, tegoż dnia. Treść następna:

»Wasza rozmowa z panem J. Sassoonem, tylko co doszła do Mistrza. Jeśli nawet to, co nastąpi, zadowolni go, to zawsze jednakże powątpiewam, czy znajdzie w sobie dostatecznie męztwa moralnego, by wstąpić do Towarzystwa. Ramalinga Deb«.

Jeśli depesza nadejdzie do mnie 26, chociażby nawet wieczorem, wrażenie będzie ogromne. Adres: »N. Kandalavalla, sędzia, Pounah«. Co będzie należało zrobić następnie, dokonam. Będzie to kosztowało cztery lub pięć rupii. Koszt ten nic nie znaczy. Oddana wam H. P. B.[1])«.

Depesza żądana 26 października została wysłana do Pounah, jak o tem świadczy kwit, wydany ze stacyi tele-

[1]) Te kilka i inne jeszcze listy Bławatskiej zostały przez państwa Coulombów w roku następnym drukiem ogłoszone, oraz kilka szczegółów uzupełniających te listy. Do sprawy publikacyi i skutków jej w swoim czasie powrócę.

graficznej w Madrasie na imię Romalinga Deb. Ilość wyrazów wymieniona w kwicie odpowiada ilości tychże wymienionych w liście Bławatskiej.

Listy te Bławatskiej i opowiadanie o fenomenie generała Morgana wprowadzają nas od razu *in medias res.*

IV.

H. Bławatska i amerykański pułkownik Henryk Olcott założyli w 1875 r. w New-Yorku Towarzystwo pod nazwą »Teozoficznego«. Zadaniem tego Towarzystwa miało być: dotarcie do starożytnej nauki wschodniej, zapomocą badania zabytków piśmiennictwa starożytnego, oraz zwyczajów i pojęć ludów wschodnich, wśród których, według założycieli, przechowywało się źródło prawdziwej wiedzy i mądrości. Celem Towarzystwa stawało się: zaznajamianie jaknajliczniejszego ogółu z rezultatami odkrywanych przez się podstaw wiedzy; do czego mogło prowadzić zakładanie filii Towarzystwa w każdym kraju i miejscu, gdzieby się tylko znaleźli ludzie, pożądający światła i prawdy. Hasło Towarzystwa brzmiało: »niema wyższej religii nad prawdę«.

Hasło to wykluczało wszelkie interesy polityczne i gwarantowało stowarzyszonym zupełną swobodę przekonań, religijnych i społecznych.

Ameryka, New-York, zbyt są odległymi od kolebki wiedzy wschodniej. Jakoż Towarzystwo przeniesione zostało w 1878 do Indyi. Początkowo Bombay, a od 19 grudnia 1882 roku Madras, a właściwie Adiar, część tego miasta, stała się centrum stowarzyszonych i główną siedzibą Towarzystwa Teozoficznego.

Lecz *ars est longa, vita brevis.*

Badanie zabytków piśmiennictwa wymaga odpowiednich i mozolnych studyów lingwistycznych. Badanie pojęć i zwyczajów ludowych — długiego wśród różnych ludów przebywania i należytego do takich badań przygotowania i uzdolnienia. Przytem, przystępując do badania jakiegokolwiekbądź przedmiotu, nigdy rezultatu tych badań ani przewidzieć, ani tembardziej odgadnąć nie możemy. Przedsięwzięte badanie może pozostać zupełnie bez rezultatu, lub rezultat nie odpowiadać oczekiwaniu, a co większa, założeniu

i związanym z niem interesom, jeśli takowe w danym razie istnieją.

Człowiek, a właściwie umysł jego, jest zbyt leniwy, by z zupełną samowiedzą przedsiębrał pracę, której owoców on sam pożywać niema pewności żadnej; jest zbyt pożądliwy rezultatów swej pracy, by zdołał baczyć na pochodzenie tego, co nazwać rezultatem przed ogółem może; co lenistwo i pożądliwość zepsuje i poniży, pycha zdoła naprawić i podnieść.

Najwygodniej jest otrzymywać Kodeksy w chmurach, podczas grzmotu i błyskawic... Najłatwiej zrzucać odpowiedzialność na niewidzianą Egeryę!

Człowiek, nie mogący *urbi et orbi* wskazać drogi swych badań, metodę swą poddać krytyce ogółu, a rezultaty sprawdzeniu i przez innych, musi z konieczności usłuchać ułudnych podszeptywań pychy.

Helena Bławatska i wspólnik jej, pułkownik Henryk Olcott, odkryli w niedostępnym wskutek swych gór, a jeszcze bardziej wskutek srogich dla cudzoziemców praw miejscowych, w Tybecie, bractwo, którego członkowie zwani mahatmy (adepci, bracia), uprawiając od najdawniejszych czasów właśnie taką wiedzę, jaką poznać było zadaniem teozofów, dosięgli jej w zupełności. Mahatmy, poznawszy niedostępne innym, a więc dla innych utajone siły przyrody, zapanowali nad samą przyrodą; zapanowali atoli nie w celu wyzyskania jej bogactw dla wzbogacenia siebie, jak to robią mędrcy i półmędrki na Zachodzie, lecz w celu umoralnienia siebie, oraz tych, którzy, łaknąc wiedzy, niedającej się osiągnąć na drodze badań naukowych, i prawd, utajonych przed niewierzącymi w nie, stają się ich uczniami. Uczeń taki nosi nazwę *chela*.

Istniejący w Nilghiri, a każdemu dostępni i przez wszystkich widzialni Todowie, są właśnie posiadaczami do pewnego stopnia, według Bławatskiej, jak to możemy wnosić z jej opowiadań o nich w *Zagadkowych plemionach*, tej pierwotnej i absolutnej wiedzy, którą w całości posiadają jedynie Mahatmy tybetańscy. Tylko Todowie utracili świadomość swej potęgi, »wyrodzili się«; z czego wypływa ich niższość w porównaniu z Mahatmami i brak umiejętności krzewienia tej wiedzy za pośrednictwem *chelów*.

Pomimo nieufności wzbudzanej w mieszkańcach Wschodu przez Europejczyków, mędrcy tybetańscy zdołali wszelako ocenić prawe dążności i wysokie cele Towarzystwa Teozoficznego i oto jedyna wiedza prawdziwa, od początku istnienia ludzi na ziemi przechowywana w bractwie tybetańskiem, zaczęła przez teozofów, jako pośredników, spływać na ludzkość. Mahatma, nazwany Morya, do godności ucznia (cheli) swego podniósł Bławatską i Olcotta. Inny zaś — nazwany Koot-Hoomi — do godności takiegoż *cheli* podniósł Damodara, sekretarza Towarzystwa Teozoficznego (znanego nam już z opowiadania generała Morgana).

Mahatmowie, bez względu na swe siedlisko w odległym i niedostępnym Tybecie, posiedli łatwe środki porozumiewania się ze swojemi zamiejscowymi chelami, oraz chelami owych chelów.

Pierwszym takim środkiem jest podróż w formie astralnej. W każdej chwili i w przeciągu chwili Mahatmowie mogli w taki sposób, w jaki, według Bławatskiej, Kurumba staje u łoża swej umierającej ofiary, przenosić się z miejsca na miejsce, bez względu na odległość. W 1884 roku i następnych, już i w Europie widywać ich zaczęto. Koot-Hoomi tą władzą przenoszenia się w formie astralnej obdarzył swego chelę Damodara.

Drugim środkiem porozumienia się jest korespondencya. Listy od Mahatmów przychodziły tak niespodziewanie, jak oni sami stawali nieraz przed swymi uczniami i członkami Towarzystwa Teozoficznego. Korespondecya ta podtrzymywała ciągle stosunki między Mahatmami, a dawnymi członkami Towarzystwa i jednała mu nowych. Generał Morgan, po przeczytaniu kartki Koot-Hooma, uwierzył, jakeśmy to widzieli, w co uwierzyć należało i jak należało.

Trzecim środkiem były drobne przysługi i niespodzianki urządzane przez Mahatmów członkom Towarzystwa Teozoficznego lub tym, których chcieli do wstąpienia do Towarzystwa dla ich dobra własnego zachęcić. Jedną właśnie z takich przysług, wyrządzoną pani Coulomb, poznaliśmy z opowiadania generała Morgana, inne, dokonane aż na gruncie europejskim, poznamy jeszcze.

Zresztą dla ułatwienia Mahatmom tak błahych dla nich, zważywszy ich wielkie umoralnienie i wiedzę, zapobiegań,

a częstokroć i niewdzięcznych starań, w głównej siedzibie Towarzystwa Teozoficznego przygotowane były rozmaite przyrządy. Była dla fenomenów przeznaczona osobna komnata, a w tej komnacie specyalnie na spadanie listów Mahatmów przyrządzone w suficie szczeliny. Była w tej komnacie i szafa. Kształtem do zwykłych zbliżona, stała w otworze przeznaczonym na drzwi do sąsiedniego pokoju, a w tylnej jej ścianie ruchoma deska i otwór (co Bławatska właśnie *luna melancolica* nazwała). W niej był złożony wizerunek Mahatmy, który powstał pod palcami Bławatskiej, gdy ta rękę na czystym papierze położyła i papier ów potarła. Podobieństwo, jak świadczyli wtajemniczeni, było uderzające. Ukrywał się tam i manekin, otoczona zawojem głowa papierowa, której rysy z daleka przypominać mogły typowe rysy mędrców wschodnich [1]).

Manekin ów nosił nazwę Christofolo, która to nazwa w bliższem kółku oznaczała również i Mahatmę Koot-Hoomi. Gdy raz pani Coulomb, podczas nieobecności Bławatskiej, spaliła owego manekina i o tem jej doniosła, otrzymała taką kartkę: »O biedny mój Christofolo! Więc on nie żyje i oto wyście go zabili!... O droga przyjaciółko, gdybyście wy wiedzieli, jakbym pragnęła, by on ożył! Błogosławieństwo moje biednemu memu Christofolo. Wasza na zawsze. H. P. B.«.

V.

Smutne a dziwne są losy tak zwanej ludzkości.

Tylko od czasu, gdy wynalazek sztuki pisarskiej pozwolił upamiętniać zachodzące wypadki, ileż to już prób przedsięwzięto dla jej nauczenia i podniesienia! Bóstwa egipskie i indyjskie wcielają się w ludzkie postacie. Jowisz płodzi syny i córki. Jahwe wybiera sobie jeden ludek i stale go umiłowuje. Auromazda zsyła swój zakon przez Zaratusztę; Allach — przez Mahometa. Każda z tych prób łamie prawa przyrody. Każdej z nich towarzyszą cuda. Cuda właściwie stanowią nawet istotę tych prób. I giną tysiące ludzi, że w te cuda uwierzyły. Giną następnie tysiące, że w nie nie uwierzyły...

[1]) Do tych szczegółów powrócę w VI części.

A tymczasem ta ludzkość, jak owa prostacza rodzina dorobkiewiczowska, wszystko to, co posiada, czem żyje, co zabezpiecza jej jutro — własną zdobyła pracą. Każdą wiadomość — własnym dociekła umysłem. Każde narzędzie — własną przyrządziła ręką...

Snadź niedostępni mędrcy tybetańscy zauważyli, że nadszedł już czas, by zmateryalizowany Zachód począł się odradzać pod wpływem ascetyczno-idealnej ich wiedzy; by ognisko cywilizacyi, opartej na znajomości i ujęciu praw przyrody, zyskało nowe środki potęgi w nieznanych sobie jeszcze i przeto nie ujętych, dotychczas ukrytych prawach. Gdyż oto w 1884 r. zjawiają się w Paryżu H. Bławatska i H. Olcott, umiłowani uczniowie *(chele)* wielkiego mahatmy Morya. Wszak ci *chele* jego, bez rozkazu pochodzącego bezpośrednio od niego, nic przedsięwziąć nie mogli, ani też pożądali.

Lecz, chociaż dla Zachodu nadszedł już był czas łaski, era zmiłowania się nad nim mahatmów, wszelako nie do przedstawicieli nauki zachodniej, nie do przyrodników, którzy nad odkryciem praw przyrody pracują, zwrócić się owi wysłańcy mieli, tylko do maluczkich, wszakże nie pod względem materyalnym...

Bławatska przybyła do Paryża w pierwszych dniach maja; Olcott nieco później. Zamieszkała ona przy ulicy Notre-Dame-des-Champs w niewielkim domu. Otoczenie jej domowe wówczas, oprócz Olcotta, składali: Mogini M. Chattergy — indus i bramin, wychowaniec uniwersytetu kalkuckiego; Amerykanin Judge; Anglik Bertram Keightley i sługa Babula — indus.

Ów Mogini był *chelą* mahatmy Koot-Hoomi i wielkim, jak utrzymywała Bławatska, ascetą. Nie podawał ręki nawet mężczyznom do uściśnięcia, gdyż, »wyrobiwszy w sobie wielce delikatną organizacyę, zbyt silnie uczuwał wpływ cudzego magnetyzmu, który przechodzić może przy wszelkiem zbliżeniu, ściśnieniu ręki, pocałunku...« Unikając wszelkich ziemskich uciech i pokus, na kobiety nie spozierał nawet nigdy. Ów ascetyzm mógł go wynieść bardzo wysoko, uczynić nawet mahatmą [1]).

[1]) W roku następnym, gdy się wykryły w Londynie i Paryżu sprawki owego ascety, czysto erotycznej natury, gdy jakaś bulwarowa

Mahatmowie bowiem, chociaż zjawiali się sami, pisali listy i wyrządzali różne przysługi różnym, protegowanym przez swych *chelów* ludziom, jednakże cenili przedewszystkiem w obu płciach stan zupełnej niewinności cielesnej. Pozwalali zbliżać się ku sobie tylko istotom dziewiczym. Bławatska wskazywała właśnie na swą dziewiczość, jako na przyczynę tych względów wielkich, któremi ją mahatmowie otaczali, chociaż mianowała siebie wdową [1]).

Kółko jej paryskich znajomych stanowili: Księżna de Pomar, Emilia de Morsier, Karolina de Barrau, hrabina d'Ademar, Karol Richet [2]), Juliusz Baissac, magnetyzer Evette, magnetyzer Robert, lekarz Combré, Olivier, Turmann, Leimarie, K. Flammarion, de Voguë i kilku przebywających współcześnie Rosyan i Rosyanek.

Większość z wymienionych osób składała zarazem filię Towarzystwa Teozoficznego pod nazwą: »Société d'Orient et d'Occident.« Prezydentką tego Towarzystwa była księżna de Pomar; sekretarzem — pani de Morsier. Odbywało ono posiedzenia swe u pani de Barrau.

Naturalnie, że, z wymienionych kilkunastu osób, nie wszyscy na jednakim stopniu zbliżenia się do Bławatskiej pozostawali. Karol Richet bywał u niej bardzo rzadko.

Bibi zagroziła mu procesem, Bławatska sama, w uniesieniu przeciwko niemu ujawniła, że zostawił on w Indyach żonę i dzieci.

[1]) Miało to się stać, według poufnych zeznań Bławatskiej, z przyczyn takich: W bardzo młodym wieku, ażeby się wyrwać z pod niemiłe opieki krewnych, wyszła ona za mąż za człowieka starego, którego w kilka dni po ślubie opuściła na zawsze. I chociaż miała przy sobie chłopaczka, za którego matkę w oczach wszystkich uchodziła, nie było to wszakże jej dziecię, tylko przyjaciółki, której błąd chciała ukryć i której dziecię za swoje przyjęła. Chłopiec ów zmarł.

[2]) Znany ten badacz i uczony wypowiedział W. Sołowiewowi swój pogląd na sprawę Bławatskiej w słowach następujących: »Co się mnie tyczy, mam wielkie bardzo powątpiewania. Nim dopuścimy jakąkolwiekbądź nadzwyczajność, strzeżmy się zwyczajności, która bywa oszustwem. Ze wszystkich naukowych pewności, najpewniejszą jest ta, którą daje przeświadczenie moralne i ufność. Jakżeż wielkie szyderstwo kryje się w pani Bławatskiej, która zakłada religię jak Mahomet i temiż prawie środkami. Może się jej powiedzie... W każdym razie, nie będzie to winą moją, ani też pańską. Potrzeba zwrócić się, sądzę, do poglądów starych mędrców, badać i doświadczać; kobiet zaś, które przebyły siedem lat w Tybecie, nie słuchać...«

Flammarion odwiedził ją raz tylko. De Voguë był raz na posiedzeniu Towarzystwa.

Z ruskich, największą zwrócił uwagę na siebie mahatmów W. Sołowjew, jak go zapewniała o tem Bławatska, co zresztą wywnioskować łatwo z ilości cudów, zwanych pospolicie w tem otoczeniu fenomenami, urządzonych dla niego w celu obudzenia w nim wiary i nawrócenia. Jako ziomek Bławatskiej, znany publicysta i powieściopisarz, mógł on zasługiwać na specyalne względy. Zyskać jego pióro dla sprawy odrodzenia społeczeństwa, znaczyło to samo, co zapewnić powodzenie sprawie, mahatmom, Bławatskiej.

W. Sołowiew bywał u Bławatskiej prawie codzień. Gnała go do niej ciekawość, chęć zbadania, czem to wszystko jest w istocie; zresztą, wskutek jej namowy, poddawał się magnetyzowaniu Olcotta. Wszakże od początku swych stosunków z Bławatską i Olcottem potrafił patrzeć i widzieć. Kiedy ten ostatni, dla udowodnienia mu istnienia mahatmów, pokazał zawój, pozostawiony przez Moryę w czasie odwiedzin, Sołowiew na znaczenie tego dowodu nie chciał się zgodzić, a w tym zawoju widział tylko parę łokci muślinu, będącego w posiadaniu Olcotta.

To oświadczenie pociągnęło za sobą konieczność fenomenów bardziej przekonywających.

I tak. Zdarzyło się raz w przedpołudniowej godzinie, że zastał parę osób, zebranych w maleńkim saloniku; w liczbie ich jedna z dwóch, przybyłych do Bławatskiej z kraju, jej krewnych. Sama gospodyni była w jakiemś szczególnem usposobieniu. Zadzwoniono przy drzwiach. Babula drzwi otworzył. Podano mu list. On, wziąwszy go, położył na stole. Bławatska i jej krewna, spojrzawszy na adres i stempel pocztowy, powiedziały, że list pochodzi z O... i jest do drugiej z przybyłych. Wtedy, niespodziewanie dla wszystkich, Bławatska oświadczyła, że przeczyta list w zapieczętowanej kopercie. »Tego nie zrobisz, to rzecz niepodobna« — wykrzyknęła jej krewna. Lecz ta popatrzyła tylko na nią, przyłożyła list do czoła, i zaczęła, z widocznem usiłowaniem, głośno mówić, zapisując swe słowa. Następnie jeden z wyrazów podkreśliła, twierdząc, że w liście jest on również podkreślonym, i postawiła przytem jakiś znak na

końcu. List zapieczętowany odniesiono do jej drugiej krewnej, znajdującej się w sąsiednim pokoju. Po chwili, ta weszła do saloniku, wyjmując go z koperty. Odczytany, okazał się tej treści, chociaż nie dosłownym, jak to napisała Bławatska. Jednakże ten sam wyraz był podkreślonym i ten sam znak—nakreślony w liście. Panie zaraz sporządziły protokuł »cudu«, a wszyscy obecni podpisali. Nikomu jednakże nie przyszło na myśl zapytać, dlaczego listu nie otworzono w salonie? Wszak nieobecna owa krewna, do której list był adresowany, mogła włożyć do odpieczętowanej za oczami koperty, przygotowany poprzednio, Bławatska zaś powtarzała tylko to, co sama napisała... Wszak Babule mógł ktoś podać o umówionej godzinie poprzednio już otrzymany i odczytany list... Babula nadawał się do wszelkich tego rodzaju sztuk, gdyż był dawniej sługusem u jakiegoś francuskiego kuglarza. Gdy zapytany przez Bławatską Sołowiew oświadczył, że chociaż nie może nie wierzyć, ale nie czuje się zupełnie zadowolonym, usłyszał pocieszające zapewnienie: »Poczekaj, ujrzysz lepsze...«

Czekał niezbyt długo.

Będąc raz na posiedzeniu Towarzystwa z jedną z owych dwóch goszczących u Bławatskiej krewnych, zaproszony został przez nią na herbatę w kółku domowem. Opuściwszy przeto sesyę, udał się na ulicę Notre-Dame-des-Champs. W przyjacielskiej pogadance, jakoś niespodziewanie, druga z tych pań zapytała Blawatskiej, czy ma z sobą swoją, zrobioną przed laty przez *chelę* swego, miniaturę. Ta odpowiedziała, że nie wie z pewnością. Wezwany Babula oświadczył głośno, że miniatura owa pozostała w Madrasie w szkatułce. Wtedy zapytująca wyraziła swe ubolewanie, ponieważ chciała poznać sztukę malarską jednego z *chelów* Bawatskiej. »Oto masz inną próbę sztuki tego *cheli* odrzekła B., zdejmując zawieszony na szyi podwójny medalion, w którym jednakże był umieszczony tylko jeden portret jakiegoś Indusa — jest to sam mistrz [1]).« Gdy po obejrzeniu przez

[1]) W otoczeniu Bławatskiej ściśle unikano wypowiadania nazwisk mahatmów. Zwykle oznaczano ich mianem mistrz, lub początkowemi literami nazwiska. Z powodu nie zachowania przepisów tych, zdarzyła się zabawna historya. Oto, co opowiada Sołowiew: »Przyjeżdżam razu pewnego i widzę, że coś zaszło niedobrego w domu; Babula skrzywiony

obecnych wizerunku mistrza samego, medalion wrócił na swoje zwykłe miejsce, ta sama krewna Bławatskiej rzekła: »Ponieważ nietylko dla mistrza, ale i dla *chelów* jego, niema nic niemożebnego, spraw, by twój portrecik, w szkatułce pozostałej w Madrasie spoczywający, znalazł się wśród nas.« »Ot, czego się jej zachciało — odrzekła Bławatska, po chwili jednakże dodała: a może to możebne, zobaczymy.« I podniosła rękę. W tej chwili dały się słyszeć dźwięki ciche i delikatne, niby srebrnych dzwoneczków, lub arfy powietrznej.

Bławatska posiadała mały, srebrny przyrządzik, wydający takie dźwięki, który zawsze nosiła ukryty przy sobie. Ilekroć potrzebowała wykazać otaczającym, że mistrz się zjawia, używała tego przyrządu. Dzwonienie to miało dowodzić obecności mistrza, gdyż go nikt nie mógł dojrzeć.

Skoro więc owem dzwonieniem udowodniła, że mistrz się zjawił i spełnił zachciankę jej krewnej, odezwała się do niej: »Zdejm teraz ze mnie medalion i otwórz go; może co znajdziesz nowego.« W medalionie, na pustem miejscu, okazał się miniaturowy portret Bławatskiej. Po obejrzeniu przez wszystkich, medalion znowu powrócił na swoje miejsce. Wtedy ta sama osoba, która wszczęła całą tę sprawę, zwróciła się jeszcze raz do Bławatskiej: »Otwórz-no teraz, może twój portret już zniknął stamtąd.« »Być może,« — odrzekła B. i otworzyła medalion. Portrecika już nie było. Jeszcze raz medalion krążyć zaczął pośród zebranych. Miejsce nie zajęte pozostawało pustem...

Z wykonania z powodzeniem cudu zadowolona, zwróciła się Bławatska do Sołowiewa z zapytaniem, czy teraz już się przekonał o potędze i istnieniu mahatmów. »Niezupełnie... ale teraz oto bardzo łatwo będzie mnie przekonać.

Mogini roztargniony i zamyślony, Keightley ma minę spłoszonego zająca.. Kiedym wszedł do Olcotta, leżał on na ubogiem, żelaznem łożku, w starym, popielatym, sukiennym szlafroku, głowę miał obwiązaną fularem. Wnet, jak burza, wpadła Bławatska... podbiegła szybko do łóżka i z wylanego nań potoku wyrazów angielskich, dowiedziałem się, że sprawa toczy się o to, iż ona zabroniła wymawiać nazwisko mistrza, on zaś ośmielił się wymówić całkowite... O, stary dureń, zawołała nakoniec po rusku i z całej siły uderzyła go kułakiem w bok...« Zwykle, w dobrem będąc usposobieniu, przemawiała do niego: »Bałwan Olcott; pójdź precz, stary kocie.«

Proszę mistrza, dla którego przestrzeń niczem jest i który, jak pani twierdzi, znajduje się niewidzialny tu, w tym pokoju, proszę jego lub *chelę*, jednem słowem, proszę tę istotę lub siłę, która dokonywa tych cudów, by położyła znikły portrecik w to oto porte-cigare.« I wyjął z kieszeni rzeczony przedmiot. Bławatska po chwili mu odrzekła: »Pan zapomina, że mamy do czynienia z człowiekiem, który, chociaż umie dokonywać rzeczy, wydające się nam nadzwyczajnemi, ale pozostaje zawsze indusem, fanatykiem. Według niego, nigdy nie może się on dotknąć żadnego Europejczyka.« Sołowiew schował porte-cigare do kieszeni i zmienił tok rozmowy.

Wkrótce, chcąc pożegnać towarzystwo, wziął za kapelusz. Bławatska, by gościa zatrzymać, odebrała mu go z ręki i postawiła na kominie. Następnie powrócili inni domownicy (Olcott, Mogini, Keightley) z posiedzenia. Panie opowiedziały im o cudzie. Gdy takowy potwierdził Sołowiew i ostatecznie się pożegnał, biorąc kapelusz, znalazł w nim portrecik Bławatskiej, ten sam, który przedtem na chwilę spoczywał w medalionie. Mahatma przezwyciężył swój wstręt do Europejczyka w chwili, gdy Bławatska stawiała kapelusz ten na kominie!...

Bławatska, przed wystąpieniem swojem w roli ulubienicy, początkowo duchów a następnie mahatmów, była osobistością zupełnie nieznaną. Wiadomo było tyle tylko o niej, co sama o sobie głosiła, a więc o pobycie kilkoletnim w Ameryce, później w Tybecie i Indyach. W czasie zjawienia się w Paryżu, mogła już mieć lat pięćdziesiąt kilka. Na podróżach po Ameryce, Tybecie i Indyach, dziesięć lat strawiła. A co porabiała do czterdziestego któregoś roku życia, jakie miała środki istnienia, gdzie przebywała? Ponieważ te pytania nie były przez nią, ani przez jej najbliższych wyjaśnione, wszelkie przeto zarzuty mogły być jej stawiane; o jej przeszłości mogły krążyć najrozmaitsze gawędy.

Dowiedziawszy się, że jakaś rodaczka, przebywająca w Paryżu, rozpowszechnia ubliżające wieści o jej przeszłości i nawet twierdzi, że przed laty była przez policyę wydalona z Tyflisu, Bławatska udała się do generał gubernatora kaukaskiego, prosząc o dostarczenie jej dokumentu, którym mogłaby, jak się wyrażała do znajomych, »zamknąć gębę«

tej rodaczce. Dokument żądany nadszedł. Przetłómaczony na francuski i w wielkiej ilości wydrukowany, rozszedł się wśród znajomych. Oto jego treść dosłowna: »Przekład. Certyfikat. Dokument ten wydany został z kancelaryi policmejstra tyfliskiego, żonie rzeczywistego radcy stanu, Helenie Piotrównie Bławatskiej, na jej żądanie, jako dowód, że po uczynionych poszukiwaniach w archiwum kancelaryi, okazało się, iż nigdy żaden proces nie był tej osobie wytoczony, ani też żadna skarga przeciw niej, obwiniająca ją o złodziejstwo lub oszustwo, nie była podana. Jednem słowem, w czasie pobytu swego w Tyflisie, pani Bławatska nie dała powodu do podejrzywania siebie o złodziejstwo lub inny czyn niewłaściwy (indélicat). W skutek czego, świadczę o tem, własnym podpisem i wyciśnięciem pieczęci urzędowej. Tyflis, 7 czerwca 1884 r. Policmejster (podpis). Przekład wierny. Francusko-ruskie biuro. E. Lenz, 42. Bulw. Haussmana. 42. Paryż.«

Atoli, czy tym dokumentem »zamknęła,« czy też właściwie otworzyła usta wrogom?

VI.

Jakkolwiek cuda, zwane *fenomenami*, najskuteczniejszym okazywały się środkiem w jednaniu dla Towarzystwa Teozoficznego nowych członków, jakkolwiek pisma teozoficzne głównie zapełniane były opisami tych fenomenów w formie opowiadań naocznych świadków, lub urzędownie sporządzonych protokółów, jednakże celem Towarzystwa dla oka zawsze pozostawało badanie wiedzy starożytnych narodów, jednakże odbywały się posiedzenia Towarzystwa i potrzeba było czemś je zapełnić.

Mahatmowie zjawiali się wybranym, pisali listy, wyrządzali drobne przysługi. To fakt, w który trzeba było wierzyć. Lecz po za tem pozostawała jeszcze wiedza, która z tych Mahatmów miała się przelewać na stowarzyszonych, a przez nich na społeczeństwo.

Wiedza, jako suma wiadomości, zebranych i uporządkowanych pod jedną zasadę ogólną, lub z jednej zasady ogólnej wypływająca; wiedza, która przytem byłaby nietylko odmienna od wiedzy współczesnej, zachodniej, materya-

listycznej, ale wyższa od niej i ją obalała, nie dawała się jakoś nawet z prawdziwego jej źródła, nawet z Tybetu, zaczerpnąć i sprowadzić gotową.

Obok tego nawet ci, którzy uwierzyli w istnienie Mahatmów, w ich wszechmoc i wszechwiedzę, mogli zapytywać: cóż dalej, cóż nowego, wszak wiara w Mahatmów, to tylko wstęp do dzieła, czyż dość samej tylko w nich wiary? wierzymy, ale cóż z tego?

Konieczność wskazała jednakże środek zaradczy na niebezpieczeństwo, wypływające z takiego stanu rzeczy.

Mahatmowie przebywają w Tybecie. Tybet jest ogniskiem buddyzmu, choć on wyrodzony, zlamaizmowany, ale zawsze to buddyzm, z Nirwaną, z księgami, których pochodzenie pokrywa mgła tradycyi, treść zawiła i niezrozumiana bez tła historycznego, a język — wielokrotna przeróbka, przekład i przekłady z przekładów. Mahatmowie przeto powinni być buddystami, chociaż wyznawanie jakiejkolwiekbądź religii nie zgadza się z ich charakterem, jako posiadaczy bezwzględnej prawdy i wiedzy. I oto taki sylogizm, pomimo swych przesłanek kulawych, mocno omawianych, wybawia z widocznego kłopotu organizatorów Towarzystwa Teozoficznego. Rzucają oni buddyzm do przeżuwania tym członkom Towarzystwa, których wiara sama w Mahatmów, wiara bez żadnych wyników postronnych, zadowolnić jeszcze i uspokoić nie mogła.

Bławatska, zapominając, że hasło Towarzystwa brzmiało: »nie masz wyższej religii nad prawdę,« głosiła, że jest buddystką. Ona i jej otoczenie propagowali wyraźnie buddyzm, jako nową religię. I ten Paryż, gdzie przed laty Burnouf utworzył szkołę naukowego badania buddyzmu, w osobach swych mieszkańców mógł na posiedzeniach Towarzystwa Teozoficznego wysłuchiwać o buddyzmie tym samym gawęd walecznego pułkownika amerykańskiego i ascetycznego młodziana indyjskiego.

Dla nadania wszelako choć pozoru nowości i obudzenia żywszego zaciekawienia, nowo nawróceni, europejsko-amerykańscy buddyści, odnaleźli w starożytnym buddyzmie wewnętrzną, jakoby utajoną, a więc nie wszystkim znaną, dostępną, a dla wspaniałości *ezoteryczną* mianowaną, doktrynę i ją to niby głosić i objawiać zaczęli. Dochodzenie różnicy

pomiędzy ezoterycznym a ekzoterycznym buddyzmem mogło na długi czas zaprzątnąć umysły, którym nieuctwo pozwalało rzeczy stare i przebrzmiale za nowe brać i poczytywać. Dociekanie ezoteryzmu samego w buddyzmie, niby istoty jego, przedstawiało kość, wprawdzie spróchniałą i już ogryzioną, ale jeszcze dość twardą, zwłaszcza na zęby sztuczne, lub plombowane, i to kość rzuconą pod nos, prawie do szczęki włożoną, a więc już gotową, której przedewszystkiem nie trzeba było wyszukiwać jeszcze.

Sztuczne to, a zwłaszcza nieloiczne połączenie mahatmyzmu, tego wytworu tak wielce nowożytnego, ze starożytnym buddyzmem, ratowało na razie zagrożoną sytuacyę Towarzystwa Teozoficznego. Połączenie to bowiem dostarczalo jakiejś doktryny, pozór naukowości noszącej, tym, którzy nie dawali się zaspokoić jedynie tylko wiarą w Mahatmów. Pytającym: »więc cóż dalej?« wskazywało ono cień czegoś, co przed tysiącami lat uchodzić za wiedzę mogło, a co w naturalnym biegu rzeczy czas pogrążył w przepaść przeszłości i zapomnienia. Lecz ruch wskazujący był efektowny. I gonić za tym cieniem poczęli...

Ilość wszakże tych goniących mogła wydawać się za szczupłą pomysłowym inicyatorom teozofii w Europie. Na posiedzenia Towarzystwa zbierało się zaledwie po kikanaście osób. Jedni (np. Flammarion), poznawszy Bławatską w jej domu, już nie mieli ciekawości szukać jeszcze czegoś nowego na posiedzeniu Towarzystwa. Drugim (np. de Voguë) już jednorazowa bytność na posiedzeniu zupełnie wystarczała. Tak więc powodzenie Mahatmów w Paryżu nie odpowiedziało oczekiwaniom ich wysłańców. Bławatska i jej otoczenie już w lipcu przeniosło się do Anglii.

Pobyt w Londynie trwał jeszcze krócej, niż w Paryżu, W środku sierpnia Bławatska, ze swem otoczeniem zwykłem, znalazła się w niemieckiej mieścinie Elberfeld.

Tam gościła ona w domu bogatego negocyanta Gebharda, o którym twierdziła, że jest oddany duszą i ciałem, wraz z całą swą rodziną, sprawie Mahatmów, a któremu w rzeczy samej mogło to schlebiać, że dom jego stał się siedliskiem teozofii w Europie.

Pod koniec sierpnia odwiedził w Elberfeldzie Bławatską Sołowiew. Cierpiała ona wtedy na wodną puchlinę. Na-

brzmiałość całego ciała, przykuwając do jednego miejsca, pozbawiała ją ruchu. Lecz cały dom miała na swe usługi i była bardzo ożywiona.

Pierwszego dnia po przyjeździe, spotkało Sołowiewa kilka scen, których rozgłos obleciał świat cały, zainteresowany Mahatmami. Oto fakty w skróconem jego opowiadaniu: »Znajdowaliśmy się w wielkim i pięknym salonie. Arkada dzieliła go na dwie części. Ciężkie draperye były spuszczone i, co się znajdowało w drugiej połowie tej sali, nie wiedziałem. Kiedyśmy się dostatecznie nagadali, Bławatska skinęła na Rudolfa Gebharda (syna gospodarza) i ten znikł...

Wnet zasłona się rozwarła, i przed nami jakby wyrosły dwie zdumiewające postacie. Oświetlone one były rażącem, błękitnawem światłem, skoncentrowanem i spotęgowanem przez reflektory. Na pierwszy rzut oka sądziłem, że widzę żywych ludzi, tak zręcznie wszystko było obmyślone. Wszakże były to tylko dwa wielkie i udrapowane portrety mahatmów, Moryi i Koot-Hoomi, namalowane farbami olejnemi przez Schmichena, krewnego Gebhardów...

Malarz ów naturalnie nigdy nie widział oryginałów. Bławatska i Olcott wmawiali wszystkim, że artysta malował w natchnieniu, że jego pędzlem kierowali *oni* sami, a więc podobieństwo wyszło zdumiewające... Koot-Hoomi miał oblicze delikatne, prawie kobiece, i spoglądał łaskawie prześlicznemi jasnemi oczyma. Lecz należało spojrzeć na *mistrza*, a Koot-Hoomi, ze swą delikatną pięknością, odrazu znikał. Ogniste, czarne oczy wspaniałego Moryi surowo i głęboko wpijały się w nas, a od tego wzroku nie można się było oderwać... Mistrz... był w białym turbanie i w białem odzieniu. Bławatska zażądała dla mistrza jeszcze więcej światła. R. Gebhard i Keightley przestawili reflektory, poprawili udrapowanie portretu i nastąpił efekt niewypowiedziany. Należało ciągle sobie przypominać, że to nie żywy człowiek. Nie mogłem oderwać oczu od niego.

Bławatska i Olcott zatrzymali mię z godzinę przed portretem. Nakoniec głowa mię rozbolała wskutek wielce rażącego światła i wogóle czułem silne znużenie. Droga, dwie bezsenne noce, wszystko to podziałało... Przyszedłszy do hotelu, zamknąłem drzwi na klucz, rozebrałem się i zasnąłem.

Lecz oto naglem się obudził; lub, co w każdym razie jest prawdziwszem, przyśniło mi się, wydało, żem się obudził, od jakiegoś ciepłego powiewu. Ujrzałem się w tym samym pokoju, a przede mną, w pomroku, stała wysoka postać ludzka w bieli. Ja *poczułem* głos, niewiadomo jakim sposobem i w jakim języku, rozkazujący mi zapalić świecę. Nie bałem się i nie dziwiłem. Świecę zapaliłem... Widzenie nie znikało. Przede mną stał żywy człowiek, i tym człowiekiem był nie kto inny, tylko oryginał portretu, jego zupełne odtworzenie. Usiadł on na krześle obok mnie i mówił do mnie w nieznanym, lecz zrozumiałym języku...

Przyszło mi na myśl, że podlegam halucynacyi, że zmysły tracę. Lecz oto mahatma Morya znowu usiadł na swojem miejscu, nieruchomy, ze zwróconym na mnie wzrokiem, taki, zupełnie taki, jakim się wraził mi w mózgu. Głowa jego pochyliła się, uśmiechnął się i wyrzekł, również w bezdźwięcznym, myślowym języku widzenia: »Bądź upewniony, że nie jestem halucynacyą, że twój rozsądek cię nie porzuca«... Znikł... ja zaś zgasiłem świecę i zasnąłem.

Obudziwszy się o godzinie dziesiątej, wszystko przypomniałem sobie bardzo jasno. Drzwi były zamknięte. Po świecy nie było sposobu zauważyć, czy była lub nie zapalana w nocy...

Dowiedziawszy się wkrótce o tem, Bławatska nie mogła ukryć ogarniającej ją radości. Zapomniała o swoich dolegliwościach, oczy jej ciskały iskry. »Otóż tak, złapał się pan sceptyk, wiecznie podejrzewający — powtarzała: — cóż teraz pan rzeknie?« Rzeknę, że miałem bardzo wyraźny żywy sen, albo halucynacyę, spowodowaną moim stanem nerwowym, zwiększonym wskutek zmęczenia drogą, po dwóch bezsennych nocach, a zwłaszcza silnem wrażeniu, jakiego doznałem, patrząc dłużej, niż godzinę, na rażąco oświetlony portret[1]). Jeśliby to się stało w dzień lub wieczorem, nim zasnąłem, jeślibym nakoniec nie zasypiał po zniknięciu mahatmy, byłbym skłonny uwierzyć w realność wypadku. Lecz to zaszło między dwoma snami; on rozmawiał ze mną nie głosem, nie słowami, ani też w jakimkolwiek znanym

---

[1]) Świeżo wydane dzieło p. t. *La suggestion dans l'art* p. P. Sauriau dostarczy objaśnień w tym względzie.

mi języku; nakoniec, nie zostawił mi żadnego materyalnego dowodu swych odwiedzin...

Wieczorem wszyscy byli zebrani we *wschodniej* części sali, oprócz Olcotta, będącego na pierwszem piętrze. Bławatska (przynieśli ją w fotelu) niespodziewanie dla wszystkich odezwała się: »Mistrz tylko co był na górze, przeszedł obok Olcotta i coś mu włożył do kieszeni. Keightley, pójdź na górę i przyprowadź pułkownika«. Pułkownik nadszedł.— »Czy widziałeś pan mistrza?« — zapytała go Bławatska. »Poczułem jego obecność i dotknięcie« — odpowiedział. »Z której strony?« — »Z prawej«. »Pokaż pan wszystko, co się znajduje w kieszeni!« Olcott posłuchał i powoli, systematycznie zaczął opróżniać swą kieszeń. Wyjął maleńki kluczyk, następnie guzik, dalej pudełko z zapałkami, piórko do zębów i nakoniec mały kawałek papieru złożony. «Co to takiego?« — zawołała Bławatska. — »Nie wiem, papieru nie miałem!« — głosem niewinnym, tonem zadziwienia pełnym, odpowiedział Olcott. Bławatska schwyciła papier i uroczyście objawiła: »List od mistrza! tak, rzeczywiście, to jego pismo«. Rozwinęła, przeczytała. Na papierze tym, »niewątpliwem« pismem mahatmy Moryi, były napisane po angielsku te wyrazy: »Rzeczywiście, ja to byłem; lecz kto zdoła otworzyć oczy niechcącemu patrzeć? M.«

W kilka dni po tych wypadkach otrzymany był od mahatmy Moryi list drugi. Otrzymania tego był świadkiem W. Sołowiew.

Kółko domowe teozoficzne zostało zwiększone o dwie Angielki: matkę i córkę, panie Arundel, i Rosyankę, p. A. [1]). Arundel, córka, przywiozła z sobą ośmioletniego chłopczyka. Olcott mianował tego malca swoim chelą i »zrobił buddystą«. Przerobienia na buddystę miało udowadniać zastąpienie

[1]) Ta pani A. jechała z Brukseli do Elberfeldu razem z W. Sołowiewem, stanęła w jednym hotelu i razem odwiedzała Bławatską owego wieczoru, gdy portrety mahatmów były oświetlane. Patrzanie na te portrety wywarło i na niej skutki. W nocy widziała mahatmę Moryę. Od niej Bławatska dowiedziała się, co ją i Sołowiewa spotkało. Mahatma, pisząc do niej, również i ją chciał przekonać o prawdziwości wizyi. Autor »Współczesnej kapłanki Izydy« swoich rodaków oznacza w swej pracy kryptonimami.

chrześcijańskiego krzyżyka na szyi malca przez buddyjski amulet, poświęcony rękami mahatmy [1]).

Bławatska leżała na łóżku. Olcott siedział u jej nóg. Pani A., spoczywając na krześle, stojącem pośrodku pokoju, bawiła się z maleńkim buddystą. Nagle krzyknęła. List spadł z góry i leżał u jej nóg. Okazało się, że był to także od Moryi. Zwrócony on był teraz do pani A.

Wkrótce, po powrocie z Elberfeldu do Paryża, W. Sołowiew otrzymał od Bławatskiej list następujący: »Drogi W. S. Tout est perdu – même l'honneur. Co mam robić? Jeśli nawet pan mi się przyznałeś, że podejrzewasz mnie, że czasem mogę zastąpić rzeczywiste cuda fabrykowanemi, pan, dobry i drogi mój przyjaciel, to czegóż mam spodziewać się od wrogów? Oto, co Coulomb urządziła. Napisawszy jakieś, niby ode mnie otrzymywane listy, wydrukowała (ja nie widziałam ich jeszcze) w misyonarskiem czasopiśmie, w Madrasie wychodzącem. Listy te mają niby odkrywać cały systemat zorganizowanego oszustwa. Ja do niej nigdy dwóch wierszy nie napisałam [2]). Z tych listów wynika, że nasze mahatmy są to pęcherze, muślin i maski. Pan w nocy widziałeś pęcherz! Proszę to wiedzieć. Olcott widział mistrza kilka razy i dwa razy rozmawiał z Koot-Hoomi, oko w oko; oba były to tylko pęcherze, i t. d. Jak mi pan pomoże, pomimo najlepszych chęci — nie wiem. Utrzymujesz pan, że nic go nie łączy z Towarzystwem; ja zaś dla Towarzystwa, dla idei abstrakcyjnej, gotowam nietylko życie, lecz i honor poświęcić. Podałam się do dymisyi i opuszczam arenę czynu. Jadę do Chin, do Tybetu, do dyabła — jeśli potrzeba; jadę tam, gdzie mię świat nie znajdzie, tam, gdzie mię nikt nie zobaczy, i nie będą wiedzieli, gdzie jestem. Umrę dla wszystkich, oprócz dwóch, trzech, oddanych mi przyjaciół, jak pan. Chcę przeto, aby wszyscy sądzili, że umarłam. Potem zaś w rok, we dwa, jeśli śmierć o mnie zapomni, ze wzmocnionemi siłami znowu się zjawię. Tak postanowił i podpisał sam mahatma.

»Przedewszystkiem możesz pan każdemu objawić w Paryżu, że, ponieważ, nie bacząc na wszystkie me starania,

[1]) Amuletem tym był *phallus* srebrny.

[2]) Zapomniawszy widocznie o tem twierdzeniu, w innym liście zeznaje, że do Coulombów pisywała.

nie bacząc na to, com dla Towarzystwa zrobiła, ofiarowując mu swe zdrowie, życie i przyszłość, podejrzewają mię nietylko wrogowie, lecz nawet i swoi teozofowie, że przeto odcinam zarażony członek od zdrowego, to jest siebie od Towarzystwa. Wszyscy się chwycili za ten projekt z wielką skwapliwością, Olcott, pani Gebhard i inni; ja nawet współczucia nie doznałam... Panu ufam całkowicie. Mogę rządzić Towarzystwem i będę rządziła; lecz z daleka lepiej, niż w oczach wszystkich«...

Do tego listu Bławatskiej mahatma Koot-Hoomi włożył następujący bilecik, pisany po francusku: »Et les mahatmas ne l'abandonneront pas, mais la situation est furieusement sérieuse. O (Olcott) est bête, mais il n'y a pas d'autre. K. H.« [1]).

Mahatmowie, zrezygnowani, jeszcze w październiku wysłali pośpiesznie Olcotta do Indyi, a wyrok o Bławatskiej uległ zmianie. Dowiadujemy się o tem z tego listu: »Drogi W. S. Telegram za telegramem zwie mię do domu. Tam takie zamieszanie, że świata bożego nie widać. Jeden z naszych teozofów w Adyarze, Hartmann, do śmierci przytłukł misyonarza za paszkwil na mnie. Teraz rozpoczęła się wojna nie na życie, lecz na śmierć. Złożę swe stare kości za prawą sprawę. Zachowajcie mię w pamięci, drogi przyjacielu! Lecz się o mnie nie lękajcie. Mistrz obroni!... W tobie, Parabrama, położyłam moją ufność i nie będę zawstydzona na wieki. Oto tak *devotion!* Całą zgubili karyerę. Zatrzymam się dwa tygodnie najdłużej w Egipcie i następnie do domu wyjeżdżam. Dnia 1 listopada z Liwerpoolu na »Clan Mac Carthy« do Aleksandryi«...

Zbliżanie się do pola bitwy ożywia Bławatską, fantazya jej wzrasta. List następny zupełnie jest różny od pierwszego. Rezygnacya ustępuje miejsca brawurze rozpasanej: »Płynę w towarzystwie pana i pani Cooper Oakely (sprzedali oni dom i jadą ze mną, by zwyciężyć wroga lub razem zginąć) i *reverend Seadbeatera,* na tydzień przed naszym odjazdem z Londynu księdza, *un curé,* a teraz buddysty. Płyniemy w towarzystwie wstrętnych ośmiu misyonarzy, z którymi o mnie prawie codzień walka. Te cztery samcy

[1]) Mahatmowie jej nie opuszczą, położenie jednakże jest szalenie poważne. Olcott jest bydlę, lecz niema innego.

i cztery samice, obrzydliwi metodyści amerykańscy, już przeczytali paszkwile swych dyabelskich braci kalwinistów szkockich i rehoczą. Spozieram na nich, jak patrzy słoń na psiaka, i uspokajam się własnym niepokojem. Oni do mojego protestanckiego popka, a popek od nich do mnie i za mnie. Na Cejlonie dokonywam nad nimi zemsty publicznej. Przyzywam bowiem arcykapłana buddyjskiego i, przedstawiwszy mu popka angielskiego, głośno obwieszczam, że on (Seadbeater) chce przejść na buddyzm. On czerwienieje, lecz się niezbyt miesza, gdyż poważnie zabierał się do rzeczy, i oto wieczorem, na wybrzeżu morskiem, w świątyni Buddy, uroczysta odbywa się ceremonia. Nasz popek teozof recytuje *les 5 preceptes* (przykazań); wyrzynają mu kosmyk włosów na głowie. On staje się buddystą i służką, ja zaś — pomszczoną«...

Dnia 23-go grudnia (1884 roku) Bławatska stanęła w Madrasie.

VII.

Badania naukowe wiedzy starożytnych ludów wschodnich, zaznajamianie się ze znanemi im tylko siłami przyrody, zapowiedziane w programacie Towarzystwa Teozoficznego, ograniczyły się przeżuwaniem ezoterycznego buddyzmu. Ale nawet i tem, pozór naukowości noszącem zajęciem, organizatorowie Towarzystwa nie potrafili zainteresować właściwych sfer naukowych. Uczeni sanskrytologowie, badacze religii wschodnich, historycy - pozostawali obojętnymi dla prac i odkryć Towarzystwa. Słynęło przeto ono tylko »cudami,« dokonywanemi przez mahatmów i w imię mahatmów. Cudom zaś tym nadawano rozgłos z iście amerykańską wprawą w reklamowaniu.

Zjawianie się mahatmów i ich *cheli* (Damodara) w astralnem ciele, odgadywanie przez mahatmów i ich chelów myśli, podsłuchiwanie, niezależnie od przestrzeni, rozmów, przesyłanie listów drogą nieznaną, jako fenomeny, wchodziły w zakres zjawisk psychicznych.

W Londynie istnieje od lat kilkunastu zawiązane Towarzystwo dla badań psychicznych. Otóż to Towarzystwo,

z charakteru swojego i założenia, nie mogło nie zwrócić swej uwagi na sprawy Towarzystwa Teozoficznego.

Współcześnie z przyjazdem z Indyi do Europy organizatorów Towarzystwa Teozoficznego, więc w maju 1884 r., rada zarządzająca Towarzystwa Psychicznego wyznaczyła z łona Towarzystwa specyalną komisyę, której zadaniem stawało się zbieranie wiadomości o fenomenach Towarzystwa Teozoficznego. Komisyę ową stanowili następujący członkowie: Ed. Guroey, F. W. Myers, F. Podmore, G. Sidgwick, R. Hodgson, S. Stake i pani Sidgwick.

Członkowie ci, w czasie pobytu Bławatskiej, Olcotta i ich otoczenia w Londynie (od połowy lipca do połowy sierpnia 1884 roku), już rozciągali nad nimi swą badawczą kontrolę, co niechybnie skróciło ich pobyt w Anglii.

W jesieni tegoż roku stał się w dziejach Towarzystwa Teozoficznego fakt ważny wielce, dostarczył on bowiem zainteresowanym tem Towarzystwem nieocenionej wartości dokumentów. Państwo Coulomb, zaufani powiernicy Bławatskiej, którzy w czasie wycieczki jej w Góry Błękitne (latem 1883 roku) sprawowali rządy w głównej siedzibie Towarzystwa w Adyar, we wrześniowym i październikowym numerach *Madras Christian College Magazine* ogłosili szereg listów, otrzymanych w różnych czasach i z różnych miejscowości, a pisanych do nich przez Bławatską.

Kilka z tych listów poznaliśmy. Wszystkie są w jednych i tych samych sprawach pisane, a więc — nie różnią się od poznanych ani treścią, ani charakterem.

To nagłe zdarcie maski z organizatorów Towarzystwa Teozoficznego, to niespodziewane odkrycie sposobu robienia cudów, do których badania z całym aparatem poważnej nauki przystępowała komisya, było dla niej wypadkiem nieprzewidzianym i, względnie do danej rzeczy, zdumiewającym.

Wówczas to Bławatska postanowiła, na rozkaz zresztą mahatmy, podać się do dymisyi z prezydentury w Towarzystwie Teozoficznem, opuścić arenę działalności i ukryć się gdziekolwiek przed oczyma i ciekawością ludzi.

Lecz ogłoszenie jej listów na razie żadnych ze strony Towarzystwa Psychicznego kompromitujących ją postanowień i publikacyi nie wywołało.

Komisya Towarzystwa postępowała bardzo oględnie, rozumiejąc, że zbyt pośpieszny wyrok w sprawie tak drażliwej mógł ją narazić na zarzut stronniczości. Na miejsce większej ilości cudów i głównej działalności Towarzystwa Teozoficznego, do Indyi, został wysłany jeden z członków komisyi, R. Hodgson. Wszystkie zaś dokumenty, napływające do komisyi, jak oto: oryginały listów Bławatskiej, ogłoszonych przez Coulombów, listy Bławatskiej, nie podlegające zarzutom co do pochodzenia, a więc autentyczności, listy i kartki mahatmów, a zwłaszcza Koot-Hoomi, których znaczną ilość znajdowano, przedstawiono znanym w Londynie znawcom pisma, a w tej liczbie i ekspertowi przy Muzeum Brytańskiem, dla porównywania jednych z drugiemi i zadecydowania o ich autentyczności.

R. Hodgson wyjechał do Indyi w listopadzie. Wyprzedził go Olcott, a podążyła za nim Bławatska.

Łatwo jej bowiem było zresztą, ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zrozumieć, że nie ukryć się, lecz wskutek powolności komisyi, wystąpić jej należy. Bytność jej i Olcotta w Indyach mogły paraliżować szperania i dociekania wysłańca komisyi. Przytem, do ostatecznego zbadania sprawy, wydania i ogłoszenia wyroku, mogło upłynąć jeszcze sporo czasu, z którego umiejętnie tylko i zręcznie korzystając, można było jeszcze wielu rzeczy dokonać.

Stanąwszy pod koniec grudnia (1884 r.) w Madrasie, Bławatska następujący list pisze, pod datą 3 stycznia roku 1885, do W. Sołowiewa. Słowa jej jaskrawo przedstawiają stan rzeczy w Indyach, wywołany ogłoszeniami Coulombów, a jeszcze jaskrawiej malują jej fantazyę i cynizm. »Drogi, miły W. S., zmęczyłam się, przemęczyłam, a jednakże żyję, jak ten stary kot, mający dziewięć żywotów. Otóż i spisek, według wszelkich prawideł jezuickiej sztuki! Proszęż teraz powiedzieć, że mistrz nie strzeże mnie i nie broni jawnie i widocznie! Innej, na mojem miejscu, sam Bóg i sto dyabłów nie obroniliby, chociażby była również niewinna, jak nowonarodzone dziecię w kąpieli. Ja zaś, ledwiem się pokazała, a już tryumfuję. Proszę tylko, wyobraź pan sobie: drukują pod mojem nazwiskiem, aż ze 40 sztuk listów i wogóle zapisek, najgłupszych i bezsensowych w treści, wiele z nich wszakże jest w moim stylu i tyczą się feno-

menów, które w rzeczywistości się odbyły. Listy te niby uczą, jakby najlepiej można było oszukać tego, lub owego dostojnika... Wszystkie te listy drukują misyonarze, którzy, co dowiedziono, kupili je za 3,000 rupii z komentarzami i objaśnieniami od tych, wyrzuconych z Towarzystwa za złodziejstwo i pieniactwo, nikczemników. Jeszcze przed ogłoszeniem tych listów w druku, rozesłali do 50,000 plakatów drukowanych, głoszących: »Upadek pani Bławatskiej. Odkrycie jej kuglarstwa i bezwstydnego oszustwa. Upadek mahatmy Koot-Hoomi.« Lub: »Wielki mahatma jest lalką z pęcherzy i muślinu,« co wielkiemi literami naklejają na wszystkich rogach ulic w Kalkucie, Bombaju, Madrasie i t. d. W przeciągu czterech miesięcy, gazety, które nie czekają nawet, bym mogła odpowiedzieć z Paryża, czy pisałam kiedy takie listy, bezczeszczą mnie ulicznemi słowy. Zaś amerykańskie i londyńskie pisma grają rolę chóru z tragedyi starożytnych. Setki teozofów skompromitowane i służą za pośmiewisko! Lecz ani jeden się nie waha; wszyscy stoją za mną niby góry i dowodzą, że listy są sfabrykowane, że Coulombowie łotrzy i złodzieje, i że wskutek tego łatwo im przyszło z misyonarzami podrobić moją rękę. Na to im odpowiadają, że są durnie... Na dzień przed naszym przyjazdem, w Madrasie wyszło nowe świństwo. Pod nazwiskiem Coulomb, misyonarze wydali broszurę, w której do znanych potwarzy dodali nowe, np., że w 1872 r. (byłam wtedy w Odesie), miewałam w Kairze posiedzenia, dokonywałam rozmaitych kuglarstw, brałam za to pieniądze, byłam zdemaskowaną i zhańbioną... Lecz oto przyjeżdżamy. Misyonarze zebrali się na brzegu, ażeby się cieszyć mojem poniżeniem. Nie zdążyli z okrętu zarzucić kotwicy, a już tłumy teozofów wcisnęły się na pokład. Klękali, całowali nogi, nakoniec wynieśli mię na brzeg. Tam już moc wielka ludzi. Trzydzieści wozów z muzyką, chorągwiami, wieńcami z kwiatów. Złocone karety. Ledwom się pokazała na brzegu, podnieśli mię w górę. O mało nie ogłuchłam od dzikich krzyków tryumfu i radości! Nas nie konie wiozły, lecz teozofowie, w powozie, poprzedzali zaś powóz muzykanci, idąc tyłem... Na ratuszu oczekiwało 5,000 osób, 307 studentów z Christian College podało adres... Żądałam, ażeby mi pozwolono udać się do sądu ze skargą

na misyonarzy i Coulombów... Utrzymują, że wrogowie tylko tego chcą, żeby mnie wciągnąć do sądu... Oddałam się więc w ręce komitetu (teozoficznego)... Jeden radca teozof ofiarowuje mi na piśmie 10,000, drugi 30,000, trzeci dwie wsie na koszta procesu, lecz komitet nie pozwala, mówiąc: jesteś własnością Towarzystwa; spisek nie przeciw tobie, lecz teozofii wogóle. Siedź więc cicho. Będziemy cię bronili wszyscy...«

Po kilku miesiącach milczenia, nowy list do W. Sołowiewa, lecz już pisany z Europy, z Neapolu (29 kwietnia 1885 r.). Tryumfy indyjskie nie trwały zbyt długo, okazała się potrzeba ucieczki, najbliżsi ją do tego zmusili, korzystając z jej choroby. Oto co w tym liście czytamy: »Drogi W. S. Jestem tutaj! Przywieźli mię wpół żywą. Gdybym pozostała w Indyach, umarłabym... Upakowali mię i prosto na okręt francuski, wysławszy ze mną doktora Hartmana, Bavadgi (chela mahatmy Koot-Hoomi, który mu rozkazał iść za mną aż do mojej śmierci), i angielkę miss Flynn, która nie chciała mię porzucić...«

Z listu do pani Morsier, pisanego we dwa tygodnie, ważną jest wiadomość: »Misyonarze protestanccy stracili 45,000 rupii, pisze mi Olcott, na przekupienie świadków, którzy do takiego stopnia wszystko kłamali i gmatwali przed Hodgsonem, że biedny stracił głowę i nakoniec uwierzył, iż nie było żadnego fenomenu, czy to z moim udziałem, czy też bez niego, prawdziwego i, że zacząwszy ode mnie i pułkownika, a kończąc na Damodarze, wszyscyśmy oszuści i szarlatani...« Słowa te podnoszą zasłonę z odkryć Hodgsona.

Z innego listu, pisanego do Sołowiewa (23 maja), poznajemy owoczesne otoczenie Bławatskiej... Donosząc o wyjeździe Hartmana, pisze między innemi: ...»Straszny to człowiek; wyrządził mi więcej złego swoją obroną i częstokroć fałszem, niż Coulombowie otwartem swem kłamstwem. On to, broniąc mnie w gazetach, pisał takie *ekiwoki*, iż nawet nieprzyjazne mi pisma ze zdziwienia otwierały usta, powtarzając: Oto przyjaciel!... Raz występował za mną w listach do Hume'a i do innych teozofów, ale potrącał o takie nikczemności, iż jego korespondenci zwrócili się przeciw mnie. On to właśnie przerobił

Hodgsona... z przyjaciela mego, jakim był przedtem, na wroga. On, cynik i łgarz, chytry i mściwy! Jego miłość dla mistrza, która wzbudza w nim zawiść ku każdemu, na kogo mistrz zwraca swoje względy, jest wprost wstrętną... On przeciw mnie podburzył wszystkich Europejczyków w Adyarze... Teraz mi się udało uwolnić Towarzystwo od niego, gdyż zgodziłam się wziąć go z sobą w roli lekarza. Towarzystwo i pierwszy Olcott tak się go obawiają, że nie śmieli go sami przepędzić«... I naiwną upatruje, oprócz zazdrości, jego nieprzyjaźni ku sobie przyczynę: »Wszystko to on zrobił, żeby owładnąć mną mógł sam jeden, żeby wyssać ze mnie, póki jeszcze żyję, wszystko, co wiem, aby nie dopuścić, by Subba Rao pisał ze mną *La doctrine Secrète*, lecz samemu ją pisać pod mojem kierownictwem. Omylił się jednakże bardzo. Przywiozłam go, lecz mu zapowiedziałam, że pisać teraz *The secret doctrine* nie będę... Odmówiłam mu choćby jednego słowa objaśnienia o okultyzmie. Widząc, że przysięgłam sobie milczeć i że uczyć go nie będę — odjechał nakoniec«...

O drugim swym towarzyszu pisze: ...»Dzięki Bogu, że Hartman odjechał; dziś jest nas tylko troje: oddana mi Mary Flynn i mój mały Deb (Darbagiri Nao), którego nazywamy Bavadgi. Ten za mnie w ogień i wodę wskoczy. Rzucił rodzinę, kastę, towarzystwo — dla mnie i przysiągł uroczyście, wobec całych, kochających mnie Indyi, nie opuszczać mnie aż do śmierci mojej. Ów niewinny Indus nie rozmawiał do poznania się ze mną z żadną jeszcze kobietą, oprócz swojej matki«...

Lato pani de Morsier przebywała w Szwajcaryi, w maleńkiej mieścinie St. Sergues. Do mieściny tej zjechał i W. Sołowiew. Bławatska, dowiedziawszy się o tem, jadąc z Neapolu na dłuższy pobyt do Niemiec, wstąpiła do tego miasteczka, w celu odwiedzenia swoich przyjaciół.

Tam to miss Flynn, wobec dwojga przyjaciół Bławatskiej, zeznała, że prawie codzień widuje mistrza, gdy ten odwiedza »madame« (tak zwykle w kole teozofów nazywano Bławatską). Tam również przyjaciele Bławatskiej dowiedzieli się z ust jej własnych o wielkiej tajemnicy jej żywota. Oto pozostała ona dziewicą, pomimo swego wyjścia za mąż i pogłosek o bardzo swobodnem życiu, gnębiących ją nie-

winnie. Owa to dziewiczość pozwoliła jej ujrzeć wielką Izydę nagą, to jest dojść do absolutnej wiedzy i prawdy...[1]).

W St. Sergues opuściła Bławatską oddana jej miss Flynn. Wyjść to mogło na lepsze dla sprawy. »Młoda ta osoba — świadczy W. Sołowiew — postępowała dość dziwacznie. Wymyślała sobie dziwne sposoby czesania się i strojenia głowy i, chociaż ani słowa nie mogła wyrzec po francusku, bywała na uroczystościach wiejskich, śpiewała tam i tańczyła z wielkiem ożywieniem. Zaczęła nakoniec propagować buddyzm kilku niewinnym Szwajcarom. Kazania jej misyjne polegały głównie na dziwacznej gestykulacyi i ciągłem ukazywaniu wiadomego amuletu buddyjskiego, który nosiła na piersiach zamiast krzyża. Niepojęte gesty a wyraźny dość amulet wywierały sensacyę« ...

Bławatska wybrała Würzburg na miejsce pobytu w Europie. Rozstając się z W. Sołowiewem w Lucernie, zaproszenie swoje, żeby ją tam odwiedził, zakończyła temi słowy: »Pomieszka pan w Würzburgu dwa miesiące. Klnę się, że nie będziesz pan tego żałował. Czego się domagał napróżno Hartman — pan otrzymasz. Codzień będę dawała lekcye okultyzmu. Mistrz na to zezwolił. Nic przed panem nie ukryję. Fenomenów zaś będzie, ile się podoba«.

VIII.

Chociaż Bławatska w kilku przytoczonych listach swoich chciała jakoby przygotować przyjaciół do mającego spaść na nią z Londynu gromu w postaci odkryć, poczynionych w Indyach przez delegata Towarzystwa Psychicznego, R. Hodgsona; chociaż ów delegat jeszcze w kwietniu powrócił był już ze swej misyi — grom, przez nią przewidziany, jakoś jeszcze nie spadał. Należało się przeto przygotowywać do ciosu. Czas jeszcze starczył.

Urządzenie się jej na pobyt dłuższy w Würzburgu, a raczej urządzenie tam pobytu dla niej przez czcicieli, dwór jej i otoczenie stałe i przygodne nie uległy, w porównaniu z latami poprzedniemi, żadnej zmianie widocznej.

---

[1]) Jedno z dzieł teozoficznych Bławatskiej nosi tytuł *Isis unveiled* (Izyda obnażona, odkryta).

Zajęcia i cały sposób życia szły zwyczajnym trybem. Wśród dawniejszych gości spotykali się i nowi.

Przybywszy w sierpniu do Würzburga na lekcye okultyzmu, Sołowiew zaczął ich słuchać, ale, jak utrzymuje, nie potrafiły go one osobliwie zainteresować; nie z tej wszelako przyczyny, by Bławatska nie chciała, lecz po prostu nie mogła przedstawić nic nowego. Obiecane fenomeny, przynajmniej w wielkim stylu, także jakoś nie następowały. Kilka drobnych wypadków przygotowywało jednakże pewne rozwiązanie...

Raz, gdy nadszedł, ujrzał przy stole, przed którym na fotelu siedziała Bławatska, pochylonego Bavadgi. Chela ów mahatmy Koot-Hoomi miał dziwnie uroczysty i jakiś pomieszany zarazem wygląd. Na stole leżały luźne karty papieru i ołówek. Gdy Bławatska poczęła narzekać przed gościem na chelę, że z przyczyny ascetyzmu krańcowego gotuje sobie śmierć przedwczesną, a gość, chodząc po pokoju, śledził oczyma każde poruszenie niepoprawnego ascety, ten począł, niby w natchnieniu nagłem, kreślić coś na jednej z kart. Sołowiew zbliżył się i ujrzał dwa wyrazy, napisane na karcie: *Błażennyje wruszczyje* (błogosławieni — kłamiący). Opuszczenie dwóch głosek w wyrazie *wierujuszczyje* (miało być bowiem nie *kłamiący*, tylko *wierzący*) wydało nieudolność mahatmy w udzielaniu chelom gotowej znajomości obcych języków, czego Bławatska w chęci przekonania sceptyka naturalnie przewidzieć nie zdołała. Rzuciła się więc gwałtownie, by porwać kartę, lecz otyłość, czy też puchlina, stanęły jej zamiarowi na przeszkodzie. Bavadgi wybiegł z pokoju, kryjąc twarz z przerażenia.

Pewnego razu W. Sołowiew w rozmowie wyraził życzenie posiadania kilku kropli olejku różanego, w Indyach specyalnie przyrządzanego. Bławatska mu odrzekła: »Szkoda, że takiego nie posiadam, ale nie ręczę, czy nie otrzyma go pan z Indyi, i to wkrótce«... W pół godziny potem, po przejściu Bławatskiej obok siebie, uczuł w kieszeni swojej jakiś przedmiot. Wyjął go. Był to flakonik z płynem jakimś. Otworzył. Przekonawszy się jednak, że płyn nie jest różany, którego pożądał, oddał dar mahatmy pośredniczce i rzekł: »Jest to olejek pomarańczowy; mistrz się pomylił«. »Niech dyabeł porwie!« — wykrzyknęła w gniewie.

Oto raz, gdy zadźwięczał srebrny dzwonek, co miało oznaczać, że mahatma jest obecny, chociaż niewidzialny, jakiś przedmiot upadł koło Bławatskiej. W. Sołowiew schylił się i podjął. Był to przyrząd do wydawania tych dźwięków. Niezręczna wyjątkowo tym razem wyręczycielka czegoś nieznanego pochwyciła ten przyrząd i schowała.

Zdarzyło się też z toku rozmowy, że Bławatska, chcąc pokazać fotografię jakiegoś Indusa, poprosiła Sołowiewa, by wyjął ją ze stojącej opodal szkatułki. We wskazanej szkatułce żądana fotografia znalazła się, lecz była związana razem z paczką kopert chińskich, w których zwykle mahatmowie zsyłali swe listy...

Wyskakująca ta z zasłon maszynerya upoważniła patrzącego na nią W. Sołowiewa do odezwania się w te słowa do Bławatskiej: »Czas, by już ostatecznie skończyć całą tę komedyę... Oddawna już, patrząc na panią, dziwię się, że kobieta tak rozumna postępuje ze mną, jak z dzieckiem«... Bławatska spojrzała ostro, niby do głębi chcąc wzrokiem przeniknąć. On patrzał wciąż śmiało, uśmiechał się i, jakby strofując, kiwał głową. »Więc, jeśliś pan przekonany, że oszukuję, powinieneś mną pogardzać«. — »Oszustwo jedno bywa różne od drugiego. Grać rolę, jaką pani gra, pociągać za sobą tłumy, zainteresowywać uczonych, zakładać Towarzystwa w różnych krajach, wzbudzać wszędzie ruch, to rzecz niezwykła. Ja patrzę i podziwiam«... Ponure oczy i wystraszone oblicze Bławatskiej zaczęło się wyjaśniać, wzrok zapałał. Jakaś myśl uderzyła ją, jakieś kombinacye uniosły. »Cóż robić, — między innemi słowy wyrzekła — kiedy dlatego, by władać ludźmi, potrzeba ich oszukiwać; by ich porwać, by zmusić iść dokąd, należy im obiecać, lub pokazać zabawkę... Oddawna już zrozumiałam te *duszki* i *serdeńka;* głupota ich wielce mnie zadowala... Każdy fenomen, im jest grubszy i głupszy, tem lepiej się udaje. Ogromna ilość ludzi, uważanych i mających siebie za mądrych, są istotnymi głupcami. Jakie to lwy i orły, we wszystkich częściach świata, na dźwięk mej świstawki, przeradzały się w osłów i posłusznie machały długiemi uszami!...« — »Jednakże często się zdarza, iż panią demaskują przy dziwnej nieostrożności jej i roztargnieniu«. — »Bardzo się pan myli! — wykrzyknęła z zapałem: — rzeczywiście, bywam

nieostrożną i roztargnioną, lecz ludzie, z bardzo, bardzo małemi wyjątkami, są to po prostu same cietrzewie, ślepcy nic nigdy niespostrzegający... Co najmniej dziewięć dziesiątych ludzi jest pozbawionych zdolności uważania, a nawet pamiętania tego, co się zdarzyło na parę godzin przedtem. Ileż to razy pod mojem kierownictwem i redakcyą spisywane były protokóły różnych wydarzeń i fenomenów — i cóż?... najniewinniejsi i najsumienniejsi ludzie, nawet sceptycy, nawet podejrzewający mnie, podpisywali je, jako świadkowie, całem swem nazwiskiem. Śmiało twierdzę, że w historyi najbardziej autentycznej jest więcej fantazyi, niż prawdy.« — »Czy tylko pani sama jest autorką filozoficznych i innych listów Koot-Hoomi?« — korzystając z chwili wtrąca Sołowiew. — »Nie, czasami pomagali mi chele: Damodar, Subba-Rao, Mogini«. — »A Sinnett?« [1]). — »Sinnet prochu nie wymyśli; lecz styl jego przepyszny, redaktor z niego doskonały«. — »A Olcott?«. — »Olcott także może nieźle zredagować, kiedy rozumie, o co rzecz idzie. Tylko mu należy wszystko rozżuwać, co nakoniec nudzi. Lecz on umie mówić z Indusami, umie na nich jakoś oddziaływać; trzeba mu to przyznać... Zresztą, on mi często pomagał w *fenomenach*, lecz sam niczego nie wymyśli. Z nim zawsze tak: siądź tu, powiedz to, zrób tak«... — »Proszę mi pokazać swój dzwonek czarodziejski« — nalegał W. Sołowiew. — »Tak, dzwonek czarodziejski! — w zapomnieniu pokazując, zawołała: — rzecz dowcipna. To mój okultystyczny telegraf; z jego pomocą porozumiewam się z mistrzem»... Chciał wziąć go do ręki, by obejrzeć, lecz Bławatska, spostrzegłszy się, schowała dzwonek do stolika i zamknęła na klucz. — »Im więcej kto umie, tem prędzej się starzeje — wyrzekła; — wszystko zresztą w swoją porę... Teraz zaś, co najgłówniejsze: wybaw mnie, pomóż, przygotuj grunt dla działalności mojej w Rosyi... Pisz dużo, rozprawiaj głośno o Towarzystwie Teozoficznem, zaimponuj im, wydaj rosyjskie listy Koot-Hoomi... Dostarczę wszystkich materyałów«...

W. Sołowiew wybiegł bez pożegnania.

---

[1]) Wielki głosiciel sławy i potęgi Bławatskiej, oraz autor kilku dzieł treści teozoficznej: *The Occult World, Esoteric Buddhisme, Hints on Esoteric Theosophy, Incidents in the life of M-me Blavatsky.*

Zaledwie jednak zdążył u siebie w hotelu zapisać całkowitą rozmowę, oprzytomnieć, ochłonąć z wrażenia, zastanowić się, co dalej przedsięwziąć, wpadł Bavadgi z kartką od Bławatskiej. Pisała w niej ona: »Tylko co widziałam mistrza. To, co on rozkazał mi panu powiedzieć, będzie dla niego zupełną nowością i wpłynie być może na nasze losy«... Bavadgi nalegał słowami i gestami, by w tej chwili powrócił.

Gdy stanął przed Bławatską, znikły z jej oblicza wszelkie ślady dawniejszego wzruszenia — a z pamięci, jak się przekonał, treść prowadzonej rozmowy. Gdy chciał bowiem zawiązać ją na nowo, wyparła się swych słów i zeznań, objaśniając to tem, że często jakiś dyabeł, wróg jej mistrza, w nią wchodzi. Wtedy on w niej mówi i za nią działa, ona zaś po wyjściu jego pozostaje w zupełnej nieświadomości wszystkiego, co się stało...[1]). Rozmowa ciągnęła się dalej, lecz się nie kleiła. Nakoniec usłyszał: »Żeby dopomódz zwycięstwu nad tymi podłymi Anglikami, jestem zdolna do wszystkiego. Nienawidzę rządu angielskiego w Indyach z jego misyonarzami; wszyscy oni są moimi osobistymi nieprzyjaciółmi, pragnącymi mej zguby... A ileż to ja biedy mogę im narobić w Indyach... i tylko ja jedna; nikt, oprócz mnie, nie jest zdolny do takiej roli. Mój wpływ na Indusów jest wielki... Za mną, na moje skinienie, rzucą się ich miliony... Z łatwością urządzę wielkie powstanie, byleby mi dostarczono tylko środków pieniężnych, byleby mi dano możność dostania się do Indyi przez Rosyę«...

Na taki dzień warto było czekać chociażby dwa lata. W. Sołowiew odkrył Bławatską taką, jaką była, i to zapewne w bardzo rzadkich chwilach, tylko dla siebie. Obnażył jej skryte myśli, dociekł jej tajemnic. Lecz stronnicy jej i czciciele mogli go zapytać: gdzie są fakta, gdzie dowody, gdzie dokumenty?[2]).

---

[1]) Dla udowodnienia prawdziwości swego tłómaczenia się, opowiedziała Bławatska fakt taki: Niegdyś w Ameryce szalał za nią z miłości jakiś młodzieniec. Gdy raz jego postępowanie z nią wydało się jej zbyt śmiałem, i zgromiła go, oświadczył jej, że ona jest jego żoną, ponieważ wziął z nią ślub, na co przedstawił świadka w osobie Olcotta. Otóż, w niej wtedy, kiedy brała ślub z tym młodzieńcem, gospodarował dyabeł.

[2]) Po powrocie z Paryża otrzymał był W. Sołowiew od Bławatskiej list, w którym ta pisze, że zdecydowała się odkryć publicznie wszystko

Pragnący ją bronić temi pytaniami wkrótce byli zmuszeni zmienić taktykę w bronieniu. Na te bowiem pytania znalazła się odpowiedź w postaci faktów udowodnionych, dowodów sprawdzonych, dokumentów autentycznych.

Na początku roku 1886, kiedy Bławatska przebywała jeszcze w Würzburgu, w publikacyach Towarzystwa Psychicznego (Proceedings) ogłoszone zostało w imieniu komisyi, zawiązanej dla zbadania fenomenów Towarzystwa Teozoficznego, sprawozdanie członka tej komisyi, R. Hodgsona.

Obejmuje ono przeszło 200 stronic i oprócz wstępu (»Objaśnienia i uchwały komisyi«) zawiera dwie części. W I-szej: przebieg historyczny kwestyi, przyczyny podróży do Indyi R. Hodgsona, listy Bławatskiej ze szczegółowym opisem omawianych w nich fenomenów, opis okultystycznej komnaty i szafy; dalej—zbadanie astralnych podróży Damodara i mahatmów, objaśnienie spadających listów, drobiazgowy rozbiór fenomenów, podanych w dziele Sinneta: *The Occult World.* Część II-ga uzupełnia podane w poprzedniej części badania dokumentami, np. podobiznami listów Bławatskiej i Koot-Hoomi, decyzyą ekspertów o autentyczności tych listów, wnioski co do autorstwa ostatnich i t. d. Ze swej strony komisya, w charakterze dodatków, pomieściła zeznania kilku osób o fenomenach. W tej liczbie W. Sołowiewa o widzeniu w Elberfeldzie.

Ze sprawozdania widzimy, że delegat zwiedzał miejsce każdego cudu, rozpatrywał pozycyę, badał ustnie wszystkich świadków, wyciągał od nich zeznania na piśmie, któremi kontrolował świadków wzajemnie; sprawdzał każdy szczegół, podany bądź w opisie fenomenu, bądź przytoczony przez świadków [1]).

Oto, do jakich wyników R. Hodgson dochodzi:

---

i nie będzie nikogo oszczędzała. List ten w danym razie mógłby służyć za dowód, że było coś, co należałoby odkryć, a więc coś, co kryła. Lecz żeby to, co kryła, było nieodzownie oszustwem, tego jeszcze z listu owego wywnioskować się nie dawało.

[1]) Jako dowód, do jakiego stopnia posunął R. Hodgson drobiazgowość w poszukiwaniach, może służyć szczegół, że odkrył dzień, kiedy Coulomb kupiła owe dwa spodki, które służyły jej do fenomenu, urządzonego dla Morgana, gdzie je kupiła i za jaką cenę.

1) Główni świadkowie istnienia mahatmów: Bławatska, Damodar, Bavani, Chancar, Bavadgi umyślnie składali fałszywe zeznania przy innych okolicznościach w tej sprawie, wskutek czego do słów ich i zapewnień nie można przykładać żadnej wiary.

2) Ekspertyza pisma wykazuje, że Koot-Hoomi i Morya są osobistości wymyślone, w rzeczywistości nie istniejące.

3) Żaden z wiadomych mu fenomenów nie może być brany na seryo; świadkowie każdego gmatwali sprawę w swych zeznaniach, nieraz widocznie z rozmysłem kłamali.

4) Nie nastąpiło udowodnienie żadnego »cudu«; owszem, wiadome mu i sprawdzone fakta wykazują tylko oszustwo[1]).

Komisya objaśnienia swoje i uchwałę kończy temi słowy: »Otaczający Bławatską wychwalali jej talenta w większości wypadków bezwiednie; wielu nawet, być może, nie dopatrywało w niej uzdolnienia umysłowego w tak wysokim stopniu, w jakim było w rzeczywistości. Co się zaś tycze nas, my nie widzimy w niej przedstawicielki tajemniczych mędrców, a tem mniej zwyczajnej awanturnicy, i sądzimy, że wyrobiła ona sobie miejsce w historyi, jako jedna z najbardziej skończonych, dowcipnych i ogólne zainteresowanie wzbudzających, oszustek naszej epoki«.

Po ogłoszeniu tego wyroku, oczy czcicieli Bławatskiej zwróciły się ku niej. W ustach wszystkich brzmiało jedno pytanie: Cóż teraz? gdzie mahatmy? czemu nie zastosowują tajemniczej swej siły i wszechpotężnych środków do obrony swej ulubienicy? Cuda jednakże, jak i we wszystkich wypadkach, gdy miały stwierdzić rzeczy nadprzyrodzone i wierzących w nie od hańby lub śmierci uwolnić, tak i w tym razie jakoś się nie pokazywały.

Bławatska ogłosiła protest przeciwko wynikom śledztwa i wyrokowi. Oto, jak brzmi ów dokument w głównych swych ustępach: »...Sprawozdanie to obwinia mię o zmowę z Coulombami i wielu Indusami, w celu oddziaływania za pomocą oszustwa na lekkomyślność otaczających mnie osób,

---

[1]) Jedna rzecz razi w tem sprawozdaniu, a mianowicie to, że R. Hodgson uniewinnia Olcotta. Wprawdzie za przyczynę podaje niepoczytalną jego głupotę, wskutek której stał się tylko ślepem narzędziem w rękach innych.

i przyznaje za autentyczny cały szereg listów, jakoby napisanych przeze mnie w tym przypuszczalnym spisku do Coulombów, chociaż ogłosiłam, że część większa tych listów jest sfałszowana. Rzecz godna uwagi, że od samego początku śledztwa do dnia dzisiejszego, oskarżyciele moi, którzy, stawszy się jedną ze stron procesujących się i zarazem sędziami, uznali mnie winną, nie dali mi do rozpatrzenia tych obwiniających mnie listów. R. Hodgson, będąc w Madrasie, ukrył swe podejrzenia przed moimi przyjaciółmi i towarzyszami, a nadużywszy ich gościnności w głównej siedzibie Towarzystwa, gdzie każdy bez wyjątku pomagał mu w przeprowadzeniu badań... teraz pomocników swoich dawniejszych nazywa kłamcami i oszustami... R. Hodgson, a z nim komitet, wiedzą, że mu nie grozi z mej strony skarga o oszczerstwo, ponieważ nie mam środków pieniężnych[1]), żeby rozpocząć tak drogi proces (wszystko, com posiadała, poświęciłam sprawie, której służę), a również i dlatego, że udowodnienie mej niewinności wymagałoby zbadania tajemnic psychicznych, czego sąd nie może odpowiednio dokonać... Taki stan rzeczy objaśnia bezwstydną napaść na bezbronną prawie kobietę, a również i bezczynność, na jaką jestem tak okrutnie skazana«.

Znając dobrze ludzi, nie znała jednakże ich w zupełności, skoro się obawiała, że może cokolwiekbądź skazać ją na bezczynność.

Odkrycia W. Sołowiewa i R. Hodgsona, a przytem wyrok potępienia, wydany przez Towarzystwo Psychiczne, nie wpłynęły na losy H. Bławatskiej. Sposób życia jej pozostał poprzedni. Środki utrzymania i ilość chelów i czcicieli nie zostały zmniejszone. Towarzystwo Teozoficzne, w zamian utraconych, wskutek przedstawionych wypadków dawnych członków — zdobywało nowych. Przeżuwacze buddyzmu

[1]) Jak widać, zapomniała, że jeden z radżów ofiarowywał jej 10,000, drugi 30,000 rupii, a trzeci—dwie wsie na prowadzenie procesu. W listach jej bardzo często zdarzają się takie sprzeczności.

nazywali swoją robotę »neo-buddyzmem«. Znalazła się nawet następczyni Bławatskiej, po jej śmierci, w osobie Anny Besant. A pułkownik Olcott rozwozi popioły jednej »z najbardziej skończonych, dowcipnych i ogólne zainteresowanie wzbudzających oszustek naszej epoki« w różne części świata. Bo któż, jak napisał mahatma Morya, zdoła otworzyć oczy nie chcącemu widzieć?

Mundus vult decipi — *ergo decipiatur.*

Hipokrates i nowy zwrot w etnologii.

Jeżeliby przyczyną różnorodności pomiędzy ludźmi były wyłącznie cechy rasowe, to jest te, które stanowią podział ludzi na rasy, etnologia, jako nauka o ludach, byłaby całkowicie zależną od geografii; tylko bowiem odkrycia geograficzne dostarczaćby jej istotnego materyału mogły, tylko wraz z temi odkryciami powstaćby sama zdołała. Jednakże tak nie jest. Różnice, zachodzące w wyglądzie zewnętrznym i usposobieniu wewnętrznem ludzi, w ich umysłowem uzdolnieniu i charakterze, w sposobie życia i obyczajach, nawet w obrębie jednej rasy należą do zjawisk, które same przez się uderzają w oczy i zwracają na siebie ogólną uwagę. Chociaż przeto dociekanie przyczyn tej różnorodności na drodze spostrzeżeń i badań naukowych wymagało już znacznego przygotowania i wyrobienia umysłowego, nie później wszakże, jak w wieku V przed erą naszą, już się one rozpoczynają, wprawdzie tylko w Grecyi.

Dość jest, ażeby się o tem przekonać, poznać księgę Hipokratesa (460 — 377): *O powietrzu, wodach i okolicach.*

Księga ta jest napisana w celach leczniczych. Autor przeto, rozprawiając o powietrzu i wodach, głównie wykazuje ich dodatnie i ujemne wpływy na zdrowie; jednakże, gdy przechodzi do okolic, spotykamy takie rozdziały: *O różnicy pomiędzy klimatem Europy i Azyi i ich ludami; O mieszkańcach z nad jeziora Meotyjskiego* (morza Azowskiego); *O ludności długogłowej, O mieszkańcach Kolchidy, O wpływie pór roku na charakter ludności; O amazonkach sarmackich; O życiu i obyczajach Scytów; O klimacie scytyjskim i składzie*

ciała mieszkańców; Dlaczego Scytowie nie rozpładzają się? Przyczyny różnorodności ludów europejskich w stosunku do azyatyckich. — Każdy z nich jest już notatką etnologiczną. Najważniejszym wszelako jest ostatni: *O własnościach różnych ludów europejskich.*

Ponieważ rozdział ten stanowić może wstępną kartę do etnologii, streszczam go, korzystając z przekładu d-ra Łuczkiewicza: »Są w Europie plemiona, różniące się między sobą tak wzrostem i kształtami, jakoteż i męstwem (przez męstwo pojmuje tu autor, jak sądzę, własności psychiczne). Lud, zamieszkujący okolice górskie, skaliste, wyniosłe i w wodę obfitujące, gdzie zmiany pór roku bywają bardzo wyraźne i rozmaite, odznacza się zazwyczaj wysokim wzrostem, wyposażony z natury zdolnością do ponoszenia trudów i walecznością; niemniej przecież ludzie tego rodzaju bywają charakteru gwałtownego i dzikiego. Ludność znowu, żyjąca w okolicach nisko położonych, w łąki obfitujących, w parnych dolinach, nawiedzanych częściej wiatrami ciepłemi, aniżeli zimnemi, używająca za napój wody, także ciepłej, nie bywa ani wysokiego wzrostu, ani prawidłowej budowy, lecz z urodzenia już wszerz rozrosłą, mięsistą, o czarnych włosach, cery czarnej raczej niż białej, żółciowego bardziej, aniżeli flegmatycznego usposobienia. Natura nie obdarzyła tych ludzi równym stopniem waleczności, ni pracowitości; wszelako powołane w pomoc odpowiednie prawa i zwyczaje, mogłyby rzeczone własności w nich wykształcić. Mieszkańcy wyżyn równych (płaskowzgórzy), wiatrem nawiedzanych i obfitujących w wodę, są wysokiego wzrostu, o kształtach prawie sobie równych, trwożliwego i łagodnego usposobienia; mieszkańcy zaś okolicy jałowej, nagiej i bezwodnej, gdzie zmiany pór roku różnym ulegają wahaniom, muszą mieć i ciało suche, napięte, cerę żółtą raczej niż czarną, charakter popędliwy, samowolny i uparty. (Autor, nie znając czarnych Murzynów i żółtych Mongołów, wyrazów tych używa dla oznaczenia odcieni tylko cery białej, nie zaś koloru skóry, stanowiącego podstawę obecnego podziału ludzi na rasy). Najbardziej też wpływają rzeczone dopiero stosunki na zmianę natury człowieka; zaczem idzie grunt ziemi, z której człowiek czerpie swą żywność, wreszcie woda, do użytku służąca. Jakoż w ogól-

ności z naturą miejscowości idą w parze zawsze tak zewnętrzne kształty, jakoteż i wewnętrzne usposobienie ludności. Gdzie przeto gleba tłusta, pulchna, nawodniona, gdzie źródła bardzo płytkie, tak, że woda ich ciepła w lecie a zimna w zimie, gdzie pory roku względnie odpowiednie, tam też i skład ciała mieszkańców bywa mięsisty, wilgotny, o wygładzonych stawach, niezdolny do znoszenia trudów znojnych, zaś umysły ich najczęściej płytkie; gnuśność i ospałość panują nad nimi; w zakresie sztuk pięknych są ciężcy, bez polotu i bystrości. W miejscowości znowu nagiej, nieosłoniętej, skalistej, przez mrozy ściskanej zarówno jak przez upały prażonej, bywa lud szczupły, silny, o wyraźnych stawach, jędrny i bujnie porośnięty. Pracowitość, bystrość i czujność znamionują tych ludzi, zarazem duma z uporem obok zapalczywości, przeważające nad łagodnością charakteru; w sprawie sztuk pięknych są daleko bystrzejsi i pojętniejsi od tamtych, a na wojnie waleczniejsi. Wszystkie także płody tutejsze odpowiadają własnościom takiéj ziemi« [1]).

Oto więc fakt różnorodności wśród ludzi, zamieszkujących brzegi mórz śródlądowych świata starego (Śródziemnego, Czarnego i Azowskiego), a więc przeważnie należących do jednej rasy, białej [2]), stwierdzony, cechy samej tej różnorodności subtelnie pochwycone, przyczyny jej w przyrodzie, we wpływach zjawisk atmosferycznych i w warunkach geograficznych, poruszone. Etnologia przeto jako nauka samodzielna, chociaż jeszcze tej nazwy nie nosząca, z oznaczonym dokładnie zakresem badań, została postawiona odrazu na właściwym gruncie. Następnie, wyprowadzenie głównych typów ludności, zależnych jedynie od miejscowych warunków otoczenia: gór, nizin, płaskowzgórzy, otwierało szeroką drogę do dalszych poszukiwań i zastosowywań; poszukiwań nowych typów, wynikających bądź to z rozmaitych kombinacyi wyszczególnionych warunków, bądź też z różnicowania znanych przez dokła-

[1]) *Dwie księgi Hipokratesa.* Warszawa, 1890. Str. 74 — 78.

[2]) Pamiętajmy, że nietylko światy nowe z ich ludnością nie podlegały badaniom Hipokratesa, ale nawet Azya środkowa i wschodnia, z jej ludnością żółtą, i Afryka środkowa i południowa, z jej ludnością czarną.

dniejsze poznawanie tych warunków; zastosowywań przez rozszerzanie badań na coraz to szersze przestrzenie i nieznane dotychczas ludy. Dalej, wykazana zależność od gleby, naturalnie obejmowała zależność i od pokarmów; potęgując siły przyrody, wprowadzała nową naukę w styczność z obcą napozór sferą zjawisk, które jednakże wymagały nowych spostrzeżeń oraz specyalnych przygotowań do właściwego tych spostrzeżeń zużytkowania. Nakoniec, przewidywana możność przez odpowiednie »prawa i zwyczaje«, więc instytucye społeczne, wprowadzenia i rozwijania w ludach dodatnich właściwości, którychby im brakowało, wykazywała konieczność innego prawodawstwa niż to, które wyłącznie cele polityczne ma na względzie i te urzeczywistnia. Antropotechnika ukazywała się na horyzoncie wiedzy. Pozostawało tylko pójść we wskazanym kierunku, a nowa nauka, zainteresowując ogół odkrywanemi mu dopiero, a dotychczas nieznanemi, stronami życia, owładnąćby mogła umysłami, wpływać na dalszy kierunek badań i podnosić poziom wiedzy.

Dwa światy, człowiek i przyroda, zespolone w rzeczywistości, w istnieniu, nietylko tam w tajemnicy zespolonemiby pozostawały, lecz zespoliłyby się i w pojęciach ludzkich, w ich nauce i wiedzy. Byt narodów, oparty i w pojęciu na niewzruszonej podstawie, przyrodzie, bądź wykluczałby wszelki przypadek z życia, bądź poddając ów przypadek pod ogólne prawa, odbierał mu szkodliwość, związaną z jego nazwą. Chcąc poznać człowieka i narody, nie uciekanoby się już i wówczas do mytów i legend, lecz patrzonoby w przyrodę, niby w otwartą księgę, i w niejby czytano. Na tak pojętej i uprawianej etnologii oparta historya innegoby znaczenia nabrała w wychowaniu jednostek, społeczeństw i ludów, niż to, jakie w rzeczywistości miała. Zamiast zbioru podań i baśni, nie powiązanych z sobą częstokroć żadną inną nicią oprócz fantazyi, czem jest historya starożytna przez starożytnych utworzona, mogłaby się stać rzeczywistą szkołą życia.

Myśl wszakże ludzka poszła innemi tory. Czy to, że człowiek, mając sobie wskazaną i udowodnioną swoją zależność od przyrody, zląkł się jej potęgi, samowładztwa i, zapragnąwszy oddalić się, ujść przed nią, niby skryć się,

odwrócił się od niej, wszedł i pogrążył się w sobie i ogłosił jako jedyną podstawę rzeczy, zasadę: poznaj samego siebie; czy też, że łatwiejszą i ponętniejszą się okazało rzeczą, w wytwarzaniu wiedzy, przepędzać czas na gawędzie wśród cieniu drzew lub portyków, w otoczeniu uczniów, przyjaciół i wielbicieli, wsłuchując się w szmer podziwu tłumów i jego oklaski, niż dla zdobywania jej odbywać podróże, poszukiwania rzeczy nieznanych, wciąż patrzeć, spostrzegać, ważyć, mierzyć, doświadczać, badać, a przedewszystkiem milczeć: dość że drogę wskazaną przez Hipokratesa porzucił, kierunku, przez niego wytkniętego zaniechał.

I oto, z jednej strony, Sokrates, Plato i nawet Arystoteles bardziej się zajęli jednostką, niż ogółem ludzi, państwem niż ludami, istotą myśli człowieka i jej formami, niż istotą jego natury i bytu jego w naturze. Przyjęta zasada: znaj samego siebie, wyrwała człowieka z otoczenia przyrody, zerwała węzły łączące go z nią, a odtrącając rzeczywiste podstawy jego istnienia, zawiesiła go, niby oderwane pojęcie, gdzieś w niedosięgniętej przestrzeni. Nakoniec, za naukę poczytywać zaczęto nie badanie ludzkiego bytu i przyrody, lecz co o ludziach przed wiekami tacyż sami ludzie prawili, rękopismy nie wszechświat i jego zjawiska zostały źródłem wiedzy, a dawniejszych filozofów, miłośników mądrości, zastąpili filologowie, miłośnicy słowa, które wciąż tylko powtarzane, przechodząc z ust jednych do drugich, przez niezliczone szeregi pokoleń, utraciło nakoniec swe pierwotne znaczenie. Z drugiej strony wschodni mistycyzm począł ogarniać umysły. Księgi święte wytrąciły z rąk inne. A teorye Platona i Arystotelesa nowe otrzymały zastosowanie. I wieków kilkanaście upłynęło na tej nowej robocie.

Tymczasem następowały wypadki, które napowrót skierowały umysły do badania przyrody i w niej człowieka. Odkrycia geograficzne wykazały istnienie innych ras oprócz nadśródziemnomorskiej, białej. Powstała etnografia. Odróżnianie naukowe jednych ras ludzkich od drugich wymagało zbadania przyrodniczego człowieka. Powstała antropologia. Nakoniec przez Hipokratesa założona, lecz bez nazwy pozostająca wskutek przytoczonych przyczyn, przez kilkanaście wieków zaniechana i zapomniana nauka już jako

etnologia, przeszedłszy dwa okresy, etnograficzny i antropologiczny, wstępuje w nowy,

Nowy ten kierunek bezpośrednio wiąże etnologię z badaniami, rozpoczętemi przez Hipokratesa; rozwija w sobie programat, przez niego nakreślony; uwydatnia się zaś, pomijając liczne prace Fryderyka Le Playa i inne, powstałe w jego szkole, w dwu przedewszystkiem najnowszych dziełach: *Les Sociétés africaines, leur origine, leur évolution, leur avenir*, Paryż, 1894 roku, przez A. Preville'a, i *Les Français d'aujourd'hui, les types sociaux du midi et du centre*. Paryż, 1898, przez E. Demolins'a.

Już nie rasy z ich podziałami i rozgałęzieniami, ani też człowiek, z rozmaitemi odmianami anatomicznemi i fizyologicznemi w swym ustroju, stanowi przedmiot badania i spostrzeżeń w tym nowym kierunku etnologii, lecz te rasy lub pojedyńcze z nich ludy, w stosunku do otaczającej ich przyrody. Dla przeciwstawienia zaś z dwoma poprzednio wskazanemi okresami ten nowy zasługuje na nazwę *fizyograficznego*.

Typy, wprowadzone przez Hipokratesa, występują w wymienionych dziełach na pierwszy plan i same zapełniają zakres całkowity badań. Lecz te typy wskrzeszone nie są już wyłącznie tylko typami Hipokratesa, lub jedynie pobudowane według jego przepisu, ułożonego przezeń schematu. Postęp myśli ludzkiej, jako narzędzia umysłowości, i podniesienie samej umysłowości przez postęp wiedzy uwydatniły się w typach etnologicznych nowego zwrotu.

Hipokrates, jako przyczynę różnorodności wśród ludzi wskazując przyrodę, wśród ogółu ludności Europy wyróżnił mieszkańców gór, nizin i płaskowzgórzy; szczególne zaś cechy każdej takiej grupy zlewając w jedną całość, wytworzył kilka typów: górali, mieszkańców płaskowzgórzy i nizin. Wszelako nie pozwolił ich ująć, opierając na przykładzie, nazywając daną nazwą geograficzną lub historyczną, bardziej ściśle, niby namacalnie. Pomimo więc podstawy przyrodniczej jego typów etnologicznych są one, pod pewnym względem, ideami, pojęciami ogólnemi, unoszącemi się gdzieś w powietrzu.

Inne już są typy, wykazane w wymienionych dwu dziełach etnologów końca XIX stulecia.

Francya, wskutek znacznej rozmaitości w ustroju swej powierzchni, a tembardziej Afryka, od niej sześćdziesiąt razy większa, posiadając obok gór niziny nadbrzeżne, a pomiędzy niemi płaskowzgórza, poprzerzynane dolinami wielkich i mniejszych rzek, przedstawiają wśród swych mieszkańców wszystkie typy, wykazane przez Hipokratesa. Tylko etnologowie XIX stulecia typy te przedstawiają w życiu, podpatrują w rozwoju, przykuwają do miejsca jednego i mianują już nazwami danych okolic. Ogólne przeto spostrzeżenia zastosowują do praktyki, każdy typ ze sfery pojęć wprowadzają do akcyi. Naturalnie, że możność ożywienia, w taki sposób, typu danego wymagała długiego szeregu badań na miejscu, spostrzeżeń, opartych na faktach codziennego życia. Wskutek tego typy oderwane Hipokratesa noszą już naprzykład w dziele Demolins'a nazwy Owerniaka, Gaskończyka, Bretończyka, Korsykanina i t. p.

Nadto nowi etnologowie wprowadzają nowy czynnik do etnologii. Praca, przez starożytnych już to nie uwzględniona i lekceważona, już to jeszcze nie ujęta przez badania w swej istocie, nie sformułowana według zasad ekonomii społecznej — jest owym czynnikiem nowym.

Praca, jako akcya wyłącznie ludzka, stanowi czynnik ludzki. Będąc czynnikiem ludzkim, jest zarazem i społecznym, gdyż wytwarza społeczeństwo. Typy Hipokratesa są wyłącznie przyrodnicze. Typy nowych etnologów będąc, jak i typy Hipokratesa, przyrodniczemi, są zarazem już i typami społecznemi, więc — przyrodniczo-społecznemi.

Ponieważ u nowych etnologów ukazują się już dwa pierwiastki w typie, w utworzeniu jego występują dwa czynniki: góry, niziny, płaskowzgórza, słowem środowisko przyrodnicze, miejscowość *(lieu)* jako jeden, drugim zaś się staje praca ludzka *(travail)*, — przeto typy ich, nie będąc już jak owe typy Hipokratesa wyłącznie utworem przyrody, stają się pod pewnemi względami poniekąd samotworami; w powstawaniu bowiem ich wchodzi pierwiastek ludzki, praca, jakkolwiek dokonywana w warunkach przez przyrodę wytworzonych i wskazanych, i wchodzi jako czynnik równoważny, konieczny, bez którego współudziału sam typ powstaćby nie mógł, a następnie, powstawszy, rozwijać się i doskonalić.

Rozwijanie się i doskonalenie, uwydatnione przez nowych etnologów w typie, jest ciągłą zarazem modyfikacyą samego typu. Modyfikacya zaś ciągłą jest zmianą, stałem choć powolnem przekształcaniem się w inny. Z wprowadzeniem przeto nowego czynnika do wytwarzania się typu, zaczyna się ewolucya tego typu. Praca ludzka, wnosząc nie spostrzeżony przez Hipokratesa nowy czynnik w wytwarzaniu typów, poddaje je jakoby ewolucyi. Typy więc w istocie swej kryją swoje zmiany, w ciągłym rozwoju przekształcają się, w przekształcaniu się same giną, znikając, przechodzą w inne.

Właśnie ten pierwiastek ewolucyjny, odkryty w typach etnologicznych przez postęp nauk i doskonalenie się umysłu ludzkiego jako narzędzia, pobudza wciąż do zatrzymywania się na typach, chwytania ich w danej chwili, krystalizowania w pojęciu, fotografowania w dziełach. Naprzykład: typy, zebrane w dziele Demolins'a, nie są to mieszkańcy Europy wogóle, lub w szczególności Francuzi, ani nawet górale lub rybacy, lecz Prowansalczycy i Tureńczycy, Żewodanie lub Owerniacy; i to, co większa, nie są typy, jakie były przed wiekiem i będą jeszcze w następnym, lecz typy *d'aujourd' hui*, jak twierdzi autor, współczesne, jakiemi jeszcze nie były dawniej i jakiemi napewno już nie będą w przyszłości.

Nie inaczej i względem Afryki. Kultura jest wynikiem pracy ludzkiej. W miarę zwiększania się czyli podnoszenia kultury wzmaga się praca. Intensywność kultury świadczy o intensywności pracy. Podbój Afryki przez rasę białą, podnosząc kulturę w Afryce, wzmaga w niej pracę. Wzmożenie się pracy uwydatni się w szybkiej ewolucyi typów ludności afrykańskiej.

Zastosowywanie metody, wprowadzonej przez nowy zwrot w etnologii (co właściwie, jak widzimy, jest tylko wskrzeszeniem programatu, obmyślonego dla tej nauki przez Hipokratesa), do badania mieszkańców każdego kraju, wykazanie, z jakich to typów przyrodniczo-społecznych składa się cały naród, nietylko ciekawość przyrodników i socyologów zaspokajać może. Geograf ujrzy w swej nauce człowieka, związanego z ziemią nietylko cechami stanowiącemi rasę, ale całem jego życiem zewnętrznem i wewnętrznem,

jakie warunkuje miejsce i praca; dział więc nowy swej nauki nazywać zacznie *antropogeografią*. Historyk w wyprowadzonych typach znajdzie klucz do wytłumaczenia rzeczywistego wielu zagadnień dziejowych; roztoczą się przed nim nowe widnokręgi badania przeszłości, podniosą się nowe punkty zapatrywania się na nią. Prawodawca sumienny zdumieje, jak mógł tworzyć prawa, wydawać rozporządzenia, nie wiedząc właściwie dla kogo to on wydaje; a może też zrozumie nakoniec dlaczego to, pomimo rygoru administracyi, tyle jego pomysłów stało się, szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla rządzonych, tylko martwą literą. Nakoniec filozofowie, zgnębieni pustkami, dojrzanemi w oderwanej myśli człowieka, w nowowykazanych węzłach, łączących człowieka z przyrodą, znajdą świeżą podnietę do nowych działów w psychologii, etyce i może, do *nowej* filozofii historyi.

SPIS RZECZY.

	Str.
Poszukiwanie człowieka w okresie trzeciorzędowym	1
Wyniki dotychczasowe poszukiwania człowieka trzeciorzędowego	23
Stosunek człowieka do świata zwierzęcego w wieku kamiennym	39
Zabytki megalityczne ludów pierwotnych	66
Zwierzęta przedstawiane w postaci wzgórzy sztucznych w Ameryce.	91
Wśród kamieni	93
Odkrycia archeologiczne w Bośnii	98
Teorya Quatrefages'a o pochodzeniu ludności polinezyjskiej	107
Ludy na rozmaitych stopniach kultury pierwotnej	120
I. Negryci i Papuowie	123
II. Australczycy	153
Wycieczki w dziedzinę etnologii. Świat Azyatycki	174
I. Ainowie	174
II. Andamani	199
III. Todowie i ich sąsiedzi	222
Stosunki etnograficzne na krańcach wschodnich Azyi	247
I. Ludy na krańcach północno-wschodnich	249
II. Ludy na krańcach południowo-wschodnich	284
III. Ludy na krańcach wschodnich Azyi środkowej	323
Za przykładem Europy	367
Pamiątki historyczne na Kamczatce	391
Odkrycia geograficzne Beniowskiego	412
Mundus vult decipi	422
Hipokrates i nowy zwrot w etnologii	469



BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
44750/I